

Polskie logos a ethnos

Roztrząsania o znaczeniu i celu Polski

Feliks Konieczny



Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej

Tekst opracowany i opublikowany w ramach projektu
„Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej”.

Więcej o samym projekcie oraz inne nasze publikacje możesz znaleźć na stronie cbmn.pl

Chciałbyś wspomóc rozwój naszego projektu?

Przełącz darowiznę na cele statutowe Stowarzyszenia im. Przemysła II.

Dane do przelewu:

06 1140 2004 0000 3302 7794 3035

Stowarzyszenie im. Przemysła II

Stawki 4B/Lokal U1

00-193 Warszawa

Opracowanie na podstawie Feliks Koneczny, *Polskie logos a ethos: roztrząsania o znaczeniu i celu Polski. T. I* oraz *Polskie logos a ethos: roztrząsania o znaczeniu i celu Polski. T. II*. Księgarnia św.

Wojciecha, Poznań, 1921

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany
i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych
z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)



SPIS TREŚCI

Rozdział wstępny.....	5
Część I. Kultura umysłowa.....	30
Rozdział I. Historyzm a podkład ludowy.....	30
1. Historyzm.	30
2. Podkład ludowy.....	44
3. Historyzm a ludowość.	56
Rozdział II. Dary przyrody.	75
Rozdział III. Handel i przemysł.	97
Rozdział IV. Oświata.	120
Część II. Twórczość polska.....	145
Rozdział V. Zdatność artystyczna.	145
1. Sztuka plastyczna.	145
2. Muzyka.....	155
3. Poezja – i uwagi ogólne.	159
Rozdział VI. Zdatność naukowa.	173
1. Nauki ścisłe.	175
2. Nauki przyrodnicze.....	183
3. Geografia.	194
4. Nauki humanistyczne.....	203
5. Filozofia.	220
6. Nauka, oświata, dobrobyt.	223
Rozdział VII. Zdatność polityczna.	230
Część III. Powszechność sprawy polskiej.	259
Rozdział VIII. Dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu.....	259
Rozdział IX. Stosunek do Europy.....	297
1. Młodszość cywilizacyjna a chyżość historyczna.....	299
2. Teoria Pawła Brudzewskiego.	305
3. Stosunek do zachodnich form państwowych.	321
4. Obrona kultury zachodniej.	326
5. Skutki rozbiorów.	328

6. Udział w walkach o wolność	330
7. Stałość Logosu, zmienność Ethosu	334
Rozdział X. Polska wobec słabszych.....	334
1. Polska a Czechy	336
2. Ruś.....	347
3. Inne narody słowiańskie.....	353
4. Polska wobec Litwy	358
5. Podróznicy polscy wobec ludów pierwotnych	373
Część IV. Wyniki dociekań i wnioskowań.....	376
Rozdział XI. Najwyższy regulator historii	376
1. Jedność cywilizacyjna	376
2. Problem ludności a obszaru	396
3. Nusarchia.....	411
Wynik dociekań	431
Rozdział XII (dodatkowy). Horoskopy nowego okresu	434
1. Po pokoju wersalskim.....	434
2. Państwo.....	443
3. Społeczeństwo.....	461
4. Cywilizacja.....	485
Wynik wnioskowań.....	499
Opis zawartości	505
Treść tomu pierwszego:.....	505
Treść tomu drugiego:	512

ROZDZIAŁ WSTĘPNY.

W ogniach wojny powszechnej przetopiły się potworne przęśla pancernej budowli XIX wieku: leżą poskręcane na grzędawicy podmokłej krwią całego pokolenia wszystkich niemal ludów ziemi. Krwią zlane pokolenie siedzi na zgliszczach, zbiedzone, przygnębione i nawet na zwycięzcach znać jakieś posępne skupienie. Zwycięzcy, jakby nagłym tknięci paraliżem, stanęli bezradni, nie wiedząc, co począć z własnym zwycięstwem. Trudno powiedzieć, kiedy większą i cięższą była powaga chwili: czy, gdy wypowiedano sobie wojnę, czy też obecnie, kiedy od roku już przeszło układa się pokój: to pewna, że dziś stosunki są o wiele zawilsze. Powaga odpowiedzialności wywołuje naprężenie, nie sprzyjające radości życia; to też panuje w całej Europie przygnębienie.

A tymczasem spod gruzów i zgliszcz słychać raz wraz jakieś ruchy, których nie umie się określić: czy to odruchy są ostatnich konwulsji gruboskórych potworów, zmiażdżonych dopiero co, czy też zapowiedzi odrodzenia ich? Nasłuchuje przeto w przygnębieniu skąpane w krwi pokolenie, bo ma wątpliwości, czy ziści się owo Dobro, w imię którego wstrząśnięto świat w posiadach. Czasem narzuca się rozpaczliwa myśl, czy tylko nie zamienia się starego Zła na jakieś nowe, do którego powstania wojna powszechna sama się przyczyniła? A czy nowe Zło nie będzie gorsze od dawnego? A może to właśnie dobrze, że nie ma się jeszcze pewności, czy owe przęśla pancerne dynastyczności i militaryzmu należą do przeszłości niepowrotnej, czy one istotnie stały się przeżytkami?

Czy wytwarzamy nowe w dziejach pojęcie Dobra powszechnego, czy też zburzywszy ustrój europejski poprzedni; bezsilni do wzniesienia budowli nowej, radzi będziemy, gdy nam się po pewnym czasie uda przywrócić ład i spokój pod tarczą reakcji – oto pytanie naszej doby!

Zasmuca zwycięzców brak pewności, czy osiągnięte będą cele zwycięstwa – i dlatego zamiast triumfalnej radości panuje przygnębienie. Gryzie dusze robak wątpienia.

Jest kraj w Europie, jakby wyznaczony na zbiór wszelkiej radości: to Polska. Czyż

istnieje bowiem na świecie naród, kochający bardziej wolność, umiejący cenić wyżej niepodległość? I oto ziściło się nam to, o co od lat dziecinnych błagaliśmy Pana w codziennym pacierzu! Zwyciężyła wreszcie Sprawiedliwość, oś całego układu duchowego makrokosmosu i mikrokosmosu, to też pod niebiosa bije luna radości od całego świata, pragnącego ułożyć się według sprawiedliwości. Czyż kwestia polska nie była probierzem wszelkiego Ideału?

Pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy Ideałem a rzeczywistością służy za pomost tęcza uwita z siedmiu ofiar: poświęcenia, miłości, zachwytu, czułości, z hartu, stałości, niezłomności; po tej wstędze przymierza zstępowały na ziemię wszystkie radości niebiańskie, gdy niepodległość Polski z marzenia stawała się faktem ziszczonym, spełnionym, by się napawać najpotężniejszym w dziejach triumfem Ducha, uproszonym przez ofiary, nakładane dziedzictwem z pokolenia w pokolenie aż oto do skutku. Gdziekolwiek tedy w przestworzach kryła się iskierka radości, wszystkie zbiegły się i złączyły, by świecić ponad Polską wielką zorzą wesela od świata całego. A myśmy to widzieli, myśmy to przeżyli!

Jakież robak ma gryźć nasze umysły?!

Umysłowość polska kształcona na poziomach, „gdzie graniczą Stwórca i natura”, przywykła zdobywać coraz dalsze i głębsze postulaty dla widoków doskonalenia się, pomnaża przez to samo nieustannie wymagania etyczne, a więc utrudnia zarazem zadowolenie z siebie. Myśl polska, wiedzona przez wieszczów narodowych na szczyty ludzkiego poznania, do najwspanialszych nawykła tam horyzontów, znajduje jednakże w tymże swą udrękę. Wysokość wielka polskości, jeżeli ma być utrzymana, zobowiązuje do również wielkiej głębi obowiązków, a skoro się to rozumie i przyjmuje, ma się do czynienia z nie kończącym się nigdy rachunkiem sumienia.

Chcieliśmy niepodległości, bo się nam należała i umieliśmy upominać się o nią wyraźniej i dosadniej od jakiegokolwiek innego narodu, nie szczędząc ofiar w żadnym pokoleniu. Ale nigdy – również w żadnym pokoleniu – nie uważaliśmy odzyskania niepodległości za koniec naszej drogi, tylko za początek drogi właściwej, mogącej już naprawdę prowadzić do celu. Niepodległość uważaliśmy i uważamy za środek do

skutecznego wspięcia się na szczyty ludzkości, ażeby spełnić wobec cywilizacji powszechnej jak najlepiej nasze obowiązki.

Czy państwo polskie zdadne do tego pochodu ku szczytom, czy społeczeństwo podoła? I czyż rzeczywistość mało gotuje zgryzot Polakowi, zadającemu sobie takie pytania?

A umysłowość polska nie umie się wprost obejść bez roztrząsania tych zagadnień, a że stanowią one rodzaj narodowego rachunku sumienia – skłonność ta świadczy dobrze o charakterze narodowym. Na tego rodzaju roztrząsaniach może się myśl polska i rozszerzać i pogłębiać.

Autokrytyka wysuwać musi oczywiście wszystkie wątpliwości, nie cofając się przed kwestiami najbardziej drażliwymi. Ale w Polsce minął już dawno, bardzo dawno okres, kiedy-to trzeba było schlebiać, chcąc być słyszany!

Chromalibyśmy, gdybyśmy nie mogli czerpać otuchy na nowy okres dziejowy z przeświadczenia o naszej wartości i użyteczności, i wiemy, że znaczenie zależeć winno od wartości. To też musimy wejść odważnie w zawiłość zagadnienia naszej wartości, które należy ująć jasno i określić ściśle. Wykluczamy odpowiedź na .to zagadnienie taka, która by polegała na indywidualnym czyimś przekonaniu, a sformułowana byłaby w ogólniki jakieś; trzeba nam odpowiedzi opartej na specjalnych studiach, takiej, która by posiadała obiektywną wartość miary i wagi, wynikającą nie z indywidualności samej badacza, lecz z zebranych rzeczowo faktów. Słowem: zagadnienie to winno stać się przedmiotem dociekań naukowych.

Należy wyjaśnić trzy sprawy, a mianowicie:

- 1) Jaki jest udział Polski w kulturze umysłowej europejskiej?
- 2) Jaki rodzaj twórczości polskiej, stopień jej natężenia i wydajności?
- 3) Czy i o ile sprawa polska posiadała lub posiada znaczenie powszechne?

Trzy te pytania stanowią trzy stopnie jednej i tej samej kwestii. Pierwsze, najmniej skomplikowane, posłuży do roztrząsania drugiego, obydwa razem stanowiąc będą podstawę do szukania odpowiedzi na trzecie z nich.

Myśl polska kołuje niejako ciągle około kwestii, jakie jest znaczenie Polski

w dziejach powszechnych i jaki jej cel? Czy nie próżne, bezużyteczne kołowanie?

Czy się kołuje, czy posuwa naprzód, to już zależy od metody, z jaką się zagadnienie dane traktuje; wszak można kołować na próżno przy wszelkim zagadnieniu, nawet przy zadaniu matematycznym! Chodzi o to, by nareszcie z kołowania wybrnąć i już nie popaść w nie na nowo. Odszukać trzeba punkt, od którego można zacząć pochód ku prawdzie.

Chodzi jednak o coś więcej: czy samo dociekanie znaczenia i celu jakiegoś narodu jest naukowo dopuszczalne? Czy pewien naród może mieć jakieś specyficzne znaczenie historyczne pod względem cywilizacyjnym i jakiś specyficznie swój cel? Ale wątpliwość może sięgać jeszcze dalej: czy narody w ogóle posiadać mogą jakieś cele spoza siebie? czy jedynym celem każdego z nich, wspólnym jednakowo wszystkim, nie jest utrzymanie się? Może naród nie dąży nigdy do niczego więcej, jak tylko do tego, żeby się utrzymać, żeby zabezpieczać sobie byt coraz dokładniej, wszechstronniej i coraz dogodniej? Może walka o byt stanowi jedyne kryterium życia narodowego, a wszystko bez wyjątku mieści się w tym jedynym zadaniu jego prac i trudów?

Chodzi o to, czy kwestia znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjną; czy prosty frazes literacki nie odgrywa roli błędnego ognika?

Nie wymijając odpowiedzi na tę wątpliwość, pójdźmy w ścisłości jeszcze dalej – i zacznijmy od posunięcia wymagań określeń dokładnych, ścisłych, aż do pytania: co to jest naród? Dopóki sobie nie ustalimy tego pojęcia. póki się nie porozumiemy jasno, co do znaczenia tego wyrazu – wisiłaby doprawdy w powietrzu cała dyskusja o tym, czy naród może mieć cel jaki spoza walki o swój byt.

Narodowość nie jest wcale czymś danym z góry. Nie ma w całym świecie takiej krainy, o której mieszkańcach można by powiedzieć, że byli od zarania dziejów przeznaczeni należeć do narodowości danej z góry, takiej, a nie innej. Samo przyrodzenie, tj. czynniki etnograficzne i antropologiczne, wytwarza z rodów plemię, mówiące wspólną gwarą; z plemion lud, używający wspólnego narzecza – i na tym koniec; związków większych czynniki przyrodzone nie wytwarzają. Narodów, wśród których z narzeczy wytwarza się język narodowy, dostarcza ludzkości historia.

Narodowość nie jest bowiem wcale siłą daną z góry, przyrodniczą czy

antropologiczną, wrodzoną pewnemu żywiołowi etnograficznemu, lecz jest siłą aposterioryczną, nabytą, wytworzoną przez człowieka, a wytwarzalną dopiero na pewnym stopniu kultury. Są ludy, wśród których nie wytworzyła się żadna narodowość. Nie można też przewidywać, czy z pewnych ludów wytworzy się narodowość jedna, dwie lub więcej, bo w tej dziedzinie nie rozstrzygają żadne czynniki wrodzone, żadne siły aprioryczne, lecz rozwój historyczny.

I dlatego właśnie tak nam jest drogą narodowość własna, jako wcielenie wszystkich ideałów życia, bo ona jest wytworem pracy, nabytkiem rozwoju, świadectwem udoskonalenia, do którego doszło się ciężkim trudem licznych pokoleń, wśród walk, bólów, zawodów, ale też z myślą przewodnią, mającą wieść do coraz wyższego uduchowienia przyrodzonego materiału etnograficznego, zebranego w naród przez dostojność pracy kulturalnej. A praca ta niemożliwa jest w stopniu wyższym i w zakresie wszechstronnym ani w ludzie, który nie dorósł jeszcze do świadomości narodowej, ani też w kosmopolitycznym „obywatelstwie świata”; praca kulturalna da się bowiem zorganizować wszechstronnie tylko w narodach. Tylko przez naród można służyć skutecznie ludzkości.

Mylne to zapatrywanie, jakoby osobnym było narodem, co jest etnograficznie odrębne! Pewien żywioł etnograficzny może być absolutnie niezdatny na naród – indziej znowu różnolite żywioły etnograficzne składają się na jeden naród. Może być lud opływający w wyraziste wielce odrębności etnograficzne, a pomimo to nie stanowić zawiązku jakiejś narodowości. Pomylenie pojęć etnograficznych z narodowymi prowadzi do mnóstwa pomyłek¹.

Błędnym też jest mniemanie, jakoby narody istniały wszędzie, gdziekolwiek są ludzie, po całym świecie, jakoby cała ludzkość składała się z narodów.

Ludzkość można dzielić fizycznie i duchowo. Próby podziałów fizycznych na rasy, szczepy itd. są powszechnie znane; jest tych systemów kilkanaście. Wiadome są też systemy filologiczne podziału ludzkości według grup językowych,¹ wielce zawile,

¹ Obszerniej pisałem o tym we wstępie do I. tomu swych „Dziejów Rosji”. (Warszawa 1917).

ogromnie trudne, a zawodne, bo nauka wykryła fakt, że są ludy, zmieniające w ciągu wieków język, nawet kilkakrotnie. Otóż może być inny jeszcze podział ludzkości, trzeciego rodzaju, według sprawdzianu duchowego, a mianowicie według cywilizacji. Cywilizacje stanowią największe, najrozleglejsze skupienia, mogąc obejmować w sobie społeczności rozmaitych grup językowych i rozmaitego pochodzenia rasowego.

Ze wszystkich cywilizacji jedna tylko zawiera w sobie pojęcie narodowości: cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna (zachodnio-europejska, łacińska). Poczucia narodowego nie posiada cywilizacja bizantyńska, ani też żadna z azjatyckich: ni arabska, ni turańska, ni chińska, ani też żydowska.

Badanie pojęcia narodowości zawiodło nas do powoływania się na pojęcie cywilizacji. Ależ czy wolno jedną niewiadomą wyjaśniać za pomocą drugiej niewiadomej, również niewyjaśnionej? Należy tedy zadać sobie z kolei rzeczy pytanie, co należy rozumieć przez cywilizację?

Definicja może brzmieć, że cywilizacja, to metoda ustroju życia zbiorowego (więc nie tylko publicznego, bo życie rodzinne również jest zbiorowym, chociaż niepublicznym). W metodach odróżniać należy różnice zasadnicze i drugorzędne odmiany – to też w danej cywilizacji mieścić się może szereg odmian cywilizacyjnych, które zwijmy kulturami². Tak np. w obrębie cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej (łacińskiej) mówimy o kulturze polskiej, która stanowi wprawdzie jedność cywilizacyjną z kulturą francuską, angielską itp., a jednak posiada swe odrębności i to wybitne. Odrębność kulturalna nie wymaga zresztą odrębności etnograficznej. Na rozmaitym podłożu etnograficznym istniała np. średniowieczna kultura rycerska.

² Odróżnianie cywilizacji a kultury w tym sensie, żeby jednego z tych wyrazów używać do oznaczenia zewnętrznej (materialnej) strony życia, drugiego zaś do wewnętrznej (duchowej), utrzymać się nie da, wobec tego, że jedne i drugie objawy splatają się jak najściślej, nierozzerwalnie. Wszelka kultura mieści w sobie obie strony: duchową i materialną, które rozwijają się historycznie mniej więcej równocześnie i równolegle. Ponieważ zaś zachodzi potrzeba odróżniania części cywilizacji (np. polskiej) od całości (łacińskiej), – proponuję używanie wyrazów: kultura, cywilizacja – na oznaczenie tego właśnie stosunku części do całości. Nic będę się upierał przy tej terminologii, jeżeli kto wskaże inną.

Definicja potrzebną jest do ścisłości rozumowania, lecz przedmiot sam wyjaśnia się dopiero przez stwierdzenie objawów, cech zasadniczych i najważniejszych cech znamienych (czyli charakterystycznych)³ – zastanówmy się więc nad cechami spośród objawów cywilizacji.

Pełnia cywilizacji polega na tym, żeby posiadać takie ustroje życia prywatnego i publicznego, społecznego i państwowego, tudzież taki system moralno-intelektualny, iż wszelkie dziedziny życia, tak uczuć, jako też myśli i czynów, tworzą zestroje o jednolitym umiarze, konsekwentne w zespole swych idei. Nie wszędzie atoli panuje pełnia cywilizacji. Są cywilizacje bardziej i mniej wielostronne, jednolite i mieszane, oryginalne i naśladowcze, w całości naśladowcze lub częściowo; są twórcze kultury i bierne, płonące światłem własnym i pożyczanym; są cywilizacje pełne i niepełne; są kultury i półkultury.

Zasadnicze cechy cywilizacji wynikają z tego, czy opiera się ona na religii lokalnej (względnie wyłącznie szczepowej), czy też na uniwersalnej; czy mieści w sobie pojęcie narodowości, czy też obchodzi się bez niego; czy posiada odrębne prawo publiczne, czy też państwowość opiera się na rozszerzonym prawie prywatnym; wreszcie: czy organizacja społeczna może być samodzielną, czy też spływa w jeden system z organizacją państwową.

Do najważniejszych zaś cech znamienych rozmaitych cywilizacji należą: pojęcia świętości, własności, zwłaszcza ziemskiej, i małżeństwa, z czym w związku prawo rodzinne i spadkowe, wreszcie dwie ogólne kategorie myślenia: jak zapatrują się gdzieś na jedność a jednostajność, na różnorodność a rozbieżność, o ile mieszają jedno z drugim, identyfikują lub też odróżniają ściśle jedno od drugiego. Np. bizantyzm nie pojmuje jedności inaczej, jak przez jednostajność, a różnorodność uważa za zaprzeczenie jedności.

Tylko jedna tedy z metod ustroju życia zbiorowego, metoda cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, dopuszcza do rozwoju pojęcia narodowości; jest ono nawet zasadniczym w obrębie tej cywilizacji. Inne cywilizacje mają inne znów zasadnicze

³ Zasadnicze, bez których przedmiot przestałby być sobą; znamienne: przedmiot od przedmiotu odróżniające w sposób najwidoczniejszy, najuchwytniejszy dla zmysłów w ogóle.

pojęcia, a żadna z cywilizacji nie posiada wszystkich pojęć dotyczących życia zbiorowego – i stąd trudność wzajemnego zrozumienia się, skoro członkowi pewnej cywilizacji może być brak zupełnie pojęcia, najbardziej właśnie rozpowszechnionego w innej.

Nie było bowiem nigdy, ani obecnie nie ma jakiejś cywilizacji ogólnej, powszechnej, wszechludzkiej, lecz w rozmaitych miejscach i w różnych czasach powstawały odrębne cywilizacje. Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna jest dalszym ciągiem rzymsko-helleńskiej, uprawianej na chrześcijańskim podłożu. Pojęcie narodowości pochodzi w samej istocie swej ze świata klasycznego, jakkolwiek uległo znacznemu rozszerzeniu i pogłębieniu. Dla Hellena narodowościami odrębnymi były zrazu Ateny i Sparta, ale już Herodot zwraca uwagę na jedność Hellenów, a Rzym doszedł do tego, iż wszystkich Italików uznał współobywatelami, rodakami. Dalszy rozwój pojęcia narodowości ucierpiał przez dopuszczenie wpływów azjatyckich (z cywilizacji nie posiadających tego pojęcia), a bizantyzm (powstały z mieszaniny klasyczno-orientalnej). Pojęcie to całkiem utracił. Zanika ono i w zachodniej Europie w okresie upadku studiów klasycznych, ażeby pojawić się na nowo na tle chrześcijańskim stosunkowo bardzo późno. Najwcześniej stało się to; w Polsce (w wieku XIV); w innych stronach Europy wytwarza się pojęcie nowożytne narodowości mniej więcej równocześnie ze wskrzeszeniem studiów klasycznych. Humanizm był prądem powszechno-europejskim, ale przyczyniał się jak najbardziej do uświadomienia indywidualności narodowych, właśnie dlatego, iż stanowił odbicie pojęć klasycznych.

W jakim sposobie zrzeszają się społeczności w cywilizacjach nieposiadających pojęcia narodowości? Rzućmy okiem jeszcze na te objawy dziejowe, a odpowiedź na pytanie: czy naród może mieć cel jaki spoza walki o byt – nasunie się sama przez się.

Ani Hunowie, ani Chazarowie, ni Mongołowie, ni Tatarzy średniowieczni, ani Turcy następnych wieków nie byli nigdy narodem. Wśród Turańców może lud utracić nawet całkowicie język ojczysty, dojść tedy do tego, co według naszych pojęć jest już samem dnem wynarodowienia, a jednak nie przestać być tym samem, czym był przedtem. Tak np. potomkowie owych Mongołów, którzy zdobyli Ruś w XIII. w., mówią narzeczaniami tureckimi; turecka zaś grupa językowa nie ma etnograficznie nic wspólnego

z mongolszczyzną, lecz jest równorzędną grupie fińsko-ugryjskiej, jako drugi dział północnych Turańców. Mongołowie przyjęli tedy mowę turańską, nie przestając być Mongołami. Podział językowy nie łączy się w Azji niemal nigdy z innymi cechami etnograficznymi. W Azji zgoła nie można mówić o narodach, czy choćby o ludach, skupiających się historycznie według powinowactwa językowego. W chaosie ludów azjatyckich można grupować tylko języki, ale nie ludy same.

Nie tylko nie było narodu huńskiego, chazarskiego itd., ale właściwie nie było nigdy jakiejś etnograficznej społeczności huńskiej, madiarskiej, mongolskiej, chazarskiej, mandzurskiej, tatarskiej lub tureckiej. Były to związki polityczne rozmaitych ludów, występujące pod owymi nazwami, a złożone pod względem etnograficznym wielce niejednolicie.

Spółeczności historyczne azjatyckie są zrzeszeniami nie etnograficznymi, lecz wyłącznie politycznymi. Hasła, pod którymi dokonywały się w Azji formacje społeczeństw, bywały ekonomiczne i społeczne. Wśród ludów cywilizacji turańskiej ekonomiczne działały silniej, a na pierwszy plan wysunął się pewien rodzaj walki o byt, znany w Europie zaledwie w miniaturze: utrzymywanie się z rzemiosła wojennego. Ten rodzaj walki o byt stał się w Azji pierwszorzędnym czynnikiem twórczym społeczeństw i państw. Wyobraźmy sobie zaciężne najmictwo, ogarniające całe narody! Najbardziej odznaczały się w tym kierunku ludy tureckie; te ludy – to pułki: przybierają też często nazwy od wodzów (np. Osman).

Czynniki polityczne odegrały też w tworzeniu się społeczeństw azjatyckich rolę znacznie większą, bardziej rozstrzygającą, niż w Europie. Nad Azją historyczną, przewalały się losy dłużej, ciężiej, wszechstronniej i częściej, niż nad Europą. Społeczństwa azjatyckie przerabiały się, przetwarzały, rozchodziły i skupiały na nowo a odmiennie, przemianami takimi, wobec których rewolucje europejskie i nasze zmiany państwowe wydają się ledwie drobnymi odmiankami jakby rzeczy w istocie swej niezmiennych.

Wystarczy zestawić choćby tylko kondotierstwo w Europie a w Azji. Metoda zrzeszania się wojskowego tworzyła w Azji całe cywilizacje, kiedy w Europie zdołała

posłużyć za podłoże ledwie drugorzędnym lokalnym dynastiom. Nawet handel schodził w Azji na plan drugi wobec wyolbrzymionego kondotierstwa. Turecki „kagan”, to przedsiębiorca wojskowy, zamieniony we władcę. Gdy odwróci się od niego fortuna, i gdy nie może już opłacać swych poddanych-żołnierzy, rozpuszcza ich. a ludy-pułki jego szukają utrzymania pod innym jakim sztandarem. Losy wojny, świecąca lub gasnąca gwiazda kagana-kondotierą rozstrzygały o tworzeniu się i zaniku ludów Azji turańskiej i mongolskiej. W taki-to sposób, kondotierstwem, powstało społeczeństwo polityczne Mongołów Niebieskich, zdobywców wschodniej Europy, złożone z 45 ludów, urządzonych po wojskowemu. Wielki ich organizator Temudżin wyrósł na kondotierstwo w Chinach, aż w końcu sam Chiny zdobył. On to utworzył pierwszą w wiekach średnich armię regularną, z kadrami oficerskimi i regularnym awansem, z kwatermistrzostwem i sztabem generalnym, ze studiami strategicznymi – i dzięki temu był niezwykłym. A gdzie siła fizyczna zorganizowała się raz w militarystykę, tam polityka musiała pozyskać przewagę stanowczą ponad wszelkimi innymi kategoriami życia zbiorowego. Historię Azji można by też scharakteryzować jednym słowem, jako elephantiasis polityki.

Na azjatyckich społecznościach studiować można kwestię ciekawą nie tylko dla historyka, na co narażone są zrzeszenia polityczne, nie mające innego celu jak tylko walkę o byt. Nie ma bowiem w całej Azji – ani w Indiach, ani w Chinach – społeczności, której geneza nie tkwiłaby wyłącznie w przyczynach ekonomicznych. Nauka, męstwo wojenne, poezja, wszystkie przejawy myśli i uczucia zwrócone są i używane w tym jednym kierunku: dla ułatwienia walki o byt. W tym tylko celu istnieją tam państwa, bo tylko z tej przyczyny powstawały. Wyłączność ta nie zdała się jednak na nic: ludy turańskie i mongolskie były i są ubogie, najpracowitsze Chiny najwięcej cierpią głodu, a najbardziej uduchowione Indie zdobyły się w swej myśli filozoficznej tylko na prymitywne odrzucenie wszelkiej walki o byt, na podniesienie nędzy do godności zasady.

Cywilizacje, nie nakładające swym uczestnikom innych obowiązków, ani nie wskazujące innych celów, jak tylko materialne, wynikające z walki o byt. nie dochodzą przeto zgoła do pojęcia narodowości. A zatem pojęcie to może być tylko tam, gdzie

społeczności zrzeszają się nie tylko ze względów ekonomicznych i ekonomiczno-politycznych, a zrzeszone wytykają sobie cele spoza, walki o byt. Gdyby było inaczej, historia Europy nie różniłaby się od historii Azji, i nie byłoby w Europie, narodów.

Zestawienie Europy i Azji doprowadza do wniosku, że naród nie tylko może mieć cel spoza walki o byt, ale naprowadza wprost na definicję, że naród jest to społeczność ludów zrzeszonych do celów spoza walki o byt. Walka ta stanowi dla narodu tylko środek do celu. Sama ta walka nigdy narodu nie wytworzy, ani nawet z innych przyczyn wytworzonego. nie utrzyma. Gdy naród nie ma innego zajęcia, jak tylko samą walkę o byt, gdy przyświecają mu same tylko cele ekonomiczne, zbliża się do upadku.

Celem jedynym istotnym narodu nie może być samo utrzymanie narodowości, w materialnym znaczeniu tego wyrazu, skoro narodowość powstaje z przyczyn nie tylko materialnych. Utrzymanie narodowości mieści tedy w sobie bezwarunkowo pierwiastki spoza walki o byt; gdyby je przeto zlekceważono, zachwiać musiałaby się sama istota narodowości, słabnąć i upadać. Naród nie tylko więc może mieć cele spoza walki o byt, lecz mieć je musi; inaczej ginie.

Wykreślmy z życia narodów europejskich tę cechę, a zamienimy się po niedługim czasie w społeczności azjatyckie. Wiek XIX próbował tego – i obdarzył Europę militarystką, przerostem polityki, międzynarodówkami itp., zbliżając się do azjatyckich form zrzeszania się. Dochodziło się wreszcie do tego, że sztuka i nauka poczynają się wysługiwać militarystce i handlowi...

Ale nie o porównania cywilizacji tu chodzi, więc przerwijmy te uwagi, skorośmy doszli do tego, czego nam było trzeba, tj., żeby uzyskać określenie narodowości i wykazać, że dociekanie znaczenia i celu pewnego narodu jest naukowo dopuszczalne.

Celowość nie cieszy się w ogóle opinią „naukowości”, dzięki pewnego rodzaju sekciarstwu, które wykluczało tę kategorię myślenia, odsądzając ją z góry od wszelkiej wartości naukowej; ta zastrzeżoną była wyłącznie dla przy czy nowości. Jednostronność ta przenosiła się z nauk przyrodniczych na humanistyczne, i w zakresie Historii słyszało się jako o najwyższym zadaniu tej nauki, tylko o wytłumaczeniu „przyczynowego związku faktów”. Nigdy nikt nie przypuszczał możliwości celowego faktów związku.

Zastrzec się trzeba, że co innego przyroda, a co innego objawy historyczne. Przyjęto a priori, że jednakowe są prawa materii a ducha, przyrody a umysłowości – i popełniono grubą pomyłkę.

Badanie stosunku praw świata materialnego do praw świata duchowego stanowi najwyższy szczyt nauki; ale też trzeba prawa każdego z nich badać z osobna i następnie porównywać. Orzekanie, że znając prawa przyrody, zna się prawa wszelkich objawów życia; zbadanie jednej tylko dziedziny, i odniesienie jej praw w czambuł do drugiej, bez specjalnych dochodzeń, mocą apriorystycznego jakiegoś dekretu – było postępowaniem zaiste wielce nienaukowym.

Zdaje mi się, że stosunek świata fizycznego do duchowego jest pod tym względem trojaki: niektóre prawa są wspólne, niektóre działają wręcz przeciwnie, nadto zaś każda z tych dziedzin ma prawa wyłącznie swoje, nie zachodzące w dziedzinę drugą ani pozytywnie, ani negatywnie.

Np. wspólnym jest prawo bezwładności. W świecie duchowym, również jak w materialnym, działa wszelka siła jeszcze przez pewien czas po zamknięciu swego źródła. Dla przykładu zwróćmy uwagę, jak to Niemcy zachowują się wciąż jeszcze tak, jak gdyby prusactwo miało nadal kierować nimi i Europą wschodnią. Podobnie i Polska ulega ciągle jeszcze siłom z czasów rozbiorowych; dość wskazać na tę (zabawną zaiste) okoliczność, że w sejmie walnym Rzeczypospolitej niepodległej, w całej organizacji wyborczej, w dziennikarstwie itd. istnieje nadal podział na stronnictwa według szablonu z r. 1913. Świat cały zmienił się, a stronnictwa polskie używają dla siebie kryteriów... pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia; a co najciekawsze, o kryteria te (faktycznie już nie istniejące) wre w najlepsze walka stronnictw! Na podobne objawy można by zwrócić uwagę we wszystkich krajach europejskich, jakkolwiek nie w tak wielkim stopniu jak w Polsce.

Bywa zaś, że pewne prawo dziedziny materialnej zamienia się na wręcz przeciwne w duchowej. Np. chyżość na obwodzie ciała będącego w ruchu jest większa, niż w części środkowej, najmniejsza zaś przy samem centrum; chyżość taka wzrasta

z długością promienia. Wręcz przeciwnie ma się z chyżością socjologiczną i historyczną⁴: jest ona największą właśnie w centrach (w stolicach, w prowincjach centralnych).

Najdonioślejszym zagadnieniem z dziedziny ducha jest dociekanie prawa wzajemnego przestrzennego stosunku cywilizacji. Prawo fizyczne nieprzenikliwości nie obowiązuje tu, boć na tym samym miejscu mogą istnieć obok siebie i rozwijać się rozmaite cywilizacje, jak to widzimy we wszystkich niemal znaczniejszych ogniskach Orientu i... w Polsce (cywilizacja żydowska obok łacińskiej, w niektórych stronach nadto słowiańsko-turańska kultura). Być może, że kultury zachodzą wzajemnie na siebie jak kola od dwóch kamieni rzuconych do stawu (doświadczenie Leonarda da Vinci) – a może na kształt krzyżowania się fal świetlnych? Może okaże się, że co innego nieprzenikliwość materii, jako masy, a inna sprawa z ruchem fal objawów fizycznych (głosu, światła, elektryczności); może więc objawy duchowe podlegają prawom objawów ruchowych, ale może zachodzi tu podobieństwo tylko częściowe, lub nawet pozory tylko łudzące przy pierwszym badaniu, niedokładnym i jednostronnym, a które rozwieją się przy dalszym studiów pogłębieniu. Na razie cała kwestia zamyka się jeszcze w tym, że... można zwrócić uwagę na jej istnienie.

Skoro zaś naukowe badanie stosunku praw materialnych do duchowych jeszcze właściwie nie rozpoczęte, nie można braku celowości w przyrodzie odnosić do świata duchowego. Choćby przyrodnicy zupełnie byli zgodni, co do zarzucenia celowości (zagadnienie to należy pozostawić oczywiście im samym w zakresie przyrodoznawstwa), nie może to powstrzymać humanisty od zaznaczenia celowości, ilekroć znajdzie sposobność stwierdzenia jej w zakresie swych badań. Czas już spory na reakcję pod tym

⁴ O chyżości historycznej zob. „Przegląd Powszechny” z maja 1920. – Bardzo ważny przykład stosunku prawa materii do świata duchowego podaje Erazm Majewski w swej „Nauce o cywilizacji”, tom III, str. 369: „Gdy bowiem zwykłej energii lub materii musi koniecznie ubywać tyle w jednym miejscu, ile przybywa w innym – nie tak jest z potęgą duchową. Ta może przyrastać bez żadnej straty dla miejsc, skąd się rozchodzi, bo właściwie nie rozchodzi się ona znikąd – tylko bywa wzbudzana pod wpływem istniejącej już gdziekolwiek potęgi”.

względem! Myślenie jednostronne pod kątem wyłącznie przyczynowości osłabiło nadzwyczaj duchową sferę życia, wzmógłszy nieproporcjonalnie materialną. Co gorsza, osłabiło niesłychanie kulturę czynu, która musi się opierać na poczuciu celowości, bo inaczej wyradza się w odruchowość, w marnowanie energii na próżne zabiegi i wysiłki. Błędne koło czynu stało się nieuchronnym następstwem błędnego koła myśli. Monopol przyczynowości wprowadził nas zaiste w błędne koło monomanii umysłowej.

Przyczynowością wyjaśnić można nie wszystko z tego, co już jest, z tego zaś, co będzie, to tylko, co się stać ma samą siłą bezwładności jako prosty wynik tego, co było. W kategorii przyczynowości nie mieści się tedy nic istotnie nowego. Ludzie umiejący myśleć tylko przyczynowo, kształcący się wyłącznie za pomocą dociekania przyczyn, niezdatni są przeto do wzbogacenia zasobów kulturalnych żadnym nowym pomysłem twórczym; umieją tylko przerabiać i przeżuwać rzeczy stare, a zatem cofają rozwój ludzkości, bo odnoszą wszystko do kategorii przeszłości, w której zawsze tkwi przyczyna. Przeszarżałość ich punktu widzenia, zakrywana frazesem, wychodzi jednak na jaw w skutkach. Chociaż, doszukując się nieustannie nowych przyczyn, wysnuwają z tego wnioski nowe, wszystkie one oparte są z konieczności na przeżytkach, to też stosowane do przyszłości wywołują skutki wręcz przeciwne zamierzonym, bo cofają rozwój społeczeństwa. Z samej bowiem przyczynowości spraw przeszłych nie da się wykrzesać nic nowego, tj. zdatnego do życia w przyszłości, wiodącego ku postępowi. Nowy wniosek, wysnuty tą drogą, stanowi ledwie odkrycie nowej formy dla rzeczy przestarzałej. W taki sposób powstał cały ruch socjalistyczny. Stanowi on zajmujący przykład, jak niezdolni są do usunięcia przyczyny ludzie myślący wyłącznie przyczynowo: socjaliści zrezygnowali już dawno z usuwania przyczyn zła w nowoczesnym ustroju społecznym, nie mogąc wybrnąć ze swego błędnego koła inaczej, jak tylko postanowieniem rozwiązania całego ustroju społecznego. To też rewolucja, która miała być środkiem, stała się dla nich sama celem, i tak kręcą się w kółko.

Zdawanie sobie sprawy z przyczynowości zjawisk jest oczywiście nieodzownym warunkiem wykształcenia nowoczesnego człowieka; ale chodzi o to, żeby nie uważać tego za jedyny sposób myślenia „naukowego”, i nie używać, a właściwie nadużywać metody tej

do wszystkiego z zaniebdaniem metod innych, a zwłaszcza myślenia celowego. Jednostronność doszła do tego, że w szkołach średnich naucza się wyłącznie według kategorii przyczynowości. Być rozumnym, znaczy według tego przepisu, umieć w każdej sytuacji życia odpowiedzieć na pytanie: dlaczego?

Praktyka życia poucza jednakże, że nie ma absurdu, którego nie dałoby się pokryć formułą przyczynowości. Musi to bowiem wieść do absurdu, jeżeli stosuje się przyczynowość w takich objawach życia, z którymi ona nie pozostaje w ogóle w żadnym związku, gdzie stosowanie jej jest naciąganiem, a pochodzi stąd tylko, że się nie umie myśleć pod inną kategorią. Czyż np. biurokracja nie umie na poczekaniu usprawiedliwić największych swych nonsensów powołaniem się na przyczynowość? Na poczekaniu wytłumacza, dlaczego muszą coś robić wbrew rozsądkowi! Wyłuszczają nawet w takich wypadkach zwykle po kilka przyczyn. W ogóle nigdy nie brak nikomu z naszego pokolenia odpowiedzi na pytanie: dlaczego, bośmy wyćwiczeni w tym na wszystkie strony od ławy szkolnej. Obfitujemy też w zdolności „krytyczne”, mniej zdolni do twórczości.

Nie umiemy też patrzeć z otuchą w przyszłość, bośmy przywykli wyobrażać ją sobie, jako skazaną z góry na pewien kształt nieuchronny, skutkiem „przyczynowego związku faktów”. Skoro zaś przyszłość z góry jest „zeterminowana”, na nic myśleć o tym, jaką ona być winna i starać się, żeby była taką, jak tego pragnęlibyśmy; pragnienia nasze nie mają tu nic do rzeczy, a cała inteligencja nasza wysilać się musi jedynie na to, by odgadnąć, obliczyć to, co jest nieuchronnym i nieodwrotnym i... zastosować się do tego z jak najmniejszą dla siebie szkodą, a jeżeli się da, więc z jak największy zyskiem. Oto ostatni skutek ekskluzywności myślenia według kategorii przyczynowości. Można to śmiało nazwać niedołęstwem życiowym. Wypadki przewalają się nad biernymi świadkami toku dziejów, z których najlepsi, myślący myślą tylko o tym, jaka przyczyna tego, co się koło nich dzieje. O kierowaniu wypadkami, o zapobieganiu złemu jakżeż trudno mówić z takimi ludźmi; o wytwarzaniu zaś dobra, o tworzeniu wypadków nie da się z nimi mówić zgoła.

A jednak możebnym jest tworzenie wydarzeń! Gdybyśmy choć połowę zabiegów, zużytych na pogrzebanie w inteligencji europejskiej kategorii myślenia celowego, użyli na

wskrzeszenie tej zdolności, jeszcze bylibyśmy ocaleni z odmetu straszliwego, w jaki nas pogrążyła bierność ostatnich pokoleń, nie posiadających już kultury czynu celowego, tj. zastosowanego nie do wniosków wysnutych z dociekania przyczyn, ale do pragnień cywilizacyjnych.

Można posiadać zdatność do czynu, nawet wielką, a przejść przez życie biernym, lub co najwyżej zerwać się czasem do jakiej akcji na niedługą metę i nie wymagającej wysiłku woli. Człowiek istotnie czynny jest czynnym zawsze; on nie zna wypoczynku poza fizjologiczną koniecznością, bo nie da mu spokoju popęd twórczy: on musi tworzyć. Sto przeszkód koło niego nie poradzi wątkowi twórczości, który on snuje z siebie samego. Okolicznościami zmuszony, będzie zastosowywał twórczość swą w kierunku innym, niżby pragnął, ale nie da jej spocząć. Epizodyczność czynu nie stanowi zgoła niczego o charakterze pewnej osoby, boć największy nawet niedołęga lub leń może być okolicznościami zmuszony do wyjątkowego okazania czynności, (np. egzamin, a nawet praca naukowa jednorazowa celem pozyskania bezpośredniej korzyści). Nie ma tak biernego „zjadacza chleba”, który by nie potrafił przybrać wyjątkowo na się roli umysłu twórczego. Ogólna zdatność do czynu jest powszechną – a jednak nie wszyscy są na tym świecie czynnymi.

Podobnie powszechna jest zdatność do myślenia. Wyjątkowo ktoś skazany jest przez macoszą dla siebie przyrodę na niemożność myślenia; są to matolki, chorzy pewnego rodzaju itp., osobniki, które fatalnym a wyjątkowym trafem znalazły się poza liniami ludzkiego przyrodzonego rozwoju. To wyjątki, o których można by powiedzieć, że stwierdzają tylko regułę. Z reguły każde dziecko zdatne jest do rozwinięcia w sobie myślenia nie tylko spostrzegawczego, ale krytycznego (choć w stopniu niejednakowym). Nie bardzo przesadzę, jeżeli powiem, że każde dziecko mogłoby wykształcić się na umysł krytyczny, a jednak jakżeż mało ludzi przywykło do myślenia krytycznego!

A nie można nawet powiedzieć, żeby do tego byli na ogół niezdatni, bo gdy chodzi o bezpośredni interes osobisty, o niebezpieczeństwo, a zwłaszcza o stratę materialną, jakżeż odnajduje się nagle zdolność do orientowania się w zawikłanym nawet położeniu

i krytycznego ocenienia sytuacji i szczegółów jej! Powiadają, że do z bogacenia się nie potrzeba rozumu, wystarczy spryt. Właściwie znaczy to, że pewni ludzie używają daru myślenia tylko wtedy, gdy chodzi o bogacenie się, a zresztą pozwalają sobie pozostawać stworzeniami bezmyślnymi – ale nie sądźmy, że nie mają zdolności do myślenia! Zapewne, jeżeli się jakiejś władzy nie używa przez lat kilkadziesiąt, znajdzie się ona nareszcie w stanie zaniku. Gdyby ktoś przestał chodzić, chociaż mając nogi zdrowe, po latach nogi jego nie dawałyby sobie rady z chodzeniem; tym bardziej myśl, leżąca odłogiem, musi w końcu wyjałowić. Myśl używana jednostronnie stanie się nieczułą na inne podniety. Kupiec „najsprytniejszy” w swym sklepie, okaże się niezdatnym poza swym kramem. Jest to specjalizacja myśli. W zasadzie zupełnie to samo jak uczoneść ultra specjalisty, który zna się doskonale na ułamkowym złomku ułamkowej nauki jakiejś, a poza tym zdradza objawy braku prostej inteligencji. Ale czyż nie ma kupców naprawdę światłych, posiadających niemałe wykształcenie naukowe, artystyczne lub doświadczenie życiowe, które umieją przybrać doskonale w. kategorii teoretycznego myślenia? Czyż nie ma uczonych, tak w swej ultra specjalności tęgich, że mogą się popisać przed najbardziej ograniczonym specjalistą, a jednak ogarniających całość nie tylko przedmiotu swego, ale i całość życia?

Z powszechnej zdadności do myślenia powszechnie nie korzysta się. Oto całe zagadnienie! Podobnież powszechna zdadność do czynu pozostaje powszechnie bezczynną.

Nie wystarcza tedy zdadność sama, trzeba chęci, a raczej silnej woli korzystania ze zdadności, wyzyskania jej i wyćwiczenia. Obie one zaś mają to do siebie, że używanie ich przyjemnym z początku nie jest, bo polega na wysiłku, a to sprawia ból. Od myślenia boli głowa nieprzywykłego, a przy tym zabiera to czas, którego można użyć na łatwiej dostępne i na poczekaniu wypłacające się przyjemności życia. Żaden wysiłek nie sprawia sam przez się fizycznej przyjemności, i dlatego ludzie prymitywni go unikają.

Poprzez szereg nieprzyjemności, dotkliwych częstokroć, musi się wyrobić w sobie kulturę myślenia i kulturę czynu – tj. zdolność myślenia ciągłego, i zarazem czynności nieustannej – i wtenczas dopiero jest się człowiekiem myślącym i osobnikiem twórczym.

Stosunek myśli do czynu decyduje o kształcie życia, tak indywidualnego jako też zbiorowego. Jak bywają czyny bezmyślne, podobnie nie brak myśli bezpłodnych. Cała rzecz w tym, żeby skoordynować obie te dziedziny, żeby dążenia oprzeć o myśl dojrzałą, żeby nie było czynów bez dokładnego przygotowania się do nich, a myśl, żeby nie poprzestawała na badaniu przyczynowości, lecz – by była też celową, poszukującą dróg czynowi.

Kultura czynu polega na myśleniu według kategorii celowości. Nie ma tedy nic pożyteczniejszego dla narodu jak zastanawianie się nad jego celem i popularyzowanie tego toku myśli; pomnaża to bowiem zdatność do czynu. Przejmowanie się celem musi wieść do pragnienia, żeby cel spełnić, a więc w rezultacie do myślenia celowego.

Poznanie siebie samego stanowić musi pierwszy szczebel na tej drodze, a czyż trzeba rozwodzić się nad

korzyściami z tego płynącymi? Cel narodu nie może bowiem pochodzić z zewnątrz niego, spoza niego, lecz musi tkwić w nim samym i nuncę i wysnutym być jako wniosek, z jego zasobów i zdolności. Nie może naród żaden mieć celu spoza siebie, boć w takim razie cel ten byłby mu obcy, narzucony. Rzecz jasna, że cel musi być dobrowolny, z własnej wynikający ochoty, z własnego zaczerpnięty ducha.

Jak naród nie stanowi formy apriorycznej, jak narodowość nie jest siłą aprioryczną, tak też cel narodu apriorycznym być nie może. Mylnym było rozumienie „misji dziejowej”, jako celu wetkniętego narodowi z góry przez nadprzyrodzony porządek (przez Opatrzność). Żaden naród nie ma koniecznie celu, wszak, wolno mu żyć' życiem niepełnym, wegetować w granicach walki o byt. Można nawet w granicach tych wykonać niemały szereg „czynów historycznych”! Żaden naród nie musi wznosić się do celowości swego bytu; wolno każdemu poprzestać na przyczynowości, która działała w pewnym okresie czasu z pewnych ludów dany naród, a skoro już istnieje, więc dbać o zabezpieczenie istnienia, którą to drogą można dojść nawet do wielkiej potęgi. Celowość bytu narodowego stanowi ciężar, który się dobrowolnie nakłada na siebie, i który może być każdej chwili zrzucony.

Naród sam sobie swój cel oznacza. W różnych czasach może on być zmienny, a więc

tym samym stanowić może przedmiot badań historycznych. W danym zaś czasie mogą pojawić się rozmaite dążenia co do celu, wątpliwości co do jego wyboru lub odrzucenia, a zatem sprawa celu może stanowić przedmiot roztrząsania. Wszystko zaś, nad czym zastanawiać się można poważnie, może, a raczej winno stanowić przedmiot dociekania naukowego.

Dociekanie znaczenia i celu jakiegoś narodu nie jest tedy niczym innym, jak pogłębieniem badań nad właściwościami tegoż narodu; polega ono na ujęciu znanego i powszechnie uznanego zagadnienia naukowego w inną metodę. Biorąc rzecz ściśle, nie wprowadza się nowego przedmiotu, a tylko nową metodę.

Nasuwa się jedna jeszcze wątpliwość: czy przedmiot jest historyczny, czy też „historiozoficzny”, filozoficzny, a przynajmniej filozofujący (z czym łączy się podejrzenie dyletantyzmu...) – czy mieści się w granicach metody historycznej?

Za mojej młodości ostrzegano mię przed historiozofią jako przed zarazą, która może wyjąłować mózg frazesami i zmarnować zmysł historyczny w badaczu przeszłości. Zwracano też uwagę, że historiozofią nie trudnią się nigdy historycy, lecz rozmaici ochotnicy, historii nie znający. Uważano też „historiozofię” za filozofię historii, a więc każdy system filozoficzny mógł sobie, jeżeliby zechciał, mieć swoją historiozofię; jeżeli kto wymyśli nowy system, będzie też o jedną historiozofię więcej – a historyków nie będzie to i tak nic obchodzić. Dla historyka stanowiło to coś, co znajduje się poniżej jego godności naukowej; i patrzył na te zabawy dyletanckie z pobłażliwym, a nieco pogardliwym uśmiechem. Uczony historyk ma się ograniczyć do „przyczynowego związku faktów”; to też nie przyśniło się nikomu wyrwać historiozofii z rąk dyletantów filozofujących i spróbować, czym byłaby, gdyby ją oprzeć na metodzie historycznej.

Powiedziano niestety słusznie, że nauka polska stanęła w przedpokoju nauki niemieckiej⁵). Metoda historyczna niemiecka ma strony dobre, ale tyczą się one ciasnego zakresu dociekania szczegółów; wtem wymyślili Niemcy rzeczywiście kilka udoskonaleń metody; ale metoda ta, użyta do osądzania całości nauk historycznych, okazała się jak

⁵ wyrażenie lwowskiego profesora Szelałowskiego.

najbliższą, a przede wszystkim niewystarczającą, i już dla tej samej wady wiodącą na manowce. Jakoż zawiodła tam niejednego polskiego uczonego...

Wiedzie uczonego na manowce wszelka jednostronność, a historiografia polska przejęta się wyłącznie metodą niemiecką, nie próbując nawet uzupełnień ni korektur skądinąd. Nie zarzekając się niczego, co jest dobrego u Niemców, trzeba się strzec ugrzęźnięcia w ich metodzie, która opanowawszy polskie dziejopisarstwo, doprowadziła do skurczenia obszaru badań historycznych w Polsce. Niegdyś Leleweł roztrząsał dzieje narodowe na tle powszechnych, a warsztat jego naukowy sięgał od Rusi do Hiszpanii, ale potem zacieśniano się coraz bardziej. Byli jednakowoż zawsze wyjątkowi uczeni, którzy płynąc przeciw prądowi, woleli opierać się na metodach zachodnich, a przynajmniej uwzględniali je obok niemieckiej; faktem zaś jest, że tacy właśnie posiadają w swoim dorobku naukowym zawsze coś powszechno-dziejowego, rozprzestrzeniającego horyzont nauki polskiej.

Leleweł znał dokładnie wszelkie odmiany metod w nauce europejskiej, a dorzucał do nich i własny dorobek niepośledni metodyczny. Nie wahał się danej metody kształcić dalej własnymi pomysłami – i za najwyższą chwałę stanie mu fakt, że gdyby potem mniej było się prowadziło polemiki pośmiertnej z Lelewelem- politykiem, a za to, gdyby się było więcej uczyło od Lelewela-historyka, byłoby się zapewne doszło już do polskiej metody w naukach historycznych, tj. byłibyśmy wzbogacili metodę tę polskimi pomysłami na tyle, iż polski dorobek nadawałby jej cechę.

A należy się spieszyć z dostrojeniem się do szerszych przestrzeni historycznego myślenia, boć już tymczasem historia powszechna z europejskiej stała się naprawdę powszechną, obejmującą pięć części świata faktami coraz bardziej nie tylko splątanymi przyczynowo, ale też spełnianymi celowo, a faktami o doniosłości ogólnoludzkiej. Jeżeli nauka polska historyczna nie ma stanąć wobec najgroźniejszego dla nauki niebezpieczeństwa, a mianowicie pozostać w tyle poza rozwojem życia – musi się na nowo rozprzestrzeniać co do zakresu zagadnień podejmowanych, i to rozprzestrzeniać wielce. A samą tylko niemiecką metodą wydaje mi się to niemożliwym, bo umysłowość niemiecka nie chwyta należycie wątku powszechno-dziejowego; dokładna w ograniczonym ściśle

zakresie, potrafi nieraz nawet po, mistrzowsku zbadać i skreślić obraz dziejów danego narodu, każdego z osobna; ale gdzie zachodzą szwy łącznikowe pomiędzy dziejami jednego a drugiego narodu, tam słabnie, zmysł historyczny niemiecki, a często nie umie sobie wprost dawać rady.

Nigdy nie ograniczali się historycy polscy tak ściśle do tematów wyłącznie polskich (z największą dla historii polskiej szkodą oczywiście), jak w tym okresie ugrzęźnięcia w niemieckiej metodzie; pod koniec nie przekraczało się już niemal Polski etnograficznej, piastowskiej. A dzieje narodowe natenczas tylko przedstawić dadzą się należycie, gdy się je osadzi na tle powszechnych, choćby tylko na tle jakiegoś odcinka historii powszechnej.

Nie wszystko bowiem jednako jest powszechnym; związek pewnego faktu lokalnego ze stosunkami ogólno- * mi może być węższy lub ściślejszy, luźny lub istotny, jednostronny lub wielostronny. W zasadzie nie ma wydarzeń ściśle lokalnych w społecznościach cywilizowanych, bo przyczyną lub skutkiem wiążą się wydarzenia wszystkie ze stosunkami terytoriów sąsiednich (osad, rodów czy klanów, a tym bardziej tam, gdzie można już odróżniać gminy, miasta, prowincje), nie mówiąc już o wyższym stanie uspołecznienia, gdzie może zachodzić działanie celowe, które dotyczy obszarów tym rozleglejszych, im wyższe przyświecają mu cele.

W konstrukcji historycznej jest lokalizm właściwie tylko fikcją, mającą ułatwić pracę, podobnie jak np. w geometrii fikcja punktu i linii. Badacz, który lokalizm pojmuje w historii dosłownie i kontentuje się nim, jest nie historykiem, lecz tylko pracownikiem pomocniczym, przygotowującym materiał dla historyków. Metoda niemiecka zgrzeszyła właśnie tym, że wzięła za naukę samą to, co jest tylko środkiem naukowym.

Są trzy stopnie pracy historiograficznej i trzy szczeble metody. Na pierwszym chodzi o naukowe stwierdzenie i określenie faktu lub grupy faktów⁶).

⁶ Tu należą takie prace, jak np. dociekania, kiedy zaczynało w latopisach ruskich rok nowy; jaką mogła być polityka Krzyżaków w latach 1389 i 1390; jakie zajmował stanowisko który z inflanckich landmistrzów Zakonu (np. Plettenberg) wobec Prus, Litwy, Moskwy w pierwszej ćwierci 16. wieku; kwestia, czy pewien książę wydawał pewnego dnia gdzieś pewien dokument (np. Jerzy Światosławicz smoleński w Sandomierzu d. 22 maja 1386); bliższe zbadanie sprawy, jako to księciu twerskiemu zabrakło

Jest to seminaryjny stopień nauki historycznej. Niemieccy uczeni poprzestają na nim po większej części, to też z reguły uczeń początkujący różni się przy niemieckiej metodzie zasadniczo niczym od swego profesora, który, biorąc rzeczy ściśle, nie postąpił jakościowo ni kroku poza swoją niegdyś pierwszą pracę seminaryjną. *Difficile est satyram non scribere*, że coś podobnego zaszczepiało się w Polsce, i to do tego stopnia, iż wyklinało się takich, którzy odważyli się sięgnąć pracami swymi poza te kratki niemieckiej metody. Doprawdy, poczynała panować zasada: im więcej kto złoży dowodów ciasnoty, tym uczeńszy.

Zaznaczam z największym naciskiem, że ów seminaryjny stopień jest wprost niezbędny i że nie można nic a nic opuścić z jego wymogów; uznaję, że kto nie nabędzie znacznej biegłości w stwierdzaniu i określaniu faktów, nie może absolutnie być historykiem; ani też sam nie uważam za historyka nikogo; kto nie pracuje około zagadnień z tego pierwszego szczebla stale, ciągle, nieustannie; przestrzegam, że bez tego cała nauka zawisłaby w powietrzu, zamieniając się w krótkim czasie na indywidualne pomysły, złożone z dowolnych domysłów; uznaję, że właściwości metody niemieckiej czynią ją bardzo a bardzo dobrą do nauczania elementów pracy historycznej, ale chcę, żeby uczoność polska nie poprzestawała na biegłości w robotach seminaryjnych.

Drugi stopień dziejopisarstwa polega na poszukiwaniu przyczynowego związku faktów, co może obejmować znaczniejsze obszary i dłuższe czasy. Wymaga to gruntownego opanowania przedmiotu, ujmowanego wielostronnie, przy czym przejrzyste ugrupowanie wątku spraw dostępne jest tylko talentowi. Tego ostatniego przymiotu brak też najczęściej Niemcom, ale pomimo, to nie brak im wybitnych monografii i udatnych całokształtów. Zasadniczą wadą tych dzieł (nie mówiąc o wyjątkach), że nie dotyczą tych stron przedmiotu, które mieszczą się poza mechanicznymi objawami dziejów, tj. poza wątkiem wydarzeń, choćby powiązanych najsztudniej przedstawioną przyczynowością.

w Saraju w r. 1371 gotówki i jakie z tego wypłynęły następstwa pomiędzy Rurykowiczami; a czy Jerzemu Dymitrowiczowi odebrano gród Dmitrow w r. 1432, czy 1433? itp. – Dla uniknięcia nieporozumień, jakobym z kogokolwiek chciał sztydzić, zaznaczam, że przytoczyłem... swoje własne prace z lat rozmaitych.

Boć nauka niemiecka poprzestaje bądź co bądź na opisie faktów⁷).

Nauka nie może poprzestać na uprawianiu zewnętrznej szaty dziejów. W takim ograniczeniu objawy historyczne muszą być ujmowane w całość mniej więcej sztucznie, skoro materiał historii powszechnej bierze się mylnie za jej przedmiot. W najwybitniejszych dziełach niemieckich znać skutki tego pomieszania, wynikłego z grubego nieporozumienia.

Nie lekceważmy dorobku nauki; opartej na określonych tu dwu szczeblach metody, ale nie wahajmy się stwierdzić, że nauka musi się piąć wyżej. Pnie się zaś tylko poza metodą niemiecką, w dziełach uczonych włoskich, francuskich, angielskich; tudzież w takich niemieckich, które nie na niemieckiej wyrosły metodzie.

Za daleko zaprowadziłoby) nas poza temat niniejszego dziełka rozpatrywanie tych prądów naukowych; starczy zaznaczyć, że chodzi o to, jak pojmować historię powszechną, jaki cel badań historycznych, a więc pośrednio i o to, co ma stanowić kryterium naukowe historiografii – w czym zdania są podzielone. Należy czytelnika z góry uprzedzić, jak w tym dziełku kwestia ta jest traktowana.

Dzieje powszechne można będzie układać dopiero na tle walki cywilizacji i prób syntez cywilizacyjnych. Dopiero wtedy będzie można mówić o umiejętności badań historycznych (a nie o sztuce narracyjnej), bo zyska się podstawę porównawczą i będzie się wiedziało, co za cel tyłu dociekań na stopniach niższych, do czego przydatny cały ten materiał, który dotychczas sam sobie za cel uchodził.

Pojawia się wprawdzie gdzieś obok Historii jakowaś „historia kultury”, ale to tylko schowek niewyrobionych jeszcze naleźycie działów Historii; istny przy tym magazyn niemowlęctwa naukowego, bo z zupełnym brakiem metody. Cóż stanowi przedmiot tej nauki i na jakie kwestie poszukuje ona odpowiedzi?

Miejmyż otuchę, że na miejsce tej mętności wstąpi jasna nauka o cywilizacjach⁸,

⁷ Największy historyk niemiecki, Leopold Ranke, stawiał historii za zadanie „sagen, wie's halt gewesen”.

⁸ Erazm Majewski w pomnikowym zaiste swym dziele: „Nauka o cywilizacji” traktuje sprawę

jako wynik wszelkiej różnorodności dociekań historycznych, jako najwyższy szczyt Historii.

Jeżeli przy wznoszeniu się do tego szczytu nie obejdzie się bez wykształcenia filozoficznego, tym lepiej! Zawołać należy; „nareszcie”! Od dawien bowiem w licznych naukach uznano niezbędność takiego wykształcenia, jeżeli uczoney miał być przygotowanym do prac nad syntezą danej nauki; tylko w Historii było o tym głucho. Nie sądzę, żeby to było zaszczytnym wyjątkiem – sądziłbym natomiast, że brakiem tym da się wyjaśnić doskonale, dlaczego w Historii’ synteza tak okrutnie chroma, dlaczego nawet dochodziło do powątpiewań, czy ona tu w ogóle możliwa, a zdarzały się twierdzenia, że niepotrzebna!

Historia nie potrzebuje żadnej zgoła filozofii historii; ale historykowi filozofia przydatna, ażeby mógł wspiąć się na ten trzeci stopień swej nauki, gdzie nil humani a se alienum putans ogarnąć może wszystko, co ludzkie, we wszystkich cywilizacjach i zestawiać je porównawczo, a na odwrót oznaczać miejsce i stopień danego społeczeństwa w danej cywilizacji.

Walnym do tego środkiem będzie badanie znaczenia i celu danego społeczeństwa, w cywilizacji zaś chrześcijańsko-klasycznej: narodu.

Musi się więc badać metodycznie stosunek myśli do czynu, zdolność myślenia i kulturę czynu w danym życiu zbiorowym. Nie obniży się zapewne poziomu nauki historycznej, jeżeli się wskaże jej zadanie badania stosunku Logosu i Ethosu w życiu zbiorowym społeczeństw (narodów), kultur i cywilizacji. W tych dwóch terminach, posiadających w filozofii znaczenie tak ścisłe, zmieści się ściśle całość a całość ogrom badań historycznych. Logos i Ethos stanowią o wszystkim u człowieka i we wszelkich odłamach ludzkości. Ich wzajemny stosunek urabia stosunki ludzkie.

Rozum a wola, myśl a czyn, rozważanie a wykonywanie – oto granice pojemności człowieczeństwa. Ponieważ zaś kultura czynu wymaga myślenia według kategorii

cywilizacji ze stanowiska przyrodniczego. Traktując rzecz ze stanowiska historycznego, sądzę, że nauka o cywilizacji wymaga wprawdzie nauki o cywilizacjach.

celowości, rozum wtenczas dopiero pobudzi wolę do skutecznego wykonania zamierzeń, gdy zbadawszy przyczynowość oprze się na celowości, gdy myśl przejdzie do tej wyższej kategorii; inaczej bowiem skutki wykonania mogłyby zawieść, okazując się niezgodnymi z zamiarem, wywołując zjawiska mijające się z upragnionym celem, a nawet mu przeciwne. Myślenie celowe stanowi pomost od rozumu do woli, łącznik, Logosu z Ethosem, rękojmię harmonijnego ich związku.

Przeczylibyśmy przeto i istnieniu kategorii Logosu i Ethosu, gdybyśmy nie uznali, że naród może mieć cel, i to z własnego wyboru, z własnego popędu. A skoro możebną jest celowość narodu, otwiera się tym samym kwestia jego znaczenia pośród narodów, w obrębie danej cywilizacji.

Znaczenie pewnego narodu jest rezultatem jego kultury umysłowej, niektórych danych przyrodzonych (darów przyrody) i jego siły twórczej; wynika bowiem z tego, co i naród ten posiada i do czego jest zdolny, słowem z tego: na co go stać. Cel zaś, obrany spoza własnej walki o byt, pozostając w związku z bytem narodów innych, staje się przez to samo wykładnikiem stopnia i rodzaju powszechności sprawy tegoż narodu, tj. powszechnego interesu w jego istnieniu i rozwoju, przydatności jego innymi narodom. Oznaczenie sobie celu stanowi zarazem kryterium twórczości, bo wynika z jej rodzaju, kierunku, zamiłowania, a wkracza w dziedzinę nieistniejącego jeszcze Dobra, które wypada dopiero urzeczywistnić. To też siła twórcza pewnego narodu stanowi pomiędzy jego, kulturą umysłową a powszechnością czynnik stały, bez którego działalność umysłowa byłaby jałową, a znaczenie narodu wyłącznie lokalne, wobec powszechności nacechowane biernością. Bez siły twórczej nie ma ni kultury umysłowej czynnej, ni stanu czynnego wobec powszechności.

Rozdzielimy sobie przeto roztrząsania nasze na trzy części, w ten sposób, że nad twórczością polską zastanowimy się w części środkowej, a rozwiązanie powszechności sprawy polskiej przesuniemy do części trzeciej, żeby móc się już powoływać na pewne wyniki części drugiej; wstępem zaś do całego przedmiotu będzie określenie stopnia i rodzaju kultury umysłowej jako materiału, na którym oprzeć się musi wszystko inne.

Zaczynamy więc od kultury umysłowej polskiej. Zbierzemy jak najwięcej faktów

znamiennych, posługując się bezwarunkowo metodą indukcyjną, ażeby w następnych częściach operować czymś konkretnym, a nie pomysłami literackimi. Nie będziemy bujali po obłokach, lecz ziemi się trzymając, poddamy kulturę polską analizie.

Byliśmy i jesteśmy częścią cywilizacji łacińskiej, zachodnio-europejskiej. Określić dokładniej wielkość tej części – toć bodaj czy nie najpoważniejsze zadanie historyka; jest w tym i obrachunek dziejowy i korzyść niezawodna z zastosowania zasady „znaj siebie samego”.

Oznaczenie czyjegoś miejsca w dorobku ogólnym cywilizacyjnym dokonywać się musi według prawidła, że równą wartość kulturalną mają ci, którzy *caeteris paribus* okażą równe warunki. Wydatność pracy należy oceniać proporcjonalnie do możliwości, zawisłej od warunków i okoliczności. Chodzi o to, czy społeczność pewna jest w ogólnej grupie cywilizacyjnej biernym członem, czy czynnym, czy uznać ją wypada dłużnikiem czy też wierzycielem owego ogółu; to zaś zależy od stosunku wydatności udziału w dorobku cywilizacyjnym do minimum, czy też do maximum tego, co można wytworzyć w danych warunkach. Wartość kulturalna zawisła od stosunku możliwości do faktycznego dorobku.

CZEŚĆ I. KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział I. Historyzm a podkład ludowy.

1. Historyzm.

Kultura rodzi się z tradycji i tradycją żywi; tradycja jest kością pacierzową wszelkiej kultury. Do tradycji należy z przeszłości to tylko, co weszło w świadomość następnych pokoleń i wywiera ciągle wpływ na umysły. Do narodowej tradycji należą czyny przodków takich, którzy „*non omnes mortui*”, współpracują z żywymi dalej spoza grobu, a nawet nieraz przodują im, posługując się pokoleniem późniejszym jako wykonawcą swych pomysłów. Obcowanie pokoleń jest zasadniczym pewnikiem doświadczenia dziejowego; z czegoż ciągłość historyczna? Nie ma w tym nic mistyki, sprawa jest nader prosta, a zrozumie mię wlot każdy Polak, gdy dla przykładu powołam

się na fakt, jak to my wszyscy żyliśmy i pracowali pod wpływem Kościuszki i Mickiewicza, czyli tradycją kościuszkowską i mickiewiczowską.

Z faktów historycznych bywa tradycja bardzo nierównej długości czasu. Niektóra staje się stałą i wchodzi w samą istotę narodu tak dalece, iż naród ów przestałby być sobą, gdyby się jej wyzbył. Im więcej w historii faktów, nietracących pewnej aktualności dla późnych potomków, tym bardziej skomplikowaną staje się tradycja, i tym bardziej... krępuje kroki potomnych.

Takie krępowanie współczesności przez przeszłość, jeżeli współcześni poddają mu się świadomie i chętnie – nazwijmy historyzmem.

Tradycja może być bierną i czynną. Może stanowić motyw natchnienia artystycznego, rodzaj estetyzmu lub przedmiot kultu, z odcieniem nawet religijności w mniejszym czy wyższym stopniu, a jednak nie nakładać żadnych obowiązków realnych w życiu praktycznym, prywatnym czy publicznym. Może atoli być inaczej: tradycja może być czynną w dosłownym znaczeniu wyrazu, bo pobudzać do czynów, wywoływać je i nadawać im kierunek, może być sterowniczką życia praktycznego. Obok kultury tradycji pomieści się zupełna niezależność życia współczesnego- od niej (to swoją drogą, a tamto swoją), ale może również zachodzić zawisłość wyraźna. Stanowi to jeden z najciekawszych przedmiotów studium historycznego, dociekanie zawilego stosunku tradycji a współczesnego życia rzeczywistego w danym pokoleniu; jakżeż rozmaicie przedstawia się ta sprawa w rozmaitych cywilizacjach, w różnych czasach, u przeróżnych ludów. Badanie tej strony stosunków ludzkich wprowadza równocześnie i równomiernie tak do ogólnoludzkiego widoku człowieczeństwa, jako też do szczegółowych jego działów i poddziałów w czasie i przestrzeni; wiedzie i do chwytania rysów ogólnych i uczy zarazem orientować się ściśle w przebogatym zróżniczkowaniu ludzkości. Jest to jedna z najwdzięczniejszych zaiste dziedzin badań historycznych.

Historyzm opiera się na tradycji czynnej. Nie o to bowiem chodzi, czy się rozumie życie przodków, bo to kategoria naukowa; np. możemy rozumieć doskonale urządzenia starożytne faraonów, a jednak nie przyśni nam się przystosowywać czegoś z nich do życia dzisiejszego; chodzi właśnie o praktyczną doniosłość tradycji.

Historyzmu mogą być rozmaite rodzaje i stopnie, jakościowo, tudzież ilościowo. Nie wszystko w przeszłości było dobrem; co więcej, nie wszystko, co dobrem było w przeszłości, zostaje dobrym dla potomnych; są rzeczy i sprawy złe zasadniczo czy z pomyłki ludzkiej, i są rzeczy, które mogą być dobrymi lub złą, zależnie od okoliczności, a zwłaszcza od czasu i miejsca, które tedy z dobrych stać się mogły w toku czasów ziemi; tradycja ich przeto jest tradycją złą, i im czynniejsza, tym gorzej dla społeczeństwa. Niewszelka tradycja stanowi dodatnią pozycję w bilansie narodowym.

Uniknęłoby się niebezpiecznej tradycji zła, gdyby się nie posiadało tradycji w ogóle. Nie brak też doktrynerów, rządzących się w sprawach życia zbiorowego czystą logiką, jakby w geometrii, którzy odrzucają tradycję i w racjonalistyczny mniej lub więcej sposób snują programy społeczne, zdecydowani. rozpocząć nową erę ludzkości od daty... swego przyjścia na świat. Tacy, jedyni do burzenia, okazywali się jednak zawsze niedołączkami ostatniego rzędu, gdy trzeba było coś stawiać; stać ich było i jest jedynie na domki z kart i zamki na lodzie. Nie ma w nich istotnej kultury czynu, bo oni znajdują się poza wszelką kulturą, do żadnej ściśle nie należąc, należeć nie chcą, skoro zajęci są widokami wytworzenia nowej. Ale kultury nie improwizuje się; i nawet wtedy, gdy w toku dziejów ma powstać nowa, musi powstawać na podłożu dawniejszej, z niej się wyłaniając, inaczej nastaje stan akulturalny. Racjonalistyczni doktrynerowie, odrzucający tradycję, są też w społeczeństwie czynnikiem akulturalnym. Nie obarczą oni społeczeństwa niczym złem, zaczerpniętym z ujemnego historyzmu, ale zatrują je, a gdy uda się im wziąć górę, doprowadzą społeczeństwo do stanu nicości. Tradycja niewłaściwa wiedzie do szkód, ale brak tradycji jest niezawodną drogą do rozkładu, do nicości. Wszelki czyn twórczy musi należeć do pewnego systemu kulturalnego, a bez jakiejś tradycji (jakiejkolwiek) nie ma zgoła kultury. Czyny, zmierzające zasadniczo do wywrócenia wszelkiej tradycji, są anormalnymi wyskokami; stanowią w umysłowości to samo, co nowotwory w ciele, których nikt nie będzie uważał za objaw siły twórczej organizmu fizycznego, za objaw zdatności wzrostu.

Odrzucenie tradycji jest tedy czymś bez porównania gorszym od wszelakich możliwych ujemnych skutków historyzmu. Od szkód jego bronić się trzeba inną drogą,

a mianowicie bliższym zbadaniem jego właściwości.

Przerzućmy się teraz w roztrząsaniu tego przedmiotu do drugiego bieguna: przypuśćmy, że historyzm osiąga maximum, że wszystko a wszystko z przeszłości obróciło się w terażniejszości w tradycję czynną. Nietrudno spostrzec, że w samym takim przypuszczeniu popadamy w błędne koło. Skoro wszystko pozostaje nietknięte przez synów, stosujących się we wszystkim do ojców, zaciera się różnica pokoleń, nic się nie zmienia, a zatem... nie ma historii, nie może tedy być historyzmu. Zastój powszechny i całkowity sprawiłby, że zaginęłaby też sama zdolność wytwarzania tradycji, bo nie byłoby do tego pola po niedługim czasie. Gdzie nic a nic nie zmienia się, ustaje życie, zanika myśl, stępią się odczuwanie – a skutkiem tego zabraknie wreszcie wprost materiału, z którego mogłaby się wytwarzać jakakolwiek tradycja. Gdyby stan taki miał trwać przez szereg pokoleń, zjawić musiałyby się w końcu zmiany wsteczne, cofanie się, powrót do życia prymitywnego, do coraz prymitywniejszego. Kto wie, czy niejeden z tzw. „ludów dzikich” nie jest właściwie... zdziczałym, doprowadzonym do stanu „dzikości” przez wyłuszczone następstwa zbytnio przedłużonego zastoju.

Życie historyczne mieści się przeto w granicach pomiędzy odrzucaniem tradycji, a niemożnością posiadania jej, pomiędzy całkowitym bezwzględny naśladownictwem poprzedniego pokolenia, a zatraceniem związku z jego spuścizną. Historyzm powstaje pośrodku tych ostateczności.

W społeczeństwach, wiodących życie historyczne, tj. rozwijających się przez odpowiednie dla swej pomyślności zmiany (choćby w brew niekorzystnym warunkom), nie wszystkie przejawy życia zbiorowego przechodzą w tradycję; bywają bowiem i takie, które nie przetrwają nawet jednego pokolenia i giną; te zaś przejawy, które przechodzą w tradycję, niejednakowo długo bywają przez nią przechowywane, pielęgnowane. Tradycja przybiera w biegu czasów nowe pierwiastki, a gubi niejedne stare, podczas gdy niektóre, chociaż starsze, zachowuje. Tradycja bywa więc zmienną, ma też swą historię. Z uznawanej dziś tradycji ubędzie coś w następnych pokoleniach, może już w najbliższym, podobnie jak nie ma już w niej niejednego pierwiastka, który zajmował wybitne może miejsce w tradycji, uznawanej przez naszych ojców, dziadów, a tym więcej ubyło nam

zapewne z tradycji pradziadów – jakkolwiek obok tego pielęgnujemy nadal pierwiastki jeszcze dawniejszego pochodzenia. Gdyby diagramem przedstawić historię tradycji danego społeczeństwa, wypadłoby kreślić dużo linii równoległych o najrozmaitszej długości, a nadto zaczynających się i kończących w rozmaitych miejscach. Byłyby też w obrazie tym linie przerywane; zdarza się bowiem, że -pewien przejaw życia zatracą tradycję i odzyskuje na nowo w niej miejsce, porzucany i przywracany na nowo do życia. Tradycja zmienia tedy swoje kryteria. upodobania, swe pojęcie wartości, według którego rozdziela pochwały i nagany poprzednim czynom i stosunkom.

Chwałą i naganą, zawartą w tradycji, kieruje się historyzm, unikając powtórzenia się tego, co tradycja gani, starając się utrzymać, a nawet w danym razie przywrócić to, co uchodzi w tradycji za chwalebne. Życie współczesne obraca się w znacznym stopniu w granicach historyzmu, stosując do niego swe cele, wysnuwając z niego swe obawy i nadzieje.

Stopień napięcia historyzmu może być rozmaity, słabszy i mocniejszy, stosownie do doniosłości tych działań życia, zbiorowego, które pragniemy oprzeć na tradycji; drugorzędne już tylko ma znaczenie kwestia ilościowa, czy mniej czy więcej objawów życia zbiorowego usiłujemy sprząć z przeszłością i zachować przy żywym, aktualnym z nią związku, bo bardziej zaważy na szali historyzmu jeden dział, a zasadniczy, niż szereg spraw drobniejszych, nie posiadających rozstrzygające – goi wpływu na ustrój życia zbiorowego i prądy umysłowe danego pokolenia.

My tkwimy w historyzmie głęboko; od upadku państwa historyzm był naszą ostoją, a odzyskanie niepodległości pogłębia narazić jeszcze bardziej tę stronę polskiej umysłowości. Ileż to zawdzięczamy historyzmowi!

Pośród narodów odzyskujących niepodległość skutkiem klęski tych państw, które niegdyś Polskę rozebrały, my jedni dobijaliśmy się jej po wielekroć z orężem w rękę. Posiadamy żywą tradycję wolności i nieprzerwalność w snuciu wątku myśli państwowotwórczej, która nigdy stłumić się nie dała ani najcięższym nawet uciskiem. Posiadamy również nieprzerwalność własnej kultury narodowej, którą doskonaliliśmy bez przerwy nawet w niewoli. W dziejach polskiej myśli nie ma luk; nie ma w historii

polskiej żadnego okresu zaniku polskości (czym różnimy się od wszystkich innych Słowian. Historyzmowi obecnie nie chodzi o budowę życia narodowego w ogóle, lecz tylko o uzupełnienie go własną państwowością, która to strona życia polskiego przechodził z dziedziny teorii w praktykę codziennego doświadczenia, mając się tym właśnie doświadczeniem doskonalić.

Niepodległość stanowi podstawę naturalną życia zbiorowego w narodzie. My o tym wiemy coś więcej niż inne narody, i zdajemy sobie sprawę, jak nienaturalnym było nasze życie w ciągu dziejów porozbiorowych. Działaliśmy i rozwijaliśmy się pomimo braku 'własnego państwa – ale było to jakby w gorączce, a nadto jakżeż nierównomierne. Są bowiem dziedziny życia zbiorowego, dostępne w praktyce tylko dla narodów posiadających niepodległość. Teraz wiele rzeczy zejdzie z wyżyn poezji na niziny życia powszedniego, bo będą nam potrzebne na każdym kroku, do użytku codziennego, a nie tylko dla „pokrzepienia ducha”.

Co było ideałem: państwowość polska – ziszcza się. zamienia w rzeczywistość. Wszelkie zaś urzeczywistnianie myśli pociąga za sobą sporo rozczarowań i wynikających, stąd przykrości, a mianowicie dlatego, ponieważ historycy, statyści, a tym bardziej tzw. politycy aktualni ulegają ciągle złudzeniu, jakoby wprowadzanie czegoś w czyn mogło się dokonać, gdy rozporządza się siłami, jakie teoretyczne uprzednie rozważenie przedmiotu uznało za stosowne i dostateczne. Jest to mylne zapatrywanie. Zachodzi tu jeden z tych wypadków, w których świat fizyczny i duchowy podlega temu samemu prawidłu. Fizycy, mechanicy poznali je już od dawien, jako tzw. „tarcie”, które uwzględnione być musi przy budowie każdej maszyny i przy najprostszyc zabiegach mechanicznych jednakowo. Lina, mająca wytrzymać napór x , musi być dobrana spośród takich, które według teoretycznych prawideł fizyki zdolne są podołać naporowi $2x - 5x$, stosownie do okoliczności; po większej bowiem części w praktyce marnuje się na „tarcie” znacznie więcej energii, niż jej pochłania właściwa praca. Mechanik, który by tego nie wiedział, byłby zdalny tylko do psucia robót, chociażby był znakomitością w zakresie fizyki. Otóż życie podlega również takiemu prawu „tarcia”, które występuje w całej jawności dopiero w miarę, jak się urządza państwo niepodległe.

Nasi statyści wiedzieli jasno, jakim państwo być winno; nieobcym im nawet było znawstwo sił, przy urzędzaniu państwa potrzebnych. Śmiem nawet twierdzić, że przedmiot ten był wśród inteligencji polskiej dość spopularyzowany. Ale z „tarcie” zapoznać nas może dopiero praktyka i na to nie ma rady. Zawody i szkody, pochodzące z nieuwzględnienia tarcia, czy też choćby z nieumiejętnego uwzględnienia go, są przeto koniecznością nieuchronną. Trzeba przecierpieć kurs nauki o „tarcie”.

Tymczasem jednak doznawane zawody wpływają deprymująco na psychikę narodową. Im bardziej spopularyzowane były wyobrażenia o tym, jak to państwowość polska zerwie z wadami wybujałymi w „państwie nowożytnym”, im wyżej ku ideałom sięgały nadzieje, że polski ustrój państwowy będzie idealnym – tym większy ból rozczarowania. Czyż państwo nasze takie, jakim jest w rzeczywistości powszedniego z nim obcowania (z biurokracją!), jest w czymkolwiek podobne do tego marzenia, za które cierpiano przez całe pokolenia?!

Oto obok ogólnego europejskiego przygnębienia jeszcze specyficzne przygnębienie polskie...

Przeczulenie chorobliwe, czy co?! Skąd takie pomieszanie kwestii ideowych z tym, co musi być na wskroś realnym, z państwem?... zapyta „polityk”. Odpowie mu historyk: a czyż Historia nie dostarcza mnóstwa dowodów, że kwestie ideowe są właśnie najrealniejszymi (choć nie zwykli się nimi zajmować historycy niemieccy)? Czyż nie od idei zawisł kształt życia realnego?

U każdego narodu, nie tylko w Polsce, łączy się na pewnym stopniu rozwoju ambicja polityczna z popularnością pewnych haseł niepolitycznych, mających służyć polityce za podkład polityczny i za jej wytłumaczenie. Nawet Prusacy usprawiedliwiali sami przed sobą politykę swą wobec ościennych tym, jakoby ich cywilizowali („kulturtraeger”); nawet prusactwo tedy miało swój „romantyzm polityczny”.

Pierwiastki tego objawu znajdują się wszędzie a wszędzie w cywilizacjach opartych na religiach uniwersalnych, bo dobre czy fałszywe zrozumienie takich religii, choćby nawet przekręcanie ich istoty, wiedzie do tendencji propagandystycznych, które tak głęboko tkwią w umysłach, iż nawet objawy najgrubszej walki o byt osłania się osłonkami

pseudo propagandy jakiejś, gdyż tylko religie lokalne lub plemienne udzielają sankcji gnębieniu innych ludów jako wyznawców „cudzego boga”, w imię „swojego boga”. W chrześcijaństwie nawet taki, który postępuje wbrew niemu, wysilać się będzie na wynalezienie jakiegoś ogólnoludzkiego motywu na pokrycie swego postępowania.

Najgłębiej sięgnęły pierwiastki tego objawu w ducha narodu polskiego, a rzecz samą ujęto nader wielostronnie, dotykając stron ignorowanych u innych narodów, mianowicie względów etycznych. Chodzi oczywiście o etykę życia zbiorowego, a więc o kategorię, z którą inne narody nie mogąc sobie dawać rady, rozprawiły się radykalnie, zaprzeczając zgoła jej istnieniu. Podczas gdy cała Europa uznała, że polityka nie ma związku z moralnością i mieć nie może, my w XIX. nawet wieku nie opuściliśmy średniowiecznego, wiecznego marzenia. Ci, którzy każą nam się wstydzić tego, płytko myślą. Doskonałości nie osiągnie się wprawdzie nigdy, ale doskonalenie się jest pomimo to obowiązkiem. Wieczne marzenie naprowadza na coraz właściwsze drogi ku doskonaleniu się, kiedy zaniechanie marzeń może stanowić najgłębszą przyczynę cofania się i upadku. Idealny cel, im goręcej wyznawany, tym niezawodniej naprowadzi na środki realne.

Jeżeli przez „romantyzm polityczny” rozumieć usiłowania skierowane poza bezpośrednią korzyść i poza interesy bezpośrednio własne, usiłowania ku wzmożeniu dobra powszechnego – w takim razie ów nasz „romantyzm” datuje doprawdy jeszcze z wieków średnich.

Na soborze w Konstancji występował w r. 1417 rektor uniwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowic z Brudzewa w obronie pogańskich ludów, w obronie swobody wiar, choćby pogańskiej wiary nawet. Potem nie przyjęła Polska mandatu kurii rzymskiej do opanowania husyckiego królestwa czeskiego, a sił swych używała na wspieranie Litwy w jej wojnach wschodnich i wplątała się w wojny z krajem, z którym nie stykała się całkiem, z Moskwą. Nastawiała głowy za innych Turkowi. W ziemiach ościennych propagowała wolności obywatelskie, do równości pociągała tych, nad którymi mogła być panować. A gdy sama utraciła niepodległość, gdy nikt za nią nie ujął, walczyła „za waszą i naszą wolność”. A gdy ledwie poczyniała państwem być na nowo, zakładała ościennym

państwa niepodległe krwią własnych synów, własnego panowania możliwość uszczuplając... Czyż nie można by streszczać historii polskiej w ten sposób? „Romantyzm” bardzo stary, a bez końca!

Chcieliśmy zawsze czegoś ponad współczesność, a czyż dziś nie jest tak samo? Chcieliśmy zawsze nie tylko mieć korzyści, ale też być pożytecznymi. Nie pojmowaliśmy zaś pożytku nigdy poza uczciwością. I oto, co tkwi na dnie polskiego historyzmu: poszukiwanie etycznego ustroju życia zbiorowego. Nie nasze pokolenie to wymyśliło, ale stare to dziedzictwo; im zaś starsze, im więcej pokoleń tęsknoty nas obarczają, tym cięższe nasze obawy i tym większa przykrość, żeśmy dalecy od celu. Historyzm nasz źródłem z naszego obecnego przygnębienia.

Postulat etyczności życia zbiorowego stanowi cechę istotną polskości, tj. taką, bez której polskość się nie obędzie, boby przestała być sobą. Jak wszystko, co ludzkie, ma też i ta zaleta, tak wysoka, swe strony słabe, pociągając za sobą nieraz następstwa niepożądane, zwłaszcza gdy się nie ma siły do zmuszania innych, by się również liczyli z etyką. I bywaliśmy tyle już razy „mądrzy po szkodzie”, a jednak „romantyzm polityczny” zażegnany w jednym kącie spraw polskich, wyłania się gdzieś w drugim i opanowuje umysły. Teraz np. zamiast, żeby ogół powiedział sobie, że niechby sobie państwo polskie było jak najgorsze, byle było, i oddawać się bezwzględnej radości z tego, że ono jest – my smucimy się nad ujemnymi stronami naszej państwowości, przekonani, że państwo polskie jest od tego, żeby być lepszym od innych. Teraz, skoro mamy własne państwo polskie, wszystkie polskie ideały muszą się urzeczywistnić – tak rozumuje przeciętny inteligentny Polak.

Różnica kapitalna od tyłu innych narodów! Niechże kto wyliczy Ideały, przyświecające rozmaitym państwom europejskim – i potem sięgnie w polską umysłowość, a znajdzie się w jednej chwili jakby w innym świecie.

Odmiennosc ta stanowiła często szkopuł dla badaczy sprawy polskiej. Wszak zaczęto się zabierać z największą powagą do zmienienia charakteru narodowego, żeby wypełnić ów „romantyzm polityczny”. Kazano płakać nad historią polską, że nie było w niej Fryderyków, Mikołajów i Bismarcków... Czy słuszność mieli, nie mając Bismarckowi

nic innego do zarzucenia, jak tylko to, że nie Polakiem był, czy też błędzili zasadniczo, próżno się o to spierać; mnie chodzi o to, jako doświadczenie uczy, że nie ma takiej siły, która by nas mogła oduczyć łączenia z polityką etyki. Skoro nas tego nie oduczono w niewoli, tym mniej obecnie.

Zamiast doktrynerskich zabiegów o przystosowanie charakteru narodowego do jakiejś z góry powziętej formuły (a zaczerpniętej ze studiów nad historią niepolską), lepiej będzie zastanawiać się nad tym, jak z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne.

Nasza polska metoda polityczna może się okazać wcale nie gorsza od innych, jeżeli się ją należycie urobi, ukształci, ażeby mogła być nie tylko ogólnikowym wyrazem pewnego kierunku, ale. narzędziem politycznym. Polskie poglądy na życie zbiorowe rozwijały się poza państwem, w okresie porozbiorowym, w wieku XIX, kiedy powstawały i wyrabiały się właśnie nauki socjologiczne w Europie. Byliśmy, jakoby fizycy lub chemicy, oddani z zapałem badaniom naukowym, lecz pozbawieni własnego laboratorium. Stąd niedomagania. Wiedzieliśmy, do czego zmierzamy, lecz poza ogólnym wskazaniem kierunku daleko nam było (i jest) do ścisłego określenia dróg; znaliśmy cel, lecz w doborze środków szwankowaliśmy, szliśmy zawsze na niepewne, padaliśmy (i padamy) ofiarą pomyłek. Mylnym atoli jest wniosek, jakoby wina spoczywała w samej zasadzie polskiej; zło tkwi w niedostatecznym jeszcze opracowaniu metody. Jeszcześmy dyletanci! Historycy, statyści, prawnicy, uczeni nasi powołani zaś są nie do tego, by kontynuować próby przerobienia nas na jakiś dziwny naród myślący nie po swojemu, żebyśmy porzucili polskie poglądy, lecz do tego, by polską metodę myślenia uzupełnić odpowiednią metodą działania. Ogólnikowe rzuty myśli trzeba wykształcić w ściśle ujęty system, a luźne porywy zamienić na szczegółowo obliczony mechanizm wykonawczy.

My pragniemy być współtwórcami nowego okresu dziejów, żywymi członkami społeczności narodów cywilizowanych, spragnieni pozyskać sobie zasługi około postępu cywilizacji w ogóle, a cywilizacji życia zbiorowego zwłaszcza. Niepodległość stanowi dla nas środek do tego właśnie celu. Żadną miarą nie zdołalibyśmy poprzestać na roli biernych przetwórców cudzych dzieł do własnego użytku; my chcemy sami być twórcami, a z dzieł cudzych korzystać drogą wzajemności, mając też własne do rozpowszechniania

na cudzy pożytek. Powszechność czynna, europejskość myśli i pracy twórczej – to nasz żywioł. Z zasług naszej cywilizacji około ogółu narodów pragniemy wysnuć swe znaczenie. Nam bowiem potrzebne jest wewnętrzne przeświadczenie, żeśmy warci niepodległości, że wznowienie państwa polskiego potrzebne jest dla ogółu narodów miłujących wolność i dla zupełności pracy cywilizacyjnej.

Takie ujęcie ambicji narodowej, tkwiące głęboko w duszy polskiej, nie jest częścią frazeologią „romantyczno-polityczną”, gdyż wie, że ono do zadania sobie pytania, czyśmy przygotowani należycie do spełnienia tak wielkiego obowiązku. Polak nigdy a nigdy nie ograniczał się do wywodów swych praw w Europie, lecz zawsze czuł się do obowiązków wobec Europy i myślał o tym, jak je spełni, gdy nabędzie do tego możliwości. Są tego ślady nader liczne a wymowne w piśmiennictwie polskim, w filozofii polskiej, w poezji niemieckiej. Wiedzie nas to do pewnej surowości względem samych siebie, do coraz większych wymagań od siebie samych, do ciągłego doskonalenia siebie. W ten sposób to, co wielu wyda- je się z pozoru niebezpieczną pretensjonalnością, może stać się najlepszą ręką skromności, szkołą nieustannej wyteżonej pracy nad sobą, połączonej z ciągłym badaniem własnej indywidualności, z nieustanną autokrytyką. Pogląd na sprawę jasną, związany w myśli polskiej ze sprawą powszechną, prowadzi przez prostą konsekwencję z jednej strony do studiów obejmujących coraz szersze horyzonty świata z drugiej zaś strony wymagać będzie badania siebie samych, roztrząsania naszego bilansu duchowego, moralnego. Tego rodzaju pojmowanie własnej narodowości wie, że nieuchronnie do wniosku, że należy w pierwszej kolejności spełniać obowiązki, zanimby się można było odwoływać do praw, należnych nam od ogółu narodów.

Im mocniej pożądamy europejskiego dla polskości miejsca, tym mocniej kołatać muszą w nas pytania, czy zdołamy, czy podołamy, czy się nie łudzimy, czy nie ulegniemy nadmiarowi związanych z naszym bytem spraw i zadań, czy nie przypisujemy Polsce wartości nadmiernej? Czy Europa traciła coś istotnie na tym, że nie było w niej przez półtora niemal wieku państwa polskiego, i co zyskuje na przywróceniu go? Czy słuszność tylko, czy też także interes Europy wymaga, żeby popierano nasze interesy w pewnym kierunku i w pewnej mierze? Czy Polska posiada wartość dla innych i jaką? czy da się to

określić ściśle, nie po literacku, lecz naukowo? A z tego dociekania konsekwentne dalsze: Czy stosunek nasz do Europy da się oprzeć na tym, do czego jesteśmy zdolni, tj. na naszej użyteczności? A czyż to kwestia tylko dzisiejsza? Jakim był stosunek nasz do Europy pod względem politycznym i kulturalnym? czy byliśmy biernym tylko uczestnikiem kultury europejskiej, czy też umieliśmy sami jej przynosić i doskonalić ją? Czy stanowimy tedy część istotną Europy – i jakież nasze dla niej znaczenie?

Wątpliwości, nurtujące obecnie duszę polską, niechaj się zamienią na badania i roztrząsania naukowe, poświęcone nauce o państwie.

Z góry można powiedzieć, czym nauka ta będzie się odznaczać w Polsce. Sam zakres jej będzie odmienny, niż u innych narodów, a godzi się przypuścić, że z czasem rozpowszechni się polska metoda traktowania tej nauki.

I w powstaniach XIX. wieku i obecnie w wojnie tej powszechnej my dobijaliśmy się czegoś więcej, niż niepodległości, która nigdy nie była dla nas celem ostatecznym, lecz środkiem do celów jeszcze dalszych. Chcieliśmy i chcemy zająć na nowo nasz posterunek historyczny wśród, narodów Europy, ażeby pracować około rozwoju nowego okresu dziejowego. My nie potrafimy być biernymi, my musimy działać na tle europejskim; bez tego nie ma dla nas życia, bo dla nas życiem tylko pełnia życia. W tym najwyższy i najczulszy szczebel ambicji narodowej polskiej.

Jak wszystko ludzkie, ma i to strony ujemne, można też ponieść z tego niejedną szkodę. Grozi to wyrywaniem się, zapędzeniem, rozmachem, kiedy rozsądek powiada, że im więcej ruchów, tymi więcej sposobności do guza... Rozsądek stanowi część rozumu poważną, ale bądź co bądź część tylko.

Patrzmy na najrealniejszą rzeczywistość, przemawiającą faktami z sytuacji międzynarodowej, jaka wytworzyła się niemal natychmiast po upadku państw rozbiorowych. Czyżby to było wykonalne, żeby zamknąć Polskę ściśle w granicach piastowskich? Tylu wrogów stara się o to z całych sił, zabiega o to największa międzynarodowa potęga (żydostwo), nie brak w Londynie chęci do jak największego

uszczipienia granic polskich.⁹

lecz choćbyśmy mieli przejść przez piekło za życia, ostatecznie uszczipienie Polski okaże się niewykonalnym. Względy i potrzeby międzynarodowe prą do tego, by Polska była mocarstwem.

Siły znaczniejsze i wyższe nad siły jednego narodu, stosunki ogólnoeuropejskie nadają sprawie polskiej znaczenie europejskie i stanowi to... europejską konieczność. Działa tu siła dziejowa, potężniejsza ponad wszelki opór, jaki byśmy jej stawić mogli. Gdybyśmy chcieli być państwem biernym, neutralnym, którego celem jedynym zapewnienie sobie bezpiecznego istnienia, gdybyśmy sami usuwali się na drugi plan w polityce powszechnej, przestalibyśmy istnieć w ogóle po niedługim czasie. Próbowaliśmy już raz skromnego wycofania się na stanowisko państwa drugorzędnego, usunęliśmy się za czasów saskich do zacisznego kąta – i doczekaliśmy się rozbiorów. Utrata ponowna niepodległości czekałaby nas niewątpliwie, gdybyśmy zdecydowali się prowadzić politykę nie- mocarstwową. Kto nie spełnia swego powołania, podrywa sam korzenie swego bytu. Zresztą, ponieważ w tym miejscu, gdzie znajduje się Polska, potrzebne jest ze względów geografii politycznej, a więc ze względów od woli naszej nawet niezależnych, mocarstwo potężne, a więc ono tu być musi; jeżeli nie chciałyby być nim Polska, musiałyby stać się nim jakieś inne państwo na miejscu Polski, a zatem: państwo Polskę zagarniające i pozbawiające ją niepodległości. Na to nie ma sposobu. Miejmy otuchę, że wystarczy nam lekcja jednorazowej utraty niepodległości, i że nie narazimy się na to powtórnie. Kurczenie wszelkie polityki polskiej prowadzi i prowadzić musi do tego niebezpieczeństwa, ponieważ położenie Polski w Europie jest tego rodzaju. Zachodzi tu vis maior.

Musimy zmierzać na nowo do pozyskania mocy, jaką posiadaliśmy niegdyś. Musimy przyszłość naszą nawiązywać do przeszłości i trwać przy historyzmie. Chociażbyśmy sami byli mu nieradzi, najrealniejsze stosunki popchnęłyby nas na tę

⁹ Pisano w pierwszej połowie sierpnia 1920.

drogę. Ponieważ sprawy nasze nie dadzą się żadną miarą oddzielić od spraw narodów ościennych, więc najoczywistsza rzeczywistość dokoła nas wywiera tu wpływ tego rodzaju, iż gdybyśmy wyrzekli się historyzmu, zeszlibyśmy na stanowisko podrzędne, staczając się po równi pochyłej do rzędu igraszki politycznej w ręku ościennych, którzy musieliby naśladować nasz historyzm choćby przeciwko nam, naśladując go bodaj tylko zewnątrz (boć do istotnego naśladowania trzeba by przygotowania długich pokoleń). Gdyby Polacy zaniechali praktycznego stosowania swego historyzmu, wymyśliliby je ościenni.

Historyzm polski, toć federacja. W. jakiej formie? Będzie o tom mowa niżej, że niekoniecznie w formach roku 1569 (unia lubelska) musi się mieścić historyczna myśl polska. Nic można po doktrynersku chwycić się w imię historyzmu pewnej formy z przeszłości, gdy chodzi o wznowienie dawnej myśli w nowych okolicznościach – i gdy samaż myśl wymaga uzupełnień. Czyż idee mają być pozbawione postępu? czyż skamieniałość ma stanowić kryterium doskonałości w zakresie idei historycznych? Nie! one także muszą rozwijać się.

Nie należy też rozumieć historyzmu polskiego, jako nawrotu nieodmiennego do granic z r. 1772. Historyzm, to coś bardziej skomplikowanego, niż taka formułka graniczna, mająca być raz na zawsze, i od wszystkiego. To tylko symbol, którego interpretacja zależy od czasu i okoliczności; kto by rozumiał hasło „granic roku 1772” literalnie, byłby doktrynerem, nie umiejącym zastosować w praktyce danej ogólnikowej formuły. Chodzi o to, ażeby na równinie sarmackiej było jak najmniej granic państwowych, i żeby wykluczoną była możliwość wojny pomiędzy państwami tej równiny, z zachowaniem jednak wolności wszystkich. Oto historyzm polski, a nie pewna linijka na mapie! A nużby w danych okolicznościach lepiej było inaczej wytyczać granic mocarstwa polskiego? Nużby się okazać miało, że np. lepsze pół Śląska, niż dwie Ukrainy?¹⁰ Nużby wypadło użyć

¹⁰ Wyrażenia tego użyłem po raz pierwszy przed laty dwudziestu. Dla uniknięcia nieporozumienia dodaję, że Wileńszczyznę zaliczam do Polski etnograficznej (wiadomo każdemu geografowi, jako granice etnograficzne są zmienne).

energii narodowej w kierunku południowym aż na Bałkan?

Nie piszę broszury politycznej, wskazuję tylko po akademicku możliwość dążenia do celu niekoniecznie za pomocą linii roku 1772. Ostrzegam przed doktrynerstwem w historyzmie, bo doktryneryzm oddala od celu, a nie zbliża do niego; to nie latarnia, oświecająca drogę, lecz błędny ogień. tym bardziej zaś należy tępić ślepe doktrynerstwo, im bardziej pewnikiem jest, że albo podołamy zadaniom naszym historycznym, albo zejdziemy znowu z mapy politycznej... Wypadło nam być albo mocarstwem, albo w najlepszym razie tolerowanym trabantem któregoś z państw sąsiednich, z niezawisłością tytularną, z łaski, aż do odwołania. Taką jest sytuacja Polski zasadnicza, nie dająca się odmienić.

Zamiast tedy odwozić rodaków od wielkich szlaków polityki powszechnej, lepiej starać się o to, by rozszerzone były w Polsce wiadomości i rozmnożone talenty, potrzebne do prowadzenia takiej polityki w sposób roztropny. Błędy popełnione przy robocie nie uprawniają do wniosku, żeby przestać pracować!

Często spotkać się można z zarzutem, czy nie za wiele w nas historyzm? I z obawami, że skutkiem zbytnej jego przewagi nie zdołamy być społeczeństwem nowożytnym, zdatnym do politycznej i ekonomicznej walki o byt w nowoczesnym współzawodnictwie państw i narodów.

Jeżeli historyzmowi nazbyt, toć przez konsekwencję musiałoby być w Polsce niewiele podkładu ludowego. Przyjrzyjmy się z kolei tej sprawie.

2. P o d k ł a d l u d o w y .

„My wszyscy z chłopa” – słyszy się na każdym kroku, jako spopularyzowany „pewnik” historyczno-socjologiczny. Doktryna o rzekomym wspólnym pochodzeniu wszystkich stanów od ludu wiejskiego wytworzyła się, niby jakieś wynagrodzenie ludowi za to, że bywał tak długo zaniedbywany w społeczeństwie; przesadne ocenianie znaczenia ludu w narodzie ma niejako stanowić zwrot, chociaż spóźniony, należnych mu zaległości. Doprowadziło się do tego, że na sto osób z inteligencji dziewięćdziesiąt dziewięć gotowe

przysiąc, że na początku byli sami chłopci, a wszystkie inne warstwy społeczne powstały z ludu przez następne dopiero różniczkowanie. Ów wiek złoty, aurea prima aetas, to jakiś okres chłopski.

Dawniejszy przesąd o pochodzeniu szlachcica od Jafeta, a włościanina od Chama, nie był rozpowszechniony tak ogólnie, ni zakorzeniony tak głęboko, jak dzisiejszy przesąd, że nie byłoby narodu, gdyby nie było ludu wiejskiego; przesąd, jakoby lud wiejski stanowił źródłisko narodu.

W takim razie ludność Stanów Zjednoczonych albo znajduje się ciągle jeszcze w jakimś okresie przedwstępnym chyba do przedhistorycznego, albo popadła w stan niedorozwoju społecznego – boć tam nie ma ludu wiejskiego. Chłopa tam nie ma, ani też nigdy nie było – a gdy przybyły z Europy włościanin osiedli się tam na stałe, „chłopem” być przestaje. Stany najwybitniej nawet rolnicze nie posiadają ludu wiejskiego. Podobnie mają się rzeczy w rolniczej Australii. Fakty nam współczesne stwierdzają, że kraje rolnicze mogą się doskonale obchodzić bez „chłopa” – a zatem nie jest to prawdą, jakoby chłop był prawarstwą wszelkiego społeczeństwa.

Geneza społeczeństw była rozmaita. Geneza społeczeństwa polskiego jest szlachecka. W Polsce szlachcic stanowi warstwę najstarszą, pierwotną, bezwarunkowo starszą od ludu wiejskiego.

Niemieccy osadnicy nazwali staroniemieckim wyrazem „slahta” ludność rodzimą polską, której cechą była organizacja rodowa; wyraz „slahta” znaczy bowiem dosłownie to samo, co „rodowcy”. Przybysze/zorganizowani tylko na podstawie sąsiedztwa w gminy dostrzegli w organizacji rodowej zasadniczą różnicę tuziemców od siebie samych. Ponieważ organizacja rodowa sięga czasów przedhistorycznych, ród zaś uzupełniał się tylko przez urodzenie (adopcja herbowa lub familijna, to sprawy znacznie późniejsze), należy przyjąć, że wszyscy rodowcy okresu piastowskiego są potomkami autochtonów

z czasów przedhistorycznych.¹¹ A czyż autochtonowie mogą popaść gromadnie¹² we własnym kraju w stan ograniczenia wolności osobistej lub rzeczowej? Musiałby wydarzyć się jakiś szczególny fakt historyczny, który by można było wskazać wyraźnie, jako przyczynę takiego dziwu, a którego w polskich dziejach nie było.

Tylko' obcy stają się niewolnymi. Nigdzie niewolny nie bywa jednego pochodzenia etnograficznego ze swym panem; dopiero w dalszym pokoleniu może się zasymilować.

Pierwotnie jedynym źródłem niewoli była w Polsce niewola jeńców wojennych, osiedlanych w osobnych osadach pod grodami, z zajęciem przymusowym na rzecz grodu, czyli tzw. narokiem. Narocznicy należeli do organizacji państwowej (grodowej) jako niewolnicy książęcy, lecz nie należeli do społecznej. To też gdy runęło państwo po katastrofie Mieszka II., a w społeczeństwie ulic było dla nich miejsca, musieli je zdobywać sobie gwałtem; – ale skoro tylko przywrócono władzę państwową (Kazimierz Odnowiciel), nastął spokój.

Kiedy w XII. w. rozpręgła się ekonomiczna forma organizacji rodowej, tzw. wspólnota rodowa, a rozwinęła się własność indywidualna, osobista, nastąpiła potrzeba niewolnika prywatnego jako siły roboczej. Kupowano go u Żydów. Niewolnicy prywatni nie byli jednak parobkami, pracującymi według wskazówek i planu gospodarskiego właściciela. Wszak nie znano jeszcze gospodarstwa folwarcznego. Pan wydzielał niewolnemu kawał ziemi, żeby na niej gospodarował (łowami, rybołówstwem, bartnictwem, rolnictwem), a pozostały po wyżywieniu rodziny niewolnej plon przypadał właścicielowi. Z czasem określano dokładniej ilość należnych każdej stronie plonów, oznaczano ściślej, coraz ściślej, wzajemne prawa i obowiązki. Nigdy nie istniała w Polsce niewola w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, tj. stan nie dopuszczający zasadniczo posiadania praw żadnych.

¹¹ „Wszyscy” w znaczeniu reguły, której nie obalają wyjątki, które są zresztą stosunkowo zbyt nieliczne, by o nich mówić w pracy, nie poświęconej specjalnie temu przedmiotowi.

¹² Wypadki indywidualne nie należą tu do przedmiotu; chodzi tu wyłącznie o gromadność, stanowość.

Rzecz prosta, że Żyd nie mógł w danym kraju handlować tuziemcami, lecz tylko sprowadzanymi cudzoziemcami (w olbrzymiej większości ze wschodniej Słowiańszczyzny). Ci polszczyli się po pewnym czasie i w ten sposób powstały u nas dwie warstwy rolnicze, pracujące własnymi rękoma na roli: reszta pozostałej w rodowych wspólnotach ludności wolnej, „rodowej”, gospodarująca na rachunek własny, i ludność niewolna, gospodarująca na rachunek cudzy. Właściciele własności indywidualnej wyjątkowo tylko pracowali ręką własną.

Po pewnym czasie nastąpiło spolszczenie potomstwa kupionego niewolnika, a należało ono do organizacji społecznej (w przeciwieństwie do dawnych naroczników), z państwową nie mając natomiast żadnego związku.

Kupno niewolnika ustało pod wpływem Kościoła, i wtenczas zaczęto sprowadzać osadnika wolnego (od r. 1175), od którego pobierano zrazu tylko czynsze. Po najeździe tatarskim niemieckie wsi czynszowe stały się zjawiskiem pospolitym. Skutkiem wyludnienia kraju przybyło mnóstwo ziemi niczyjej, a książę czynił nadania chętnie, nie pytając o pochodzenie, przyznając prawo własności ziemskiej chętnie wyzwoleńcom na równi z „rodowymi”, czego mamy w źródłach szereg dowodów. Pod koniec XIII. w. spotykamy się z nadawaniem ziemi na wieczystą własność nawet potomkom naroczników. Co dla rodzimej „słahty” było już staroświecczyną, zaczyna się odradzać wśród wyzwoleńców: i tak skutkiem najazdów tatarskich odradza się i przedłuża wspólnota rodowa.

O pozyskanie własności było łatwo, ale nie każdy chciał podjąć się trudu nowego gospodarstwa. Kto nie chciał się mozolić, lub komu nie udało się osiągnąć własności, szedł na osadnika. Właściciele prześcigali się w podawaniu osadnikom jak najlepszych warunków, dostarczali inwentarza i środków wszelakich chętnie, przyjemniej więc i snadniej było pójść na osadnika, niż gospodarować na własnym w niefortunnych warunkach, gdy się nie posiadało niczego prócz pary rąk własnych. Mnoży się tedy warstwa gospodarujących na cudzym, lecz wolnych, zwanych w źródłach „cmethones”.

Według naszych pojęć prawniczych kmięć był dzierżawcą; był bowiem wolnym, a właścicielowi opłacał pewne należności, umówione z góry. W warstwę tę wsiąknęła

większość potomstwa naroczników i niewolników prywatnych, tudzież część „szlachty”, jaka nie utrzymała się po przewrocie, wywołanym najazdami- mongolskimi, przy własności osobistej. Ta warstwa dzierżawców – oto przodkowie polskiego ludu wiejskiego, którego geneza nie sięga tedy poza wiek XIII.

Reformy Kazimierza Wielkiego „wynikłe z troski o powiększenie sity zbrojnej państwa, zmusiły do służby wojennej każdego właściciela ziemi, przez co zniknęła różnica między szlachtą rycerską a nierycerską. Przedtem powoływany był do wojska ten tylko, kto posiadał własność indywidualną z nadania książęcego, odtąd zaś każdy, kto z jakiegokolwiek tytułu posiadał ziemię na własność. Obok żołnierza starej daty „rodowców”, staje kmięć, który dorobiwszy się, nabył własność, i staje sołtys (miles e cmethone, miles e sculteto). Wyraźne postanowienie ustawodawstwa wiślicko – piotrковского Kazimierza W., notujące „żołnierzy z kmięcia”, a więc właścicieli ziemskich, którzy wyszli z kmięcego stanu, świadczy o najzupełniejszej tego stanu wolności osobowej i rzeczowej.

Dzierżawa kmięca była dziedziczna na czas nieograniczony, a wyrobiło się prawo zwyczajowe, że jest ona wieczystą. Rugować kmięcia nie wolno, chyba że byłby jawnym szkodnikiem na gospodarstwie; wolność zaś przenoszenia się ograniczona jest u kmięci tymi tylko względami, jakich wymagała słuszność d prosty rozsądek (wszak i dziś dzierżawca, odchodząc, musi zostawić gospodarstwo w porządku).

Za Kazimierza W. nie było ludu wiejskiego, prócz kmięci. Warstwy zagrodników i komorników powstały później, zrazu również zupełnie wolne. Za Kazimierza W. nie było całkiem ludu niewolnego, i nie ma mowy o jakimkolwiek poddaństwie.

W okresie piastowskim, i za Władysława Jagiełły ziemia miała wartość stosunkowo niewielką; w sam raz taką, iż można się było z niej utrzymać. Kto posiadał ziemi więcej, niż na własną potrzebę, rad był, gdy mógł ją -wydzierżawiać innym za' skromnym czynszem. Nikt nie dzierżawił więcej, niż znów tyle tylko, ile trzeba było na utrzymanie wygodne rodziny. Nikt z kmięci nie dzierżawił nigdy więcej, niż jeden łan, tj. około 30 morgów, z czego 10 morgów stało zawsze ugorem. A nie bywało w XIV w.

w jednej wsi więcej, jak 7-10 gospodarstw kmiecych; sam właściciel zachowywał dla siebie jeden albo co najwyżej dwa tany. Jakkolwiek za Kazimierza Wielkiego wraz z rozkwitem miast podniosła się też produkcja zboża, znajdującego zwiększony zbyt w zamożnych miastach, jednakże i za tego króla opiekun

składał rachunki z opieki tylko z trzód, ze stadnin i z czynszów; dochód ze zboża był tedy, jeszcze bez znaczenia, z reguły nie było go całkiem.

Zaczyna się to zmieniać w XV wieku, kiedy pojawia się handel zbożowy, nastaje wywóz polskiego ziarna do Gdańska i do czarnomorskich przystani. Uprawa roli poczyna być intratną, przygotowuje się zwolna gospodarstwo folwarczne. Okres przejściowy trwał przeszło sto lat; dopiero około roku 1550 można stwierdzić na pewno w każdej niemal wsi polskiej folwark i to, co początkowo nazywało się gospodarstwem dworskim. Najstarsza jednak wiadomość o założeniu folwarku pochodzi z r. 1404, a mianowicie ze wsi Świątnik pod Krakowem, własności biskupstwa krakowskiego. Co się działo przy tej przemianie gospodarstwa w Świątnikach, jest tak wymowne, że na tym przykładzie wyjaśnić można... całą dalszą historię stosunku dwóch warstw rolniczych w Polsce: szlachty i kmieci.

Otóż kiedy w roku 1404 zakładano w Świątnikach folwark, powinność uprawy gruntów folwarcznych nałożono na kmieci-dzierżawców, podliczając im tę robociznę sprawiedliwie za część należności czynszowej. Folwark był nieduży, ludność zaś wsi tak starej jak Świątniki (powstałej jeszcze z naroczników), liczna, a więc wypadło na każdego tej robocizny tak minimalnie, iż nikt nie uważał tego za pogorszenie warunków dzierżawy... A jednak z tego to miała powstać kiedyś niewola ludu wiejskiego. Wytworzyła się bowiem tylko przez ciągle pogarszanie warunków dzierżawy, przez nieustanne zwłaszcza przyczynianie robocizny, a zepchnięcie czynszu dzierżawnego na plan coraz dalszy. Kmieć, biorąc rzeczy ściśle formalnie – aż do końca Rzeczypospolitej nie przestał nigdy być dzierżawcą, i to dziedzicznym na wieczystej dzierżawie, jak jego przodek za Kazimierza Wielkiego, a jednak istota rzeczy jakżeż się odmieniła!

Wartość ziemi w Polsce, zacząwszy podnosić się z końcem rządów Kazimierza Wielkiego, rosła i rosła bez końca;

coraz więc gorzej musiało być tym, którzy się na cudzej ziemi żywili. Gdyby

wartość ziemi była spadała, byłoby przeciwnie: coraz lepiej dla kmieci, a coraz gorzej dla właścicieli i także nie byłby nikt na to poradził.

Administrację publiczną wsi sprawował sołtys, posiadający cztery łany zazwyczaj, monopol karczmy i młyna, tudzież grzywny z sądownictwa pierwszej instancji. Ażeby mieć więcej gruntów do uprawy na własny rachunek, wykupywała szlachta sołectwa we wsiach, zyskując na tym około 120 morgów ziemi najlepiej uprawnej, boć gospodarstwa sołeckie bywały najlepsze. Ale pociągało to za sobą następstwa nie tylko ekonomiczne: przez wykupno takie przechodziła w ręce właściciela władza administracyjna i sądowa na wsi – i w tym geneza poddaństwa ludu polskiego. Wiejski „dziedzic” nie dlatego stał się władcą nad chłopem, iż był szlachcicem, ale przez to, iż stał się jego sołtysem. Po pewnym czasie dokonano skupu sołectw tak dokładnie, że nie tylko zaginęła dawna warstwa społeczna sołtysów, ale nawet zatarła się tradycja, jakim to. Sposobem szlachcic stał się samowładcą swojej wioski. Odkąd połączyły się w jednym ręku przewaga ekonomiczna z władzą administracyjną i sądową (i przynależnym prawem nakładania kar); odkąd kmięć stał się podwładnym tego samego, od kogo zawisłym był ekonomicznie – odtąd zmiana stosunku dzierżawczego w poddaństwo mogła nastąpić samą siłą faktów, skoroby tylko nastąpiły niekorzystne dla potomków kmieci warunki osadnicze.

Sam kmięć nie upatrywał zrazu nic złego w tym, co później miało stanowić najciemniejszą stronę poddaństwa: w pańszczyźnie, która była prostym tylko ekwiwalentem czynszów. Sam kmięć nakładał pańszczyznę na warstwy wiejskie od siebie zawisłe: na komorników. Robocizna nie była bowiem zrazu oznaką poddaństwa, a tylko sposobem uiszczania się z należytości dzierżawczej. Była to dzierżawa na odrobek.

Dalszy rozwój stosunków wsi polskiej do roztrząsali naszych tu nie należy – a zresztą rzecz ta jest powszechnie znana. Tylko pierwsza część tematu tego, geneza naszych wiejskich stosunków społecznych, pojmowana przez ogół całkiem fałszywie, wymagała tu omówienia, ażeby zwrócić uwagę, że naszą prawarstwą społeczną nie jest wcale lud wiejski i że geneza tego ludu da się dokładnie określić historycznie, że nie tylko nie pochodzi on z czasów przedhistorycznych, ale wytworzył się w czasach stosunkowo późnych.

Pojęcia inteligencji o ludzie wiejskim mają w Polsce ciekawą historię. W XV w. lud był wcale bliskim szlachty, przechodził często do jej szeregów, nieraz bił się dobrowolnie z nią i za nią, jak np. w bitwie pod Nakłem r. 1431 podczas najstraszniejszego najazdu krzyżackiego. W wieku dopiero XVI szlachectwo poczyną przybierać cechy kastowości, ale obie warstwy rolnicze są sobie jeszcze naprawdę bliskie. W poezji polskiej „złotego okresu” nie brak dowodów, jak dobrze lud znany był naszym pisarzom, co wypada uważać za wskazówkę, że obie warstwy rolnicze pozostawały z sobą w stosunkach kulturalnych. Nie mówiąc o Reju, pełno aluzji do ludu wiejskiego u Jana Kochanowskiego; u Szymonowicza zaś pod klasycznym przybraniem sielanek przeziiera chłop ruski, a nieraz polski. Ileż zaś wzmianek o kmieciach i kmiotównach w całej literaturze podręcznej XVI wieku, w wierszykach ulotnych i w tym piśmiennictwie, które stanowiło ówczesne „książki do czytania”! Gdyby do ludowości wystarczało samo zajmowanie się ludem, nasza literatura „złota” byłaby doprawdy wielce ludową, a ludowość polska zaczynałaby się już od wieku XVI.

Od drugiej połowy XVII. w. zmienia się sprawa. Wzmianek o ludzie ubywa w dziełach literackich, poezja przestaje czerpać natchnienie z tematów ludowych. Pod koniec wieku poczynają przeważać wzmianki lekceważą

ce, coraz bardziej satyryczno-pogardliwe, al zjawiają się i czysto wzgardliwe; jeszcze tylko kiedy niekiedy w kazaniach zdarzy się, że duchowny autor pomówi serio o wieśniakach.

W XVIII. w. nastąpiła pewna sztuczność kultury. Ginał zmysł historyczny, zanikał historyzm i jakoś równocześnie (toć fakt!) zmysł polityczny z jednej strony, a z drugiej zmysł teoretycznego orientowania się w bezpośrednie otoczeniu. Z ustaniem zajęcia dla studiów przeszłości nastął szczególny brak zrozumienia terażniejszości. Można obserwować nieraz w toku historii powszechnej objaw ten w różnych krajach; gdy bowiem zabraknie zmysłu historycznego, otaczające nas stosunki poczynają się wydawać czymś apriorycznym, danym z góry, stałym, niewzruszonym. Zmysł historyczny stanowi rękojmię postępu, bo> pomaga zrozumieć potrzebę zmian, a nawet konieczność samej zmienności. Tak jest! historyzm może służyć za najlepszy fundament postępu.

Sztuczność kultury trwała w Polsce krócej, niż na Zachodzie. Pokolenie z drugiej połowy panowania Stanisława Augusta jęło się naprawdę życia praktycznego, i, w szeregu wybitnych osób tego czasu znać to, co nazywać można by miłością rzeczywistości, ukochaniem warsztatu życia. Wtargnął np. także w polskie piśmiennictwo wieśniak kosmopolityczny, stylizowany, pełen cnót i urody, jak gdyby jakie wcielenie pierwszych wierszy Metamorfoz Owidiusza. Naśladowano u nas te utwory pseudoludowe, ale nie przejmowano się tą sztucznością. Bo też inną była wieś francuska, a inną zgoła polska. Szlachcic francuski nie mieszkał wśród swych poddanych, podczas gdy polski siedział pośród nich na roli. To też doszliśmy w krótkim czasie do pomysłu oczynszowania, a niebawem nawet zupełnego uwłaszczania włościan.

Nie sposób oprzeć się myśli, że w krótkim stosunkowo czasie stosunki rolniczych warstw -społecznych w Polsce stałyby się były zupełnie normalne, gdyby społeczeństwu i państwu danym było przez jedno choćby jeszcze pokolenie rozwijać się naturalnym trybem. To atoli zostało wstrzymane.

Tym załamaniem toku polskiego rozwoju skutkiem utraty niepodległości tłumaczy się przedłużenie sztuczności w pojmowaniu ludu wiejskiego. Jeszcze „Wiesław” Brodzińskiego jest dziwną mieszaniną owego fikcyjnego wieśniaka stylizowanego, kosmopolitycznego, z pewnym zacięciem narodowym; nie jest on jednakże wcale krakowskim chłopem, ale tylko dowodem, że poczynała rozbudzać się ochota, by odkryć polskiego chłopca dla piśmiennictwa. Miało jednak upłynąć dużo wody, zanim to nastąpiło.

Z początkiem wieku XIX. rozmiłowano się tak nagle w chłopie dlatego, że uważano duszę jego za „tabula rasa”, na której można pisać, co się komu pisać uda. Ponieważ czasy owe obfitowały w przeróżnych reformatorów, z których ani jeden nie byłby zdołał urządzić porządnie jednej gminy, ale każdy reformował za to od razu „ludzkość całą”, więc potrzebne im było jakieś pole doświadczalne. Takim polem wydał im się „kmiotek” – jako „niezepsuty cywilizacją” materiał, dający się urobić według życzeń reformatorów. Trwało to długo, nim się spostrzeżono, że chłop ma swój własny świat; spostrzeżono się, że chłopska głowa nie jest zupełnie pusta, że coś w niej siedzi, ale coś takiego, co reformatorom z reguły zawadza... W taki dopiero sposób doszło się do stwierdzenia

osobnej chłopskiej kultury.

Tak jest; w kulturze narodowej istnieje poddział kultury ludowej wiejskiej. Składa się ona z pojęć religijnych, etycznych, prawnych, społecznych, z pojęć o życiu rodzinnym, o wzajemnym stosunku płci, z pojęcia godności osobistej, z zapatrywań na pracę fizyczną a umysłową i z zasobu wyobrażeń przyrodniczych, obejmuje też nie tylko odrębny zwyczaj i obyczaj, ale odrębne wobec współczesnego rozwoju estetycznego objawy sztuki i poezji.

Przyjęto się uważać kulturę ludową za oryginalną, za swoisty wytwór ludu; a skoro lud uchodzi za pra-warstwę, całkiem tedy logicznie wysnuto wniosek o przedhistorycznej genezie pojęć i zwyczajów ludowych.

W rzeczywistości rzecz ma się atoli zgoła inaczej. Sprawa ta ma również swoją historię. Zwyczaje i pojęcia ludowe są ludowymi dziś, ale czy były niemi zawsze? Prawie na każdym kroku nabiera się wątpliwości co do tego, gdy się przedmiot podda naukowemu badaniu; często zaś ma się zupełną pewność, że nie.

Znaczną większość zwyczajów ludowych można odnieść do pewnego ściśle oznaczonego czasu, częstokroć do nie bardzo dawnego okresu historycznego. Obrzędy weselne ludowe nie są po większej części niczym innym jak kopią zwyczajów szlacheckich, powszechnych po wiejskich dworach i dworkach jeszcze w XVIII. w. Mnóstwo szczegółów wieśniaczego ceremoniału towarzyskiego znajdujemy w starych podręcznikach *savoir-vivre* z wieku XVII. Zachowanie się przy stole dzisiejszego kmiecia jest też przestarzałą formą elegancji; niegdyś kasztelanki jadały tak, jak dzisiaj czynią to Maryśki.

Ledwie cząstka tego, co tkwi w kulturze ludu, jest oryginalnym jego wytworem. Lud żyje po większej części przeżytkami. Jego sztuka i literatura da się oznaczyć chronologicznie z kroniki kultury szlacheckiej; ludowym jest obecnie po większej części to, co niegdyś było szlacheckim. Kultura ludowa powstaje przez opóźnione naśladownictwo kultury warstw bardziej ukształconych. Naśladownictwo opóźnia się czasem tak niepomernie, iż ledwie przeżytki dostają się z dworu i z miasta pod strzechę. Skutkiem zaś rozbiorów nastąpiła taka stagnacja w rozwoju duchowym naszego ludu

wiejskiego, trwająca mniej więcej do połowy wieku XIX, iż w kulturze jego ód czasów kościuszkowskich aż poza „wiosnę ludów” (1848) niewiele się zmieniło; to też dziś jeszcze w wielu okolicach widzieć można w życiu ludu żywe muzea z połowy, a nawet z początku wieku XVIII.

Jeżeli lud wiejski, jako taki, posiada moc twórczą, artystyczną czy społeczną, czemuż nie okazuje, jej dziś, będąc bardziej (i to bez porównania bardziej) oświeconym? Czemuż w naszych czasach nie powstają ludowe nowości w budownictwie ludowym, lub choćby w zdobnictwie? czemuż nie wytwarzają się na wsi nowe tańce, melodie, rodzaje poezji? Czyżby twórczość ludowa związana była z ludową ciemnotą, jako z warunkiem swym nieodzownym? Ależ to absurd.

Zadajmy sobie pytanie, czemuż to nie wymyślił lud nic a nic w tej dziedzinie, której oddaje się w całości, wyłącznie, mianowicie w zakresie... rolnictwa? Wiemy wszyscy, że rolnictwo ludowe, to rolnictwo złe, zacofane, pogrążone w przeżytkach; chłop najgorszym jest rolnikiem, a poprawia się w tym o tyle, o ile naśladuje rolnictwo dworu (szkoły rolnicze, zakładane dla ludu, świecą jeszcze pustkami). Czy słyszał kto kiedy o jakim najmniejszym udoskonaleniu rolnictwa, które by wyszło od ludu? Jakżeż tedy? Czyż lud zdatny jest do wszystkiego prócz rolnictwa?

Włóżmy więc między bajki popularne wyobrażenia o mocy twórczej ludu, właściwej tej warstwie w sposób szczególniejszy. Zdarność twórcza podlega u chłopca takim samym prawidłom, co u nie-chłopca; będzie ona wszędzie jednakową caeteris paribus. Gdyby zaś kto twierdzić zechciał, że twórczość słabnie w miarę postępu oświaty i dlatego występuje u ludu tylko w zamierzonych czasach najgrubszej ciemnoty, niechże będzie konsekwentny i pozamyka szkoły. Bo jakżeż można pozbawiać twórczości najliczniejszą warstwę narodu?

Do fałszywych pojęć inteligencji o ludzie wiejskim zaliczyć przeto należy mniemanie o starożytności objawów jego kultury. Uśmiechnijmy się pobłaźliwie, jeżeli zdarzy nam się jeszcze słyszeć, jakoby „wierzenia ludowe”, a nawet niektóre jego zwyczaje odnieść należało do czasów pogańskich!! Odtwarzanie „mitologii słowiańskiej” na podstawie guseł i zabobonów ludowych, toć bańki mydlane, bo owe „wierzenia” pochodzą

z wieku XVII i z początku XVIII, (które to czasy odznaczały się wytwarzaniem zabobonów).

Należy więc znaczenie wyrazu „ludowy” określić w ten sposób, że ludowym jest nie to, co lud wytwarza, lecz to, co w danej chwili zgodne jest ze współczesnymi pojęciami ludowymi.

Ponieważ pojęcia' te dla samej przestarzałości są odmienne od pojęć wytwarzanych równocześnie przez inteligencję, posiadają pozory oryginalności, i to tym bardziej, im bardziej są przeżytkami. Jeżeli są to przeżytki, pojęć, których tradycja nawet zaginęła pośród warstw ukształconych wyżej, natenczas posiadają one dla inteligencji znaczenie i wartość... odkrycia. Tym tłumaczy się ogromne prętem affectionis, przywiązane do wszystkiego, co „ludowe”; spodziewamy się bowiem zawsze jakichś odkryć, mających „wzbogacać kulturę narodową”.

A jednak istnieje dziedzina, w której może nastąpić istotnie wzbogacenie przez „ludowość”, a mianowicie przez przyswojenie sobie form ludowych: dziedzina sztuki. Nic nie ma w dziejach pojęć zmienniejszego nad pojęcia literackie, i (na drugim zaraz miejscu) z zakresu piękna plastycznego; w tych tedy działach umysłowości następuje zastarzałość szybciej niż w innych, a skutkiem tego zachowane w ludowości przeżytki wydają się tym archaiczniejszymi, i nabierają w danym razie tym bardziej znaczenia odkryć. Tworzą się u ludu zapasy niejako archaiczne, z których poeci i artyści mogą czerpać w czasach nieurodzaju, odświeżając literaturę i sztukę bardzo skutecznie, jak uczy historia literatury, a najbardziej literatury polskiej. Oparcie poezji artystycznej na ludowej, tj. na takiej, jaka w danym czasie kursuje wśród ludu, jest faktem, znanym powszechnie. Oczywiście, muszą zachodzić inne jeszcze kategorie literackie, bo ze samą ludowością nie zaszłoby się daleko, ale bądź co bądź poezja i sztuka mogą opierać się wyraźnie na podkładzie ludowym.

Utarło się taką właśnie sztukę i poezję uważać za najbardziej narodową. Jest w tym prawdy wiele. Nie ulega bowiem wątpliwości, że co wśród ludu przyjęło się samorzutnie, to jest już naprawdę polskim. Choćby to bowiem było pierwotnie czymś najbardziej egzotycznym, zanim doszło do ludu, musiało zostać przetrawionym, skoro on przyjął to za swoje. Lud nie przyjmuje niczego niemal w naśladownictwie ślepym, lecz asymilując,

przystosowując (czasem przekręcając przez brak zrozumienia rzeczy) do siebie, a w ten sposób polszczy bądź co bądź wszystko, czego się tknie. I oto jest moc twórcza ludu wiejskiego.

Cokolwiek by tedy orzekła teoria folkloru, praktyka artystyczna zawsze może opierać się na ludowych wzorach, boć tędy prowadzi artystę częstokroć najkrótsza droga do celu. Ale nie wynika z tego bynajmniej, by pojęcia lub formy ludowe uważać za prapolskie, lub uznawać je wyłącznie polskimi.

Zwrócić należy jeszcze uwagę na inną okoliczność: podczas gdy kultura polskiego ludu wiejskiego zaznacza się wyraźnie, kultura ludu miejskiego w Polsce jest lotna i tak ciasna, że aż jednostronna. Czyż nie pozostaje to w związku z tym, że tamta korzystała z takiego oparcia, jakiego dostarczała kultura szlachecka w Polsce, kultura tak wybitna i wykończona, a także wiejska, odznaczająca się nadzwyczajną wielostronnością, tworząca świat własny, sam sobie wystarczający, gdy tymczasem mieszczaństwo nie mogło służyć ludowi miejskiemu za takie oparcie, boć samo nie zdobyło się na wytworzenie u siebie odrębnego poddziału kultury narodowej. Przyczyny tej odmienności nasuną się same każdemu, obeznanemu choć z grubsza z historią polską.

Równym prawem jak o nadmiar historyzmu mogłyby nasuwać się wątpliwości, czy nie za wiele ludowości w umysłowości współczesnego Polaka? Rola historyczna ludu wcale nie... przedhistoryczna i nie taka znaczna, jak się przesadnie o tym sądziło, a jednak wpływ ludowości tak silny, taki potężny, czy nie za wiele?

Zestawmy teraz historyzm a ludowość polską.

3. Historyzm a ludowość.

Przez „ludowość” rozumiemy zgodność z pojęciami, powszechnymi wśród ludu, a zakorzenionymi wśród niego drogą naturalną, nie zaś narzuconymi drogą propagandy sztucznej. Ponieważ lud wszedł w życie publiczne stosunkowo niedawno i posiada najmniej tradycji historycznej, zawiera przeto w sobie także najmniej historyzmu.

Lud skłonny jest wprawdzie krępować się w postępowaniu swym przeszłością, ale nie z historyzmu to bierze początek, lecz z konserwatyzmu, którego źródłem częścią

ubóstwo, częścią ciemnota. Kto trzyma się pewnych dróg i form dlatego, że tak bywało u ojców i tylko dlatego, ten popadł w ślepe naśladownictwo przodków, podczas gdy historyzm polega na wyrozumowanym, celowym wyborze pośród form przeszłości. Nie ma też konserwatyizm ślepy nic wspólnego z tradycją czynną, pobudzającą do czynów, a na niej zasadza się historyzm. Krępowanie terażniejszości przeszłością nie pochodzi u ludu z celowego rozmysłu, nie dzieje się w imię pewnego hasła, nie stanowi też pewnego rodzaju intelektualizmu, lecz pochodzi właśnie z zaniedbania go. W miarę rozwoju oświaty lud nie tylko coraz mniej krępuje się przeszłością, ale nawet skłonny bywa w pewnej fazie swego rozwoju odrzucać zasadniczo wszystko, co za ojców bywało, mniemając, że postęp polega na przeciwstawianiu się przeszłości.

O konserwatyzmie chłopskim powiedzieć można, że nie pochodzi on z wyrozumowania, lecz narzucony jest łądowi okolicznościami od niego niezależnymi, a takimi, których więzy on chętnie z siebie strząsa, gdy nastają pomyślne do tego okoliczności. Z natury lud wcale nie jest tak bardzo konserwatywnym, jak się mniema powszechnie. Nic mylniejszego jak identyfikowanie konserwatyizmu z włościąństwem, jako takim, jako czegoś nieodłącznego od ludu wiejskiego, jakoby jego cechy istotnej. Trzeba obserwować tę kwestię w okresach takich, kiedy lud wiejski ma sposobność zaniechać konserwatyizmu, kiedy może mieć wybór pomiędzy dawnym a nasuwającym się nowym kształtem życia. Nadto zaś mieć należy na uwadze, że konserwatyizm ślepy, bezmyślny, może pozostawać długo nienaruszonym, niepoprawnym w jednej dziedzinie życia, gdy tymczasem w innych mogą przejawiać się już prądy nowe. Konserwatyizm nie posiada nigdy niemal równego' napięcia we wszystkich swych działach.

Któryż dział życia uważać za najelastyczniejszy, jeżeli nie ekonomiczny? Na nim odbija się najszybciej i najgłębiej wszelka zmiana, choćby nawet krótkotrwała, w układzie stosunków życia zbiorowego; można by o warunkach ekonomicznych powiedzieć, że ulegają każdemu podmuchowi wiatru. Z drugiej atoli strony, gdy ekonomiczne sprawy ustalą się, wywierają one wzajemnie wpływ na wszelkie inne dziedziny życia i to wpływ ogromny. Wielka zawiłość ekonomicznych spraw polega właśnie na tej ich dwoistości, że są najelastyczniejsze, a zarazem jednak najbardziej trzymają człowieka na uwięzi.

Rozwój należyty zawisł od rozmaitych wpływów, a nie najmniej od ekonomicznych. Walka o byt nie' jest wprawdzie najważniejszym zadaniem człowieka, ale bądź co bądź najnaglejszym, którego nigdy nie można odkładać, którem z konieczności musi się każdy zająć i ciągle mieć z tym do czynienia.

Ilekroć nastanie zmiana stosunków ekonomicznych, społeczeństwo musi się do niej przystosować, nie chcąc być narażonym na zastój, a w danym razie nawet na śmierć. Zdolności pewnego społeczeństwa poznać najłatwiej w okresach przesilen ekonomicznych; wtenczas występuje najsilniej poradność, czy też bezradność i nieporadność.

Wspaniałym jest dla historyka ustęp z dziejów polskich po najeździe mongolskim. Podziwiamy rozagę i twórczość owego pokolenia, jego potęgę prawdziwą w dziedzinie kultury czynu, gdy na zgliszczach tworzono nową organizację społeczną. Podobnież trzeba podziwiać, jak w drugiej połowie XIV w. umiano wlot wyzyskać nadarzący się handel lewantyński; jak potem w drugiej połowie XVI w. umiano jeszcze odeprzeć straszne przesilenie, grożące wschodniej Europie z powodu odkrycia Ameryki i zmiany dróg handlowych ogólnego handlu, a mianowicie skutkiem zamiany karawanowych dróg lądowych na oceaniczne.

Potem niestety zdolność ta zniknęła. Chłop polski okazał się jednak materiałem w tej dziedzinie jak najlepszym. Nie było tak złej konstelacji, w której by nie umiał sobie poradzić i wywalczyć dla siebie poprawy warunków ekonomicznych. Emigracja polska zaczyna się już w XIII wieku; już wtenczas brzegi Bzury i Wieprza zarumieniły się pszenicą pod polskim pługiem. Wiadomo, że nasz chłop kolonizował nawet smoleńskie województwo. Pomysłowość jego obchodziła zresztą wszelkie ustawy, knute przeciwko niemu na sejmach; wtenczas, kiedy na papierze był już przypisany do gleby, w rzeczywistości przesiedlał się jeszcze z prowincji do prowincji. Wydawał z pośród siebie regularnie warstwę niższego mieszczaństwa i polszczył niemieckie miasta w Polsce. Wchodził chłop do miasta, jako wyrobnik lub partacz rzemieślniczy, a po kilku pokoleniach polszczył to miasto i sprawiał, że patrycjuszowskie rody zaczęły się uczyć jego języka. Nie one jego asymilowały ale on, chłop je asymilował.

Kiedy z końcem XV w. zaczyna się gospodarstwo latyfundiów, powstaje wlot nowa warstwa społeczna, tzw. „ludzie luźni” (homines vagi), godzący się do robót polnych; ale tylko na ograniczony termin, przeważnie do żniw, i przebiegają kraj gromadami po kilkaset nieraz osób. Za granicę państwa polskiego chadzał wieśniak już w XVI w. (na Śląsk przeważnie, na Łużyce, do wschodnich okolic Brandenburgii). Wszak istnieją konstytucje sejmowe przeciw takiej czasowej emigracji robotnika rolnego. Jest to zupełnie to samo, co owa wędrówka, znana do ostatniego roku przed wojną powszechną pod nazwą „na Saksy”. Stajemy tedy wobec bardzo starego problemu polskiego życia ekonomicznego. Nie rozwiązał go wiek XVI. W drugiej połowie XVI w. miasta zaczęły podupadać, a zatem dostarczały coraz mniej zarobków ludności włościańskiej. Ile wtenczas ludu polskiego utonęło we wschodnich prowincjach niemieckich, któż dziś to obliczy?

W czasach najnowszych lud wiejski urządził systematyczną emigrację do Ameryki, a za naszych już czasów urządził eksport swych rąk roboczych na Zachód, do Szwajcarii i Francji i Danii; wszak o emigracji zarobkowej czasowej duńskiej nie wiedziała długo inteligencja polska, co dostarcza dowodu stanowczego, aż jaskrawego, jak lud nasz umie sobie sam radzić.

Czyż przedsiębiorczość, mogłaby istnieć obok konserwatyizmu ślepego, gdyby ten stanowił cechę ludu istotną, gdyby był związany z ludem nierozzerwalnie? Jest więc ta przywara ludu cechą jego tylko znamiennej, jakkolwiek najbardziej znamiennej ze wszystkich. Dzielność, okazywana w przystosowywaniu się do przewrotów ekonomicznych, wskazuje, że zdolność rozwojowa mieści się w ludzie na pewno, i to w stopniu niepoślednim.

Przytłumioną była jednakże zdolność ta i objawiała się tylko jakby z konieczności, w pewnych okolicznościach i w zakresie ograniczonym, bo wyłącznie w formach walki o byt. Dobro społeczne wymaga, by wszelka zdolność rozwojowa posiadała wolne przed sobą pole, bo życie zbiorowe powinno być w danym społeczeństwie syntezą możliwości rozwoju- wszystkich społeczeństwa części. Te dążenia do rozwoju części mogą się krzyżować i zazwyczaj tak bywa; a więc partykularne owe siły rozwojowe wywierają na się wpływ wzajemnie. Ciągłe wzajemne oddziaływanie, i to jak najwszechstronniejsze,

wywołuje ruch i stanowi rękojmię pomyślnego rozwoju całości.

Zdrowie społeczne wymaga, by w narodzie krążyły równocześnie dwa prądy: oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry. W wiekach XIII – XVI znać nieraz w dziejach naszych wpływ z dołu, pochodzący od warstw mniej uposażonych na bardziej uposażone, w górę. Np. ziemiaństwo narzuca dynastii swój program narodowy i wynosi tę gałąź Piastów, która podjęła się wykonać go; Władysław Niezłomny (Łokietek) był właśnie wykonawcą dążeń stronnictwa narodowego. Za Kazimierza Jagiellończyka szlachta złamała przewagę możnowładztwa, za Zygmunta umiała wykonywać władzę. Cały humanizm składa się z mnogich objawów oddziaływania niezamożnej i społecznie niewysoko ustawionej inteligencji na warstwy kierownicze; w Polsce wpływ uczonych na kierunek państwa i społeczeństwa zaczyna się atoli wcześniej, bo już z początkiem XV wieku (o czym niżej rzecz będzie). Unia lubelska była dziełem demokracji szlacheckiej, narzuconym wielmożom. Ale od wieku XVII przestały warstwy społeczne niższe oddziaływać na wyższy odtąd rozwój społeczny dokonywał się aż do Sejmu Wielkiego wyłącznie przez wpływy z góry w dół. Trzeciego Maja zatriumfował prąd z dołu, idący na nowo, lecz tylko na krótko. Rozbiory nadały nadzwyczajną, a niezdrową przewagę najbogatszym, aż dopiero około roku 1870 prąd demokratyczny przynajmniej w polityce mierzy się z arystokratycznym. Przedtem zapisać można ledwie nieudane próby prądu z dołu w górę oddziałać pragnącego.

Za naszych czasów postąpiła jednak demokratyzacja nadzwyczaj szybko, z chyżością niesłychanie przyspieszoną. Lud miejski i wiejski wpisał się do obywatelstwa nie tylko pretensjami praw, ale też czynami zgodnymi z obowiązkiem. Do jakiego atoli stopnia społeczeństwo polskie nawykło ulegać wpływom wyłącznie z góry, znać stąd, że pomimo ogromnego w ostatnim pokoleniu wzmożenia żywiołu miejskiego nie zanosi się wcale na wytworzenie się jakiejś osobnej kultury mieszczańskiej, lecz życie miejskie w Polsce jest ciągle jeszcze po większej części naśladownictwem szlacheckiego wiejsko-dworkowego trybu życia. Arystokratomania wraz z życiem nad stan wyrwała też niemało! sil wszystkim naszym warstwom społecznym. A czyż lud wiejski dzisiejszy nie odznacza się niesłychanie dokładnym odtwarzaniem w sobie wszystkich dawnych przywar

szlacheckich?

Bądź co bądź w politycznej dziedzinie społeczeństwo demokratyzuje się tak szybko, iż może demokratyzacja ta nazbyt wyprzedza mniej rychły proces demokratyzacji społecznej. Inteligencja, jakby to wyczuwając, stara się wytworzyć demokratyzację społeczną w sposób sztuczny, intelektualnie, próbując, czy pojęcia ludowe nie dadzą się zaszcześcić w narodzie za pomocą sztuki i literatury. Dziwnym zjawiskiem dziejów warstwa wyższa sama zajęła się w tym wypadku propagowaniem oddziaływania z dołu w górę, podczas gdy warstwa ludowa sama od siebie ani by się tym zajęła była, ani też przeprowadzić tego nie zdołałaby żadną miarą. Sztuczne propagowanie pojęć ludowych dokonywało się nie tylko w Polsce, lecz i w innych narodach – w przybliżeniu nawet nie tak usilnie jak u nas. Usilność ta miała zaś świetne powodzenie.

Pozostaje to w związku z nadmiernym znaczeniem literatury w ekonomice naszego życia porozbiorowego, boć my literaturze zawdzięczamy głównie szczęśliwe tego okresu przetrwanie; wobec tego wszystko, co propagowane było drogą piśmiennictwa (a zwłaszcza poezji), nabierało doniosłości! społecznej, a nawet politycznej. W taki to sposób ludowość wysunęła się na miejsce naczelne pośród haseł nowoczesnego polskiego życia zbiorowego. W porównaniu z Francją, Włochami czy Niemcami ludowość polska jest zaiste przesadną; ale tłumaczy się to całym szeregiem okoliczności tak dokładnie, że przesada owa. staje się u nas czymś zupełnie naturalnym.

Dzięki przesadnej ludowości, tj. propagowaniu ludowych pojęć i tendencji, żeby inne warstwy przejmowały się owymi pojęciami, nastąpiło w Polsce zjawisko szczególnego rodzaju, a mianowicie ogromne wyprzedzanie demokratyzacji praktycznej przez teoretyczną. Polak jest też w rzeczywistości bez porównania mniej demokratycznym, niż nim być pragnie. Demokratyzacja ludowości, wy rozumowana, aprioryczna w znacznej części, robi skoki, gdy tymczasem demokratyzacja faktyczna rozwija się ewolucyjnie, jakkolwiek ewolucją przyspieszoną. Dlatego panuje w tym dość często niezgodność polskiej myśli z czynem, i skutkiem tego następują zbyt często zaburzenia w naszym rozwoju.

Szczerłość ludowości polskiej, pełna wiary w zbawczość tego środka, pełna

najszlachetniejszego zapału, jest tym widoczniejsza, skóra stosunki nasze były tego rodzaju, że rozwojowi ludowości wcale nie sprzyjały. Nie przyszła ta ludowość z zewnątrz, lecz wyszła z wewnątrz samego społeczeństwa polskiego.

Przesadna ludowość w Polsce, jako rezultat wewnętrznych naszych dziejów XIX wieku, zastanawia tym bardziej i tym mocniej przekonywa o swej szczeroci, że wpływ rządów państw zaborczych niósł społeczeństwu polskiemu falę politycznego i społecznego wstecznicstwa. Wszystko, co w Polsce było ujemnego, co konstytucją Trzeciego Maja skazane już było na zagładę,

przedłużyło się dzięki rządowi rosyjskim, austriackim, pruskim. Co postanowiono w r. 1791, stanowiło dopiero początek tego, do czego zdążano w kierunku równouprawnienia stanów i demokratyzacji życia publicznego, ale początek ten zrobiony był z całą stanowczością, a przepis o przymusowej rewizji konstytucji co lat 25, zawierał wyraźną zapowiedź dalszego ciągu reform. Pomyślmy, czy nie byłoby doszło w Polsce do urzędowego uznania zrównania stanów, do zupełnej emancypacji ludu wiejskiego itd. wcześniej, niż gdziekolwiek w Europie, skoro dochodziłoby się do tego na tle ustroju konstytucyjnego obowiązującego i z jego pomocą, podczas gdy inne narody musiały dopiero staczać walki o sam konstytucjonalizm; czyż nie rozwijałyby się u nas reformy demokratyczne szybciej a głębiej, gdyby były doszły do skutku bodaj dwie rewizje konstytucji Trzeciego Maja, po latach 25 i 50?

Rządy zaborcze utrwaliły w społeczeństwie polskim szlachecczyznę. Najmniej wstecznego pierwiastka niosły pod tym względem Prusy, gdzie „oświecony absolutyzm” sam nastrojał się na ton demokratyczny, ilekroć wymagał tego interes skarbu państwa. Ale i pod pruskim rządem „junkierstwo” posiadało i zachowało do ostatka ogromne wpływy, i do samego końca nie wygasły w państwie pruskim przywileje szlachecczyzny w administracji i służbie wojskowej.

Bez porównania więcej jeszcze pierwiastka arystokratycznego zawierały w sobie rządy austriackie. Stawne galicyjskie „sejmy stanowe” stanowiły wobec polskiego systemu reprezentacyjnego cofnięcie się gdzieś poza wiek XV. Poza swym wstecznicstwem politycznym wnosili owe sejmy w życie prowincji jaskrawe uprzywilejowanie szlachty,

wobec której miasta miały na swych posiedzeniach ledwie prawo- przysłuchiwania się, co panowie radzą, a chłop nie był zgoła brany w rachubę. Podczas gdy Trzeciego Maja sankcjonowano z góry wszelkie prywatne umowy o czynsze, stawały się

umowy takie niemożliwymi pod rządem austriackim; to też prąd ten ustał niebawem. Konstytucja Trzeciego maja przewidywała reformę agrarną po latach 25, boć nie mogła ona nie mieścić się w rewizji konstytucji, gdy tymczasem rządy austriackie nie zamierzały bynajmniej zmieniać zasady ustroju społecznego; a więc żywiły wsteczne doznawały opieki rządowej, a postępowe stawały się politycznie podejrzany. Pod rządem austriackim nabierał kierunek wsteczny, arystokratyczny, na nowo przewagi nad demokratycznym, snutym z tradycji Sejmu Wielkiego. Ależ bo z Wiednia narzucono nam nadto nową „arystokrację”, wytwarzaną za pomocą biurokratycznych dyplomów: były to szeregi tzw. „hrabiów galicyjskich”. Rząd wiedeński zabierał się do tego całkiem poważnie; tworzył sporo dostojęstw, dostępnych tylko „magnatom” (tak zwano ich urzędowo), ustanawiał nawet urzędy dworskie galicyjskie, np. był między innymi „strażnik sreber koronnych królestwa Galicji i Lodomerii” itp. W rozmaity sposób wytwarzał rząd austriacki w Galicji tę warstwę „magnacką”, zmuszoną następnie oprzeć się o Wiedeń, o ile by chciała utrzymać się przy swym „magnactwie”. Czyż polskie rządy niosłyby z sobą takie dążności wsteczne?

A cóż dopiero w zaborze rosyjskim! Aż do' ostatniej chwili obowiązywał tam przymus stanowy; każdy obywatel imperium rosyjskiego musiał być urzędowo szlachcicem, mieszczaninem, kupcem lub chłopem, a stan to był dziedziczny bez względu na zajęcie. W świadectwie szkolnym, w wyroku sądowym, w paszporcie miało się wypisane na czele, do jakiego należy się stanu. Przywileje stanowe szlacheckie, uznawane i przez rząd troskliwie pielęgnowane, zwiększały zwartość i wyłączność stanową. Żywiły, które pod rządami polskimi z końca istnienia Rzeczypospolitej gotowe już były kapitulować, podniosły na nowo głowę dzięki wpływom Moskwy – i zaczyna się w najlepsze nowy pochód wstecznictwa. Wstrzymanie demokratyzacji społeczeństwa równało się w XIX w. wstrzymaniu rozwoju społeczeństwa. W jakież to wstecznicze wiry dostaliśmy się, skoro dopuszczenie w pewnym czasie szlacheckiej organizacji

samorządnej (jakkolwiek z nader ograniczoną kompetencją) z instytucją szlacheckich marszałków gubernialnych, wypadało uważać za postępowanie wobec „samodzierżawia” rosyjskiego... nam, Polakom, przywykłym do samorządu od XV stulecia? Wszakżeż aż do samego końca rosyjskich w Polsce rządów ani nawet większe miasta nie posiadały samorządu.

Pomimo wszystko dokonywała się demokratyzacja umysłów w Polsce, czego świadectwem historią uwłaszczenia włościanstwa. Kiedy nareszcie wolno było o tym mówić publicznie bez obawy zesłania na Sybir, poświadczyła nam to sama władza rosyjska, żeśmy tego pragnęli od dawna, nie mając jednak mocy wprowadzić rzeczy w wykonanie.

Generał-gubernator wileński Nazimow powiedział do przedstawicieli szlachty polskiej, zebranych na uroczystym otwarciu komitetu gubernialnego wileńskiego dnia 2. marca 1858 r.: „Z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, Wy, panowie, pierwsi w całym państwie rosyjskim oświadczyliście się za szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu zostających pod waszą opieką włościan”. Zresztą nie będę tu wyłuszczał bliżej rzeczy powszechnie wiadomej i po wielekroć już opisaniej, od Staszicowej spółki hrubieszowskiej aż do rezolucji warszawskiego Towarzystwa Rolniczego.

Mniej wiadome powszechności są zabiegi o szerzenie demokratycznej oświaty w ciągu historii porozbiorowej. W okresie stanisławowskim, w pokoleniu Trzeciego Maja zaczynał się podnosić stan umysłowy kmiecia, ale w okresie porozbiorowym nastąpił ponowny i to znaczny, upadek. Ale nie odpowiadamy tak dalece za to, co się działo w tej dziedzinie po rozbiorach. Zwrócę tu uwagę na kilka przykładów z ciekawych dziejów tej sprawy:

W diecezji przemyskiej za Franciszka II (1792-1835) uczęszczało do wiejskich szkół dziatwy w wieku szkolnym 13.702, a nie pobierało nauki 88.158 dzieci w wieku szkolnym, na 1.493.874 ogółu ludności – gdy tymczasem w ubożuchnej Rzeczypospolitej krakowskiej na 106.000 ludności uczęszczało do szkół wiejskich 3.136 dzieci, a zatem stosunek frekwencji szkolnej był w „Wolnym Mieście z okręgiem” przeszło trzy razy

większy.

Rozpowszechniło się mniemanie, jakoby rządy pruskie w dziedzinie szkolnictwa posiadały wartość wyjątkowo dobrą. Rozporządzamy cyframi z ziemi wieluńskiej, która dopiero po trzecim rozbiore przeszła pod rządy pruskie; cyfry nadające się przeto do porównania czynności Komisji Edukacyjnej z pruską. W r. 1790 było w ziemi wieluńskiej na 43 gminy szkół... również 43, z 1308 uczniami na 40.000 ludności. Gdzież w całej ówczesnej Europie wypadała jedna szkoła na niespełna tysiąc ludności? Ogólna zaś wizytacja, przedsiębrana w r. 1800 w rozległym całym zaborze pruskim wykazała zaledwie 7s gmin bez szkoły. Dopiero rząd pruski przerwał tworzenie sieci szkół wiejskich, bo nowe zakładano tylko w osadach niemieckich, lub po miasteczkach z ludnością mieszaną, a zawsze tylko z niemieckim językiem wykładowym.

Tylko tam, gdzie choć na pół istniały rządy polskie, stan szkolnictwa po wsiach podnosił się stopniowo. Na sejmie roku 1821 uważali niektórzy za stosowne wytknąć przesadę w tym, że w budowlach szkolnych wprowadzano „przepych”. Tegoż roku pojawiła się petycja, żeby szkółka założoną była w każdej wsi, a skoro zachodziły wątpliwości, czy budżet krajowy wytrzyma takie obciążenie, zjawia się propozycja radykalna, żeby koszt przerzucić na dziedziców. A we dwa lata potem... wystarał się Nowosilcow o wstrzymanie zakładania nowych szkół wiejskich. Po roku 1831 zaczyna się niebawem 75 formacja szkoły deprawującej ludność wiejską, aż wreszcie w r. 1851 wyszło rozporządzenie, cofające cały dorobek poprzednich pokoleń, bo zakazujące wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a nawet co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Odtąd liczba szkół poczęła się zmniejszać. Obywatel pragnący przeciwdziałać zanikowi szkoły, bywał dopóty szykanowany przez policję, aż przestał się sprawą szkolną zajmować. Wszak rząd rosyjski karał wszelkie zbliżanie się do ludu w ogóle, sam zaś zaszczepiał waśń społeczną. Ci, którzy pracowali pomimo wszystko dla podniesienia włościaństwa, zapełniali więzienia.

Nie tylko o szkole wiejskiej na ziemiach polskich – o szkole pruskiej i rosyjskiej, tudzież o austriackiej aż do r. 1867, można w ogóle powiedzieć, że była zaiste hańbą swego stulecia. To też rosło z roku na rok spustoszenie intelektualne wśród mas szerokich.

Weźmy pod uwagę cyfry z czasów ostatniego pokolenia, z naszych czasów.

W r. 1882 przypadał w Kongresówce jeden uczeń w szkole ludowej na 35 mieszkańców, a w 15 lat później już tylko na 38, a zatem liczba dziatwy wiejskiej uczącej się spadła o 8%. W r. 1882 przypadała jedna szkoła na 1925 mieszkańców, a w r. 1894 na 2150. W r. 1908 jedna szkoła na 2552 mieszkańców, gdy tymczasem przeciętna tycząca całego państwa rosyjskiego wynosiła 1967. Wydatki skarbu publicznego wynosiły w r. 1906 na jedno dziecko w wieku szkolnym (8-11 lat) na głowę 1 rb. 70 kop. przeciętnie w całym państwie rosyjskim, ale w Kongresówce tylko mniejszą część tego, bo zaledwie 69 kopiejek. Bo też w r. 1905, było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a 2/3 ludności nie umiało czytać ni pisać.

Ogólnie wiadomo, jak starano się wbrew rządóm państw zaborczych podnosić poziom umysłowy ludu wiejskiego; z jakim poświęceniem zakładano pod panowaniem rosyjskim rozmaite „Oświaty”, tropione przez policję carską bez porównania czujniej od najgrubszych 76 pospolitych zbrodni; jak władze pruskie i rosyjskie specjalizowały się do tępienia „zbrodni tajnego nauczania”. Żyją ludzie, którzy byli pracownikami ofiarnymi tej roboty narodowej (zwłaszcza dzielnymi obywatelkami okazały się w tym Polki); pamiętamy dokładnie jeszcze ich procesy i... nie dającą się niczym odstraszyć działalność ich aż do ostatniej chwili szczęśliwego za łaską Bożą odzyskania niepodległości.

Jakby na szczególne utwierdzenie' prawidła, że wszystko; co ludzkie, miewa w sobie błędy, popełniali ci pełni zasług obywatele błęd niemały, przypuszczając, jakoby istniała odrębna dla ludu „oświata ludowa”.

Sam wyraz „oświata” stanowi w naszych umysłach z reguły pomost dla asocjacji idei do pojęcia „lud”; przez oświatę rozumie, się w naszych czasach zazwyczaj oświatę „ludową”. Jest to błąd. Demokratyzacja, jak każda sprawa ludzka, musi mieć swoje pomyłki, a należy do nich wymyślenie owej specyficznej „oświaty ludowej”. Nie istnieje ona bynajmniej! Jest to czczy wymysł, ale wymysł przyjął się tak dalece, iż lwia część wysiłków oświatowych w Polsce zmierza do wytworzenia w sposób sztuczny a mozolny owej oświaty ludowej, a więc czegoś, co nie istnieje i istnieć nawet nie może. Trzeba zerwać z tym zabobonem, żeby nie marnować nadal sił oświatowych.

Oświata jest i może być tylko jedna, a nie osobna, oddzielna dla miasta a wsi, dla szlachcica a chłopa, dla księdza a kupczyka itp. Oświata polega na spopularyzowaniu Prawdy (religijnej, naukowej, artystycznej), a ponieważ Prawda ta sama jest dla prostaczka czy dla wielmoży, dla mędrca i dla początkującego ucznia, a zatem i oświata może być tylko jedna. Są rozmaite stopnie oświaty, ale nie różne rodzaje. Jakim zaś prawem mamy ludowi wiejskiemu wyznaczać zasadniczo niższy oświaty stopień? Przez oświatę ludową rozumie się bowiem zawsze stopień jej najniższy, oświaty minimum, „dobre dla chłopa”. Niedaleko zaszedłby chłop polski przy takim obroku duchowym. Pojęcia takie, fałszywe do gruntu rzeczy, mogły ujść od biedy, dopóki wieś polska żadnej nie posiadała oświaty, póki chodziło rzeczywiście o zaszczepienie elementarnych bodaj załączków oświatowych; odkąd atoli wyszliśmy z tego pierwotnego stadium, mylne zapatrywania na oświatę wśród ludu, jakoby miała być specyficznie ludową, wiodą na manowce i opóźniają niemało dzieło napojenia oświatą wsi naszej. Zabobon „oświaty ludowej” jest straszliwym hamulcem oświaty na wsi.

Sam lud rozumie tę sprawę najlepiej, to też nigdzie „oświata ludowa” nie jest mu miłą; pragnie natomiast gorąco oświaty w ogóle, bez owej przymieszki jakiejś ludowości i za oświatą „bez przymiotnikową” przepada. Zrobiono już nieraz spostrzeżenie, że lud wiejski nie lubi czytywać dziełek „ludowych”, pisanych, jakby dla jakich dużych dzieci, w przekonaniu, jakoby umysł chłopski miał w sobie coś dziecinnego. Lud nudzi się nad książką „ludową”, czasem gorszy się nią, a nieraz czuje się urażonym. Kto umie przedstawić rzecz popularnie, ten trafi do ludu niezawodnie, skoro tylko oświata wśród niego osiągnie poziom odpowiedni; ale trafi zarazem do każdego czytelnika! Nie ma zgoła żadnej osobnej metody pisarskiej „dla ludu”.

Każdy księgarz opowie, jak to książeczki, wydawane „dla ludu”, okazują się być stosownymi w sam raz dla „inteligencji”, rozkupującej je gorliwie, jeżeli tylko pisane są zajmująco. Tak jest, ta sama książka dobrą i odpowiednią jest dla wszystkich stanów jednako, jednako szerząc pośród nich oświatę. Bo oświaty nie da się nawet szerzyć w jednym jakimś stanie; ona jednakowo szerzy się lub upada we wszystkich stanach, w całym społeczeństwie równocześnie i równomiernie. Ciemny lud wiejski miewa nad

sobą nie bardzo oświeconych plebanów i dziedziców, ale gdy poziom oświaty podniesie się u jednego z nich, wnet podniesie się u wszystkich, przez prostą konsekwencję.

Niemożliwym jest postęp jednej tylko warstwy społecznej. Rozwój, jeżeli ma być trwałym i skutecznym, ogarniać musi równocześnie wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa.

Skutkiem tego, że nie mogła się rozwijać równocześnie kultura mieszczańska i chłopska, nastąpił wśród szlachty taki zastój kultury (czasy saskie!) że wobec tego niczym jeszcze jest zastój, na który wyrzekać można było do niedawna wśród ludu. Cokolwiek dzieje się wśród jednej warstwy społecznej, oddziaływać musi na inne; oddalmy tylko jedną z nich od pożywania owoców cywilizacji, a wkrótce same te owoce poczną gnić. Z postępu muszą korzystać wszyscy; zamknijmy wrota dla jednych tylko, a niebawem runie cały ten gmach jakoby złudzenie.

Z tego wniosek, że wszelka praca społeczna jest pracą dla wszystkich. Pracuje np. niewątpliwie dla dobra ludu wiejskiego, kto dba np. o podniesienie inteligencji duchowieństwa parafialnego, kto organizuje (mieszczaństwo do walk handlowych, kto pracuje w zakresie twórczości artystycznej – słowem, każdy a każdy pracownik przyczynia się pośrednio zarazem do tego, by ułatwić rozwój kulturalny ludu.

Przesadna skłonność do ludowości wytworzyła w polskim życiu zbiorowym metodę, polegającą na uprzywilejowaniu ludu wiejskiego ponad wszystkie inne warstwy społeczne. Takie przenoszenie dawnej szlacheckich na lud nazwijmy ludowcowską.

Ludowcowskość nie z ludu pochodzi, lecz propagowana wśród niego, chwyta go się równie łatwo, jak niegdyś szlacheckich chwytała się głów szlacheckich, skoro go stawia na piedestale przywileju. Spory odłam inteligencji popiera zresztą ludowcowskość w najlepszej wierze, jako najgruntowniejszą rękojmię rozwoju społeczeństwa z pomocą tej warstwy, która obdarzona ma być największą siłą twórczą, uważana nadto za prawarstwę.

W zgiełkowej gromadzie dyletantów politycznych są tacy, którzy pragnęliby, by tylko lud wiejski posiadał wpływ stanowczy w państwie, a nawet, by naród stał się wyłącznie chłopskim, żeby inne warstwy przestały istnieć, a przynajmniej żeby zeszły na

daleki plan wobec chłopów. Takie rzeczy bywały już w historii. Serbia i Czechy, tudzież Norwegia dostarczyły przykładów społeczeństw wyłącznie chłopskich. A czyż Czesi nie wyprzedzili nas pod tymi względami?

Historyk musi się jednak zastrzec, że Czesi nie dlatego czynili tak dziwnie szybkie postępy w XIX w., ponieważ stali się narodem wyłącznie chłopskim, ale... pomimo tego. Gdyby bowiem byli pozostałym społeczeństwem normalnym, tj. wielowarstwowym w okresie 1620-1820, nie byliby dopuścili do germanizacji, byliby decydowali o polityce Habsburgów i nie byłoby dziś Niemców w Chebie, ani też nie byłoby okresu pruskiego panowania we Wrocławiu, ni w Poznaniu. Z walnej bitwy na Białej Górze (1620), z walnej przegranej sprawy słusznej, zrodziło się jak zawsze w takim wypadku wiele przekleństw dla ludzkości. Czy Europa popadłaby w grzęzawisko militarizmu, gdyby w samym jej środku utrzymał się był naród czeski przy jakichś takich wpływach politycznych? Ale społeczeństwo wyłącznie chłopskie wpływów nie posiadało żadnych – i nie posiadało ich, aż około połowy XIX w. zaczęło się w Czechach znowu różniczkowanie społeczne.

Jeżeli społeczność, dopuszczająca do przerostu jednej warstwy ponad inne, przestaje być społeczeństwem (normalnym), jakżeż można by uznać za społeczeństwo społeczność jednowarstwową? Żadną miarą. Społeczeństwo jest to społeczność zróżniczkowana.

W zróżniczkowanym społeczeństwie muszą być z natury rzeczy rozmaite interesy częściowe, opierające

się na różnicy pojęć w danym zakresie (nie mówiąc o egoizmach stanowych). Jeżeli tedy pewna warstwa staje się uprzywilejowaną i posiada przewagę polityczną nad innymi, narzuca tym samym całości swoje pojęcia.

Jeżeli narzucenie takie uda się, nastąpi musi stagnacja rozwoju umysłowości w danym społeczeństwie, boć i ten rozwój dokonuje się także przy pomocy różniczkowania; skoro tego braknie, obumierają całe działy życia zbiorowego, aż wreszcie społeczeństwo znajdzie się na drodze wstecznej, stając się społecznością coraz mniej złożoną. Bywają społeczności defektywne; np. polskie od „potopu” do Trzeciego Maja skutkiem wyłączności szlacheckiej, a czeskie od bitwy, na Białej Górze aż do odrodzenia

w połowie wieku XIX skutkiem wyłączności ludu wiejskiego, jakkolwiek powody tej a tamtej wyłączności całkiem inne, bo tu tkwiące w sprawach zewnętrznych, a tam w wewnętrznych, skutki jednakowe: zastój. W razie narzucenia ogółowi pojęć pewnej warstwy dodać trzeba jeszcze jedną ujemną ewentualność, mianowicie pogłębienie niechęci stanowej, a w dalszym następstwie zanik zdadności do skutecznego przedsięwzięcia czynów ogólnonarodowych: upadek zbiorowej kultury czynu.

Jeżeli nie uda się narzucenie ogółowi pojęć cząstkowych, a dojdzie pomimo to do hegemonii politycznej jednej warstwy, rozstrój społeczny wstrząśnie podstawami państwa.

Najgorsza jednak zajść może ewentualność natenczas, gdy ogół inteligencji zmuszony jest stanąć w opozycji przeciw pojęciom warstwy, posiadającej hegemonię polityczną, lub choćby tylko stanowisko przewodnie. Rozbieżność pomiędzy warstwą kierującą rozwojem umysłowym, a kierującą rozwojem politycznym wychodzi w takim razie na rozbieżność twórczości umysłowej a politycznej w narodzie, z czego musi powstać po niedługim czasie rozbieżność kulturalna i to tak straszliwa, iż gdyby stan taki potrwał przez czas dłuższy, musiałyby rozprzęgnąć się sama więź narodowa i zagrożony byłby sam byt narodu, jako takiego, boć powstawałyby w takiej społeczności niejako dwa narody jednego języka, wzajemnie się nienawidzące i zwalczające z całych sił (w dzisiejszej Rosji dużo objawów tym się wyjaśnia).

Gdyby przeto wraz ze wzmaganiem się społecznego i politycznego znaczenia ludu w narodzie nastąpiło ustalenie się dzisiejszych pojęć ludowych na dłuższą przyszłość, to znaczy, gdyby lud wiejski, dochodząc do hegemonii, nie zmieniał pojęć swych, tych, jakie tkwiły w nim przed dojściem do hegemonii, natenczas nieuniknioną byłaby w narodzie rozbieżność kulturalna, gdyż pojęcia owe byłyby aż nazbyt niezgodne z tym, co inteligencja uważałaby za prawdziwe lub właściwe.

Szczyściem pojęcia ludowe są zmienne, a w Polsce okazuje lud bardzo wyraźną tendencję do asymilacji umysłowej z innymi warstwami.

Pojęcia ludowe zmieniają się ze wzrostem oświaty wśród ludu w ten sposób, iż stają się podobniejsze do pojęć panujących wśród inteligencji. Po niedługim czasie znać

pewien kompromis dwóch kategorii pojęć, a stan ten, w zasadzie przejściowy, mieści w sobie, niestety, więcej stron ujemnych, niż dodatnich. Źle się dzieje, gdy stan ten przedłuża się; nieszczęściem zaś ciężkim może być, a raczej musi, ustalenie się takiego stanu, który przez brak stanowczego określenia wyobrażeń i pojęć jest nijakością kulturalną i może się łatwo wyrodzić w akulturalność. Fatalną tedy wyrządzają szkodę narodowi ci, którzy stan przejściowy przedłużają; którzy powstrzymują lud od wyzbywania się pojęć niezgodnych z pojęciami inteligencji. Jeszcze gorzej przysługują się tacy, którzy pojęcia ludowe czynią punktem wyjścia swych doktryn. Obydwa rodzaje szkodników tych tym są niebezpieczniejsze, im więcej pośród nich dobrej woli.

Życie zbiorowe bez porównania bowiem więcej ponosi szkód od ludzi dobrej woli, lecz nieroztropnych, niż od ludzi złej woli, przed którymi ogółowi zawsze łatwiej się obronić.

Lud sam zmierza ku temu, by porzucić odrębne swe pojęcia, a zatem (choć brzmi to paradoksalnie) lud oświecający się niszczy ludowość. Jeżeli tedy lud posiada wyższy stopień oświaty zawczasu, zanim ulegnie propagandzie ludowcowości, w takim razie kulturze narodowej przynajmniej nie grozi niebezpieczeństwo. Gdyby jednak władztwo ludu dokonywało się przy zachowaniu ciemnoty ludowej, byłoby to najstraszliwszą pod każdym względem katastrofą.

Dążność ludowa do asymilacji umysłowej z warstwami nieludowymi musi w Polsce doprowadzić do wprowadzenia historyzmu pomiędzy lud wiejski. Zbyt jesteśmy przejści historyzmem, żeby się miał nie udzielić ludowi, skoro ten lud wchodzi na drogę świadomości narodowej. Czyż nie słyszymy coraz częściej argumentów historycznych w przemówieniach zawodowych mówców „wiecowych”? Charakterystyczny to objaw.

A jest drugi, niemniej charakterystyczny. Spostrzeżono słusznie, że lud okazuje coraz wyraźniej na arenie politycznej wszystkie dawne przywary szlacheckie z XVIII wieku. Tłumaczyć to można tym, że mimo woli, ulegając pewnym siłom, wchodzi lud w kolej przeżytków szlacheckich również w dziedzinie życia publicznego, ponieważ zaś chyżość postępu wśród ludu staje się bądź co bądź coraz większą, miejmy otuchę, że znajdujemy się już w przededniu dalszego szlachty naśladowania, mianowicie

patriotyzmu jej z wieku XIX, kiedy olbrzymia większość szlachty w imię historyzmu gotową była każdej chwili na ofiarę mienia i życia, składając w każdym pokoleniu istne hekatombę na ołtarzu miłości Ojczyzny, zapominając zupełnie o samolubnych własnych interesach. Tak jest. Widocznym jest rozpęd w tym kierunku, od szlacheckich do szlacheckości i szlachetności życia zbiorowego: tradycja kościuszkowska, wspólna tej i tamtej warstwie przeprowadzi włościanina poprzez rozstaje na prawą drogę. Nie rozpaczajmy z tego powodu, że obecnie stare wady szlacheckich aż rażą w ludzie wiejskim, w jego zachowaniu się wobec Ojczyzny. Naśladowanie zaczynać się zwykło od rzeczy zewnętrznych i od cech ujemnych, jako od łatwiejszych; ale to stan przejściowy.

Pilnujmy, żeby kulturę polską utrzymać na wysokim poziomie, a chłop polski wzniesie się także wyżej. Byle nauka polska, sztuka, organizacja życia zbiorowego czyniły postępy, a sprawa ludowa załatwioną będzie przez prostą konsekwencję układu sił narodowych, które samym ruchem swym lud wciągną w prąd główny życia narodowego. Niechby inteligencja mniej czasu traciła na politykowanie, a spełniała za to dokładniej pierwszy swój obowiązek, jakim jest pogłębianie wykształcenia naukowego w społeczeństwie, a i polityka potoczyłaby się lepszym torem. Troszczmy się o to, by lud, gdy dojdzie do pojęcia nie tylko praw, ale też obowiązków względem Ojczyzny, znalazł w polskości nie tylko historyzm, lecz dostateczny zasób wyrozumowanych należycie kontynuacji polskich pojęć na nowoczesną modłę. A tego nie da społeczeństwu wykształcenie broszurkowe, do tego trzeba nauki.

W Polsce nietrudno wejść ludowi na tory historyzmu. Ułatwienie znajdzie w owej przesadzie ludowości, o której wyżej była mowa, a która będzie miała wielką praktyczną doniosłość, a nader korzystną dla ogólnej ekonomiki życia narodowego. Teoretyczne pomyłki bywały nieraz punktem zaczepienia dla praktycznych dorobków. Dowodów na to mnóstwo w historii, począwszy od odkrycia Ameryki, dokonanego dzięki myłce w obliczeniach geograficznych, aż do współczesnych niektórych odkryć chemicznych. Byle celu nie spuszczać z uwagi, byle dobra wola kierowała myślą, dochodzi się do celu i poprzez pomyłki.

Przesada ludowości nadaje taki szeroki podkład ludowy Polsce, iż ludowi musi ona

być swojską. Pomyłka okaże się dobroczynną. Lud, zsolidaryzowany z polskością, nie odrzuci historyzmu, a dopomoże pozbyć się przesady w tamtej znów dziedzinie. I tak historyzm a ludowość mogą doprowadzić polskość do wspaniałej syntezy nowoczesnego życia. Jedno i drugie spełni swą rolę przygotowawczą, w czym... nie przeszkadzajmy!

Zaczęliśmy roztrząsania nasze od rozważania zarzutu, czy nie za dużo u nas historyzmu, a wypada nam z obliczeń, że raczej ludowości za dużo w ostatnich czasach, ale że może nam to wyjść na dobre, jeżeli historyzm wszczepiony będzie w ludowość.

Nie z tej tedy dziedziny mogłyby wyrastać wątpliwości, czy Polska zdoła być państwem nowoczesnym: nie stąd przeszkody do naszego celu.

Nie ulega wątpliwości, że znaczenie narodu w nowoczesnym porządku rzeczy zawisło w znacznej mierze od jego ludowości, boć bez niej naród nie zdołałby utrzymać się na powierzchni życia europejskiego, ale bez historyzmu suwałby się ledwie po powierzchni, nie zapuszczając korzeni. Możemy być najlepszej otuchy, skoro zanoszą się u nas na to, że historyzm a ludowość będą się wzajemnie uzupełniały. Nowoczesność polska, łącząc się z tradycją, na niej się opierając, wytworzy nowoczesną kulturę, a nie tylko frazeologię; postęp kultury polskiej będzie polegał na pogłębieniu jej, a nie na rozproszeniu jej pierwiastków. Dzięki historyzmowi można się wybić z pod władzy frazesu, uniknąć płytkości i czczości ludowcowości, dzięki zaś ludowości można wyrabiać na nowo kulturę czynu.

Podkład ludowy mieści w sobie nieocenione skarby Ethosu, jak w ogóle wszelkie oddziaływanie z dołu w górę zawiera wiele rozmachu, dużo wzmożenia woli. Do zdrowia społecznego trzeba jednakże, jak wiemy, drugiego jeszcze prądu: oddziaływania z góry w dół, a to mieści się w historyzmie, w pielęgnowaniu tradycji.

Stosunek myśli do czynu stanowi o zdatności osiągnięcia celu. O ile ludowość niesie z sobą pochoćność do czynu, o tyle historyzm winien stanowić czynnik myśli, i przez tradycję nawiązywać do myśli poprzednich pokoleń, a wzmacniając myśl dnia dzisiejszego ciągłością myśli narodowej, wzmacniać zarazem kulturę czynu, dostarczając działalności dzisiejszej podstawy ze syntezy czynów przeszłości. W tym znaczeniu, w takim ideowym zastosowaniu staje się historyzm niepoślednią częścią Logosu

polskiego.

Co historyzm rozważy, niechaj to ludowość wykona. Historyzm posiada łatwość myślenia celowego, bo tylko celowością wznosi się ku przyszłości; wszak historyzm nie jest niczym innym, jak celowym zwracaniem się ku przeszłości, ażeby sobie ułatwić osiągnięcie pewnych celów w przyszłości. Dlatego historyzm nadaje się wielce na pomost od rozumu do woli, na łącznik Logosu z Ethosem. Historyzm nie jest bowiem kategorią jakąś samego tylko intelektualizmu, gdyż zawierając w sobie wyniki doświadczenia dziejowego, zbliżony jest również do empiryzmu.

Kłóci się jeszcze kiedy niekiedy historyzm z ludowością. Logos z Ethosem w Polsce, myśl niezgodna z czynem, rozumowanie niezgodne z rzeczywistością, ale takich zaburzeń coraz mniej w dziedzinie ducha narodu. Odzyskanie niepodległości wyprowadziło wszelkie objawy tego ducha na większą i widocznieszą arenę, a że strony ujemne krzykliwsze bywają, więcej też zwrócą na siebie uwagi, więc wydaje się, jakoby były liczniejsze i mocniejsze. Stąd pomyłki. Ale i w tym wypadku zwróćmy uwagę na coś niezmiernie prostego, choć nieraz przykrego, a mianowicie, że trzeba nam przecierpieć kurs nauki o tarcu...

Nie mało zaburzenia w życie zbiorowe wznowionego państwa wprowadzić musi pełna wyteżenia walka o byt, gdy tymczasem chciałoby się tworzyć wartości historyczne ponad współczesnością i z poza walki o byt. Odczuwa się kulę u nogi. Nie można pracować, jakby należało i jakby się pragnęło, około wyższych celów, nie mając zapewnionego samego bytu. To samo prawidło obowiązuje pod tym względem tak życie jednostki, jako też najszersze zbiorowe: *primum vivere, deinde philosophari*. W tej kategorii tarcie trwa jednak zawsze, nigdy nie ustające; chodzi tylko o to, by nie było zbyt ostre, by społeczeństwa nie absorbowano całkowicie przez czas zbyt długi. Na manowce zszedłby atoli, kto by chciał tarcie to ignorować, lub samemu odeń się usuwać.

Cel z poza walki o byt da się osiągnąć o tyle, o ile sama owa walka o byt toczona jest zwycięsko; O tym, by jej nie toczyć, rozsądny człowiek nie może ani nawet na chwilę pomyśleć, bo to absurd. Dlatego to walka o byt stanowi nawet obowiązek, pierwszy, bo bez pomyślnego jej toku nie można się zabrać do spełniania żadnego a żadnego

obowiązku w ogóle. Ethos ulega wypaczeniu, a Logos pierzcha, gdzie nie wypełniono obowiązku pierwszego. Ethos wymaga dla siebie fundamentów; na obowiązku pierwszym wznosi się drugi i dalsze, a gdzie tak nie jest, tam owe dalsze przechodzą we frazes czczy, nigdy nie mogąc być w czyn wcielane.

Przebiegłszy tedy w krótkości granice możliwości życia zbiorowego w dwóch zasadniczych jego kategoriach: historyzmu i ludowości, zaczniemy rozpatrywanie polskiej kultury umysłowej od sfery najbliższej walce o byt. Faktem jest, że o powodzeniu państwa rozstrzygają te same pierwiastki walki o byt, co w życiu prywatnym. Gdybyśmy byli narodem bogatym, o) kwitnącym handlu i przemyśle, iluż kłopotów politycznych nie bylibyśmy – całkiem zaznali!!

Trzeba przeto przyjrzeć się krytycznie naszej zdadności do walki o byt, chcąc sobie wyrobić zdanie o tym, czy nadajemy się na twórców nowoczesnej państwowości, czy możemy zająć w nowoczesnym świecie stanowisko podobne do zajmowanego zaszczytnie niegdyś w przeszłych wiekach, czy i teraz posiadamy warunki, żeby być pożytecznymi ogólnemu pochodowi cywilizacji. Czy zda się na co polskie philosophari, zależy od tego, czy potrafimy o własnych siłach vivere.

Całe nasze znaczenie zawisłe od tego, następnie i to jeszcze, czy cel nasz może posiadać wartość realną, czy też być mrzonką.

Zaczynamy dla tych przyczyn przegląd polskiej kultury umysłowej od pytania, czy umiemy wieść walkę o byt: a że walka ta toczy się przede wszystkim około darów przyrody, ku nim tedy najpierw skierujemy swe kroki.

Może te wywody, ku którym teraz zmierzamy, wydadzą się czasem suchymi; trudno tego uniknąć, ale obawa suchości nie zwolni od roztrząśnienia kwestii, bez których nasz przedmiot nie może się obejść żadną miarą.

Rozdział II. Dary przyrody.

Ażeby zorientować się w żywotności pewnego narodu, nie trzeba sadzić się na dalekie czy wysokie abstrakty. Wystarczy przyjrzeć się przyrodzie kraju i badać, jak urządzone tam jest życie w najprostszych, powszednich objawach, wystarczy rozejrzeć

się w sposobach jego walki o byt, boć ona zawiązką wszystkiego dobrego i złego w stosunkach ludzkich. Chodzi o to, czy uszlachetnia się czynności, wypływające z prostej walki o byt, wciągając je w zakres wyższy, bo w dziedzinę życia umysłowego. Czy doszło się np. w danym kraju do tego szczebla kultury, żeby uprawiać gospodarstwo na podłożu naukowym?

Polska jest krajem rolniczym, zapisanym w bilansie europejskim już od połowy XV w. jako „spichlerz Europy”; słusznie zaś zwrócono uwagę, że była dla niej także „spizarnią”.¹³ Już pod koniec XIV w. przyplýwało do Gdańska przeszło 300 okrętów cudzoziemskich po zboże polskie, a ruch ten wzrastał z każdym stuleciem. Olbrzymi był też zawsze eksport bydła. W wiekach XVI i XVII wywożono co najmniej 80.000 sztuk rocznie na Zachód; w czasie pierwszego rozbioru wartość wywozu za same woły wynosiła 8 milionów zł., nie licząc cieląt i wywozu solonego mięsa. Około r. 1885 sama Galicja wywoziła corocznie na zachodnie targi austriackie 85.000 sztuk wołów, 165.000 cieląt, 335.000 świń i 372.000 owiec; jaj zaś i drobiu wartości około 40 milionów koron, a Galicja przedstawiała zaledwie szóstą część zasobów polskich. Nadto stwierdzono już z początkiem XVIII w., jako „zdaje się, że nie ma na świecie ziemi bardziej obfitującej w konie”.

A bogactwa kopalne? Oprócz niezgłębionych zapasów Śląska Górnego, samo zagłębienie węglowe Dąbrowskie liczy (w obliczeniu najbardziej pesymistycznym) 440 km² z zapasami węgla, nadającego się do wydobycia, około dwóch miliardów ton. W pięciu kompleksach Kongresówki zalega ruda żelazna, czyniąc około 300 milionów ton; nadto w Galicji znajdują się sferosyderyty na całej przestrzeni od Białej po Kutę, trafiają się też

¹³ Korzystam tu i w następnych rozdziałach do I włącznie, w ustępach 4 i 6 rozdziału IX i w ustępie 5 rozdziału X, w znacznej części z materiału, nagromadzonego w dwutomowym dziele: „Polska w kulturze powszechnej”. Dzieło zbiorowe pod redakcją Feliksa Konecznego. Część I, ogólna, str. XXIII, 419; część II, szczegółowa, str. XXV, 649. Kraków 1918, staraniem i nakładem polskich Spółek oszczędności i pożyczek, pozostających pod patronatem galicyjskiego Wydziału Krajowego. Odnaleźć właściwe miejsce bardzo łatwo wobec systematycznego układu dzieła, szczegółowego streszczenia każdego artykułu z podaniem stronicy poszczególnych ustępów, tudzież dokładnego indeksu. Sądy, czerpane od współpracowników tego dzieła, podawane są w cudzysłowach.

rudy brunatne i darniowe. Okrąg krakowski zawiera w części zachodniej cenne rudy ołowiane i najcenniejsze ze wszystkich rud krajowych rudy cynkowe. Jest w kraju ołów, jest siarka (i to obficie), jest galman, nie mówiąc o marmurach polskich, o torfowiskach itd. A ponad tym wszystkim królują: sól i nafta. Wosk ziemny znajduje się tylko u nas, pod względem zaś wydajności gazu ziemnego zajmuje Polska drugie miejsce na kuli ziemskiej.

Ale dary przyrody nie stanowią jeszcze żadnego tytułu kulturalnego. Chodzi o to, jak się z nimi postępuje, czy się umie gospodarować nimi kulturalnie?

Dzieje polskiego żupnictwa sięgają wstecz bez przerwy do XI stulecia; kopalnie ołowiu wykazują się przywilejami królewskimi od r. 1415 (w Trzebini), z czarnego marmuru w Czerny pod Krzeszowicami jest wewnątrz wiedeńskiego tumu świętego Szczepana. Gubią się w pomroku dziejów zawiązki naszych warzeln soli, tudzież wielkich salin bocheńskich i wielickich. Od wieków też towarzyszyło im podłoże naukowe. Jan Brożek wykonywał tam w XVI w. niejednokrotnie pomiary podziemne.¹⁴ Francja XV w. czerpała wzory z organizacji górnictwa polskiego (w edykcie Ludwika XI z r. 1471). Górnictwo rudy cynkowej w Krakowskim trwa od początku XVIII w. Najstarsza kopalnia węgla kamiennego (w Jaworzniu) założona jest w r. 1805, a więc wcale nie późno w stosunku do poczynającej się ledwie wówczas „ery węglowej” w Europie. Najnowszy zaś z produktów kopalnych, naftę, sami odkryliśmy również na naszej ziemi, i to nie mając z Europy żadnego przykładu. W r. 1853 Ignacy Łukasiewicz, prowizor apteczny we Lwowie, wydestylował z ropy właściwą naftę; pierwsza lampa naftowa oświetliła szpital powszechny we Lwowie, skonstruowana przez lwowskiego blacharza, Bratkowskiego. Pierwsza spółka do wydobywania ropy i pierwsza destylarnia 1856 r. były czysto polskie. Od r. 1859 wypiera nafta tzw. hydrokarbid, i materiał świetlny, otrzymywany z pewnego rodzaju łupku, przywożonego jako balast okrętowy ze Szkocji do Hamburga. Pierwsza ankieta celem ułożenia prawodawstwa naftowego odbyła się u nas w r. 1868. W Galicji powstały pierwsze produkty przemysłu rafineryjnego: olej

¹⁴ Do pomiarów podziemnych zbudował w r. 1795 Jan Konarzewski nowy grafometr, który zyskał w r. 1803 uznanie paryskiej Akademii Nauk.

solarowy i olej maszynowy (wyrabiany w Ameryce dopiero po r. 1870, a w Rosji po 1880). Starem przeto jest polskie górnictwo, a wciąż przybywało mu nowych gałęzi, od XI do XIX wieku.

Hodowla zwierząt jest też starej daty, skoro już w XVI w. panowała w rozmaitych ziemiach polskich wielka różnorodność ras, zróżnicowanych stosownie do terytorialnych warunków przyrodzonych i gospodarskich w liczne swoiste odmiany i zawody. Rodzime bydło „czerwone” zwraca na się coraz bardziej uwagę znawców zagranicznych, stanowiąc prawdziwą chlubę naszych zabiegów hodowlanych. O krótkouche świnie nasze dopytywano się jeszcze przed niewiele laty celem wywozu na materiał rozplodowy do Anglii. Są polskie rasy kóz, są też królików, a wśród drobiu słyną nasze „zielononózki”, jako najbardziej jajonośne. Cóż mówić o koniu? Wszak język nasz posiada 74 nazw na konia, wszak w polskiej sztuce (Kossak) odtworzony on z największym zamiłowaniem. Mnogość stadnin zadziwiała z dawna cudzoziemców, a polski koń bojowy był naszą specjalnością...

Uczestnictwo polskie w nauce zootechnicznej zaczyna się od r. 1570. Dzieło Adama Micińskiego „O ograch i świerzopach” wyprzedziło o osiem lat pierwszą niemiecką książkę o koniach. W r. 1608 drukuje się „Hippika” Dorohostajskiego i odtąd dział ten uprawiany bywa bez przerwy aż do naszych czasów. „O psach gończych” publikuje w r. 1608 Jan Ostroróg. Ichtiologia polska poczyna się również w XVI jeszcze wieku (Strumieński). Bibliografia polska odznacza się tu pewną ciągłością aż, do czasu, kiedy oparto się na ścisłej metodzie naukowej, o czym będzie słówko niżej.

Polskie piśmiennictwo rolnicze zaczyna się od r. 1549. a więc bardzo wcześnie. W najgorszym okresie dziejów polskich, w wieku XVIII., wyszło 146 dzieł polskich treści rolniczo-technologicznej. Szkolne nauczanie rolnictwa zaczęło się u nas w r. 1774. Wiekopomna Komisja Edukacyjna, owo pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, kazała nauczać rolnictwa i ogrodnictwa praktycznie w szkołach elementarnych, a w wydziałowych także w formie wywodów wykładowych po dwie godziny tygodniowo, począwszy od klasy trzeciej. Wyprzedziła tym Polska inne organizacje nauczania publicznego w całej Europie. Na ogół sprawy rolnicze nie stały u nas m gorzej, ni niżej, niż

we Francji lub w Niemczech; zresztą kiedy r. 1783 ustalono ostatecznie program wykładów rolniczych, wciągnięto do prac tych także współpracowników obcych, specjalistów Borelli'ego z Berlina i Francuza Dupont de Nemours.

Dopiero od początku XIX wieku zaczynają się w Europie studia rolnicze teoretyczne, istotnie naukowe. Nie spóźniła się w tym Polska, a jeżeli w czymś wyprzedzono nas o lat kilka lub kilkanaście, wyda się stosunek ten raczej pospiesznym zrównywaniem kroku, skoro zważywszy, że Polska właśnie przestała być państwem niepodległym, a Napoleon niepodległości prawdziwej bynajmniej nie przywrócił. Księstwo Warszawskie było przez cały czas istnienia (1806-1814) tylko obozowiskiem napoleońskim, a „Królestwo”, utworzone (z mniejszej połowy Księstwa) na kongresie wiedeńskim 1815 roku, stanowiło doczepek tylko do imperium rosyjskiego, zależne od Petersburga nie tylko politycznie i ekonomicznie, ale w znacznym stopniu nawet pod względem administracyjnym.

Już tedy w r. 1810 zabiera się warszawskie Towarzystwo Gospodarczo-rolnicze do „amelioracji gospodarstwa krajowego przez pisma”, a w Łomnej na Podlasiu miano założyć instytut rolniczy doświadczalny. Dalsze wojny napoleońskie i przewroty polityczne przerwały wykonywanie projektu. Jedną z pierwszych w Europie powstała jednak w Wilnie katedra gospodarstwa wiejskiego, skoro tylko udało się odzyskać uniwersytet wileński dla kultury narodowej. We dwa lata potem urządziło Królestwo Kongresowe Instytut agronomiczny w Marymoncie pod Warszawą, zaopatrzone w obszerne pola doświadczalne.

Pozbawionymi natomiast wiedzy rolniczej miały pozostać zabory austriacki i pruski. Na próżno upominał się galicyjski „sejm stanowy” 1823/24 r. o założenie szkół rolniczej, leśnej i weterynaryjnej. Wkrótce zamknięto uniwersytet wileński za to, że Litwa stanęła w powstaniu 1831 roku za jedno z Polską. Główny wileński profesor rolnictwa Oczapowski przenosi się natenczas z Wilna do Marymontu, gromadząc koło siebie grono wyborowe pracowników naukowych. Niebawem zaczynają wychodzić słynne „Roczniki Gospodarstwa Krajowego” (od r. 1842), a w r. 1858 uzyskano nareszcie po długoletnich staraniach u rządu rosyjskiego pozwolenie na założenie Towarzystwa Rolniczego. Jak

wielką i zaszczytną rolę spełniło ono w dziejach narodowych, wiadomo każdemu Polakowi. Wiadomo i to, że danym mu było istnieć zaledwie trzy lata, a jednak starczył mu ten czas krótki, by poprawiać dolę ludu, organizować ziemian i szerzyć wiedzę zawodową. Rozwiązanie Towarzystwa w r. 1861 stało się wstępem do najsmutniejszego okresu dziejów porozbiorowych, i odtąd aż do r. 1890 nie było w Kongresówce żadnego towarzystwa rolniczego, bo rząd nie dopuszczał żadnego stowarzyszenia się.

W r. 1862, jeszcze tedy przed wybuchem powstania styczniowego, zawieszono „Roczniki”, a zakład marymoncki przeniesiono dalej od Warszawy, reorganizując go w „Instytut Rolniczo-Leśny” w Puławach. Powstanie przerwało atoli te prace, a gdy rząd rosyjski podjął je na nowo w r. 1869, powstał z tego rosyjski „Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa”. Na razie pozostawiono przynajmniej polskich profesorów, a ci, chociaż zmuszeni do wykładania i prowadzenia administracji po rosyjsku, stanowili bądź co bądź jakiś punkt oparcia dla polskiej pracy naukowej rolniczej. Usuwano ich jednak stopniowo, przysyłając na ich miejsce Rosjan, aż w r. 1889 został się jeden tylko Polak obok 14 profesorów rosyjskich. Ci nie znali zgoła kraju, nie mieli pojęcia o naszych warunkach gospodarczych, to też „Instytut” stracił wszelkie znaczenie dla polskiego rolnictwa; liczył też w ostatnich latach ledwie 20 (dwudziestu) uczniów.

Podczas gdy wszędzie w Europie rząd stawał na czele postępu w gospodarstwie, popierając z całych sił rozwój wiedzy rolniczej, w Polsce jedyny rządowy zakład tego rodzaju był... antypolskim.

Spółeczeństwo byłoby chętnie zakładało i utrzymywało środkami prywatnymi niejedyn taki zakład, ale długo rządy zaborcze nie dopuszczały tego. Wszak nie dopuszczano ani nawet towarzystw kredytowych rolniczych! Od r. 1822 kołatać trzeba było w Wiedniu przez 19 lat, zanim zezwolono w r. 1841 na założenie galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. Na Towarzystwo Gospodarskie uzyskało się zezwolenie dopiero w r. 1845; ale tegoż jeszcze roku odmówiono pozwolenia na towarzystwo akcyjne budowy spichrzy zbożowych!

Po wielu zachodach udało się wreszcie galicyjskiemu Centralnemu Towarzystwu Gospodarskiemu we Lwowie założyć w r. 1856 wyższą szkołę rolniczą w Dublanach pod

Lwowem. Podobnemu Towarzystwu w Wielkim Księstwie Poznańskim powiodło się aż dopiero w r. 1870 otrzymać zezwolenie na wyższą szkołę rolniczą, którą ziemianie wielkopolscy wyposażyli z prywatnych swych funduszków i założyli w Żabikowie pod Poznaniem.

Pomimo ciężkich warunków rozwijała się jednak polska wiedza rolnicza, czynna zawsze w naukowym ruchu europejskim. Dowodem, że również inżynieria polska wyrabiała w swym' zakresie specjalny dział rolniczy, choćby dwutomowa „Hydraulika agronomiczna” Józefa Spornego (1860-1861).

Po Marymoncie zostało wspomnienie „marymonckiej mąki”, która weszła w przysłowie na świadectwo uprawiania selekcji ziarna w tym zakładzie. Metodyczna taka selekcja zaczyna się w Anglii w r. 1819, we Francji w r. 1825, podczas gdy Niemcy są w tym przedmiocie bardzo spóźnione, gdyż ich hodowle pszenicy poczynają się rozwijać na dobre dopiero około r. 1860. W Polsce kwitła za dawnych jeszcze czasów hodowla sadownicza i zbożowa. Wytworzyły się u nas trzy główne rasy pszenicy ozimej, a z nich dalsze odmiany. Dochowały się następnie ciekawe wiadomości o postępowaniu co do doboru nasion pszenicy „kujawskiej” (z.r. 1859), w Płockiem „Sarnowskiej”, a potem i „puławskiej”, niewiele zaś później rozwinęły się hodowle w Wysokiem Litewskim (koło Brześcia Litewskiego) i w Dankowie w powiecie grójeckim, ta ostatnia sięga już doby nowszej, gdyż powstała w r. 1880.

Świetna praktyka hodowlana szerzyła się i bez opieki rządu po całej Polsce, a towarzyszyła temu teoria uczona. W Żabikowie było skrajne skrzydło opozycji przeciw panującej powszechnie teorii Liebiga, nie uwzględniającej roli azotu, a głoszącej prawo bezwzględne zwrotu pokarmów roślinnych, zabranych glebie. Gdy w r. 1869 akademia rolnicza w Bonn-Poppelsdorf na ogłoszonym przez się konkursie przyznała nagrodę pewnej pracy, miażdżącej wprost teorię „mineralną” Liebiga ze stanowiska nowej szkoły „ekonomicznej”, okazało się, że autorem jej jest polski „ekonomista rolniczy”, Dr. Juliusz Au. Jego też powołano na dyrektora do Żabikowa, gdzie atoli ledwie osiem lat pracował, gdyż rząd pruski, niechętny rozwojowi rolnictwa wśród swych polskich poddanych, zamknął nam tę szkołę w r. 1878. Jak niegdyś Oczapowski przenosił się z Wilna do

Marymontu, podobnież peregrynował teraz Au z Żabikowa do Dublan.

Odtąd aż do r. 1890 były „Dublany” jedyną wyższą uczelnią rolniczą w Polsce. Od r. 1878 zamieniona na Akademię, przeszła na etat publiczny, krajowy (nie państwowy). Celowała doborowym gronem profesorskim. Obok dyrektora Aua odznaczał się najbardziej profesor Emil Godlewski, którego imię stać się miało sztandarem polskiej wiedzy rolniczej.

W r. 1870 rozpoczął Godlewski; wspólnie z Dobrskim swe prace nad absorpcyjnymi właściwościami ziemi ornej. I on szedł przeciw Liebigowi, a zarazem wykazał mylność mniemania Briosi'ego, jakoby tłuszcz był pierwszym produktem przyswajania: wykazał, że jest nim skrobia. W następnych latach (1872-73) odkrył, że rośliny mogą sobie przyswajać kwasu węglowego kilkaset razy więcej, niż go znajduje się normalnie w powietrzu. Stwierdziły też późniejsze badania nasuwający się z tego wnioski, że w dawniejszych okresach geologicznych było w powietrzu daleko więcej bezwodnika węglowego. Wszystkim studiom Godlewskiego towarzyszą cenne, doniosłe dla nauki odkrycia. Badając biologię tzw. wyplenienia, obmyślił przy tym własną metodę eksperymentalną przez co wprowadził tę część fizjologii roślin na nowe tory. Epokowe wprost znaczenie mają jego badania nad wzrostem roślin i nad oddychaniem roślinnym, a wyniki tych studiów weszły już we wszystkie podręczniki fizjologii. Wielkie ożywienie wśród fizjologów wywołał ogłoszoną r. 1884 własną teorią ruchu wody w roślinie, która rozbiła świat naukowy na dwa obozy. Ale to wszystko – częścią dopiero jego zasługi naukowej. Studiami nad rozkładem białka zdobył sobie miejsce pierwszorzędne w nauce europejskiej, tak dalece, iż bez niego niepodobna wyobrazić sobie chemii rozwoju białka; cały ten dział nauki związany jest najściślej z imieniem polskiego uczonego. Podobnież odznaczył się przy badaniach drobnoustrojów zamieniających amoniak na azotyny. Wyniki jego dociekań nad nitryfikacją przyjęły się powszechnie. Żeby tu dotknąć po słówku najważniejszych tylko działów czynności naukowej Godlewskiego, wspomnijmy jeszcze, jak sprostował błędne mniemania szkoły wiedeńskiej co do żużli w rolnictwie. W r. 1900 wykazał mianowicie „dowolność i bezpodstawność wiedeńskich badaczy Meissla i Reitmeira, gdy ci każą rolnikom płacić za całą ilość kwasu fosforowego w żużlach

bez względu na jego rozpuszczalność (w płynie cytrynianowym)”. Czerpało się po wielekroć wskazania praktyczne ze studiów Godlewskiego.

Odkrycia jego, posiadające trwale znaczenie dla nauki, dokonane były niemal wyłącznie (gdyż prócz niedługich tylko pobytów w Jenie i Wuerzburgu) w polskich laboratoriach (Warszawa, Kraków. Lwów politechnika i Dublany), co nieobojętne dla polskiej kultury naukowej.

W r. 1890 powstaje przy uniwersytecie Jagiellońskim Studium rolnicze, a Godlewski obejmuje jego kierunek. Pod jego przewodem rozwija się Studium świetnie. Szereg nowych katedr i pracowni zezwala na szybsze tempo rozwoju polskich badań naukowych, a z laboratoriów coraz obfitsze wychodzą plony.

Tegoż roku 1890 dozwolono w Kongresówce przynajmniej na okręgowe towarzystwa rolnicze, a w 7 lat potem uzyskano wreszcie możliwość utworzenia organizacji na wielką skalę Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Poczynają się w Kongresówce mnożyć stacje doświadczalne, a wszystkie kosztem prywatnym. Rozszerza się znakomicie prąd polskiej wiedzy rolniczej.

Istnieje cała szkoła Godlewskiego, zaczynająca się od Jentysa i Polzeniusa, współpracowników nad oddychaniem śróddrobinowym, a wydająca wciąż nowe imiona ku zaszczytowi nauki polskiej. Jentysa gruntowne badania nad skrobią odbiegły od powszechnych do niedawna, a mylnych o tym przedmiocie wyobrażeń; on też był pierwszym, który wykazał, jak ogromna zachodzi różnica w przyswajalności azotu moczu i kału zwierzęcego i on wykrył szkodliwy wpływ większej ilości kału na wegetację. Obok Jentysa zaznaczył się wybitnie badaniami nad źródłami azotu Rogoyski, sprostował błędy nauki niemieckiej i dał pierwszy całkowite bilanse azotu. W dziedzinie nitryfikacji ważne są spostrzeżenia Niklewskiego (który wykazał korzystny wpływ próchnicy na nitryfikację) i Karpińskiego.

Tak pod najlepszymi auspicjami rozwinęła się szkoła Godlewskiego, rozkwitająca w naszych oczach coraz wspanialej.

Obok Godlewskiego stoi odmienna całkiem indywidualność Adama Prażmowskiego. Tamten wyłącznie uczony, pośrednio tylko odnoszący się do praktyki,

o ile nauka jego stawała się „stosowaną” ten zaś wyrywa się z laboratorium na świat szeroki, żeby organizować polski handel i organizacje rolników, i rozszerza tę swoją bezpośrednio praktyczną działalność w ten sposób, iż osobą swoją stanowi rozdział w historii handlu polskiego. Przez 20 lat zagląda do pracowni naukowej tylko chwilami, jakby dla wypoczynku po ruchliwości życia czynnego i publikuje niewiele, ale same rzeczy pierwszorzędne. Jedyny w Polsce człowiek, łączący aż tak teorię i praktykę, a w obu kierunkach wybitny i twórczy.

Wielkie są zasługi Prażmowskiego na polu bakteriologii w ogóle, a rolniczej w szczególności. On „dał podwaliny pod systematykę bakterii przez to, że pierwszy wykazał, że i u tych tak prostej budowy istot dadzą się wykazać pewne morfologiczne cechy, odróżniające od siebie niektóre gatunki bakterii równie stanowczo, jak morfologiczne cechy odróżniają od siebie różne gatunki roślin wyższych”. Szczególną doniosłość posiadają badania Prażmowskiego nad bakteriami brodawkowymi roślin motylkowatych. W r. 1886 odkrył Hellrigel, że rośliny groszkowe mogą korzystać z wolnego azotu powietrza, ale „dopiero Prażmowskiemu przypada zasługa udowodnienia w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że to właśnie owe bakterie brodawkowe uzdalniają rośliny groszkowe do wiązania wolnego azotu, a tym samym że one też decydują o użyźniającym glebę działaniu roślin groszkowych.

Zasadnicze odkrycia swe przeprowadził Prażmowski, będąc profesorem średniej szkoły rolniczej w Czernichowie pod Krakowem, na wsi oddalonej wówczas 30 km. od najbliższej stacji kolejowej. Szkoła owa, utrzymywana kosztem kraju (nie państwa!), nie posiadała wówczas jeszcze żadnej pracowni. Sposób, w jaki Prażmowski urządził sobie coś na kształt laboratorium, przypomina zaiste Robinsona na odludnej wyspie; ale pomimo całej swej wynalazczości musiał się i tak obchodzić bez gazu. Czy to będzie zrozumiałem dla uczonych zachodniej Europy?

Polskim uczonym przypada też „lwia część zasług” w zbadaniu odkrytego przez Beijerincka azotobakteru. W polskich pracowniach badano skutecznie warunki, w jakich dokonuje azotobakter wiązania azotu, tej czynności pierwszorzędnej dla ogólnej ekonomii. Decydujące słowo w tym przedmiocie przypadło pracy Krzemieniewskiego;

niemiecki botanik Behrens wyraził się o niej, że „stanowi dobroczynną oazę na pustyni bakteriologii gleby. Z licznych rezultatów jego badań najdonioślejszym jest odkrycie, że próchnica nie służy wcale za pokarm azotobakterowi, nie stanowiąc dlań źródła ani węgla, ani azotu. To też Krzemieniewski rzucił poniekąd nowe światło na rolę próchnicy w glebie. W tym kierunku pracowali też inni badacze polscy; po Niklewskim Dzierzbicki i dalsi. „i znowu tym, który największy postęp uczynił w tych badaniach, był Prażmowski”. Wyśledził cały cykl rozwoju azotobakteru i przyczynił się znakomicie do wyświeślenia roli próchnicy w jego życiu.

Wymienić tu można tylko najwybitniejszych; ale jak wielce można by tu wydłużyć szereg zasłużonych imion, pouczyć może najpobieżniejszy przegląd założonych przez E. Godlewskiego, redagowanych następnie przez Stefana Surzyckiego „Roczników Nauk Rolniczych”.

Rozwojowi wiedzy towarzyszy coraz większe zajęcie inteligentnego ziemiaństwa ze wszystkich trzech zaborów, czego świadectwem coraz liczniejsze hodowle, prowadzone wzorowo, tudzież mnożące się stacje doświadczalne. Wszystko to kosztem prywatnym, czasem z zapisu testamentowego (np. Sobieszyn z zapisu Kickiego), czasem ze składek obywatelstwa (np. Chojnów w ciechanowskim 1899 r.). Instytucji tego rodzaju, utrzymywanej ze skarbu publicznego, nie było ani jednej. Dopiero w r. 1902 wprowadzono hodowlę roślin w Dublanach dzięki profesorowi Miczyńskiemu. Wyniki były świetne, a dokonano też wielu spostrzeżeń związanych pośrednio z selekcją zbóż. Tak np. w Dublanach odkryto, od czego zawisła tęgość słomy, jak zmienia się ościstość owsa zależnie od czynników zewnętrznych itd.

Typowym przykładem, jak polska usilność hodowlana ograniczoną bywała niemal zawsze i wyłącznie do środków prywatnych, jest słynna nie tylko w Polsce hodowla ziemniaka Dołkowskiego na dzierżawionej przez niego małej wioszczynie Nowej Wsi pod Kętami. Wyhodowane przez niego odmiany odniosły rekord plenności i procentu skrobi w konkurencji z mnóstwem odmian niemieckich i innych, co stwierdziły zresztą same zakłady specjalne niemieckie w Berlinie i Hammersleben (w prowincji saskiej). Przeprowadzono też u Dołkowskiego skutecznie walkę z zarazą ziemniaczaną,

a doniosłości tej zasługi nie trzeba osobno tłumaczyć. Otóż folwark Polkowskiego, zastępujący znakomicie rządową stację doświadczalną, jaką rząd austriacki powinien był założyć, otrzymywał wszystkiego razem z austriackiego ministerstwa rolnictwa subwencji rocznej 2.000 (wyraźnie: dwa tysiące koron).

W szeregu wybornych naszych hodowli prywatnych wybił się na pierwsze miejsce zakład nasion, utrzymywany na większą skalę przez Baszczyńskiego w Niemierczu na Podolu (rozkwitnął pod kierunkiem Edmunda Załęskiego), z filią w Górcie Narodowej pod Krakowem. Tamże doprowadzono do wysokiej jakości hodowlę buraka cukrowego, którego polskie odmiany, hodowane w wielu stronach kraju, nie ustępują już żadnym innym.

W wielu okolicach rozwijało się znakomicie sadownictwo, lecz skutkiem szykan państw zaborczych nie zdołało przekroczyć pewnego punktu rozwoju. W Galicji np. taryfa na wywóz owoców do Niemiec obmyślona była w ten sposób, żeby zachęcać wprost do dyskwalifikowania owoców tej prowincji przez przesyłanie ich bez

cia, ale też bez opakowania, gdyż od owoców opakowanych wynosiło cło 400 do 600 K. od wagonu...

Jako zysk z poprzedniej rewolucji rosyjskiej, powstały w r. 1906 w Warszawie wyższe kursy rolnicze, których rząd przedtem nie dopuszczał, a które podczas wojny przeobrażono następnie w „Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego”. Nastąpiło też zreorganizowanie Puław: od r. 1917 tworzy się tam „Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego”, organizując stopniowo zamierzonych 19 jego działów. W Morach pod Warszawą powstała poważna stacja genetyczna. Tak doczekała się nareszcie Kongresówka polskich rządowych zakładów rolniczych.

W Galicji prócz uniwersyteckiego Studium rolniczego w Krakowie nie było zresztą ani jednej wyższej, średniej, ni niższej szkoły rolniczej, utrzymywanej przez rząd austriacki.

W pruskim zaborze nie dopuszczono ani nawet prywatnego polskiego zakładu rolniczego. Skazywano nas z całym wyrachowaniem na niższość rolniczą. A jednak polskie rolnictwo rozwinęło się tam tak, że w najgorszym razie, pesymistycznie obliczając, stanęło

na równi z niemieckim. Nasi rolnicy uczyli się wiedzy zawodowej pomimo szykan, jeździli po nią do Dublan, do Krakowa potem, a zawsze do... wszystkich szkół i akademii w rozlicznych państwach Rzeszy Niemieckiej.

Z natury rzeczy hodowla zwierząt domowych znajdowała się w warunkach jeszcze trudniejszych, wymagając znacznie większych nakładów i opieki tym większej, a skazana na prywatną wyłącznie zapobiegliwość obywateli, prześladowanych o to następnie przez rządy zaborcze.

Tradycje były bardzo dobre, pod niejednym względem wprost świetne. Nie tylko hodowla bydła rogatego wykazała się może w Polsce XVII i XVIII wieku licznymi „holenderniami”, które „były chlubą wielkich gospodarstw kluczowych, ale kwitły także hodowle inne np. owiec. Posiadamy świadectwo z połowy wieku XVII, jako po hiszpańskiej i angielskiej wełnie nasza trzyma pierwsze miejsce w fabrykach względem dobroci”. Cóż dopiero mówić o polskim koniu! W drugiej połowie XVI. wieku świadczy Włoch Graciani, jako „nie ma kraju, który by tak dzielne konie wydawał jak Polska. Konic te, acz nie rosły, prędsze są od tureckich i zwinniejszych od niemieckich. Karol V. wjeżdżał na polskim koniu do Madrytu i Turenniusz polskiego dosiadał rumaka. W najświetniejszych stadninach całej Europy starano się mieć konie polskie. Wiele pułków jazdy pruskiej zaopatrywało się od Fryderyka II. czasów wyłącznie w polskie konie. Popyt na nie zagranicą był zawsze ogromny. „To też je zagranica od najdawniejszych do najnowszych czasów corocznie tysiącami od nas wykupywała; a to przede wszystkim jako konie wojskowe do Austrii, Bawarii, Saksonii, do Prus, a nawet do Szwajcarii, Francji, Anglii i Holandii, wysyłając swoich agentów i liwerantów na celniejsze jarmarki końskie.

Nawet nasze włościańskie „koniki” stanowią rasę pierwszorzędną, której atoli omal nie spotkał smutny los pod austriackim rządem. Końmi rząd interesował się ze względów na potrzeby wojska. Mądrość biurokratyczna, owa słynna mądrość austriacka, uznała „koniki” jako „viel zu klein” i próbowała wprost zniszczyć chów tych koni. Podobnie rad by był c. k. zarząd armii zniszczyć konie huculskie, jeszcze mniejsze od mazurskich „koników”. Dopiero lwowskie Towarzystwo Gospodarskie na własną rękę założyło w latach 1906-1908 cztery stadniny hucułków i ocaliło hodowlę, która popadła

już na bezdroża. Rząd zarzucił Galicję siecią stacji importowanych rozmaitych ras dużych i grubych, lekceważąc fakty, przemawiające za koniem krajowym, między innymi i ten fakt, że w wojskowości rosyjskiej remonty polskie pobijały stale wszelkie najlepsze remonty rosyjskie. Kiedy w r. 1893 urządzano słynny wyścig dystansowy między Wiedniem a Berlinem, na odległość 580 km., „jedną z pierwszych była tam siwa kobyła chłopskiego chowu z pod Rzeszowa”, obok kilku koni z polskich stad magnackich. („Anglik”, który wówczas przybył pierwszy, zdechł nazajutrz z wycieńczenia). Wojna obecna stanowi wielki triumf „konika”, bo dawno już wyzdychały wielkie i ciężkie konie rozmaitej proveniencji, które armia posprowadzała, a zostały na placu nasze „hetki” przetrzymując wszelkie mitręgi tej wojny nad wojnami. Pokazało się, że „hetka” warta zapobiegliwej hodowli, godna uszlachetnienia, lecz właśnie przez czystą hodowlę.

Szczęściem hodowla bydła dostała się wcześniej pod opiekę czynników krajowych polskich, bo już w r. 1882 wzięły tę sprawę w swe ręce obydwie Towarzystwa rolnicze, krakowskie i lwowskie. To też na wiedeńskiej wystawie 1910 r. najwyższą nagrodę zbiorową otrzymało polskie bydło czerwone. „Księgi rodowodowe” tego bydła (i drugiego rodzaju, tzw. „nizinnego”) wydano we Lwowie w latach 1905-1912. W zakresie nierogacizny Dublanom przypada zasługa, że założono chlewnię świń krajowych polskich.

Nie ma takiego działu zwierząt domowych, w którym nie byłoby ras polskich. Dla krótkości zaznaczmy, że hodowla nasza nie opuszcza nawet drobniejszych swych dziedzin. Polskie umiejętne wodnictwo rolne poczyna się w r. 1573 od książki Olbrychta Strumieńskiego o stawach i przekopach i o zarybianiu stawów, która jest „najlepszym traktatem o urządzeniu stawów w piśmiennictwie europejskim XVI wieku”. Kwitła też ichtiologia u nas od XVI w. aż do XIX, który wydał ichtiologa europejskiej powagi, Maksymiliana Nowickiego, a obecnie „roi się u nas od pisarzy rybackich”. Twórcą nowoczesnego intensywnego gospodarstwa stawowego, polegającego na przemiennym wyzyskaniu stawisk kulturami rolnymi, jest Polak śląski Dubisz.

Bartnicze piśmiennictwo polskie datuje od r. 1614, trwa od tego czasu bez przerwy, a w nowszym czasie „możemy się poszczycić znakomitością europejskiego

rozgłosu i to o nazwisku tak polskim, że żaden Niemiec za nic w świecie wymówić go nie zdoła, a więc i zaanektować: szkoda, że nasz Kopernik – Dzierżonem się nie nazywał”.

Zootechnika u nas nie o wiele jest młodszą od angielskiej, datującej z początku XIX wieku, niemieckich zaś pionierów zootechnicznych uprzedził nasz Oczapowski. Polskie podręczniki dla hodowców zaczynają się od r. 1838 książką I. G. Wyżyckiego „Nauka hodowli zwierząt domowych po czym we dwa lata wystąpił Michał Oczapowski z wielotomowym swym „Gospodarstwem Wiejskim” uwzględniającym również hodowlę, podczas gdy pierwsza książka niemiecka o hodowli pochodzi dopiero z r. 1848 (Weckherlin). W szeregu polskich uczonych najwybitniejsze miejsce w tej dziedzinie zajął dublański profesor K. Malsburg, w pokrewnym zaś dziale bydłoznawstwa członek krakowskiego Studium, Walerian Kiecki.

Zakwitnęła paleontologia zwierząt domowych, a nie na ostatnim miejscu topologiczna; wyniki polskiej nauki stanowią pod niejednym względem fundament dla naukowego roztrząsania sprawy pochodzenia europejskiego bydła domowego. Zagadnienie to zaczęto roztrząsać w wileńskim uniwersytecie (L. H. Bojanus: De uronstrate, 1825) i dochowała się do naszych czasów jakby szczególna jakaś przynależność tej kwestii do nauki polskiej. Wspomnimy tu tylko o odkryciach krakowskiego profesora Leopolda Adametza (*Bos europeus* Ad.), K. Malsburga (*Bos urus minutus*), stwierdzające małą dziką formę bydła krótkorogiego i małych dzikich turowców.

Podobnie rozwija się dobrze nauka żywienia zwierząt. Ilościowo skromniej przedstawia się dział biologicznych badań hodowlanych, ale jakościowo dopisuje najzupełniej, skoro prace np. A. Trawińskiego, K. Malsburga (który wystąpił z oryginalną koncepcją teorii historiologicznej) używają wielkiej wziętości w Niemczech, a wyniki ich bywają uwzględniane w tamtejszych najnowszych podręcznikach naukowych. Uprawia się w Polsce pomyślnie również najmłodszą latorośl nauk przyrodniczych, genetykę. Dodać warto, że posiadamy około półsetki czasopism treści rolniczo-hodowlanej lub hodowlanej wyłącznie.

Powyzszy rzut oka poucza, że Polacy umieją doskonale zarządzać „spichrzem

i spiżarnią Europy” i wydobyć z niej dla siebie i dla Europy odpowiednią darom przyrody korzyść materialną i kulturalną, pomimo to, że rządy zaborcze stały na przeszkodzie. Wszak w Wielkopolsce zbiór jednego hektara nie jest bynajmniej mniejszy od przeciętnego zbioru w Niemczech, plon zaś z ziemniaków i buraków jest na hektarze obfitszy od niemieckiego. Jakże wysoko stałoby rolnictwo polskie, gdyby mu nie były zawadzały utrudnienia rządów zaborczych przez cały wiek z okładem!

Zawadzanie to występuje jeszcze jaskrawiej w trzeciej dziedzinie darów przyrody, w górnictwie, jako z natury rzeczy najbardziej zawisłem od dobrej lub złej woli, od inteligencji lub głupoty administracji państwowej.

Po nieuchronnym zastoju w okresie upadku państwa polskiego odradza się górnictwo w r. 1816, natychmiast, skoro tylko ułożyły się jako tako stosunki publiczne. Rząd Królestwa Kongresowego ustanawia Główną Dyрекcję Górniczą z siedzibą w Kielcach, stawiając na czele człowieka tej miary co Stanisław Staszic. Następnie w r. 1825 przeszedł zarząd spraw górniczych w ręce Komisji rządowej Przychodów i Skarbu, której przewodził słynny Ksawery Lubecki, organizator ekonomicznego życia polskiego. Z pomocą górnictwu ruszył Bank Polski, założony 1828 r. dla popierania handlu i przemysłu polskiego; od r. 1833 prowadził Bank górnictwo krajowe na własną rękę, lecz zaledwie przez lat 10, gdyż zostało mu odebrane przez rząd petersburski w r. 1843. „Niedługo kazały na siebie czekać wyniki gospodarki rządowej”, aż upadające kopalnie rząd rosyjski posprzedawał cudzoziemskim firmom. W ręku prywatnym zakwitnęły kopalnie na nowo, ale kapitał obcy nie zawsze zachowywał się życzliwie wobec kraju, z którego czerpał zyski. Tak rozszarpano i przefrymarczono spuściznę po Banku Polskim.

Nie dość na tym. Wroga krajowi polityka komunikacyjna i taryfowa nie pozwalała często korzystać jako tako z płodów kopalnych. Cóż powiedzieć o takim fakcie, że w kraju tak przebogatym co do węgla, blisko czwarta część kraju zgoła go nie używa, a to dla braku nie tylko kolei żelaznych, ale nawet odpowiedniej sieci dróg zwykłych. Oto przykład katastrofalnej wprost gospodarki rządu rosyjskiego w Polsce.

A dużo byłoby mówić o tym, który z rządów zaborczych był kiedy gorszy, a kiedy mniej zły.

Rząd austriacki urządził w ten sposób podległą sobie część wielkiego polskiego Zagłębia węglowego, iż wydane ono było na łaskę i niełaskę... Prusaków, którzy zalegli wszystkie niemal kuksy, a to dzięki oryginalnej metodzie postępowania biurokratycznego w sprawach górniczych, zezwalającej na wszelkie „widzimi się” tej słynnej biurokracji austriackiej, której głównym zadaniem była zawsze i wszędzie praca dla króla pruskiego. Przez długie czasy była wręcz niemożliwą jakakolwiek obrona przeciw temu najazdowi. Na chwałę polskiej gospodarki zapisać trzeba, że skoro tylko stało się to możliwym, władza autonomiczna galicyjska myślała o tym, jakby tę część Zagłębia ocalić z drapieżnych rąk cudzych, w czym Wydział Krajowy nie spoczął, aż ostatecznie w r. 1917 wykupiono i nabyto na rzecz kraju rozległy teren, pokryty 2.726 wyłączościami górniczymi. „Cała przestrzeń, pokryta wyłączościami, wynosi około 770 km², a rozciąga się od zachodniej granicy Galicji pod Białą i Oświęcimiem we wschodnim kierunku do Wielkich Dróg pod Skawiną i sięga na północy po Chrzanów, na południe do Wadowic”. Prawdziwie wiekopomny ten czyn, słuszny tytuł do wdzięczności potomnych, świadczy, jak gospodarowalibyśmy darami przyrody własnego kraju, gdybyśmy byli mieli w nim wolne ręce.

Ciekawy przykład austriackiej „opieki” mamy na solach potasowych galicyjskich, a zwłaszcza na odkrytym w Kałuszu olbrzymim pokładzie kainitu. Mógłby on być zaopatrywać w sól potasową rolnictwo nie tylko całej Austrii, ale i krajów sąsiednich. Ażeby jednak nie dopuścić do konkurencji niemieckim fabrykatom stasfurtskim, które posiadały zyskowny monopol wobec rolników, nie pozwalano przez lat kilkadziesiąt całkiem na eksploatację skarbu kaluskiego, aż dopiero po wielu zachodach i kłopotach udało się zdjąć rządową kłatwę nad Kałuszem. Zaraz też założono krajowe towarzystwo udziałowe dla eksploatacji kainitu tego na cele nawozowe. Faktem pozostanie, że gdy się udało nareszcie przełamać opór rządu wiedeńskiego w tej sprawie, uważano to niemal za triumf polityczny Lwowa nad Wiedniem.

Kopalnie i warzelnie soli stanowiły w Austrii monopol rządowy. To też ze 134 znanych w Galicji żup i źródeł solnych znajdowało się w ruchu r. 1914 zaledwie 11 (jedenaście), a reszta... zagwożdżona. Soli produkowało się coraz... mniej! W r. 1875

produkowano o 54% więcej, niż w r. 1910; na początku XX w. mniej „niż przed r. 1772, przed pierwszym rozbiorem Polski, który wydał „Galicję” na łup bezwstydnej gospodarki austriackiej. W Wieliczce i okolicy są warunki na założenie solankowego miejsca leczniczego, które byłoby największym na całą Europę, a prawdopodobnie na cały świat: przestrzeń od Krakowa do Wieliczki mogłaby być pokrytą obszarem willi i ogrodów, obszarem wielkiej zamożności. Otóż o to właśnie chodziło, aby tak nie było, bo byłyby konkurencja dla jakiego niemieckiego „badu” (Bad Hall i i.), a więc solankę wypuszczano się bez użytku, marnując ją publicznie, byle tylko Polak z niej nie korzystał. Wiadomo też, że w najlepiej od przyrody uposażonych salinach wielickich zaczęto ledwie dopiero w ostatnich latach wytwarzać lepsze, przedniejsze rodzaje soli stołowej – pozostawiając niemal aż do wybuchu wojny monopol warzelniom niemieckim (Salzkammergut).

W górnictwie naftowym nie obeszło się bez przywołania kapitału obcego, dzięki absolutnej bierności rządu wobec tych skarbów Galicji. Jak tu gospodarował Wiedeń, widać z tego, że nafta galicyjska bywała w Galicji droższą od kaukaskiej i amerykańskiej. Tak ciskano nam kamienie pod nogi, gdzie tylko się dało. Ale nafta nie jest przynajmniej monopolem, możliwość szkodzenia była przeto w tej dziedzinie ograniczoną. To też górnictwo polskie święciło w nafciarstwie niejednym triumfem. Nasze szyby stały się pierwszorzędnymi pod względem urządzeń technicznych (celuje Peczeniżyn), a w zaprowadzonym już 1884 r. kanadyjskim systemie wiercenia wprowadzono niejedno polskie ulepszenie, tworząc nowy, własny system wiertniczy. Swoisty całkowicie jest inny system, tzw. płóczkowy, który dał pomyślne wyniki; z pośród zaś wynalazków pierwsze miejsce zajął tzw. taran wodny inż. Wolskiego.

Pierwsze doświadczenia nad biegiem w rurach nafty i ropy wykonał Henryk Merczyng (wynik ogłosił w r. 1910).

„W technice wiertniczej zdobyliśmy rekord światowy przez wywiercenie głębokich kilometrowych szybów borysławskich i tustanowickich. Wiertacz polski zdobył rozgłosną sławę w świecie. Nasze Maćki i Bartki cieszą się ogromnym popytem zagranicą (Indie, Sumatra, Kaukaz, Pensylwania). Przemysłowcy naftowi ocenili należycie mistrzowską rękę wyszkolonego wiertacza, od którego nieraz zawisł wyłącznie los

milionowego szybu”.

„Nafta z ropy galicyjskiej, smary i parafina z niej wyrobione, znane są dzisiaj nie tylko w całej Europie, lecz nawet w Azji, Turcji azjatyckiej i Persji; w Afryce, Algierze, a także w Ameryce południowej walczą nasze produkty naftowe z produktami amerykańskimi. Źródła nasze naftowe, położone w ośrodku Europy, więcej się nadają do wytwarzania materiału świetlnego dla całej Europy, niż oddalone źródła naftowe kaukaskie i amerykańskie”.

Ale przemysł rafineryjny galicyjski zniszczyły protegowane przez rząd kartele austriackie; w r. 1917 już 70% nafty naszej rafinowało się poza Galicją. Nie można było przewozić ropy do Kongresówki, bo cło przenosiło 100% ceny targowej. Z tamtej strony Wisły musiano sprowadzać sobie naftę kaukaską. Przemysł rafineryjny nie powstał tedy ani w Kongresówce, nie mogąc przerabiać ropy galicyjskiej, podczas gdy czyszczenie kaukaskiej nie opłacało się z powodu drogiego przewozu.

Rzućmy okiem na naukowe podłoże górnictwa polskiego. Najbardziej typowym jest i w tym zakresie nafciarstwo.

Rozwiązaniu problemów związanych z geologią naftową, poświęcił całe życie profesor lwowski, Rudolf Zuber. Opracowawszy geologię Karpat wschodnich, bada następnie przez lat sześć (1886-1892) pod względem geologiczno-górnictwem Pampasy argentyńskie i Kordyliery boliwijsko-chilijskie, i „zdobywa sobie sławę światowego eksperta w sprawach naftowych. Bawi następnie i wydaje opinię na Kaukazie, w Rumunii, w Hiszpanii, w Meksyku, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, w Wenezueli, na wybrzeżach Gwinei zachodnio-afrykańskiej, a w końcu wyprawia się do gór Solnych Indii Wschodnich (1912). Wzbogacony doświadczeniem i analogiami, zdobytymi na niemal wszystkich polach naftonośnych świata, dochodzi ostatecznie do syntezy powstawania nafty, której daje wyraz w rozlicznych drobnych publikacjach, ogłaszanych w ciągu długoletniej pracy w językach polskim, niemieckim, angielskim i hiszpańskim, a której ostatnie słowo wypowiada w swym dziele „Flisz i nafta” (Lwów 1917).

„Obok Zuberą zdobyło jeszcze wielu innych polskich geologów światową sławę jako eksperci w sprawach górniczych, a w szczególności w sprawach naftowych.

Zwłaszcza pola naftowe Kaukazu i gór bałkańskich roły się i roją od polskich geologów”. Słyną podróże pełne rezultatów Józefa Grzybowskiego do Ekwadoru i do Mezopotamii, Władysława Szajnochy do Turkiestanu, Emila Dunikowskiego kilkakrotnie do Stanów Zjednoczonych, Algieru i do nadmorskich krain Syberii wschodniej. Wawrzyniec Teisseyre „pracuje od lat 20 nad tektoniką i górnictwem naftowych i solnych obszarów Karpat mołdawskich i wołoskich”. Zygmunt Bośniacki, pracując przez lat kilkadziesiąt we Włoszech północnych, zbiera wciąż materiały do paleontologii formacji „fliszowych”, ujęty zagadką powstawania nafty. Jego zbiory, umieszczone w San Giuliano w Toskanii, „należą do najbogatszych i najświetniejszych w tym rodzaju”. Jako syntezę swej pracy naukowej całego życia, wygłasza w r. 1911 odczyt w lwowskim Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika, zjechawszy umyślnie do kraju, i drukuje go następnie w lwowskim „Kosmosie” („Flisz europejski”), a zarazem składa przyrzeczenie, że sławne jego zbiory będą przeniesione do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Podwaliną polskiej nauki geologicznej jest nieśmiertelne dzieło Staszica z roku 1815 „O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski” wraz z czteroarkuszową mapą geologiczną. Uniwersytet wileński stał się w najbliższym czasie ostoją studiów geologicznych i nie brak tam prac samodzielnych. Drugą ważną datą jest rok 1841, rok pojawienia się dzieła Łabęckiego „Górnictwo w Polsce”, a potem 1856 rok wydania polskiego podręcznika geologii Ludwika Zejsznera. Tymczasem wydawano już mapy geognostyczne od r. 1845, w roku zaś 1856 wychodzi pierwsza taka mapa naszego Zagłębia węglowego (Hempla Jana). Odrębna katedra geologii utworzoną została w uniwersytecie Jagiellońskim w r. 1885 z osobnym instytutem. Niebawem (1887) zaczął wychodzić „Atlas geologiczny Galicji”, wielkie dzieło pracy zbiorowej, prawdziwy pomnik polskiej pracy geologicznej. Z pracowni geologicznej krakowskiej, powstałej r. 1886 pod kierunkiem prof. Władysława Szajnochy, wychodzą liczne prace. Drugie ognisko powstaje we Lwowie r. 1873 przy katedrze w politechnice lwowskiej (Juliusz Niedźwiedzki); trzecia powstała w uniwersytecie lwowskim w r. 1896 obok dawniejszych już katedr mineralogii. Kongresówka dostarczała głównie inżynierów górniczych. Kiedy w r. 1906 wolno było znowu wznowić w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (rozwiązane

przez rząd rosyjski 1832), zorganizowano pracownie do celów ściśle naukowych.

„Gdzie mamy własne szkoły wyższe i własne towarzystwa naukowe ze stałymi publikacjami, pisał w tej materii prof. Szajnocha w r. 1917, tam kwitnie nauka i umiejętność każda, a więc i geologia; gdzie ich nie ma, tam z rzadka tylko pojawiają się rodzime prace, tam obca nauka orze, zasiewa i zbiera plony. Tam cierpi nie tylko postęp wiedzy, ale i przemysł, i górnictwo, i dobrobyt kraju”. A jakżeż niewiele zależało to przeszło przez wiek cały od naszej woli.

Ograniczani wciąż na własnej ziemi, pracowaliśmy i nieśli polską wiedzę geologiczną za granicę. Nasi uczeni, nie mając dla prześladowań z reguły miejsca w Polsce, dokonywali prac naukowych geologicznych w różnych krajach europejskich, w Azji od Syberii do Indii, w Afryce, w Ameryce Północnej i południowej i w Australii. Długą jest lista nazwisk tych geologów polskich. Księciem ich niejako Ignacy Domeyko, który 60-letnią pracą w Chile (gdzie był profesorem i długoletnim też rektorem uniwersytetu w San Jago) przynosił tam chlubę narodowi swemu. I wszyscy nasi uczeni szli pod tym względem za jego przykładem i wszyscy postępowaniem swym i pracą jednali wśród ludów świata przyjaciół imieniu polskiemu.

Do ostatniej chwili dawał się ciągle we znaki polskim geologom brak władnego zakładu geologicznego; ale też zaraz w pierwszym kwartale po ustąpieniu Niemców z Warszawy przystąpiono do organizacji takiego zakładu.

Geologów polskich jest niemało, a są bardzo produktywni: w berlińskim „Geologisches Centralblatt” referowano w latach 1900-1917 przeszło 740 prac polskich geologów. Sporządzony w r. 1918 spis przyrodników polskich, pracujących w dziedzinach geologicznych od początku XIX wieku, wykazuje 302 nazwiska. Same te cyfry są wielce wymowne.

Gdyby nie polityczna niewola, mielibyśmy od dawna tyle uniwersytetów, katedr, laboratoriów, ile tylko wytworzyć ich zdoła polski talent i zamiłowanie wiedzy, a o rozmiary tych przymiotów nie potrzebujemy obawiać się. Gdybyśmy byli mieli wolną rękę we własnym kraju, moglibyśmy dostarczać Europie dwa razy, a może trzy razy więcej wyborowego ziarna, buraków, ziemniaków najlepszych na kontynencie i innych płodów

rolniczych; dostarczalibyśmy na szeroki świat mnóstwa szlachetnych owoców, sporo ryb słodkowodnych i największą bodaj na świecie ilość miodu i wosku, tudzież soli; dodajmy, że solami potasowymi, od których zawisł rozwój produkcji rolnej, moglibyśmy obdzielać pół Europy. Nasza nafta mogłaby stać się bezpośrednio i pośrednio (smary) kilkakroć wydatniejszą. Obok tego dostarczalibyśmy pierwszorzędного materiału hodowlanego wszelkich zwierząt domowych i to niektórych w rodzajach naszym ziemiom tylko właściwych, a które byłyby wszędzie przydatne.

Słowem: niewola gospodarcza Polski spowodowała zubożenie gospodarstwa europejskiego na rzecz tych wyzyskiwaczy którzy prawem rozboju przywłaszczyli sobie rządy w Polsce. Niestety, wojna powszechna potoczyła się w taki sposób, iż Polskę do reszty zrujnowano; pokój zaś wersalski układano pod wielu względami

w taki sposób, jak gdyby nagłym jakimś obrotem rzeczy alianci zachodni sprzymierzyli się z Niemcami przeciw Polsce... Długo więc trzeba będzie czekać, zanim zdołamy dojść do równowagi po tych ciosach ekonomicznych.

Fakt atoli taki, jak np. że kłosa polski wyprzedził w Wielkopolsce wydatność kłosa niemieckiego, upoważnia do wniosku, że skoro dowiedzieliśmy wielu rzeczy pod najcięższym uciskiem, nie będzie nam trudniej wydobyć się pod rządem własnym z najgorszych opresji gospodarczych. Wyzyskiwanie darów przyrody, przemienianie ich na walory kulturalne, należy z dawnych wieków do naszych właściwości. Nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich co do zrozumienia tych spraw, ani w ochocie do nich; ustępujemy im w stopniu wykonania, ale z powodu okoliczności od nas niezależnych. Dopiero gdy powiedzie się nam zlikwidować skutki wojny i wydobyć się z pod ogólnej ruiny ekonomicznej (obyśmy w tym nie doznawali przeszkód od żadnego z państw sprzymierzonych), wtedy dopiero będziemy mogli mierzyć tempo wykonawcze w działalności naszej górniczej, rolniczej i w ogóle gospodarczej. Miara 'kultury czynu w tej dziedzinie musi być znaczną, nader znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania stanowiska europejskiego polskiego państwa. Stopień użycia darów przyrody musi szybko wzrastać.

Posuniemy się nieco dalej we wnioskowaniu na końcu następnego rozdziału, gdy

rozejrzemy się w ogólnym zarysie spraw dotyczących handlu i przemysłu.

Rozdział III. Handel i przemysł.

Sprawy ekonomiczne są jak eter: wnikają wszędzie. Nie ma takiej cząsteczki życia kulturalnego, która by nie- pozostawała w związku z jakąś stroną bytu gospodarczego. Sprawy ekonomiczne są skutkiem tego niezmiernie informujące, tak dalece, iż nadają się na wykładnik kultury, mogąc okazać wszelką kulturę w przekroju. Wystarczy poznać zapatrywania na sposoby bogacenia się, na stosunek dóbr do potrzeb, potrzeb zaś do ilości pracy i na jej rozkład; a z drugiej strony poznać rodzaj i stopień zdadności do zbiorowej pracy gospodarczej, stopień oszczędności i jej celowość, nadto czynność lub bierność-społeczną majątków, a da się określić rodzaj i stopień kultury, łatwiej może nawet, niż na podstawie jakichkolwiek cech innych.

W handlu powszechnym bywaliśmy czynnikiem pierwszorzędym. Polska leżała na stronie od pierwotnych wielkich dróg handlowych; następnie jednak, od wieku XIV, wiodła przez Polskę główna droga śródlądowego handlu wschodniego, tzw. lewentyńskiego, przez' Lwów, stąd zaś do Krakowa i Lublina na dwie strony. Z drugiej strony Hanza utrzymywała kanton we wszystkich znaczniejszych miastach polskich, tak, iż na polskiej ziemi podawały sobie ręce handel wschodni i zachodni. Obok lewentyńskiego było pole dla handlu spławnego, Wisłą i jej dopływami, ale dolny bieg Wisły zajęty był od drugiej połowy XIII w. przez Krzyżaków i Polska odcięta była od morza. Rozumiano doskonale doniosłość sprawy o Bałtyk, lecz okoliczności nie dopuszczały odzyskać Pomorza polskiego, aż dopiero w r. 1466. Odtąd handel rozwija się na tym większą skalę, a towarzyszy mu przez wieki XIV-XVI rozwój rękodzieł, czynnych w sposób przemysłowy na eksport na wschód (np. sukno aż do Nowogrodu Wielkiego).

W wyborze dróg ekonomicznych błędzono nieraz w Polsce, lecz raz tylko jeden zbłądzono z tego powodu, iż zdarzyło się pozostać w tyle poza pochodem Europy – w pierwszej połowie XVIII wieku – zresztą zaś błędzono razem z innymi, dlatego właśnie, że się kroczyło krokiem równym z Europą, utartym powszechnym szlakiem, który później

miał się i nam i wszystkim innym narodom okazać błędnym. Często atoli kroczyła Polska własnymi drogami, a zdarzało się nam iść przed Europą w niejednej materii, wyprzedzając inne narody i państwa.

Pojęciem wolności handlu wyprzedziliśmy innych. Wolność handlu ustalono w Polsce już w pierwszej połowie XV wieku. Wywóz zboża nie podlegał też żadnym ograniczeniom, podczas gdy w Anglii zaprowadzono tę wolność dopiero w r. 1463, w innych krajach znacznie później, w niektórych zaś nigdy. Wyprzedziła Polska również całą Europę przez to, że już 1447 r. ogłoszono zupełną wolność handlu na rzekach spławnych, głównych ówczesnych arteriach komunikacyjnych. Zniesiono od jednego razu wszelkie cła prywatne, pozostawiając publiczne („królewskie”) tylko na drogach lądowych, podczas gdy zagranicą było ceł prywatnych kilkakrotnie więcej, niż publicznych. Obowiązywała bowiem poza Polską powszechnie zasada, że wolno każdemu dozwalać lub zakazywać przejazdu przez swe terytorium, przez cały jeszcze wiek XVI, a w niejednej stronie Europy nawet jeszcze w wieku XVII; mógł tedy każdy ustawiać roгатkę na swej posiadłości i nakładać na przejeżdżających kupców dowolne warunki.

Wyprzedziła też Polska cały kontynent europejski jednością monety. Już w statucie Kazimierza Wielkiego (1347) znajdujemy wśród postanowień zasadniczych i to także.

żeby była w całym państwie jedna moneta. czymś podobnym mogła się poszczycić tylko Anglia... a poza tym różnorodność monety stanowiła plagę ówczesnych stosunków ekonomicznych. W Niemczech zwłaszcza były co kilka mil inne pieniądze, bo tam było około 600 mennic. Kiedy królewicz Zygmunt (późniejszy Stary) został mianowany przez swego brata, Władysława czesko-węgierskiego, namiestnikiem Śląska, stał się kraju dobrodziejem, iż zastosował w nim polskie gospodarstwo. W r. 1505 skłonił książąt i miasta śląskie, że zobowiązali się wycofać z kraju obiegającą monetę lichą, a bić natomiast porządną a jednolitą. I to bowiem należało do specjalności polskich, żeby nie urządzać w imię państwa fałszowania pieniądza, co praktykowało się zresztą wszędzie. W porozumieniu z tymże Zygmuntem Starym (już królem polskim) pisze w r. 1526 rozprawę „De monetae cudendae ratione” Mikołaj Kopernik, ten sam, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię” – przeciw złemu pieniądzwowi w Prusach Królewskich (nie

podlegających jeszcze wówczas ustawodawstwu sejmów polskich).

Również polski system skarbów mógł poszczycić się niejednym pomysłem postępowym. W Polsce oddzielono skarb, królewski nadworny od publicznego państwowego już w r. 1505. Projekt podatku dochodowego zjawia się u nas w r. 1510. Znano też „progresyjność”; tak np. w r. 1520 płacił prymas pogłównego 30 dukatów, a kmieć dwa grosze, pomiędzy nimi zaś był ustanowiony liczny szereg klas podatkowych, określonych z góry dokładnie.

Od początku XV w. przestrzegano się w Polsce nakładanego powszechnie na rządy obowiązku, żeby mieć pieczę o taniość. Posiadamy najkompletniejszy z całej Europy zbiór taks na towary, sięgający od roku 1423 aż głęboko w wiek XVII. Ale ekonomiści polscy wcześniej wznieśli się wyżej. Jan Abrahamowicz już w r. 1595 podaje wcale inne sposoby na drożyznę, mianowicie ulepszenie komunikacji i wolną konkurencję (w rozprawie: „Zdanie Litwina o kupczy tanio zboża a drogiej sprzedaży”). Nasz Wojciech Gostkowski był zaś bodaj czy nie pierwszym w Europie, który nie tylko się spostrzegł – w r. 1622, w książce, którą Stanisław Głabiński wcielił szczęśliwie do historii nauki polskiej z jedyne go egzemplarza w lwowskiej bibliotece Ossolińskich – że taksy nie zdadzą się na nic, ale też poznał się na istocie taniości i drożyzny, jako zależą one przede wszystkim od wartości monety.

Skutkowały taksy u nas nie więcej oczywiście, niż gdziekolwiek indziej ale były przynajmniej z reguły nieszkodliwe. Natomiast system ekonomiczny, zwany merkantylizmem, wtargnąwszy do Polski w połowie XVI wieku, wyrządził u nas szkód więcej niż na Zachodzie.

Merkantylizm pojawił się u nas w fatalnych właśnie czasach, gdy Polsce dawała się srodze we znaki zmiana szlaków handlowych. Geograficzne odkrycia portugalskie i hiszpańskie wysunęły na pierwszy plan Kandel. oceaniczny, a na handlu śródładowym coraz mniej zależało zachodniej Europie. Dobrobyt miast polskich mógł ostać się w takim tylko razie, gdyby Polska zdążyła opanować należycie wybrzeża morskie i przyłączyć się w ten sposób do oceanicznego handlu powszechnego. Dążono też do wybrzeża czarnomorskiego, ale bez trwałego wyniku, bo nie dopisała ni razu europejska liga

antyturska. Zdawało się, że Bałtyk zostanie morzem- polskim, zwłaszcza po triumfach Batorego, ale zanim jeszcze wiek XVI dobiegł do końca, trzeba było mocować się o wschodnie i południowe wybrzeża bałtyckie ze Szwecją. I zaczęły się ciężkie czasy, aż nastąpił „potop”.

W tym przesileniu ekonomicznym, jednym z najcięższych, jakie zna historię, merkantylizm pogarszał zło jeszcze bardziej. Według tej doktryny dobrobyt zawiśł od ilości posiadanego złota; należało tedy podporządkować wszelkie względy staraniom o sprowadzenie złota z zewnątrz w jak największej ilości. We Francji starał się rząd dopomóc podupadłym miastom w ten sposób, że zakazywano kupcom wywozić towary z miasta poza pewien oznaczony okrąg, licząc na to, że skutkiem tego zjeżdżać tam będą obcy kupcy, a więc napłynie obcy kapitał i zwiększy się tam przez to zasób złota. Chwycono się i u nas tego sposobu, jako (że użyjemy dzisiejszego wyrażenia) „ostatniego wyrazu wiedzy ekonomicznej” owych czasów. W konsekwencji doktryny merkantylnej zakazał sejm roku 1565 kupcom polskim handlować bezpośrednio z zagranicą, ażeby zmusić niejako kupiectwo obce osiedlać się w polskich miastach i pozwozić tu swoje złoto. Stanisław Cikowski wylicza długi szereg spodziewanych z tych zarządzeń korzyści dla gospodarstwa krajowego (w dziełku: „W sprawach celnych”... Kraków 1602). „Wiadome są fatalne skutki tego kroczenia równo z Europą”...

Oryginalnym polskim było dążenie do jednakowych miar i wag (Starowolski). Znamienny to też fakt, że osiedlony w Polsce Włoch, Burattini, wydał swe dziełko „Misura universale” w Wilnie 1675 r. pod wpływem uczonego księdza Stanisława Pudłowskiego.¹⁵

Miasta polskie podupadły strasznie w wieku XVII. Te miasta, które aż do połowy XVI w. chłoniły cały nadmiar ludności wiejskiej rodzimej i jeszcze przygarniały licznych w każdym pokoleniu przybyszów, trzymały się jeszcze dość długo siłą bezwładności na wcale wysokim poziomie, ale około r. 1620 poczęło im ubywać ludności. A kwitły w Polsce miejskie rzemiosła budowlane od wieku XIII; w XIV w. pełno po naszych miastach

¹⁵ Miara, proponowana przez Burattiniego, miała być równa długości wahadła sekundowego; Pudłowski pozostawał zaś w korespondencji z Galileuszem.

brukarzy, pod koniec wieku są już i wodociągi po większych miastach, a z początkiem XVI już i po drugorzędnych (Sambor, Opoczno, Korczyn itd.) . W Krakowie podejmowało mieszczaństwo takie roboty, jak sprowadzenie rzeki Rudawy do miasta (dzieło Mikołaja Gerlaka w XIV w.). Tak bujny rozkwit, podcięty stosunkowo nagle, stanowi klęskę ogólną.

Z losem miast łączył się los ludu wiejskiego, bo nadmiar ludności wiejskiej nie miał gdzie się podziewać od czasu zubożenia miast¹⁶ i nastąpiła jednostronność gospodarcza. Zaznaczmy atoli, że doktryna, jakoby rolnictwo natenczas tylko mogło rozkwitnąć, jeżeli na roli osiadłe są dwie warstwy społeczne, panująca i służebna (szlachta i poddani), nie w Polsce powstała, lecz we branej.

Zubożona straszliwymi wojnami i dwoma przesileniami pieniężnymi, poczyna się Polska zagospodarowywać na nowo około r. 1700, po odzyskaniu Podola od Turków. Zrazu następuje odrodzenie tylko rolnicze, stopniowo i handlowe, w końcu przemysłowe. Ku końcowi XVIII w. przestały istnieć „stany” w życiu ekonomicznym narodu, gdyż konstytucja Trzeciego Maja złamała ekonomiczne szranki stanowe. Demonstracyjnie wpisywała się wówczas szlachta do ksiąg miejskich, a za to wybrano burmistrzem Warszawy szlachcica (Zakrzewskiego).

Na ówczesne „komisje skarbowe” nałożono obowiązek popierania handlu i przemysłu. Sejm polecał im troszczyć się o podniesienie dobrobytu w kraju, żeby obywatelom dostarczać sposobności i otwierać im nowe drogi do wydatniejszego zarobkowania. Podatkowości nie rozumiano bynajmniej w tym sensie, żeby skarb napełniać jakkolwiek bądź, byle go napełnić (jak to zdarzało się niektórym państwom jeszcze z początkiem XX stulecia!). Polskiej skarbowości obcy był fiskalizm. Zdawano sobie sprawę, że ze wzrostem ogólnym dobrobytu podatki same od siebie będą wzrastały najlepiej, ciężąc coraz mniej obywatelowi coraz zamożniejszemu.

Profesor krakowski Antoni Popławski powiada w swym „Zbiorze niektórych materii politycznych” (Warszawa 1774): „Wolność zatamować i przez zatamowanie chcieć większych sum pieniężnych do kraju nagarnąć i sprowadzić, jest to jedno zaiste, co

¹⁶ Obszerniej o tym w ustępie 3 rozdziału XII.

dla przyczynienia wody w kanale zatkać strumień do niego wpływający".

Nadzwyczajna postępowość we wszelkich materiach, gdzie teoria wiąże się z praktyką życia, bije w oczy na każdym kroku w owych latach reform, istotnie polskich, boć obmyślanych i przedsiębranych bez niczyjej jeszcze „opieki”. Na sejmie 1774 r. polecono np. powołać do rządowych komisji skarbowych po dwóch kupców – postanowienie, które odtąd nie pojawiło się nigdzie w żadnym państwie, aż dopiero podczas wojny powszechnej w Niemczech w r. 1916, jako sensacyjna dla całego świata nowość.

W Polsce projekt powszechnego ubezpieczenia od i pożaru pochodzi z r. 1774. Spółki handlowe zawiązują się u nas wówczas w formie będącej w użyciu tylko u Holendrów i Anglików, mianowicie spółki akcyjne. Regularnych stosunków handlowych międzynarodowych dowodem ustawa wekslowa, uchwalona na sejmie 1774 r.

Cieszyła się też najlepszą opinią u cudzoziemców poczta polska. Mamy na to szereg świadectw rosyjskich, niemieckich, francuskich i angielskich, jako nasze urzędnictwa pocztowe były „tak dobre, iż lepszych żądać- niepodobna”, przy czym cudzoziemcy ci nie mogli wydziwić się bezpieczeństwu podróżowania przez Polskę.

Panującą wówczas w Europie doktryną ekonomiczną był fizjokratyzm; w Polsce znany dobrze, ale, choć w kraju tak wybitnie rolniczym, nie przyjęty. Polscy ekonomiści doby stanisławowskiej i pierwszej ćwierci XIX w. liczą się tylko z fizjokratyzmem, ale się nim nie przejmują, tworząc obok niego (czasem czerpiąc nawet z niego pewne przesłanki) swoisty polski system ekonomii politycznej.

Anonimowy autor książki „O związkach i przystosowaniu wzajemnym rolnictwa, rękodzieł i handlu” (Warszawa 1786) uznaje u prawdzie, że rolnicy są „klasą zasadniczą”, lecz twierdzi, że wszystkie warstwy społeczne powiększają bogactwo krajowe. Wywodząc, jak kupiec nadaje wartość towarowi, przewożonemu przez niego, tym właśnie przewożeniem, wyprzedzał współczesnych ekonomistów Zachodu. Podobnie Ferdynand Nax w swym „Wykładzie prawideł początkowych ekonomii politycznej” (Warszawa 1790) zwraca uwagę, jak przemysł tworzy wartości nawet tam, gdzie ich zgoła nie daje przyroda.

Kołątaj uznawał pracę za źródło bogactw. I gdzież tu fizjokratyzm? Nie czuję się kompetentnym orzekać, czy i o ile zachodzi tu wpływ Adama Smitha, którego klasyczne dzieło pojawiło się jeszcze w r. 1776; aczkolwiek dopiero w r. 1811 Jan Znosko podał w polskim języku samo tylko streszczenie tego systemu (w Wilnie). Być może, że swoistość polskich pomysłów ekonomicznych polegała na tym, że dawano pewnego rodzaju syntezę fizjokratyzmu i industrializmu, do czego dołączono następnie uwzględnianie indywidualizmów narodowych (np. Skarbka).

Bądź co bądź wbrew fizjokratyzmowi cechą życia ekonomicznego Polski pod koniec XVIII wieku jest dążenie do uprzemysłowienia. Wyniki były świetne; pokryły się fabrykami wszystkie prowincje...

Nagle ulega wszystko gwałtownemu przewrotowi. Następują rozbiory Polski: państwo rozdarte, dorzecze Wisły – ta naturalna podstawa gospodarczego organizmu Polski – przecięte na trzy części, i życie ekonomiczne całe zmuszone dostosowywać się do obcych organizmów.

Na rozerwaniu Wisły najgorzej wyszedł zabór austriacki. Zachwiało się całe gospodarstwo Galicji, odkąd produktów rolniczych ni leśnych nie można było spławiać Wisłą do Gdańska; wywóz drogą kołową do zachodnich krajów austriackich nie mógł się opłacać z powodu nieproporcjonalnie wysokich kosztów przewozu i jedynym sposobem użycia ziarna stało się przerabianie żyta na spirytus i pędzenie wódki dla chłopów na podstawie prawa propinacyjnego. Pogarsza się też fatalnie położenie ludności wiejskiej, zwłaszcza gdy ilość podatków austriackich doszła już w r. 1822 do nieprawdopodobnego „rozwoju”, bo aż do 52 rodzajów.

Starał się rząd austriacki z całych sił o to, żeby Galicja podupadła jak najbardziej. Jakież to znamienne, że za Józefa II. było w Galicji kupców mniej niż w r. 1772!

Rozwój przemysłu, hodowanego tak starannie przez rząd polski, podcięto w Austrii od razu. bo wyznaczono Galicję na teren ekspansji dla austriackiego handlu i przemysłu. Hut żelaznych było przedtem do 400, a już w r. 1810 pozostało ich pod rządami austriackimi zaledwie 14. Jak rząd przeszkadzał przemysłowi w Galicji, pouczyć mogą trzy przykłady z różnych czasów pierwszej połowy XIX wieku, przykłady, z których

każdy staje za tysiączne wypadki.

Józef II wprowadził stemplowanie wyrobów przemysłowych w Austrii, żeby utrudnić przez to przemykanie wyrobów zagranicznych. Środek posiadający tedy znaczenie protekcyjne, obrócono w Galicji w środek tępienia przemysłu w sposób stanowiący jedno z arcydzieł pomysłowości biurokratycznej: oto fabryce tkanin bawełnianych w Nawsiu pod Jasłem kazano posyłać wyroby do ostemplowania do Wiednia, właśnie dlatego, że przewóz (kolami!) tam i z powrotem kosztowałby o wiele więcej, niż wartość towaru. Trwało to długo, nim po takiej lekcji ośmielił się kto zakładać fabrykę – a gdy wreszcie znalazł się śmiałek, zakładający fabrykę sukna w Założcach w Galicji wschodniej, udzielono mu nauczki, co się zowie, każąc zapłacić 20.000 zł. podatku jeszcze przed wprawieniem w ruch fabryki. Kiedy zaś w r. 1847 wysyłał rząd grupę przemysłowców z Austrii i z Czech do Belgii dla studiowania tam uprawy i obróbki lnu i konopi; odmówiono wręcz prośbie o przyjęcie do tej. wyprawy kogoś z Galicji. Skazano Galicję na to, żeby pozostała krajem wyłącznie rolniczym, a zatem i rolnictwo skazywano na niedorozwój, boć wyższy rozkwit rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu.

Fryderyk II pruski przygotował zaś zupełny upadek przemysłu polskiego w Wielkopolsce za pomocą celowo do tego obmyślanych tariff celnych. Na skutki nie trzeba było długo czekać: jeszcze przed r. 1820 zginął prawie doszczętnie przemysł płócienniczy i suknienniczy. Zabór pruski stawał się obszarem czysto rolniczym, zupełnie tak samo jak Galicja.

Pielęgnowały też obydwie rządy sztuczne osadnictwo niemieckie na ziemiach polskich, i protegowały Żydów. Po r. 1830 (za rządów osławionego Flotwella) nie było po miastach wielkopolskich żadnego przemysłu, tylko elementarne niezbędne rzemiosła, handel zaś pozostawał wyłącznie w ręku Żydów, protegowanych za ich... patriotyzm niemiecki.

Centrum ziem polskich cieszyło się rządami własnymi, narodowymi, przynajmniej w latach 1807-1830, w Księstwie Warszawskim (do 1814) i w wykrojonej z jego resztek, a szumnie królestwem zatytułowanej „Kongresówce” (1815-1831).

Ledwie umilknął szcęk wojen napoleońskich, rozwija się dalej polska nauka ekonomiczna. Następują tłumaczenia Dawida Ricardo (1826), Maxa Cullocha (1828) a Saya zaczęto przyswajać już od r. 1815. Wkracza do Polski szkoła Smitha, zostaje przyswojoną, ale też przetrwioną, podobnie jak przedtem fizjokratyzm, służąc za podstawę do swoistych pomysłów. W warszawskim uniwersytecie powstaje katedra ekonomii politycznej, na której drugi z rzędu jej profesor, Fryderyk Skarbek (od r. 1818) rozstrzyga swe „Gospodarstwo narodowe” (ogłoszone drukiem w latach 1820-21). Wprowadzając w swój system dwa nieuwzględniane dotychczas czynniki: właściwości narodowe i historyczne („ducha instytucji dawnych i nowoczesnych z przemysłem narodowym związek mających”), wyprzedził Skarbek o dwadzieścia lat Fryderyka Lista.¹⁷

Teorii towarzyszyła różna praktyka. Rządy okrojonych małych polskich państw, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, nie szczędziły wydatków na zaszczepienie przemysłu. Wszak słynna Łódź („Manchester polski”) rozrosła się dzięki temu, że cała okolica stanowiła własność skarbu polskiego i rząd mógł tam swobodnie gospodarzyć. W r. 1828 założono Bank Polski, ów bank wiekopomny, „odbiegający od reguł wszelkiej cechowej bankowości”. Wielki ten opiekun rolnictwa, handlu i przemysłu, nie poprzestawał na popieraniu wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego, lecz sam dawał inicjatywę, uwzględniając szczególnie górnictwo, tudzież komunikacje.

Wiadomo, że dobre komunikacje stanowią połowę handlu, a także przemysłu. Z tego zdaje sobie nauka polska sprawę także teoretycznie już od r. 1595 (Jan Abrahamowicz). Polska posiada wyborne warunki przyrodzone, żeby wytworzyć sieć dróg wodnych. Lubowano się też w Polsce zawsze w inżynierii wodnej. Najstarszy w Polsce most łyżwowy powstał w XIV w. pod Czerwińskiem, zbudowany przez polskich majstrów Dobrogosta, Odrzywołu i Jarosława. W r. 1508 wystawił Jan Basta z Żywca most

¹⁷ „Das nationale System der politischen Oekonomic”, 1841. Skarbek ogłosił w roku 1829 po francusku „Theorie de richesses sociales” (W Paryżu w dwu tomach), w którym to dziele stwierdza (wbrew ekonomii klasycznej) odmienną zasadę dobrobytu publicznego a prywatnego, narodu a jednostki.

na Dnieprze dla artylerii polskiej, ciągnącej pod Orszę. Za Zygmunta Augusta zbudował Erazm z Zakroczymia most drewniany na Wiśle pod Warszawą, podziwiany przez swoich i obcych. Ustawa z r. 1447, o której wspomniano wyżej, wymienia 14 rzek spławnych. Od połowy XVII w. przygotowuje się połączenie morza Bałtyckiego z Czarnem. Udoskonalając ciągle system dróg wodnych, doprowadziliśmy do tego, że pod koniec okresu niepodległości, za Stanisława Augusta można było żeglować poprzez system kanałów z Pińszczyzny aż (do Gdańska. Powstało niemało kanałów i w innych stronach Polski. Ekonomista Nax (1790) nawoływał do planowego połączenia Bałtyku z Dniestrem i Dnieprem.

Tę tradycję pieczy o drogi wodne pielęgnował rząd Kongresówki. W r. 1818 podjął regulację Wisły pod Warszawą; przed rokiem 1830 projektował Adam Idźkowski budowę tuneli pod Wisłą, w Warszawie. W r. 1823 rozpoczęto kanał Augustowski (budowy jego dokończył Bank Polski), żeby otworzyć eksportowi nowy dostęp do morza, do Windawy, gdzie robotami portowymi kierował Mieczysław Szystowski.

Miernictwo poczyna się w Polsce od końca XIV wieku traktatem „Practica geometria”; drugi podręcznik powstał około r. 1450 i odtąd nauka ta kwitnie już stale u nas, bez przerwy. Pierwsza książka techniczna w polskim języku wyszła w r. 1556: Stanisława Grzepskiego „Geometria to jest miernicka nauka”. Pomiar kadastralny województwa krakowskiego robił 1563 r. geometra Filipowski. W wieku XVII słynął Maciej Głoskowski, autor dziełka: „Geometria peregrinando” (1645), nauczyciel geometrii księcia Wilhelma Grabskiego, a komornik graniczny województwa kaliskiego.

Znanych jest sporo planimetrów polskiego pomysłu. Zasłynęły bardziej w ciągu XIX wieku: planimetr Juliusza Kolberga, profesora na kursach dla inżynierii, połączonych od r. 1818 z uniwersytetem. Inny planimetr, wynaleziony przed r. 1834 przez geometrę Żelińskiego rozpowszechniony był długo we Francji pod nazwą „la fansse equerre de M. Gelinski”. Na wystawie wiedeńskiej 1873 r. odznaczono medalem złotym planimetr Juliana Majewskiego.

Rozwijała się w drobnym państewku polskim, w Kongresówce inżynieria dróg i mostów. W r. 1823 powstała z inicjatywy wszechstronnego Staszica „Szkoła inżynierii

cywilnej dróg i mostów, wcielona następnie 1826 r. do szkoły przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego. Obok tego w warszawskiej szkole wojskowej aplikacyjnej wykładał budowę dróg bitych słynny Feliks Pancer, twórca licznych słynących w swoim czasie mostów, wykonanych z pomysłowością niezwyklej rzutkości, a wykładał tak dobrze iż wykład jego był przydatny jeszcze po 60 przeszło latach. Ogłosił go drukiem w r. 1895 inżynier Tomasz Przesmycki jako dobry podręcznik dla niższej służby drogowej, dopełniwszy go własnym wykładem konserwacji. Tenże Pancer wypracował w r. 1838 pierwszy projekt wodociągu dla Warszawy. „Najwspanialszym wszakże pomnikiem jego talentów i pracy jest Zjazd z Placu Zamkowego do mostu na Wiśle w Warszawie” (wykonany w latach 1844-46).

Dowodem ruchu naukowego technicznego czasopiśmiennictwo techniczne: W latach 1820-28 wychodzi „Izys Polska”; w r. 1829 urządza się osobny dział techniczny w. „Pamiętniku umiejętności czystych i stosowanych”, a w r. 1830 wyszło 10 zeszytów czasopisma czysto technicznego „Pamiętnik umiejętności fizycznych, matematycznych i statystycznych z zastosowaniem do przemysłu”. Dalsze wydawnictwo przerwała wojna 1831 roku.

Dróg bitych obudował rząd małej Kongresówki trzy razy tyle, co równocześnie cała olbrzymia Rosja; sam zaś Bank Polski około tysiąca kilometrów; jego dziełem wielki „trakt krakowski” z Warszawy przez Radom, Kielce i Miechów.

Co się działo po upadku Kongresówki, tego przymiotnym symbolem losy materiałów, leżących na brzegu Wisły w rozległych składach robót regulacyjnych pod Warszawą. Roboty przerwane nie zostały już nigdy podjęte na nowo, a materiały poszły na budowę... cytadeli warszawskiej. Odtąd nie bywało już w Kongresówce robót budowlanych wodnych. Próżno opracowywał Józef Sporny projekt osuszenia biot rzeki Bzury i niziny kampinoskiej. Podejmował rząd austriacki roboty wodne w Galicji w czasach najnowszych, ale tak opieszale i niechętnie, iż było widocznym aż nazbyt, że robiło się to tylko dla „mydlenia oczu” Kołu Polskiemu w parlamencie wiedeńskim. Ostatecznie projekt wielkiego kanału, mającego łączyć Dunaj z Odrą, Wisłą, Dniestrem, kanału, który by przecinał całą Galicję, z wielkim portem pod Krakowem, uchwalony w parlamencie,

otrzymał nawet sankcję cesarską, ażeby... pozostać niewykonanym. Nie zawahano się przed wystawieniem na pośmiech słowa monarszego, jako nie mającego mieć w Austrii wartości... gdy chodzi o Polaków.

Po r. 1830 nastał okres dla kultury umysłowej polskiej najcięższy, zabójczy dla pracy gospodarczej. Nawet teoria chroniła się zagranicę. Główny przedstawiciel polskiej ekonomii tych lat, liberalista Ludwik Wołowski, pisuje po francusku i wydaje w Paryżu od r. 1834 „Revue de legislation et de jurisprudence”. Wyszło ich tomów 45. Wołowski był specjalistą w kwestii banków i monety. Pisywał i był w ogóle czynnym długo, zwłaszcza w latach 1864-1875; w kraju nie było dla niego miejsca. August Cieszkowski ogłasza po francusku w Paryżu r. 1839 swe doniosłe dzieło „Du credit et de la circulation” i przyczynia się wraz z Wołowskim do założenia najpoważniejszej instytucji francuskiej i jednej z najpoważniejszych całego świata: „Credit Foncier”.

Po r. 1830 nie było również na ziemiach polskich żadnej wyższej szkoły technicznej. Krakowski „Instytut”, założony przez Wolne Miasto, był szkołą średnią – nie stała zaś wyżej ani niemiecka „Akademia techniczna we Lwowie. Rządy zaborcze dbały wielce o to, żebyśmy stali jak najniżej w zawodach stanowiących o dobrobycie kraju. „Z dwojga złego” wołano tam zawsze polską sztukę, niż polski handel i przemysł.

Od r. 1834 zamknięto towarom polskim wywóz przez Rosję do Azji, a zabrano się też energicznie do tamowania wywozu polskiego do Rosji. W r. 1840 eksport ten wynosił ledwie trzecią część wartości z roku 1829 (najbardziej ucierpiał wywóz wyrobów wełnianych). I byłby rozpad! się w gruzy cały przemysł Kongresówki, gdyby nie obywatelska działalność Banku Polskiego, będącego aż do r. 1870 jedynym zakładem kredytowym w całym kraju (gdyż nie dopuszczano zakładania nowych).

Doczekał się jeszcze Bank Polski, zanim go zamknięto, nowej ery komunikacyjnej: kolei żelaznych, a idąc zawsze z postępem czasu, udzielił poparcia kolei warszawsko-wiedeńskiej, której budową kierował Stanisław Wysocki. Finansował też Bank żeglugę parową na Wiśle. Działalność jego była za to od dawna solą w oku władz rosyjskich. To też od r. 1870 zaczyna się jego przymusowa likwidacja, aż zniesiono go całkowicie r. 1885.

Pomimo piętrzących się coraz większych trudności wychodziły w Kongresówce

„Dziennik Politechniczny” (1860-62) i „Przegląd Techniczny”, choć przez rok 1866-67, udało go się wznowić dopiero 1875 r. odkąd wychodzi bez przerwy, ale polscy technicy musieli coraz bardziej szukać sobie pola poza granicami Polski.

Zrazu zmierzały rządy zaborcze do tego, żeby w Polsce jak najmniej stawiać kolei żelaznych. Wszak w Wiedniu odmówiono koncesji na żeglugę parową na Wiśle i Dniestrze, a również na towarzystwo akcyjne budowy kolei żelaznych w Galicji. Kraków otrzymał też połączenie kolejowe ze Lwowem aż w r. 1861. Dopiero względy strategiczne skłoniły rząd wiedeński do budowy nowych linii kolejowych w Galicji. Kongresówka należy co do ilości kolei żelaznych do dnia dzisiejszego do najbardziej zaniedbanych krajów europejskich. W pruskim zaborze przedstawiał się ten stosunek znacznie lepiej (jakkolwiek daleki od zaspokajania potrzeb istotnych kraju), ale za to tam nie dopuszczano nigdy Polaków do służby kolejowej.

W Kongresówce po upaństwowieniu linii warszawsko-wiedeńskiej również usunięto Polaków całkowicie z kolejnictwa, sprowadziwszy na ich miejsce Rosjan (odtąd zaczęły się mnożyć wypadki kolejowe). W Galicji dopiero około r. 1870 dopuszczono Polaków do posad technicznych kolejowych, ale aż do dnia ostatniego rządów austriackich językiem urzędowym kolejarstwa (a także poczt) był w Galicji język niemiecki.

Pomimo tego stanu rzeczy nowoczesna ta dziedzina techniczna cieszyła się u Polaków dziwną wśród takich okoliczności wziętością; a co nadzwyczaj charakterystyczne, że możemy się pochlubić niepoślednimi wynikami.

O machinach parowych w ogóle przedstawiono rozprawę doktorską w uniwersytecie warszawskim w roku 1823 (Stanisława Janickiego); w r. zaś 1829 ukazał się we Lwowie pierwszy tom obszernie zamierzonego o nich dzieła słynnego potem wodza, generała Józefa Bema. Słynny inżynier Stanisław Kierbedź, student uniwersytetu wileńskiego z czasów filareckich, brał udział w budowie kolei warszawsko-petersburskiej, a następnie zajmował w latach 1863-1891 wybitne stanowisko w ministerstwie komunikacji w Petersburgu. On zbudował pierwszy most stały na Newie w Petersburgu (rozpoczęty 1842 r.); później w r. 1860, rozpoczęto budowę mostu według

jego projektu w Warszawie; most ten nosi jego nazwisko. Kolej żelazną między Donem a Wołgą projektował Tadeusz Chrzanowski, następnie od r. 1865 dyrektor budowy kolei terespolskiej.

A któż budował głównie kolej syberyjską, jak nie polscy inżynierowie?

Inni szukali miejsca dla swego talentu na Zachodzie. Adam Idźkowski podał już w r. 1857 w Paryżu dobrze obmyślony projekt kolei jednoszynowej, z wagonami zawieszonymi po bokach. Teofil Żebrawski badał przyczyny wykolejania się pociągów (1850). Słynny Hoene-Wroński propagował już w r. 1837 we Francji szyny ruchome i rozmaite reformy dróg żelaznych. Karol Chobrzyński inżynier kolei Północnej we Francji, wprowadzi na tej; linii palenisko lokomotyw, noszące jego imię. Stanisław Janicki (syn) założył roku 1870 z inżynierami Cotardem i Champouillonem spółkę „Entreprise générale de chemins de fer et de travaux publics”. Tenże powołany był przez: konsorcjum francuskie (Borel, Lavalley et Co.) do współdziałania przy budowie kanału Sueskiego, opracował projekt kanału morskiego dla Petersburga, wodociągów dla Odessy, i kierował samodzielnie wielkimi robotami portowymi w Rjece (Fiume). Aleksander Martynowski obliczał dla francuskiej kolei Północnej zbiorniki wody itd. Całymi stronicami można by przytaczać podobne przykłady na dowód, jak postęp techniki komunikacyjnej nęcił Polaków i że w najtrudniejszych warunkach, chociaż nie mogli pracować we własnym kraju, zdobywali dla polskiej wiedzy technicznej zaszczytne miejsce w rozwoju powszechnym kolejnictwa.

Góruje ponad wszystkimi Ernest Malinowski, prawdziwy bohater kolejnictwa. Licząc lat przeszło 60 zabrał się do budowy najwyższej na świecie kolei żelaznej, poprzez Andy w Peru, z 62 tunelami i 30 mostami różnych systemów, przebiwszy tunel długości 1,200 m. na wysokości 4768 m. nad powierzchnią morza. Przeprowadził tę kolej wspaniale przez wąwóz rzeki Rimac, „który najśmielsi inżynierowie amerykańscy uznawali za niedostępny dla linii kolejowej”. Dwa razy wojny południowo-amerykańskie przerywały roboty; raz musiał Malinowski uchodzić z Peru na wygnanie, a jednak nie tracił zapału, energii, i po r. 1880 doprowadził szczęśliwie do końca jeden z nowoczesnych cudów świata.

Ileż energii polskiej musiało z konieczności szukać sobie ujścia po całym świecie, ileż talentu polskiego działało czynnie, twórczo, wśród obcych, podczas gdy we własnym kraju właściwe im pole działania leżało odłogiem, psute umyślnie przez zaborców.

Skoro tylko powstała we Lwowie polska politechnika (w r. 1877, z niemieckiej akademii technicznej), zaraz wybiło się tam kolejnictwo. Już w pierwszym roku wykładów zainauguował Roman Gostkowski wykład mechaniki ruchu kolejowego, wyprzedziwszy tym wszystkie politechniki austriackie. Tenże wydał w r. 1883 „Teorie ruchu kolejowego, zastosowanego do praktyki”. Tamże Karol Skibiński wykłada budowę dróg, kolei żelaznych i tunelów i ogłosił „Obrachowanie połączeń torów”. W ostatnich latach objął całokształt kolejnictwa Aleksander Wasiutyński w swym dziele „Drogi żelazne” (1910), odznaczony przedtem w latach 1896-99 badaniami nad zachowaniem się szyn w torach i nad ich odkształcaniem się sprężystym pod obciążaniem (opis badań ogłoszony był po polsku, rosyjsku, francusku (1898 r. w Brukseli) i niemiecku).

Ale koleje żelazne, stanowiące wszędzie takie dobrodziejstwo dla kraju, miały się stać dla Polski w ręku zaborców nowym środkiem do zwalczania polskiego rolnictwa i przemysłu. Czego nie zdołała dokazać taryfa cłowa, tego miały dopełnić taryfy przewozowe. Powiedziano prawdziwie, że przemysł polski opłacał koszt przewozu przemysłowi rosyjskiemu. W austriackich zaś taryfach uprzywilejowana była zawsze produkcja zagraniczna, nawet pozaaustriacka, ze szkodą galicyjskiej.

W zaborze rosyjskim zaczęło grozić tym większe niebezpieczeństwo przemysłowi polskiemu, kiedy od roku 1850 zaprowadzono (wbrew postanowieniom kongresu wiedeńskiego) jednolitą taryfę cłową dla całego państwa rosyjskiego wraz z ziemiami polskimi. Podrożeją skutkiem tego wielce produkcja, a więc obniżyła się siła konkurencyjna.

Wytworzyły się stosunki tego rodzaju, że musiało się nabywać bawełnę rosyjską z Turkmenistanu, bo amerykańska – znacznie tańsza – była dla nas niedostępna. Podobnież rudę żelazną musiano z południowej Rosji sprowadzać i to koleją, bo dowóz morski byłby niemożliwy skutkiem zaniedbania dróg wodnych w kraju i zaprzestania wszelkich robót nad regulacją Wisły. Była też ruda w Kongresówce dwa razy droższa, niż

w Rosji.

Albo inny przykład: z węgla polskiego nadaje się na koks tylko górnośląski (zwany „pruskim”), a ten oddzielony był od Kongresówki kordonem prusko-rosyjskim; ustanowiono zaś nań cło tak wysokie, iż przetapianie rudy koksem musiało zdrożeć w Kongresówce tak dalece, iż rosyjski przemysł metalurgiczny ubezpieczony był przed konkurencją polskiego. Swoją drogą na dyrektora Dnieprowskiego Towarzystwa metalurgicznego szukano inżyniera w Polsce. Został nim Ignacy Jasiukowicz, który dzięki swemu talentowi organizacyjnemu i wiedzy technicznej zrobił z tych zakładów jedno z największych przedsiębiorstw całego świata, podczas gdy we własnym kraju nie miał żadnego pola dla swych zdolności.. Czyż może być drastyczniejszy przykład, co znaczy brak niepodległości i jak zaborcza polityka ekonomiczna wykręca drogi naturalne gospodarcze?

W wyrafinowany sposób upośledzono również przędzalnictwo polskie. Przemysł chemiczny ubito wprost droższą soli. Największe saliny świata, wielickie, są tuż obok, ale oddzielała od nich granica rozbiorowa rosyjsko-austriacka; ustanowiono tedy na tę sól „zagraniczną” cło wynoszące 375-500% jej ceny skutkiem czego Kongresówka musiała sprowadzać sól z odległości 1200 kim. z kopalni południowo-rosyjskich. Ależ bo nawet mąka rosyjska bywała w Kongresówce tańsza od własnej, którą należałoby przewieźć o kilkanaście mil choćby. Takie wyprawiała Rosja na nas-cudy ekonomiczne swymi taryfami kolejowymi!

A były jeszcze inne trudności i zawady:

Na ziemiach polskich więcej było podatków i świadczeń na rzecz państwa (na Litwie „kontrybucja” na majątkach polskich przez lat niemal 50), niż w Rosji właściwej, i nadto jeszcze wyższa stopa podatkowa. Wroga polityka kredytowa wyciągała z kraju dziesiątki milionów rocznie (np. przymus lokowania w papierach państwowych lub wprost w banku państwa, stosowany w wielu dziedzinach życia ekonomicznego) i wywołała podrożenie kredytu. Kilkakrotne obniżanie kursu pieniędzy papierowych rosyjskich przyprawiło kraj o nieobliczalne wprost straty. Na dobitkę utrudnianie zrzeczeń ekonomicznych doszło do tego stopnia, że w czasie, kiedy przemysł

Kongresówki koncentrował się najbardziej (1880-1895), nie było w kraju spółek akcyjnych (dopuszczano je dopiero później).

Dodajmy, że na każdym kroku musiało dawać się ciężko we znaki przymusowe połączenie z organizmem gospodarczym tak zacofanym jak rosyjski. Ostateczny wynik tego połączenia taki oto: „Kraj pozostał mimo znacznego rozwoju przemysłu zawsze jeszcze przeważnie rolniczym... ale wydajność rolnictwa była tak niska, że od niespełna 20 lat niezbędnym był przywóz środków żywności z Rosji”.

Nie lepiej działało się w Galicji. Gdy w Kongresówce zakwitnął pomimo wszelkich trudności przemysł tkacki, zaraz postarano się w Austrii o to, żeby tym polskim wyrobom tkackim wysokim cłem uniemożliwić zbyt w drugiej części Polski, w Galicji, zachowując ją na rynek dla produkcji austriacko-niemieckiej. Inny przykład przewrotnej chytrych rządu wiedeńskiego: w ostatnim traktacie cłowym z Niemcami zaprowadzono cło od wyrobów tartacznych sześć razy wyższe od cła na drzewo „okrągłe”, ażeby Galicję zmusić do wywozu belek zamiast desek; a te belki rznąło się w deski tuż za kordonem i w ten sposób zniszczono przemysł tartaczny w Galicji, a wywołano go i to w stopniu świetnym po stronie niemieckiej tuż nad granicą galicyjską.

Dzięki panowaniu austriackiemu zanikło cukrownictwo, zapowiadające się w Galicji zrazu bardzo pięknie – przemysł płócienny ostał się ledwie w resztkach – zamknięto większą część hut szklanych i fabryk świec. Produkcja żelaza i wyrobów żelaznych topniała w Galicji w dalszym ciągu w przeraźliwym tempie pod opieką rządu wiedeńskiego: około r. 1870 zostało ich jeszcze dziesięć, ale w r. 1905 zamknięto ostatnie piecysko (w Węgierskiej Górze w Żywieckim).

Ubijany też był przemysł polski przez kartele przemysłu austriackiego: kartel zapalkowy zamknął drobne galicyjskie fabryki – podobnie dały się we znaki kartele żelazny i cukrowniczy – a ostatni kartel rafinerii spirytusu dążył do tego samego, co już osiągnął kartel rafinerii nafty; żeby przemysł ten całkiem przesunąć poza granice Galicji, aczkolwiek Galicja produkowała w tym wypadku 60% surowca całej Austrii.

Dostawy publiczne – te „rezerwy” rozwijającego się przemysłu, dla Polaków nie istniały, gdyż rządy zaborcze wykluczały od tego polskich przemysłowców. Od rządu

pruskiego nie zarobił grosza Polak, od rosyjskiego rzadko który, udział zaś Galicji w dostawach rządowych austriackich obliczono na 3%. Ale udział przymusowy w dostawach przymusowych wynosił za to podczas wojny w stosunku do niemieckich prowincji bez przesady 3,000.

Na 85 szkół przemysłowych (zawodowych) niższych w Cislitawji utrzymywał rząd w Galicji zaledwie sześć; na 1055 żeńskich szkół przemysłowych, w Galicji tylko 11; z 27 wyższych szkół przemysłowych znajdowała się w Galicji zaledwie jedna; na 73 zaś szkół handlowych (niższych i średnich), utrzymywanych kosztem państwa, przypadało na Galicję cztery. I tu sprawdza się, że wolą „z dwojga złego” polską sztukę, od polskiego handlu lub przemysłu!

A „dobre stosunki” austriacko-polskie?

Wiadomo, że Austria była pod rządami Metternicha najbardziej wstecznym państwem w Europie, a Metternich nie ze wszystkim umarł: duch jego żył w wysokiej biurokracji wiedeńskiej, która prowadziła wprawdzie państwo do ruiny, ale tymczasem dawała się we znaki wszystkim Słowianom... Austria; ta, wyrzucona przez Prusy z Niemiec, a przez Prusy i Francję z Wioch, szukać zaczęła „odszkodowania” na Bałakanie. Wprowadziło ją to w antagonizm z Rosją, dzięki temu zdecydowano się na budowę strategicznych kolei żelaznych w Galicji i na „ugodę” z narodem polskim. Ale fakt ciekawy: oto właśnie po przyznaniu Galicji pewnej autonomii nastąpił najcięższy upadek ekonomiczny kraju i jak najdotkliwsza zależność od przemysłu zachodnio-austriackiego. Podnieść też warto jeden szczególny fakt: oto od r. 1849 nie zbudowano w Galicji ani jednego kilometra gościńca rządowego, chociaż nie przestano budować dróg na koszt państwa w innych „krajach koronnych”. Galicja jednakże, jeżeli chciała mieć drogi, musiała je sobie budować wyłącznie za swoje własne pieniądze.

W zaborze pruskim wzrosła w latach 1875-1907 ilość przedsiębiorstw przemysłowych w Poznańskim o 350%, a w Prusach Królewskich o 290% – ale niewiele w tym polskich. Wielki skoncentrowany przemysł Górnego Śląska jest zupełnie w ręku niemieckim. Ale w Poznańskim zmalała jednak ilość przedsiębiorstw przemysłowych niemieckich o 21%, wzrosła zaś polskich o 11,5%. A więc... jednak się ruszały pomimo tak

zaciekłych prześladowań narodu polskiego.

Wiadomo, że wyższy rozwój rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu¹⁸, a więc obliczyć łatwo, ile na tym przeszkadzaniu przez trzy wielkie państwa przemysłowi polskiemu – ucierpiało również rolnictwo.

Z przemysłem łączy się najbardziej inżynieria. Jak wszędzie, podobnie w Polsce starsza jest inżynieria wojskowa od cywilnej. Na cztery języki przekładano Kazimierza Siemienowicza dzieło „Ars magna artillieriae” wydane w Amsterdamie 1650 r., od którego ciągnie się długi szereg prac tego rodzaju aż do Kościuszki dzieła. o manewrach artylerii konnej, wydanego w Bostonie 1808 r. „Architektura wojenna” poczyna się od Krzysztofa Mieroszewskiego, sekretarza króla Jana III Sobieskiego. Nauki wojskowe kwitły w Polsce stale – nawet wtenczas, kiedy zostaliśmy pozbawieni własnego państwa i własnej armii. Nie mamy zamiaru. rozwodzić, się nad tym tematem – zwrócimy tylko uwagę, że u wielu Polaków uważanym to było za obowiązek, żeby się kształcić w sztuce wojennej, ze względu na obowiązek wyzyskiwania wszelkiej sposobności do walki z państwami zaborczymi.

O mostach i wodociągach najstarszych była już mowa Do tych zawiązków inżynierii cywilnej przyłączała się wcześniej wszelaka mechanika. Słynął w XVII w. uczony jezuita Adam Kochański, znakomity matematyk, korespondent Leibniza, który zajmował się też mechaniką zegarową, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, pracował nad zastąpieniem używanych wówczas w zegarkach szczecinek sprężyną regulującą i sporządził zegarek z wahadłem magnetycznym. Zasłynął z budowy młynów, wiatraków, wind i innych urządzeń Stanisław Solski, autor „Architekta polskiego” (1690). Za Stanisława Augusta istniała godność „dyrektora budowli mechanicznych Jego Królewskiej Mości, którą sprawował Jan Gotfryd Schneider, autor książki „Poprawne i pomnożone młynobudownictwo (Warszawa, 1794), na której końcu dodano coś bardzo dziś cennego dla rozmaitych studiów, bo „Słownik, służący do słów mniej znajomych, z niemieckiego i łacińskiego wyłożony”.

¹⁸ Z naciskiem podnosił to Józef Supiński w „Szkole polskiej gospodarstwa społecznego”, 1862.

Mechanika interesowała Polaków wszechstronnie; w teoretycznej zajmują uczeni polscy (jak to zobaczymy na innym miejscu) niemało miejsca – praktyce zaś oddawano się zawsze z powadzeniem, nawet w rodzajach najzawilszych: Tak np. wynalazcą maszyn rachunkowych jest Stern (od r. 1812), który zbudował także młockarnię, tartak i żniwiarkę własnego pomysłu, w końcu jeszcze wózek topograficzny do mierzenia długości przebieganej dróg? Ów Stern był chłopakiem u zegarmistrza w Hrubieszowie, a zajął się nim i ułatwił wyższe wykształcenie Staszic.

W ostatnich czasach zakwitnął przemysł mechaniczny w kilku miastach Kongresówki, w Poznaniu i w Krakowie w fabrykach pierwszorzędnymi, cieszącymi się i poza Polską dobrą marką (np. Zieleniewski w Krakowie, Cegielski w Poznaniu, Lilpop w Warszawie).

Zamiłowanie ciągłe do wodnej inżynierii znać w samej już ilości dzieł i dziełek z tego zakresu w bibliografii polskiej. Podczas umysłowego odrodzenia Polski za Stanisława Augusta roi się od rozmaitych projektów połączeń rzek w różnych stronach kraju, a pozostało z tego ruchu znaczne zajęcie dla problemów hydrodynamiki. Ogłosił o niej książkę generał Michał Sokolnicki w Paryżu 1811 roku po francusku.

Aż do najnowszych czasów przetrwało to zamiłowanie. Władysław Witkowski wyprowadził własne wzory, i na podstawie własnych doświadczeń, na prędkość wody w zależności od głębokości, wykonawszy w r. 1862 doświadczenia na Wiśle. Łukasz Bodaszewski wydał w r. 1902 „Teorię ruchu wody” (Lwów). Maksymilian Matakiewicz wywiódł wzór na średnią chyżość wody, w rzekach, przytaczany wszędzie w najnowszych podręcznikach hydrauliki. Henryk Merczyng sprawdzał doświadczalnie wzory hydrauliczków francuskich na bieg wody w rurach, o czym wydał broszurę po francusku w Paryżu 1907 r.

Odnaczyli się szczególnie dwaj inżynierowie polscy w tym kierunku. Romuald Irzkowski zorganizował austriacką służbę hydrograficzną, podczas gdy w samej Galicji państwowej takiej służby wcale nie było (1904).¹⁹

¹⁹ Tenże zmienił system utrzymywania dróg bitych w Austrii.

Stanisław Janicki zasłynął od Rosji do Francji, tak jako praktyk-wykonawca, jako też w teorii. W r. 1876 objął kierownictwo robót przy kanalizowaniu rzeki Moskwy, przy czym robił doświadczenia, które doprowadziły go do sceptycznego zapatrywania się na niemieckie wywody o warunkach żeglowności rzek. Rutyna hydraulików niemieckich obstawała przy tym, jakoby ścieśnienie koryta rzeki powiększało jej spławność, pogłębiając koryto. Zaprzeczył temu Janicki w r. 1879. Wnet przyłączył się do niego i uwzględnił jego zasady inżynier Pasqueau w projekcie skanalizowania Rodanu, poparł je zaś rachunkiem analitycznym inż. Okołów. Janicki pierwszy uwzględnił należycie naturę gruntu dna rzeki, co zdaniem jego winno decydować o systemie robót rzecznych. Polemizował długo o to niemiecki professor Schlichting, ale wreszcie spostrzeżono się i w Niemczech, że uszlawnienie rzek nie zawsze da się osiągnąć regulacją, i zaczęto się coraz częściej zwracać do francuskiego systemu kanalizowania rzek. Janicki zaś przyczynił się walnie do rozwoju hydrauliki nowoczesnej.

Kierunek Janickiego w hydraulice jest znamieny, bo ma w sobie coś zasadniczo polskiego. Z jednej strony niemiecka „reguła”, nieuwzględniająca natury gruntu, aplikująca swój rutynowy szablon, narzucany wszędzie z góry, z drugiej strony zasada, że główną regułą właśnie jest uwzględnianie natury gruntu.

Jak ceni się w Polsce wiedzę techniczną, ów fundament przemysłu, dowód wyraźny w tym, że podczas wojny, gdy cała groza wojennych stosunków dawała się krajowi we znaki, zaraz jednak w r. 1915, skoro tylko ustąpili Moskale, przystąpiono do założenia równocześnie z uniwersytetem polskiej politechniki w Warszawie. Albo drugi fakt znamieny: wśród najfatalniejszych stosunków wojny powszechnej powstaje w Krakowie w r. 1917 „Towarzystwo Żeglugi Polskiej”, którego duszą był w trudnych początkach pułkownik Roja. Łączył się w Polsce zawsze miecz z pługiem, a oto zjawiło się dobre omen, że będzie on się łączył i z łokciem i z kwartą, będzie stał na straży polskiego przemysłu i handlu. Co za wróżba dobra, że obok należytego oceniania wiedzy technicznej zrozumiano u nas od początku samego niepodległości, kiedy brzask zorzy ledwie ją zapowiadał, od razu doniosłość drugiego fundamentalnego warunku rozwoju handlu i przemysłu: doniosłość sprawy morskiej.

Naród polski rozpoczynał życie dziejowe pod wybornymi co do tego auspicjami. Od Mieszka I utrzymywaliśmy stosunki nadmorskie i zamorskie, a w r. 1109 zajęliśmy Krzywousty Pomorze aż po dolną Odrę. Niestety, skutkiem wojen między potomstwem Krzywoustego, trzeba się było cofnąć znacznie, a gdy porzucono niebawem Połabian i oddano ich na łup Niemcom, skurczyła się przez to samo morską sferą Polski, boć nie sposób było utrzymać Pomorze zachodnie, zarzucając związek polityczny z głębszym lądem na zachodzie. W r. 1226 zrobiono początek końca i co do wschodniej połaci morza polskiego... sprowadzeniem Krzyżaków. Grzechy zaniedbania odrobiono ledwie w r. 1466 i to połowicznie tylko. Nie wyzyskano też należycie posiadania wybrzeża bałtyckiego; wszak dopiero za Władysława IV myślało się o własnej flocie państwowej! A tymczasem pod koniec XV w. zaszła potrzeba dotarcia do wybrzeża czarnomorskiego (po zajęciu ujść Dunaju i Dniestru przez Turków 1484 r. Nie można zarzucić ówczesnemu pokoleniu, żeby nie było rozumiało doniosłości dostępu do morza; wszak to za Kazimierza Jagiellończyka powstało hasło „Polski od morza do morza”. Za Jana Olbrachta powtarzają się wyprawy, skierowane ku ustaleniu się nad morzem Czarnem. Niestety, nie doprowadziły one do pożądanego wyniku, a potem polityka polska przestała być w tej sprawie konsekwentną.

Za zygmunto-wskich czasów pochłaniała całą uwagę i energię społeczeństwa na nowo sprawa bałtycka. Zygmunt Stary przeszkodził, żeby Bałtyk nie stał się dziedziną potęgi brandenburskiej. Kiedy Albrecht brandenburski wprowadził na arcybiskupstwo ryskie brata swego, Wilhelma, również zlutzonego, a marzył zarazem o przyłączeniu Kurlandii do swego pruskiego księstwa, nie dopuścił tego Zygmunt Stary stanowczym wystąpieniem, a Zygmunt August pilnował tej sprawy z całą troskliwością i w nadarzonych okolicznościach umiał przeprowadzić w Inflantach interes polski. Stefan Batory porwał powtórnie za oręż w sprawie bałtyckiej. I była Polska potężnym mocarstwem, dopóki choć jako tako panowała nad brzegiem morskim. Upadek ekonomiczny i wynikający z tego nieuchronnie polityczny łączy się ściśle z datami coraz dalszego odsuwania nas od morza. Turcja odepchnęła nas daleko w głąb lądu, przez dłuższy czas aż do środka Podola, Szwed przywłaszczył sobie władzę nad Bałtykiem, a zwierzchnictwo faktyczne Rosji nad Polską zaczyna się od sprawy kurlandzkiej...

Miejmy otuchę, że obecnie uda się spopularyzować znaczenie morza na tyle, ile trzeba, żeby żaden inteligentny Polak nie stał z daleka od zabiegów w sprawie morskiej!

Zawiniły w tej sprawie dzieje polskie. Rozumieliśmy, o co chodzi, posiadaliśmy poznanie sprawy, ale szwankowała wykonalność. Logos bez Ethosu sam wreszcie zachwiać się musiał; te bowiem dwie dziedziny ducha nawzajem wspierają się i uzupełniają. Z Ethosu czerpie Logos nieraz nowy wątek dla siebie; gdy zaś nie ma sposobności wcielić się w Ethosie, wyczerpany, wątleje. Temu prawu, ogarniającemu wszelkie stosunki ludzkie, ulegliśmy: skoro przez dłuższy czas zaniedbaliśmy czynności celowych, potrzebnych do władania wybrzeżem morskim, po pewnym czasie przestaliśmy sprawę tę rozumieć, a wreszcie przestała ona nas zajmować i znalazła się poza polskim horyzontem myśli. Z tej przyczyny zaczęła się ułamkowość, a w dalszym następstwie ułomność polskiej myśli politycznej.

Dziś zaczynamy rozumieć na nowo; dbajmy, by czyny szły rzędem odpowiednim naszej myśli... a gdy nastąpi to choć w jednej dziedzinie życia państwowego, pociągnie to konsekwencje w innych. Logos musi, być pierwszy, a nawet zachować pewną przewagę nad Ethosem, choćby dlatego, że winien go wyprzedzać, a nigdy nie być przez Ethos wyprzedzany (z tego bowiem najcięższe nieszczęścia człowieka i ludzkości), ale Logos musi poprzez myślenie celowe wieść do Ethosu. inaczej nie ma kultury czynu, a bez niej nie ma życia.

Nie dojdzie społeczeństwo żadne do znaczenia, ani celu swego nie spełni, jeżeli Ethosowi swemu nie zapewni siły. Czerpmy ją z rolnictwa naszego, z górnictwa, z przemysłu i handlu. Cele, im idealniejsze, tym łatwiej przechodzą w dziedzinę utopi, jeżeli nie mają do swego rozporządzenia siły odpowiedniej materialnej.

Z tego jasno wynikają obowiązki nasze. Całe celowe myślenie nasze musi być obrócone na pozyskiwanie siły, której źródło w naszych zasobach materialnych i w zdatności wykrzesania z nich mocy dla państwa.

Znaczenie Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i polski handel. O celu Polski można; w tym miejscu powiedzieć tyle, że, jakkolwiek wytknęlibyśmy sobie, żadnego nie

osiągniemy, póki nie spełnimy powyższego warunku. Dlatego też należało zastanowić się najpierw nad kwestią naszych warunków materialnych, jako nad kwestią wstępną, bez której wszelkie dalsze rozważania zawisłyby w powietrzu.

Wyzyskanie darów przyrody aż do stopnia odpowiedniego szczebla przemysłu i handlu wymaga nieodzownie wysokiego stopnia oświaty: w tę dziedzinę zwrócimy. tedy z kolei nasze roztrząsania, posługując się metodą indukcyjną: od szczegółów do stopniowego uogólniania.

Rozdział IV. Oświata.

W całej historycznej Europie uniwersytet starszy jest od szkoły ludowej, oświata zaś powszechna nie jest niczym innym, jak ostatecznym i najszerszym spopularyzowaniem uczoneści. Najstarszymi jednak placówkami oświaty były księgozbiory. Było ich w Polsce wieków średnich kilkadziesiąt. Spis rękopisów kapituły katedry krakowskiej z r. 1110 zawiera dzieła teologiczne, a obok nich Boetiusa, Sallustiusa, Terentiusa, Ovidiusa, Persiusa itp. Zwożono cenne rękopisy do Polski z Włoch, z Flandrii, a niemal nic z Niemiec; lecz powstawały księgozbiory także pracą krajowych przepisywaczy, których nie brakło przy żadnym większym ognisku organizacji kościelnej. Drugi znany katalog tejże biblioteki kapituły krakowskiej z r. 1300 wykazuje już znaczne zasoby rękopisów, a podobnie bywało przy wszystkich kapitułach i we wszystkich klasztorach.

Powiększają się księgozbiory z wprowadzeniem sztuki drukarskiej. Najstarszy znany druk polski pochodzi z roku 1473 (w Krakowie: *Explanatio in psalterium Jana z Torquemady*), a wnet wyrabia się w Krakowie poważne nowego rękodzieła ognisko, z którego towarzysze roznoszą drukarstwo daleko po świecie. Wszak w Neapolu drukuje pod koniec XV w. Adam z Polski, a w tymże czasie występują w Hiszpanii dwaj drukarze: Władysław i Stanisław, Polacy. Około r. 1510 posiadał Kraków trzy drukarnie, po r. 1540 pięć, a koło 1570 r. siedem, Wilno równocześnie trzy, prowincja zaś około 20. Rozpowszechnienia sztuki drukarskiej dowodem taki np. znamieny szczegół, że hetman

Zamoyski odbijał manifest z wypowiedzeniem wojny Karolowi Sudermańskiemu szwedzkiemu, wydany w kilku językach, w drukarni obozowej (pod Kohenhużą w Inflanciech), którą woził z sobą. Handel księgarski, ustalony w Krakowie od r. 1517, rozwijał się taki szybko, że za zyguntowskich czasów (1506-1572) bywało równocześnie po 5-7 księgarzy. Od połowy XVII wieku upada sztuka drukarska (a także ruch księgarski) wszędzie, i w Polsce nie było lepiej; jednak Stanisław August (1764) zastaje drukarń w Polsce i Litwie 33, a pod koniec jego panowania (do 1795) było w samej Warszawie drukarń 9 (pod koniec XIX w. przeszło 60) i każde niemal miasto powiatowe posiadało swoją „oficynę”.

Mnożą się więc i księgozbiory, do czego dwór królewski zawsze dawał dobry przykład. Stawne są wspaniałe oprawy ksiązek z biblioteki Zygmunta Augusta; doborową bibliotekę posiadał Jan III Sobieski. Od XVI w, powstają biblioteki prywatne wielmożów, z których najstarsza Jana Zamoyskiego i syna jego Tomasza, tudzież (w XVII wieku) Jana Fryderyka Sapiehy w Kodniu, licząca wówczas przeszło 5.000 tomów. Związkiem pierwszej w środkowej Europie biblioteki publicznej była fundacja profesora Obiedzińskiego z r. 1503 w Krakowie „pro libraria artistarum” (skąd nazwa najstarszej sali w Bibliotece Jagiellońskiej), wzbogacana za tym przykładem licznymi następnie zapisami. Pierwszą na północy Alp biblioteką publiczną poza uniwersytetami była wielka biblioteka braci Załuskich założona w r. 1745, podarowana przez nich następnie rządowi polskiemu, a licząca przeszło 300.000 tomów, obok wspaniałych zbiorów rękopisów i rycin.

Głównym ogniskiem kultury umysłowej polskiej był przez całe wieki Kraków, nie dlatego, że był stolicą państwa (aż do r. 1595), ale dla swego uniwersytetu, „Jagiellońskim” zwanego, chociaż powstał jeszcze na 22 lat przed powołaniem dynastii Jagiellońskiej. Jest to po praskim (1348) drugi ze starszeństwa uniwersytet środkowej Europy, starszy o rok (1364, 1365) od najstarszego niemieckiego (wiedeńskiego). Miał on, jak wszystkie uniwersytety, czasy lepsze i gorsze, chwwały i upadku. Wiek XV, i pierwsza połowa XVI, to okres promieniowania na ościenne kraje, od Niemiec do Wołoszczyzny, kiedy posiadał dla swoich scholarów różnojęzyczne „bursy”. Album studiosorum tych czasów zawiera niejedno nazwisko, głośne następnie zagranicą. Opiewano sławę „akademii krakowskiej”

nie tylko u sąsiadów. Hiszpan Piotr Roysius (r. 1571) poświęcił jej zaszczytne ustępy w swym poemacie „Chiliastichon”. Anglik Jan Coxe ogłosił drukiem mowę pochwalną „De laudibus celeberrimae Cracoviensis Academiae” (1518). Nie z samych też Polaków składało się najdawniejsze na północy Alp stowarzyszenie literackie „Sodalitas Vistulana” (przed 1490; norymberskie 1495).

Krakowski uniwersytet nie był jedynym. Drugim z rzędu był wileński, genezy jezuickiej, ustanowiony przez króla Stefana Batorego 1578 roku. Trzeci powstał w r. 1595 z fundacji Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana, w Zamościu. Czwarty, najmłodszy, genezy również jezuickiej, powołał do życia przywilej króla Jana Kazimierza w r. 1661 we Lwowie.

Niewdzięczne to już były czasy dla rozwoju uniwersytetów. W połowie XVII wieku nastaje powszechny ich upadek na całym kontynencie europejskim; a nie wszystkie odradzały się potem tak gruntownie i wszechstronnie jak krakowski i wileński dzięki reformom, przeprowadzanym z ramienia państwa około r. 1780.

Reformy te nie tyczyły Zamościa i Lwowa, bo miasta te przeszły zaraz po pierwszym rozbiore (1772) pod Austrię. Austria zamknęła natychmiast uniwersytet w Zamościu, podczas gdy skutkiem kasaty jezuitów (1773) ostały się we Lwowie tylko nieliczne, a luźne, wolne wykłady, z których cesarz Józef II. skleił w r. 1782 w imię germanizacji uniwersytet niemiecki, który w r. 1805 zdegradowano na liceum, aż znów w r. 1817 przywrócono mu togę akademicką). Chodziło tu tylko o niemiecką fabrykę urzędników germanizatorów, a nie o rozwój wiedzy. Nie było wydziału medycznego; petycja galicyjskich Stanów o to spotkała się ze stanowczą odmową.

Dostawszy po trzecim rozbiore w swą moc i Kraków, chcieli Austriacy zaraz zamykać stary uniwersytet Jagielloński. Udało się ocalić samo istnienie, ale przepadły od razu wszystkie reformy polskie, a za to nastąpiła bezwzględna germanizacja. Dzięki wojnom napoleońskim odzyskał uniwersytet mowę polską, przynależąc w r. 1809-1814 do Księstwa Warszawskiego, potem zaś do drobnej rzeczypospolitej „Wolnego Miasta” Krakowa z okręgiem, które to państewko, ubożuchne, niewiele mogło zdziałać dla jego rozwoju. Skoro tylko w r. 1846 Austriacy weszli ponownie do Krakowa, znów miano

ochotę zamknąć uniwersytet krakowski i powtórnie trzeba było okupić istnienie germanizacją. Tym razem rządy austriackie obniżyły poziom uniwersytetu tak dalece, iż starożytne ognisko wiedzy i kultury zeszło w tej niemieckiej szacie na karykaturę uniwersytetu i dopiero po r. 1867, po odzyskaniu wszechnicy dla polszczyzny weszło na nowo na europejskie tory.

Wileńskiemu uniwersytetowi danym było zbiegiem, szczęśliwych okoliczności rozwijać się, i to świetnie, do r. 1832. Za udział Litwy w powstaniu 1831 r. „przeniesiono” go w r. 1833 do Kijowa, zamieniając na rosyjski, czyli że uniwersytet polski zniesiono, a kosztem jego zbiorów i instytucji założono w Kijowie nowy rosyjski.

Szkoły średnie – katedralne i parafialne – posiadały aż do XVI wieku w całej Europie urządzenia takie same, z tymi samymi podręcznikami szkolnymi, z tym samym trivium i quadrivium. Była jednak różnica. Podczas gdy wszędzie indziej nauczycielem mógł być każdy cudzoziemiec (boć nauka odbywała się wyłącznie po łacinie), w Polsce synod łęczycki 1285 roku wykluczył cudzoziemców, stanowiąc, by każdy z nauczycieli władał dokładnie językiem polskim. Uchwała ta, zwrócona przeciw osadnikom niemieckim, jest najdawniejszym w Europie uznaniem potrzeby, żeby szkolnictwo opierało się o pierwiastki narodowe.

Pedagogiczna literatura polska zaczyna się w r. 1432 dziełem Ślązaka Byczyny „*Labirynthus vitae conjugalis*” i odtąd ciągnie się bez przerwy a obficie, zwłaszcza, że należało to (i należy dotąd) do cech polskiej kultury, iż wszyscy wybitni mężowie wszelkich zawodów zajmują się sprawami wychowania. W przeglądzie niniejszym zwrócimy uwagę tylko na zasadnicze cechy tego piśmiennictwa i na momenty, mogące mieć ogólniejsze znaczenie w stosunku do europejskich dziejów wychowania, świadczące o polskiej twórczości pedagogicznej.

Pedagogika polska stale dawała pierwszeństwo wychowaniu publicznemu przed domowym. Znajdujemy to już w pierwszej w polskim języku wydanej książce pedagogicznej (Erazma Glicznera Skrzetuskiego: *Książki o wychowaniu dzieci*) w r. 1558. Zasadniczym celem szkolnictwa: kształcenie dobrych obywateli. To też Jan Zamoyski, „Wielkim” zwany, pragnie, by w jego Zamościu założona była ośmioklasowa szkoła

średnia jako „schola civilis”. Plany jej, wypracowane przez samego Zamoyskiego (około r. 1598) są nadzwyczaj postępowe, a rodzime polskie. Wzorów nie było nawet skąd czerpać, boć Komensky był nieledwie niemowlęciem natenczas, a szkoły podług pomysłów Raticiusa zaczęły powstawać dopiero w drugim dziesiątku lat XVII wieku. Wbrew szkolnictwu wszystkich narodów ma się w Zamościu dawać pierwszeństwo językowi ojczystemu i na nim oprzeć dopiero nauczanie języków klasycznych, zaraz od pierwszej klasy. W klasie piątej „nauczyciel wymowy zawsze materie, ściągające się do Rzeczypospolitej, dawać swoim uczniom powinien, a w dziejopisie przyczyny główniejszych w rządzie odmian, i one przyrównywać do kraju starać się będzie. W szóstej klasie nauczyciele moralnej nauki uczyć będą obowiązków człowieka i powinności obywatela. W siódmej tłumaczone będą prawa w powszechności, w ósmej prawa ojczyste, statuty, konstytucje, kancelarii prawowierności, sądów gatunek i sądenia sposób. Oto polska szkoła obywatelska.

Tym chętniej garnięto się do roztrząsania kwestii pedagogicznych, że wierzono mocno w cudowną moc wychowania szkolnego. U Sebastiana Petrycego (1554 do 1626) spotykamy najpierw „zasadę, znacznie później przez Loeke’a (1632-1704) do pedagogii zastosowaną, to jest, że dusza dziecka jest tablicą, na której można pisać, co kto zechce; człowiek jest takim, jakim go wychowanie uczyni. Petrycy „okazuje wielką dbałość o wychowanie fizyczne, większy też kładzie nacisk na wychowanie moralne i kształcenie charakteru, aniżeli na samą naukę”.

Pojmowano szkołę coraz bardziej jako czynnik życia narodowego. Nie darmo ten, który najlepiej zasadę tę sformułował, na niej (na języku ojczystym) oparł nowożytną dydaktykę, Jan Amos Komensky, wygnańcem będąc z ojczystej ziemi, znalazł przytułek w Polsce, a dzieła swe epokowe opracowywał w Lesznie w Wielkopolsce, gdzie był rektorem polskiej szkoły różnowierczej (1628-1640). Działalność jego, rozwinięta na polskiej ziemi, przyczyniała się tym bardziej do wzmożenia polskiego ruchu pedagogicznego.

Społeczno-obywatelskie cele wychowania podkreśla z naciskiem również najważniejszy pisarz pedagogiczny XVII wieku, Aleksander Olizarowski, w dziele, którego

sam tytuł wymowny: „De politica hominum societate”. Wychowanie stanowi jeden z rozdziałów tego tematu, omawia je zaś od siódmego roku życia i przechodzi wszystkie nauki szkolne, podając tedy całokształt wychowania publicznego.

Wielki reformator szkolnictwa w XVIII w., pijar Stanisław Konarski, patrzył na szkołę również, jako na część naprawy Rzplitej. Jego „Collegium nobiliinn”, naśladowane niebawem ogólnie, stało się nowym typem szkoły średniej, opartej przeważnie o tzw. realia. A zasługi pedagogiczne Konarskiego tyczą się wszystkich katolickich krajów Europy, bo we wszystkich odegrali w dziejach szkolnictwa wybitną rolę pijarzy, zreformowani przez Konarskiego; on to bowiem dopiero zrobił z nich zakon szkolny, on był sprawcą zmiany ich reguły zakonnej, gdyż z jego inicjatywy dodali sobie do zwykłych trzech ślubów zakonnych jeszcze czwarty: „nauczania aż do śmierci”.

Nadzie powszechnego przekonania, że szkoła ma służyć celom publicznym, wyłoniło się zapatrywanie, że szkolnictwem winno zająć się państwo. To też już w r. 1551 żądał tego Szymon Marycki. Jest to pierwszy w Europie głos w tym kierunku, a hasło to, jak w Polsce powstało, tak też w Polsce miało się najpierw spełnić. Sposobności dostarczyła kasata zakonu jezuitów, który podobnie jak wszędzie w katolickich państwach, utrzymywał i w Polsce liczne szkoły średnie. Ażeby ocalić olbrzymie dobra jezuickie dla szkolnictwa, przeniesiono je na ustanowioną w r. 1773 Komisję Edukacyjną. Było to pierwsze w Europie ministerstwo oświaty.

Komisja Edukacyjna używająca w Polsce zasłużonego przydomku „Wiekopomnej” – urządziła pierwszy w Europie „jednolicie zorganizowany system szkolnictwa państwowego, ogarniający wszystkie warstwy społeczne i wszystkie szkół rodzaje od najniższych do najwyższych. Na taki system żaden inny nie zdobył się wówczas naród. Chwała Polski nie ma na tym polu współzawodników”. Bo też „Ustawy Komisji Edukacyjnej” stanowią teraz jeszcze istną kopalnię postępowych pomysłów pedagogicznych i dydaktycznych.

Ustanowienie Komisji Edukacyjnej wywołało obfitą literaturę pedagogiczną. Wśród setek pism występuje na pierwszy plan Antoniego Popławskiego „O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej” (1775), podane jako projekt dla Komisji.

„Wywody jego, dotyczące edukacji fizycznej, są tego rodzaju, iż dopiero w najnowszych czasach zyskały uznanie i rozgłos, ale... jako pomysły z Anglii pochodzące”. Projektów podawano Komisji mnóstwo, a niemało szczęśliwych. Do najszcześniejszych należał projekt Adolfa Kamieńskiego, skwapliwie przyjęty a wspaniale wykonany, mianowicie rzucił on pierwszy myśl założenia głośnego następnie „Towarzystwa do ksiąg elementarnych”, pierwszej w Europie stałej organizacji publicznej, na którą państwo zdało pieczęć o podręczniki szkolne.

Ażeby stwierdzić nadzwyczajną. postępowość ówczesnych szkół polskich, nie trzeba bynajmniej szukać dowodów w słynnym jakim zakładzie; dostarczy ich każda szkoła, choćby na zapadłej prowincji, chociażby nawet nie rządowa, nie pozostająca przeto pod władzą bezpośrednią Komisji, ale tylko pośrednio dotknięta jej wpływami. Nie znosiła bowiem Komisja szkół prywatnych klasztornych, pijarskich, dominikańskich, bazylikańskich itp., zakładając obok nich własne, państwowe, jako dyrektywy publicznego nauczania, którego nie uczyniono jednak bynajmniej monopolem, państwowym.

W takiej drugorzędnej szkole pijarskiej, w zapadłym kącie Polesia (owej najbardziej ustronnej i zacofanej prowincji), w mieście, będącej właściwie dużą wsią, w Lubieszowie. kształcił się bohater narodu, Tadeusz Kościuszko – i stąd znamy bliżej jej urządzenia, dzięki szperaniom biografów Naczelnika. Takich szkół, położonych w zaciszu prowincji, a połączonych z internatami, było tyle, iż stanowiły one większość polskiego szkolnictwa średniego na wiek przeszło wcześniej, zanim pedagogika europejska zaczęła głosić, że tak być powinno. Opis zakładu lubieszewskiego czyta się dziś, jakby jakiej szkoły angielskiej z początku XX wieku. Niemieckie szkoły nie zdobyły się dotychczas na nauczanie geometrii jako miernictwa, w polu, a tymczasem tam w Lubieszowie około r. 1755 „w maju zdarzało się większe ożywienie z powodu praktyki mierniczej, na którą z nauczycielem geometrii kilka razy wychodzili za miasto uczniowie klas IV, V. i VI., robili pomiar okolicy i rysowali plany”. Znamiennym jest fakt, że sama szkoła była jednopiętrowa, ale dwupiętrowy był budynek ze zbiorami narzędzi do nauki fizyki, chemii, matematyki, tudzież z biblioteką szkolną. Szkoła miała swój ogród botaniczny z oranżeriami, cieplarnią, a dalej nad rzeką ogród owocowy, zwany Wenecją, bo „cały

w kanałach zarybionych”; jeden z nich wychodził bezpośrednio na rzekę, stanowiąc tam przystań, w której były utrzymywane czółna. W zakładzie były: stolarnia, tokarnia, kuźnia, młyn, deptak, łaźnia, itd. Trzymano się widać słów Staszica, „by wszystkich umiejętności teorie z doświadczeniem były łączone; aby wszystkie prawdy naukowe przedstawiano w łączności z życiem praktycznym”.

Znamienną cechą społeczeństwa polskiego stanowiła i stanowi dbałość o wyższe wykształcenie żeńskiej także młodzieży; celowała i celuje tym Polska, bo to dawna nasza tradycja, wszak pierwszy głos w tej sprawie, Jędrzeja Glabera z Kobylina, pochodzi jeszcze z XVI wieku. Klasztory żeńskie poczęły urządzać szkoły średnie pod koniec XVIII wieku; a zatem i w niewieścim wychowaniu torowała sobie drogę zasada, dająca pierwszeństwo wychowaniu publicznemu, tj. szkolnemu, przed domowym.

W połowie XVIII w. zaczyna się w Polsce piecza o powszechną szkołę elementarną, o szkołę ludową. Pierwszy z pisarzy zajął się nią Stefan Garczyński (1695-1755), który już wówczas pragnął widzieć w każdej wsi ochronkę²⁰ i szkołę elementarną. Dzieło jego poświęcone reformom w ogóle i traktujące sprawę szkoły ludowej na tle ogólnym poprawy Rzeczypospolitej, „Anatomia Rzeczypospolitej polskiej”, wyszło w r. 1751. W następnym pokoleniu Komisja Edukacyjna zajęła się tym gorliwie i pierwsza w dziejach wychowania organizuje na szerokich podstawach szkolnictwo ludowe”. Jeden z najczynniejszych członków Komisji, sekretarz Towarzystwa do ksiąg elementarnych, znakomity pedagog Grzegorz Piramowicz, wśród licznych swych pism wydaje też dwa zasadnicze dla szkolnictwa ludowego: „Nauka obyczajów dla ludu” i „Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełniania”, dzieło wydane w r. 1787, a „do dnia dzisiejszego nieocenioną posiadającą wartość”.

Jakaż nagła odmiana na gorsze pod rządami państw rozbiorowych!

Pod rządem pruskim zmniejszyła się zaraz ilość tych szkół, a jakość pogorszyła się

²⁰ „Ochronka” to polska poprzedniczka „frblówek” czyli tzw. ogródków dziecięcych Fróbla (1782-1852); to też w Polsce przejęto potem z jego metody zasadnicze rysy, nie naśladowując niewolniczo, owszem rozwijając ją dalej samodzielnie.

wielce, jak posiadaliśmy przed wojną na to świadectwa Niemców współczesnych.²¹ Pod koniec 1799 r. wystąpił rząd pruski z własnym planem szkolnictwa, którego jedynym celem była germanizacja. Radował się zarządca polskiej prowincji von Schroetter, że język polski zniknie po kilku pokoleniach, jeżeli się germanizację rozpocznie od szkoły ludowej, a zrećźnie...

Nastał równocześnie cały system szkolnictwa austriackiego, ogromnie skomplikowany, jak zawsze wszystko, co austriackie, chociaż z celem nader ograniczonym: żeby młodzież wyuczyć języka niemieckiego i... niczego więcej. Straszliwe zaniedbanie w dziedzinie szkolnej ilustruje dosadnie taki fakt, że w r. 1793 były we Lwowie cztery szkoły żydowskie, a rządowych austriackich tylko dwie.²² Na całą Galicję urządzono tylko 30 szkół elementarnych „normalnych”, w których uczono czegoś więcej, niż niemczyzny, ale bezskutecznie, boć nikt nauki tej nie rozumiał, skoro była udzielaną w języku niemieckim. Do wszelakiego zresztą typu szkół ludowych nie było zawodowo wykształconych nauczycieli i nie życzo no ich sobie spośród ludności krajowej.

Ażeby scharakteryzować wpływ rosyjskich rządów na system szkolny wystarczy zacytować jeden ustęp z pisma księdza Stroynowskiego do księcia Adama Jerzego Czartoryskiego: „Od owego czasu, jak rząd guberni zawiadywał szkołami w guberni mińskiej, nikt nie otrzymał miejsca nauczyciela bez pieniędzy, to jest bez przekupienia i opłacenia się władzom”. Nieszczególne przeto żywioty dostawały się na posady nauczycielskie, ale prześladowania szkolnictwa dla jego polskości jeszcze w zaborze rosyjskim nie było. Pomimo to. groził szkolnictwu narodowemu zanik przez wewnętrzne osłabianie go, demoralizację szerzoną z góry, od urzędów i przez urzędy i skutkiem braku jakiegokolwiek opieki życzliwej a kompetentnej władzy.

Polskiej kulturze umysłowej groziło tym poważniejsze niebezpieczeństwo, że

²¹ Anton Karbowski: Zwei Kaempfe fuer die Wahrheit. Eine Flugschrift gegen einen berliner Schulgeschichtsschreiber. Krakau 1914.

²² Leon Kulczyński: Szkoły (z powodu wystawy lwowskiej 1894 roku). Przegląd Polski, październik 1894.

nastał rabunek polskich zbiorów, muzeów, bibliotek. Wojska rosyjskie spustoszyły po powstaniu Kościuszkowskim gruntownie Puławę, gdzie Adam Kazimierz Czartoryski (1734-1823) zgromadził wielkie zbiory, jedno z najstarszych i najwspanialszych zarazem muzeów środkowej Europy tak znaczne, że nawet po rabunku wielkim być nie przestało. Dla bezpieczeństwa przeniesiono je następnie do Paryża, bo w całej Polsce nie widziano nigdzie dla tych zbiorów bezpieczeństwa. Wszak wielką bibliotekę Załuskich wywieziono z Warszawy w r. 1795 do Petersburga. Pomimo znacznego rozproszenia zbiorów skutkiem niedbalstwa i prostych kradzieży w drodze, dowieziono jednak nad Nową jeszcze 262.640 tomów, 24.573 rycin i 11.000 rękopisów – i ten to rabunek stanowi zawiązek „Cesarskiej publicznej Biblioteki” w Petersburgu.

W zaborze austriackim pragnął Józef Maksymilian Ossoliński (1748-1826) zastąpić zgaszone przez zaborcę ognisko wiedzy w Zamościu biblioteką publiczną własnej fundacji, i wystarał się o pozwolenie na to (sic! na założenie biblioteki trzeba było zezwolenia Wiednia!) w r. 1804 u cesarza Franciszka I, korzystając z osobistego swego stanowiska na dworze (jako reprezentant „magnatów galicyjskich”). Wojny napoleońskie nie ułatwiały takiego dzieła pokojowego, a gdy się skończyły, Zamość nie należał już do zaboru austriackiego; przeniósł więc Ossoliński swą fundację do Lwowa. W r. 1817 dopiero poczyna się urzeczywistniać zamiar Ossolińskiego, którego zamysł zaczęto szykanować, pomimo to, że on sam był od r. 1809 prefektem nadwornej biblioteki wiedeńskiej w Wiedniu. W r. 1823 połączyło się z „Zakładem Narodowym Imienia Ossolińskich” w jednym gmachu „Muzeum imienia Lubomirskich” (utworzone przez Henryka Lubomirskiego), i odtąd wspólnie opierało się niechęci rządu austriackiego. Jeszcze w r. 1837 musiano katalogi biblioteczne przedstawiać policji²³. Przetrwano jednak szczęśliwie te czasy i Zakład kwitnie obecnie, a Biblioteka jego jest wzorem, nienaśladowanym niestety przez biblioteki rządowe.

Pruski zabór otrzymał podobną placówkę kulturalną z fundacji Edwarda Raczyńskiego w r. 1829; skoro biblioteka rozwinęła się, zagarnęli ją Niemcy wraz

²³ Wojciech Kętrzyński: Zakład narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1894.

z funduszami, a polska fundacja stała się w Poznaniu instytucją niemiecką, germanizacyjną. Pozostała tam jedynie biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Muzeum Mielżyńskich, które zachowało tę ostrożność, że się nigdy nie ogłosiło publicznym i w ten sposób ochroniło się od ingerencji władz pruskich. W podobny sposób ocalały bogate zbiory Działyńskich i Zamoyskich w Kórniku pod Poznaniem, muzeum połączone z fundacjami wydawnictw naukowych. Podobna kombinacja istnieje też przy wielkiej bibliotece Świdzińskich w Sulgostowie, przeniesiona następnie na Bibliotekę Krasińskich w Warszawie. W Warszawie również znajdują się biblioteki ordynacji Zamoyskich (pierwszorzędna), Przeździeckich i inne. Dla przykładu tylko przytaczamy tu tych kilka, bibliotek spośród kilkudziesięciu powstałych w tym okresie, zaznaczając, że musiały pozostawać prywatnymi, i w znacznej części pozostały na wsi, w dobrach prywatnych swych fundatorów i właścicieli, ażeby nie kłóć w oczy tych, którzy każdej chwili mogli je wywieźć, lub wziąć w swój zarząd i odebrać je polskiej kulturze. Wspomnimy jeszcze tylko znakomitą doborową bibliotekę Tadeusza Czackiego w Porycku, która ocalała dzięki temu, że ją potem zakupili Czartoryscy i wywieźli do Paryża.

Dzięki pomyslnemu zbiegowi okoliczności został Adam Jerzy Czartoryski (1770-1861), syn Adama Kazimierza, w r. 1803 rosyjskim ministrem spraw zewnętrznych (chodziło o pozyskanie Polaków przeciwko Napoleonowi) i kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Było to prawdziwym wybawieniem od ruiny, jaka groziła tradycjom Komisji Edukacyjnej. Praca kulturalna polska popisała się wlot. W r. 1820 posiadał okrąg wileński zakładów naukowych 430, nauczycieli 983, uczniów 21.174, podczas gdy najbardziej postępowy z rosyjskich okręgów, charkowski, doszedł zaledwie do liczby 249 zakładów, a uczniów 11.716. Zakwitnęło w Krzemieńcu arcydzieło szkolnictwa średniego, wzór do dziś dnia niedościgniony, niezrównane dzieło Tadeusza Czackiego: gimnazjum wołyńskie, przemianowane następnie na „liceum krzemienieckie”, a obok tego kilka jeszcze gimnazjów w Krajach Zabrzanych, utrzymywanych również prywatną hojnością, ze składek obywatelstwa.

W tym czasie, dzięki kuratorii Czartoryskiego, zakwitł uniwersytet wileński i stał się ogniskiem prawdziwie europejskiej kultury umysłowej, a że równocześnie rząd

utworzonego na kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego (Kongresówki) przystąpił do założenia w Warszawie uniwersytetu, były więc od r. 1817 dwa polskie uniwersytety. Jaką otaczano je pieczę, znać ze samego stanu bibliotek, wszak warszawska uniwersytecka liczyła niebawem do 300.000 tomów (ustawiał ją Lelewel), a wileńska niewiele jej ustępowała. Obok uniwersytetu, jakby jego emanacje, powstawały rozmaite zakłady naukowe. Tak np. w Wilnie słynne Muzeum Archeologiczne, wywiezione następnie też do Petersburga, po którym została jednak biblioteka, licząca niemal 100.000 tomów.

Czartoryskiemu zaczęto niedługo rzucać w Petersburgu kamienie pod nogi. Uniwersytet wileński uległ prześladowaniom, student stawał się dla rządu rosyjskiego rodzajem przestępcy politycznego; z pełnego wzniosłości związku młodzieży „filaretów” ukuto sprawę polityczną i więzienia zapełniono młodzieżą. Nie zawahano się wprowadzić systemu policyjnego także do szkół średnich, nawet do klas niższych; wszak szczegóły przechowane są w „Dziadach” Mickiewicza...

W Kongresówce stan szkolnictwa podnosił się zrazu stale, bo sejmy polskie uchwalały jak największe budżety oświatowe. Mamy świadectwo z r. 1821, jako w budowlach szkolnych wprowadzano „przepych”. Tegoż roku wniesiono do sejmu petycję, żeby w każdej wsi była szkółka i to na koszt dziedziców. Starania o oświatę ludową nabierają w tych latach pewnej systematyczności; pojawiają się książki dla ludu i od r. 1817 wychodzi „Gazeta Wiejska”.

Ale w r. 1823 przyszedł nakaz z Petersburga, żeby wstrzymać zakładanie nowych szkół wiejskich. Wnet nastał osławiony „system Mikołajewski” (Mikołaj I. 1825-1855). System ten charakteryzuje dosadnie fakt następujący: budżet oświatowy obcięto do 368.000 rubli, a z tego wydawano znaczną część na utrzymanie... komitetu cenzury.

Po powstaniu 1831 r. zamknięto obydwie uniwersytety, a Kongresówce kazano z uszczuplanego coraz, bardziej budżetu oświatowego opłacać urzędników nowej biurokracji rosyjskiej, mającej czuwać nad poskramianiem wzrostu oświaty, i łożyć na koszty dozoru policyjnego nad drukarniami, wreszcie na popieranie handlu... książkami rosyjskimi! Do szkół ludowych wprowadzono najgorszą hałastrę z pośród niższego czynownictwa rosyjskiego, nakładając na nich obowiązek nie nauczania czegokolwiek,

bynajmniej, ale rusyfikowania, a przy tym poróżniania dworu z chatą i siania waśni społecznej. Cały czas marnowało się na to, żeby dziatwę wieśniaczą wyuczyć orientalnego abecadła rosyjskiego, „graždanki” i garści wokabuł rosyjskich. Dzieci się tego i tak nie nauczyły, chłop się pomimo wszelkich zabiegów nie rusyfikował, ale widząc, że dzieci w szkole nic nie korzystają, wziął rozbrat ze szkołą w ogóle i nauczył się obywać bez niej. Rząd wcale nie dbał o frekwencję, a w końcu w r. 1851 zakazał wręcz wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a także co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Cofano poziom oświaty z całą świadomością, aby ogłupić Polskę do poziomu rosyjskiego.

Obniżano też poziom szkół średnich, wprowadzając plan szkolny rosyjski i napełniając, a raczej przepelniając szkołę językiem rosyjskim. Nie kształcenie było zadaniem wszelkiego szkolnictwa, lecz, rusyfikacja.

Po roku 1831 tępi się i niszczy polski dorobek szkolny, a trwało to we wszystkich trzech zaborach aż do r. 1867, a jednak „nie istnieje chyba ani jedna dziedzina zagadnień wychowawczych, która by w literaturze pedagogicznej polskiej tego okresu nie była poruszana i opracowana, przeważnie z punktu widzenia interesów narodowych”. W tym okresie powstał wielki system pedagogiczny Bronisława Trentowskiego („Chowanna czyli system pedagogiki narodowej”, 1842).

Pedagogika polska odznacza się nadal pomysłami postępowymi. W r. 1846 występuje Aleksander Dybowski w broszurze „Myśli o wychowaniu narodowym” z zapatrywaniem, że „zakładami wychowania narodowego powinny być wielkie zakłady rolnicze, w których nie ma przymusu, a nauka łączy się ściśle z pracą twórczą i zajęciami praktycznymi”. Gani szkoły, że uczą w nich mnóstwa rzeczy niepotrzebnych, a potrzebnych nie uczą. „Gdyby nie data wydania, można by broszurę Dybowskiego zaliczyć do najświeższej doby prac pedagogicznych. W żądaniach swych wyprzedził on o lat 60 dzisiejszych reformatorów szkolnictwa. Zaleca zakładanie szkół na wsi, oddzielne traktowanie każdego ucznia z osobna, zamianę nauki biernej na czynną, wreszcie samokształcenie i zaprawianie wychowanka do samodzielności w myśleniu i badaniu”.

Zasadnicze znaczenie posiada dziełko Józefa Meyznera „Kilka myśli o wychowaniu

i nauczaniu” (wydane po francusku r. 1835). Zrywając z dotychczasową podstawą pedagogiki, z utylitaryzmem publicznym, przechodzi na stanowisko pedagogii czystej i „oświadcza, że celem wychowania musi być człowiek sam, człowiek szanowny zarówno ze względu na swoje cnoty i nieugiętość charakteru, jak i dla swoich wiadomości”.

W tym też okresie Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, stanąwszy na czele żeńskiego ruchu wychowawczego, sprawiła swymi pismami i wpływami, że poziom inteligencji Polek przewyższał odtąd, i to znacznie, przeciętne ukształcenie umysłu kobiecego u wszystkich innych narodów kontynentu, i jedynie z angielskim zestawiać można polskie wykształcenie niewieście.

W tym okresie ucisku powszechnego przedstawia się pokaźnie dział popularnej literatury wychowawczej, pojawia się też pierwszy polski, organ zawodowy stanu nauczycielskiego: Ewarysta Estkowskiego „Szkoła Polska”, w Poznaniu od r. 1849, i odtąd wydawnictwa periodyczne tego rodzaju mnożą się stale. Od r. 1849 zaczynają się też wydawnictwa z zakresu historii wychowania i szkół w Polsce (Łukaszewicza Józefa: Historia szkół w Koronie i W. Ks. Litewskim).²⁴

Poprawiać zaczęły się stosunki w zaborze rosyjskim po wojnie krymskiej. W r. 1857 założono w Warszawie akademię medyko-chirurgiczną. Było to bądź co bądź postępek w porównaniu z zaborem austriackim, gdzie za wielką to poczytywano łaskę, kiedy zezwolono w uniwersytecie lwowskim na ustanowienie dla języka polskiego... lektora. W Kongresówce nastąpiła niebawem „era Wielopolskiego”: polonizacja urzędów, założenie r. 1862 w Warszawie świetnego uniwersytetu pod skromną nazwą „Szkoły Głównej”. Niespodzianie roztwierają się wrota wszelkiej pracy narodowej, lecz na krótko, gdyż rok 1863 przekreśla wszystko.

Zrazu był ucisk tylko polityczny, a od roku 1867 zaczął się na nowo narodowy i kulturalny. Zniesiono całą organizację szkolną Wielopolskiego, wprowadza się do

²⁴ Z naszych czasów opracowywał ten temat na nowo Antoni Karbowski (dwa tomy, sięgające treścią do r. 1904). Tegoż przygotowana jest do druku wyczerpująca bibliografia pedagogiki polskiej, której rękopis nabyło ministerstwo oświaty.

Kongresówki ogólnorosyjską ustawę szkolną, rosyjski język wykładowy i rosyjskich nauczycieli, indywidua wyspecjalizowane do szpiegostwa, łapówek i demoralizacji wszelkiej, a lubujące się w policyjnym ucisku młodzieży. Z 60 profesorów warszawskiej Szkoły Głównej pozostawiono ledwie dwóch, a docentom polskim zatajowano całkiem dostęp do zakładu, który przerobiono wlot na uniwersytet rosyjski. Odtąd nie było też dozwolone żadne stowarzyszenie naukowe.

Zrusyfikowany od r. 1869 uniwersytet pustoszał z roku na rok, więc otwarto do niego przystęp uczniom rosyjskich seminariów duchownych, których nie przyjmowano na żaden rosyjski uniwersytet w Rosji właściwej, jako nie posiadających wykształcenia średniego; obniżono dla nich poziom uniwersytetu warszawskiego, byle utrzymać w Warszawie placówkę rusyfikacyjną w formie uniwersytetu. Pomimo to atoli liczba uczniów malała wciąż; przed wojną było ich niespełna 600. Równocześnie tysiące polskiej młodzieży szukało wiedzy w uniwersytetach nie tylko polskich w Galicji, nie tylko w niemieckich i francuskich, ale nawet w rosyjskich Rosji prawdziwej, unikając obmierzłego rusyfikacyjnego uniwersytetu w Warszawie. Unikać go trzeba było tym bardziej, że wśród jego profesorów przeważali zawsze nieucy, kompromitujący tylko naukę rosyjską, i do tego wyjątkowo tylko zdarzali się między nimi ludzie uczciwi. Jeżeli czasem zdarzył się tam profesor naprawdę uczony i z charakterem, sam starał się wydostać jak najprędzej ze zgniłej atmosfery zakładu czynowniczo-policyjnego, podszywającego się pod płaszczyk nauki.

Szkolnictwo średnie karłało również w szponach czynownictwa. Stosunek poziomu naukowego do polskich gimnazjów w Galicji był taki, że uczeń przechodzący z rosyjskiego gimnazjum w Kongresówce do polskiego po drugiej stronie kordonu, szedł o rok niżej, często o dwa lata. Właściwie były te szkoły kaźniami policyjnymi dla młodzieży. Znamiennym zaś jest, że nawet ilość ich pomniejszała się. W r. 1814 posiadała Kongresówka szkół średnich 48, w roku 1838 tylko 33, a roku 1889 nawet tylko 31,²⁵ chociaż i ludność wzrastała ciągle, i to znacznie, i dobrobyt powiększał się bądź co bądź,

²⁵ Włodzimierz Wunr: „Oświata publiczna w Królestwie Polskiem 1905-1915, Warszawa 1915.

a poczucie potrzeby wyższego wykształcenia szerzyło się bardzo, jak to z innych oznak wiemy dowodnie. Ale kogo tylko jako stać było na to, posyłał synów do Galicji, albo kształcił ich w domu prywatnie, mimo całej niechęci Polaków do prywatnego wychowania.

W całym-zaborze rosyjskim pozamykano wszystkie a wszystkie szkoły klasztorne. W Krajach Zabrzanych tj. w prowincjach litewskich i ruskich dawnego państwa

polskiego zamknęli Rosjanie szkół średnich polskich, klasztornych i świeckich, męskich i żeńskich, 589 (wyraźnie: pięćset osiemdziesiąt dziewięć) – liczba, która starczy na świadectwo mocy kultury polskiej w tamtych ziemiach, antykulturalności zaś rządu rosyjskiego.

W szkole ludowej zaboru rosyjskiego uczono ostatnie pokolenie obok sztuki czytania grażdanką... śpiewu nieśni rosyjskich, cerkiewnych (prawosławnych tedy) i... żołnierskich. To też rząd osiągnął swój cel: spustoszenie intelektualne wśród ludu rosło z roku na rok. Ogłupił rząd wreszcie Polskę do poziomu rosyjskiego: w roku 1905 było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a % ludności nie umiało czytać ni pisać. W r. 1906 wynosiły wydatki skarbu publicznego na jedno dziecko w wieku szkolnym (lat 8-11) na głowę przeciętnie w całym państwie rosyjskim 1 rb. 70 kop., ale w Kongresówce tylko 69 kop. W r. 1908 przypadała w Kongresówce jedna szkoła wiejska na 2552 mieszkańców, podczas gdy przeciętna całego państwa opiewała na mieszkańców 1967. A jednak na próżno zapowiadał osławiony kurator warszawskiego okręgu naukowego, Apuchtin (około r. 1890), że dzięki jego rządowi szkolnym „matka Polka zawodzić będzie nad kołyską dziecka rosyjską piosenkę”...

Państwo karało surowo grzywną do 300 rubli i 3 miesięcy więzienia za bezpłatne nauczanie biednych dzieci w języku polskim. Z ochron warszawskich wyrzucono kilka tysięcy dzieci dlatego, że je tam uczono czytać po polsku; wyrzucono je na bruk uliczny, na głód i poniewierkę wielkowiejskiej ulicy. Lepiej niech wyrosną na dziczki moralne, niż żeby miały... umieć czytać po polsku!

W całym świecie uważa się za zasługę tępienie analfabetyzmu, ale Polak miał według postanowień rządów pruskiego i rosyjskiego obowiązek utrzymywania ciemnoty

we własnym kraju; jeżeli uczył kogo sztuki czytania i pisania w języku swoim własnym, polskim, na swojej własnej polskiej ziemi, bywał za to aż do ostatniej chwili panowania tych obmierzłych państw, karany dotkliwie. Wymyślono „zbrodnię tajnego nauczania” ale jawnie nauczać też nie było wolno! Całe legiony osób uległy prześladowaniu za szerzenie abecadła, przy czym w Prusach ze szczególną jakąś predylekcją zamykano do więzienia kobiety. U władz pruskich wytworzyli się specjaliści do tropienia „zbrodniarek”.

Istny huragan prześladowania polskości zerwał się w Prusach po wojnie francusko-niemieckiej 1871 r. Szło to w tempie tak szybkim, iż już 1873 r. ograniczono język polski w szkołach tylko do wykładu religii „na najniższym stopniu szkół elementarnych” i to tylko „za zezwoleniem”, którego odmawiano coraz częściej. Doszło do tego, że nie dopuszczano, żeby dzieci polskie przygotowywane były w ojczystym języku do pierwszej Komunia Świętej. Zasłynęły też szkoły pruskie z bicia diatwy polskiej, o cokolwiek, prawie zawsze np. za przyniesienie do szkoły polskiego katechizmu, a często o to, jeżeli dziecko nie chciało w szkole lżyć swej własnej narodowości. Głośną była w swoim czasie sprawa, we Wrześni, którą zainteresowała się cała cywilizowana Europa.

W zaborze austriackim nastąpiła ulga od r. 1867. Austria wyrzucona z Niemiec i z Włoch, pobita na głowę, szuka odtąd „odszkodowania” na Bałkanach, co pociągało za sobą narażanie się na starcie z Rosją, przewidywane od początku; z tego powodu chciano w Wiedniu mieć Polaków po swej stronie i postanowiono zjednywać ich „ustępstwami”. W Galicji wprowadzono język polski niemal do wszystkich urzędów, do sądów i szkolnictwa. Dzięki pewnej autonomii można było tę względną wolność wyzyskać, a najenergiczniej zabrano się do sprawy oświatowej.

Odżyły dla polskiej kultury uniwersytety krakowski i lwowski, a po niedługim czasie stanęły do współpracownictwa nad nauką europejską (o czym w rozdziale „Nauki”). Szkolnictwa nie można było urządzać w Galicji po polsku, według tradycji narodowej i wymogów ducha polskiego; było to szkolnictwo typu niemiecko-austriackiego z polskim językiem wykładowym, ale szkoły zaczęły być po niedługim czasie dobre pod względem dydaktycznym, kształcąc umysły na podstawie pewnych metod pedagogicznych. Pokrył się kraj siecią szkół, których niedostatki

wynagradzał patriotyzm nauczycieli i nauczycielek. Powstało Towarzystwo Pedagogiczne, Towarzystwo Nauczycieli Szkół wyższych (z miesięcznikiem „Muzeum”) i inne specjalne zrzeszenia osób stanu nauczycielskiego. Przybywało szkół ludowych z roku na rok, i w ostatnim przed wojną roku nie było już w Galicji gminy, która by była pozbawioną możliwości posyłania dzieci do szkoły. To też wyrosło nowe pokolenie wieśniacze, całkiem niepodobne do poprzednich.

Dawna postępowość pedagogiki polskiej okazała się w całej pełni wprowadzaniem wielu ulepszeń nowoczesnych, przystosowywanych do potrzeb kraju własną pomysłowością. Tak np. w r. 1885 z inicjatywy Siedmiogroja, nauczyciela szkoły wydziałowej w Sokalu, wprowadzono do szkół ludowych szwedzki „sloejd” (naukę zręczności).²⁶ Do ochronek, znanych u nas od dawna, wprowadzono metodę froeblovską, wielce w Polsce wydoskonaloną. Korpusów wakacyjnych, kolonii i półkolonii pełno. Gry na wolnym powietrzu łączą się z pomysłem oryginalnym, pełnym nieocenionych walorów, tzw. „jordanówek”.

Są to parki obszerne, oddawane młodzieży do dyspozycji na gry ruchowe, zwane tak od fundatora pierwszego takiego parku w Krakowie, lekarza dra Henryka Jordana (1888).²⁷ Jest w Galicji od r. 1909 i skautyzm, a nawiązał stosunki wprost z Anglią i z samym „the chief scout”, sir Robertem Baden-Powellem.²⁸ A na tle skautyzmu wyrósł neofilaretyzm wśród naszej młodzieży szkół średnich, niezrównana szkoła charakterów, a czysto polska, zdobycz lat ostatnich. Zasadą ich: czynić dobrze, choć nikt o tym nie będzie wiedział, bez nadziei odznaczeń, ani nawet odznaczeń czysto moralnej natury. Można by scharakteryzować ich krótko, że propagują obowiązek cichego bohaterstwa, że wprowadzają bohaterstwo w życie powszednie. Podnieść należy, że organizacja ta wyszła samorzutnie z łona młodzieży; na dobrej drodze toczyła się widać pedagogia polska,

²⁶ Leon Kulczyński, j. w. Do dawnej i nowszej pedagogiki kopalnią wiadomości jest warszawska „Encyklopedia wychowawcza” (od r. 1881).

²⁷ Eugeniusz Piasecki: Parki Jordanowskie, Lwów 1907.

²⁸ Andrzej Małkowski: Scouting in Poland (bez miejsca i roku wydania). Ożywiony ruch skautowski nastął od r. 1911. Inicjatorem był Edmund Naganowski, który spędził znaczną część życia w Anglii.

skoro, pomimo najtrudniejszych warunków rozwoju wydała kwiat tak wspaniały.

Neofilaretyzm może być wszędzie, bo może być tajny; ale korpusy wakacyjne, skautingi, organizacje gier ruchowych itp. nie dały się urządzać tajnie, to też zabory rosyjski i pruski były pozbawione tych nowoczesnych środków pedagogicznych, gdyż ani pruski rząd, ani rosyjski nie dopuszczały tego rodzaju organizacji u polskiej młodzieży.

W r. 1905 doznawało się przez krótki czas złudzenia, jakoby w Rosji możeby było uznanie praw ludzkich. Skoro tylko rewolucja oczyściła choć trochę czynowniczą atmosferę, założono zaraz w Warszawie „Macierz Szkolną”, jako najpilniejszą i najdonioślejszą potrzebę społeczeństwa. Nie było mowy o tym, żeby rząd miał utrzymywać szkoły polskie z podatków opłacanych przez Polaków! O tym nikt nie marzył przy najsilniejszym choćby wezbraniu „rewolucji”; chodziło tylko o to, żeby można było zakładać szkoły z darów prywatnych, ze składek. Półtora roku tylko dozwolono istnieć „Macierzy”, ale wystarczył czas tak krótki, żeby żywotność narodu polskiego, postępowość jego ducha, okazały się w całej pełni; „Macierz” zorganizowała przeszło 400 szkół ludowych, 211 ochronek, 3 seminaria nauczycielskie i kilka gimnazjów, sporo kursów dla porosłych analfabetów, rozległy „uniwersytet ludowy”, kilkanaście „domów ludowych” z czytelniami, teatrami amatorskimi itp. Przestała istnieć w grudniu 1907, zamknięta, jako „niebezpieczna dla idei państwowej rosyjskiej”. Składek zebrała „Macierz” przeszło 800.000 rubli, nie licząc fundacji rozmaitych. Wszystko to musiało się zlikwidować.

Ale to tylko cząstka działalności społecznej polskiej w owym krótkotrwałym „półwiośniu” rosyjskiego państwa. Wyliczyć możemy tu tylko najważniejsze tej działalności objawy.

W Warszawie Towarzystwo Uniwersytetu dla Wszystkich, Uniwersytet Ludowy ziemi radomskiej, Stowarzyszenie Kursów dla Analfabetów, Towarzystwo Wpisów Szkolnych (zbierające składki na opłaty szkolne dla niezamożnej młodzieży); w Kijowie „Oświata” z szeregiem całym podwładnych jej instytucji oświatowych specjalnych; podobna działalność na Litwie itd. Niektórym z tych instytucji danym było trwać nieco dłużej, ale żadna nie przeżyła roku 1910. Kiedy w owym roku wniesiono podanie

o założenie jeszcze jednego „uniwersytetu ludowego” na prowincji, otrzymano odpowiedź odmowną, bo działanie takiej instytucji jest „niebezpieczne dla spokoju publicznego”. Na tym punkcie stanęły stosunki polsko-rosyjskie przed wojną powszechną. Komentarz zbyteczny.

Z powyższej sumarycznej wzmianki widać, że powiewu względnej swobody użyto w Kongresówce przede wszystkim dla szerzenia oświaty. Na tym punkcie współzawodniczyły z sobą zawsze wszystkie trzy zabory. Nie odstraszały żadne zakazy, ni prześladowania, bo uważano to za najdonioślejszy ze wszystkich obowiązków patriotycznych. W tajemnicy robiło się dużo, bardzo dużo; w zaborze pruskim, powiatowymi organizacjami; w Kongresówce istniał długie lata formalny spisek specjalnie do tego, a na tysiące liczyć wypada ilość osób, więzionych za „Oświatę”. W Galicji od r. 1867 można było działać jawnie, a co ważniejsza, z poparciem władz autonomicznych krajowych, pod egidą sejmu. Powstało też kilka „towarzystw oświaty ludowej”, zakładających czytelnie wiejskie w swych okręgach, uniwersytety ludowe, specjalne stowarzyszenia wydawnicze, organizacje teatrów włościańskich itp. Nad wszystkimi towarzystwami stanęło górną Towarzystwo Szkoły Ludowej (T. S. L.), którego cele tłumaczy nazwa, a które stało się prawdziwie „beniaminkiem” całego społeczeństwa, wszystkich warstw i wszelkich stronnictw.

Koroną ruchu oświatowego polskiego jest warszawski „Poradnik dla Samouków” (od r. 1900), publikacja, jakiej w takim zakresie i z takim rozmachem, a skutecznym, przeprowadzonej, nie posiada żadne inne społeczeństwo. Rozmaite serie i stopnie tego wydawnictwa ułożone są w ten sposób, że mogą służyć za przewodnika człowiekowi nie posiadającemu wykształcenia wyższego niż elementarne, a mogą doprowadzić go do stopnia uczoneści nawet. „Poradnik” stanowi też prawdziwą szkołę uzupełniającą dla inteligencji: gdy kto zechce poduczyć się jakiegokolwiek przedmiotu, w którym nie jest specjalistą, więcej niż wyniósł wiedzy z gimnazjum; gdy chce przypomnieć sobie i dokładniej przerobić, czego się uczył w szkołach; gdy odczuwa potrzebę dowiedzieć się, jak od jego, szkolnych czasów pewna nauka postąpiła, lub co głosi nauka nowa, której za czasów jego młodości jeszcze nie było, a przynajmniej nie mówiono o niej w szkole

średniej – każdy znajdzie w „Poradniku” przewodnika, na którym można polegać najzupełniej. Ale pożytek jego sięga dalej. Z jednej strony wabi na „naukowe rozrywki” coraz liczniejsze zastępy rolników, kupców, rękodzielników, robotników, poprzestających na skorzystaniu z jego „stopnia pierwszego”, a który daje więcej (i porządniej), niż umieć musi przeciętny „maturzysta”; z drugiej strony, snując swój „stopień trzeci” aż do szczytów wiedzy, wyrabia grona osób, nie należących do oficjalnego cechu uczoneści, nie zamierzających ciągnąć z nauki praktycznych korzyści, a jednak istotnie uczonych w danej specjalności, przygotowanych najzupełniej do pracy twórczej, jeżeli im dane są do tego zdolności. Opierając się przez czas dłuższy tylko na samym „Poradniku”, można wyjść na uczonego. I dzieje się tak. Przybywa społeczeństwu miłośników wiedzy najzupełniej bezinteresownych, a to skarb bezcenny. Do charakterystyki polskiego społeczeństwa posłużyć może fakt, że najwięcej takich adeptów posiadała... matematyka; wiedza czysta, wiedza dla wiedzy, nie dbająca o „stosowanie”, najwięcej przywabia sobie u nas samouków. A rzecz godna uwagi, że matematyka od wieków cieszyła się szczególniejszym upodobaniem w Polsce.

Redaktor główny „Poradnika”, Stanisław Michalski, to prawdziwy minister oświaty, obdarzony niepospolitym przy tym darem organizacyjnym; a dalszym szczeblem „Poradnika” jest właśnie organizacja osób przez niego wykształconych – pomysł swoisty, a wielce obiecujący. Może się z tego wyłonić nowa jaka forma organizacji nauki i oświaty publicznej.

Najkrótszy chociażby przegląd środków oświatowych nie może pominąć dziennikarstwa; wszak ono więcej wywiera wpływu na stan oświaty niż wszystkie stowarzyszenia oświatowe.

Jak wszędzie, podobnież w Polsce zawiązkiem czasopiśmiennictwa były rozmaite Relacje, Nowiny, Awizy, Listy itp., wydawane przygodnie od drugiej połowy XVI wieku. Pierwszym polskim pismem prawdziwie periodycznym był „Merkuriusz Polski” z roku 1661, wydawany przez Jana Gorczyńskiego, zrazu w Krakowie, lecz zaraz przeniesiony do Warszawy. Regularny rozwój dziennikarstwa datuje w Polsce od r. 1700. Przy wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, w r. 1764, wychodziło czasopism 45, przed trzecim

rozbiorem 88. Potem liczba ta spadła, ale już w r. 1806 powstało 6 nowych czasopism, w r. 1822 przybyło ich 15, i odtąd rozwój nie ustaje pomimo prześladowań. Statystyka kar więziennych, nakładanych na polskich redaktorów we wszystkich trzech zaborach (w austriackim do r. 1867) wydałaby liczby wprost horrendalne. Niewiele pism było takich, które by nie musiały przerywać wydawnictwa, wychodzić pod zmienionym tytułem (czasem zmieniano je po kilka razy), płacić istne kontrybucje itp. A jednak pomimo całej fatalności polskich warunków kulturalnych okresu porozbiorowego wynosiła w r. 1903 liczba czasopism 570.²⁹

Zbieraliśmy znowu fakty, wchodząc nieraz w szczegóły, a trzymając się z daleka od samegoż trzonu naszego tematu. Pomimo to zbliżaliśmy się do rozwiązania zagadnień, o które nam chodzi, a raczej zbliżaliśmy się właśnie dlatego, żeśmy zbierali fakt do faktu, a zbliżaliśmy się jedyną drogą bezpieczną: w nauce Historii obowiązuje bowiem indukcja zupełnie tak samo, jak w fizyce lub chemii: najpierw stwierdzenie faktów, potem rozumowanie.

Z przeglądu dorobku oświatowego możemy być zadowoleni, skoro piśmiennictwo nasze w tej dziedzinie sięga jeszcze czasów scholastyki XV wieku, a nie ustępujemy nikomu wartością naszych urządzeń szkolnych, w czym legitymujemy się dostatecznie reformą pijarską i Komisją Edukacyjną. Dawanie pierwszeństwa wychowaniu publicznemu przed prywatnym, uważanie szkolnictwa za część życia narodowego, łączenie zaś w szkole teorii z praktyką – oto specjalności polskiej myśli oświatowej, świadczące zaszczytnie o naszej twórczości na tym polu. Uniwersytet krakowski starszy jest od wszystkich niemieckich, a również starszymi są od niemieckich polskie pomysły szkoły powszechnej, ludowej. W Polsce też powstała najdawniejsza na północy Alp biblioteka publiczna, oddana na własność państwu.

Był więc kierunek polski w tej dziedzinie wybitny, swoisty, a dodatni jak

²⁹ St. J. Czarnowski: Dziennikarstwo słowiańskie i polskie, Kraków 1895; Korneli Heck: Spis periodycznych pism polskich, Kraków 1904.

najbardziej, i zachodzą wszelkie podstawy do twierdzenia, że znaczenie polskiego uczestnictwa w europejskiej pracy oświatowej XIX w. byłoby niepoślednie, gdybyśmy byli zachowali możność wolnego rozwoju; do twierdzenia takiego upoważniają też wszystkie fakty z lat, w których ucisk zelżał.

Posiadamy zdolność nie tylko przyjmowania oświaty, ale zarazem szerzenia jej i wytwarzania własnej w tej dziedzinie metody; oświata polska może nie być zależną od ogólnej europejskiej więcej, niż nałożone to jest przez powszechność historii europejskiej, w której i my się mieścimy. Można zaś stwierdzić tu to samo, co stwierdziliśmy w ustępie o darach przyrody, że nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich również co do zrozumienia spraw dotyczących oświaty, ani w ochocie do nich. I tu chodzi jednak o stopień wykonania. Skutkiem okoliczności okresu rozbiorowego cofaliśmy się (a, raczej cofano nas) w ciągu XIX wieku tak często a dotkliwie, iż obecnie znaleźliśmy się wobec znacznych istotnie zaległości oświatowych. Trzeba doganiać...

Znaczenie Polski zawisło oczywiście niemało od stopnia oświaty, a cel jakikolwiek ogólnonarodowy osiągnąć można natenczas tylko, jeżeli solidaryzuje się z danym dążeniem i rozumie je odpowiednia ilość obywateli, do czego znów trzeba oświaty. Im większa ilość obywateli pragnie czegoś, tym większe prawdopodobieństwo osiągnięcia rzeczy – i odwrotnie. Poniżej pewnego minimum oświaty nie można mieć żadnego znaczenia i nie można wykreślać narodowi żadnego celu. Znaczenie Polski zależne od osiągalności jej celu – a zatem zależnym jest wielce od tego, czy uda się nam dogonić innych w dziedzinie oświaty, odrobić zaległości doby rozbiorowej.

Nasze tempo wykonawcze w sprawach oświaty miłsi tedy stać się nader szybkim, inaczej bowiem nie zdołamy wyzyskać należycie odzyskanej niepodległości, nie zdobędziemy znaczenia, nie osiągniemy celów naszych.

Jak w sprawie użycia darów przyrody, podobnie tutaj miara kultury czynu musi być znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania polskiemu państwu stanowiska europejskiego. Oświata narodowa musi wykrzesać z naszych zasobów materialnych potrzebną dla państwa siłę, boć tylko oświecone należycie zabiegi życia ekonomicznego zdatnymi będą do celowego działania w łączności

z całością życia narodowego.

Oświata a dobrobyt – oto dwa bieguny osi tego życia! Odzwierciedla się w nich w stopniu znacznym narado wy Logos i Ethos. Jak Logos bez Ethosu chwiejnym się staje, podobnie oświata przy ubóstwie pocnie wreszcie szwankować, choćby największy towarzyszył jej zapał; stałe zubożenie musi pociągać za sobą upadek oświaty (przy czym stadium przejściowe stanowi oświaty jałowość, nieprzydatność praktyczna). Z dobrobytu czerpie nieraz oświata nowy wątek dla siebie i wytwarza nowe dla; siebie pola, a bez towarzystwa dobrobytu wątleje zawsze. Oświata winna do pewnego stopnia wyprzedzać dobrobyt, ale źle się dzieje, gdy stopień ten nazbyt znaczny; przy zbytnej różnicy stopnia oświaty a dobrobytu może się zdarzyć, że to i tamto upadnie; zbytne bowiem takie oddalenie napięcia oświaty a dobrobytu jest czymś nienaturalnym i nie może trwać długo.

Dobrobyt, wyprzedzający oświatę, może stać się niebezpiecznym. Majątek niekierowany rozumem wychodzi nieraz na złe właścicielowi samemuż. Nie powinien nikt posiadać majątku więcej, niż oświaty, bo dobrobyt u głupca nie staje się środkiem doskonalenia. Czyż dużo korzyści dla społeczeństwa z tych ogromnych bogactw, jakie wojna przelała we wszystkich krajach europejskich na ludzi mniej kulturalnych, mniej oświeconych? Czy z bogacenie się tych głupców i nicponiów pomnaża majątek narodowy? Majątek u głupca, to jak nóż w ręku dziecka.

Nasze położenie, niestety, nie daje pola do sporów o to, co pilniejsze, czy wyższy stopień dobrobytu, czy oświaty... Brak nam i tego i owego! Z przyspieszoną chyżością musimy dorabiać luki arcydotkliwe w tym i w tarotem! Pocieszamy się tym, że rozważenie faktów z całej naszej przeszłości upoważnia nas do otuchy, że podołamy koniecznemu wysiłkowi. My mamy w sobie to, czego potrzeba nam wewnątrz; chodzi tylko o to, by z siebie to wydobyć i móc władać tym, jako narzędziem, dowolnie na zewnątrz.

Przebiegliśmy w krótkości wszystkie sześć kategorii kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: historyzm, ludowość, pracę umysłową około darów przyrody bezpośrednią i pośrednią, handel, przemysł, wreszcie oświatę. Nie ma kultury umysłowej tam, gdzie nie dostawałoby choć jednej z tych kategorii; może jednak kultura umysłowa stać wysoko, nie mając w sobie nic a nic ponad owe sześć kategorii. Może np.

społeczeństwo jakieś celować kulturą umysłową, nie posiadając zgoła naukowego, własnego dorobku, nie pielęgnując całkiem nauki, ani nie uprawiając oryginalnie sztuk pięknych; bo to i tamto można mieć od obcych, nie dodając nic własnego, i przy braku zupełnym oryginalnej twórczości można obcą naukę i cudzą sztukę spopularyzować tak znacznie, iż społeczeństwo stanie się wykształconym artystycznie i naukowo; może nawet osiągnąć wyższy stopień w tym wykształceniu od niejednego społeczeństwa uczonego i artystycznego, lecz mniej popularyzującego te kategorie umysłowości wśród swego ogółu.

Sprawy kultury umysłowej nie dadzą się oczywiście oddzielić ściśle od twórczości (któremu to zagadnieniu poświęcona jest część następna książki); wszelki też podział ma znaczenie bardziej utylitarne, pomocnicze do orientowania się w przedmiocie. Niejeden objaw prawdziwej twórczości wypadło omówić już w części pierwszej, i o naukach niektórych była tam mowa; ani też nie mam na myśli, jakoby twórczość do kultury umysłowej nie należała. Chodziło tylko o zaznaczenie, że może być kultura umysłowa bez twórczości – i dlatego traktuję twórczość oddzielnie.

Pewne wnioski trzeba było wysnuwać od razu, bezpośrednio po rozpatrzeniu się w danym ułamku przedmiotu. Staralem się atoli ograniczać w tym do niezbędnego minimum. Podobnież będę postępował w następnych rozdziałach, ale z natury rzeczy w miarę przybytku przerobionego materiału będzie też przybywać wnioskowania. Ogólne jednak wnioski zachowamy sobie wraz z rekapitulacją aż na sam koniec książki.

CZĘŚĆ II. TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V. Zdatność artystyczna.

1. Sztuka plastyczna.

Twórczość jest kategorią pozytywną i syntetyczną, a jednak geneza jej – w sceptycyzmie i krytyce, w niezadowoleniu, wiodącym do poszukiwania dróg nowych. Zakończyliśmy część pierwszą naszych roztrząsań stwierdzeniem, że można osiągnąć wysoki stopień kultury umysłowej bez zdolności twórczej, przez samo tylko przyswajanie sobie dorobków cudzych i przez naśladowanie. Droga taka jest jak najnaturalniejszą, jako droga po linii słabszego oporu, mniejszego wyężenia. Trzeba wysiłku, żeby się wyrzec drogi wygodniejszej dla jakichś dalszych widoków, dla celów wyższych, a na wysiłek taki zdobędzie się społeczeństwo natenczas tylko, gdy spostrzeże, że to, co może wygodnie czerpać od obcych, nie jest dla niego wystarczającym, lub wprost jest niestosownym do jego wymogów. Alusi nastać niezadowolenie z wyników osiągniętych przyswajaniem sobie dorobków pracy obcej, musi nastąpić stwierdzenie w nich braków, a zatem musi się obudzić wprawdzie krytycyzm.

Gdyby wystarczało społeczeństwu przyswajanie sobie cudzych dorobków cywilizacyjnych, byłaby od początku świata cywilizacja tylko jedna, przenoszona z kraju do kraju; ludzkość utknęłaby tedy w jakiejś cywilizacji Irokezów czy też pierwotnej turańskiej, doprowadzonej do ostatecznych konsekwencji. Ale Irańczycy byli niezadowoleni z cywilizacji turańskiej, Hellenowie z kultury egipskiej (choć ją wyzyskali gruntownie) itp. Osiągnąwszy pewien stopień cywilizacyjny naśladowaniem, popada dane społeczeństwo w 'niezadowolenie, wytwarza krytycyzm, chce czegoś nowego i poczyna samo tworzyć, jeżeli posiada zdolność twórczą. Sceptycyzm w ocenianiu stosunku biernego do kultury obcej wiedzie do twórczości, której celem uwolnienie się od przewagi obcej, niedogodnej kultury.

Porzucenie stosunku naśladowczego względem obcych może tedy nastąpić w pewnym społeczeństwie tylko celowo. Nie ma twórczości bez wytkniętego celu! Im

wyżej sięgnie, im bardziej się pogłębi twórczość, tym wyraziściej uwypukla się cel pracy zbiorowej, cel całego życia zbiorowego. Nie rozbudzi się jednakże twórczość, dopóki społeczeństwo nie wytknie sobie jakiegoś, choćby nikłego celu, dopóki nie zacznie się rozważać życia zbiorowego pod kategorią celowości, gdyż póki to nie nastąpi, choćby w najmniejszym stopniu, dopóty nie może nastąpić odczucie braków przeszczepianej kultury obcej; dostrzega się bowiem braki o tyle, o ile utrudnione jest z ich przyczyny osiągnięcie jakiegoś celu. Inaczej niż gdyby nie było powodu do niezadowolenia. Społeczeństwa tedy, nie zakreślające sobie celu, pozostają kulturalnie biernymi, tj. że choć mogą stanąć wysoko samą kulturą umysłową, same niczego dla kultury nie wytworzą. Bierność cywilizacyjna łączy się nieuchronnie z brakiem celowości, a brak celowości łączy się z brakiem twórczości.

Ethos popycha do wytknięcia celu, który obmyślić musi Logos; w taki sposób twórczość powstaje ze związku Logosu z Ethosem. W każdej dziedzinie twórczości musi być przede wszystkim odpowiedni podkład Logosu; inaczej może być wiele ruchu, działania, sporo czynów, ale czynność ta nie będzie twórczą. Ethos jest dążnością twórczą, ale materiału dostarczyć może tylko Logos. Bez Ethosu nie ma kultury czynu, ale bez Logosu nie ma czynu kulturalnego.

Są trzy wielkie dziedziny twórczości: polityczna, naukowa, artystyczna. W Polsce zaczęło się od politycznej. Utworzyliśmy i obronili państwo o stanowisku mocarstwowym, nie posiadając literatury! Nadawaliśmy nowe formy stosunkom międzynarodowym, a myśl polska polityczna panowała nad najrozleglejszymi w Europie przestrzeniami, zanim zdobyliśmy się na piśmiennictwo nadobne! Jakżeż zmiennym jest charakter narodowy w ciągu wieków! Umysłowość polska, o której można by za naszych czasów powiedzieć z niewielką przesadą, że składa się z samej niemal literatury i lubi wszystko inne przerabiać na literaturę – bywała wcale inną. Od początków naszego życia państwowego (około r. 850) do pierwszego poety polskiego, którego utwory spisywano, błog. Władysława z Gielniowa, mija 650 lat. Starszą od literatury jest w Polsce nauka; wszak uczonością celuje Kadłubek, a Witelo należy do wybitniejszych uczonych europejskich, w XV zaś wieku istniał znaczny ruch naukowy pośród inteligencji polskiej,

były już wyrobione pewne tradycje świata naukowego, podczas gdy literatura poczęła się rozwijać dopiero koło r. 1540. Jest więc artystyczna twórczość w Polsce młodszą od innych rodzajów twórczości, i to tak znacznie młodszą, jak w żadnym innym społeczeństwie cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Sprawa dziwna zaiste, dotychczas niewyjaśniona. Opóźnia się zaś poezja artystyczna najbardziej ze wszystkich działów artyzmu, podczas gdy z reguły zwykła wybijać się naprzód wcześniej i zajmować szybko dominujące stanowisko. Od czasu epokowych odkryć Bronisława Piłsudskiego co do związków poezji wiemy, że poezja jest wszędzie i zawsze, że opromienia najniższe fazy rozwoju cywilizacyjnego; ona istnieje już tam, gdzie zdaje się nie istnieć jeszcze człowieczeństwo. Jest jakby wrodzoną człowiekowi, skoro daje się stwierdzić na najniższym szczeblu człowieka. To też nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli poezja rozwinię się w spisywaną, artystyczną, przed architekturą, a tym bardziej przed nauką, cóż dopiero przed polityką – ale odwrotnie jak u nas?

Zwraca uwagę objaw drugi, a mianowicie, że o ile artyzm opóźnia! się u nas, o tyle jednak krótko trwało bierne czerpanie z cudzego dorobku; twórczość występuje stosunkowo szybko – a zatem nie można opóźniania się pierwszych objawów przypisywać brakowi zdolności artystycznej.

Sztukę wprowadzi! do Polski Kościół, jak w ogóle z Kościoła wywodzi się cała cywilizacja u nas, i nie tylko u nas. W budowie świątyń krzyżowały się prądy wschodnie a. zachodnie. Po romańsko-bizantyńskich pierwocinach nastaje doba gotycka, obfitująca już w zabytki budownictwa świeckiego. Style architektoniczne przechodziły do Polski z wielkim opóźnieniem, gotyk aż za Kazimierza W. Znać w budowlach polskich wpływy francuskie, niemieckie i trochę włoskich, znać też bizantyńskie, niekoniecznie z pierwszej ręki, boć bizantyńskie wpływy są w romańskim stylu w najdalszych zachodnich stronach Europy; mogły przeto z Zachodu przedostawać się do nas. Zachowujemy się wobec tych wpływów całkiem biernie, lecz porusza twórczość polską nagle gotyk.

„Budowniczo wie krakowscy wprowadzili połączenie materiałów, gdzie indziej nieznanie, a przynajmniej tak zasadniczo nieprzeprowadzone: z cegły zrąb ścian i pola

wypełniające sklepienia, z ciosu wapiennego filary, służki, żebra sklepień oraz ważniejsze technicznie i ozdobniejsze inne części, jak obramienia drzwi i okien, laski okienne, zakończenia szkarp, gzymsy, kapniki. Używa się też dużych ciosów jako wiązarów w narożnikach ścian, w pewnych punktach szkarp wymagających silniejszego zespolenia ceglanych murów. Dzięki temu połączeniu materiałów, nasze kościoły ceglano-ciosowe rozwinęły się w budowlę obszerne wysokie i okazałe... Tak powstały nasze ceglane gmachy bazylikowe, t. j. wielkie trójnawowe kościoły, o nawie głównej znacznie – czasem dwa razy i więcej – wyższej od bocznych. I tu występuje odrębność odcienia gotycyzmu krakowskiego”. Podczas gdy na Zachodzie radzono sobie „zawiłym systemem łuków przeskakujących”, co w cegle wykonać się nie dawało, skutkiem czego w budowlach ceglanych trzymano się systemu trzech naw jednakowej wysokości, a w ogóle nie bardzo wysokich, lub też umożliwiano wyższe wzniesienie nawy środkowej sklepieniami udawanymi z drzewa – budowniczowie krakowscy wprowadzili szkarpy pionowe „w dolnej części do wnętrza kościoła, jako prostokątne naddatki do słupów dzielących nawy... Użycie kamienia ciosowego pozwoliło rzut poziomy samych słupów i tych naddatków sprowadzić do najmniejszych wymiarów, a nadto obciąć skośnie wszystkie narożniki. Tak powstało to, co nazywamy odcieniem, albo odłamem krakowskim gotyckich kościołów bazylikowych... Jest on poniekąd przeciwieństwem systemu bazylikowego zachodniego.

Nie tylko u nas, ale wszędzie nowości architektoniczne powstały głównie przez nowość materiału. Dążność przystosowania nowego materiału do przyjętych form i wynikające stąd następstwa, zrazu nieprzewidywane, potem ujęte w nowy styl, lub odcień stylu, dają pole twórczości. Gdzie brak twórczości, tam w razie braku zwykłego materiału nie zrobi się nic, bo się nie potrafi owego materiału zastąpić, a formy zmodyfikować odpowiednio do materiału nowego. Skorośmy potrafili rozwiązać doskonale trudności, wynikające z zastąpienia kamienia cegłą, już to stanowi dowód twórczości w architekturze. Tym wyższym stopień tej twórczości, skoro pomimo ubóstwa materiału i ornamentacji, kościoły odcienia krakowskiego mogą pod względem artystycznym „śmiało stanąć obok słynnych i bogatszych katedr zagranicznych”.

Twórczość, jest to pomysłowość podniesiona do systemu. Budowniczowie

krakowscy robili próby, czy z cegły nie dałyby się robić „łuki odporne”; gdyby to było wykonalnym, poprzestaliby zapewne nadal na bierności artystycznej, na prostym naśladownictwie form czerpanych z zewnątrz! – ale próby, „których ślady zachowały się do dziś dnia na kościołach katedralnym i N. P. Marii w Krakowie”, wypadły niefortunnie; gdyby nie posiadali zdolności twórczej, nie zrobiliby niczego wybitniejszego z cegły, ale posiadając siłę twórczą, pokonali trudność, gdy zdobyli się na pomysł owych szkarp, od których prosta konsekwencja budownicza wiodła już do odrębności stylowej.

Gdy nastał renesans – wcale już niespóźniony na polskich ziemiach – odrębność miała już swoją tradycję; Dziedziniec zamkowy na Wawelu stawiany jest w sposób taki, że „czegoś podobnego przecie nie przewidział żaden z teoretyków architektury Odrodzenia”. Stosunek pięter, galeria z dachem wspartym na słupach dwukolumnowych”, z których jedna stoi na drugiej, a których przedłużenie tworzy jeszcze niski balas, ustawiony na kapitelu” – to wszystko w zestawieniu z nadzwyczajną wyższością piętra drugiego nad pierwszym jest tego rodzaju, iż „zdawałoby się, że taka kombinacja wyda, wynik nieszczęśliwy, może karykaturalny... Tymczasem od połowy XVI w. do dnia dzisiejszego powszechna panuje zgoda, że cortile krakowskie jest nie tylko unikatem w swoim rodzaju, lecz utworem wykwintnego, wysokiego smaku. Podziwiają je swoi, może więcej jeszcze obcy; zagraniczni profesorowie budownictwa i historii sztuki przywożą do Krakowa swoich uczniów i prowadzą ich na dziedziniec zamkowy, gdy chcą im pokazać coś wyjątkowo zajmującego i pięknego”.

Potem Gabriel Słowski, budowniczy krakowski, „wycisnął na swoich dziełach jawne piętno polskiego ich pochodzenia, wyrażające się w odmiennych od włoskich proporcjach portalów, w oryginalnych, aż ludową niemal naiwnością tchnących motywach zdobniczych”. Coraz bardziej „renesans włoski polszczył się”, bo nawet włoscy budowniczowie „pod działaniem wpływów, wymagań i potrzeb miejscowych oddalili się od pierwowzorów, a nawet tradycji i zasad, panujących w ojczyźnie renesansu”.

Obok swoistych motywów zdobnictwa architektonicznego „pojawiła; się u nas i stała się dość powszechną w czasach Odrodzenia inna właściwość polska: wysokie attyki, szczególnie ratuszów, pałaców i miejskich kamienic” – tudzież inny jeszcze

szczegół, a mianowicie tzw. podcienia, które w Polsce „pojawiły się wcześniej, zanim zwyczaje budownictwa włoskiego mogły się przyjąć”, i zostały. „Pierwowzorów trzeba szukać na miejscu, w starym budownictwie drewnianym, w tradycjach polskiej ciesiołki”.

Nasze budownictwo drewniane posiada odrębną wartość artystyczną i „nie skostniało w zabytkach przeszłości, ale w niektórych okolicach żyje jeszcze pełnym życiem” – co świadczy o żywej ciągle sile twórczej w tej dziedzinie. Ta odrębna wartość artystyczna „uznana została przez obcych, całkiem bezstronnych, którzy od kilku lat dziesiątków coraz więcej się nią zajmują, podnoszą jej zalety, zbierają i ogłaszają jej wzory”.

W baroku cudowny? barok wileński nie znalazł niestety dotychczas swego naukowego interpretatora. I tu zachodzi coś wręcz przeciwnego, zdawałoby się, samej zasadzie stylu. Wszak baroku cechą pewna przysadkowatość, w porównaniu z czystym Odradzeniem pewna ociężałość – gdy tymczasem wileński barok pod względem strzelistości nie ustępuje nieraz gotykowi.

W wieku XVIII „typ pałaców (warszawskich) co do postaci i rozkładu jest cokolwiek odmienny od pańskich siedzib innych krajów, jest polski, wywołany miejscowymi zwyczajami i potrzebami, lecz co do cech stylowych nie różni się od współczesnych budynków Zachodu. Samodzielnością najbardziej celował Jakób Kubicki za Stanisława Augusta, twórca warszawskiego Belwederu i szeregu dworów wiejskich.

Potem nastaje zbyt długi okres bierności artystycznej w architekturze, aż do czasu Piotra Talowskiego, za naszych już dni czynnego w Krakowie i Lwowie. „Hołdował on zasadzie malowniczości w architekturze. Utwory jego wydawać się mogą dziwacznymi, są jednak pełne świeżego polotu, brzmi w nich nuta poezji, jakaś niezwykła śmiałość, do zuchwalstwa niemal posunięta. Wszystko, co wyszło z pod ręki Talowskiego, jest uderzające, inne jak rzeczy znane, sprzeczne z dotychczasowymi zapatrywaniami. Są między tym rzeczy istotnie piękne”.

Tak przedstawia się rejestr polskiej oryginalności w architekturze; gdyby chodziło o piękno i wartość architektury w Polsce, bez względu na oryginalność wobec innych narodów, nietrudno byłoby wypisać rejestr bardzo długi budowli bardzo pięknych,

i powołać się na szereg imion bardzo dźwięcznych w historii tej sztuki pięknej.

W dziedzinie rzeźby podobne objawy: opóźnienie zrazu, obok szybkiego następnie rozkwitu oryginalności. „Nagle w drugiej połowie XV w. objawia się u nas potężny rozwój rzeźby’, która jakościowo, a poniekąd i ilościowo, staje na wysokości całkiem światowej... rzeźba, przez którą odezwał się po raz ostatni duch gotycyzmu”; Wit Stwosz, stanowiący sam dla siebie epokę.

„Wiemy na pewno, że przez długie lata mieszkał i pracował w Krakowie, że tu miał warsztat i pomocników, tu najliczniejsze i największe dzieła tak z drzewa jak z kamienia wykonane zostawił, że on i jego synowie i następcy wytworzyli szkołę, może nawet więcej środowisk, z których przez kilka dziesiątków lat rozchodziły się utwory rzeźbiarskie po Polsce, Śląsku, północnych Węgrzech. Dzieła Stwosza znajdują się też w południowych Niemczech, gdzie na dwa zawody przebywał i pracował. Był to artysta z Bożej łaski, zdolność wyjątkowa i wszechstronna: razem rzeźbiarz, malarz, sztycharz, może też architekt i inżynier”.

Zatrzymajmy się przy tej wszechstronności, zaiste renesansowej. Bo też Stwosz, „za młodu wychowany w pojęciach gotycyzmu i w duchu jego tworzący, pod koniec zawodu pod wpływem, sztuki renesansu zmienił kierunek artystyczny, przechylił się ku nowemu prądowi”. Ale znać zawsze na jego dziełach, nawet najpóźniejszych, gotycką genezę jego sztuki; był tedy... renesansowym kontynuatorem gotycyzmu. Paradoks, gra słów? O gotyku można powiedzieć, że nie umarł śmiercią naturalną, lecz został zabity przez styl odrodzenia. Nie wy dobył gotyk z siebie wszystkiego, nie wysnuł wszystkich pomysłów artystycznych, nie zanosiło się bynajmniej na wyczerpanie gotyku, gdy nagle zarzucono go. Początki renesansu nie mają żadnego związku z końcem gotyku; ani związku linii ani rozkładu płaszczyzn, ni zdobnictwa.; nie wiążą się niczym a niczym z dniem wczorajszym sztuki, lecz zaczynają wszystko z innych zgoła motywów artystycznych. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły, – a mianowicie w Polsce – i takim właśnie wyjątkiem jest sztuka Wita Stwosza.

Jest to jeden z rzadkich, arcyrzadkich przykładów łączności końca gotyku z początkami renesansu. Stwosz kontynuuje gotyk, przybierając do niego nowe zdobycze

artystyczne, wzbogacając go, rozszerzając jego motywy, a zatem rozwijając go dalej. Nie jest on epigonem sztuki przebrzmiałej, lecz twórcą nowego rozdziału sztuki. Z renesansowym rozmachem, z wielostronnością, i z nowymi pojęciami umiaru artystycznego, z nowym sądem o stosunku artysty, do życia i społeczeństwa, wznosi Stwosch nowe piętro na budowie gotyku. Gdyby Stwosch nie był wyjątkiem, gdyby ogólnie tak postępowano, wyłaniałby się nowy styl na podłożu gotyku, przez rozwój stylu dawnego, który zamieniałby się w nowy skutkiem nagromadzenia pewnej sumy nowych szczegółów, pociągających w końcu za sobą zmiany umiaru i linii. Co to byłoby za styl dziwactwem byłoby zapuszczać się w te przypuszczenia dalej; chodzi tylko o to, żeby stwierdzić, jako Stwosch jest wyjątkową postacią, gotycystą ostatnim, a jednak nie epigonem, lecz przeciwnie, twórczym talentem pierwszorzędny, od którego zaczynałby się nowy rozdział sztuki, gdyby o tym decydował tylko talent i sama siła twórcza. Nie był epigonem, a talentem swym i kierunkiem umysłowości powołany był na pomost pomiędzy przeszłością a przyszłością; powołany był na przeszło ewolucji; stanowi typ wybitnie ewolucyjny.

Dotknąłem „kwestii Stwoschowskiej” ze strony nowej, a posiadającej dla książki niniejszej znaczenie zasadnicze; pokaże się bowiem, że całkiem analogiczne objawy, zachodziły w kulturze polskiej równocześnie (na przełomie XV i XVI wieku) w dziedzinie filozofii, z czego na właściwym miejscu zrobimy użytek.

W okresie renesansu „obok Włochów wykształciła się w kraju pewna liczba rzeźbiarzy Polaków” (Jan Michałowicz z Urzędowa, Gabriel Słoński, zarazem architekt i inni), lecz stoją od Włochów niżej, zaznaczając swą polskość śmiałością jednak i siłą. Podobnie na płytach brązowych w Polsce można „na niektórych dopatrzeć się cech temperamentu i zacięcia polskiego”, ale na tym też koniec względnej tu wielce oryginalności, boć „niemal wszystkie nasze płyty brązowe, gdziekolwiek były robione, okazują wielkie pokrewieństwo ze sztuką niemiecką. Tylko ołtarze snycerskiej roboty, pojawiające się aż do końca XVIII wieku, stalle, ławki, konfesjonały, ambony snycerskie utrzymują się na znacznej wyżynie. „Słusznie też znawcy i historycy sztuki, tak polscy jak obcy, coraz więcej im poświęcają uwagi i coraz częściej z naciskiem podnoszą ich zalety,

uważając je za jedną z właściwości naszego kraju i narodu”. „I trudno zaprzeczyć, że w porównaniu do tych zabytków cofnęło się potem polskie rzeźbiarstwo i snycerstwo”. Za Stanisława Augusta wprowadzie „pojawia się u nas pewna ilość talentów rzeźbiarskich rodzimych, nawet niepoślednich”, lecz „wielkich dzieł po sobie nie zostawili, szkoły i wybitnego kierunku nie wytworzyli. Ale bądź co bądź z XIX w. można by wyliczyć cały szereg poważnych nazwisk rzeźbiarzy polskich, a kilku z nich nie tylko zajęło, poczesne stanowisko w kraju, ale i z korzystnej strony dało poznać polską sztukę za granicą”. Znaczy to, że nie brak jednostek, równających się mniej więcej z Zachodem zdolnością, ale zaczynających i kończących swój zawód artystyczny na przeszczepianiu Zachodu do nas, nie pomnażając jakościowo dorobku artystycznej kultury europejskiej.

Malarstwo znane Polsce od epoki romańskiej, przeszczepiane od Zachodu i od Wschodu, posiada „piętno sztuki ogólnoeuropejskiej”. Obrazy cechowe XV i XVI wieku posiadają względną oryginalność. Ich „ogólny charakter... jest zbliżony do niemieckiego”, ale „tryptyki krakowsko-śląsko-spiskie różnią się od niemieckich większą prostotą pomysłu, rysunku i ornamentyki snycerskiej, a ich obrazy odznaczają się siłą kolorytu, może nieco jaskrawego i krzykliwego, tudzież typami i strojami, które często odtwarzają widocznie modele, brane z ludności miejscowej”. Niemcy, Niderlandczycy, Włosi działają u nas aż do końca Rzeczypospolitej, obniżając jednak u nas często poziom artystyczny; „po prostu z czasem stają się rubasznymi”. A potem, „malarstwo nasze XVIII w., choć wykazuje pewną ilość swojskich talentów, nosi piętno kosmopolityczne”.

Zwiastunem, kierunku narodowego stał się „zjawiskiem dziwnym” Francuz Norblin; po nim idą Vogel, Al. Kucharski, wreszcie Al. Orłowski i „syn jego ducha” Piotr Michałowski. „Obaj oni wnoszą w malarstwo polskie nutę iście swojską, akcent dziarskości i fantazji, energii i siły, a przy tym bystrą i samodzielną obserwację natury. W czasach, kiedy niepodzielnie w świecie sztuki panował naprzód klasycyzm, a potem berło próbowali mu wydrzeć epigonowie średniowiecza i renesansu włoskiego, wystąpienie Orłowskiego i Michałowskiego było aktem niesłychanej samodzielności, niepodległości, rewolucyjnej odwagi. Wnieśli oni w sztukę prąd ożywczy, melodię nową, dotąd nieznaną. Głos ich słyszany był w całej Europie, wszakże jako rdzennie polski

przede wszystkim oddziałać musiał na sztukę w Polsce. Oddziałał jednak nie zaraz, ale dopiero po kilku dziesiątkach lat". „Pierwsza połowa XIX w. była czasem pewnego zastoju sztuki w Polsce” tj. sztuki plastycznej, podczas gdy poezja wybija się na plan pierwszy.

Tylko Piotr Michałowski „wypełnia lukę”, ten sam Michałowski, który zorganizował administrację w wolnym mieście Krakowie, zajmował się podniesieniem górnictwa, a przy tym malował „sobie” prac swoich ani nigdy nie wystawiając, ani nie sprzedając (był zamożnym). Poznano się na nim po śmierci, wpływ jego był wielki, bo sam Matejko i Kossak są „jego w prostej linii następcami”.

„Wśród dość jałowej dla sztuki w Polsce półwiekowej doby Orłowski i Michałowski byli zjawiskiem odosobnionym, jakby dwa po sobie następujące monologi. Nagle ta sztuka odezwała się wspaniałą symfonią. Wstęp do niej stanowił potężny chór wielkich równocześnie żyjących poetów, przy akompaniamencie tonów Chopina. Gdy ci zeszedli z pola lub zamilkli, zajęła ich miejsce plejada wybitnych malarzy, na których czele idą trzej wodzowie: Grottger, Matejko, Kossak.

Rozpisywać się o tej trójcy tu nie trzeba, gdyż dzieła ich spopularyzowane są w reprodukcjach w każdym polskim domu. Wiadomo też każdemu, że należą oni do pierwszorzędných talentów sztuki nie tylko polskiej, lecz europejskiej w ogóle. Od nich zaczyna się zainteresowanie się polskiego ogółu sztuką plastyczną; nastaje okres Szkół Sztuk pięknych, Towarzystw, wystaw itp., i „ten stan utrzymuje się do dnia dzisiejszego”, podczas gdy ilość malarzy poszła w setki.

„Wysoki kurs produkcji pędzla polskiego na artystycznej giełdzie światowej jest zupełnie zasłużony. Wprawdzie dziś brak u nas wielkich geniuszów na miarę Grottgera lub Matejki, ale możemy pochłubić się zastępami talentów, które malarstwo polskie utrzymują na wysokim poziomie... Jest faktem nie od dziś uznanym, że wystawy polskie odróżniają się i odznaczają wśród wystaw obrazów, jakie widzieć można w Europie. A różnica nie jest na naszą niekorzyść... Malarstwo polskie, jako całość, stało się pojęciem o cechach wyraźnych, odrębnych, indywidualnych i tą swoją odrębnością zaważyło w ogólnym rozwoju malarstwa ostatniej doby, wnosząc w nie jako swój dorobek: pierwiastek uczuciowy, wysoce patriotyczny, a obok tego zdrowy realizm, bystrą

obserwację natury, żywość kolorytu, młodocianą naiwność i fantazję, męską siłę i jędrność”. „Wartością i rozgłosem malarstwo nasze nie schodzi z wysokiego poziomu, jaki osiągnąć umiało”.

Na zakończenie rozważań tych o malarstwie polskim warto stwierdzić szybkość jego rozwoju od Matejki na klasycznym przykładzie: wszak żyją jeszcze tacy, którzy w „Rachunkach” Bolesławity (pseudonim J. I. Kraszewskiego) czytali, jako malarstwo nie może się w Polsce rozwinąć, nie mając do tego warunków przyrodzonych, a raczej mając je wszystkie przeciw sobie. Autor niniejszego dziełka; pamięta dobrze powstawanie pierwszych większych płócien Matejki. A więc działo się to wszystko i stało w ciągu jednego niedługiego żywota ludzkiego. Za pierwszej młodości znałem i umiałem był na pamięć z wszelką pewnością imiona wszystkich polskich malarzy; dziś lepsi ode mnie znawcy przedmiotu byliby w nie lada kłopotcie, gdyby mieli wyliczać długi, bardzo długi ich szereg. Posiadamy swój własny „świat” artystyczny”. Pokonaliśmy tedy przeciwność niesprzyjających warunków przyrodzonych. Rozpęd woli dokonał istnego cudu; Ethos polskie dopomogło nowym formom polskiego Logosu do niebywałego w dziejach kultury triumfu.

2 . M u z y k a .

Dwie sztuki nieplastyczne, muzyka i poezja, przysporzyły polskości zaszczytu jeszcze więcej od plastycznych. Od dłuższego też czasu zdołały się rozwinąć na polskich niwach. Polifoniczna sztuka wokalnie-instrumentalna istnieje w Polsce od początku XV wieku; pierwszym wiadomym kompozytorem jest Mikołaj Radomczyk (1426). W sąsiednich Niemczech występują wielogłosowe kompozycje dopiero w ostatniej ćwierci XV wieku. Polska zajęła też stanowisko przodujące w muzyce w tej części Europy, a muzycy niemieccy kształcili się w Krakowie. Później zaś „pomimo stałego wzrostu rodzimej produkcji muzycznej zasilają niemieccy wydawcy zbiorowych wydawnictw kompozycji druki swoje utworami muzyków polskich, stawiając ich tam obok najgłośniejszych mistrzów XVI wieku”. Znanym był za granicą Wacław Szamotulski (1554) i Marcin Lwowczyk; najznakomitszy lutnista polski, Jakub Polak, przyłgnał

jednakże do Francji i utonął w niej na zawsze.

Cykle kompozycji kościelnych zaczynają się około r. 1570. Offertoria i Communiones Zieleńskicgo (1611) są najwspanialszym dziełem muzyki polskiej przed Chopinem, a „muzykalna Europa otrzymała w nich jeden z najbardziej monumentalnych darów, jakimi historię muzyki kościelnej wzbogacili geniusze muzycy wszystkich czasów”. Najdoskonalszym przykładem chromatycznego wyrazu w muzyce XVII w. jest kantata Pękiela (ok. 1640), której odpisy „rozsiane są po archiwach niemieckich”. Weszły również do muzyki niemieckiej i utrzymały się tam długo kompozycje Marcina Mielczewskiego z połowy XVII wieku.

„W ciągu czterech stuleci aż do politycznego upadku państwa produkowano więc w Polsce muzykę, która przyczyniała się do pokrycia zapotrzebowania artystycznego na tym polu obok włoskiej, francuskiej i niemieckiej i starczyła także na eksport stale utrzymujący się”.

Dla użytku samych Polaków pisane były Psalmy Gomółki (1580). dzieło niepospolite, tudzież długi szereg prac mniejszych kompozytorów XVII i XVIII wieku.

„W historii ewolucji- form muzycznych nie zaznaczył się współdziałanie Polski żadnym przyczynkiem – dopiero Chopin (1810-1849) wniósł do muzyki nowoczesnej szereg nowych form i nowych środków wyrazu muzycznego”. Twórczość jego „łączy się najściślej z muzyką narodową w dwóch formach: poloneza i mazurka”. Tańce polskie odgrywają poważną rolę w muzyce europejskiej już od połowy XVI stulecia, ale Chopin, jak to spostrzegł już Cyprian Norwid, „podnosił w tym zaśpiewie (rytmu mazurkowego) na sztukę narodową ludowe natchnienia do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą”. Stał się też Chopin zaiste „muzycznym sercem całej cywilizowanej ludzkości”. Nie będę się rozwodził nad nadmiarem piękna Preludiów, Nokturnów, Polonezów etc., ani nad wybitnym stanowiskiem Chopina w muzyce powszechnej, bo śmiesznym byłoby pouczać o tym kogoś, zwrócić chciał- bym tylko uwagę, jak muzyka Chopinowska dowodzi, że formy polskie nie składają się z samej „egzotyczności”. lecz mają też w sobie pierwiastek ogólnoeuropejski (przesadnie mówi się: „ogólnoludzki”), skoro Chopin oceniany bywa jednako przez wszystkich Europejczyków; gdyby go nie rozumiano,

przynajmniej do pewnego stopnia, nie umiano by go ocenić. Forma polska nie stoi przeto na zawadzie, by -treść polska stała się powszechną. Wszak słusznie powiedziano, że „obok Kopernika jest Chopin najbardziej znanym na świecie Polakiem”.

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bez jego wieczyście pięknej muzyki, zrodzonej na duchowej glebie polskiej, muzyka ostatnich lat osiemdziesięciu nie pod jednym może względem byłaby odmienną i uboższą, niż jest”. On „sankcjonowany kanon sonaty przekształcił wedle swojego uznania i potrzeby twórczej”. „Wszystkie inne, przejęte formy, podniósł do nieznanego znaczenia artystycznego, np. etiudy, preludia, lub wyindywidualizował odpowiednia do indywidualności własnego geniuszu”. „Własną, przez Chopina po raz pierwszy używaną formą, była ballada”. „W paradoksalny sposób odniósł się do scherza, które z części sonatowego cyklu doprowadził do zupełnej samodzielności”. „Nowe światy techniki fortepianowej i wyrazu muzycznego otworzyły etiudy i preludia Chopina”.

Co do strony harmoniczej, „pomysły akordowe, łączenie akordów, modulacje, wszystko w ogóle, co należy do zjawisk harmonii muzycznej w dziełach Chopina, stanowi nową epokę na tym polu”

„Od lat kilkudziesięciu należy twórczość Chopina do żelaznego kapitału kultury muzycznej na całym świecie”. „Gdyby jednego tylko Chopina wydała muzyka polska, miałyby już zapewnione miejsce poczesne w historii muzyki powszechnej”.

„Współcześnie z Chopinem przenikała muzyka polska także za pośrednictwem mniejszych od niego talentów na świat szerszy. Nie możemy zapomnieć, że na całym świecie miały słuchaczy pamiętne polonezy Ogińskiego, że Elsner i Kurpiński znajdowali w Niemczech i Francji nakładców dla swoich kompozycji, że utwory Dobrzyńskiego docierały do rąk najwybitniejszych kompozytorów niemieckich”.

Stanisław Moniuszko (1819-1872) znany jest w historii muzyki tylko dla swych pieśni. Opery jego czekają i dopiero na spopularyzowanie i poza Polską. Bardziej znane są zagranicą kompozycje instrumentalne Zygmunta Noskowskiego; niektóre z nich (głównie „Step”) grały niechybnie wszystkie większe orkiestry symfoniczne na świecie. Noskowski bowiem „pierwszy z polskich kompozytorów orkiestrowych zdobył tę technikę

instrumentacji, jaka wobec niezmiernego spotęgowania środków symfonicznych od czasów Berlioza, Liszta i Wagnera stała się koniecznym warunkiem do przemawiania ex cathedra nowoczesnej symfonii". Władysław Żeleński „wniósł na międzynarodowy rynek muzyczny ze swojej wszechstronnej twórczości przede wszystkim pieśni i dzieła muzyki kameralnej". Opery jego nie zdobyły scen europejskich. Ani opera Paderewskiego, który „w licznej rzeszy znakomitych wirtuozów jest prawdziwie wielką osobistością, autorytetem, równym chyba jednemu Lisztowi". Z pośród wirtuozów-kompozytorów zasłynął szeroko Henryk Wieniawski, skrzypek (1835-1880), którego niektóre utwory „należą do najcelniejszych utworów w programach najgłośniejszych skrzypków". O wirtuozach nie komponujących lub zajmujących w kompozytorstwie podrzędniejsze stanowisko brak miejsca nie dozwala wspominać: dość powiedzieć, że wśród największej zażywających sławy wirtuozów nie brak nigdy Polaków.

Dzięki Janowi Gallowi i Stanisławowi Niewiadomskiemu „znalazła pieśń polska także doby pomoniuszkowskiej zainteresowanie dla siebie u zagranicy, osiągając tam niekiedy znaczną popularność".

„Z licznej falangi kompozytorów polskich młodszej generacji naczelną stanowisko zajęli w muzyce polskiej i najwybitniej reprezentują ją wobec zagranicy: Mieczysław Karłowicz (1876-1909), Ludomir Różycki (1883) i Karol Szymanowski (1882). „Potężna technika orkiestrowania i podniosły charakter jego muzyki wywoływały zawsze w stolicach, muzycznego ruchu europejskiego poważne zdania o talencie Karłowicza". Głównym jego rodzajem poemat symfoniczny. Różycki uprawia rozmaite rodzaje, także operę. Szymanowski, to „najśmielszy i najbogatszy talent kompozytorski polski w dobie obecnej, nawiązuje licznymi dziełami i wartością ich do tradycji Chopina. Kompozycje jego symfoniczne, fortepianowe, pieśni i utwory komnatowe kroczą w pierwszym szeregu współczesnej muzyki europejskiej. Cechuje je królewska dostojność, najwyższa poetyczność nastrojów i nieporównane mistrzostwo techniki polifonicznej. Zawsze niezmiernie oryginalny, wyraża się Szymanowski w muzyce swojej pomimo kosmopolitycznego jej charakteru w sposób, świadczący o jego polskości, którą też wyczuwa z niej każdy obcy słuchacz. Po kilku koncertach dzieł Szymanowskiego

w Berlinie, w Wiedniu i Londynie stały się kompozycje jego własnością międzynarodową”.

Zakończmy ten skrót do przesadnego z konieczności minimum przeglądem stwierdzeniem faktu, że nazwy „koncert” do utworów ściśle instrumentalnych użył pierwszy nasz Adam Jarzębski (przy swych koncertach, wydanych w liczbie 28 w roku 1627), przedtem bowiem „nazywano koncertem zespoły wokalnie-instrumentalne o znamionach koncertowego współzawodniczenia. Koncerty kompozytora polskiego mają zapewnione miejsce w historii pierwszego okresu muzyki orkiestralnej”.

Nie możemy się równać z Włochami ani Francuzami w zakresie muzyki, ale wydaliśmy geniusza Chopina, a „pracą, ciągnącą się od kilku stuleci, zdobyła sobie muzyka polska prawo obywatelstwa w muzyce ogólnej i wnosi do niej z pokolenia w pokolenie własne wartości”. Oceniając stosunek naszej muzyki do europejskiej, zważyć należy, że muzyka, to sztuka par excellence mieszczańska, a Polska nie była i nie jest krajem miast... Co uwzględniwszy, wypadnie przyznać Polakom zdatność w tym kierunku wielką, skoro wbrew swej sielskości zajmują poczesne miejsce w muzyce. Zdatność ta nie może być należycie wyzyskana, jak tyle innych – o czym później.

3. Poezja – i uwagi ogólne.

Książka niniejsza urósłaby na gruby foliant, gdyby chcieć choć najbardziej sumarycznie podawać jakiś skrót dziejów polskiej poezji, a tym bardziej całej literatury nadobnej. Uwalnia mię od tego fakt, że czytelnicy moi posiadają właśnie literackiego wykształcenia najwięcej, co stanowi nawet cechę znamionową społeczeństwa polskiego; przez „wykształcenie ogólne” rozumieć się w Polsce nie co innego, jak wykształcenie literackie; a kto tego nie posiada, uchodzi w Polsce za człowieka niewykształconego. Miałoby to w sobie dużo stron dobrych, gdyby nie fatalna pomyłka, jakoby od człowieka posiadającego ten rodzaj wykształcenia można było nie wymagać już niczego więcej. Płynie z tej myłki dużo, niezmiernie dużo złego na nasze życie zbiorowe.

Poezja uchodzi za najwyższą sztukę, jako niezależna od materiału zmysłowego. Muzyka operuje materiałem tylko niewymiarowym: czyż dlatego ma być wyższą od sztuk plastycznych, jako operujących materiałem uchwytym, wymiarowym? Poezja działa

także przez zmysły na umysł, jakkolwiek w sposób zasadniczo różny, bo nie przez fakty zmysłowe, lecz tylko przez zmysłowe wyobrażenia. Np. dźwięk muzyczny jest czymś konkretnym, jest faktem (i pauza muzyczna jest również faktem) i to faktem zmysłowym; podobnie barwa, kształt w sztukach plastycznych stanowią fakty zmysłowe, dostrzeganiu zmysłowemu podlegające bezpośrednio. W poezji nie ma żadnego materiału zmysłowego, niczego nie dostrzegamy istotnie ni wzrokiem, ni- słuchem, tylko wyobrażamy sobie, jakobyśmy widzieli i słyszeli. Np. odnosimy potężne wrażenie słuchowe przy opisie burzy w Panu Tadeuszu, a wzrokowe również; słuchowe samo przy muzyce Jankiela, wzrokowe przy opisie zachodu słońca. Słyszymy i widzimy z całą dokładnością, lecz łudząc się, jakobyśmy widzieli i słyszeli; do tego stopnia prawdziwy poeta umie za pomocą wyobrażeń zmysłowych wywołać efekty zmysłowe – i to stanowi jego kryterium artystyczne.

Co jest wyższym objawem rozwoju umysłowości i wyższym stopniem zdolności artystycznej: czy operowanie faktami zmysłowymi, czy tylko wyobrażeniami? Dochodzenie tego byłoby jałową dialektyką, bo na jakimż oprzeć się kryterium? Gdybyśmy zaczerpnęli skali do oceny ze świata pojęć i wyobrażeń umysłowych, nie doszlibyśmy także do żadnego wyniku, boć uczucie jakies lub myśl pewną jednak dobrze i równo artystycznie wyrazić można w budowlu jak w rzeźbie, obrazie, symfonii czy poemacie.

Gdyby ktoś chciał wykazać niższość poezji, mógłby powołać się na to, że ona istnieje na najprymitywniejszych szczeblach kultury, gdy tymczasem plastyka udaje się tylko na wyższych; środek trzyma muzyka, z plastyki zaś pojawia się najwcześniej budownictwo i zdobnictwo. Fakty te stwierdzić może każdy historyk. Ale nie trzeba brać tej rzeczy jednostronnie! Prawda, że muzyka i poezja są sztukami najstarszej daty, ale wielka zachodzi w prymitywnym ich stanie od razu różnica pomiędzy nimi, a mianowicie w wykonaniu. Muzyka plemion prymitywnych jest obrzydliwością dźwiękową, gdy tymczasem poezja nawet Ainosów jest poezją naprawdę! Wynikałoby z tego, że tym łatwiej o zdolność do sztuki, im mniej ona zależna jest od użycia faktów zmysłowych do swych celów, im bardziej ma uproszczone środki techniczne.

Ale i to jest jednostronne, i okazuje się mylnym przy bardziej wielostronnym ujęciu przedmiotu. Obserwując stany cywilizacyjne wyższe, t. j. bardziej skomplikowane, widzimy, że stosunek ten odwraca się na wręcz przeciwny. Ainosom łatwiej o poezję niż o muzykę, budownictwo zaś nie istnieje u nich. Pośród ludów jednakże cywilizowanych, lecz w zaraniu K rozwoju cywilizacyjnego jeszcze pozostających, wybija się budownictwo na plan pierwszy. Tak było u prahellenów. tak u najstarszych Egipcjan. Rzeźba stała wysoko u starożytnych, malarstwo niżej. Można by przytoczyć niemało argumentów na stwierdzenie, że w miarę postępu cywilizacji rozwijają się kolejno sztuki piękne od najbardziej wymiarowych, trzech-wymiarowych, poprzez podające wyobrażenie bryłowości na złudzeniach płaszczyznowych malarstwo – do sztuk bezwymiarowych, i tu znów od muzyki do działającej samymi tylko wyobrażeniami poezji.

Poezja jest tedy prasztuką, sztuk macierzą, lecz sama, bez towarzystwa sztuk innych, zdolna jest tylko do ograniczonego rozwoju. Rozwój artystyczny odbywa się od udawania faktów zmysłowych, od poprzestawania w wyobrażeniach zmysłowych, do operowania zmysłowymi faktami, a więc do wytwarzania innych sztuk pięknych. aż gdy one osiągną pewien stopień rozwoju, dokonuje się dalszy rozwój poezji, na ich tle, z ich pomocą, i w tym stadium kulturalnym staje się poezja koroną sztuk pięknych.

W bezzmysłowości swego materiału (choć oddziałuje na zmysły silnie) podobną jest poezja do matematyki. operującej również tylko wyobrażeniami, a nawet w wielu działach tylko pojęciami. Nie ulega również wątpliwości. że z pojęć abstrakcyjnych dostępne są najniższym szczeblom kultury pojęcia matematyczne, lecz w jak minimalnej ilości (pojęcia liczbowe nie wszędzie do 20): matematyka, jako umiejętność, wymaga wysokiego stopnia kultury.

Była już mowa o tym, jak poezja polska artystyczna powstała późno, kiedy inne działy rozwoju umysłowego stanęły już wysoko, mianowicie nauka i polityka. Oczywiście posiadaliśmy poezję, skoro ona jest zawsze i wszędzie. ale była to tylko owa prasztuka prymitywna. Nie sądzmy, jakoby to była „poezja ludowa”; nie ma owa prapoezja najmniejszego związku ze sprawą i zw. poezji ludowej, która stanowi przeżytkowy odbłask przebytych okresów poezji artystycznej, i powstaje przez naśladowanie form

artystycznych, schodzących kolejno pomiędzy strzechy”.

Poezja nasza artystyczna powstała na przełomie XV i XVI wieku, mając za sobą wysoki stan architektury w Polsce, sztukę Wita Stwosza i początki muzyki polskiej. Wielka poezja polska XIX wieku wyrobiła się w okresie stagnacji plastyki polskiej, a więc opierając się na sztukach pięknych z kultur obcych. Dopiero po Chopinie, po Grottgerze i Matejce całe podłoże artystyczne poezji polskiej może być narodowym, swojskim. Nie było zaś w całej historii powszechnej przykładu poezji bardziej narodowej, niż polska pierwszej połowy XIX w., chociaż nie mogły jej towarzyszyć równorzędnie inne sztuki piękne. Można wtedy wznieść się do najwyższego stopnia w kierunku swojskim w jednej dziedzinie, czerpiąc siły z innych dziedzin poza rodzimym horyzontem. Nasi wielcy poeci, najbardziej narodowi ze wszystkich poetów świata całego, czerpali z dorobku artystycznego ogólnoeuropejskiego i stawali się narodowymi przez oparcie się o europejskość. Wiadomo zresztą z historii literatury, jak opierali się o wielkich poetów innych narodów. Nie wykrywamy przeto żadnego nowego faktu, tylko fakt skądinąd znany przedstawiamy we wszechstronniejszym oświetleniu: z dziejów naszej wielkiej 'poezji snując wniosek, a raczej stwierdzając fakt, że Polak, tym głębiej jest polskim, im bardziej europejskim; polska swojskość nie polega zgoła na zaściankowości.

Ponieważ sztuka operuje cechami znamionnymi przedmiotów, łatwiej chwytą ich podobieństwo i zarys, niż nauka, trzymająca się cech istotnych, dla zmysłów częstokroć ukrytych. Opis artystyczny jest przystępniejszy, niż naukowy; widok fasady przemawia do każdego, rzut poziomy tylko do technika. Z tej samej przyczyny prawdziwy poeta lepiej umie wyrazić myśl, niż uczony. Poecie to łatwiej, i im większy poeta, tym mu łatwiej; wielka zaś poezja ma przywilej popularyzowania myśli, których by naukowe wywody nigdy nie zdołały uprzystępnić równie szerokim masom. Co więcej, poezja wielka działa silniej i głębiej, niż wywody etyczne, choćby naj- wyraziściej wyłuszczone. Myśl, wyrażona dobrze, poetycznie, i w ogóle artystycznie, staje się wlot, własnością ogółu i ma zapewnione panowanie nad umysłami. Chwila bowiem wystarczy, by przejąć czytelnika na wskroś daną myślą i przekonać go najzupełniej. Nie ma propagandy skuteczniejszej skutkiem tego nad propagandę uprawianą przez dobrych poetów; wielcy zaś poeci są

wprost nie- zwalczonymi propagatorami myśli, jakie przyjęli za swoje.

Tom się tłumaczy, że wielka poezja, a zwłaszcza Mickiewicz, przeprowadził nas skutecznie przez pustynię okresu porozbiorowego. Mickiewicz uczył nas patriotyzmu i nauczył skutecznie; obok niego inni wielcy poeci, a każdy polski poeta dopomagał do utwierdzenia tej nauki. W Polsce jest wiele patriotyzmu, bo sztuka nasza propagowała myśli patriotyczne. Nie tylko wychowywaliśmy się na Dziadach, Przedświcie. Królu Duchu, lecz niemniej na obrazach Grottgera, Matejki i innych.

Poezja polska zajmowała się zawsze ogromnie sprawami publicznymi. Z cytatów poetów można by ułożyć wcale szczegółową historię polską. Gdyby nazwać Kochanowskiego tubą literacką króla Stefana, nie popełniłoby się żadnej przesady (trzeba tylko dodać zaraz, że poeta był tym z własnej ochoty, z przekonania). Nie tylko Satyr i Proporzec, ale sama nawet „Odprawa posłów greckich” służyły sprawom politycznym. U Szarzyńskiego czytamy „Pieśń o Fridruszu” (o Fryderyku Herburcie pod Obertynem). U Grochowskiego znajdujemy Łzy smutne po zejściu kanclerza i hetmana Zamoyskiego, wiersz gratulacyjny Marynie na ślub ze Samozwańcem; tudzież sporo wierszy osnutych około osoby Zygmunta III i jego rodziny. Kasper Miaskowski pisze sporo na ważne wydarzenia historyczne; między innymi Dialog o zjeździe Jędrzejowskim; staje po stronie królewskiej i układa Apologię na paszkwil przeciw Jego Królewskiej Mości. Andrzej Zbylitowski zostawia po sobie ciekawą historycznie „Drogę do Szwecji”. Piotr Zbylitowski, brat tamtego, broni instytucji prawa polskiego w swej „Rozmowie szlachcica z cudzoziemcem”. Szymon Szymonowicz poświęca sprawie Zebrzydowskiego swą „Lutnię Rokoszańską”. Muza Samuela Twardowskiego jest jakby rymowaną kroniką o czasach Władysława IV. Andrzej Morstin był głową stronnictwa, francuskiego w Polsce, wychwalał Marię Ludwikę. Wespazjan Kochowski zamieścił pełno politycznych wierszy w swym „Niepróżnującym próżnowaniu”, a potem był bardem Jana III. Jak Kochowski opiewa „Wiedeń wybawiony”, podobnież Wacław Potocki Wojnę Chocimską. Józef Bartłomiej Zimorowicz zamieszcza w „Sielankach” wcale niesielankowe szczegóły z wojen kozackich.

Potem pauza; aż do Krasickiego poezja polska nie snuje kanwy pod swe

natchnienie z życia publicznego, ale też pogrążona jest w upadku. U Krasickiego i w wierszach Naruszewicza, także u Trembeckiego dużo rymowanej polityki. Jest ta struna u Dionizego Książnika, u Karpińskiego, przeważa u Niemcewicza, u Woronicza staje się niemal wyłącznym źródłem natchnienia; u Wężyka przyciszona odzywa się dyskretnie (ale jak mocno osadzona w jego lutni, znać choćby ze wspaniałego wiersza „Smutno mi, Panie”), podobnie u Kajetana Koźmiana; u Brodzińskiego wreszcie mniej już polityki, ale zdarza się.

Wymieniałem takich tylko, którzy „politykowali” wierszem, a iluż opuściłem; są zaś nadto tacy poeci, którzy nie pisali wprawdzie utworów poetycznych na tematy polityczne, ale za to politykowali tym bardziej prozą; takich zebrałoby się sporo. Na ogół poezja polska (z wyjątkiem okresu najgorszego upadku) bratała się wielce z polityką. O romantycznym okresie nie mówię; wszyscy znają jego poezję na pamięć i każdy z czytelników sam przypomni sobie z własnej pamięci, jak wielka nasza poezja osnuta jest w olbrzymiej części na tematach ze spraw publicznych.

Trudno nie przyznać słuszności Goethemu, gdy mówi: „politisch Lied, ein garstig Lied”; taką jest niezawodnie reguła, ale poezja polska stanowi widoczny wyjątek! Nigdy „politykowanie” nie obniżało stopnia artystycznego naszej poezji! Dziwny to fakt, a niezmiernie charakterystyczny dla polskiego Logosu, za którym podążało w tej kategorii umysłowości Ethos, pnać się na wyżyny Parnasu, z reguły dla siebie niedostępne, i działając tam. Jest to objaw oryginalny; historycy literatury powszechnej ignorują go, a szkoda, bo bliższe zajęcie się tą sprawą wyjaśniłoby niejedną zagadkę z psychologii ludów.

Po Polsce spotyka się ten objaw jeszcze u Włochów, jakkolwiek w stopniu znacznie niższym. Ale bądź co bądź można Boską Komedję nazwać poematem politycznym; są nuty polityczne u Filicaji (choćby cudny sonet: Italia, tu cui fece la sorte), i snuje się ta nić politycznych refleksji aż do Carducciego; w każdym okresie poezji włoskiej coś, najwięcej z łatwo zrozumiałych powodów w czasach Manzonięgo. Zachodzi też pewien związek między podobieństwem tego objawu, a faktem, że Polska czerpała kulturę obficie z Włoch.

Poezja włoska lubi również filozofować; granicznikami tego prądu tak samo Dante

i Carducci. I w polskiej napotykamy tę samą cechę. Czyż nie filozofuje sobie stary Rej, z którego dzieł można by ułożyć szlachecką filozofię życia (tzw. etykę praktyczną) czasów Odrodzenia? Tego tonu sporo u następnych poetów, nieraz w wytwornej, szacie poetyckiej. Jest to skłonność dydaktyczna, od której daleko jeszcze do filozofii. Poezja nasza rozwinęła się w sam raz w okresie upadku filozofii, po scholastyce podczas humanizmu, kiedy ani we włoskiej reminiscencji filozoficznych nie ma! Ale niezależnie zupełnie od wpływów obcych wyczytujemy u Kochowskiego zdania, które można by uważać za jakieś zadatki polskiej myśli filozoficznej, jakkolwiek dalekiej jeszcze od wszelkiego systemu. Filozofują potem dorywczo Krasicki, Trembecki i inni; systematyzuje swe pojęcia filozoficzne i przedstawia je wierszem w całokształcie Staszic (Ród Ludzki). Miejmy na uwadze, że to są już czasy Śniadeckich, kiedy filozofia zakwitnęła także w sposób właściwy, tj. naukowo, w dziełach ściśle filozoficznych.

Następują czasy „mesjanizmu”. Nazwą tą posługiwał się pierwszy Hoene-Wroński, przypisujący zadanie mesjańskie swej „filozofii absolutnej”, w tom rozumieniu, że odkrycie prawdy bezwzględnej i zapanowanie jej nad ludzkością doprowadzi do panowania dobra bezwzględnego. „Jest więc mesjanizm Wrońskiego doktryną filozoficzną ściśle rozumową i nie ma z mistycyzmem nic wspólnego”, a z Polską związek zaledwie pośredni, o tyle, że sprawa polska miałaby być sprawiedliwie załatwioną, gdy nastanie ów triumf Prawdy. Mesjanizm Wrońskiego jest ogólnym, a nie specyficznym polskim; jest natomiast specyficznym w tym, że odnosi się tylko do samej doktryny Wrońskiego czyli po prostu, że sam Wroński ma być filozoficznym mesjaszem świata, boć taka musi być jego poglądów konsekwencja. Mickiewicz nie dbał o to, nie liczył się całkiem z tym; można nawet wątpić, czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaczerpnął wyrazu przez Wrońskiego już użytego; zaczerpnął go na pewno nie od Wrońskiego. Kiedy Wroński wyrzucał Mickiewiczowi, że wziął od niego nazwę, używając jej na oznaczenie czegoś całkiem innego, przeinaczywszy jego myśl, odparł Adam, że mesjanizm Wrońskiego jest fałszywy. Bo też Mickiewiczowski mesjanizm polega na uważaniu Polski za mesjaniczną przodownicę świata, mającą spełnić wobec świata posłannictwo wyzwalające; jest też ten polski mesjanizm związany z pierwiastkami mistycznymi, jako Polska ponosi ofiarę

wyzwalającą za wszystkie narody.

„Preludia do takiego poglądu na rolę Polski spotyka się już u Czartoryskiego, u X. Morelowskiego, u Woronicza, u Bychowca, tłumacza historiozoficznych rozpraw Kanta, wreszcie także u Gołuchowskiego, który tragiczności losów i cierpieniom przypisuje tak doniosłe wyzwalające znaczenie”. Najwybitniejszym atoli przedstawicielem mesjanizmu w filozofii polskiej był August Cieszkowski; który nie tylko określił go najściślej, ale też wsunął w ramy rozwojowe historiozofii. Ale czyż mesjanizm byłby się tak przyjął, gdyby go reprezentowali tylko Gołuchowski i Cieszkowski? Mickiewicz wyraził go poetycznie, i, zrozumiał go wlot cały naród! Mesjanizm stał się konfesją filozoficzno-patriotyczną wielkiej poezji, i dzięki temu wszedł do kultury narodowej, jako zasadnicza jej cecha przez czas dłuższy.

Myśl filozoficzną czerpało społeczeństwo polskie nie od filozofów, lecz od poetów, od największych, którym przyznano stanowisko wieszczów. Żaden a żaden naród nie zna takiego powołania, takiego rodzaju talentu artystycznego, związanego z pewnym rodzajem kapłaństwa; cudzoziemcowi niełatwo nawet wytłumaczyć, co znaczy wyraz „wieszcz”. To stanowi niezmierną oryginalność polską. Poezja polska ma obowiązki obywatelskie, na które patrzy sub specie aeternitatis, podnosząc przez to wysoko etykę życia publicznego. Tego kapłaństwa narodowego było niemało także w malarstwie polskim. Matejko był nim przejęty, Malczewski mówił o nim publicznie jeszcze niedawno, zagajając rok szkolny za swego rektoratu w krakowskiej Akademii; można również wykazać pewne ślady pojęć mesjanicznych w historii muzyki polskiej.

Artyzm polski nie ogranicza się do samego kultu Piękna, lecz łączy go z kultem Prawdy i Dobra. I nie jest to bynajmniej nowością z okresu romantyzmu. Oto, co' powiada Łukasz Górnicki, bibliotekarz Zygmunta Augusta, książkę polskiej prozy czasów zygmunto-wskich:

„Z Boga piękność się rodzi, a jest nieoddzielona od dobroci, jako gorącość od ognia”.

Tak samo sądził o tym Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, tak samo myśli dotychczas każdy Polak, bo to należy do fundamentów polskiej kultury. Do jakiego zaś stopnia wielki artyzm potrafi wykrzesać poezję z tematu najbardziej „aktualnego”, dowodem

Niedokończony Poemat i Nieboska Krasińskiego. Temat polityczny opracowany sub specie aeternitatis, ujęty filozoficznie, wprost metafizycznie, nie w imię Piękną, lecz w imię Prawdy i Dobra odziany w Piękno. Polskie Piękno jest służką Prawdy i Dobra, jest środkiem do celu.

Można by zarzucić polskiemu Pięknu brak samodzielności wobec takich związków, takiej tendencyjności z poza arcyzmu. Stary spór o dydaktyczny pierwiastek, w sztuce a „sztukę dla sztuki”, nigdzie nie jest tak wielce na swoim miejscu, klasycznym doprawdy miejscu, jak w Polsce. Nigdzie nie ma tak mało owej „czystej” sztuki – a jednak... sztuka nasza, nie powstydy się przy żadnej innej, a poezja bodaj czy nie jest pierwszą i najwyższą całego świata!

Znów zagadka! Patrząc na rzecz jednostronnie, tylko z punktu wyłącznie artystycznego, można by zarzucić społeczeństwu polskiemu wobec przewagi tendencji w sztuce, brak zrozumienia dla sztuki, a wysoki jej poziom wyjaśniać szczęśliwym trafem, że jednak miało się Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Chopina, Grottgera, Matejkę itd. Można by dojść do wniosku o społeczeństwie „niezasłużonym, ale szczęśliwym”. I nie brakło pośród samych artystów polskich takich, którzy rozumując w powyższy sposób, jęli się uczyć rodaków, co to jest sztuka i jak ją uprawiać należy w „czystości”, bez względu na „cokolwiek”. Wywody ich były zupełnie logiczne, ale... niepotrzebne, gdyż cała walka „tendencji” z „czystością” polegała na nieporozumieniu, wynikiem stąd, iż porzeczano na zbyt szczupłym obszarze wnioskowania.

Sztuka należy do życia jeszcze bardziej od nauki, boć tylko z życia się rodzi. Sztuka abstrakcyjna – skazaną jest z góry na bezpłodność, bo sztuka potrzebuje podmiotów uchwytanych, podlegających zmysłom; metodą jej bowiem przemawianie do umysłu przez pośrednictwo zmysłów. Wszelkie rozumowanie o jednym z objawów życia w oderwaniu od wszelkich innych stron życia ma wartość tylko o tyle, o ile chodzi o jakiś szczegół, o to, co w nauce zowie się „przyczynkiem”; w tego rodzaju dociekaniach ucieka się każda nauka często do metody odrywania się umyślnego od całości, ale też rezultat takiego postępowania podlega rewizji przez uwzględnienie następnie całości, a gdy tej próby nie wytrzyma, zostaje odrzucony.

Opracowywanie szczegółu w bezwzględnym oberwaniu od całości stanowi bowiem tylko pewien środek pomocniczy, jako ułatwienie dla pracy umysłowej, uproszczenie pracy na pewien czas, do pewnego ściśle określonego celu, lecz nie stanowi zasady w metodzie. Uczony, który by trzymał się zawsze tego środka pomocniczego, może zajmować pomocnicze w nauce stanowisko, ale musi się trzymać z daleka od zagadnień zasadniczych, a nawet od wszelkich rozleglejszych problemów. Niestety, metoda niemiecka, apoteozując uczone zasklepienie się, doszła do tego, iż nie uznaje się za naukę tego, czego się nie ogarnia i nie rozumie. Z każdego kawałeczka nauki oddzielne generalizowanie, a gdy to prowadzi do absurdu, więc... zarzucić generalizowanie w ogóle. (Nie brak i takich uczonych). Brak talentu ratuje się wołaniem, że nie wolno robić tego, do czego potrzebny talent. Na takie kurczenie metody naukowej nie można przystać.

Sztuka ma swoje metody odrębne, boć samo myślenie artystyczne innym jest od naukowego; to polega na logice, na dedukcji lub indukcji, tamto na asocjacji. Ale badanie sztuki nie jest sztuką, lecz nauką; artyści deliberujący o sztuce muszą się poddać naukowej metodzie. Nie mają tedy słuszności, abstrahując przy roztrząsaniach zagadnień artystycznych od wszelkich innych stron życia; przeciwnie, czynią źle, wyświadczają społeczeństwu przysługę jak najgorszą, prowadzą myśl społeczną na manowce. Jeżeli chcą rozprawiać o stosunku sztuki do społeczeństwa, muszą mieć na uwadze całokształt życia.

Mogłaby nauka żyć sama sobie, lecz sztuka żadną miarą, bo zginęłaby na posuchę tematu; obmalowywanie zaś formuł matematycznych nie wyda Rafaela ni Matejki. Słusznym jest tylko to, że technika artystyczna nie liczy się z niczym innym, jak z mniejszą lub większą skutecznością wywołania wrażenia artystycznego, a kto nie opanuje techniki, może być tylko... kandydatem na artystę. A zatem dzieło sztuki tendencyjne, choćby o tendencji najwyższej, pozbawionym jest wszelkiej wartości, jeżeli jest źle wykonane. Sławna z czasów młodszych Witkiewicza „Kaśka”, skrobiąca rzepę, wykonana dobrze, więcej warta w sztuce od źle wykonanego „Grunwaldu”, ale nie od „Grunwaldu” w ogóle. Sam Witkiewicz uznał to zresztą potem najzupełniej. Walka cała była niepotrzebną, bo czyż kto twierdził kiedykolwiek, że wszelki obraz, przedstawiający Trójkę

Przenajświętszą, jest przez to samo szczytem malarstwa?

Walka przeszła następnie w dziedzinę poezji, a chorążował jej Przybyszewski. Tu znów nieporozumienie. „Naga dusza” okazała się sama na wskroś tendencyjną, a do tego nietolerancyjną sekciarką, zawziętą na wszystko, co w „kostiumie”. Koniec końców okazało się, że „nadzy” (czy „młodzi”) niosą nowe środki techniczne poezji, ale też nic więcej. Te nowe środki przyjęło się do wiadomości, a dobroć ich lub niedobroć zależną będzie po wszystkie czasy niewolniczo od dwóch rzeczy: od tematu i od talentu. I tak było zawsze i będzie zawsze! Ponieważ w miarę dalszego różniczkowania się życia nowoczesnego i formalnego upraszczania go (czyli uduchowiania) przybywa tematów, musi tedy przybywać i form artystycznych. W tym sekret całego periodycznego zawichrzania świata walkami rzekomo o pojmowanie sztuki, w istocie rzeczy zaś o przyznanie prawa obywatelstwa jakiej nowej formie. Ciekawe nieporozumienie tkwi w tym, że wojownicy nowej formy, której genezą dojrzewanie nowych tematów, sami nie zwykli sobie zdawać sprawy z tego, i lubią występować przeciwko... tematom, jako takim, zarzekając się kultu tematów. Mimowolna, z nieświadomości wynikająca niekonsekwencja przejawia się w tym, że oni właśnie zwykli pielęgnować pewne tylko tematy, i są właśnie przedstawicielami przesadnego jednostronnego kultu tematów. Walczy się o co innego, a wywalcza się co innego.

Nie można też wyjaśniać obecność w polskim społeczeństwie genialnych artystów jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, skoro każdy z nich ma w Polsce swych „poprzedników”, a dzieło każdego z wieszczów, dzieło Chopina również lub Matejki wsiąknęło literalnie w ducha narodu; widocznie jest z narodem jednogatunkowe. Nie stoją oni wyodrębnieni, lecz stanowią kwiat polskiego drzewa życia. A że polski pogląd na życie łączy prywatne ściśle z publicznym, cóż dziwnego, że znalazło to wyraz w sztuce i stąd jej „tendencyjność” rzekoma; a właściwie jej obywatelskość.

Istnienie w sztuce tej strony obywatelskiej nie ma nic do stopnia artyzmu; sztuka taka może być również dobrą lub lichą jak każda inna. Ale stanowczo polega to na grubym nieporozumieniu, żeby mniemać, że stopień artyzmu może być zawisłym od rodzaju artyzmu, j żeby przeto w imię wyższego poziomu sztuki prowadzić wojnę o hegemonię

pewnego wycinka danej sztuki.

Zrozumienie Piękna przejawia się w zrozumieniu jego form, tj. we wrażliwości na nie, bez względu na „tendencję” czy „fabule”; estetyczne wykształcenie należy przeto do wykształcenia formalnego, tj. do ogólnego podłoża intelektu. Wobec tego kryterium rozumienia sztuki w pewnym społeczeństwie zależy wyłącznie od poglądów na jej stronę formalną. Z obywatelskości w sztuce nie można snuć wniosków ‘zadnych, dodatnich ni ujemnych, ani o rozumieniu jej, ani też o jej zawisłości czy niezawisłości.

Natomiast zachodzi tu coś innego. Jeżeli gdzieś sztuka zamyka się wyłącznie w życiu prywatnym, tj. jeżeli czerpie natchnienie tylko ze źródła spraw i stosunków nieobywatelskich, może być zbiorem arcydzieł niedoścignionym, może się wspiąć na najwyższe szczeble artyzmu, – ale czy sztuka taka właśnie nie dowodzi samem unikaniem tematów z życia publicznego, że stoi poza społeczeństwem? – albo też społeczeństwu temu brak obywatelskości w stopniu dostatecznym, żeby przeniknęła do sztuki. Jedno z dwojga zachodzi na pewno. Społeczeństwo, posiadające taką sztukę, cierpi albo na brak wykształcenia obywatelskiego, albo też związek z jego ze sztuką jest nader luźny.

Zamykając koło tych wywodów, widzimy, co za nieporozumienie powodowało ty*mi, którzy rozpaczali nad brakiem zrozumienia dla sztuki w naszym społeczeństwie. Jeżeli nie ma na to innych wskazówek, sprawa upada.

Nie brak natomiast wskazówek o wielce rozwiniętym rozumieniu sztuki, o dziwnie wielkiej czułości na wrażenia artystyczne. Przypomnijmy choćby tylko stwierdzoną powyżej hipertrofię wykształcenia literackiego.

Łączy się tedy w Polsce zdatność artystyczna z całokształtem życia publicznego (z prywatnym musi się łączyć wszędzie a wszędzie), a zwłaszcza łączy się z objawami z zakresu nauki i polityki, jak to wykazuje spowicie myśli filozoficznej polskiej w szaty artystyczne, tudzież pielęgnowanie „sprawy polskiej” w dziedzinie sztuki. Związek ten dowodem, że twórczość polska posiada równoczesność wielostronności, której pierwsze ślady tu napotykamy.

Nie tykając bliżej tego problemu (który nie jest oczywiście specyficznością polską, a tylko mieści w sobie pewne, specjalnie polskie objawy), zwróćmy uwagę na inne źródło

obywatelskości zadomowionej w sztuce polskiej bardziej, niż w jakiegokolwiek innej. Wykładnikiem tego objawu patriotyzm, ten zaś stanowi kryterium poczucia narodowego. Otóż pozostaje sprawa ta w związku z faktem historycznym, że poczucie narodowe objawiło się w Polsce nadzwyczaj wcześnie, bo już za Władysława Niezłomnego (Łokietka) było silnym i rozwiniętym na tyle, ażeby zwyciężyć i wytworzyć w Europie nowość: państwo narodowe w przeciwieństwie do dynastycznego.

Odkładając bliższe rozpatrzenie tych stron przedmiotu do dalszych rozdziałów, zakończmy niniejszy rejestr tych faktów z dziejów polskiego piśmiennictwa naddobnego, które posiadają znaczenie ogólniejsze w kwestii twórczości polskiej, przekraczając znacznie miarę wyższego stopnia kultury artystycznej, jako takiej, biernej, a stanowiąc dowody samodzielnej twórczości, niezależnej od wpływów zewnętrznych. Poprzestaniemy na suchym rejestrze polskiej oryginalności poetyckiej.

Zaczyna się ten rejestr od „Psałterza Dawidowego” Jana Kochanowskiego, do którego nie było z czego czerpać pomocniczych wzorów, a który stoi do dnia dzisiejszego najwyżej ze wszystkich europejskich przekładów i parafraz psalmów. Wespazjan Kochowski wprowadzał do poezji polskiej bezpośrednio formy biblijne. W XVII wieku od Władysława IV poczynając, wytwarza się z wolna polski teatr w komedii rybałtowskiej; niestety, nie zdołał się rozwinąć z powodu upadku miast. Rodzima również literatura „sowizrańska” nie wydała następstw, ale obydwie te przejawy świadczą o zdolnościach oryginalnych, twórczych; o tym, że piśmiennictwo byłoby wydało całe działy (teatr i powieść) bez uciekania się do naśladownictw piśmiennictw obcych. Z ogólnym upadkiem upadły jednak i te zawiązki. Potem Bogusławski i Książnin wprowadzali pierwiastki ludowe do polskiego dramatu muzycznego. Trembecki należał do najdoskonalszych w całej Europie wirtuozów formy, której wirtuozostwo zaczyna się od Morstinów.

W r. 1822 wydarzenie epokowe: wychodzą w Wilnie dwa tomiki poezji Adama Mickiewicza. Niebawem powstaną Sonety krymskie, pierwsze sonety o treści opisowej i pierwszy poemat na kształt arabskich kassyd („Parys”), aż rozwój twórczy dojdzie do „Pana Tadeusza”. Polska podejmuje na nowo w literaturze powszechnej problem

wielkiego eposu i ciągnie się ta nić aż do „Pana Balcera” Konopnickiej. Nowością twórczą jest tworzenie poetyczne na kanwie wydarzeń świeżej daty, całkiem współczesnych, w „Dziadach”. Problem dramatu metafizycznego, doświadczany w Anglii i w Niemczech, doznaje w Polsce nadzwyczajnego rozszerzenia, a nigdzie nie poświęca się mu tyle wybitnych piór, jak w Polsce: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Garczyński i wielu minorum gentium. Zamiłowanie do tej formy staje się na długo cechą poezji polskiej. Ile nowych myśli zawiera poezja nasza „wieszczą”, długo by wywodzić; faktem jest, że nie pozostała bez wpływu na inne piśmiennictwa, słowiańskie przede wszystkim, ale i francuskie, tudzież niemieckie. Form nowych nie brak: w Księgach Pielgrzymstwa, w Irydionie, w Psalmach Krasińskiego, w „W Szwajcarii”, itp. Twórczość tej epoki jest rozległą, wielostronną, śmiałą. Czyż wspiął się kiedy człowiek jaki wyżej niż Mickiewiczowski Konrad w „Improwizacji”? i czy każda z zawartych tam myśli nie jest na wskroś oryginalna, słyszana po raz pierwszy w ludzkim języku? Podobnych faktów z dziedziny wielkiej poezji polskiej – mnóstwo. I trwa to długo; jeszcze o Norwidzie powiedziano słusznie, jako „był” on istotnym pomnożycielem ogólnego skarbu myśli ludzkiej”. Norwid układa utwory dramatyczne „bez intrygi i węzła dramatycznego”, pierwszy w Europie „stwarza bohaterów, którzy „nic nie działają”; poprzestaje na tym, co można by nazywać akcją wewnętrzną. Jego stosunek do sztuki (wyłożony w „Promethidonie”) jest tego rodzaju, iż „na tym polu znaczenie Norwida jest nie tylko polskie, ale i ogólnoeuropejskie. Wyprzedza on prerafaelitów angielskich, inicjuje na szeroką skalę idee analogiczne tym, które podjęli Ruskin i Morris. W Polsce był Norwid pierwszym propagatorem tzw. sztuki stosowanej, która dopiero za dni naszych poczęła przyoblekać się w realne kształty”... „Ten zapomniany romantyk wyprzedził cały symbolizm francuski... Wyrósłszy z gleby polskiego geniuszu, jest na wskroś europejski; idąc po linii własnej, polskiej kultury, dochodzi w wielu punktach tam, gdzie dopiero później znalazła się myśl twórcza zachodniej Europy”.

Teatr Słowackiego jest oryginalnym rodzajem w scenicznej twórczości europejskiej. Dużo oryginalności posiada Fredro. Wyspiański, łączący cechy Słowackiego i Norwida, epigon obydwóch tamtych, jest już przedmiotem studiów krytyków

i historyków literatury zagranicą. Powieść polska jest po francuskiej, a często obok niej, najlepsza w Europie; powieść historyczna od Czajkowskiego do Sienkiewicza przeżyła; najwspanialszą ewolucję. Orzeszkowa, Prus-Głowacki, Reymont i wielki artysta Weysenhof ostoją się wobec najsurowszej krytyki cudzoziemca; Adolf Dygasiński nie naśladuje Kiplinga, a byłby również sławnym na cały świat, gdyby pisał w języku bardziej dostępnym europejskiemu ogółowi. Sieroszewski przyswoił sztuce piśmienniczej całe nowe światy; ani Loti, ani nikt w ogóle nie tylko mu nie dorówna artyzmem, ale nie umywają się wszyscy fabuliści tematów „egzotycznych” do niego co do zrozumienia psyche ludów niżej rozwiniętych. Wreszcie człowiek, którego można by nazwać poetycznym wykładnikiem naszego pokolenia, Jan Kasprówicz, jest jedynym w swoim rodzaju na całą współczesną literaturę powszechną.

Pełno w sztuce polskiej w ogóle, a w poezji w szczególności, i historyzmu i ludowości. Równoważą się znakomicie. Jeżeli kto zechce układać antologię poetycką jakiej „wielkiej demokracji”, może się śmiało ograniczyć do poezji polskiej, a nie zabraknie mu niczego. I również dobrze można by z wypisów polskiej Muzy ułożyć kanon wielkich przykazań tradycji historycznej.

Rozdział VI. Zdarność naukowa.

Przechodzimy do odmiennej zgoła kategorii umysłowości, w dziedzinę, gdzie praca umysłowa odbywa się według myślenia logicznego, a gdzie celem wykrywanie Prawdy. Wielostronność dróg i środków znajdziemy tu jeszcze większą, niż w zakresie artystycznym; nauk jest bez porównania więcej, niż sztuk pięknych. Co jeszcze znamiennejsze: sztuk pięknych jest dzisiaj nie więcej, niż za czasów Peryklesowych, gdy tymczasem nauk wciąż przybywa. Wyczerpaliśmy bardzo wczesnie drogi, stojące ludzkości otworem w pochodzie ku Pięknu, podczas gdy dróg, wiodących do Prawdy, odkrywamy coraz więcej, końca nie widząc tej mnożności. Przyczyna tkwi w tym, że sztuka działa przez zmysły tylko, nauka zaś działa na umysł bezpośrednio. W miarę różniczkowania się myśli, w miarę powstawania nowych kombinacji myślowych, mogą,

a raczej muszą powstawać nowe działy badań odpowiednich. Nauce wystarcza sam rozwój umysłowy, podczas gdy do powstania; nowej sztuki trzeba by wytworzenia się nowego zmysłu. Jeżeli zamknięta jest ilość zmysłów ludzkich, zamknięta też jest ilość sztuk pięknych, dana z góry, a priori, w stosunku do danych również z góry zmysłów, których człowiek własną zapobiegliwością pomnożyć nie zdoła.

Ażeby zyskać materiał dalszy do naszych rozważań (materiał, który zbierać można tylko indukcyjną metodą), przetrząśniemy główne momenty z dziejów polskiej nauki, odróżniając to od dziejów nauki w Polsce, boć to nie to samo. Nie będziemy przemierzali obszarów wszystkich nauk, poprzestając na najbardziej typowych i na głównych, tj. takich, z których dopiero w nowszych czasach wyłaniały się inne. Niektóre nauki były zresztą omawiane już przy roztrząsaniu kwestii „darów przyrody”, np. geologia, tudzież stosowane, jako to mechanika, inżynieria, nauki rolnicze itp.; do tych więc nie będziemy już wracali.

Sama rozległość przedmiotu obok nadzwyczajnej różnorodności zmusza wprowadzić podział na części. Zaczniemy ód matematyki i opartych na niej naukach tzw. ścisłych, następnie przejdziemy do przyrodniczych, po czym osobny ustęp poświęcimy geografii, która choć bardziej przyrodnicza niż humanistyczna, nadaje się atoli doskonale na łącznik pomiędzy naukami przyrodniczymi a humanistycznemu.

Nauka ta, rozumiana i przez ogół inteligencji, i przez władze oświatowe całkiem mylnie, przestała od dawna być czyjąkolwiek „pomocniczą”. Świadczy to ogromnie niezaszczytnie o zacofaniu naukowym władz oświatowych, skoro robią z geografii ciągle Jakiegoś kopcieszka, któremu dobrze w kącie gdziekolwiek. Geografia jest nauką samoistną, o nadzwyczajnej rozległości, a jest zarazem najpotrzebniejszą ze wszystkich nauk do tzw. ogólnego wykształcenia i dostarcza go też najwięcej. Co by to był za przewrót korzystny, gdybyśmy w oświacie polskiej wprowadzili geografę na to miejsce, które zajmuje literatura. Inaczej patrzelibyśmy na świat, i zmienilibyśmy się na naszą korzyść tak dalece, iż niebawem i świat patrzyłby inaczej na nas. Nie wahał się powiedzieć, że gdyby jedna tylko nauka miała być uprawianą, najlepiej byłoby umieścić na stanowisku uprzywilejowanym geografę. Dla tych powodów nie łączę geografii z żadną inną nauką,

lecz wyznaczam jej miejsce osobne, i mam nadzieję, że będę miał naśladowców.

Po geografii przejdziemy do nauk humanistycznych, poprzestając jednak na czterech najbardziej znamienych: filologii, językoznawstwie, historii i prawie. Szczegóły z rozwoju tej ostatniej nauki w kulturze polskiej znajdują się potem jeszcze w następnym rozdziale o zdatności politycznej. Zamkniemy zaś cykl ten sprawozdaniem z filozofii, po czym zestawimy rezultaty co do nauki, oświaty i dobrobytu.

1. Nauki ścisłe.

Kryterium zdatności naukowej może być tylko jedno, o ile chodzi o twórczość: dokonywanie odkryć naukowych, przygotowywanie ich lub uzupełnianie. Całkiem coś innego przyswajanie sobie nauk, a zupełnie co innego samodzielna praca około ich rozwoju.

Odkrycia posiadają najrozmaitszą doniosłość naukową, stosownie do tego, jakiego obszaru wiedzy dotyczą. Bywają odkrycia bardzo ciekawe, lecz drobne, których wpływ na poglądy naukowe nieznaczny, bo ledwie zmieni się coś nader szczegółowego, i to nie tykając szczegółów sąsiednich, nie wpływając na nie. Bywają inne, na pozór tylko drobne, ale tyżące pewnego szczegółu pod jakimś względem zasadniczym, który zachodzi w całym szeregu innych szczegółowych obiektów czy faktów, i skutkiem tego odkrycie szczegółowe zatacza szersze kręgi i odmienia postać pewnej części nauki. Bywają wreszcie odkrycia, tyżące zasadniczo całego obszaru danej nauki, a nawet kilku pokrewnych. Takim było odkrycie Kopernikowskie.

Nie zawsze wielki człowiek służyć może na świadectwo poziomu kulturalnego własnego społeczeństwa; często osobą swoją stanowi tylko dowód rozszerzenia się kultury innej, obcej, której uległszy, dzięki niej sam zdołał rozwinąć się; stanowi więc w takim razie okaz wpływów tamtej kultury, a zarazem może zachodzić objaw słabości kultury społeczeństwa własnego, zbyt niskiego jej stanu, iżby mogła zapewnić wybitnemu talentowi należyty rozwój. Nie można przeto wysnuwać wniosków o wysokim poziomie polskości z tego, że Polska „wydała Kopernika”, bo mógłby być zjawiskiem wyjątkowym, wynikiem ze stosunków kultury umysłowej poza Polską, a wbrew niskiemu jej stanowi

w Polsce. Ten, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię” stanowi jednak objaw kulturalny polskości, bo wykształcił się na jeden z najpotężniejszych umysłów ludzkości w polskim środowisku naukowym, stanowiąc nie wyjątkowy jakiś wyskok, lecz owoc naturalnego rozwoju polskiej wiedzy; słowem: bo wyrósł z polskiego podłoża naukowego.

Matematyka – astronomii podstawa i rusztowanie – kwitła u nas od dawna. Kadłubek już interesuje się sporem „pomiędzy zwolennikami Abaku z jednej, zaś Algorytmu z drugiej strony, tj. pomiędzy wyznawcami dawnego a nowego (indyjsko-arabskiego) sposobu liczenia”. Posiada też sporo wiadomości astronomicznych; wie, że ziemia jest kulą, a sfera gwiazd stałych obraca się dokoła osi, z czego powstaje zjawisko wschodu i zachodu słońca, księżyca i gwiazd; zna przyczynę zaćmień, zwraca uwagę na komety, na trzęsienia ziemi itd. Słowem, Kadłubek przeszczepił do Polski. wszystko, co tylko w Paryżu (skąd przywiózł sobie stopień magistra) współczesnym wiadome było matematykom i astrologom-astronomom najbardziej postępowym.

Na przełomie XIII i XIV stulecia nieznanym bliżej magister Franco de Polonia zbudował „bardzo pomysłowo” narzędzie astronomiczne, które sam nazwał „torquetum”. Wiadomo, że słynny Witelo z Witowa pod Piotrkowem, który kwitnął w 3 ćwierci XIII wieku, znał gruntownie matematykę (czego dowiódł w swej Optyce); wszak to on „wskrzesił klejnoty geometrii starożytnych. Liczby „arabskie” przyjęte były w Polsce już w pierwszej połowie XIV stulecia; równocześnie zaznaczają się ślady rodzimego miernictwa gruntów. Za Kazimierza W., w piątym roku istnienia uniwersytetu, w r. 1368 obserwowano już w Krakowie komety w sposób naukowy, uznając ją ciałem niebieskim. Dochowały się do dni naszych szczęśliwie polskie prace astronomiczne z roku 1381 i z lat następnych. Na przełomie XIV i XV wieku uprawiano w Krakowie trygonometrię „i to w jej nowoczesnej postaci, a więc z tym ważnym rozdziałem geometrii rachującej bez którego znajomości jakikolwiek postęp w astronomii wydaje się niemożliwym”.

Z początkiem XV w. istniała już w Krakowie stała katedra nauk matematycznych. Zapowiedzi astronomiczne mamy, w Krakowie od r. 1406. Słynny Marcin Bylica z Olkusza (zm. około 1495), „autor kilku ciekawych pisemek z dziedziny sztuki gwiazdziarskiej, gorliwy i zręczny obserwator narzędziami, dochowany mi dotychczas, niezwyklej na owe

czasy dokładności, był żarliwym krzewicielem zdrowszych prądów w naukach matematycznych, m. in. algoryzmu italskiego, trygonometrii i Peurbachowskich „nowych” teorii astronomicznych. Wspólnie z Regiomontanem opracował najstarszy w Europie traktat astronomii sferycznej.

Marcin Król z Przemyśla (zm. 1459) był profesorem astronomii w Bolonii, powróciwszy do Krakowa, fundował drugą katedrę matematyki; w pismach swych posuwał znacznie myśl astronomiczną, skoro zdobył, się na „krytykę, niekiedy dosadną, owoczesnych doktryn astronomii geocentrycznej”. A zatem Kopernik zastał grunt przygotowany.

Jan z Głogowa (zm. 1507) obserwuje zaćmienia, dokonuje pomiarów geodetycznych; Wojciech z Brudzewa (zm. 1495) odznacza się „biegłością w sztuce obserwatorskiej”, a przy tym posiada „niepospolity dar wykładu i nauczania”. Jego to uczniem był Mikołaj Kopernik i „w Krakowie doznał pierwszego popędu do. wieloletniej pracy nad kompozycją prawdziwego mechanizmu świata”.

Ani też po Koperniku nie zbrakło ruchu naukowego w dziedzinach matematyki i astronomii na dowód, że nich ten stanowił część stałą kultury umysłowej polskiej. Bardzo znacznym był udział Polaków w reformie kalendarza. Pisma kalendarograficzne zaczynają się u nas pod koniec XIV wieku, a projekt poprawy kalendarza układa Marcin Król już w r. 1456. Zajmował się tą sprawą Tomasz Strzępiński, późniejszy biskup krakowski. Kolega uniwersytecki Kopernika, Marcin Biein, projektem swym, ogłoszonym w r. 1516, „wyprzedził pomysły twórców tyle późniejszej gregoriańskiej reformy kalendarza, a nawet – możemy to śmiało wyrzec – pod pewnymi względami trafnością proponowanych zmian „prześcignął”.

W pierwszej ćwierci XVI w. dokonywano w Polsce obserwacji nie tylko w Krakowie, ale i na prowincji, a obserwatorów, i to dobrych, możemy wskazać po imienin kilkunastu. W r. 1531 obserwowano kometę, nazwaną później mianem Halleya. W takim środowisku nie zabrakło też apologetów systemu Kopernikowskiego (Stanisław Jakubiec, Jan Muszyński, Walenty Fontani, Jan Brożek, Stanisław Pudłowski).

Kwitnie nadal matematyka: Brożek pierwszy w Europie zajmuje się

z powodzeniem geometryczną kwestią tzw. wieloboków gwiazdzistych; Pudłowski (zm. 1645) zajmuje się teorią liczb i dostrzeżeniami astronomicznymi.

Pudłowski, będąc proboszczem u św. Mikołaja w Krakowie, „mieszkanie swoje urządza wprost jakby dzisiejszą pracownię fizyczną, a zarazem dostrzegalnię astronomiczną. Ustala troskliwie kierunek południka, tudzież szerokość geograficzną miasta; dwiema na przemian lunetami obserwuje i rysuje górzysty krajobraz księżyca, plamy słoneczne, fazy Wener, cztery księżycy Jowisza, mleczną drogę, jako też dziwaczne kształty planety Saturna itd... Wszelako najciekawszym szczegółem naukowej działalności Pudłowskiego, a świadczącym o niezwykłej jego bystrości, był niezawodnie i pozostanie świetny jego pomysł, ażeby przez przyjęcie stosownej, a „niezniszczalnej” jednostki długości (etalonu), usunąć zamieszanie, pochodzące z używania w różnych czasach i przez różne ludy miar najróżniejszych. Na taką to „miarę powszechną” (mensura universalis) proponował (zm.1642) uczony krakowski długość wahadła sekundowego, który to pierwowzór sama przyroda ocali przed zniszczeniem i zaginięciem”. Wyprzedził więc pomysłem swym o półtora stulecia twórców systemu metrycznego.

W Kaliszu dokonywano obserwacji od r. 1613 (m. in. plam słonecznych). Jeden z uczestników tych prac, Gajewski, skonstruował koło r. 1640 heliocentryczne planetarium. Znaczny poczet drugorzędnych uczonych XVII wieku stanowi podłoże dla kilku wybitnych umysłów twórczych. Smogulecki wyprzedził naukę europejską co do natury plam słonecznych; Susliga wykrył błędność ery dionizańskiej; Herka przyznał kometom naturę kosmiczną; Dominik Kromer proponował wyznaczanie długości geograficznej z zaćmień księżyców Jowisza; Tylkowski pierwszy stosował matematykę do rozważań czysto* logicznych; Adam Kochański (1631-1700) był nader bliskim odkrycia Leibniznewtonowskiego; jego odkrycia matematyczne i stosowanie ich do astronomii, fizyki, mechaniki teoretycznej i praktycznej mogą służyć za dowód, że polska kultura matematyczna i astronomiczna polegała na podstawach tak trwałych, iż ostatnia dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w Polsce. Jak najwarowniejsza twierdza trzymała się do ostatka, – ostatnia dopiero uległa zalewowi ciemnoty okresu saskiego.

I ten dział pierwszy się odradza. Kompilatorów nie brakło nigdy – ale nie o takich

nam tu chodzi. Jednakże już po r. 1740 następuje zwrot na lepsze, i odrodzenie dokonuje; się „w przyspieszonym niemal tempie”. Od r. 1730 działa w Poznaniu, następnie od 1738 w Krakowie ks. Józef Popiołek, który naprzywoził z Włoch instrumentów i książek, i sam czynnym był astronomem. Tuławski i Arakiełowicz (1732-1798) występują publicznie z obroną systemu Kopernikowskiego. Wszakże Józef Jabłonowski (zm. 1776) wznosił Kopernikowi w toruńskim kościele św. Jana „pierwszy w ogóle pomnik”, i dzięki jemu wykreślono dzieło Kopernika z rzymskiego Indexu. Pojawiają się koło r. 1760 nowe polskie podręczniki matematyczne, wreszcie obserwatorium w Wilnie (1760) i w Poznaniu (1765). Poważny ustęp w dziejach nauki stanowią obserwacje Merkurego przez słynnego ks. Poczobuta, i obserwacje Łuskiny (1761), obok których można wymienić cały szereg uczonych.

W Krakowie powstało obserwatorium pod Janem Śniadeckim w r. 1787, który następnie przeniósł się do Wilna. Jemu zawdzięczamy dużo ze sławy polskiego imienia, dzięki jego pierwszorzędnym obserwacjom, zwłaszcza planetoid; o genialności jego umysłu świadczą jego Algebra, Geografia fizyczna i matematyczna. Meteorologia, Rachunek prawdopodobieństwa, Trygonometria kulista, które to działy nauk uprawiał skutecznie, często posuwając je ku dalszemu postępowi. Współczesnych uczonych nie brakło, tak, iż Śniadecki występuje na tle gęstego-podłoża naukowego. Nie lada dziełem była np. triangulacja Litwy i Kurlandii, dokonana przez Sławińskiego.

Zjawia się niebawem geniusz Hoene-Wrońskiego (1778-1853), który ogarniając wszystkie niemal dziedziny wiedzy, z wielką oryginalnością własnych metod łączył obfitość nowych pomysłów naukowych; odznaczał się twórczą działalnością także w zakresie matematyki i astronomii.

Od drugiej połowy XIX w. dotrzymujemy stale kroku nauce międzynarodowej. Polscy matematycy odznaczają się z reguły obok uprawianej specjalności nadto szerszymi horyzontami. Pośród liczego pocztu uczonych wyróżniało się kilku pierwszorzędnymi zaletami, np. Żmurko, własnymi drogami kroczyć lubiący; Mertens, który odkryciami swymi wzbogacił wszystkie działy matematyki; Baraniecki, autor pierwszej polskiej pracy o wyznacznikach; Dickstein i Sierpiński zasłużeni w tzw. teorii mnogości, „najmłodszej

gałęzi dociekań matematycznych”, prócz innych także działów; i wielu, wielu pracowników zdolnych, rozwojowi nauki nader przydatnych, ogłaszających z roku na rok sporo cennych przyczynków.

Jeden jeszcze szczegół wielce znamienity, a i świadczący, jak dalece, matematyka tkwi jakby w krwi polskiej: kiedy wielce zasłużony wydawca „Podręcznika dla Samouków”, organizator samouctwa w Polsce Michalski przystąpił do organizowania kół wyższego stopnia uprawiania nauki samouctwem, najwięcej zebrało się osób do... matematyki i nie brak takich, którzy doszli aż do możliwości roztrząsania wątpliwych problemów naukowych.

Również kwitnie ciągle pośród nas astronomia i związana z nią geodezja. Józef Chodźko (zm. 1881) był szefem triangulacji w Kurlandii, na Kaukazie, w Armenii, wykonał przeszło półtora tysiąca oznaczeń hipsometrycznych na Kaukazie, wykonał pomiar natężenia siły ciężkości na szczycie Wielkiego Araratu i on pierwszy zwrócił uwagę na tzw. odchylenia pionu. Obok niego wymienić można by długi szereg pierwszorzędnych polskich geodetów, czynnych po całym świecie. Praktyczna astronomia zawdzięcza wiele Herkulesowi Dembowskiemu, który własnym kosztem utrzymywał znakomite obserwatorium nad włoskiem. Lago Maggiore, poświęcone przeważnie mikrometrycznym pomiarom gwiazd podwójnych i wielokrotnych. „W tego rodzaju technice obserwatorskiej stoi on jeszcze po dziś dzień jako mistrz niedościgniony”. Adam Prażmowski, Marian Kowalski (zm. 1884 w Kazaniu), Jerzy Bogusławski (zm. 1884 w Berlinie), Fr. Kairliński (t 1906) zasłużyli się dobrze obserwacjami i obliczeniami; nie ustępowali im młodszy od nich Jan Kowalczyk i Daniel Wierzbicki (f 1901), nie mówiąc o szeregu dalszych ich towarzyszy. Astrofizykę uprawiał zaszczytnie Eug. Rogowski. Przedwcześnie zmarły Maurycy Rudzki (t 1916) zdobył sobie europejskie imię w geofizyce, seismologii, hydrodynamice kosmicznej. E. J. Wilczyński wystąpił z nowymi metodami w fizyce matematycznej i astrofizyce „w najtrudniejszych nawet przedmiotach badań i poszukiwań. Tylko niedostaje nam ciągle własnych warsztatów naukowych. Posiadamy uczonych znacznie więcej, niż ich w kraju zająć możemy; tak np. Wilczyński ten był kalkulatorem w Greenwich przy roczniku tamtejszym Nautical Almanach,

następnie przeniósł się do Ameryki Północnej, gdzie zajmował kolejno stanowiska profesorskie przy Columbian University w Waszyngtonie, jako associated professor w Berkelay University w Kalifornii, w Carnegie Institution w Waszyngtonie (1904). Pisuje tedy przeważnie po angielsku...

Nowa Polska dostarczy warsztatów! Na razie chodziło nam tu o wykazanie, jak to matematyka i astronomia zadomowione są w Polsce, jak to Kopernik miał w Polsce z czego wyrósł, i jak dużo po nim zostało, i jak następnemu pokoleniu będzie co przekazać.

Oparta o nauki matematyczne fizyka zaczęła być nauką samodzielną dopiero w XVII wieku. Nie spóźniła się tedy Polska, skoro można dzieje fizyki u nas zacząć od owego proboszcza przy kościele św. Mikołaja w Krakowie, ks. Stanisława Pudłowskiego, o którym była powyżej mowa, jako o astronomie. W r. 1634 urządził na swym probostwie pracownię fizyczną, której wartość ocenić można według tego, do czego mogła posłużyć. Nasz pierwszy fizyk „powtarza doświadczenia Galileusza nad spadaniem ciał, czy to wolnym (z wieży kościoła), czy też po płaszczyznach pochyłych, albo krzywych najrozmaitszych, wyznacza ciężary gatunkowe rozlicznych ciał, studiuje ciepłotę wrzenia kilku cieczy; pierwszy wpada na pomysł wyznaczenia i rzeczywiście wyznacza „post mulat experimenta” długość wahadła sekundowego dla Krakowa (1634-5)”. Początek świetny! Niebawem, w r. 1647, eksperymentowano w Krakowie i w Warszawie z rurką Torricelliego. Jezuita Stanisław Solski (zm. 1701) „uprawiał bardzo gorliwie fizykę, a zwłaszcza mechanikę stosowaną, w której wykazuje wielką pomysłowość, chociażbyśmy nawet do zbudowanej przezeń, a przez Caspara Schotta tak górno wystawianej maszyny, zwanej perpetuum mobile, ze sceptycyzmem odnosić się mieliby jezuita, znakomity Adam Kochański zajmował się również fizyką, mechaniką teoretyczną i praktyczną. „Przy kolegium jezuitów w Poznaniu, dzięki znacznemu zasiłkowi pieniężnemu królowej Marii Leszczyńskiej, powstaje około r. 1765 okazały gabinet fizyczny”. Pierwszą fizykę po polsku wydał ks. Józef Rogaliński w czterech tomach w Poznaniu w r.1765.

Następuje zastój, aż dopiero w drugiej 'ćwierci XIX wieku fizycy poczynają się znów pojawiać na polskim horyzoncie. W r. 1833 pojawia się rozprawa Łączyńskiego

o zбочeniu magnetycznym i traktat o aeronautyce – i odtąd ruch naukowy w dziedzinie fizyki już*nic ustaje, wzmaga się nieustannie ilościowo, a jakościowo rozwija się w sposób budzący doprawdy podziw. Andrzej Radwański, Cyprian Tołwiński, A. Norejko, J. Karpiński, Wojciech Urbański, Feliks Strzelecki wreszcie, rozpoczynający szereg badaczy całkiem samodzielnych, wytworzyli polski „świat naukowy” w zakresie fizyki. Ułatwione już mają działanie Ludwik Kuczyński i Gustaw Piotrowski, aż wreszcie Edward Wł. Skiba zaczyna w r. 1869 ogłaszać swe „wielce oryginalne prace z dziedziny optyki, akustyki, elektryczności i fizyki molekularnej”. Obok niego stają R. Błażejowski, Oskar Fabian, Józef Boguski, Eug. Dziewulski, Henryk Merczyng. Najzdolniejszy z tej plejady Wł. Gosiewski wzbogaca naukę polską „całym szeregiem głęboko pomyślanych prac z zakresu fizyki molekularnej, kinematyki, hydrostatyki, z teorii sprężystości... Jego Wykład mechaniki cząsteczkowej (Paryż 1873) pozostał dotychczas, niestety, nieukończony”.

„Ostatnie 20-lecie ubiegłego wieku aż po dobę obecną tworzy niejako apogeum twórczości polskiej w zakresie fizyki tak doświadczalnej jak i teoretycznej”. Występują Fr. Dobrzyński, Kaz. Olearski, Fr. Tomaszewski. Przerósł ich wszystkich Zygmunt Wróblewski (1845-1888), który po licznych pracach około dyfuzji gazów przez ciała pochłaniające, skroplił w r. 1884 wspólnie z Karolem Olszewskim tlen, następnie azot, denek węgla i powietrze, tudzież zbadał kwestię skroplenia wodoru. August Witkowski (1854-1913) pracował z wielką dla siebie i nauki polskiej chwałą w rozmaitych działach fizyki. „Dwie jego prace: O rozszerzalności i ściśliwości powietrza (1891), tudzież o własnościach termodynamicznych powietrza (1895) są obecnie ostatnim wyrazem nauki w tych kwestiach bardzo aktualnych. Wreszcie obszerne, trzypięciotomowe jego dzieło pt. Wykład Fizyki (świeżo już w trzecim wydaniu) dorównywa najlepszym, jakie dziś posiadamy, zagranicznym dziełom, zawierającym uniwersytecki wykład fizyki doświadczalnej”. Trzecim w tej trójcy jest Karol Olszewski (1846-1915), z którego „kriogenicznej pracowni wyszło (1885-1911) przeszło 40 prac, zajmujących się skraplaniem i zestalaniem przeróżnych gazów, oznaczaniem ich gęstości, ciśnień i temperatur krytycznych, punktów wrzenia, badaniem ich widm absorpcyjnych itp., znaczna ich część skierowana do najbardziej opornych gazów, takich jak wodór i helium. Te piękne i ważne

prace, którymi Olszewski, Wróblewski i Witkowski wzbogacili fizykę, rozniosły imiona ich i naukę polską – można to rzec bez przesady – nie tylko po Europie, ale także i w Ameryce”.

Młodszy od tamtych Wł. Natanson i Marian Smoluchowski (1872-1917) znani są doskonale w nauce zagranicznej jako powagi w zakresie fizyki teoretycznej. Zwłaszcza Smoluchowski sięgnął do głębi przedmiotu, a nauce polskiej zapewnił szacunek wśród świata. Zasługi Marii ze Skłodowskich Curie około odkrycia radu i naukowego opracowania promieniotwórczości są powszechnie wiadome; sprawa to nowa, wielce spopularyzowana, „aktualna”.

Obok znakomitości o sławie europejskiej liczny jest chór polskich fizyków, z pośród których niejedni dobijają się sławy większej pod najlepszymi horoskopami pilności i talentu. Odznaczyli się w tym chórze Józef Kowalski, Ignacy Zakrzewski, Konstanty Zakrzewski, Tadeusz Godlewski, St. Loria i in.

Stwierdźmy, że w Polsce istniało podłoże nauk ścisłych (a, nie tylko wyjątkowi uczeni) od Kadłubka czasów bez przerwy aż pod koniec XVII wieku. Humanizm nie tylko nie osłabiał tego ruchu naukowego, lecz owszem, w okresie humanistycznym stały nauki ścisłe w Polsce właśnie najwyżej. Upadek ich nastąpił potem w czasach ogólnego upadku umysłowości i całej polskiej kultury – najpóźniej. Odrodzenie nastąpiło najwcześniej. Działalność ks. Popiołka jest starsza, niż ks. Konarskiego; a gdy Konarski dokonał reformy szkolnictwa, oparł ją głównie nie na czym innym jak na wprowadzeniu do szkół nauk ścisłych. W wieku XIX zabłysnęły one u nas nowym wielkim światłem, i znów wyraźnie występują zwartą lawą. Stopień zdatności oznaczać... byłoby śmieszne wobec imion tylu, grupujących się około Kopernika; skoro tylko można wykazać, że nie był on w Polsce izolowanym zjawiskiem, można też posłużyć się jego imieniem, jako świadectwem zdatności twórczej w naukach ścisłych.

2. Nauki przyrodnicze.

Od nauk ścisłych oddzielamy te z poświęconych badaniu przyrody, które nie polegają zasadniczo na matematyce, a tym bardziej na obserwacji, na eksperymencie. Mechanika teoretyczna jest niewątpliwie „ścisłą”, a fizyka doświadczalna mogłaby być

zaliczoną do „przyrodniczych”. Wiadomo, że nie wymyślono jeszcze podziału, przeciwko któremu nie można by podnosić wątpliwości; bo też to rzecz utylitarna. Nauka z nauką musi zachowywać związek, a im większy rozwój umiejętności, tym trudniej o wyraźne granice pomiędzy nimi.

Ograniczymy się w naszym przeglądzie do trzech nauk: chemii, biologii (zoologii i botaniki), tudzież do medycyny jako do najwybitniejszych przedstawicieli nauk przyrodniczych.

Chemia zaczyna się w Polsce jak wszędzie od alchemii. Słynęli polscy alchemicy, Kowski w XV w. i Sędziwój w XVII. Drugi kierunek, jatrochemia, t. j. chemia do celów leczniczych, którego przedstawicielem Paracelsus. posiadał u nas również licznych zwolenników, z lekarzem Albertem Łaskim na czele (XVI w.). Pierwszym chemikiem w nowoczesnym znaczeniu wyrazu był ks. Józef Osiński, który nie tylko napisał kilka rozpraw, ale założył przy warszawskim kolegium pijarskim pierwszą w Polsce pracownię chemiczną. Działo się to w latach 1777-1802, a zatem nie daliśmy się w chemii wyprzedzić Niemcom. Pierwszym profesorem chemii był od r. 1782 Jan Jaśkiewicz w Krakowie; w Wilnie od r. 1784 Józef Sartorius, wykładający jeszcze po łacinie, po czym Jędrzej Śniadecki rozpoczął wykłady po polsku od r. 1797.

Wybitny ten teoretyk chemii, choć był zwolennikiem matematycznego ujmowania zagadnień, pracował także doświadczalnie. Zajmował się powinowactwem chemicznym, składem chemicznym kwasów, istotą ciepła i światła; w ogóle „szczególne znaczenie przywiązywał do tych właśnie zagadnień, które we współczesnej nam chemii teoretycznej są dominującym przedmiotem najważniejszych studiów”. W r. 1808 odkrył nowy metal, który nazwał „western” a który identyczny jest z „rutenem”, odkrytym na nowo w 40 lat po Śniadeckim. Jego „Początki chemii” w dwóch tomach dla użytku słuchaczy ułożone, są „klasyczne w duchu na wskroś nowoczesnym”. O jego „Teorii jestestw organicznych” wypadnie mówić na innym miejscu.

Śniadeckiego szkoła była liczną, a dobrą, lecz natrafiła na fatalne okoliczności po roku 1831. Dopiero na emigracji, zjawia się pierwszy wybitny specjalista do chemii organicznej, Filip Walter (1810-1847). Odkrył on 21 połączeń organicznych, a z ropy

naftowej wydzielił już 1840 roku węglowodory.

„W Polsce w środku wieku XIX panował smutny stan nauk doświadczalnych, graniczący niemal z zupełnym zastojem umysłowym, podczas gdy w cywilizowanych krajach ościennych Zachodu odbywał się wtedy bardzo żywy rozwój tych nauk. U nas w Polsce dopiero w r. 1862 w Szkole Głównej warszawskiej wznowione zostały studia uniwersyteckie w języku ojczystym. Wybija się natenczas Jakób Natanson (1832-1884), zasłużony badaniami nad mocznikiem, nad oznaczaniem gęstości pary itd.; on pierwszy zwrócił uwagę na powstawanie z analizy barwnika purpurowego. Szkoła Główna rozpowszechniła skutecznie popęd do wiedzy, ale chemicy polscy musieli szukać sobie miejsca za granicą.

Dopiero gdy w Galicji przywrócono język polski uniwersytetom, wszczął polskie wykłady na nowo Bronisław Radziszewski (1830-1914). Stwarza pierwszą co do czasu w Polsce pracownię chemiczną w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, to znaczy pracownię, która staje się zarazem szkołą i warsztatem u nas w kraju do samodzielnych badań naukowych”. Od niego wyszły pierwsze fundamenty stereochemii. Uczniów wydał „całe zastępy”.

Kraków wślawili Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, którzy skroplili i zestalili własnymi przyrządami szereg gazów w najtrudniejszych warunkach nieprawdopodobnie ubożuchnej pracowni. Obok nich „zajaśniały na widowni nauki światowej silnym blaskiem” cztery jeszcze imiona:

Marceli Nencki (1847-1901) wniknął w istotę chemicznych procesów życiowych; odznaczył się studiami nad barwnikami krwi, nad gnilnym rozkładem białka;, a wspólnie z J. Zaleskim odkrył przeznaczenie wątroby. „Liczba własnych jego publikacji dochodzi do 150, a komunikaty bezpośrednich jego uczniów i współpracowników sięgają ogromnej liczby 440. Olbrzymi dorobek naukowy Nenckiego, imponujący rozmiarami i znaczeniem, wydali pod postacią zbioru prac wdzięczni jego uczniowie M. Sieber i J. Zaleski w r. 1904. Są to dwa tomy okazale, liczące niemal 2.000 stron druku, zatytułowane: Opera omnia. Trzeba by kilku stronic druku, żeby wyliczyć suchy tylko rejestr jego odkryć w zakresie chemii organicznej. Monachijski profesor M. Hahn pisał po przedwczesnej jego śmierci:

„Rzadko kiedy chemia i medycyna w równej mierze miały okazję do opłakiwania straty męża, którego praca całego życia położyła kamienie węgielne i wbiła słupy drogowe w dziedzinie pogranicznej tych dwu wielkich odłamów wiedzy”. Ale dla tego olbrzyma nauki nie było w Polsce niewłasnowolnej stosownego miejsca. W Bernie szwajcarskim utworzono dlań specjalną katedrę chemii fizjologicznej, a w roku 1891 stworzono dla niego jeszcze „odpowiedniejsze warunki dla rozwoju szeroko zakrojonych pomysłów naukowych” w Instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu...

Leon Marchlewski wsławił się odkryciem jednakowego pochodzenia chlorofilu i hemoglobiny (zielen roślinna a krew zwierzęca). Zajęty tym, od r. 1895, otrzymawszy następnie katedrę w Krakowie, ściga! do swej pracowni współpracowników zewsząd, nawet z Ameryki. Stanisław Kostanecki (1860-1910) w Bemie szwajcarskim rozwijał swoją teorię barwników i przysporzył chemii organicznej około dwu tysięcy nowych związków.

Czwartą w tej czwórce wielkich imion jest Maria ze Skłodowskich Curie, współpracowniczka swego męża przy odkryciu radu, następnie również samodzielna pracownica, zażywająca zasłużonej europejskiej sławy.

Jej imieniem wkraczamy w dziedzinę chemii fizycznej. Od Jędrzeja Śniadeckiego posiadała ona zawsze licznych pracowników Polaków, rzadko jednak mogących znaleźć w Polsce dobre do pracy warunki. Niejedno odkrycie przypada tu polskiej pracy. „Obecnie przeżywamy okres odrodzenia atomistyki, które się dokonało na tle z jednej strony badań teoretycznych z zakresu fizyki molekularnej, w czym duży udział przypada naszemu nieodżałowanemu prof. Marianowi Smoluchowskiemu (1872-1917), a z drugiej strony na tle badań doświadczalnych w dziedzinie radiologii i fizyko-chemii koloidów”, w czym polskie badania tworzą również część niepoślednią.

Niemają i wcale nielekki jest też dorobek nasz ostatniej doby, przy coraz liczniejszych szeregach pracowników, którym otwierają się wreszcie i jakieś warsztaty naukowe w kraju. Zamiast wymieniania licznych nazwisk, zwrócimy uwagę na coś ze statystyki naukowej. Oto obliczono (J. Zawidzki), że w latach 1901 do 1908 ogłosiło 600 polskich chemików 2070 przyczynków z przeróżnych działów chemii; na każdy rok

przypadało wtedy przeciętnie 259 publikacji. Z tego ogłaszano w języku polskim mniejszą zaledwie połowę, bo tylko 43%. Przyczynków doświadczalnych napisano w owym siedmioletnim okresie około 1700, z czego 35% wykonanych było w pracowniach zachodnioeuropejskich, w rosyjskich nieco ponad 15%, a w Galicji i w Kongresówce razem w sumie połowa. Cyfry wymowne.

W zakresie botaniki i zoologii zaczynają się oryginalne badania w Polsce od drugiej połowy XV wieku, a mianowicie od zestawienia przez Jana Stańkę flory i fauny krajowej: 523 roślin, a zwierząt 219 – ilość przechodząca, i to niezmiernie, wszelkie inne katalogi średniowieczne. W XVI w. powstał szereg zielników polskich, ale oryginalnym jest wśród nich tylko Zielnik Marcina z Urzędowa z połowy XVI wieku. Drugim oryginalnym dziełem przyrodniczym jest „Myślistwo ptasze” Mateusza, Cygańskiego (obejmuje 136 gatunków łownych).

Uniwersytet Jagielloński posiadał jeden z pierwszych katedr botaniki, z zobowiązaniem profesora do nauczania w polu i ogrodzie (1602). Pierwszym profesorem był Szymon Syreński, którego Zielnik liczy przeszło półtora tysiąca stron folio. Warszawski ogród botaniczny jest najstarszy na północy Alp (około 1640), a katalog jego ogłoszono w r. 1652. W Wilnie urządzono ogród botaniczny w r. 1781, w Krakowie we dwa lata potem.

„Chwałą Polski XVIII w. jest ksiądz Krzysztof Kluk”. autor trzypięciotomowego dzieła „O roślinach” i czterech tomów „O zwierzętach”, które wydał w ciągu lat pięciu 3.300 stron druku. „Dyletant nieszczerze zdolny, ale rozsądny i systematycznie pracowity”, który „czyniąc zadość ogólnym potrzebom czasu, trafiał łatwo stylem trochę gawędziarskim do ludzi nawet mniej wykształconych”. Na zlecenie Komisji Edukacyjnej ułożył też podręcznik szkolny, w którym na wyraźne żądanie Komisji trzymać się musiał systemu naturalnego, a nie Linneusza. Inicjatorem tego był Paweł Czempiński, autor pierwszej po polsku napisanej zoologii. „Świadczy to, jak szerokiego horyzontu był umysł Czempińskiego, że w czasach, gdy Niemcy uwielbiali Linneusza i uważali go za bożyszcze, on trafnie uznawał rację podwójnego nazywania żywności, ale nie uznawał sztucznego systemu za co innego jak za dogodność w oznaczaniu”. Ksiądz zaś Kluk zabrał się jeszcze

do napisania flory polskiej, co też wyszło drukiem w latach 1781-1785 w trzech tomach pod tytułem Dykcjonarza roślinnego, ale z systemem Linnego. Dzieło to posiada wielkie zalety, a współcześni nie mieli dość słów pochwały.

W kilka lat wyszła Flora Litwy księdza Jundziłła (w Wilnie 1791), gdzie skrytopłciowe opracowane są samodzielnie. Tenże napisał też „Początki Botaniki”, „w których fizjologia zajmuje poczesne miejsce”. Pisał też zoologię. Wybitniejszym był Jan Wolfgang, od 1828 r. profesor w Wilnie, a jego uczeń Stanisław Górski badał dokładniej od wszystkich florę i faunę litewską „na podstawie nowszych zapatrywań na granice gatunku”.

W Warszawie działali botanik Michał Szubert, który miał wielu uczniów, i zoolog Feliks Jarocki; ten uczniów miał niewielu, ale wśród nich Antoniego Wągę, „który do późnej starości był w Królestwie najwybitniejszym reprezentantem tej nauki”. Nie brakło tam poważnych biologów ani po zamknięciu uniwersytetu, ale największej stawy dorobił się rodak z prowincji, która nigdy nie posiadała uniwersytetu. Wielkopolanin Leszczyński zasłynął po roku 1848 odkryciem rodnia paproci.

Sporo prac wybitnych, zaczętych jak najlepiej, nie zdołano doprowadzić do szczęśliwego końca. Przez skasowanie liceum krzemienieckiego przypadła np. wielka praca zbiorowa, do której wezwano wszystkich podwładnych uniwersytetowi wileńskiemu nauczycieli przyrody, ażeby pod przewodem profesora krzemienieckiego, Wilibalda Bessera (krakowianina) opracować florę „Krajów Zabrzanych”. Nie zdołał też ogłosić dorobku swego życia Hiacynt Łobaczewski, przygotowujący systematycznie geografię roślinną Polski. Nastąpiły najtrudniejsze dla nauki polskiej czasy. Nie brakło jednak chętnych. We Lwowie działał i zostawił po sobie całą szkołę przyrodników Aleksander Zawadzki. Stanisław Pietruski utrzymywał swoim kosztem i z wielkim nakładem pracy aż do roku 1848 w Podhorodcach w stryjskim menażerii ssaków, ptaków i gadów. Włodzimierz Dzieduszycki (zm. 1861), zebrałszy ogromne zbiory przyrodnicze, założył we Lwowie i ubezpieczył materialnie „Muzeum Im. Dzieduszyckich”. Najwyżej stanęła w owych czasach ornitologia, reprezentowana przez Kazimierza Wodzickiego i Taczanowskiego.

Tu należy jeszcze wspomnienie „jednego z najznakomitszych synów Polski”. Leon Cienkowski, warszawianin (1822-1887), profesor uniwersytetu w Petersburgu, powołany do Szkoły Głównej, nie zdążył ani objąć wykładów, przeniósł się do Odessy, potem do Charkowa. „Był otoczony taką czcią jako uczonego, jako profesora i jako człowieka, że był honorowym członkiem prawie wszystkich uniwersytetów rosyjskich. Był to badacz pierwszorzędnej miary. Zajmował się niższymi organizmami. Grzyby, glony, monady, wymoczki, noktyluki, bakterie, śluzowce – oto świat jego badań, Można najogólniej powiedzieć, że cały dorobek naukowy Cienkowskiego rozszerzy znakomicie współczesne pojęcie o pierwotniakach. Przez dorobek ten nabrano przekonania, że wszelkie próby przeciągania granicy między roślinami a zwierzętami będą zawsze sztuczne”. On też przyczynił się walcnie do wykazania, że „nie ma różnicy między sarkodą a protoplazmą i że w plazmie rozgrywają się wszystkie zjawiska życia”. Niestety, ten największy uczonego polski swego czasu, nie miał dla siebie miejsca w Polsce, uczniów nie mógł pozostawić, nie wytworzył szkoły.

Epokę stanowi krótka działalność warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie umiano pielęgnować naukę dla nauki. „Można powiedzieć, że rozwój nowoczesny” polskiej nauki datuje się od chwili, skoro jej wychowawcy, albo już ich uczniowie, zajęli się pracą naukową”. Była już mowa przedtem o Godlewskim i jego uczniu, Jentysie. Znane były i zagranicą Edwarda Janczewskiego wielostronne prace, zwłaszcza fundamentalne nad budową korzenia. Ale rozdział cały w historii botaniki – i nie samej tylko botaniki – stanowi Józef Rostafiński. Liczne jego monografie i odkrycia, historia hodowli roślin w Polsce, jego „Historia naturalna wieków średnich”, prace nad fizjografią okresu przedhistorycznego w Polsce i oznaczenie z tego pierwotnych siedzib Słowian, wreszcie jego botanika szkolna, (pierwsza w Europie na podstawie biologicznej), to tytuły, zasługi niemałej i zarobionej dobrze sławy. Zdolność żywa, umysł nadzwyczaj twórczy, podał nauce niemało nowego materiału i nowych pomysłów. W r. 1905 „podał nową teorię powstawania istot żywych, w której dowiódł po raz pierwszy, że wszystkie organizmy są pstre, i wyraził mniemanie, że zapłodnienie wyrównywa. te pstroczny, utrzymując gatunek w granicach pewnych wahań”.

Niemalym imieniem w europejskim świecie naukowym cieszyli się Franciszek Kamiński i Władysław Rothert, dzięki swym odkryciom biologicznym, anatomicznym i fizjologicznym w zakresie botaniki. Pierwszy z nich był docentem lwowskim, ale profesorami byli obydwaj w Odessie; Rothertowi powiodło się na starsze lata przenieść do Krakowa.

„Marian Raciborski (1863- 1917) był poza Nenckim i Curie-Skłodowską najwybitniejszym polskim przyrodnikiem od połowy zeszłego wieku”. Wsławił się najpierw swymi studiami na Jawie (choroba tytoniu), następnie monografiami z wielu działów, szczegółowym zbadaniem wzrostu „krokowego” komórki. „Nazwisko jego było dobrze znane wszystkim botanikom, anatomom, fizjologom, morfologom, systematykom i paleontologom”. Zorganizował doskonale zbiorowe prace wstępne do wydania ilustrowanej flory polskiej, rozporządzając istną rzeszą uczniów i współpracowników; powstał w ten sposób szereg wybitnych prac, wytworzył się ożywiony ruch naukowy. On też jest twórcą pierwszego w Polsce instytutu botanicznego przy uniwersytecie Jagiellońskim.

Z uczniów jego najwybitniejszy i na katedrze w Krakowie następca, W. Szafer, ma za sobą liczne prace z dziedziny głównie systematyki i geografii roślin. Kiedy w r. 1914 znaleziono w Staruni wykopalisko mamuta i nosorożca, i wysnuwano z tego wnioski o zaciągu tundr aż na Podole zachodnie, okazało się dzięki wiedzy Szafera, że zwierzęta owe „żyły w dąbrowie, podobnej do dzisiejszej podolskiej”. Szafer wykazał też zasługi Wincentego Pola jako geografa roślin, że „wyprzedził panujące dziś poglądy o zbiorowiskach roślinnych o pół wieku”.

W drugiej połowie XIX wieku nie było takiego działu botaniki, ani takiego w niej prądu naukowego, iżby przy tym nie współdziałali polscy uczeni; w anatomii, fizjologii, w systematyce, fenologii, paleontologii, itd. Podobnie też do każdego wielkiego problemu zoologicznego dorzuciła nauka polska poważny dorobek własny, a w niektórych działach otworzyła nowe drogi lub uporządkowała dawniejsze.

Remak (pochodzący z Warszawy i pierwotnie piszący po polsku) wykazał, jak się komórki mnożą; w warszawskiej pracowni Hoyera wykazano najpierw niezmiennosc

cech komórek, których właściwości badali dalej Hoyer i Kostanecki. Specjalne badania Maziarskiego- go, Godlewskiego młodszego i Michała Siedleckiego są dobrze zapisane w historii rozwoju nauki: podobnie prace z anatomii mikroskopijnej Hoyera starszego i młodszego, Maziarskiego, Nusbauma, Szymonowicza. Była już wzmianka, o odkryciach ' światowej sławy Cienkowskiego co do pierwotniaków; w tymże zakresie odznaczyli się następnie Wrześniewski, Siedlecki, Janicki. Badania nad dziedziczeniem cech i zapłodnieniem posunęli znacznie naprzód polscy uczeni, zwłaszcza K. Kostanecki, Godlewski jun., L. Sitowski. Nie brak nam prac samodzielnych około postępu mechaniki rozwojowej (Godlewski jun., J. Nusbaum, St. Kopeć), ani też w zakresie embriologii i anatomii porównawczej.

Pośród systematyków polskich byli zażywający światowej sławy ornitolog Taczanowski, pajęcznik Wł. Kulczyński, ichtiolog Nowicki, do skorupiaków Garbowski, i wielu innych. Faunistyka polska rozwija się doskonale, w czym największa zasługa Ant. Wierzejskiego, organizatora tej pracy niestrudzonego. Pracował też poza Polską cały szereg polskich pracowników na niwie zoologii; znać ich dzieła po całej kuli ziemskiej.

Przebiegłszy sumarycznie dziedzinę właściwych nauk przyrodniczych, należy stwierdzić, żeśmy zdatność swą do nich okazywali tak wcześnie, iż wcale nie jesteśmy w tym dziale spóźnionymi w zestawieniu z sąsiadami zachodnimi. Co ważniejsza, nie brak odkryć, świadczących o wybitnym pożytku polskiego współpracownictwa na tej niwie. Nie wynieśliśmy się jednak wysoko przez cały niemal czas Polski niepodległej; dopiero za reformy Stanisławowskiej współpracownictwo nasze staje się wybitniejszym przedtem można orzec, jako poprzestawaliśmy na, udziale ilościowo i jakościowo miernym, jakkolwiek nigdy nie byliśmy nieobecni aż do czasów upadku kultury w okresie saskim. Nastąpił jednak raz jeszcze upadek niemal zupełny, a to w połowie XIX wieku. Potem byliśmy' świadkami szybkiego odrodzenia, wzrostu i rozkwitu, w niejednym dziale nawet triumfu polskiej twórczości w zakresie tych nauk, a jednak dalecy jesteśmy od możliwości, żeby dać nauce tyle, na ile nas stać w miarę zdatności naszej, bo niedostatek warsztatów pracy wiąże nam ręce na każdym kroku.

Dodajmy jeszcze przegląd najtreściwszy dziejów sztuki lekarskiej w Polsce. Nauka

to niewątpliwie przyrodnicza, ale kierująca się metodą nieco odmienną, a przy tym w lwiej części nauka stosowana; dać jej więc miejsce nie w naukach przyrodniczych, lecz obok nich.

W ruchu naukowym medycznym brali Polacy udział już w wiekach średnich, jak o tym świadczą polskie rękopisy średniowieczne treści medycznej po różnych księgozbiorach europejskich; w Bibliotece zaś Jagiellońskiej w Krakowie znajduje się 97 takich rękopisów z wieków XIV i XV.

Dominikanin polski, Nicolaus Polonus, doktor medycyny z Montpellier, „zuchwały nowator w terapii lekarskiej”, zaczyna cały korowód uczonych lekarzy w czasach, „w których wykształceni lekarze bywali zarazem jedynymi niemal przedstawicielami nauk matematycznych i przyrodniczych”. Aimericus Polonus, podobno krakowianin, doktoryzuje się z medycyny w początkach XIV wieku w uniwersytecie padewskim.

Wybitną rolę w dziejach nauki odegrał Marcin Bylica z Olkusza, lekarz nadworny Macieja Korwina. Najznakomitszy nasz lekarz z czasów Odrodzenia, Józef Struś, padewski doktor, wykładał tamże przez 10 lat, przekładał Galena z greczyzny na łacinę. Był jakiś czas lekarzem Izabelli Zapolskiej, leczył Solimana II w Carogrodzie, lecz odrzucił propozycję by zostać lekarzem nadwornym sułtana, a otrzymawszy podobne wezwanie od Filipa II, nie pojechał nawet do Madrytu, osiadł w Poznaniu, gdzie też dokończył żywota w r. 1568. Zasłużył się nauce dziełem o tętnie.

Żaden już potem z licznego grona polskich lekarzy XVI, ni następnego XVII wieku „nie wywarł wyraźnego wpływu poza granicami swej ojczyzny”. Dopiero na schyłku XVIII wieku „zaczyna się ponownie, przerwany na Strusiu, szereg wielkiej miary uczonych medyków polskich, którzy pracami swymi wzbogacili nie tylko naukę polską, lecz i zagraniczną”. Zaczyna ten nowy szereg Jan Śniadecki, który prowadził w Wilnie klinikę chorób wewnętrznych. Inny profesor wileński Bojanus celował w badaniach anatomii porównawczej (dzieło jego „poświęcone anatomii żółwia uchodzi za klasyczne”); Józef Frank wydaje 14-tomowy podręcznik medycyny wewnętrznej.

Z pośród uczonych krakowskich odznaczył się Ludwik Teichman-Stawiarski, pierwszorzędny anatom i odkrywca kryształków heminy, tudzież Józef Dietl, prawdziwy

chorąży nowej szkoły medycznej. W dziełach jego „jest i płomienny zapał kaznodziei, stojącego w obronie prawdy i święcie wierzącego w jej zwycięstwo; i nader cięte, lecz ściśle logiczne rozumowanie przenikliwego krytyka; i doświadczenie obfite arcytalentowanego lekarza”. Jego medycyna opiera się całkowicie na naukach przyrodniczych. Znaczenie Dietla w historii medycyny uznawane * jest powszechnie; zwłaszcza epokowe ma znaczenie jego dzieło, zadające- ostatni cios metodzie puszczenia krwi. Pozyskał sobie nadto niespożyte zasługi pracą około zdrojowisk krajowych.

Warszawa szczeni się Szokalskim, Hoycrem, Chałubińskim. Wiktor Szokalski, znakomity okulista, organizator wielu instytucji lekarskich, płodny pisarz pozyskał sławę w Polsce i we Francji. Henryka Hoyera „prace z zakresu histologii stanowią rzetelny dorobek naukowy”. Doskonały profesor, wykształcił szereg uczniów, pracowników naukowych; jeden z nich Wacław Mayzel zasłużył się odkryciem tzw. kariokinezy (dzielenie się jąder w komórkach). „Znacznie mniej znaną zagranicą, aniżeli Hoyer, jest jeden z największych lekarzy polskich Tytus Chałubiński. Uczony to dotychczas niedoceniony, dlatego zapewne, że swoje prace naukowe z dziedziny medycyny wydawał jedynie w języku polskim. Należał do tego typu uczonych, którzy wywierają na naukę wpływ i bardzo daleko sięgający i bardzo długo trwający”. Jego „Metoda wynajdowania, wskazań lekarskich” stanowi zasadnicze wzbogacenie nauki.

Należy go również uważać za inicjatora kierunku filozoficznego w medycynie polskiej. Przedstawicielami głównymi tego byli Henryk Hoyer, Władysław Biegański i Wiktor Biernacki. Kierunek ten na wskroś oryginalny. Organem jego przez lat z górą 10 było czasopismo „Krytyka Lekarska”, wydawana i redagowana przez Zygmunta Kramsztyka, również jednego z przedstawicieli tego kierunku. Podobnego czasopisma, poświęconego krytyce lekarskiej, historii medycyny i roztrząsaniu zasadniczych zagadnień nauk biologicznych i lekarskich, nie posiada dotąd żadne piśmiennictwo medyczne, prócz polskiego. Kierunek ten medycyny polskiej z końca XIX i początku XX wieku nie jest jeszcze dostatecznie znany zagranicą, aczkolwiek zaczyna tam powoli zyskiwać sobie prawo obywatelstwa. Jedno z dzieł Biernackiego pt. „Istota i granice wiedzy lekarskiej” zostało już przełożone na język rosyjski i niemiecki; także jedno dzieło

Biegańskiego, gruntownie opracowana „Logika medycyny”, która wyszła w dwóch polskich wydaniach, doczekała się przekładu na język niemiecki.

Z lekarzy polskich, pracujących stale zagranicą, odznaczył się Adam Raciborski, osiadły w Paryżu, którego dzieło o auskultacji i perkusji! (1835) wyszło w dwóch wydaniach francuskich, a, nadto przełożone jest na języki; niemiecki, rosyjski, grecki i dwukrotnie na angielski. Seweryn Gałęzowski, wsławiony okulista paryski, napisał bardzo wiele prac naukowych i wydawał czasopismo specjalne. Wszechświatowej sławy używał Robert Remak, sławny embriolog i badacz drobnowidowej budowy nerwów (jedną z prac histologicznych ogłosił po polsku). Rozwój psychiatrii w Rosji pochodzi od dwóch polskich uczonych, Balińskiego i Mierzejewskiego.

Medycyna kwitnie w Polsce krótko: praktyczna i teoretyczna pogrąża się we śnie od trzeciej ćwierci XVI w. do końca XVIII. Jakby hołdowała zasadzie „nic albo wszystko”. Dokonuje w obydwóch okresach rozkwitu odkryć pierwszorzędnych, wskazując nawet nowe kierunki nauce, wzbogacając ją nowymi działami.

3. G e o g r a f i a .

Na pograniczu nauk humanistycznych a przyrodniczych stoi geografia. Źródłem jej pierwszym podróżnictwo, od niego więc zaczynajmy. Najsłynniejszą podróżą wieków średnich i najdonioślejszą była misja od papieża do Dżingishana w Karakorum, sprawowana przez dwóch Polaków: Jana de Plano-Carpino, który „zwany jest w liście, pisanym do Ludwika Świętego, Jean Carpin Polonois, a żywot jego jest pomieszczony w Elenchus Sanctorum Regni Poloniae”, tudzież towarzysza jego Benedykta, zwanego zawsze i stale „Polonus”. „Ich opis podróży jest pierwszym wielkim dokumentem geograficznym odkrycia stepowych i górskich wnętrzy Azji przez Europejczyków... aż do granic Kitaju-Chin”. Jan z Kolna w ziemi chełmińskiej, odkrywa w r. 1476 Labrador, kraj Baffina, cieśninę Hudsonską, służąc królowi duńskiemu Krystynowi II. Odkrycia Kolumba i Vespucciego skreślone są dobrze na tzw. globusie Jagiellońskim, pochodzącym mniej więcej z roku 1510, przechowywanym w Bibliotece Jagiellońskiej. W r. 1512 wychodzi w Krakowie „Introductio in Ptolomei Cosmographiam” Jana ze Stobnicy, „jedno

z pierwszych dzieł naukowych, w którym podano rozległe wiadomości o ziemiach nowych”.

Pierwszym naukowym geografem polskim, jest jednakże Długosz, którego „Chorographia Regni Poloniae” jest' dokumentem pierwszorzędnej wartości w nauce światowej, największym w nauce polskiej. Dokładniejszego obrazu ziemi, a zwłaszcza hydrografii ziem polskich nie znajdujemy w literaturze polskiej aż do czasów Staszica z początkiem XIX wieku. A potem „Tractatus de duabus Sarmatiis” Miechowity z r. 1517 „wzbudził polemikę i zaniepokojenie u współczesnych, a podziw u potomnych”, sprawiwszy rewolucję w poglądach geograficznych, gdy wbrew Ptolemeuszowi głosił, że Dniepr, Dźwina, Don i Wołga wypływają nie z Riphæi Montes, lecz z jezior w krainie „płaskiej i moczarowatej”. Dzieło Miechowity miało też 10 wydań łacińskich, 4 włoskie, 1 niemieckie, prócz polskiego przekładu.

Zmysł podróżniczy posiadali Polacy. Można się powołać w dalszym ciągu na czterech Łaskich, z których dwaj dotarli do Ziemi Św., dwaj podróżowali wiele po Zachodzie. Hetman Tarnowski bywał we Włoszech i w Grecji, w Palestynie i w Egipcie, w Portugalii, w Afryce północnej. Strykowski znał kraje moskiewskie, inflanckie” szwedzkie, Turcję i Grecję, robiąc wszędzie notatki. Marcin Broniewski wydał w r. 1595 „Opis Tartarii Perekopskiej”, „pierwszy opis geograficzny tych dziedzin, długo później, a zwłaszcza przez sławnego angielskiego podróżnika Clarke’go z respektem cytowany”. Z wieku XVII i XVIII posiadamy szereg opisów podróży po Azji i Afryce północnej. Słynie Krzysztof Arciszewski, zdobywca Brazylii w służbie holenderskiej (zm. 1656). Krzysztof Pawłowski wojował w Mozambiku i w Indiach; w portugalskiej służbie. Marek Jakimowski, jeniec turecki, uciekły z 212 towarzyszami, zorganizował ich w śmiałych żeglarzy, „siał postrach po wybrzeżach tu-reckich aż po Aleksandrię i Rodos; wylądował w Messynie wzbudzając wśród współczesnych podziw i uznanie”.

Pierwszym kartografem polskim był Bernard Wapowski (1526). Za Zygmunta Augusta wydano instrukcję pomiaru całego państwa. Z tychże czasów pochodzą mapy Gródeckiego, Pograbskiego, Strubicza, Makowskiego, głośne w swoim czasie. Cudzoziemcy wykonywali całe atlasy na zlecenie wielmożów (Beauplan, Zannoni).

Miarą kultury kartograficznej jest udział kart szczegółowych w produkcji kartograficznej; dla uproszczenia sądu przeciwstawiamy w tym celu mapy całej Polski, jako mapy ogólne, mapom dzielnicowym i mapom służącym celom specjalnym jako dzieła szczegółowe. Otóż na dzieła szczegółowe kartograficzne przypadało w pierwszej połowie XVI wieku 33% ogółu produkcji, 48% na drugą połowę tego wieku, 67% na pierwszą, a 48% na drugą połowę XVII wieku; 20% na pierwszą, a 42% na drugą połowę XVIII wieku.

A oto wymowny szczegół: w r. 1770 wyszły dwa wielkie specjalne atlasy ziem polskich, Glassbacha w Berlinie i Kantera w Ratyzbonie – „oba z inicjatywy pruskiej”, pierwszy na życzenie króla pruskiego Fryderyka, drugi brata królewskiego, księcia Fryderyka Henryka Ludwika. Obie mapy... stały się podstawą kartograficzną. podług której przeprowadzono pierwszy rozbiór Polski”. Nasz atlas Zannoniego, wydany staraniem księcia .1. A. Jabłonowskiego, wyszedł w dwa lata później. W r. 1790 Jan Śniadecki i Feliks Radwański wnosili do rządu memoriał w sprawie sporządzenia wielkiego, bardzo specjalnego atlasu. Ale arcydziełem prawdziwie kartografii jest przygotowana przez rząd Królestwa Kongresowego, wykonana prawdopodobnie przez Prądzyńskiego, Stryjeńskiego i Juliusza Kolberga „Topograficzna Karta Królestwa Polskiego”, wydana jednakże dopiero w r. 1839 pod egidą rosyjską; ona to powtórzoną została jako „Kartę von West-Russland” przez niemiecki sztab generalny podczas wojny powszechnej (325 sekcji w podziałce 1 : 100.000). W Wielkopolsce wydawano kilka dzieł większych kartograficznych, godnych uznania. „Ostatnim jednak dzieleni czysto kartograficznym polskim. na większą zakrojonym skalę, była jenerała Wojciecha Chrzanowskiego Mapa dawnej Polski, wykonana w podziałce 1 : 300.000, a obejmująca 48 wielkich arkuszy (Paryż 1852); była ona wojenną mapą powstania styczniowego”. Jest to „unicum swego rodzaju”, boć powstało pracą prywatną i środkami prywatnymi w czasie, kiedy tego rodzaju prace były już w całej Europie „zmilitaryzowane i upaństwowione”. Nie brakowało nam dalej znakomitych kartografów, ale musieli szukać stanowisk w służbie państwowej rosyjskiej (Franciszek Armiński, Adam Prażmowski i wielu innych), wykonując dzieła pierwszorzędnej wartości.

Z kulturą geograficzną całego świata związane są imiona Kościuszki i Pułaskiego. Najwyższy szczyt górski w Australii zowie się od imienia Naczelnika, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej jeden powiat i dwa miasta w stanie Missisipi. Łatwiejsze dla cudzoziemców do wymówienia nazwiska Pułaskiego stało się nazwą geograficzną siedmiu powiatów w rozmaitych stanach, i prócz tego mnóstwa miast, fortów i potoków. W archipelagu kolumbijskim na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki jest wyspa Kościuszki; obok zaś wyspa Zaremby i Wojewody. Na morzu Żółtym mamy grupę wysp, zwaną archipelagiem Potockiego na cześć Jana Potockiego, uczonego orientalisty, podróżnika pierwszorzędnego, a wielkiego mecenasa nauk (podróżował w latach 1778-1805). Część gór Dauryjskich w kraju Zabajkalskim zowie się grzbieciem Czerskiego na cześć Jana Cz., „którego studia geologiczne drogi pocztowej od Uralu do Irkucka stały się podstawą naszej wiedzy w tym kierunku”. Góry między deltami Leny i Oleneku zowią się grzbieciem Czekanowskiego, na cześć Aleksandra Cz., którego badania „przedstawiają jedną z najwspanialszych kart historii odkryć geograficznych” (1868-1875).

Wiele zdziałała dla geografii i nauk pokrewnych polska „diaspora” porozbiorowa, kiedy obie półkule zapełniły się rozbitkami polskimi. Dziennik podróży brygadiera wojsk polskich Józefa Kopcia, wziętego do niewoli pod Maciejowicami, zesłanego na Kamczatkę, zaczyna ten arcydługi szereg dzieł ludzi, którzy w najcięższej pogrążeni niedoli, pragnęli być pożytecznymi. Możemy tu przytoczyć tylko najważniejsze nazwiska, dla przykładu. Tadeusz Maszewski „próbuję bodaj pierwszy (1812) syntezy geograficznej” Sybiru. Odtąd iluż polskich pracowników na syberyjskiej ziemi wygnania! „Bogaty materiał geograficzny i etnograficzny, zawarty w powodzi wspomnień i przeżyć osobistych, nie został dotychczas dla nauki należycie wyzyskany”. Drugie tyle pracy polskiej wchłonęły w siebie ziemie kaukaskie. Nie brakło wypraw polskich do Afryki i Australii (Strzelecki, Korzeliński, Wiśniowski, Malsburg).

Szereg znakomitych podróżników polskich XIX w. rozpoczyna ów Jan Potocki, znawca całego Starego Świata. Z licznych jego dzieł największą wartość naukową posiadające „Voyage dans l’empire de Maroc” (1792) zdumiewa bystrością spostrzeżeń

geograficznych. Wystarczy przytoczyć określenie Marokka, jako rozgałęzień Atlasu, a wysp Kanaryjskich, jako jego przedłużenia". Sławny „Farys” Wacław Rzewuski „zdobył sobie sławę trwałą w nauce organizacją badania naukowego Wschodu, ku czemu służyło założone przez niego pismo „Mines d’Orient”. wydawane w Wiedniu w latach 1809-1818. Wspaniała ta publikacja obejmuje sześć tomów in folio i mieści w sobie ze wszystkich zakresów nauk, odnoszących się do Wschodu, oryginalne rozprawy i komunikaty około 180 uczonych wszelkich narodów”. Córka Jana Potockiego Edwardowa Raczyńska towarzyszy mężowi w podróżach (głównie po Turcji) i ilustruje jego dzieła. Adam Sierakowski wydaje najlepsze dzieło o krajach berberyjskich (1872). Wiadome są zasługi Sieroszewskiego około badań jakuckich, a Bronisław Piłsudski był specjalistą do Ainów, najbardziej upośledzonego podobno plemienia kuli ziemskiej, u którego, polski uczone stwierdzi jednak... zawiązki poezji.

Pamiętamy z lat młodych wyprawę afrykańską Stefana Rogozińskiego, pierwszego badacza Kamerunu. „Jaką rolę byłby odegrał Rogoziński w społeczeństwie, w którym, jak zwykle, ono a państwo, to jedno bywa?” Wszak ten warszawianin zajmował Kamerun przed Niemcami. Z innej znów strony podkreśla nam sprawę własnego państwa los zbiorów A. Rehmana, zakupionych do Zurychu i Berlina, podczas gdy nawet dublety dostały się do wszystkich ważniejszych muzeów Europy – prócz polskich. A były to zbiory z podróży naukowych z nad morza Czarnego, z Krymu, Kaukazu, z Afryki południowej. „Geobotaniczne wyniki wszystkich podróży Rehmana są pierwszorzędnej wartości, dla obszarów afrykańskich do dnia dzisiejszego podstawowe”. Jan Czekanowski zbadał wschodnią część Afryki środkowej pod względem antropologicznym. Antoni Jakubski zorganizował w latach 1909-10 dwie wyprawy do Afryki wschodniej, gdzie wspiął się na Kilimandżaro, najwyższy szczyt afrykański. Ale księciem zaiste podróżników polskich, zrazu poniewolnych, jest Benedykt Dybowski, znakomitość w zakresie studiów nad Azją wschodnią. Zwłaszcza prace jego naukowe nad jeziorem Bajkalskim zasługują na przydomek „wiekopomnych”, bo „stanowią fundament naszej wiedzy” w tym kierunku. Powagą europejską w dziedzinie mongolistyki był Szczepan Kowalewski; Talko-Hryncewicz stał się wyrocznią w zakresie antropologii wschodnio-azjatyckiej.

„Ile myśli polskiej, ile znojów i trudów polskich a bezimiennych zasług i- chwały kryje się w obfitych plonach, które zbierał Oddział kartograficzny sztabu głównego, albo Komitet geologiczny rosyjski n-a bezbrzeżnych przestworzach azjatyckiej Rosji, któż to zdoła dziś bez gruntownych studiów historycznych ocenić?” Wszakże szef Komitetu geologicznego był Polakiem: Karol Bogdanowicz. „Imię tego wielkiego uczonego jest związane niemal z każdym zakątkiem ziemi od śnieżnych strażnic Indii, Hindukłłu, aż do subarktycznych wulkanów Kamczatki nad Pacyfikiem”. Józef Chodźko określił geodetycznie przeszło 3.000 punktów w Armenii, Persji, Dagestanie i na Kaukazie; on nawiązał sieć triangulacyjną na szczycie Araratu (przeszło 5.100 m.). Podobnie pracował Bronisław Grąbczewski we wschodnim Turkmenistanie i w Tybecie.

„Jedną świetną, iście „promienistą” postacią filomaty Ignacego Domeyki, między polską umysłowością a Ameryką południową nawiązane węzły nie zerwały się do tej pory”. Jego działalność eksploracyjna obejmuje całe Chile. Stał się przy tym dobroczyńcą kraju pod względem oświatowym i ekonomicznym. „Szlakiem Domeyki poszło wielu, a choć żaden z Polaków nie zdobył jego zasług i sławy, niemniej w nauce i gospodarstwie Ameryki południowej imię ich jest zapisane rzetelnie”. Z grona ściśle naukowych badaczy wyróżnili się jeszcze Aleksander Babiński mapą Peru, Hugo Zapałowicz studiami glacialnymi w Andach, Józef Siemiradzki wielostronnymi badaniami w Andach i kraju Pampasów.

„I w rzędzie tych, którzy morzu, wichrom, i lodom polarnym wydzierają tajemnice, znajduje się jedno polskie imię niezwyklej świetności: to Henryk Arctowski”. badacz antarktyczny pełen zasług naukowych, a zarazem powaga w kwestii wahań klimatu.

Nie brak polskiej nauce geografii wybitnych syntetyków. Miejmy na uwadze, że nauka geografii datuje właściwie dopiero od potowy XIX wieku; w Polsce był jednak umysł niepospolity, który o pół wieku, w niektórych rzeczach i więcej, wyprzedziwszy Niemców i Francuzów, uchodziłby za geografii umiejętnej założyciela, gdyby nie to, że będąc Polakiem, popadł w okoliczności, skutkiem których dzieło jego w rękopisie lat 40 przeleżało, on sam zaś nie miał nawet sposobności przedmiotem tym dalej się zajmować. Genialnym tym Polakiem Hugo Kołłątaj. „Pozostawił po sobie tylko jedno dzieło natury

geograficznej, ale też dzieło o wielkim pokroju. Dzieło to pod tytułem nie odpowiadającym treści: „Rozbiór krytyczny zasad historii o początkach rodu ludzkiego”, pisane w latach 1802-1806 w więzieniu ołomunieckim, wydane zostało w trzech tomach sporych z manuskryptu dopiero w latach 1842. Dzieło Kołłątaja jest w istocie wielkim systemem geografii ogólnej, pełnym świeżych i twórczych myśli; dość powiedzieć, że jasno określonym pojęciem czasu geologicznego i analizą procesów geologicznych w świetle sił, działających współcześnie, wyprzedza Lyella, a analizą wpływów środowiska na społeczeństwa daje podwaliny pod system antropogeografii, wyprzedzając tym sposobem nie tylko K. Rittera, ale nawet Ratzla”. W r. 1803 wydał Jan Śniadecki swą „Geografię, czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi”, książkę „nową do dziś dnia”.

Najstarsza katedra geografii utworzoną została w uniwersytecie berlińskim, druga z kolei w Krakowie. Piastował ją Wincenty Pol, który bez porównania bardziej geografem był niż poetą, i zapewne dlatego parał się potem tak wiele rymotwórstwem, bo mu nie dano być geografem. W r. 1848 zajął katedrę, ale „niestety reakcja polityczna w Austrii zdmuchnęła już w pięć lat potem to nowe ognisko i nowy kierunek nauki w Polsce”.

„Ostatnia generacja naukowa na przełomie wieku XIX i XX wydała również cały szereg wybitnych pracowników polskich, czynnych niemal we wszystkich kierunkach nauk geograficznych i pokrewnych. Najnowsze przewroty, dokonywane się w rozmaitych ogniskach nauki światowej, znajdują w Polsce przedstawicieli często prędzej, niż u innych wielkich narodów”. Np. tzw. problem płaszczowinowy z nauki francuskiej wszedł najpierw do polskiej (M. Limanowski, Rabowski, Tołwiński), a teorię geograficznych cykli W. M. Davisa przeschodził do nas jego uczeń i towarzysz wycieczek naukowych, Ludomir Sawicki; podobnie Romer podchwytuje pierwsze ślady opozycji przeciw teorii żłobienia, względnie przegłębienia lodowcowego.

Nie brak również prac i pomysłów swoistych, pełnych inicjatywy naukowej. Zgasły podczas wojny M. P. Rudzki pozostawił obok licznych prac szczegółowych dwa „wspaniałe” podręczniki: „Fizyka ziemi” (1909) i „Zasady meteorologii” (1913), „dzieła pod każdym względem oryginalne, w których nad materiałem opisowym góruje szeroki

horyzont teoretyczny, zabarwiony na każdym niemal kroku twórczą myślą wielkiego badacza”. „Z licznych problemów poruszanych, względnie rozwiązanych przez Rudzkiego, należy podnieść przede wszystkim jego dociekania nad stanem fizycznym ziemi i wnioskami o wieku ziemi, o kształcie ziemi, a w szczególności o geoidalnej deformacji pod wpływem ucisku wielkich lodowców, wreszcie o ruchu falowym skorupy ziemskiej podczas trzęsień ziemi”.

Tu należy też Marian Smoluchowski, zmarły również podczas wojny, największy fizyk polski ze względu na swe studia „o fizycznych podstawach teorii górotwórczych”.

Klimatologiczne studia datują w Polsce już od drugiej połowy XVIII w. „Kraj nasz jest może jedynym w Europie, którego stosunki klimatyczne i geologiczne są w równej niemal mierze znane jak każdego innego kulturalnego kraju i państwa, a jednak niemal bez zupełnego przyczynienia się państwa do tego dzieła”. Stacja meteorologiczna warszawska istnieje od r. 1779, a już 1829 r. wydał Wojciech Jastrzębowski obraz klimatologiczny Warszawy na podstawie spostrzeżeń 50-letnich. Organizowanie prawidłowej sieci meteorologicznej poczyna się u nas w r. 1803. „Jeszcze większe zdziwienie musi wywołać fakt, że w owym czasie rozumiano w Polsce potrzebę górskich i szczytowych, meteorologicznych spostrzeżeń” (Staszic, Szaniawski; stacja na Łysej w paśmie świętokrzyskim 1808).

Nie brak ani w aeronautyce polskiej sławy. Artur Berson, „najśmielszy i najszczęśliwszy aeronauta świata”, który nawet z wysokości 11,000 m. zdołał dostarczać poprawnie spostrzeżeń (inni tracili przytomność wyżej 8.000 m.), autor monumentalnego dzieła „Wissenschaft- Hche Luftfahrten” (Berlin 1899-1900, trzy tomy), który wstawił się swymi „wycieczkami” powietrznymi, w Europie i w Afryce dokonywanymi, miał wprowadzić stację swą stałą w Berlinie, przy tamtejszym instytucie meteorologicznym, niemniej przeto zawsze pamiętał o tym, że jest Polakiem (rodem ze Sącza) i gorącym był patriotą.

W zakresie etnografii staliśmy zawsze w pierwszym szeregu. Pracowników w tej nauce mnóstwo, a szereg długi zaczyna się jeszcze pod koniec XVIII w. Któraż literatura może poszczycić się dziełem takim jak Kolberga „Lud”, obejmujący 35 tomów?

Towarzystwo ludoznawcze lwowskie wydało 18 tomów czasopisma „Lud”; Erazm Majewski wydał w Warszawie 20 tomów „Wisły”.

Ogólny całokształt wiedzy geograficznej o Polsce ujęty jest w bardzo dobrych podręcznikach. W. Nałkowskiego, znakomitego metodyka nauczania geografii, autora „Geografii rozumowanej”, podręcznik pt. „Rys geografii ziem dawnej Polski” (1887); dwutomowe dzieło Rehmana „Ziemie dawnej Polski” (1895, 1904); S. Pawłowskiego „Geografia Polski”, wytrzymałyby najsurowszą krytykę zachodnio-europejskich wymagań naukowych; obok nich I. tom Encyklopedii Polskiej, wydania Akademii Umiejętności, złożony z 31 odrębnych artykułów, oświetla wybornie naszą wiedzę geograficzną i fizjograficzną o Polsce. Ale koroną wszystkiego jest nasz „Słownik geograficzny” (tomów 14 i 2 dodatkowe, Warszawa 1880-1902), wydany szczęśliwie pod redakcją Bronisława Chlebowskiego; dzieło, „o którym tyle na pewno twierdzić możemy, że dużo wielkich i szczęśliwszych narodów może nam go pozazdrościć”.

Statystyka nie jest w Polsce młodszą niż gdzie indziej. Zaczyna się od Staszica książki „Statystyka Polski”; krótki rys wiadomości potrzebnych tym, którzy ten kraj chcą oswobodzić i tym, którzy chcą w nim rządzić” (1807). „Zaprawdę, trudno jest sobie wyobrazić głębszą analizę stosunków, które zachodzą między krajem, jego powierzchnią, zaludnieniem i zasobami, już to dobytymi już to tylko potencjalnymi niż te, którą nam Staszic w swej małej a tak bogatej treści i myślą książce rozwinął”. Odtąd studia statystyczne kwitną długo. W r. 1827 wychodzi „Atlas statystyczny Polski i krajów okolicznych” (Poznań, prawdopodobnie St. Platerra), poczerń następuje cały szereg publikacji statystycznych Wielkiej Emigracji. Podupadła potem ta gałąź nauki, aż za naszych czasów podźwignąwszy się na nowo, wydaje prace pierwszorzędnej wartości. Wyszczególnia się „Zarys metod statystyki” Jana Czekanowskiego (1913), torując „nowe metody” pracy, których stosowanie będzie owocnym we wszelkich gałęziach nauk przyrodniczych i geograficznych

„Rejestr polskiej pracy w dziedzinie nauk geograficznych jest długi i niepośredni treścią. Odkrycia geograficzne terytorialne nie były im obce a nauka geograficzna poczyna się u nas już w wieku XV. Kartografia kwitnie od pierwszej ćwierci XVI w. a w brew

trudnościom zdobywa się kilkakroć na dzieła znakomite. Rozbitki po- rozbiorowi podnoszą wielce stan geografii; często stają się inicjatorami pracy naukowej w danym obszarze. Przedsiębiorczości nie brakowało, ale brakowało sposobności dobrej : to też chodzili. Polacy w obcą służbę, i wsiąkali w obcy ruch naukowy.

Możemy śmiało uważać w tej dziedzinie zdatność naszą za pierwszorzędną, skoro my, nie mający własnej żeglugi pomiędzy częściami świata, otwarliśmy jednak dla nauki niejedną krainę; ściśle badania rozpoczęliśmy nader wczesnie, i to z wynikami pierwszorzędnymi a trwałymi; wreszcie umysłowość polska wyprzedzała wielką reformę geografii przez Richthofena i Rittera, a to w osobie genialnego Kołłątaja. Pierwszorzędna zdolność naukowa roztopiła się w polityce, bo nastał dla Polaków czas, do którego stosować musieli patrioci zasadę, *primum vivere, deinde philosophari*. Wzgląd ten powtarzał się następnie przez cały wiek XIX. Nie wyjątkowy to wypadek, lecz istny symbol, że W. Polowi danym było zaledwie przez pięć lat zajmować się systematycznie geografją. Pomimo wszelkie przeciwności możemy być zadowoleni. Jeżeli w okres odzyskanej niepodległości wniesiemy nieuszczerploną zdatność naszą, a niepodległość dostarczy nam dostatecznie sposobności do systematycznej, spokojnej pracy naukowej, możemy mieć najlepszą otuchę, że zdolności nasze rozwiną się i zabłyszczą nowymi odkryciami naukowymi.

Przejdziemy teraz do nauk humanistycznych, zaczynając je rejestrować od tego, co było w Polsce najpopularniejsze: od łaciny.

4. Nauki humanistyczne.

Na przejściu z wieków średnich do nowożytnych nadaje cechę kulturze europejskiej przemożny prąd umysłowy, zwany humanizmem. Można powiedzieć, że Europa sięgała dotąd, dokąd humanizm (nieznany Rosji); narody zaś liczyły się do współudziału w kulturze europejskiej w stosunku prostym do przejęcia się „prądem odrodzenia”.

W Polsce humanizm jest wcześniejszy, niż w Niemczech, a czerpaliśmy go wprost z Włoch, bez czyjegokolwiek pośrednictwa. Nie darmo Eneasza Siviusa Piccolomini

(późniejszy papież Pius II) w liście do biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1450 wyrażał podziw dla wykształcenia Polaków, wyprzedzających Niemców blaskiem łacińskiej erudycji.

Już w najstarszych kronikach polskich pełno cytat z autorów klasycznych, a poczucie pięknej formy języka łacińskiego znać od początku XV wieku. Bawił w Krakowie w r. 1424 słynny Francesco Filelfo, a w r. 1433 mamy już w krakowskim Jagiellońskim uniwersytecie wykład Bukolik Vergiliusa, objaśnianych przez Grzegorza z Sanoka (późniejszego arcybiskupa lwowskiego). W sześć lat potem przybywa do Krakowa od soboru bazylejskiego Demetriusz z Konstantynopola, i odtąd datuje początek studiów greckich. Z początkiem XVI w. uczą już greki w krakowskich szkołach parafialnych. Od r. 1500 liczą się krakowskie wydania klasyków, szczególnie Cicerona, sławny zaś wydawca wenecki Aldus znajduje w Krakowie stały zbył na swe wydawnictwa greckie.

Przebywali w Krakowie tacy słynni swego czasu mężowie, jak Włoch Filip Buonacorsi Kallimach, Niemiec Konrad Celtes; profesorami byli Ioannes Silwius, Constanzo dei Cancellieri, Piotr Illicinus, Franciszek Stankar z Werony (ten do hebrajskiego); kształcił się zaś w krakowskim uniwersytecie szereg cudzoziemców, którzy mieli potem odegrać wybitną rolę w humanizmie swych krajów (Bebel, Turmair, Rothwyla i i.); tu uczyli się greczyzny Gaspar Ursinus Velius i Szwajcar Rudolf Agricola junior.

Poetów łacińskich wydaliśmy długi szereg, począwszy od Pawła z Krosna, który zjawia się w Krakowie w r. 1500 – aż do Macieja Sarbiewskiego, „wtórego Horacego” (1595-1640), którego „Lyricorum libri IV” liczyły 40 wydań w różnych stronach Europy, a jeszcze na początku XIX wieku czytowane były w uniwersytetach angielskich obok starożytnych klasyków.

Starożytność nęciła Polaków nadzwyczaj. Słynęły po świecie książki Jana Zamoyskiego „De senatu romano” (Venetiis 1563) i Pawła Goślickiego „De optimo senatore” (Venetiis 1568).³⁰ W Polsce posłowie sejmowi „trybunami” się zwali, a koło

³⁰ Podobno szekspirowski Polonius jest refleksem lektury Goślickiego.

dostojników państwa zestawiano z rzymskim senatem. To też popularność studiów klasycznych była nadzwyczajna, a język łaciński stał się potocznym całej polskiej inteligencji, co utrzymało się aż do początków wieku XIX. Kiedy po rozbiorach w zaborze austriackim zwracano się do cesarza Leopolda II w r. 1790 z projektem uznania pewnych praw ludności, proszono o język urzędowy łaciński (zamiast niemieckiego), skoro polski uważał rząd zaborczy za niedopuszczalny. A dzisiaj Polak Bonawentura Oraszyński jedyny w Europie włada klasyczną greczyzną tak dalece, iż pisuje w tym języku i w metrach antycznych tragedie klasyczne. A któż dziś w całej Europie (prócz Anglii) potrafi lepiej wprowadzać na scenę nowożytną Sofoklesa, Eurypidesa, jak krakowski filolog Michał Bogucki?

Zdawałoby się, że nadzwyczajne takie zamiłowanie musi wieść do twórczości naukowej w tejże dziedzinie. A jednak nie. Filologia klasyczna – to nie polska nauka. Znaczących przedmiotów, pierwszorzędnych często, nie brak (obdarzało się nimi nawet ościennych), ale jednego tylko wydaliśmy filologa, posiadającego europejskie znaczenie naukowe. Był nim Andrzej Patrycy Nidecki (1522-1587), uczeń Robortella w Padwie i Sigoniusa, towarzysz francuskiego Mureta, słynny wydawca fragmentów Cicerona (Wenecja 1561. drugie wydanie pomnożone, a przygotowane we wsi Bieżanowie pod Krakowem, Wenecja 1565). Anglik Turner pisał wówczas do niego: „Apollo es, non coniectator”, a wartość tej pracy uznało jeszcze 1862 r. niemieckie edytorstwo (Karol Halm).

Potem bywało pracy filologicznej niemało (pełno prac polskich i w zagranicznych czasopismach naukowych), tłumaczono sporo, komentowano wiele i wcale dobrze, ale twórczo filologii nie zbogacano. Sam Adam Mickiewicz był także filologiem, a wykłady jego literatury łacińskiej w uniwersytecie w Lozannie (1838-1840) pozostawiły po sobie jak najlepszą sławę. Alfons Walicki (zm. 858) wykładał filologię w uniwersytecie rosyjskim w Charkowie, a w Kazaniu Józef Kowalewski (zm. 878).

Ale dopiero w ostatnich czasach nabiera polskie studium filologii klasycznej zakresu europejskiego. Oryginalną a pełną wielkich walorów jest na wielką skalę zakrojoną historią literatury rzymskiej Kazimierza Morawskiego. Wielkiej sławy zażywa

Tadeusz Zieliński, profesor dawniej uniwersytetu petersburskiego, teraz warszawskiego. najlepszy dziś w Europie znawca Cicerona. Z prac nad mitologią zasłynął Witołd Klinger, profesor uniwersytetu kijowskiego. Uznaniem powszechnym, zwłaszcza w Anglii, cieszy się chronologia dzieł Platona, układu Wincentego Lutosławskiego. Stanisław Witkowski odznaczył się jako znawca późniejszego języka greckiego, tzw. „koine”. Ale specjalnością polską staje się patrystyka grecka IV wieku, dzięki dwóm profesorom krakowskiego uniwersytetu, Adamowi Miodońskiemu (zm. 1913) i Leonowi Sternbachowi. „Meletemata patristica” krakowskiej Akademii Umiejętności, poświęcone pracom przygotowawczym do krytycznego wydania tych Ojców' Kościoła, stały się wydawnictwem europejskim, a podobnie zdobywa sobie uznanie „Archivum philologicum”, tamże wydawane. Tymże śladem kroczy Gustaw Przychocki, specjalista do św. Grzegorza z Nazjanzu. Sternbach używa też opinii największego po śmierci Krumbachera (1910) znawcy bizantynizmu.

Jak na dużą oświatę łacińską w Polsce jakżeż mało nauki filologicznej?! Nigdzie w Europie nie mówiono tak biegle po łacinie jak w Polsce, gdzie łacina nieledwie stała się na nowo językiem żywym, będąc w powszechnym użyciu, a jednak uczonej latynista należał do rzadkości. Popularność przedmiotu nie pozostaje wcale w związku z naukowcem uprawianiem go; co stwierdziwszy na tym miejscu, nie będziemy się potem dziwili objawom analogicznym przeciwnego porządku, mianowicie że najmniej popularny w społeczeństwie przedmiot może kwitnąć właśnie w jego dorobku naukowym. Kto poświęca się sprawom oświaty, winien zdawać sobie dobrze sprawę z tego; gdyby uwzględniano te fakty, popularyzacja wiedzy byłaby szybszą i dokładniejszą.

Pozostawmy jednak tę kwestię na potem, aż dokonamy sumarycznego przeglądu ruchu naukowego w Polsce.

Również daleko, jak w popularnej łacinie, a może nawet dalej, zaszliśmy w młodej nauce językoznawstwa, wyrobionej dopiero w ciągu drugiej połowy XIX wieku, a która nie budziła nigdy większego zajęcia u ogółu polskiej inteligencji.

Początki tej nauki niestare, nie sięgają poza pierwsze dziesiątki lat wieku XIX. Wiadomo, że epokę stanowią tu studia nad sanskrytem. Były i u nas, i to stosunkowo

bardzo wcześnie, boć jeszcze Walenty Skorochood Majewski (1764-1835) założył swoim prywatnym kosztem drukarnię sanskrycką w Warszawie, a specjalne do tego czcionki w Warszawie też zostały odlane. Drukował, wydawał Majewski do roku 1830. A potem? Jakżeż wymowna data. Po upadku powstania nastąpił nie tylko polityczny upadek sprawy polskiej... Urwał się wątek jak w tylu innych rzeczach, aż dopiero za dni naszych powiodło się wznowić studia sanskryckie w Krakowie (Leon Mańkowski), wnet potem i we Lwowie (Andrzej Gawroński). Jak dotychczas, mamy więc dwa niejako epizody naukowe w tej dziedzinie, a epizodyczność w nauce?!

Orientalistyki próbowało się także, często zaszczytnie. Wyrobiła się w Polsce „cała szkoła dragomanów i tłumaczy polskich, tudzież pisarzy oryginalnych o Wschodzie. Dzięki temu już na początku XVI w. wypowiada pierwszy Miechowita przynależność Madziarów do ich braci uralskich, a taki Otfinowski daje nam pierwszy w Europie przekład Saadięgo. Wiek XVII przysparza nauce gramatyka i leksykologa tureckiego języka, arabskiego i perskiego w osobie Menińskiego, na którym się oparli przeważnie wszyscy późniejsi słownikarze europejscy, a którego udziela dziś jeszcze mają wartość niepospolitą. Prawie współczesny z nim Krusiński pierwszy podaje dzieje wzajemnych stosunków Persji i Afganistanu, tłumaczone z łaciny na inne języki europejskie. Po wieku XVIII, wieku pracy orientalnej w usługach polityki, po założeniu szkoły orientalnej w Konstantynopolu i kilku katedr języków wschodnich w Połocku, Warszawie, w Wilnie, występują już całe zastępy orientalistów polskich, zjawia się jeden z pierwszych i najcelniejszych przekładów poematów Szanfary; występuje Majewski, jeden z najwcześniejszych w Europie znawców sanskrytu; Kossowicz wyprzedza innych w badaniu Awesty i staroperszczyzny; wreszcie cała plejada badaczy jak Sękowski (egiptolog) i Muchliński turkolog; Chodźko i Żaba iraniści, Kazimirski arabista, Józef Kowalewski, słynny mongolista, Kleczkowski sinolog i wielu, wielu innych, pracujących często w obcych językach, a w ich liczbie i ci, którym sami Rosjanie przyznają, że podłożyli podwaliny dla orientalistyki w Rosji, jak znów współczesny nam i jeden z młodszych dzisiejszej plejady, ks. Władysław Szczepański kładzie świetne podwaliny palestynologii w Rzymie (profesor Instytutu Biblijnego tamże i autor nowego na język polski przekładu

epokowego czterech ewangelii). Głośną, acz doraźną była wyprawa archeologiczno-artystyczna hr. Lanckorońskiego i jego zespołu do Małej Azji". Jan Grzegorzewski założył w Konstantynopolu i Sofii „Hyacynthaeum”), instytucję do badań orientalistycznych i począł wydawać w Krakowie „Rocznik Orientalistyczny”.³¹

Chociaż od XVI w. ciągną się długim szeregiem polskie prace orientalistyczne, chociaż nie brak wśród nich dzieł o poważnym zakresie naukowym, jednakże też cierpi to wszystko również na epizodyczność. Można do tych uczonych zastosować w pewnym znaczeniu mickiewiczowskie, że każdy z nich był „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”, lecz nie ze samolubstwa bynajmniej, tylko dla braku podkładu naukowego w społeczeństwie, boć warunki polskiej pracy kulturalnej w XIX wieku nie mogły podkładu takiego dostarczyć. Wszak to uczeni ci musieli nawet pisywać przeważnie w obcych językach.

Dopiero za naszych czasów poprawiły się nieco stosunki. Skazańcy polityczni, przyczyniający się znakomicie do zbadania języków Dalekiego Wschodu, wśród których najwybitniejsi Dybowski, Bronisław Piłsudski, Sieroszewski, Edw. Piekarski znajdowali już dla swych prac zrozumienie w kraju i punkt oparcia w krakowskiej Akademii Umiejętności. W ostatnich czasach powstały katedry orientalistyki w Krakowie (Tad. Kowalski, języki semickie i kultura islamu) i we Lwowie (Mojżesz Schorr, semitolog). Godzi się przypuścić, że w niepodległej Polsce nie będą już trudy ich skazane na rolę nowych... epizodów.

W sławistyce ustępujemy Czechom i stoimy bodaj na samym szarym końcu pośród pobratymców. Ale i w polonistycznych ściślejszych badaniach (nie dających się zresztą oddzielić od ogólnoslawistycznych) dawał nam się we znaki brak ciągłości, i dopiero w ostatnich czasach zaświtała nadzieja, że powzięty świetny rozpęd stanie się już początkiem systematycznego wreszcie kroczenia ku dociekaniom naukowym.

Studia językowe zaczynają się od kwestii ortograficznej, podjętej już w wieku XVI,

³¹ Na cześć św. Jacka, „pierwszego orientalisty opolskiego”, którego Grzegorzewski uważa za autora tzw. Kodeksu Kumańskiego w bibliotece św. Marka w Wenecji, wydane przez Akademię budzyńską.

potem słabną, aż dopiero podejmuje je na nowo sławna swego czasu Gramatyka Kopczyńskiego (1780), po czym następuje dzieło Józefa Mrozińskiego „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego” (1822), cenne dlatego, że uwzględnia współczesny stan nauki francuskiej, angielskiej, i niemieckiej. Odtąd też nie ustawały już prace około gramatyki. Metoda historyczno-porównawcza (Boppa) długo jednak kołatała na próżno do polskich uczonych, aż przyswoił ją Hipolit Cegielski (1842). Rok 1831 stanowi i w zakresie językoznawstwa polskiego fatalną datę pustynną. Dopiero

w Szkole Głównej wykłady Przyborowskiego (1863 do 1869) wytwarzały nowy jakiś punkt stały, ale wypadły na schyłek Szkoły, gdy Warszawa miała być zamienioną w istną pustynię naukową. Szczęściem w krakowskiej Akademii Umiejętności powstało po r. 1873 kilka rodzajów wydawnictw stałych, poświęconych językoznawstwu. Profesor krakowski, Lucjan Malinowski, stał się twórcą dialektologii polskiej, w której następnie odznaczyli się Jan Karłowicz, Hanusz, Zawilniski, Kryński, znakomitością zaś stał się Kaz. Nitsch.

Badania leksykalne postawił wysoko Linde, ale potem długa pauza aż do Karłowicza (zm. 1903) z jego „Słownikiem wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia” (1894-1904) i „Słownikiem gwar polskich” (tom VI. w r. 1911). Stan nauki polskiej reprezentuje obecnie wielki nowy „Słownik języka polskiego”, wychodzący w Warszawie i stąd zwany krótko „warszawskim”, ułożony przy udziale licznych pracowników pod redakcją Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego. Ciekawe jest dla historii nauk zestawienie go ze Słownikiem Lindego: „Pomnaża skarbiec Lindego nie tylko licznymi uzupełnieniami z języka dawnego, ale także i tą bardzo znaczną częścią dorobku językowego, którą język nasz wzbogacił się w ciągu całego stulecia XIX, stwarzając tysiące nowych wyrazów i wyrażeń, w których się odzwierciedla rozwój kultury tego stulecia, wpływ zasadniczych przeobrażeń dziejowych i do gruntu zmienione warunki bytu narodu”.³²

³² Adam Antoni Kryński: Szkic językoznawstwa polskiego od początku wieku XIX (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 250 rocznicy założenia uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza r.

Ostatnie czasy poszczycić się mogą dwoma całokształtami gramatyki polskiej: Romana Piłata (wykłady w opracowaniu Krceka, 1908) i A. Kryńskiego (1910).

Uwzględniając niewesołe warunki pracy naukowej w Polsce, można by z tego dorobku być zadowolonym, bo stwierdza, że nie brak zdolności i że ludzie się znajdują, uprawnia więc do otuchy, że w lepszych warunkach zdołamy dorównać „szczęśliwsiemu narodowi” (trzymając się utartej formuły), ale bądź co bądź jest tego wszystkiego mało. Z jednym wyjątkiem”.

Istnieje dziedzina jedna w polskim językoznawstwie, która pomimo że nie należeliśmy do „szczęśliwszych narodów”, zwraca uwagę i obfitością prac i nader wysokim poziomem naukowej metody i bogactwem wyników. Jakaś szczególniejsza zdolność do zajmowania się zasadniczymi momentami językoznawstwa, w których roztrząsaniu rozwinęli nasi uczeni znaczną twórczość; okoliczność mogąca służyć sama jedna za dowód, że nam zdolności do uprawiania językoznawstwa wcale nie brak, i że rodzaj naszych zdolności nadaje się, owszem świetnie nawet do przyczynienia nauce tej postępu.

Przypada w Polsce „w porównaniu z ogromną literaturą lingwistyczną w Niemczech, bardzo wielki stosunkowo procent na zajęcie się zasadniczymi sprawami językoznawstwa, na twórczą myśl naukową nad istotą i funkcją zjawisk językowych”.

A na czele kroczy tu nestor filologów polskich, Jan Baudouin de Courtenay. „W każdym razie i bez żadnej przesady zaliczyć go można do szeregu najwybitniejszych językoznawców... oryginalność i śmiałość myślenia oraz bogactwo pomysłów... myśliciel w zakresie naukowego poznania... wnika w psychiczną i socjalną stronę języka”. Zaczął w r. 1903 publikować swe prace o psychologii języka, z których najważniejsze trzy: „O psychicznych podstawach zjawisk językowych” (1903), „Próba uzasadnienia samoistności zjawisk psychicznych na podstawie faktów językowych” (1904) i „Charakterystyka psychologiczna języka polskiego” (dla Encyklopedii Polskiej wyd. Akademii Um.). Obok tego staje klasyczna praca metody Baudouina: „Próba teorii

1661, wydana przez członków uniwersytetu, tom I, Lwów 1912)

alternacji fonetycznych”. Poza tym czynnym był w każdej niemal gałęzi językoznawstwa.

Za jego przykładem znać u całego szeregu polskich uczonych' wielkie zajęcie do kwestii psychologii językowej (Kruszewski, Appel, i i.); wyrabia się jakoby polska specjalność w językoznawstwie.

Typowym przykładem wielkiego rozpędu twórczego jest działalność naukowa Jana Rozwadowskiego. Sformułował on „prawo dwuczłonowości”, stwierdzające, że podstawą każdego tworu językowego, o ile jest wyrazem jasnej apercpcji, jest dwuczłonowość; prawo ilościowe rozwoju językowego, wynikłe ze spostrzeżeń, że różnica między parami tworów językowych musi przedstawiać pewną ilość stałą, a gdy spadnie poniżej tej miary, jeden z tworów jako samodzielny ginie; jeżeli zaś posunie się ponad tę miarę, powstaje nowy, samodzielny twór; tudzież prawo „dysautomatyzacji”, stwierdzające, że zasadniczą przyczyną ewolucji w twórczości nie tylko językowej, lecz całej kulturalnej, jest ciągła potrzeba odświeżania zużywającego się przez automatyzację czynnika uczuciowego („Ruch filozoficzny”, w tomie I, 1911).

Prace około historii języka polskiego zaczynają się od dziełka Rakowieckiego „Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego” (1822), ale nastąpiła dłuższa przerwa, po czym gałąź ta rozkwitła dzięki Nehringowi, Kalinie, Baudouinowi, Bruecknerowi, Łosiowi (twórcy Słownika staropolskiego}. Brueckner i Łoś nie na tym jednym celują polu, a niesprawiedliwością byłoby nie wymienić tu również nazwiska Ułaszyna.

Warszawskie „Prace filologiczne” i krakowski „Rocznik slawistyczny” wyrobiły sobie uznanie w świecie naukowym i poza Polską. Jest jedno jeszcze czasopismo, którym warto by zainteresować jak najszersze sfery inteligencji polskiej, przeznaczone dla nie-filologów, mianowicie znakomicie redagowany „Język polski”, wydawnictwo komisji języka polskiego Polskiej Akademii

Umiejętności w Krakowie, którego filarem i duszą jest prof. Nitsch, najlepszy popularyzator językoznawstwa, a powaga w dialektologii.

Pokrewną metodycznie filologii jest nauka historii, opierająca się dotychczas w znacznej części na metodzie filologicznej. Tej pokrewności historia nigdy nie zatraci,

boby podrywała fundamenty własnej budowy; chcąc atoli budowę swą rozwinąć, musi dbać o inne jeszcze pokrewieństwa. Nowoczesny postęp historiografii wciąga w jej ramy coraz bardziej nie tylko prawo, ale całą grupę nauk socjologicznych, a zespół ten doprowadzić może do epokowego w nauce przewrotu, niemniejszego niż niegdyś ustalenie metody indukcyjno-empirycznej, skryształizowanej w dziełach Bacona. Obyśmy nie stali na uboczu tego nowego wielkiego szlaku wiedzy!

Z początku była historia sztuką piękną, sztuką ułożenia pięknego utworu piśmienniczego. W Polsce dokonywał się rozwój historiografii po takiej samej linii jak wszędzie indziej. Gallus pisze leoninami nie bez artystycznej racji, Kadłubek układa staranne kompozycje stylistyczne, u Długosza pozostaje jeszcze za przykładem Liviusa retoryka. Ale już u Kadłubka przewija się inne pojmowanie historii, mianowicie, jako *magistra vitae*; układa on niejedną ustęp tendencyjnie, a całe dzieło posiada wybitną cechę dydaktyczną. W dziele Długosza pełno obojdwóch tamtych pierwiastków historiografii, ale na pierwszy plan wysuwa się pierwiastek nowy, trzeci: dążność do odkrycia prawdy. Kromer, Strykowski starają się jak najwięcej pracować „źródłowo”; a czyż rymotwórcze pisma Twardowskiego nie posiadają wartości źródłowej, straciwszy wszelką artystyczną? Trzy główne pierwiastki historiograficzne powstały kolejno z biegiem czasów, lecz raz powstawszy, nie przestawały już nigdy istnieć; wikłają się i zachodzą wzajemnie na siebie w dziełach dalszych generacji. Czyż w naszym „szkicu historycznym” od Szajnochy do Kubali nie złączyły się wszystkie?

Pojmowanie Prawdy jest jednakże rozmaite i ma ciekawą historię, gdyż oblicze jej nie odrazą odstaniało się całe ludziom myślącym. Najidealniejsze duchy ludzkości składały się długimi pokoleniami na stopniowe zdobywanie dostępu do tej najwyższej kategorii człowieczeństwa, do której szczytu wspinać się będziemy bez końca, nigdy go tu nie osiągając. Jak żadna doskonałość, tak też ani doskonała Prawda nie może być udziałem śmiertelnych; danym nam jest tylko dążenie do niej i zbliżanie się ku niej. O to chodzi, by coraz bliżej być Prawdy, to też wszelkie ulepszenie sposobu zbliżania się. wszelakie umożliwienie lepszego poznawania jej stanowi najwyższy rodzaj zasługi około ludzkości (stąd wartość metody i każdego, choćby drobnego na razie, jej wydoskonalenia).

W zakresie sztuki historiograficznej poczyną się dążenie do prawdy od zakazu moralnego pisania nieprawdy. Gallus przenosi milczenie nad nieprawdę i daje czytelnikowi wyraźnie do poznania, kiedy dla miłości prawdy wypada mu milczeć. Długosz lubuje się już w docieraniu do prawdy tak dalece, iż nie szczędzi mozołu, czasu ni grosza na ten cel. Następcy jego nie obniżali poziomu historiografii polskiej, wznoszącej się do stanowiska nauki. Nie kłamali. Ale nasunęła się wątpliwość nowa, czy nie może zachodzić obowiązek zatajenia prawdy w całości lub częściowo? Naruszewicz dopiero opowiedział się przy bezwzględnym kulcie prawdy, Lelewel doszedł do tegoż przekonania – ale potem cofnęliśmy się. Wśród nieszczęść porozbiorowych, „utraciwszy rozum w mękach długich”, doszło się do tego, iż brano za niegodziwca historyka, który ujemne strony przeszłości badał na równi z dodatnimi. W reakcji nieuniknionej przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy zabrnęło się znowu do nierozumnego przesądu, jakoby krytycyzm polegał wyłącznie na udzielaniu nagan i tendencyjne upiększanie dziejów narodowych szło o lepsze z tendencyjnym oszpecaniem ich. Magistra vitae poszła na służbę indywidualnych zapatrywań autora. Dużo z tego wypłynęło zła (jakoż nie mogło obyć się bez tego), ale bądź co bądź sama możliwość istnienia tendencyjnej surowości świadczy o gotowości uznania prawdy, choćby z własnym upokorzeniem, a zatem stanowi dowód silnego pożądania prawdy. Mieściły się w tym zarazem wymagania względem samych siebie wzrastające coraz, a wraz z tym wzrastające poczucie obowiązku i odpowiedzialności; sama choćby niechęć do szowinizmu ma wielką wartość. Ale to ze stanowiska społecznego; z naukowego jednakże było to błędem, dużym błędem.

Nie wolno absolutnie ogłaszać dzieł historycznych, układanych specyficznie w celach dydaktycznych. Pisarza historycznego nie obchodzi to nic a nic, czy z dzieła jego będzie pożytek w życiu publicznym i jaki. Wskazywanie pożytków nie do niego należy. On ma dbać tylko o prawdę naukową, którą ktoś inny zamienić może na „nauczycielkę życia”. Z zawilosci zmaconych źródeł wykrzesz prawdę całą, a inni wykują z niej broń potrzebną do życia; historyk jednak nie jest ludwisarzem.

Nie ma prawdy innej, jak cała prawda; to też wszelkie zatajenie jest popełnianiem kłamstwa. Podawanie części tylko prawdy jest chytrą kłamcą, który nic nie kłamie

niby, bo tylko prawdę mówi; ale częściowa prawda bywa kłamstwem najgorszym. W nauce nie istnieją zaś absolutnie żadne a żadne względy, które by mogły robić z zatajania prawdy obowiązek. Dzieło, przemilczające umyślnie jakąkolwiek część prawdy, nie jest dziełem naukowym. Nauka a prawda to jedno.

Nie należy przeczyć historii tytułu do „nauczycielstwa życia”, ale sprawa cała (o którą toczył się w Polsce niedawno spór znaczny) nie dotyczy zgoła pisania dzieł historycznych.

Pod względem naukowym wytrzymuje całe średniowiecze naszej historiografii doskonale porównanie ze stanem jej na Zachodzie; Długosz zaś wart więcej od współczesnych historyków włoskich i francuskich. Kromer, Strykowski, Wapowski byliby znakomitościami również gdziekolwiek, a Piasecki (zm. 1649) celuje chwytnością związku przyczynowego tak dalece, iż zdaje się nieraz należeć do jeszcze późniejszych czasów. Potem nastaje jednak upadek, i to niski; przerywa się tradycja naukowa. Nagle działalność Naruszewicza (i części jego plejady) stanowi kartę jeszcze zaszczytniejszą w stosunku do Zachodu, niż zestawienie Długosza z tamtymi. Naruszewicz okazał się mistrzem ponad swoje czasy, a zanosilo się na powstanie szkoły... gdy znów przerwano nam ciągłość pracy. Tym większego podziwu godzien Lelewel, który okazał się równym talentem i wiedzą największym w Europie, chociaż niewiele miał w życiu sposobności do rozwijania talentu. Zarabiał na życie katalogowaniem prywatnych zbiorów monet, żeby literalnie nie umrzeć z głodu. Po nim idzie Szajnocha, który począł mieć zapewnione skromniutki przynajmniej utrzymanie wtedy, kiedy zaczął... tracić wzrok.

Warunki dla historyków jak w ogóle dla wszystkich uczonych polskich nastąpiły (wśród prześladowania polskiej kultury) tego rodzaju, iż uczoney polski zdołał z największym wyęczeniem sił wydobyć z siebie ledwie minimum tego, co w nim tkwiło i na co go byłoby stać, gdyby się znalazł w warunkach korzystnych dla rozwoju swego intelektu. I aż do dnia dzisiejszego tragedią i klątwą każdego zdolniejszego uczonego polskiego jest ten przymus okrutny poprzestawiania na minimum możliwej wydajności własnej pracy. Odzyskanie niepodległości nie może temu w mig zaradzić, boć organizacji „świata naukowego” nie improwizuje się, ale młodzi mają już bądź co bądź warunki takie, o jakich

starszym ani się marzyło. Jeżeli młodsze pokolenie uczonych nie uroni nic z usilności np. Korzona, jeśli mieć będzie talenty godne np. Laguny i erudycję tych obydwóch, toć w zakwitających nam obecnie warunkach pracy naukowej, które tamtym wydałyby się wprost cudownymi, podąży się do maximum wydajności i historiografia polska dogoni, co zaniedbała, szybko, a zacznie i przeganiać innych zapewne. Wyobraźmy też sobie Lelewela w dzisiejszych warunkach!

Odzyskanie niepodległości zapewni nauce rzecz najważniejszą: ciągłość, możliwość utrzymania tradycji naukowej, tworzenia „szkół”.

Wszak to Szajnocha był samoukiem, podobnie Szujski i Kalinka i wielu innych, boć w Polsce nie można się było nigdzie kształcić na historyka. Rymopisami byli i Szajnocha, i Bielowski, i Szujski. Dopiero po Szujskim (zm. 1883) zaczyna się na nowo korowód takich, którzy za- młodu uczyli się metody historycznej, dzięki repolonizacji uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego. Po Szujskim dopiero zaczyna się też wyjeżdżanie zagranicę na dalsze wydoskonalenie się w studium historycznym, a że dla powodów wcale nienaukowych zresztą jeździło się niemal wyłącznie do Niemiec, nastąpiły niebawem fatalne ujemne skutki niemieckiej jednostronności, o czym była już mowa. Co gorsza, jeżdżono na krótkie terminy i dziwnie wczesnie wracano z uchwyconym i trzymanym w garści „ostatnim wyrazem nauki”. Zaczęły się czasy, które można by nazwać „improwizacjami naukowymi”, bo występowano z nadzwyczajnym pośpiechem z nie bardzo przemyślanymi doktrynami. „Krytycyzm” stosowany był do wszystkiego prócz tego, co miało markę niemiecką. Co owo uchwycone z nauki niemieckiej stosowało się naprędce do historii polskiej i robił się z tego od razu nowy „kierunek naukowy”. Tak było np. z doktryną Dobrzyńskiego, zaczerpniętą od Waitza.

Obok niemożności utrzymania tradycji naukowej drugą przeszkodą należytego rozwoju historii była dążność, żeby studium historyczne dawało realne zyski polityczne, żeby mianowicie odkrywszy przyczyny upadku Polski, podało tym samym sposób odzyskania niepodległości. Traktowano historię, jak medycynę: uprawiać patologię dla terapii. Robiło się to gorączkowo, żeby dojść prędko do praktycznego wyniku, tj. odkryć sposób na wznowienie państwa polskiego. Wiała z tych prac miłość Ojczyzny.

i niepospolity nieraz duch obywatelski, ale sprawa była naukowo chybiona, a przytym wykonywana błędnie. Na dnie sprawy tkwiło przeświadczenie, że historia może być nauką stosowaną. Jest w tym coś istotnego, owszem; ale nie można żadnej nauki uprawiać wyłącznie jako stosowanej, bo w takim razie po pewnym czasie nie byłoby z czego czerpać i „stosować”. Do wynalazków droga jedyna przez odkrycia, tj. przez naukę czystą, nie troszczącą się o zastosowanie praktyczne. Za mało było w Polsce czysto naukowych studiów historycznych, iżby dały się robić na ich podstawie wynalazki polityczne, to też te, które niby porobiono, okazały się wszystkie nie do użytku.

Uprawiano atoli także historię „niestosowaną”, i to z wielkimi sukcesami. Epokę stanowi pod tym względem założenie Akademii Umiejętności, która nadała wydawnictwu źródeł historycznych u nas metodę i program. Nie zabrakło znamienitych wydawców, z Wincentym Zakrzewskim na czele, edytorem niezrównanym, dorównywującym najlepszym europejskim. Na podstawie dobrych wydawnictw powstawały dobre prace monograficzne, w czym prym trzymał fenomenalny talent Tadeusza Wojciechowskiego, a pośród młodszych Karol Potkański. Zdobyliśmy się też w krótkim stosunkowo czasie na odrobienie od lelewelowskich czasów nagromadzonych zaległości w tzw. naukach pomocniczych, których stan nadaje się najlepiej na kryterium ogólnego stanu nauk historycznych. Tu działali wiele, na podziw wiele Piekosiński, po nim Krzyżanowski Stanisław, z żyjących Semkowicz.

Ruch naukowy historyczny wzmagają się, badania archiwalne postępują, ilość udatnych rozpraw naukowych rośnie z roku na rok, prace wybitne nie należą już do rzadkości. Długo by trzeba wyliczać, żeby wymienić imiona zasłużonych historyków, (choćby ograniczyć się tylko do zmarłych). Nie o to chodzi nam jednak, lecz tylko o wykrycie cech nauki polskiej.

Większość historyków polskich okazywała od czasów Wielkiej Emigracji i okazuje dziś jeszcze skłonność do nadzwyczajnego upraszczania sobie, zjawisk historycznych. Często (zwłaszcza u Dobrzyńskiego) znać całkowite niemal ignorowanie tego, co stanowi właśnie nieodłączną cechę wszelkich zjawisk życiowych: zawiłość, która jest tym większą, im bardziej życie się doskonali, a którą można rozwiązywać tylko mozolną indukcją.

Nauki prawnicze odznaczają się od dłuższego czasu (zwłaszcza w Niemczech) żywiolową jakąś niechęcią do zawichości zjawisk życia. Tkwiącą w metodzie prawniczej dążność do upraszczania doprowadzono do przesady, nieraz do absurdu; wszak marzono o wprowadzeniu do prawa metody geometrycznej! Niegdyś Lelewel celował wykształceniem prawniczym, lecz potem należało ono do rzadkości wśród naszych dziejopisów, i dzięki temu niedostatkowi łatwo było popaść w jednostronność przy pierwszym ponownym zetknięciu się z metodą prawniczą. Studium wydarzeń historycznych połączył z kwestiami prawniczymi najlepiej Oswald Balzer, daleki od wszelkiej jednostronności i nieskłonny do hołdowania dedukcji; jest to uczyony stanowczo najlepiej przygotowany do roztrząsania konstrukcyjnych zagadnień dziejowych, obcy wszelkim improwizacjom naukowym. Obok niego staje Władysław Abraham, drugi filar polskich studiów prawniczo-historycznych. Nie brak wśród młodszego pokolenia zdolnych prawników, ani też nie brak im zainteresowania do kwestii historycznych, podczas gdy pośród historyków nie wszyscy jeszcze posiadają wykształcenie prawnicze. Socjologii dziejopisowie nasi niemalże nie tknęli.

Można skutkiem tego zarzucić polskiemu ruchowi historycznemu pewną ciasnotę. Na usprawiedliwienie tego znajdzie się mnóstwo okoliczności łagodzących, ale fakt faktem. Cierpimy na zacieśnienie metodyczne i na zacieśnienie treści, ograniczając się niemal wyłącznie do badań około historii polskiej.

Samo zaś prawo cierpiało w okresie porozbiorowym na brak warsztatu. Niegdyś prawnicy polscy składali dowody, że nie na próżno dano im być obywatelami wielkiego państwa. Możemy się szczyścić takimi mężami jak Jarosław Bogorya Skotnicki i Janusz Strzelecki lub Jan Rzeszowski, współpracownicy ustawodawstwa Kazimierza Wielkiego, a cóż dopiero Pawłem Włodkowicem z Brudzewa, który na początku wieku XV wskazuje nowe zasady prawa międzynarodowego.³³Od Taszyckiego do Andrzeja Zamoyskiego i twórców Trzeciego Maja nie brakło nam zdolnych kodyfikatorów. Dwa razy w ciągu tych wieków zmieniliśmy poglądy na państwo i społeczeństwo: po Brudzewskim nastał

³³ Grotius rozpoczął naukę tego przedmiotu; rzecz sama istniała oczywiście zawsze.

Andrzej Maksymilian Fredro, zanim zrzucił go z piedestału Kołłątaj, a pośród tych głównych graniczników ileż odmian myśli polskiej od Modrzewskiego do Staszica! Wytworzyliśmy swe własne swoiste prawo publiczne, własne prawo międzynarodowe, oddzielaliśmy sądownictwo od administracji już w r. 1422 (przywilej czerwiński), a w r. 1791 my jedni dokonaliśmy przemiany państwa na nowoczesne bez krwawej rewolucji. Po rozbiorach, pozbawieni warsztatu państwowego, skazani na dostosowywanie się do obcych poglądów prawnych i na konieczność studiowania obcego prawa, nie zatraciliśmy jednak zmysłu prawniczego, co dobrze wróży o przyszłej naszej wydatności wiedzy prawniczej.

Obok łaciny „palestra” dawała oświatę szlachcicowi polskiemu; zajmowanie się prawem było nader popularne, i nigdzie nie uczono młodzieży tyle prawa jak w Polsce. Wybitne zamiłowanie wiodło w tej dziedzinie do twórczości, i to znacznej, a uczony prawnik nie należał w Polsce bynajmniej do rzadkości. Nie zachodzi więc w tym wypadku ów dziwny objaw, jaki zapisaliśmy przy filologii klasycznej, natomiast stwierdzić należy krótkotrwałość rozwoju nauk prawniczych. Rozwój ten trwa właściwie zaledwie półtrzecia wieku od połowy XIV do początku XVII wieku, od statutów Kazimierza W. do „Polityki” Petrycego (1605), po czym nastaje zastój.³⁴ Od wieku XVII brak uczoności prawniczej coraz większy, podczas gdy popularność prawa została. Kiedy nastaje odrodzenie społeczeństwa, uczoność prawnicza zrywa się z letargu niemal pierwsza, a dzieje porozbiorowe dostarczają tysiącznych dowodów, jak starannie pielęgnowano ten dział nauk, którego wybitnemu rozwojowi przeszkadzał rzeczywiście tylko brak państwowości własnej.

Jest zaś historia prawa w Polsce odmienną niż w innych krajach Zachodu. Brak prawa feudalnego, brak recepcji prawa rzymskiego i przeprowadzona do najdalszych konsekwencji autonomia sprawiają, że prawa polskiego obcy nie rozumieją;

³⁴ Ostatnim etapem twórczości polskiej prawniczej jest wystąpienie Petrycego przeciw cenzurze w r. 1605. Ani nawet dla królewskiej osoby nie pozwalał na wyjątek od zupełnej wolności druku.

nieporozumienie dochodzi do tego stopnia, że obcy mogą nabrać nawet mniemania, jakoby w Polsce wiedzy prawniczej zgoła nie było, nie było bowiem w Polsce tych działów prawa, z których wiedza prawnicza składa się u obcych narodów, zwłaszcza u Niemców. Mniemanie cudzoziemców przeszło do uczonych polskich i (nieprawdopodobne a jednak prawdziwe) można się u prawników uczonych polskich spotkać często ze zdaniem, jakoby w Polsce nauki prawnicze nie były zgoła istniały! Nie było tylko tych działów, jakie stanowią historię prawa u innych, ale to wcale nie dowód, że prawa w ogóle nie było. Aż przykro, jak taka myłka logiczna mogła się zakraść do nauki polskiej.

Rekapitulując przegląd nauk humanistycznych, musimy z żalem stwierdzić brak zdatności do filologii. Wszak wbrew temu, że w oświacie łacińskiej byliśmy pierwsi, wydaliśmy aż do połowy XIX w. jednego tylko filologa latynistę, pracującego twórczo. Dopiero najnowsze czasy pozwalają stwierdzić, że i na tym polu rozwija się w nas zdatność do pracy twórczej. W językoznawstwie brak zupełny podłoża naukowego; mamy, do zapisania niejednego piękny dorobek, ale to tylko epizodyczne przejawy. Sławistyka prawie że nie istnieje! Polonistyka ruszyła się (z jednym wyjątkiem leksykografii) dopiero za naszych czasów. A jednak pomimo takiego ogromnego opóźnienia i zacofania wręcz naukowego, są wskazówki, że może uda nam się odrobić jeszcze zaniedbania, i stanąć godnie obok innych narodów. W ostatnim pokoleniu językoznawców objawił się istny rozpęd zdolności twórczych, roztrząsanie kwestii zasadniczych odbywa się nadspodziewanie dodatnio. Możemy się nawet poszczycić w tym zakresie znaczniejszym już stosunkowo dorobkiem odkryć naukowych.

W historii staliśmy długo przynajmniej na równi z Zachodem, a pod niejednym względem wyżej, ale w okresie upadku kultury narodowej historią upadła pierwsza, jakoby hasło dając do nauk powszechnego upadku. Od połowy XVII w. aż do Naruszewicza, to nazbyt długo! Zatraca się całkiem zdatność naukowa w tej dziedzinie. Następujące potem przerwy rozwoju nie z naszej były winy. Filolog mógł być w najgorszych nawet warunkach dziejów porobiorowych znaleźć ujście dla swej twórczości naukowej, gdyby ją był posiadał; historyk potrzebuje warsztatu bez porównania trudniejszego do urządzenia (archiwa, podróże, edytorstwo, nauki

pomocnicze itd.) i nie mógł użyć zdadności swej, choćby ją posiadał w stopniu wyższym. Lelewel, organizacja umysłowa wyjątkowa zaiste, stał się znakomitym historykiem jeszcze przed emigracją, przed r. 1830. A potem mąciła ruch naukowy gorączka zrobienia z historii nauki stosowanej. W najnowszych dopiero czasach równocześnie z językoznawstwem znać postęp, i to wielki.

W nauce prawa staliśmy przez pewien czas najwyżej z humaniorów. Praktyka przeplatała się przez dwa wieki w tej dziedzinie z teorią w sposób świetny, jak to zobaczymy w następnym rozdziale. Tymczasem zamknijmy koło naszej indukcji rejestrem do dziejów polskiej filozofii.

5. Filozofia.

Ubolewa się, i słusznie, nad niskim stanem filozofii w Polsce. Rzecz jest zaiste ciekawa, bo filozofowania nigdy u nas nie brakło, a nauka nasza od filozofii się zaczyna. Filozofowanie jest u Kadłubka, Witelo jest „jednym z pierwszych w XIII w. znawców i krzewicieli filozofii nowoplatońskiej w zachodniej Europie”, po czym następuje zajmujący wielce rozkwit scholastyki w Krakowie (o czym obszerniej niżej), a reakcja przeciw scholastyce jest w Polsce u Grzegorza z Sanoka (1403-1477) bardzo wczesna, boć to współczesny Mikołaja z Kuzy, „uchodzącego powszechnie za pierwszego zwiastuna nowożytnych w zakresie filozoficznego myślenia dążności”. Potem opakowały dziedzinę filozoficzną w Krakowie „umysły zbyt mało samodzielne”, ale zabłysnął jeszcze tłumacz Arystotelesa, Sebastian Petrycy (zm. 1626), który „myśli Arystotelesa z zakresu etyki dalej rozwijając, doszedł aż do sformułowania dwóch zasadniczych w etyce stanowisk tj. utylitaryzmu i intuicjonizmu, których to stanowisk uzasadnianie odgrywało najważniejszą rolę w badaniach etycznych XVII i XVIII wieku”.

I znowu posucha aż do braci Śniadeckich. Jan Śniadecki (1756-1830), przeciwnik Kanta, zwolennik empiryzmu w swej „Filozofii ludzkiego umysłu” (1822), ma antagonistę w bracie, ogłaszającym już w r. 1799 „Mowę o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych”, oceniającym „znaczenie filozofii Kanta dla przyrodoznawstwa”. Są to

umysły twórcze w całym znaczeniu tego wyrazu. Niebawem zaś, „czego nie powiedział Kant, bo krępował go duch czasu, to wszystko wydobył z niego i powiedział Wroński” (1778-1853). On jeden z pierwszych formułował zasadę ewolucji wszechświata (początkowa „nieskończona nieokreśloność wszechświata określa się i różnicuje w sposób coraz wyrazistszy, coraz bardziej szczegółowy”). Wszechstronność Wrońskiego budzić będzie podziw poprzez wszystkie wieki; wszak „nie było ani jednego działu wiedzy czy to matematycznej, czy przyrodniczej, czy ekonomiczno-społecznej, czy historycznej lub filozoficznej, której by Wroński nie był opanował i nie okazał się w niej mistrzem”. Uzupełnia plejadę naszą z początków XIX w. Józef Goluchowski (1797-1858), który ogłosił w r. 1822 główne swe dzieło „Filozofia w stosunku do życia całych narodów i oddzielnych ludzi”. „Gdyby Gołuchowski nie był już nic więcej napisał, ta jedna praca wystarczyłaby, aby mu zapewnić nie tylko jedno z pierwszorzędných miejsc w dziejach myśli polskiej, ale także wybitne miejsce w dziejach filozofii XIX wieku w ogólności. Drugiej w tym rodzaju pracy powszechna literatura filozoficzna nie posiada”.

W połowie XIX w. nowa plejada. August Cieszkowski (1814-1894), filozoficzny twórca mesjanizmu polskiego; Bronisław Trentowski (1808-1869), zdumiewający nas dzisiaj nowożytnością pomysłów³⁵ i oryginalnością najzupełniejszą, chociaż osnuł system swój na heglizmie, zmienionym o tyle, że wprowadził weń pojęcie Boga osobowego; Karol Libelt (1807-1875), który tak słusznie podniósł twórcze znaczenie wyobraźni, bez której myśl byłaby bezsilną – i cały szereg innych.

Następuje fala tzw. pozytywizmu pod przewodem Aleksandra Świętochowskiego, „którego dzieło o powstawaniu praw moralnych jest może najlepszą pracą, na jaką się zdobył polski pozytywizm”, i katolicka przeciw temu kierunkowi reakcja, której przewodzą niepospolite umysły Stefana Pawlickiego, wielce zasłużonego badacza historii filozofii greckiej, tudzież Mariana Morawskiego, autora „Wieczorów nad Lemanem”, jednego z takich dzieł, jakie nie w każdym zjawiają się stuleciu. Na koniec arcydługi szereg pracowników uważnych, starannych, dokładnych, ale nie lubiących się wyrywać na

³⁵ Idę tu za najnowszymi pracami Władysława Horodyskiego.

„systemy”, trochę komentatorów i uzupełniaczy, trochę próbujących znów (jak za czasów heglizmu) przepolszczenia obcych myśli. Niełatwo byłoby klasyfikować ich, bo „chyba nie było w ostatnich czterdziestu latach ani jednego głośniejszego europejskiego albo nawet amerykańskiego myśliciela, który by nie był na umysły polskie jakiegoś wywarł wpływu. Filozofia polska tego okresu może słusznie uchodzić za odbłask całego światowego ruchu na tym polu”.

Oto rusztowanie dziejów filozofii w Polsce, do którego nasuwają się pewne uwagi. W części II. będę się starał wykazać, jak dalece twórczą była scholastyka krakowska XV wieku. Upadek filozofii w wieku XV tyczy się całej Europy. Można, a raczej trzeba zarzucić nam, żeśmy przespali dwa wieki rozwoju filozofii w Europie, wieki XVII i XVIII. Od początku XIX w. wydajemy raz wraz dzieła pierwszorzędnej wartości, ale brak rzeszy filozoficznej czyni z nich meteory jakieś, i przesuwa zbyt prędko do... historii filozofii, niewyzyskane należycie, niewessane w organizm naukowy i oświatowy polski. Szwankujemy wielce ilościowo, filozofom wybitnym brak tła filozoficznego w narodzie; do przemiany nauki w oświatę trzeba bowiem koniecznie odpowiedniej ilości uczonych, choćby o średnich tylko zdolnościach, ale sumiennych, pracowitych, dokładnych, rozumiejących swój przedmiot gruntownie. Wszyscy nasi wybitni filozofowie nie zdołali zapewnić społeczeństwu wykształcenia filozoficznego – oto tajemnica naszego niedomagania. Dopiero w ostatnim pokoleniu zanosi się na utrwalenie filozofii w Polsce, dzięki coraz większej ilości obcych pracowników, rezygnujących z własnych systemów, poprzestających na drobnych przyczynkach do rozwoju filozofii. Jest to zupełnie analogiczne do nastania „okresu monograficznego” w historii. Skoro raz nastał, nie powinien już nigdy przestać istnieć.

Nie brak okoliczności łagodzących to zaniedbanie, i żeśmy pomimo wielkich talentów nie wytworzyli polskiego „świata filozoficznego” w XIX wieku. Wystarczy nadmienić, że Wroński musiał pisywać po francusku, a Gołuchowskiego za jego „Filozofię w stosunku do życia” Nowosilcow usunął z katedry wileńskiej. Warunki pracy kulturalnej w Polsce XIX wieku tłumaczą niemal, wszystko. Co warta wolność, choćby „łatana”, widać na pomnożeniu, jakiego doznała filozofia od czasu wolności szkół i uniwersytetów

w zaborze rakuskim, tudzież od założenia Akademii Umiejętności. A skoro tak, wolno roić niemałe nadzieje, gdy posiadamy oto wolność całą. Miejmy też otuchę, że najnowsza wielka synteza filozoficzna polska, Erazma Majewskiego „Nauka o cywilizacji” nie przejdzie do historii nazbyt prędko, że filozof twórczy nie zmarnuje się już u nas skutkiem braku rzeszy filozoficznej.

6. Nauka, oświata, dobrobyt.

W Polsce rozpoczęło się życie umysłowe nie od oświaty, lecz od nauki. Jest to objaw powszechny, gdyż uniwersytety starsze są od szkół ludowych. Nauka musi być wpierw, bo oświata jest właściwie spopularyzowaniem nauki. Gdyby nie było nauki nigdzie, nie byłoby też nigdzie oświaty. Jakoż znane są ludy, nie wykazujące ani nawet „cienia śladu” jakichkolwiek zawiązków oświaty, ludy izolowane, niepoddane wpływom cywilizacyjnym z zewnątrz. Obserwowanie początków myślenia, tj. początków rozwoju umysłowego, poucza, że oświata może się wyjątkowo zaczynać od sztuki, od poezji, ale na razie wykluczmy jeszcze z naszych roztrząsań ten objaw, pozostawiając go sobie na koniec następnego rozdziału. Na razie poprzestajemy na rozpatrywaniu stosunku oświaty do nauki, obydwóch do dobrobytu.

W Polsce rozpoczyna się tedy rozwój umysłowy od nauki. Za czasów Kadłubka (zm. 1223) nie myślał nikt o oświacie, tylko o naukowym przygotowaniu kleryków. Z aktów najstarszych uniwersytetów europejskich (bolońskiego, padewskiego, paryskiego, montpelliarskiego i innych) stwierdzić można, że co najmniej na przełomie XII a XIII wieku dojeżdżali tam polscy scholarzy studiować prawo kościelne, czasem świeckie i nauki wyzwolone. Kadłubek studiował w Paryżu. W kronice swej pozostawił mnóstwo śladów wielostronnej uczoneści, rozsiewając ją po całym dziele.

Kwitnął potem Witelo w trzeciej ćwierci XIII stulecia, kiedy o oświacie w Polsce mowy jeszcze być nie mogło.

Wysoko stoi już nauka, czego dostatecznym dowodem przytoczone tu nazwiska, ale jeszcze jedynymi ludźmi oświeconymi „in nostra terra, scilicet Polonia” (jak pisze Witelo) są uczeni. Tak samo było, kiedy Kazimierz W. zakładał uniwersytet, kiedy

Władysław Jagiełło uzupełnia go wydziałem teologicznym. Można się spierać o to, kiedy się zaczyna w Polsce oświata, tj. odkąd pojawiają się ludzie wykształceni, a nie uczeni; nam tu starczy stwierdzić, że długo była w Polsce nauka bez oświaty. Podobnież bywało u wielu społeczeństw innych.

Ale może być odmiennie. Jeżeli silnym jest napór umysłowości z zewnątrz, a społeczeństwo dane przyswaja sobie wyniki obcej nauki gromadnie, samo nie przyjmując czynnego udziału w dalszym, jej rozwijaniu, natenczas oświata może się znacznie rozszerzyć, a nauka nie powstanie. Tak bywa z reguły poza Europą. Oświata oparta na pośrednio czerpanych echach nauki obcej może się znakomicie nawet szerzyć, chociaż w kraju nie będzie ani jednego uczonego.

Najczęściej zachodzi równoczesność jednego i drugiego objawu, ale rzadko natomiast zdarza się równomierność. Zazwyczaj to lub owo przeważa znacznie nad drugi. Może być wysoki stan nauki przy niskim stanie oświaty – i przeciwnie, upadek nauki pomimo wysokiego stanu oświaty. A co najbardziej dla historyka zajmujące, że stosunek oświaty do nauki może być w dziejach tego samego społeczeństwa w rozmaitych czasach rozmaity. Równomierność jest tu ideałem. Spełnienie go wymaga wielu skomplikowanych warunków, lecz zasadniczym warunkiem będzie zawsze, ażeby nauki rozwinęły się w społeczeństwie tak dalece, iżby mu do szerzenia i pogłębiania oświaty starczyć mogło w zupełności czerpanie z własnych źródeł uczoneści.

Dzieje nauk w Polsce stwierdzają niestety, że nauka polska nie stała się takim źródłem, obfitym dostatecznie, iżby oświatę utrzymać na poziomie europejskim bez uciekania się do źródeł cudzych. Źle jest, jeżeli wyniki nauki obcej bezpośrednio stamtąd zostają wprowadzane do oświaty powszechnej, bez pośrednictwa własnego świata naukowego tegoż społeczeństwa. Źle jest, bardzo źle, jeżeli krzewicielami oświaty w pewnym społeczeństwie muszą być obcy. Tak źle u nas nie było nigdy, ale z powodu niedostatecznego stanu nauk (to pod tym, to pod owym względem) szwankował często stosunek oświaty do nauki, równomierność należała do rzadkich wyjątków, a upadek oświaty zawsze nam zagrażał.

Polska nie miała szczęścia do nauk, jakkolwiek nie brakło Polakom nigdy

zdolności, a ochota znajdowała się... często (więc jednak nie zawsze). Zrazu to samo oddalenie od głównych szlaków międzynarodowych, które zaznacza Gallus na samym wstępie swej kroniki, a które zdecydowało o ubóstwie kraju, stanowiło nie tylko co do dóbr materialnych przeszkodę rozwoju, lecz niemniej co do duchowych. Szlaki handlowe bywają zazwyczaj zarazem szlakami wymiany myśli; oddalenie od jednego oddalało nas tedy i od drugiego. Trudność tę pokonaliśmy świetnie, jak to wykazują przytaczane powyżej przykłady. Pomimo odległości (na owe czasy niezmiernych) Paryż i Padwa nie były obce Polakom, ale bądź co bądź Polaków takich, których by było stać na pokonanie przeszkody wielkich odległości, nie mogło być wielu.

Jak wszystko na świecie, tak też i rozwój nauk pozostaje w związku ze sprawami ekonomicznymi, z kwestią dobrobytu. Czasy dobrobytu przygotowują zazwyczaj następujący po nich rozwój nauki; jeżeli dobrobyt trwa dłużej, nauka mu towarzyszy wiernie. Ubóstwo zwiastuje zawsze upadek nauk, trwające zaś dłużej – wiedzie do całkowitego o nauce zapomnienia. Tylko jednostki mogą stanowić wyjątek, ale natenczas stają się też wyjątkowymi w swym społeczeństwie postaciami, i nie wywierają wpływu, ani nawet nie mogą zająć należnego sobie stanowiska ni znaleźć uznania. W takich okresach zdarza się, że takie wyjątkowe jednostki przechodzą do społeczeństw innych, a nawet wynaradawiają się. Dzieje narodów europejskich dostarczają mnóstwa przykładów takiego nieuniknionego związku spraw materialnych z duchowymi; i w historii stwierdza się prawidło, że człowiek składa się z duszy i ciała.

Jakościowo pokonaliśmy tedy świetnie przeszkodę oddalenia od wielkich dróg nauki europejskiej, od Paryża, Padwy i Bolonii, ale nie mogliśmy pokonać przeszkody ilościowo, nie mogliśmy wysyłać tam znaczniejszej ilości adeptów nauki, bośmy na to byli za ubodzy. Rozwój nauki wymaga zaś w znacznym stopniu tego ilościowego momentu, bo chodzi o to, żeby wyrobić „świat naukowy” w społeczeństwie, żeby uczony, pracujący twórczo, nie czuł się obco, żeby w kategorii myślenia naukowego nie musiał szukać dla siebie podłoża pośród obcych, lecz żeby myśl jego rozwijała się na swojskim podłożu i do tego podłoża wracała, słowem, żeby uczony nie znalazł się poza społeczeństwem

własnym. Na to jedyna rada w odpowiedniej ilości osób, mogących go zrozumieć i chcących zajmować się sprawami, jakie nauka poruszy. Przy pewnej ilości osób naukowo wykształconych musi się wreszcie wytworzyć jakaś twórczość naukowa, muszą się wreszcie znaleźć uczeni, zdolni pracować samodzielnie. Rozwój nauki niemieckiej polegał niemal wyłącznie na niezmiernej liczności świata naukowego; ilość zdobywała się na jakość, chociażby w zbyt małej do ilości proporcji. Pomimo wszelkich wad niemieckiego ustroju nauki, doszły Niemcy bądź co bądź do tego nieocenionego rezultatu, że mogły oprzeć u siebie oświatę wyłącznie na niemieckiej nauce, a to triumf nie lada.

Ilościowy rozrost nauki jest wręcz niemożliwy bez dobrobytu. Dlatego też uniwersytety kwitną tam tylko, gdzie kwitnie dobrobyt, ilość ich i jakość jest wprost proporcjonalną do ekonomicznego stanu kraju. W kraju ubogim na próżno mnożyć uniwersytety, jakość ich sprawi zawód i zejda do rzędu lichych uczelni średnich, jak np. niemieckie po wojnie 30-letniej, hiszpańskie po strasznym przesileniu ekonomicznym z końca XVI wieku; a jakżeż próżne są wysiłki uniwersyteckie krajów południowosłowiańskich, zbyt jeszcze ubogich, niewiele ekonomicznie zróżniczkowanych. Spełni jednak słaby nawet uniwersytet zawsze zadanie ilościowego przysparzania świata naukowego, jeżeli tylko nazbyt wielkie ubóstwo nie zwarzy słabego kwiatu i nie wypaczy uniwersytetu.

Nie przygodny to wcale zbieg okoliczności, ale głęboki związek przyczynowy, że założycielem uniwersytetu polskiego jest król-gospodarz Kazimierz Wielki, a założył go w latach, kiedy podniósł się znacznie dobrobyt kraju. Można dużo objawów historycznych okresu piastowskiego wyjaśnić ubóstwem Polski faktem jest, że Polska pozyskała uniwersytet właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy przestała być ubogą. Istnieje też w dalszych okresach związek ciągły pomiędzy stanem nauk w Polsce a stanem ekonomicznym kraju. Kwitnie najbardziej nasz uniwersytet w owym wieku XV i w tej jeszcze części XVI, kiedy rósł dobrobyt i miast i stanu ziemiańskiego; podupadać poczyna, skoro tylko zachwiała się równowaga ekonomiczna społeczeństwa. Sam żywioł ziemiański uniwersytetu nie może utrzymać na odpowiedniej wyżynie, i już Jan Kochanowski stwierdził mu- siał niższość krakowskiej Szkoły, upatrując powód w tym, że za mało na

nią łożono kosztów (w „Satyrze”). Wiek XVII zeszedł nam cały niemal na wojnach, druga jego połowa spowodowała niesłychany upadek dobrobytu i zupełny uniwersytetu upadek. Dobrobyt wznawia się następnie jeszcze, ale tylko w jednej warstwie: szlacheckiej, a ta jednostronność ekonomiczna wpływa fatalnie na wszelkie dziedziny życia publicznego, nie w najmniejszej mierze także na upadek nauk. Wszak szlachcic przestał troszczyć się o oświatę, będąc pewnym, że bez oświaty i tak osiągnie wszystko, bo wszystko z urodzenia należy mu się. Skoro' stopień oświaty przestał stanowić rękojmię, a przynajmniej ułatwienie powodzenia w walce o byt, ciekawość do nauki ograniczoną została do owych wyjątkowych jednostek, pozbawionych znaczenia w ogólnej ekonomice życia zbiorowego, znajdujących się niejako poza społeczeństwem. W okresie Stanisławowskim zaczyna się na nowo różniczkowanie ekonomiczne, przynajmniej do pewnego stopnia (o ile dopuściły warunki zewnętrzne), dobrobyt poczyna się udzielać zajęciom miejskim, podnosi się w każdym razie ogólny poziom ekonomiczny kraju – i oto podnosi się zarazem ogólny stan kultury i zjawia się reforma uniwersytetów. A czyż Zamoyska akademia nie była wynikiem zamożności nie tylko rodu Zamoyskich, ale całej tamtej krainy? Czyż wileński uniwersytet nie powstał wówczas, kiedy Litwie otworzone-były nowe horyzonty ekonomiczne? A jakżeż słabo wegetował twór akademii lwowskiej, które nie towarzyszyły pomyślnym warunkom ekonomicznym prowincji? I czyż trzeba zawiłych wywodów, żeby zrozumieć, że losy uniwersytetów pozakładanych po odzyskaniu niepodległości zawisły bardzo a bardzo od losów waluty polskiej?

Upadek miast od drugiej połowy XVI wieku, „potop”, straszliwe przesilenia pieniężne XVII wieku, wyniszczenie Litwy wojenkami litewskich magnatów, całkowita w końcu bierność ekonomiczna Korony wobec Niemiec i „krajów cesarskich” – oto etapy w historii... nauki polskiej. Nie mogli zaradzić złym tego następstwom najzdolniejsi uczeni, ani nawet tacy olbrzymi ducha, jak Paweł Brudzewski i Mikołaj Kopernik. Zaginęła nawet ich tradycja. Następcy ich tyle potem z Polską mieli związku, iż w Polsce się rodzili, ale ani działać dla Polski nie mogli, ani też, pośród polskiego ogółu podłoża dla siebie nie znajdując, nie zdołali powstrzymać... dalszego nauk upadku, aż dopiero rozwijać się zaczęło na nowo życie ekonomiczne nieco przynajmniej wszechstronnie. Postęp w jednej

dziedzinie życia udzielił się wnet dziedzinie drugiej; to rzecz całkiem naturalna, boć w sprawach życia wszystko ma związek ze wszystkim, ale tu chodzi o stwierdzenie, że dobrobyt musi zawsze przynajmniej nieco wyprzedzić naukę, jeżeli nauka nie ma stanowić zjawiska egzotycznego. Najbardziej zaś przyswojona duchowi narodowemu nauka zacznie stawać się egzotyczną, skoro tylko dobrobyt zacznie się stale obniżać.

Za przykład niech nam posłuży wspomniała prawdziwie postać wspomnianego już wielkiego uczonego polskiego, Adama Kochańskiego, którego życie wypadło właśnie na okres ciągłego ubożenia Polski. „Umysł rozległy, filozoficzny, nie ograniczający się do jednej specjalnej gałęzi nauk ścisłych, myśliciel bystry i głęboki, zarówno w abstrakcjach matematycznych, jak i w zastosowaniach ich do astronomii, fizyki, do mechaniki teoretycznej, jak niemniej i praktycznej. Jeden ze stałych współpracowników wydawanej w Lipsku publikacji periodycznej Acta Eruditorum i w żywej z Leibnizem pozostając korespondencji, często zasilał poważne to wydawnictwo swoimi pracami. Tam między innymi na oznaczenie ilości, będącej stosunkiem obwodu koła do własnej jego średnicy, podał sposób wykreślny, dający tę wartość z dokładnością zdumiewającą. Szczegółowy rozbiór matematycznych prac Kochańskiego doprowadza znawcę przedmiotu do uderzającego wniosku, że rodak nasz w różnych stadiach swoich dociekań był już nader bliskim odkrycia Leibnizo-Newtonowskiego, a mianowicie wynalazku rachunku różniczkowego i całkowego, opartego na znanym już sobie pojęciu ilości nieskończenie małych”. Tenże Kochański umiał zastosowywać swą wiedzę od razu w praktyce. „Uczony matematyk... autor pracy teoretycznej o statyce, w swej rozprawie o zegarmistrzostwie, wchodzącej w skład dzieła Kaspra Schotta pt. „Technica curiosa” z r. 1664, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, proponował próbowanie dokładności ślimaka za pomocą ciężaru zawieszzonego na strunie owijającej ślimak, pracował nad zastąpieniem w zegarkach szczecinek, których wtedy używano, sprężyną regulującą; zbudował zegarek z wahadłem magnetycznym; był wreszcie pierwszym inicjatorem zawieszenia sprężynowego, 'uważanego i dziś za najlepiej zabezpieczające izochronizm wahadła”.

I cóż zostało w Polsce z tego Kochańskiego, który nie usuwał się bynajmniej od ludzi, boć był bibliotekarzem króla Jana III? Czasy tego panowania uważane są (i słusznie

niestety) za czasy upadku nauki w Polsce; jest to rzecz powszechnie zresztą wiadoma. Co za szyderstwo losu! A przecież to ten król, który interesuje się astronomią, wyszczególnia Heweliusza, który odwdzięcza mu się „wyniesieniem na niebo Tarczy Sobieskiego”; interesował się również źródłami siarczanymi (koło Szklä w województwie ruskiem), które opisywał nadworny jego lekarz, Konnor; opiekował się nie tylko Krzysztofem Mieroszewskim, który kierował wzniesieniem fortyfikacji w Krakowie i w Częstochowie i zostawił w rękopisie traktat o architekturze wojennej; to król, w którego obecności toczyły się najpoważniejsze swego czasu dysputy filozoficzne.

Oto jest prawdziwy obraz Sobieskiego; i cóż z tego zostało? Sama osoba królewska przedstawia się. dziś w mniemaniu ogółu, jakoby jakiegoś króla ciemnoty, dalekiego od zainteresowania się Muzami, opiewanego wprowadzie przez poetów, ale osobiście niedostępnego dla umysłowych rozkoszy. Nawet osobisty jego wizerunek przystosował się w wyobrażeniu ogółu do tła zgęszczającej się nad narodem ciemnoty nadciągającego okresu saskiego. Warunki materialne życia zbiorowego nie dopuściły do zorganizowania się świata naukowego w Polsce, a wobec tego na nic wysiłki jednostek i cała ich wartość umysłowa; pozostają wyjątkami, których wartości ogół nie umie nawet obrócić na swą korzyść. Są to świadectwa zdolności polskich, a zarazem niemocy polskiej równocześnie w jednej i tej samej dziedzinie.

Zdolności są w świecie intelektu początkiem wszelkiej sprawy, ale same z siebie nie wydadzą dalszego ciągu, jeżeli nie otrzymają pomocy z zewnątrz, od okoliczności z innych dziedzin życia zbiorowego.

Zdolność stanowi niewątpliwie część Intelaktu, lecz taką, która tworzy łącznik bezpośredni z: dziedziną woli i czynu, gdyż zdolność prze zawsze do zajmowania się tym, do czego się ma zdolności, a co zwiemy upodobaniem, powołaniem nawet, gdy objawia się w wysokim stopniu. Zdolność bierna, oświatowa, poprzestająca na przyswojeniu sobie rezultatów 'badań cudzych, mieści się cała wyłącznie w intelekcie, podczas gdy zdolność" czynna, twórcza, wykracza poza intelekt. Ponieważ zaś nauka nie używi się zdolnościami biernymi, ale wymaga koniecznie czynnych, boby ani nawet istnieć nie mogła przy biernych, a cóż dopiero rozwijać się – staje się przeto nauka łącznikiem między intelektem

a wolą. Stąd nauki stosowane i inne jeszcze objawy, o których niżej rzecz będzie. Im nauka wyżej się rozwinie, tym bardziej prze do czynu; tym bardziej przyczynia się w społeczeństwie do wyrobienia kultury czynu.

Zdolność jest miedzą między polami Logosu a Ethosu. Sama może się rodzić i po tej i po tamtej stronie, ale winna na drugą stronę wychylać się; inaczej pozostanie bierną, gdy z Logosu się wywodzi, ujemną zaś (niszczyć tylko umiejącą), jeżeli od Ethosu wyszła. Zdolność intelektualna wymaga przeto pomocy wydatnej od dziedzin czynu w życiu zbiorowym, a zdolność do czynu potrzebuje ciągłego oparcia się o intelekt. Logos i Ethos wspomagają się wzajemnie; doskonała ich harmonia, równowaga i równoczesność wytworzyłyby doskonałą kulturę czynu.

Organizacja świata naukowego, to zorganizowany intelekt życia zbiorowego; zorganizowany dobrobyt, to organizacja woli, bo wartości materialne nie dadzą się wytworzyć bez użycia wykształconej woli. Tamto dziedzina organizacyjna Logosu, a to Ethosu. Bez znacznej pomocy Ethosu nie może tedy ostać się zorganizowany Logos, a Logos luźny nie zda się życiu zbiorowemu. Myśl luzem znalazłszy się w społeczeństwie, pozostaje tak długo izolowaną od ducha społeczeństwa, a skutkiem tego niepożyteczną dla życia -zbiorowego, dopóki z postępem czasu, lepiej zrozumiana, nie wejdzie w dorobek intelektu osób, zajętych pracą nie tylko intelektualną. Czyli; teoria jest nieużyteczną, dopóki nie znajdzie uznania praktyków. Jałowe jest Logos bez oparcia się o Ethos.

Przejście z Logosu do Ethosu, to sztuka wykonywania. W życiu zbiorowym sztuką tą jest polityka, ku której wypada się zwrócić teraz, jako ku następnemu ogniwu w toku naszych badań.

Rozdział VII. Zdatność polityczna.

Polityka – jest to sztuka wykonywania pomysłów oderwanych. Jak rzemiosło uczy wykonywać pomysły uchwytnie materialnie, wymiarowo, podobnie polityka wie o urzeczywistnienia celów intelektualnych; można by ją nazwać rzemiosłem dziedziny

intelektu. Tam sporządza się coś z danego materiału, a tu wciela się jakiś zamiar z pomocą danych stosunków i okoliczności, stanowiących materiał dla polityka. Politykowanie gnieździ się wszędzie, od najprostszych stosunków życia, to też używa się w mowie potocznej wyrazu „politykować” na oznaczenie celowo obmyślanej działalności w stosunkach nawet powszednich życia prywatnego; jednakże w języku naukowym przyjęto się ograniczenie tego wyrażenia do samych tylko stosunków życia publicznego. Przyjąwszy tę poprawkę, określimy politykę jako sztukę wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Kto by zgodził się ze mną, że w życiu publicznym nie powinno być niczego moralnie zdrożnego, mógłby określić politykę jako sztukę wcielania Ideałów. Ale nie zapędzajmy się przedwcześnie zbyt daleko!

Życie publiczne składa się z dziedziny społecznej i państwowej, a z tych każda ma liczne działy. Mówi się też o polityce np. kolejowej, taryfowej, ubezpieczeniowej, robotniczej, nawet o szkolnej, o polityce wewnętrznej i zewnętrznej; słowem, wszelka gałąź życia publicznego ma swoją politykę, tj. poszukiwanie sposobów wykonania pewnego zamiaru i osiągnięcia pewnego celu w owej dziedzinie życia publicznego. Do rozsądku politycznego należy, ażeby polityka jednej gałęzi nie kłóciła się z drugą, żeby one wszystkie do jednego zmierzały celu, i żeby były pod tym względem obmyślane i wykonywane trafnie.

Wymagają przeto sprawy te ogromnych, zasobów znanstwa i są dostępne tylko najtęższemu umysłom; im umysł mniej rozległy, im mniej znanstwa rzeczy mieści się w czyjejs głowie, im niższego typu umysł sprawuje politykę, tym bardziej postępowanie jego i czyny stają się parodią polityki, i tym większe prawdopodobieństwo, że człowiek taki (choćby najpopularniejszy) będzie zbierał wyniki przeciwne zamierzonym, i że zaprowadzi na manowce społeczeństwo, czy grupę społeczną, która pozwala mu się wodzić.

Specjalistą być w polityce można tylko z pewnym zastrzeżeniem. Gdyby bowiem żadna z osób kierujących polityką oddzielnych działów życia publicznego nie ogarniała całości, natenczas pomimo największych wysiłków i najlepszej woli tych ludzi rezultat

ogólny, tj. suma działalności ich wszystkich musiała by być wielce ujemną, a to dlatego, ponieważ nie byłoby polityki ogólnej. Jedno szłoby do łąsa, drugie do sasa, powstałby chaos i nastaloby marnowanie sił państwowych i społecznych, podczas gdy celem polityki ogólnej musi być ich wzmaganie. Polityk wtenczas dopiero zna się naprawdę na pewnym dziale polityki, kiedy mu ogólna nie jest obcą. Prawidło to uzupełnia się innym atoli, a mianowicie, że żadną a żadną miarą nie może być zdatnym do polityki ogólnej, kto.... nie zna się na niczym. Gdyby możebnym było społeczeństwo, złożone z samych ludzi rozumnych, dopuszczano by w nim do publicznego uprawiania polityki tylko osoby, wybitne w pewnej specjalności, lecz zdolne do ogarnięcia całości życia publicznego. Im bardziej rozsiadła się w jakim kraju głupota, tym łatwiej o dyspensę od tych wymagań, od obydwóch!!

Poszczególne gałęzie życia publicznego przynależą do jednego z dwóch głównych konarów: do państwowych spraw lub do społecznych. Co za ogrom, żeby umieć orientować się w tych i tamtych równocześnie! A jednak naczelne stanowiska powinny być dostępnymi tylko dla takich; społeczeństwo zaś, któremu zabraknie mężów takiego pokroju, skazane jest na upadek.

Polityka nie może być inną w zakresie państwowym, a inną w społecznym. Na chorobę rozbieżności politycznej zginęły Niemcy, prowadząc politykę demokratyczną społeczną, państwową jednakowoż absolutystyczną niemal; oddając Rzeszę hasłom demokratycznym z powszechnym głosowaniem, lecz konkretne państwa, państwa Związkowe, zatrzymując w obręczach najciaśniejszego cenzusu i faktycznych przywilejów stanowych (w Aleklemburgu nawet jurydycznie, gdyż obowiązywało tam aż do r. 1918 prawo feudalne). Niemcy runęły podczas wojny powszechnej, lecz nie z jej powodu. I bez tej wojny byłyby runęły od kataklizmów wewnętrznych, nieuchronnych, gdzie zachodzą rozbieżności polityczne.

Ład pomiędzy polityką państwową a społeczną stanowi nieodzowny warunek rozwoju obydwóch działów życia publicznego. Na jedno i na drugie należy przeto patrzeć krytycznie z wyżyn, pozwalających objąć wzrokiem jedno i drugie zarazem. Oto szczyt Ethosu ludzkiego!

Polityka do Ethosu należy niepodzielnie; dobra zaś polityka stanowi jego koronę. W polityce, we wszelkiej polityce, od najdrobniejszej aż do ogólnej, wszystko musi być celowym. Na nic tu cała metoda myślenia przyczynowego. Dziwny brak talentów politycznych w tym pokoleniu we wszystkich krajach Europy przypada równocześnie z zaprowadzeniem istnego monopolu dla metody przyczynowej w nabywaniu wykształcenia. Doszło do tego, iż górują nad europejskimi mężami stanu politycy azjatyccy, mniej wykształceni, ale mocni celowością każdego swego kroku, aczkolwiek celowość ich prymitywna.

Dobrą może być taka tylko polityka, która jest zawsze i we wszystkim państwowo-społeczną równocześnie. Traktowanie państwa w oderwaniu od społeczeństwa nie tylko jest błędnym, ale niebezpiecznym, prowadzi bowiem do lekceważenia sił społecznych, i kończy się często podporządkowaniem społeczeństwa państwu tak dalece, iż społeczeństwo staje się w końcu jedynie przedmiotem doświadczeń państwowo-politycznych. Niemieckie uwielbienie dla państwa doprowadziło do tego, iż siłom społecznym przyznawano ledwie znaczenie środków pomocniczych do popierania siły politycznej państwa. Pomyłka fatalna, gdyż w obrębie cywilizacji zachodnio-europejskiej siła społeczna ma się do politycznej jak przyczyna do skutku. Wszelkie wzmoczenie siły społecznej działa zarazem politycznie, częstokroć natychmiast powiększając jej zasoby.

Nie ma lepszego sposobu zapewnienia państwu mocy politycznej niż pielęgnowanie sił społecznych. Niekoniecznie tedy trzeba uprawiać państwową politykę bezpośrednio, chcąc się przysłużyć politycznie, bo wszelka praca około dobra publicznego wydaje skutki polityczne. Pokazało się to w Wielkopolsce, która posiadając wielkie zapasy sił społecznych, przekuła je w odpowiedniej chwili na siłę polityczną. Gdyby nie zdatność polityczna Wielkopolan, nie byłaby Polska odzyskała niepodległości. Wszak polityka wymaga siły, a tę trzeba mieć z czego czerpać.

Skoro polityka stanowi o działaniu celowym, tym bardziej stosowaną być musi do czasu, miejsca i okoliczności; ażeby była skuteczną, winna być stosowną. Innymi słowy: musi wyrastać ze społeczeństwa, a wyniki jej muszą posiadać wartość zdobyczy społecznych, jeśli mają być trwałe. Gdzie to kryterium zawodzi, tam błędna polityka musi

prowadzić do zawodów.

Siły społecznej nie da się wytworzyć za pomocą aparatu państwowego. Państwo może pomagać lub przeszkadzać, lecz nie potrafi wywołać sił społecznych, a w końcu musi się albo zastosować do nich, albo upaść. „Oświecony” absolutyzm nie wychowywał bynajmniej społeczeństw, lecz wchodził z nimi w kompromis, będąc raczej ich narzędziem niż sternikiem.

Państwu dzieje się najlepiej, gdy obywatele jego zajmują się jak najbardziej polityką społeczną (handlową, przemysłową, kredytową, komunikacyjną, itp.), a państwową dodatkowo tylko. Nigdy nie może być zbyt wiele osób, zajętych sprawami społecznymi, podczas gdy przeludnienie kraju politykomanami państwowymi wiedzie do upadku państwa. Hiperprodukcja państwowo-polityczna zagraża całym dziedzinom pracy społecznej, że będą leżały odłogiem, przez co osłabnie zdolność polityczna.

Im więcej wolności w jakim kraju, tym mniej tam politykomanii, bo stosunki, rozwijając się ewolucyjnie, niewiele stosunkowo dają pola do politycznego eksperymentowania. Sprawili to brak wolności w Europie, iż polityka przedzierzgnęła się w sztukę narzucania ogółowi celów, przyjętych przez rozporządzających siłą państwową. Stąd sztuczność polityki państwowej i w znacznej mierze społecznej, uprawianej bez względu na istotne potrzeby. Wielkie siły, jakimi dysponowali przez cały wiek XIX ci, którzy dzierżyli rządy, sprawiały, iż zdołano niejedno narzucić na czas dość długi, iżby się to wydawało zakorzenionym już udatnie i znaturalizowanym – a z tego wyrobiła się znów wiara-we wszechmoc polityki, jakoby celowym działaniem politycznym dało się osiągnąć wszystko. Tym skwapliwiej rzucano się do polityki, i Europa poczęła chorować na przerost polityczny, na nadmiar politykowania. Nieuchronny z tego skutek: upadek społeczny, widoczny aż nazbyt dla każdego.

Rozbudziła się też w wieku XIX nadzwyczajna zaciekłość polityczna, będąca objawem następczym wiary we wszechmoc polityki. Im bardziej zdawało się, jakoby wszystko mógł przemieniać i urządzić po swojemu ten, kto posiada siłę, tym zacieklejszą musiała stać się walka o wpływy. Objaw ten udzielił się nawet Polakom, chociaż historia polska XIX w. starczyć powinna była za dowód i za ostrzeżenie, że polityką sztuczną nie

osiągnię się niczego.

W ciągu wieku XIX, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, rozpowszechniło się inne jeszcze błędne mniemanie o polityce, a mianowicie, jakoby jedynym dla niej kryterium było: powodzenie. Uznawano za dobre wszystko, co się udało. Powodzenie polityczne dawało patent na bohatera. Przesąd ten stanowi prostą drogę do krótkowzroczności politycznej. Współcześni widzą tylko doraźne objawy powodzenia; na obserwowanie skutków dalszych nie starczy im życia. Ogłoszono tedy mistrzem polityki niejednego, kto przemocą czy chytryością osiągnął cel zamierzony na czas stosunkowo krótki, choćby popełnił błędy takie, które dłuższą trwałość jego dzieła czyniły wręcz niemożliwą. Usunięto z kryterium politycznego momenty historyczne, akcentując wyłącznie współczesną doraźność. Doprowadzono do tego, że statysta, który by chciał wciągać w obliczenia polityczne dalsze pokolenia, stał się niemożliwym w politycznym życiu, uchodząc za fantastę. Nikt np. nie chciał widzieć rażących błędów Bismarcka, a natomiast wysoka zdadność polityczna Cavoura poszła w zapomnienie. Windhorst, zaś, reprezentant cywilizacji łacińskiej w Niemczech, uchodził za wielki charakter, za „pocziwość”, ale nigdy nie uważano go za wielkiego polityka. Ostatecznie stanęło na tym, że uczciwość przeszkadza polityce, i objawiono światu piątą ewangelię, głoszącą nowe przykazanie: Bądź cnotliwym, z wyjątkiem życia publicznego! Niecnota w polityce bywała wprawdzie zawsze, ale wytykano ją, jako niecnotę; w wieku XIX kazano ją wielbić jako cnotę wyjątkową w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Reguła opiewała: pielęgnuj cnotę; wyjątek nakazywał rzucić cnotę w życiu publicznym, i to pod srogim rygorem, że się będzie inaczej uważanym za głupca.

Rygor poskutkował znakomicie. Od spraw największych przechodziła' zasada do coraz mniejszych, aż cały obszar życia publicznego opanowali ludzie mniej skrupulatni. We Francji ludzie z czulszym sumieniem wycofywali się całkiem z życia publicznego, a typ polityka „zawodowego” począł się wyradzać w jakąś mieszaninę aktora i oszusta. Typ ten rozpowszechnił się szybko po innych krajach i nastąpiło powszechne zatrucie atmosfery życia publicznego.

A wszystko to wypłynęło z przekonania o wszechmocy politykowania, jako

konsekwentne następstwo.

Dawniej, przedtem, panowało przekonanie o wszechmocy oręża w urzędowaniu stosunków państwowo-społecznych. Mniemano, że można ludzi do wszystkiego zmusić przemocą. Niegdyś zaprowadzano ewangelię za pomocą wypraw wojennych. Nie takie dawne czasy, kiedy to orzeczono, że cuius regio, illius religio, a kto pragnie wyznawać religię inną niż dynasta owej krainy, powinien poszukać sobie dalej w świecie monarchę tegoż wyznania; przyznano tedy monarchom prawo wyganiania z kraju poddanych innego wyznania, przymuszania zaś na miejscu do przyjęcia wyznania monarszego. Rozumując ściśle, przyznawano tedy w pokoju westfalskim (1648) tylko dynastiom wolność sumienia, legalizując z góry ucisk religijny. Potem przyjęto, że tylko wola dynastów może być źródłem prawa publicznego, sankcjonując z góry wszelką przemoc wobec pojęć niezgodnych z wolą dynastii. Rozbiory Polskie dokonane były w imię prawa dynastycznego przeciw konstytucjonalizmowi. Szereg kongresów pierwszej połowy XIX w., urządzanych przez „święte przymierze” utrzymywał panowanie gwałtu dynastycznego nad całym kontynentem. W Polsce zaraz po rozbiorach pracowało się systematycznie nad zagładą języka polskiego, uważając to za wykonalne. Dziś wiemy, że wszystkie a wszystkie przytoczone tu pomysły są wbrew woli ogółu niewykonalne. Można porzucić wiarę lub język ojców, lecz nie można być przymuszonym do porzucenia ich; wszelkie eksperymenty tego rodzaju przepadły bezskutecznie. Przez wieki całe wierzyło się jednak mocno w możliwość nieograniczoną dokonywania zmian wszelkich, w narzucalność skuteczną wszelkich celów, jakie by wytknął sobie ten, kto rozporządza przemocą, tj. kto może użyć argumentu oręża.

Zasadę najwyższą uprawiania polityki w czasach tzw. nowożytnych określić można słowami: kto ma wojsko, może sobie na obszarze zajętym przez swe wojsko urządzić świat po swojemu. Późno dopiero w wieku XIX spostrzeżono się, że oręż posłużyć może tylko do eksperymentu, nierokującego trwałości, jeżeli przeciwny jest woli ogółu. Im wola ta silniejsza, tym kruchszy wobec niej oręż przemocy.

Runął przesąd o wszechmocy oręża, a na jego miejsce wysunął się nowy o wszechmocy polityki. Miejmy też otuchę, że policzone są dni i tego drugiego przesądu.

Polityka może być skuteczną trwale natenczas tylko, gdy utrzymuje się w granicach struktury społecznej i państwowej, powstałej ewolucyjnie w danym obszarze etnograficznym lub geograficznym. Polityka winna być służką ewolucji dziejowej.

Ażeby uniknąć nieporozumienia, pospieszam zaznaczyć, jako ewolucja nie na bierności polega. Ewolucja może być jednostronna, wielostronna, wszechstronna; tylko ta ostatnia jest prawdziwą, tamte zaś ewolucjami ograniczonymi, wstrzymanymi. Ewolucja polega na swobodnym współdziałaniu wszystkich możliwych w danych stosunkach sił, bierność zaś uszczupla je, wykluczając niektóre od współdziałania. Byłoby to błędem, mniemać, jakoby ewolucyjnym było wszystko, co dzieje się bez przymusu z zewnątrz; nie tylko przymus taki, ale i bierność znajduje się również poza ewolucją; bierność bowiem jest oddawaniem się w położenie przymusowe: Ludzie bierni, oddający się tylko oddziaływaniu, sami zaś nie oddziaływający, znajdują się poza ruchem ewolucyjnym.

Polityka, mając być służką ewolucji, porusza tedy wszystkie siły, urastające ze społeczeństwa, kierując nimi w określonych powyżej granicach swej skuteczności.

Polityka posługuje się orężem; o ile ma to być trwale skutecznym, musi się poddać temu samemu ograniczeniu. Inaczej wojna będzie rodziła wojnę.

Wojna a dyplomacja stanowią dwie połowy polityki, to też obie należą do kategorii przejawów Ethosu. Logosem polityki dyplomacja bynajmniej nie jest, ale nauka winna być Logosem wszelkiej polityki, tak wojennej, jako też dyplomatycznej. Nie pisząc rozprawy o polityce, nie wdaję się bliżej w te kwestie, nie dotykam też zagadnienia potrzeby lub zbyteczności wojny.

Chodziło tu tylko o pewne uwagi ogólne, potrzebne do oceny polskiej zdatności politycznej.

Historia polska jest obok angielskiej najbardziej ewolucyjną, a cechę tę dochowała aż do drugiej połowy XVII wieku (mniej więcej do czasu odsieczy wiedeńskiej), po czym ewolucja historyczna wstrzymaną została, ustępując pola coraz bardziej bierności politycznej, którą zrzucił z narodu dopiero Sejm Wielki.

Była już mowa o tym, jak to w Polsce twórczość polityczna starszą jest od naukowej i artystycznej.

Polityka jako sztuka wykonywania zamiarów dotyczących ogółu widoczną jest już w celowym postępowaniu Mieszka I. Od czasu sporu ś-go Stanisława z Bolesławem Śmiałym społeczeństwo poczyną zgłaszać się do współpracownictwa politycznego, a już od połowy XIII w. zaczyna się w Polsce okres państwa wytworzonego przez społeczeństwo. Odtąd państwo zawsze na społeczeństwie się opierało, a jedyna próba narzucenia społeczeństwu ustroju państwowego nie wysnutego z ustroju społecznego (próba Jana Kazimierza po uchyleniu „potopu”) spełzła na niczym.

Polska polityka była stale społecznopaństwową. Sprawa państwa związaną była licznymi węzły z posiadaniem ziemi, bo w ustroju polskim łączyły się pług i miecz w jednym ręku (przez nadania na „prawie żołnierskim”, a potem przez przymusową służbę wojenną wszelkiego rodzaju właścicieli ziemskich w ustawodawstwie Kazimierza W.). Wszystkie kierunki polskiego życia zbiorowego były zawsze równocześnie społecznymi i państwowymi: dobre i złe, dodatnie prądy i ujemne, mieściły w sobie stale to i tamto. Po rozbiorach próby odzyskania niepodległości polegały na pewnych dążeniach społecznych zarazem.

Nie powstydzimy się sposobu, w jaki państwo polskie stało się „szlacheckim” w okresie od końca XIV do końca XVI wieku. Przegląd tych zasadniczych aktów ustawodawczych społeczno-państwowych, które zwykliśmy nazywać „przywilejami szlacheckimi”, nie dostarcza zaiste powodu do najmniejszego zgorznięcia.

Przywilej koszycki (1374) nie był niczym więcej, jak tylko zakończeniem dokonywanej się już od stu lat nowej organizacji społeczno-państwowej, a mianowicie dopełnieniem ustawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego. Nie rozpoczyna bynajmniej nowego okresu w dziejach państwa, lecz raczej kończy okres poprzedni, kończąc walkę społeczeństwa o prawo wobec państwa, walkę rozpoczętą za Bolesława Śmiałego. Ustawa podatkowa, a tym jest ów przywilej przede wszystkim, była prostym wypełnieniem braku dotkliwego w ustawodawstwie; byłaby nastąpiła i za Kazimierza Wielkiego, gdyby się życie jego było przeciągnęło.

Przywilej czerwiński 1422 r. zawiera płatność podatku w gotówce, a nie w naturze; bardzo rozsądne żądanie, skoro obrót pieniężny wzmógł się już dostatecznie. Żądano

dalej, żeby nie konfiskować nikomu majątku inaczej, jak tylko za wyrokiem sądowymi; również wielce sprawiedliwa myśl. Żądanie trzecie, żeby nie można było być w jednej osobie i sędzią ziemskim i starostą grodowym, świadczy bardzo zaszczytnie o tym pokoleniu. Oddzielenie sądownictwa od administracji jest fundamentem sprawiedliwości, a zatem przywilej ten cały stanowi postęp dobroczynny w rozwoju prawa polskiego. Pozostawiono sądownictwo administracyjne tylko do ciężkich zbrodni kryminalnych, gardłowych (tj. takich, na które mogła być kara śmierci). Oto cały przywilej czerwiński.

W następnym roku 1423 zjazd dostojników całego państwa w Warcie zajmował się prawem spadkowym, opieką nad małoletnimi i nadzorem ksiąg sądowych. Nie domagała się tedy szlachta wówczas żadnych szczególnych praw stanowych dla swej samolubnej korzyści, ale wywalczała sobie tylko stopniowo prawa, które my dziś uważamy za całkiem naturalne, takie, bez jakich nie umiemy sobie dzisiaj wyobrazić porządków państwowych. Nie żądała szlachta ta dla siebie przywilejów w dzisiejszym znaczeniu tego wyrazu. Należy ostrzec każdego, komu się o tych „przywilejach” opowiada, że w dawnych wiekach wyraz „privilegium” znaczy po prostu tyle, co dzisiaj „ustawa”.

Przywilej jedlneński 1430 r. stanowi dalsze poważne udoskonalenie polskiego prawa sądowego, stanowiąc, żeby król sądził tylko w najwyższej instancji, a żeby nie rozsyłał od siebie „iustycjonariuszów” po kraju bezpośrednio. Obwieszczając zaś zasadę „neminem captivabimus, nisi iure victum”, zapisuje się tym samym w historii, jako wielka zasługa cywilizacyjna w ogóle; czyż zasada, że więzionym być można tylko na podstawie wyroku sądowego, nie jest fundamentem cywilizacji? Zakaz, żeby król nie mógł bić monety bez zezwolenia dostojników państwowych, zmierza do wprowadzenia porządku w stosunki monetarne. Zakaz, żeby król podróżował po kraju nie na przygodny koszt ludności przydrożnej, wybierając od niej tzw. „stacje”, lecz na koszt

skarbcza publicznego (królewskiego), stanowi roztropne uporządkowanie kwestii, wiodącej z natury rzeczy do niemiłych a niepotrzebnych nieporozumień; jest ten zakaz postanowieniem prawdziwie postępowym. Cóż innego zarzucimy temu „przywilejowi”? Czy dopatrzymy się niewłaściwości w postanowieniu, by także mieszczanie płacili poradlnie ze swych gruntów położonych za murami miejskimi? Czy może weźmiemy

szlachcie za złe, że żądała zrównania w prawach wszystkich ziem polskich? Na tym bowiem koniec jedlnieńskiego przywileju. My dzisiaj zażądalibyśmy zapewne natychmiast wszystkich tych „przywilejów szlacheckich”, gdyby one nie stanowiły w naszej umysłowości czegoś, co się już rozumie samo przez się.

Na zjeździe wojskowym w Cerekwicy w r. 1454 zażądano, żeby nie było wolno prowadzić wojny bez uchwały sejmików. Piorunowało się tyle w podręcznikach historii polskiej na ten pomysł, aż oto podczas wojny powszechnej wyłoniło się to samo żądanie w rozmaitych stronach Europy.

Ludzka to rzecz, że w najlepszych dążeniach znajdują się zawsze strony słabe; nigdy nic nie jest zupełnie dobrem, czyli doskonałym. Od czerwińskiego poczynając, były owe „przywileje” wielce chwalebne, ale niebezpiecznym był sposób, w jaki je otrzymywano. Narady obozowe musiały rozluźniać karność wojskową, a zamieniając wojsko na jakiś olbrzymi sejmik, mogły się łatwo wyrodzić w plagę i klątwę wypraw wojennych. To też najpilniejszą sprawą dalszego rozwoju państwa polskiego było, żeby szlachcie dać jakąś instytucję prawną do obrad w imieniu wszystkich ziem polskich, z prawem inicjatywy, żeby nie radzili po obozach nad sprawami publicznymi. Jak najbardziej naturalny rozwój prawa polskiego musiał zmierzać do... sejmowania.

Za daleko zawiodłoby nas to tutaj, gdyby chcieć choćby jak najkrócej wyłuszczać genezę sejmów. Wystarczy zwrócić uwagę na owo cerekwickie odwoływanie się do sejmików. Lecz cóż począć, gdyby jedne sejmiki były za wojną, a drugie przeciw? Jeżeli zaś o zamierzonej wojnie miało się radzić publicznie, na sejmikach, nie można by nigdy zająć nieprzyjaciela nieprzygotowanego. Uchwała tego rodzaju, wykonywana tak prymitywnie, wychodziłaby w praktyce na to, że Polska zawsze poczeka, aż zostanie napadnięta.

Podczas wojny 13-letniej okazało się niepraktycznym, żeby każda ziemia z osobna uchwałała podatki, bo zapadały czasem uchwały niezgodne. Poczęto przeto łączyć sejmiki sąsiednich ziem, i powstały z tego dwa sejmy prowincjonalne, wielkopolski i małopolski. W r. 1457 zdarzyło się atoli, że Wielkopolska uchwaliła pospolite ruszenie, a Małopolska podatek po 12 groszy z łanu. W r. 1464 chciał król pospolitego ruszenia z Wielkopolski, ale Wielkopolanie oświadczyli, że skoro Małopolanie nie ruszają w pole, a tylko dają

podatek na zaciężnych, i oni też wolą płacić po 12 groszy. Taka różność uchwał była kłopotliwą, próbowano tedy rady na to w ten sposób, żeby zebrać od razu na jednym miejscu obydwie sejmy prowincjonalne, lub przynajmniej ich delegacje. Pierwszy taki ogólny zjazd sejmowy odbył się w r. 1459 w Piotrkowie. W r. 1468 obmyślono po raz pierwszy prawidło, jak takie zjazdy zbierać. Małopolski sejm prowincjonalny zażądał wtenczas sam zwołania sejmku obydwóch prowincji do Piotrkowa. Postanowiono, żeby szlachta wybrała z każdego powiatu po dwóch posłów sejmowych. Wtenczas też pojawia się nazwa na taki zjazd, posłów z całego państwa: sejm walny. Instytucja ta miała zwolenników i przeciwników, ustaliła się dopiero od r. 1496, określiła się zaś prawniczo aż w r. 1505. W tym też roku stanęła uchwała nihil novi, że do ważności jakiegokolwiek nowej uchwały trzeba odtąd, żeby się na nią zgodził król, zjazd dostojników podczas sejmku odbyty (senat) i posłowie sejmowi.

Wytworzyło się tedy sejmowanie polskie ewolucyjnie bez jakiegokolwiek myśli o uprzywilejowaniu jednego stanu kosztem innych. Miasta królewskie miały prawo uczestnictwa w sejmie, lecz same się od tego wypraszały, nie chciały wyprawiać od siebie posłów, bojąc się, że to mogłoby poderwać ich samorząd i narazić mieszczaństwo na... podwyższenie podatków; woleli więc obchodzić z daleka miejsce, gdzie podatki się uchwalało. Z własnej woli mieszczaństwa sejm walny stał się korporacją wyłącznie szlachecką.

Nie znajdzie nikt niczego zdroźnego na całej drodze, na której państwo polskie stało się w XV wieku szlacheckim, a potem działała bezwładność. Widocznie więc zabrakło sił innych, skoro bezwładność rozstrzygała. Nastąpiły pokolenia, nie wytwarzające nowych sił społecznych w ilości dostatecznej. Siły nowe mogły być wyjść tylko z poza szlachty, a więc w pierwszej linii z mieszczaństwa.

W wieku XVI ogólny bilans siły społecznej wypadła znakomicie. Wszak powstaje piśmiennictwo, w którym mieszczaństwo bierze udział na równi ze szlachtą; kwitną nauki, w których rozwoju mieszczaństwo zajmuje stanowisko przodujące; pojawia się szereg innowacji w zarządzie państwa, z których możemy być prawdziwie dumni (podatek progresywny, rozdział skarbu „stołowego” królewskiego od państwowego

publicznego, utwierdzenie odziedziczonej po wieku XV zasady wolnego handlu itd.); wreszcie coraz znaczniejsze społeczno-polityczne oddziaływanie na ościennych – to wszystko nie mogłoby się było dziać, gdyby w społeczeństwie polskim nie nagromadziło się dużo siły społecznej. Olbrzymi był rozpęd tej siły, przekazanej przez wiek XV, a wiek XVI do- daje swój dorobek, i to wystarczyło, jakkolwiek sił całkiem nowych, tj. nowych źródeł siły nie przybyło. Z jednym wyjątkiem mieszczańskich uczonych i literatów, wszystko robi szlachta sama. Tak nie mogło być zawsze; twórczość społeczna, zbyt ograniczona, musiała się wyczerpać.

Udział szlachty w życiu narodowym zaczyna się od zawodu wojennego; udział mieszczaństwa od piśmiennictwa. Mieczem utorowała sobie szlachta drogę polityczną, okupiwszy prawa swe krwią własną; od intelektu zaczyna tę samą drogę mieszczaństwo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby się doszło tą drogą, tak różną do tych samych rezultatów narodowych, a może nawet droga od intelektu byłaby krótszą, ale przyczyny zewnętrzne wywołały upadek miast i zasypały nowe źródło siły społeczno-państwowej, zanim ewolucja dalsza zdołała je rozszerzyć należycie. Szlachta popełniła błędów niemało, potem wyrodziła się nawet w sobkostwie stanowym, ale przyczyną wszystkiego złego było to, że stała się jedyną siłą społeczno-państwową w Polsce. Ta „jedyność” zgubiła ją i wszystkich innych, zgubiła Polskę całą.

Wynik byłby taki sam, gdyby „jedyność” była przy mieszczaństwie; nie o to bowiem chodzi, która warstwa posiada monopol sterowania państwem, ale o to, żeby takiego monopolu nie było. Rozróżnijmy też sprawę według jej cech istotnych: nie szlachta zgubiła Polskę, lecz monopol polityczny jako taki. Byłby jednak zgubnym, gdyby go zamiast szlachcie przyznać „chłopstwu”.

Powiedziano powyżej, że nie mamy powodu wstydzić się dróg, jakimi państwo polskie stało się „szlacheckim”. Śmiem twierdzić, że do sprowadzenia monopolu szlacheckiego przyczyniła się w znacznej mierze... dobra wola tejże szlachty. W życiu prywatnym często się zdarza, że najlepsze zamiary, wykonywane niewłaściwie, podjęte niewłaściwie, prowadzą wyniki ujemne, a nawet szkodliwymi się stają od złej woli. W życiu publicznym tym bardziej. O ileż bowiem łatwiej jest obronić się przed złą wolą,

niż przed źle zorganizowaną wolą dobrą!

Polskie nobilitacje, służyć mające za nagrodę zasłudze, stanowiły prawdziwe nieszczęście Ojczyzny. A sięgały one aż do włościństwa, na świadectwo najlepszej woli stanu szlacheckiego, przygarniającego do siebie wszystkich, miłujących „dobro pospolite”.

Jak mamy na to wyraźne świadectwa w głosach współczesnych, szlachta polska miała w XVI w. piękne i szlachetne mniemanie o istocie szlachectwa, mianowicie, że nie ma to być warstwa zamknięta w sobie, z godnością polegającą na przywileju ślepego trafu urodzenia, lecz że winna być zbiorem wszystkich lepszych, rozumniejszych i zdatniejszych osób” pochodzących pierwotnie ze wszystkich warstw. Sypały się też w XVI w. nobilitacje; kto odznaczył się czymkolwiek, zostawał szlachcicem. Niejeden z piechoty wybranieckiej dostąpił tego zaszczytu; zdarzały się nawet nobilitacje całych wsi od jednego razu. A z tego skutki fatalne: kto miał być pierwszym wśród kmieci, stawał się ostatnim wśród szlachty. Ci, którzy mieli być przodownikami swej warstwy, stawali się jej cudzymi; warstwa zaś, z której wyszli, pozostawała upośledzoną, jak przedtem. Zamiast dążności do równouprawnienia, wyrabiało się dążenie, żeby przejść do warstwy uprzywilejowanej.

Częściej niż u włościństwa zdarzały się nobilitacje mieszczan. Gdyby pozostali byli mieszczanami najlepsi miast obywatele, wywieraliby zbawienny wpływ na współobywateli miejskich; czyż zaś państwo obesłoby się bez współpracownictwa inteligentnego mieszczaństwa? gdyby im zagradzano drogę do „rzeczypospolitej”, próbowaliby wejść tam szturmem, bo przy pewnym stopniu inteligencji następuje zawsze domaganie się udziału w sprawach publicznych. Mieszczaństwo polskie pracowało dużo intelektem; świadkiem historia piśmiennictwa, ale nie wyrobiła się kultura mieszczańska, bo cały dorobek kulturalny miejski przechodził do warstwy szlacheckiej.

Spójrzmy dla przykładu na mięścinę trzeciorzędą nad górną Wisłą – Oświęcim. Młodzież tamtejsza garnęła się gęsto do studiów wyższych. W XVI w. kilkuset oświęcimian oddawało się zawodom naukowym, a kilkunastu okryto się stawa, z wielkim Łukaszem Górą na czele. Był to mąż wielkich istotnie zasług, ksiązę prozy polskiej i jeden

z najbardziej cywilizowanych Polaków w ogóle. Co za szkoda, że zrobił się z niego Górnicki! Szlachcic naprędce, który z mieszczaństwem nie miał już nic wspólnego. I tak bywało ze wszystkimi; nadawano im herby i odrywano ich od rodzimego pnia. Skończyło się to na tym, że w tymże Oświęcimiu, tak przez. Muzy upodobanym, w drugiej połowie XVII w. podpisywał się burmistrz... „znakiem Krzyża świętego”. Wszystko, co było lepszego, fruńęło na wysokie drzewo, pomiędzy herby szlacheckie; zostało na gnieździć tylko to, co było mniej zdatne. A gdy potem zakazano królowi nobilitacji, gdy później ograniczono samo pojęcie szlachectwa do szczęśliwego urodzenia, mieszczanin, przywykły przykładać się do nauk dla otrzymania nobilitacji; przestał pracować nad sobą, gdy zabrakło przynęty i nagrody państwowej.

Powtórzmy sobie, że gdyby mieszczaństwo było siłiem ekonomicznym, a przy tym inteligentnym, gdyby miało być na czele ludzi, których rada w sprawach publicznych posiadałaby wagę, bez których ciężko byłoby się obejść w załatwianiu spraw publicznych – takie mieszczaństwo dążyłoby do równouprawnienia, byłoby się wcześniej czy później o nie upomniało, a w razie niechęci, byłoby wymusiło uznanie swych praw obywatelskich. Ale w Polsce niechęci do tych ludzi właśnie nie było; przeciwnie, była chęć nagradzania ich, jak najlepiej tylko nagradzać umiano, przyznając od razu wszystkie prawa obywatelskie przez nadanie szlachectwa. Nikt się nie spostrzegł, że może powstać coś złego z dobrej wiary i dobrej woli.

W tym właśnie życia zbiorowego właściwość, że na nic samo odczuwanie sercem toku spraw publicznych, lecz trzeba patrzeć w przyszłość z pomocą rozsądku i z zimną krwią obliczać ze wszystkiego wszelkie możliwe następstwa. Gdyby szlachta polska XVI wieku była gorszą, gdyby takich Łukaszów Górów była odpychała, może byłoby lepiej dla przyszłości narodu, bo Górowie byliby 'Organizowali mieszczaństwo, a inteligencja ich podniosłaby poziom tej warstwy. Ale u nas najzdolniejsi mieszczenie marzyli o tym, żeby przestać być mieszczanami.

Nobilitacja tak pojmowana była przeto błędem politycznym, gdyż sprowadzała następstwa przeciwne zamierzonym, i stała się przyczyną skutków ujemnych. Mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem źle zorganizowanej dobrej woli, a to z powodu

przenoszenia żywcem teorii w praktykę: w tym wypadku teorii, jako szlachectwo obejmować ma wszystko, co szlachetne w społeczeństwie, ażeby zapewnić wpływy szlachetnym. Czyż można było wymyślić coś szlachetniejszego? I czyż to nie jest najzupełniejszą prawdą, jako szczęśliwym byłoby państwo, podległe wyłącznie wpływom obywateli szlachetnych, zorganizowanych do pracy publicznej? Taką to organizacją miała stać się szlachta polska, jak tego liczne są wskazówki w pisarzach złotego okresu piśmiennictwa. A tymczasem rzeczywistość zadała brutalnie kłam teorii, która nie uwzględniała zgoła warunków życia; nie uwzględniała... tarcia.

Takie stosowanie, teorii zwiemy doktrynerstwem. Teoria polska nobilitacji jest pierwszym, a niestety nie ostatnim przykładem polskiego doktrynerstwa. Geneza jego w tym, że się nie odróżniało stopniowania ilościowego w życiu zbiorowym. Kiedy chodziło o wysnucie prawideł dla życia publicznego, robiło się to na podstawie życia rodzinnego, które jest zbiorowym wprawdzie, lecz nie publicznym. Zestawiania takiego sporo można by przytoczyć przykładów, a zazwyczaj kwapiono się zarazem z wysnuwaniem wniosków do praktyki państwowej. Jeszcze częściej czerpało się argumentację polityczną z drugiego stopnia życia zbiorowego, a mianowicie z „majątności”, co także nie należało do kategorii życia publicznego. Nie zdawano sobie z tego sprawy, ani też tym mniej jeszcze z tego, że życie prywatne a publiczne bardzo niewiele mają ze sobą wspólnego co do ustroju. Zbiorowość publiczna – państwo, czy też część państwa (województwo, powiat) – nie są bynajmniej powiększoną do olbrzymich rozmiarów „majątnością”, a cóż dopiero rodziną. Zachodzi tu różnica nie ilościowa, lecz jakościowa. Pomyłka ta zdarzała się nie tylko u nas, ale u nas wysnuto z teorii najwięcej praktycznych wniosków, i trzymano się ich uparcie. My byliśmy w cywilizacji łacińskiej największymi doktrynerami.

Doktrynerstwo nasze zaczyna się w drugiej połowie XVI w., w czasie rozkwitu tedy piśmiennictwa politycznego. Nie wszyscy pisarze polityczni mieli w sobie żyłkę doktrynerską, ale ci, którzy ją mieli (Orzechowski np.), byli najpopularniejszymi. Za daleko zaprowadziłoby nas poszukiwanie przyczyn tego objawu; poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, bo. w całej tej książce o zebranie faktów chodzi przede wszystkim.

Oczywiście, że doktrynerstwo polityczne osłabia zdolność polityczną, a podcina korzenie twórczości politycznej. Żadną miarą nie można zaliczyć do objawów tej twórczości samych teorii, choćby najwspanialsze były. Polityka jest z królestwa Ethosu, a więc musi się legitymować praktyką, tj. czynną stroną życia publicznego.

Zdolność nasza polityczna wznosiła się do twórczości, póki nie owładnęło naszej umysłowości doktrynerstwo. Przyjrzyjmy się bliżej tej materii.

Dokładnym kryterium łączności spraw społecznych z państwowymi jest stopień samorządu, co można obserwować dokładnie na urządzeniach wszystkich państw europejskich, od rosyjskiego do angielskiego. Znamienne to, że to samo kryterium odnieść można do wolności obywatelskiej. Wolność, to samorząd!

W tej dziedzinie zachodzi drugie podobieństwo historii polskiej do angielskiej. Obydwa państwa nie znały nigdy biurokracji. Anglii nie sposób sobie wyobrazić z administracją biurokratyczną. Polsce została ona narzucona dopiero przez państwa zaborcze, a wznowione państwo polskie dopóty nie odnajdzie samo siebie, dopóty będzie się błąkało po manowcach, póki nie wytnie ze siebie tego pasożytnego nowotworu; jeżeli zaś nie zdobędziemy się na powrót do ustroju samorządowego, niepodległość sama będzie ciągle wystawiona na sztych, gdyż Polska biurokratyczna nie zdobędzie się na właściwą ewolucję społeczno-państwową. W razie dłuższego utrzymania państwowości biurokratycznej musiałby nastąpić rozłam pomiędzy państwem a społeczeństwem, skutkiem czego państwo nie mogłoby się nigdy wzmocnić i nie mogłoby w ogóle stawiać sobie żadnego celu poza najprymitywniejszą walką o byt. Zachodzi tu bowiem wypadek uprawiania polityki – w tym razie polityki administracyjnej – wbrew strukturze społecznej, ewolucyjnie wyrobionej. Biurokracja nie należy zgoła do ewolucji polskiej, a nawet jest duchowi narodowemu jaskrawo przeciwna. Zaprowadzono ją u nas przemocą obcego panowania, a pozostawiono po odzyskaniu niepodległości tylko siłą bezwładności, która nareszcie jednak przestanie działać...

Ograniczenie polityki do obrębu struktury ewolucyjnej społeczeństwa i państwa ścieśnia kazuistycznie jej zakres, ale za to ją pogłębia; co ujmie ilościowo niejako” przyda z lichwą jakościowo. Oby się trzymano na całą przyszłość tego ograniczenia, gdyż tylko

w nim wyrasta twórczość polityczna. Jest ona wykluczoną przy polityce sztucznej, nie liczącej się z warunkami struktury ewolucyjnej w państwie i społeczeństwie. Twórczość jest bowiem emanacją z wnętrza, z własnego ducha, którego stanowi triumf i objaw zewnętrzny dojrzały; twórczość nie jest jakimś przygodnym nabytkiem z zewnątrz.

Dopóki polityka polska trzymała się szranek własnej ewolucji społeczno-państwowej, posiadała siłę twórczą. Oto nie naśladować Zachodu, nie przyjmując ni feudalizmu, ni później legizmu (powrócimy jeszcze do tej kwestii w jednym z następnych rozdziałów, poświęconym omówieniu stosunku do Europy), wytworzyliśmy ustrój własny, nie tylko zdolny do życia politycznego, lecz powołujący do nowego życia ościenne społeczności, już politycznie zamierające. Polska polityczna twórczość stawiała się lekiem dla sąsiadów; wytrzymywała tedy próbę najcięższą, najtrudniejszą: próbę uniwersalności” iż nie była lokalną tylko zaradnością, ale dorobkiem powszechnej kultury politycznej. Polskie pomysły polityczne nie były dziełem samego tylko Ethosu polskiego, czynnego około utrzymania własnej państwowości, lecz zarazem dziełem polskiego Logosu, trwałym dorobkiem dziejów, podwyższającym poziom owej sztuki wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Przez znaczną większość czasów naszego życia historycznego dawaliśmy sobie radę na europejskiej arenie politycznej własną twórczością polityczną. Państwo nasze wyłoniło się z własnej, rodzimej organizacji społecznej, a swoistość naszego życia publicznego uderza każdego historyka, prawnika, socjologa.

Państwo Władysława Niezłomnego (Łokietka) oparłszy się na idei narodowej, było pierwszym tego rodzaju ustrojem państwowym w Europie. Zdatność polityczna, ustroju państwowego polskiego okazała się w dobie krytycznej po śmierci Kazimierza W., kiedy to za Ludwika węgierskiego obywaliśmy się faktycznie bez króla, a zmuszeni sześć razy do buntu przeciw królowi, utrzymaliśmy państwo bez szwanku z pomocą organizacji samorządnych. Dawaliśmy sobie doskonale radę, a nawet posunęliśmy państwo na wyższy szczebel rozwoju za pomocą nowego pomysłu politycznego: przez unię.

O stosunku naszym do Litwinów jako takich mowa będzie w osobnym ustępie części trzeciej. Tutaj zastanówmy się nad samą zasadą unii, bez względu na specjalne

stosunki polsko-litewskie.

Pomysł unii, jeden z najbardziej twórczych pomysłów w całej historii powszechnej, stanowi tym większą zasługę Polski, im bardziej oryginalnym on był w czasach, kiedy Zachód nie umiał urządzać stosunków międzynarodowych inaczej, jak tylko na zasadach prawa dynastycznego. System unii stanowi wyłączną własność polskiej umysłowości; wszak wzoru do niego nie było skąd czerpać. Polska znalazła się wobec stosunków i faktów, które nie dawały się regulować za pomocą form dotychczasowych; znalazłszy się wobec nowej treści, umiała Polska wynaleźć dla niej nowe formy – i w tym chwala twórczości polskiej. Wydala ona myśl nową, żeby sąsiednie kraje łączyć w jeden systemat polityczny, dokonując tego nie przemocą, ale pod hasłem równouprawnienia i obopólnej korzyści. Obmyślona w tym celu nowa forma prawno-państwowa mieściła w sobie w zasadzie od początku obydwie główne, pierwiastki prawa polskiego publicznego: swobody obywatelskie i samorząd. Wraz z unią zaczyna się natychmiast szerzenie tych dwóch zasad w kraju zuniowanym.

System unii posiada tę zaletę, że regulując stosunki między państwami czy narodami, wyklucza z góry jednostronność i narzucenie czegoś 'słabszemu przez silniejszego, boć do unii trzeba koniecznie dwóch stron; a choćby druga strona była jak najsłabszą, w unii wykluczone jest panowanie jednego narodu nad drugim, gnębienie jednego państwa przez drugie. Skoro w układzie pomiędzy dwoma państwami zachodzi w czymkolwiek stosunek nierówności, nie jest to unią. Unia jest zyskiem dla słabszego; dla silniejszego mniejsze przedstawia korzyści – ale jest korzyścią nadzwyczajną dla powszechności narodów, dla cywilizacji.

Przez półtrzecia wieku, od Kazimierza W. do początku wieku XVII rozwijało się też wspaniale prawo polskie, a na torach zupełnej oryginalności, snując swe teorie, które wytrzymywały próbę praktyki.

Dzisiaj nie trzeba chyba wywodzić, ile byłaby zyskała Europa, gdyby w wieku XVI Jagiellonowie wzięli byli górę nad Habsburgami, gdyby na zachód od Polski (od Czech poczynając) zapanowała była idea unii zamiast idei dynastycznej. Unia a dynastyczna idea wykluczają się wzajemnie. Państwa oparte na dynastyczności stoczyły też walkę z Polską

na zabój, aż wymazały ją z mapy politycznej Europy.

Gdyby system unii się rozwinął, okazałoby się, że mieści on w sobie największą różnorodność odcieni ze wszystkich form stosunków międzynarodowych; że jest najbardziej giętkim, ale też za to najspodobniejszym do jak najwszechstronniejszego zastosowania. Unia nie polega na jakimś niezmiennym kanonie. Dlatego właśnie, że nie może być narzuconą, musi zawierać w sobie niemało odcieni form, by dogodzić stronom pozostającym na nierównym poziomie państwowym, społecznym, kulturalnym. Inaczej musiałoby się zawierać unię z Litwą, inaczej z Prusami Królewskimi; a czyż unia z Czechami, na którą zanosilo się dość długo, nie byłaby jeszcze inną? Wyobraźmy też sobie (mówiąc po akademicku) debatę o unię z Niemcami, a uwydatniłby się wlot cały szereg kwestii obcych zgoła tamtym uniom.

Nie tylko z każdym kontrahentem unia musi być indywidualną, ale różnorodną być musi z tym samym kontrahentem w różnorodnych czasach.

Realizacja żadnego ideału nie odbywa się naraz, lecz stopniowo, bo w miarę pojawiania się nowych stron życia, muszą się one przejmować tymże ideałem, lub go odrzucać; jeżeli się nim przejmą, trzeba go dopiero wprowadzać w nowe kształty życia, a więc nie można do tego użyć form starych. Żywotność ideału polega na tym, by się on wciąż odradzał, ale nie na tym, by trwał bez zmian w szczegółach. Wszystko, co żywe, zmiennym jest – inaczej skostnieje, przestarzeje się i zamrze.

Dany ideał życia publicznego musi się tedy realizować na nowo na każdym szczeblu rozwoju życia zbiorowego; korzystając oczywiście z realizacji poprzedniej o tyle, o ile tradycja ułatwia zawsze kontynuację dzieła. Tradycja winna ustrzec od opaczego, niewłaściwego stosowania ideału danego na nowym szczeblu rozwoju; dobrze jest, gdy się tę korzyść osiągnie, historia bowiem notuje wielkie nieraz pomyłki pod tym względem.

Życie zbiorowe komplikuje się coraz bardziej, to też realizacja żadnego ideału zbiorowego nie jest nigdy ukończona. Rozwój życia zbiorowego nie zna granic. Ci, którzy początkowo byli niższymi co do rozwoju społecznego, państwowego, kulturalnego, mogą przegonić tamtych, którzy pierwotnie silniejszymi byli. Równouprawnienie, stanowiące istotę unii, wymagać będzie w takim razie norm innych; trzeba będzie wprowadzić

zmiany stosownie do nowych czasów i nowych ludzi. Systemat unii tym właśnie góruje ponad wszystkimi innymi, że nie przesądza na przyszłość niczego na niczyją niekorzyść; mieści w sobie najwięcej rękojmi, że w najdalszej nawet przyszłości zasada równouprawnienia utrzymana będzie; zawsze z pomocą środków odpowiednich współczesnym stosunkom. Wszakżeż unia polsko-litewska była zmieniana, poprawiana osiem razy.

Zdolność dostosowania się do czasu, miejsca i okoliczności jest w systemie unii nadzwyczajną, z pewnością większą, niż w jakimkolwiek innym ze znanych dotychczasowej historii europejskiej. Zdolność ta ma jednak granice i myliłby się, kto by przypisywał zasadzie unii zupełną uniwersalność czasu i miejsca. Ideał ten ma też swoje ograniczenia.

Unia możliwą jest tylko pomiędzy członkami tej samej cywilizacji. Dlatego niewykonalnym stał się projekt rozszerzenia unii na Moskwę (poselstwo Sapiehy 1600 r. i sprawa ze Samozwańcem, 1604-08), a nawet projekt prostego połączenia obydwóch tronów w jednej osobie (kandydatury Iwana Okrutnego, Fiedora, a z drugiej strony kandydatura Władysława IV; pomiędzy tym zaś projekt zrzucenia z tronu Zygmunta III., a ofiarowania korony Samozwańcowi). Ale co więcej: utopią była ugoda w Hadziaczu z Rusią w r. 1658, którą zerwała sama Ruś, chociaż otrzymywała warunki świetne. Ani bowiem Moskwa, ani Ruś nigdy unii nie chciała. Nie mając odpowiednich pojęć w swej kulturze, nie mogła realizować czegoś pozostającego poza jej horyzontem. Ani Moskwa, ani Ruś nie mogły chcieć unii.

Unia nie da się oktrojować, chociażby towarzyszyła temu jak najlepsza wola. My zaś staliśmy się wcześniej doktrynerami unii, stosującymi system ten na ślepo, i to tak dalece, i żeśmy przypomnieli o tym nawet, że do unii trzeba koniecznie dwóch pragnących ją zawrzeć: zatraciliśmy prosty rozsądek, skoro nam się mogło zdawać, że wystarczy, gdy my jesteśmy skłonni zawierać unię z całą uczciwością. Ileż czasu straciliśmy i sił na niewczesne zabiegi o unię we wschodniej Słowiańszczyźnie, należącej do innej cywilizacji! A doktryneryzm ten, rzecz jakżeż znamienita, obudził się natychmiast, skoro tylko zaczął się świt odrodzenia. Oto Czartoryscy marzyli zrazu o unii z Moskwy,

przypuszczając, że uda im się połączyć w swym ręku obydwie trony, polski i rosyjski. A ledwie zabłysnęła jutrzienka niepodległości... Lecz nie piszę broszury politycznej. Powtórzę tylko, że nie może być unii, gdzie nie ma drugiej strony, pragnącej ją zawierać, a kto się upiera przy tym hasle, chociaż z tamtej strony nikt o unii nie myśli, daje przykład ślepego zaiste doktrynerstwa.

Skłonność do doktrynerstwa została nam, niestety. Nie może być gorszej zawady do wyćwiczenia się w sztuce wykonywania zamiarów dotyczących ogółu, czyli w polityce.

Spotykamy się tedy w Polsce ze szczególnym objawem: wielka twórczość polityczna obok niskiego stopnia rutyny politycznej. Cóż sądzić wobec tego o polskiej zdatności politycznej?

W polityce może być zdatność bez twórczości całkiem; może też być zdatność jednostronna, objawiająca się tylko twórczością. Zdatność zupełna obejmować musi i twórczość i rzemieślniczą niejako stronę wykonawczą.

Bez odrobiny twórczości, według cudzych wzorów, lecz korzystając też pilnie z cudzego doświadczenia, można w polityce zejść daleko i otrzymywać doskonałe wyniki, zbierać wspaniałe korzyści. Żadna dziedzina intelektu nie wymaga tak mało zdolności twórczej jak polityka. Zdatność wykonywania może być wielką przy wykonywaniu pomysłów cudzych, a pomysły cudze mogą być zupełnie wystarczającymi do utrzymania państwa; gdy tymczasem gdzie indziej może panować obfitość nawet pomysłów oryginalnych, a dobrych, a szwankować zdatność do ich wykonania.

Do państwowej i społecznej walki o byt twórczość polityczna zapewne potrzebną nie jest; ale państwa, narody i społeczeństwa, nie obdarzające cywilizacji niczym własnym, oryginalnym, pozbawione są znaczenia ogólnego, ponieważ ogólny zestrój danego zespołu cywilizacyjnego byłby bez nich taki sam; nie mają też takie społeczeństwa żadnego celu poza własną walką o byt. Twórczość polityczna stanowi przeto nieodzowny warunek, ażeby dane państwo miało jakieś znaczenie i jakiś cel. Pod tym względem istnieje tu podobieństwo z życiem prywatnym: może się komuś bardzo dobrze powodzić, chociaż to osoba bez znaczenia, której brak celu w życiu; może zaś ktoś posiadać wielkie znaczenie dla potrzeb ogółu, przejęty górnymi celami w życiu, ale może mu się powodzić

źle, bo choć celuje zdolnością twórczą, brak mu w dostatecznej mierze zdolności praktycznej życia powszedniego.

Znany to powszechnie fakt, jako dar inicjatywy rzadko łączy się ze zdolnością wykonawczą. Twórczość polityczna nie jest niczym innym jak darem rozumnej inicjatywy, dzięki której powstaje coś nowego w stosunkach życia publicznego. Jednostkę, która obmyśli coś takiego, pożytecznego dla ogółu, można, a w danym razie nawet należy zwolnić od wymagania, żeby sama wykonała, co wymyśliła; znajdzie się kto inny, specjalista od wykonywania. Inna atoli sprawa, jeżeli w całym społeczeństwie nie znajdują się wykonawcy; społeczeństwo, wzięte jako całość, nie może być zwolnione od postulatu wykonywania myśli w nim samym zrodzonych. W jakiegokolwiek zdarzałoby się to dziedzinie życia, w nauce, w sztuce, czy w przemyśle lub w jakimkolwiek zakresie, świadczyć to będzie zawsze o niedojrzałości, lub o niedostatkach w organizacji społeczeństwa, jeżeli inicjator poszukiwać musi wykonawców w obcym społeczeństwie, nie mogąc ich znaleźć we własnym. W polityce atoli jakżeż można ubiegać się o wykonanie pomysłu pośród obcych? Dodajmy też, że wykonawczość jest w polityce zbiorową, bo stanowczo niewykonalnym jest w życiu publicznym wszystko, czym nie zainteresuje się znaczniejsza ilość obywateli nieosiągalnym jest, czego nie pragnie ogół. Ochoczych do wykonania muszą być tysiące, setki tysięcy, jeżeli pomysł polityczny ma być wykonany; inaczej pomysł przebrzmi bez echa, a nawet pamięć o nim zaginie. Wykonywanie nie zawsze jeszcze kończy się wykonaniem; zdarza się wykonywanie bez rezultatu. Setki tysięcy pragną czegoś, wykonują to ofiarnie, z zapałem i poświęceniem, ale wykonywanie źle jest zorganizowane, a na czele akcji realizującej brak ludzi obdarzonych zdolnością polityczną – i wtenczas pomimo wszystko celu się nie osiąga.

Zdatność polityczna ogółu składa się tedy bezwarunkowo z obu pierwiastków, z twórczości i z umiejętności wykonania. Jeżeli jej brak twórczości, jest zdatnością niższego rzędu, lecz jeżeli jej brak wykonawczości, nie jest wcale zdatnością. Politykę oceniać należy pod tym względem odmiennie, niż inne działy pojęć oderwanych w życiu. Zdatność polityczna musi się wylegitymować realizacją, boć inaczej jakżeż ocenić wartość samego pomysłu, póki nie został wypraktykowany?

Odróżnić należy jednak samo wykonanie od powodzenia w polityce. Może coś zostać wykonanym dobrze, a pomimo to nie powieść się. Powodzenie zawisło od okoliczności postronnych niemal tak samo, jak od wewnętrznej wartości samejże rzeczy. Polityk winien je przewidywać i postępować stosownie do tego; jeżeli tego nie umie, pozbawiony jest zdadności politycznej. Zachodzi atoli ten wzgląd, że pośród zawilego splotu okoliczności życia publicznego w danymi kraju, a cóż dopiero w stosunkach międzynarodowych wyrobić się może zawsze jakiś vis maior, której uległszy, nie traci się nic ze swej wartości. I dlatego to powodzenie samo nie może stanowić wyłącznego kryterium politycznego.

Polskie swoiste urządzenia życia publicznego: wolności obywatelskie, samorząd, unia, wytrzymały długo próbę realizacji; do tych pomyślnych zdobyczy politycznych dodać należy jeszcze polski program ekonomiczny aż do połowy mniej więcej wieku XVI (o czym była mowa w części pierwszej). W połowie wieku XVII realizacja psuje się; około roku 1700 sejmowanie przechodzi w karykaturę, samorząd, w bezrząd. Dlaczego?

Nastąpił upadek polskich instytucji życia publicznego, ponieważ przestały się one zmieniać odpowiednio do nowych czasów i okoliczności. Jak powiedziano wyżej, żywotność ideału wymaga nieustannego odradzania się z pokolenia w pokolenie; jeżeli zaś trwa on bez zmian w szczegółach” staje się przestarzałym. Niestosownie zorganizowany kierunek, choćby w zasadzie najlepszy, staje się szkodliwym. To też szkodliwym staje się wszystko, co przestaje ulegać postępowym zmianom, co prze- staje „z żywymi naprzód iść”, co przestało się doskonalić.

Tu wystarczy powołać się na przykry fakt, który stwierdzono już w ustępie o prawie polskim, jako rozwój jego trwał zbyt krótko. Unia lubelska była ostatnim już określeniem stosunku do Litwy aż do sejmu czteroletniego (więcej o tym w osobnym ustępie o Litwie). Potem jeszcze artykuły henrycjańskie, trybunały główne za Batorego i prawo polskie popada w zastój. Twórczość prawniczo-polityczna zamknęła się... a ustrój życia publicznego u nas był zbyt swoisty, iżby można było wegetować naśladownictwem.

Nie wygasła twórczość polska społeczno-państwowa, ale straciła wszelką wartość polityczną, a nawet wpływała nadzwyczaj ujemnie na państwo i społeczeństwo, gdyż

toczył ją czerw doktrynerstwa, rozpanoszywszy się już w straszliwy sposób. W półczwarta miesiąca zajął Karol Gustaw, całą Polskę i Litwę, bo doktrynerstwo polskie robiło z niego kandydata do tronu elekcyjnego! Andrzej Maksymilian Fredro (1679) był twórcą całego systemu politycznego, wielce oryginalnego, który został wykonany i... prowadził prosto do upadku państwa. On wymyślił teorię polityczną, jako najlepiej nie zajmować się polityką zagraniczną, nie mieć fortec, a w skarbie pustki. Co nam dziś wydaje się obłędem umysłowym, to uważane było całkiem poważnie za mądre, przemyślane wielce wskazania polityczne. Logiki nie odmówi Fredrze, kto przyjmie jego założenie, jako ludzie starają się szkodzić tylko takiemu, którego się boją; kogo zaś nie boją się, ten jest pomiędzy ludźmi bezpieczny. O wartości tej tezy można by dyskutować, gdyby stosowaną być miała do życia prywatnego; w dziedzinie publicznego jest to dziwoląg oczywiście.

Bo też Fredro uważa państwo za majątność narodu, jak wioska jest majątnością szlachcica. Po Fredrze nastąpił rychły już upadek życia publicznego.

Zamarła polska zdadność polityczna na doktrynerstwo. Choroba ta powstaje z jednostronności w rozważaniu danego przedmiotu. Taką jednostronnością Było traktowanie życia publicznego pod kątem widzenia dobrze zorganizowanego życia prywatnego, stosowanie jednakiej metody tu i tam.

Pozostawało to niewątpliwie w związku z jednostronnością struktury życia publicznego, zawartego w wyłączności szlachecczyzny, skutkiem czego zaczęto do państwa stosować „ekonomikę” folwarku, mniemając, że to to samo, tylko na większą skalę.

Życie nie wypływa nigdy z jednego tylko źródła, ani nie płynie jednym tylko łożyskiem. Zdrowe życie publiczne niemożliwe jest, jeżeli nie wszystkim warstwom danym jest wytwarzać nowe siły społeczne. Wszelka siła wymaga ciągłego odnawiania przez powoływanie do działania nowych silników (motorów). Pod tym względem świat materialny a duchowy ulegają temu samemu prawu.

Polityka w Polsce, wyrastając nie z całego społeczeństwa, stawała się coraz znaczniejszej jego części coraz obojętniejszą; nie interesowano się tym, na co nie miano wpływu. W miarę jak możnowładztwo brało górę w upadającej Rzeczypospolitej,

przestawała się już i' szlachta interesować sprawami politycznemu W ograniczeniu coraz ciaśniejszym było więc coraz mniej pola do rozwoju zdatności politycznej.

Zapewne, ale czyż ścieśnienie to stanowiło cechę wyłącznie polską w owych czasach? W innych krajach pole twórczości politycznej, a choćby tylko ćwiczenia samej zdatności wykonawczej było jeszcze węższe niż w Polsce, ograniczone do monarszego dworu...

Ułomność jednostronności politycznej usuwano, indziej w potokach krwi, a w Polsce usunięto ją bez wojny domowej w wiekopomnej konstytucji Trzeciego Maja. Do zalet jej należy i to, że zapobiegała z góry zastojowi, nakazując co 25 lat rewizję ustawy.

Tymczasem vis maior stosunków zewnętrznych nie dopuściła do wykonania ustawy Trzeciego Maja. A potem... nieudane powstania polskie nie mogą stanowić dowodu zdatności politycznej. Czy okazujemy ją, odzyskawszy niepodległość?

Niełatwo wspiąć się ponownie na sam szczyt Ethosu, gdy go się raz opuściło. Tam trzeba się wspinać stopniowo, wśród znoju i utrapień. Lecz nie zrażajmy się. Ojcowie nasi umieli umierać dla Ojczyzny; my nie traćmy tej gotowości" a douczmy się żyć dla Ojczyzny, tj. umieć działać z korzyścią dla Niej.

Wspinać się na szczyt Ethosu, w dziedzinę polityki rozumnej, uczciwej a skutecznej, trzeba z pomocą Logosu, od którego pochodzi wszelki zawiązek twórczości. Bez odpowiednika Logosu polityka nie może być twórczą, choćby najczynniejszą była, tj. choćby najbardziej obfitowała w wydarzenia zewnętrzne. Nie może przeto być twórczą polityka uprawiana przez nieuków.

Ponieważ skuteczną może być polityka tylko w granicach struktury ewolucyjnej, a zatem tym samym tylko w granicach kultury umysłowej, istniejącej w danym czasie i w danym miejscu. Czerpać środki musi polityka ze wszystkich sześciu kategorii kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: z historyzmu i. ludowości, z prac umysłowych około darów przyrody, z handlu, przemysłu i z oświaty. Państwo nowożytne, powołując do obywatelstwa szersze warstwy ludowe, uległoby wykolejeniu, gdyby nie dbało o oświatę tych mas; ich Ethos, puszczony samopas bez dozoru Logosu, prowadziłoby prosto do przepaści. Bez historyzmu nie ma polityki dla społeczeństwa, posiadającego

historię; a że nie ma narodu bez historii, wszelka więc polityka narodowa musi czerpać środki z historyzmu. Ale będą to dopiero środki duchowe, trzeba zaś jeszcze materialnych, dostarczających siły materialnej. Polityka skuteczna musi przeto czerpać pełną dłoń z dobrobytu obywateli, z pielęgnowania z pomocą inteligencji darów przyrody, z handlu i przemysłu.

Niech mi będzie wolno powtórzyć, jako nie ma twórczości bez wytkniętego celu; a zatem nie ma bez tego polityki czynnej, takiej, która stanowi o znaczeniu państwa w układzie politycznym powszechnym. Znaczenie zaś Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i handel (tego nie można powtarzać dość często). Państwo nowopowstające musi się znaleźć jak najprędzej na właściwym sobie miejscu pośród powszechności państw, musi pozyskać sobie jakieś znaczenie – z czego wynika, że dla Polski nie ma sprawy pilniejszej, jak sprawa podwyższania polskiego dobrobytu. Ta polityka będzie u nas twórczą, która ku sprawom dobrobytu zwróci się jak najmocniej.

Roztrząsania sprawy o naszą zdatność polityczną wymagały napomknienia o ramach polityki powszechnej, europejskiej. Jest to aż nazbyt proste, skoro roztrząsania nasze mają nas wieść do oznaczenia znaczenia i celu Polski. Ani jedno, ani drugie nie może być zbadane należycie bez uwzględnienia tła europejskiego. Nie posuniemy się też już ani na krok dalej w niniejszych wywodach, póki nie przeniesiemy dociekań naszych na szersze tło europejskiej powszechności.

Tam więc podążymy w części trzeciej naszego dziełka, badając powszechność sprawy polskiej, jako dalszą kategorię ujęcia przedmiotu, niezbędną do należytego wyjaśnienia zagadnień, o które nam chodzi.

Zacniemy od rzeczy ogólnej, od określenia stanowiska i znaczenia Polski w przedrozbiorowym okresie uczestnictwa jej w historii powszechnej europejskiej. Najogólniejszą kwestią dziejów Polski jest stanowisko jej historyczne na rubieży Zachodu a Wschodu, rola jej pomiędzy tymi dwoma światami. Któż z nas nie zna miłego dla ucha wyrażenia o misji naszej historycznej do utworzenia syntezy Zachodu i Wschodu?

Od krytycznego rozpatrzenia tej kwestii zacniemy też nasze uwagi

o powszechności sprawy polskiej. Zapuścimy się w odmienną zgoła dziedzinę zjawisk, ale nie oddalimy się ani na chwilę od przedmiotu, który winien być oświetlony wszechstronnie, jeżeli ma być wyjaśniony.

POLSKIE LOGOS A ETHOS

FELIKS KONECZNY

POLSKIE LOGOS A ETHOS

ROZTRZĄSĄNIE O ZNACZENIU I CELU POLSKI

TOM II.

POZNAŃ ■ 1921 – WARSZAWA KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

CZEŚĆ III. POWSZECHNOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.

Rozdział VIII. Dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu.

W rozdziale wstępnym zwróciłem uwagę, jako ludzkość dzieli się na cywilizacje, które odróżniać należy według pewnych cech zasadniczych, z pomocą szeregu cech znamienych. Nie ma żadnej cywilizacji ogólnoludzkiej, ani też jakiegoś ogólnoludzkiego pochodzenia cywilizacyjnego w tym znaczeniu, iżby każda społeczność cywilizująca się musiała przechodzić przez takie same szczeble rozwoju i takie same objawy życia indywidualnego i zbiorowego; przeciwnie, pochodzenie rozwojowe każdej cywilizacji jest odrębne.

Cywilizacje mogą mieścić się na osobnych obszarach, a mogą też zachodzić na siebie geograficznie i mieścić się po dwie, a nawet więcej na tym samym obszarze. Np. cywilizacja żydowska mieści się obok każdej innej, a miasta orientalne, np. Kair, są istnymi rojowiskami rozmaitych cywilizacji. Stykając się z sobą, czy to stale geograficznie, czy też za pośrednictwem wojny, handlu, piśmiennictwa itp., oddziałują na siebie wzajemnie cywilizacje, w stopniu przeróżnym, mniejszym lub większym. Czasem mieszają się z sobą w sposób widoczny. Czy zmierzają do syntezy?

Jeżeli tak, natenczas należy w zasadzie przypuścić możebność jakiejś arcycywilizacji, jako syntezy wszystkich cywilizacji... Spróbujmy rozważyć sprawę na przykładzie zaczerpniętym z zakresu tego, co Europejczyk zowie cywilizacją Zachodu a Wschodu, który ta przedmiot wchodzi właśnie w samą istotę tematu, jakiemu poświęcone jest niniejsze dziełko.

Sprawa³⁶ sięga daleko w głąb dziejów starożytnych. Zaraz po wojnach perskich objawiły się wśród Hellenów próby zbliżenia się do cywilizacji perskiej, gdy potęga polityczna perska przestała już być niebezpieczna dla niepodległości greckiej. Wybitni

³⁶ Rozdział mniejszy jest rozszerzeniem wykładu inauguracyjnego na katedrze historii wschodniej Europy w uniwersytecie Stefana Batorego, wygłoszonego w Wilnie d. 20 października 1919 r.

mężowie helleńscy emigrowali do „króla”, przybierali perski obyczaj, przywdziewali perskie szaty; przechodzili w sferę innej cywilizacji. próbując łączyć kulturę umysłową helleńską z perską kulturą siły. Ksenofon nie waha się wystawiać Persów Hellenom za wzór pod niejednym względem, a greccy zaciężni służą perskim celom. Zaczyna się pierwszy okres dążeń do syntezy Europy i Azji, dążeń coraz usilniejszych, aż wydały, one owoc: wyprawy Aleksandra Wielkiego, mające spełnić orężem marzenia intelektu greckiego o syntezie dwóch cywilizacji.

Od nawiązywania stosunków kulturalnych. pomiędzy Grecją a Persją zaczyna się nasz przegląd faktów, boć trwałe podłoże kulturalne w ogóle, w dostępnych naszej wiedzy czasach i obszarach dziejów powszechnych, poczyną, się od dwóch cywilizacji pełnych: irańskiej i helleńskiej. Irańska, reprezentowana długo głównie przez Persów, mieszała się z pierwiastkami chamickimi i semickimi, nabierając coraz więcej cech semickich (od czego też upadła). W mieszaninę irańsko-semicką uderzyły wyprawy Aleksandra Wielkiego i nastąpiła pierwsza próba syntezy Zachodu i Wschodu. Wytworzył się z tego hellenizm zbarbaryzowany, tzw. kultura hellenistyczna, rozlana szeroko aż po Samarkandę i granice Indii. Niebawem wzięły w hellenistyczności górę pierwiastki wschodnie, tolerując tylko formy hellenistyczne, a wytwarzając w istocie rzeczy zwyrodnienie hellenizmu. Nie brak w Syrii zabytków piękna, ale pomimo rozwoju sztuki cóż miał w sobie z Ateńczyka czy Spartanina Syryjczyk diadochów? I czy zostało nam z całej hellenistyczności choć jedno wielkie nazwisko uczonego lub artysty?

Natomiast druga ekspansja hellenizmu, ku Zachodowi, obróciła się w jasne słupy wielkiej cywilizacji, gorejące dotychczas. Zespół Aten i Rzymu zrodził tę „klasycyzację”, która stała się jakby wrodzoną cechą człowieczeństwa w Europie, boć bez niej nie ma Europejczyka cywilizowanego. My wszyscy dziećmi tej cywilizacji, która, stała się następnie chrześcijańsko-klasycyzacją, ale z czasów jeszcze przedchrześcijańskich wywodzi trzy swoje cechy zasadnicze: odrębność prawa publicznego (od prywatnego), odrębność organizacji społecznej (od państwowej) i poczucie narodowości.

Minęły wieki, i w ślad za orężem rzymskim rozpoczął się pochód cywilizacyjny na Wschód azjatycki. Wszak były tam kultury hellenistyczne; lecz kiedy dotarł tam

klasycyzm helleńsko-romański, okazało się, że- kraje tamte i ludy są mu kulturalnie zupełnie obcymi. Cóż miała Kybele do Junony?! I znowu powtarza się objaw taki sam, jak za następców Aleksandra Wielkiego: w miarę jak panowanie rzymskie posuwa się w głąb Azji Mniejszej, nabiera Wschód ledwie form mniej więcej na półklasycznych, i to tylko w pewnych objawach życia, podczas, gdy sama cywilizacja klasyczna nabiera coraz mocniej naleciałości orientalnych, a po pewnym czasie przejmuje się nimi dosadnie. Nie zromanizowała się Azja Mniejsza, ale Rzym zorientalizował się ostatecznie. Pokonało się Antiochia, ale bogowie azjatyccy poprzenosili się do Rzymu.

Imperium rzymskie wyłoniło, się ewolucyjnie z republikanizmu greckiego i rzymskiego, lecz rozwój jego załamał się wkrótce pod wpływem orientalizmu i zamienił się on w azjatycki despotyzm. Neron deklamuje Homera, lecz społecznie jest zupełnym Azjata, a w dwa wieki po śmierci Augusta zostaje następcą jego Elagabal, kapłan słońca z syryjskiej Emezy. Pojęcia państwowe rzymskie doznają istnego przewrotu.

Okolo cesarskiego tronu rzymskiego odbywała się walka Zachodu ze Wschodem na kilka zawodów, a coraz. pomyślniejsza dla Wschodu. Pod koniec wieku III rządzi światem Dioklecjan z bityńskiej Nikomedii, ze swego dworu urządzonego zupełnie na sposób orientalny, i odtąd prąd orientalny zyskuje coraz wybitniejszą przewagę. Podział cesarstwa, ponowne zrastanie się i nowe znowu podziały – to wszystko było tylko objawem i stwierdzeniem tego stanu rzeczy, iż zachodziło zmaganie się dwóch cywilizacji i że Zachód bronił się od przewagi Wschodu. Ostatecznie utrwalił się rozdział państwowy.

Ogłoszone od r. 350 „Nowym Rzymem” Bizancjum było zrazu niewątpliwie wyższym cywilizacyjnie i uważało się długo słusznie za główne ognisko cywilizacji klasycznej, lecz wśród ponownej nawały wpływów orientalnych, które rozpanoszyły się tam w strzępach trybunatu, konsulatu, imperatorostwa, schodzi Bizancjum coraz niżej, na jakieś karykaturalne odbicie świata klasycznego w zwierciadle orientalizmu. Ztracono pojęcie narodowości; państwowość zaś bizantyńska, to „autokratorstwo”, samowładztwo absolutne, powstałe z mieszaniny państwowości rzymskiej a orientalnej. Nie ma tam poddaństwu azjatyckiego, istnieje prawo publiczne i formy obywatelskie, ale karność rzymskiego urzędnika zamieniła się w służalczość, uznawaną wprost za zasadę porządku

publicznego. Poważny „magistratus” wyrodził się w trywialnego biurokratę. Organizacja społeczna nie była wprawdzie oparta na państwowej, ale od państwa i jego instytucji wielce zależna.

Tak bizantyzm stał się powtórnią próbą syntezy Wschodu a Zachodu, stał się następcą kultury diadochów, a bezpośrednim ciągiem dalszym despotyzmu zorientalizowanych imperatorów rzymskich.

Oto owoc pomieszania pierwiastków klasycznych, rzymsko-helleńskich, z azjatyckimi.

Tak tedy sama już starożytna historia poucza, że z zetknięcia dwóch cywilizacji, z tak zwanego krzyżowania kulturalnego, bywają skutki czasem dobroczynne (jak np. z połączenia hellenizmu i latynizmu), a czasem szkodliwe, nieraz wprost zabójcze dla rozwoju cywilizacji. Hellenistyczność pozbawiona była siły twórczej, a podobnie bizantyzm.

Nie każda mieszanina jest syntezą!

W wiekach średnich istniały wzdłuż długiego -zwału lądów Europy i Azji trzy pełne cywilizacje, których ogniskami Rzym, Bagdad, Pekin, a pomiędzy nimi klinem wbite dwa mieszańce ułomne: kapiące od złota Bizancjum, i Karakorum nad Orchonem, w dorzeczu jeziora Bajkalskiego, złożone z lepierek glinianych, obwarowanych walem, stołeczne obozowisko kaganów Azji środkowej, następnie stolica dżingishanów. Ze wszystkich tych ognisk kultur orientalnych wychodziły prądy, popierane częstokroć orężem, by rozszerzać się ku zachodowi.

Islam wywierał wpływ na bałkański bizantyzm od sześciu wieków, zanim pojawili się Turcy na europejskim brzegu morza Egejskiego. Orient okazał się od razu silniejszym. Nie udzieliło się islamowi malarstwo religijne, lecz w cerkwi bizantyńskiej nastąpiło obrazoburstwo (na dwa zawody, w latach 717-780 i 813-842), nie uzupełnia się tedy w niczym cywilizacja muzułmańska, ale kurczyła się bizantyńska, chrześcijańska.

Bagdad promieniował dziwnie daleko na zachód: wszak (poprzez szereg pośrednich przęseł) wpływy jego sięgnęły aż do Sycylii i Hiszpanii, gdzie następstwa pobytu „Saracenów” zostały nawet po złamaniu ich panowania. A była to najprzedniejsza

gałąź cywilizacji muzułmańskiej, niezarażona turańskością; kalifat kordowski stanowił też obok bagdadzkiego najwyższą wspinałość islamu i ma zaszczytną kartę w dziejach cywilizacji, w rozwoju sztuk i nauk, a jednak nie doprowadził do syntezy dwóch światów na Iberyjskim półwyspie. Jak niegdyś Hellenowie przejmowali się kulturą perską, greckie światła wzajemnie pośród Persów rozpalając bezskutecznie), podobnie Hiszpanie i Maurowie przechodzili gęsto z jednej strefy cywilizacyjnej w drugą, zwłaszcza że małżeństwa mieszane były pospolite. Liczni „renegados” przyjmowali nawet islam, a oto nowsze badania wykryły, że „renegados” przyczynili się właśnie najbardziej do ...rozstroju i upadku kultury kordowskiej i muzułmaństwa hiszpańskiego w ogóle, bardziej niż „mozarabowie” (chrześcijanie pod panowaniem islamu). Z łaciną rywalizował język arabski, będący również językiem tylko książkowym; rywalizował skutecznie: chrześcijanie posługiwali się w naukach arabszczyzną, podczas gdy wyjątkowo który Maur znał łacinę, a jednak nie powstało z tego mieszania się nic trwałego. Fakty te wiodą tylko do wniosku, jaki narzucał się już przy historii starożytnej, że na dążeniach do syntezy Zachodu i Wschodu wychodzi zawsze lepiej Wschód, zyskując przewagę nad pierwiastkami zachodnimi, a przewaga ta mieści w sobie właśnie zarodki rozstroju i upadku całej... mieszaniny, nie dającej się sprowadzić do wspólnego mianownika.

Zachód promieniował wzajemnie ku Wschodowi, a przede wszystkim główna jego siła i moc: chrześcijaństwo. Im głębiej sięgało do Azji, tym bardziej wyradzało się, tworząc sekty, które zawierały w sobie coraz mniej chrystianizmu. Już w VIII w. był nestorianizm aż w Chinach, i rozwijał się tam długo świetnie. Wypaczył się jednak do reszty na zetknięciu z cywilizacją turańską; chrześcijaństwo azjatyckie bowiem, zamiast opanować turańszczyznę, stało się względem niej ustępliwym, zmierzając do syntezy.

Na obszarach ludów mongolskich i tureckich w Azji środkowej istniała odwieczna cywilizacja turańska, której cechami zasadniczymi: lokalizm religijny, brak pojęcia narodowości, budowa państwa oparta na prawie prywatnym i wyłącznie wojenna organizacja społeczna. Wszyscy Turańcy zorganizowani byli po wojskowemu, z dokładnością niejednakową atoli, odpowiednio do stopnia ich cywilizacji; najdokładniej wykonali to później dopiero Mongołowie, gdy przejęli się cywilizacją turańską, a dodali

do niej i coś z chińskiej. Po Mongołach kontynuowali organizację militarną na wielką skalę Tatarzy, będący Turańcami z niewielką domieszką pierwiastka mongolskiego; po nich zaś społeczność Osmanlisów, uważana mylnie za narodowość turecką. Ani Tatarzy, ni Mongołowie, ni Turcy nie byli nigdy narodem, nie posiadając w swej umysłowości zgoła tego pojęcia.

Wśród Turańców może lud utracić nawet całkowicie język ojczysty, a jednak nie przestaje być sobą, tą samą społecznością. Tak np. potomkowie owych Mongołów, którzy zdobyli Ruś w XIII wieku, mówią narzeczami tureckimi, turecka zaś grupa językowa nie ma etnograficznie nic wspólnego z mongolszczyzną...

Właściwie nie było nigdy jakiejś etnograficznej społeczności huńskiej, madiarskiej, mongolskiej, mandżurskiej lub tureckiej. Były to związki polityczne rozmaitych ludów, występujące pod owymi nazwami, a złożone pod względem etnograficznym wielce niejednolicie. W chaosie ludów azjatyckich można grupować tylko języki; same zaś ludy – o ile nie ugrzęzły w bycie pierwotnym, lecz występowały czynnie na widowni dziejów, są grupami wyłącznie politycznymi.

Hasła, pod którymi dokonywały się w Azji formacje społeczeństw, bywały ekonomiczne i społeczne; wśród ludów cywilizacji turańskiej ekonomiczne działały silniej.

Na pierwszy plan wysunął się wśród Turańców właściwych i wśród Mongołów, należących do cywilizacji turańskiej, pewien rodzaj walki o byt, znany w Europie zaledwie w miniaturze: utrzymywanie się z rzemiosła wojennego, co w Azji stało się pierwszorzędnym czynnikiem twórczym społeczeństw i państw. Wyobraźmy sobie kondotierstwo i zaciężne najemnictwo, ogarniające całe narody. A najbardziej odznaczały się w tym kierunku ludy tureckie. Te ludy – to pułki; przybierają też często nazwy od wodzów (np. Osman).

Tę cechę turańszczyzny doprowadzili do najwyższego szczytu nie właściwi (etnograficznie) Turańcy, lecz Mongołowie, odkąd przyjęli cywilizację turańską. Kiedy w XIII wieku powstało uniwersalne państwo mongolskie, nestorianizm należał do jego pierwiastków twórczych; żywioł chrześcijański sprzyjał bowiem podbojom Temudżina

jak najgoręcej, upatrując w jego państwie ochronę przed zalewem muzułmańskim. Ale chrześcijanie, ci wschodni, pomagali z zapałem niszczyć chrześcijan zachodnich: w bitwie pod Legnicą (1241 r.) odznaczyły się pułki nestoriańskie, walczące pod sztandarami znaczonego skośnym krzyżem św. Jędrzeja.

Istnieje okres chrześcijański w polityce mongolskiej. W połowie XIII wieku dżingishan Hulagu był synem nesiorianki i nestoriankę miał za żonę. Nastają czasy „krucjat mongolskich”, bez porównania większych i potężniejszych, niż katolickie europejskie. W r. 1252 runął kalifat bagdadzki. Wodzem naczelnym tej wyprawy był Naimane Kut Buka, nestorianin, który pałając niemniej od europejskiego rycerstwa pragnieniem odebrania Ziemi świętej z rąk niewiernych, doprowadził po wielu staraniach do tego, iż go wyprawiono na zdobycie Palestyny. Zainteresowany tym przedsięwzięciem cesarz Chin, Kubilaj, pragnął działać wspólnie z królem francuskim, Ludwikiem św., odstępując mu z góry całą Syrię. Niewygodne kombinacje skończyły się atoli klęską tak katolików, jako też nestorianów. Zwyciężyli niebawem muzułmanie. Ten sam Bondokdar, który był zwycięzcą Ludwika św. i zdobywcą ostatnich warowni chrześcijańskich w Azji Mniejszej, zadał też Mongołom pierwszą klęskę (1260) i kazał zburzyć wszystkie kościoły w Palestynie. Agenci jego szerzyli islam wśród Mongołów, a dżingishanowie wahali się. Jeszcze Sartak, władca Kipczaku (syn Batego) był nestorianinem, lecz jego młodszy brat i następca, Berek, przeszedł w r. 1262 na islam.

Tak skończyło swą rolę dziejową chrześcijaństwo mongolskie, którego działalność polegała na tym, żeby pomagać Mongołom w niszczeniu cywilizacji chrześcijańskiej! Przystosowanie się chrześcijaństwa do chińszczyzny i mongolstwa w nestoriańskiej sekcji wyszło jedynie na szkodę chrześcijaństwa³⁷.

³⁷ Nestor, prezbiter antiocheński, a w r. 428 patriarcha carogrodzki, nauczał, że natury ludzka a boska pozostały w Chrystusie- zupełnie oddzielone, odrębne (wysnuwał z tego np. wniosek, że Najświętsza Maria Panna, będąc matką Chrystusa, nie była jednak matką. Bożą). Potępiony przez sobór efeski 431 r., znalazł zwolenników w Syrii, skąd sekta szerzyła się pod nazwą „chrześcijan chaldejskich”. Nic czczą obrazów i nie wymagają celibatu od duchowieństwa. Drobną część nestorianów przyjęła unię z Rzymem w drugiej połowie 16 wieku. Nestorianizm dyzunicki, rozwijając się dalej odrzucił cztery

Tymczasem w Europie zachodniej szerzył się bizantyzm. Ekspansja ta sięgała daleko i głęboko, a gdziekolwiek sięgnęła, odznaczała się wszechstronnością, od wpływów w dziedzinie sztuki aż do pojęć państwowych. Wolną od wpływów bizantyńskich była zachodnia Słowiańszczyzna³⁸. Skandynawia, tudzież ta północno-zachodnia część Europy, która poddana została wpływom skandynawskim (normandzkim). Bizantyzm sięgnął poprzez Illiricum i Dalmację do Italii; przeważał tam na południu, malał ku północy i nigdy od strony włoskiej Alp nie przekroczył. Znalazł się na północy Alp inną drogą, wprowadzony aż do Niemiec bezpośrednio z Carogrodu.

Rodzoną siostrą księżny kijowskiej, Anny Włodzimierzowej, była słynna w dziejach Teofania, poślubiona w r. 972 Ottonowi II, następnie regentka za małoletności swego syna, Ottona III, do r. 991. Ta nie tylko wprowadziła obyczaj dworski bizantyński do Niemiec, ale wraz z gronem wybitnych bizantyńskich uczonych i statystów wytworzyła środowisko bizantyńskiej idei politycznej, która przyjęła się w Niemczech do tego stopnia,

sakramenty, uznając tylko spowiedź, sakrament kapłaństwa i częściowo, gdyż bez transsubstancjacji, Sakrament Ołtarza.

Nestorianizm wywarł wielki wpływ 'na rozwój (czy raczej na skostnienie) cerkwi wschodnio-słowiańskiej, – czym, jednakże nikt dotychczas nie zajmował się. Hanowie tatarscy, zwierzchnicy Moskwy, nie odróżniali zgoła „prawowierja”, tj. cerkwi grecko-słowiańskiej, od nestorianizmu. Biskup „eparchii serajskiej”, rezydujący stale przy hanie kipczackim, jako przedstawiciel cerkwi, nie przeczył widocznie temu nieporozumieniu; być może, że wyzyskiwał je umyślnie dla celów cerkwi. Dużo objawów z dziejów metropolii „Kijowa i wszystkiej Rusi” tłumaczyłoby się jasno wpływami nestoriańskimi, ale nie sposób wdawać się w to bliżej, przy dzisiejszym stanie nauki.

³⁸ Na pomyłce polega zaliczanie do bizantyńskiej ekspansji misji św. Cyryla i Metodego na Morawach, a pośrednio, przez uczniów, w Czechach i w Małopolsce (Wiślica). Jakkolwiek apostołowie słowiańscy z Bałkanów pochodzili i ze wschodniej wyszli cerkwi, jednakże zerwali z nią całkowicie, przyjęli sami obrządek rzymski i utworzyli nowe jego rozgałęzienie: obrządek rzymsko-słowiański, zwany też głągolicim od pisma, wynalezionego przez św. Cyryla, głągolicy. Obrządek ten istnieje dotychczas w Istrii i w niektórych gminach Dalmacji. Ze Słowiańszczyzną wschodnią nigdy św. Cyryl i Metody nie mieli żadnych stosunków; cyrylica zaś (od której pochodzi graždanka) jest wynalazkiem nie tego św. Cyryla, lecz Cyryla z Presławia, mnicha bułgarskiego. za czasów cara Symeona (888-927), a zatem już po śmierci św. Cyryla (✠ 869),

iż stanowi odtąd istotną cechę dziejów niemieckich i należy do niemieckiej kultury. Nigdzie na całym świecie nie osadził się bizantyzm tak mocno jak w Niemczech, tak iż powstał niemiecki rodzaj bizantyzmu, istniejący jeszcze do dnia dzisiejszego. Można śmiało mówić o kulturze bizantyńskiej w Niemczech.

Cesarstwo średniowieczne niemieckie nie od następców Karola Wielkiego się wywodzi, boć Karolingowie zbyt niewiele mieli sposobności oprzeć się o Niemcy, ani też nie utrzymała się w Niemczech nawet tradycja dynastii Karolingów. Niemieckie „święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego” nie ma genetycznego ani ideowego związku z problemem wskrzeszenia do użytku chrześcijaństwa władzy i godności rzymskich cesarów, z problemem cesarstwa Karola W., wywodzącego się z Rzymu papieskiego. Niemieckie cesarstwo wywodzi się przez dwór Teofanii bezpośrednio od bizantyńskich „kajzarów” przejmując nawet ich nazwę.

Zachodnia Słowiańszczyzna, jakkolwiek narażona na niemieckie wpływy, nie weszła jednak w krąg bizantyńskich pojęć państwowych, ponieważ zorganizowała się w państwa chrześcijańskie przy pomocy papieża, zwalczającego już te bizantyńskie macki, wysunięte w Zachód. Ani też w Niemczech samych nie miał bizantyzm zupełnie wolnego pola, lecz musiał staczać walki zacięte a długie z papieżem. Walka dwóch cywilizacji w Niemczech, łacińskiej a bizantyńskiej, wypełnia całe dzieje niemieckie; pod rozmaitymi postaciami powraca wciąż i trwa dotychczas, jeszcze nie rozstrzygnięta zwycięstwem stanowczym, nieodwołalnym. W tzw. reformacji pełno pierwiastków kultury bizantyńsko-niemieckiej, następnie w józefinizmie, wreszcie w „idei Hohenzollernów” widzimy kwiat bizantyzmu, rozkwitłego w Niemczech tak późno po upadku Bizancjum. Zobaczymy, że nie był to zresztą jedyny pogrobowy kwiat bizantyzmu.

Cywilizacja bizantyńska, zakorzeniwszy się w Niemczech, miała tam czasu niemało do „syntezy”, a jednak nie doszło do niej nigdy, lecz zawsze rozróżniać tam można obydwa prądy cywilizacyjne obok siebie, sobie przeciwstawione, bynajmniej niesprężone w jakąkolwiek jedność. Zawsze walczyły z sobą. Czy korzystnym to było dla rozwoju narodu niemieckiego, że w ostatnich pokoleniach prąd bizantyński (uosobiony w Prusach) miał

tak znaczną przewagę, o tym wypowie dopiero sąd Historia.

Bizantyzm obchodzi się bez pojęcia narodowości. Tyle wieków „cywilizują” się Bałkany od „latarni” Fanaru³⁹, a połowa ich prawosławnych mieszkańców dzisiaj jeszcze nie wie, do jakiej należy narodowości, podczas, gdy katolicy bałkańscy od dawien nie mają co do tego żadnych wątpliwości. We Włoszech zaznacza się przebłysk pierwszych jakoby przeczuć idei narodowej wtedy, gdy kulturę bizantyńską wypchnięto z półwyspu Apenińskiego. Jakież to znamienne, że humanizm rozkwitnął z pomocą bizantyńskich uczonych, ale wtedy dopiero, kiedy ci znaleźli się poza Bizancjum. Bo duch bizantyński nie tylko nie sprzyjał wskrzeszeniu ducha hellenizmu, ale był mu wręcz wrogiem. Bizantyzm nie mógł zrozumieć owego prądu ku różniczkowaniu się, właściwego Hellenom, a który jakby iskrę spod popiołów rozdmuchali na nowo humaniści, z czego wyłonić się miała nowożytna idea narodowa. Bizantyzm pojmował uniwersalność tylko jako ujednostajnienie, jako zapanowanie pewnego typu na jak największym obszarze, a zatem jako przewagę typu panującego, przewagę opartą choćby na przemocy, o ile starczyły do tego siły. Różniczkowanie uchodzi w bizantyzmie nie tylko za zbrodnię przeciwko państwu, ale zarazem za kierunek antykulturalny. Misja cywilizacyjna bizantyńska identyczna jest z przeprowadzaniem jednostajności; nie rozumie bowiem jedności i miesza te dwa pojęcia w sposób taki, iż wynikają z tego skutki ujemne dla rozwoju kulturalnego.

Czyż cechy te nie występują wybitnie w pewnym prądzie dziejów niemieckich przez całe stulecia, a od reformacji coraz wybitniej? Czy nie w fanatyzmie jednostajności źródło i wojen religijnych, w Niemczech najsroższych, i tej zasady, żeby przynajmniej w obrębie danego państwa lub państewka panowała jednostajność: cuius regio, illius religio? A przyznanie panującemu władzy rozstrzygnięcia w rzeczach wiary czyż nie jest bizantyńskie? A wszystkie te ich „Landeskirchen”? A czyż józefinizm mało ma podobieństwa z bizantyzmem? Nadto widzimy w dziejach niemieckich ogromne opóźnienie się idei narodowej, która powstała u nich aż dopiero w XIX wieku, kiedy oręż

³⁹ Fanar – latarnia; nazwa pałacu patriarchalnego w Carogrodzie.

napoleoński zmusił ich do szukania nowych dróg. Zdawałoby się przeto, że w ostatnich dziesięcioleciach, kiedy idea narodowa stała się w Niemczech tak powszechną (w przeciwieństwie do całej ich historii), a zarazem pozostawała pod ochroną Hohenzollernów i Prus, tego uosobienia bizantyzmu, nastaje już doba syntezy cywilizacji zachodnio-europejskiej z bizantyńską, syntezy dokonanej dzięki Niemcom. Historia wyrazić jednak musi już dziś wątpliwości, czy dzieło roku 1871 nie nosiło od razu w sobie zarodków śmierci dlatego właśnie, że próbowano syntezy tam, gdzie ona zasadniczo niemożliwa. Czy droga historycznie mylna nie musiała pociągnąć za sobą wielorakich następstw, wiodących nieuchronnie do katastrofy w tej czy owej formie?

Przejdźmy do drugiego „kwiatu pogrobowego” bizantyzmu.

Wiadomo, jak próbowano nieraz syntezy na polu wyznaniowym, kładąc unie kościelne rzymsko-carogrodzkie w większym lub mniejszym zakresie; nareszcie unia florencka 1439 r. zawarta z samym patriarchą i z cesarzem, miała stać się pewnym już fundamentem złączenia Kościoła z Cerkwią⁴⁰. Tym większą przywiązywano nadzieję do dzieła soboru florenckiego, że zawierano unię nie ze samą tylko carogrodzką Cerkwią. Uznawali w r. 1439 prymat papieski Ormianie, Etiopowie, Jakobici, potem jeszcze Syryjczycy, Chaldejczycy, Maronici, słowem cały szereg Kościołów azjatyckich i afrykańskich. Nigdzie dzieło unii nie miało być ni zupełnym, ni trwałym (dotrwała w jedność tylko część mniejsza Ormian i Maronitów), ale najcięższa sprawa była z patriarchatem carogrodzkim. W Carogrodzie opozycja kleru i ludu była tak silną, iż nie odważano się tam unii promulgować, i minęło lat 13, aż dopiero w listopadzie 1452, mając już „nóż na gardle”, odważono się na tę promulgację, ażeby w ostatniej chwili nie stracić jeszcze nadziei posiłków z Zachodu przeciw Turkom. I wtedy jednak następowała promulgacja wbrew opinii publicznej; to też w mieście wybuchły z tego powodu rozruchy pod hasłem: „Raczej turban, niż tiarę!”

Wyborowi temu stało się zadość już po kilku miesiącach, kiedy 29 maja 1453 r.

⁴⁰ Ani Polska, ani Litwa nie uznawały unii florenckiej; nie było we Florencji żadnego delegata od tych państw, a biskup wileński, Maciej, przeszkodził następnie zaprowadzeniu unii na Rusi litewskiej.

sułtan-kalif przeniósł stolicę z Adrianopola do świeżo zdobytego Konstantynopola.

Dziwiło to od dawna historyków, jak łatwo ziemie bałkańskie ulegały podbojowi tureckiemu, jak same tamtejsze ludy chrześcijańskie torowały częstokroć drogę panowaniu muzułmańskiemu. Zagadkę wyjaśnia pewien fakt z dziedziny dziejów religijnych Bałkanów.

Martwota Cerkwi wschodniej sprawiała, że więź religijna u Słowian bałkańskich była nader słaba, zgoła bez znaczenia religijnego w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu i bez doniosłości społecznej. Bułgarzy wyszli ze szkoły bizantyńskiej ludem religijnym, dla którego kwestie religijne nie istnieją zgoła, Serbowie zaś popadli w sekciarstwo ogromnie antykulturalne, w tzw. bogomilstwo.

Od połowy XV wieku zaczyna się podbój Bałkańskiego półwyspu; od r. 1365 mamy w Europie państwo tureckie ze stolicą Adrianopolem, aż po dalszych 88 latach ustawicznych walk miał paść i Konstantynopol; już jednak od r. 1389 podlegała Serbia zwierzchnictwu tureckiemu (od bitwy na Kosowem Polu), Bułgaria zaś stanowiła prowincję państwa tureckiego od r. 1393. W tym okresie sekta bogomilców stała się czynnikiem, ułatwiającym Osmanom drogę podbojów; wszyscy bogomilcy przyjęli bowiem islam za pierwszym silniejszym naporem. A należało do tej sekty niemal wszystko, co wśród Słowian bałkańskich było, jak się wyrażano, „lepszego”, czyli bułgarskim wyrazem: „bojarskiego”. Dlatego to cała szlachta słowiańska na Bałkanach jest renegacką; stąd dzisiejsi „Chorwaci muzułmańscy” w Bośni i Hercegowinie, potomkowie poturczonych bogomilców.

Powszechnym, choć niekoniecznie usprawiedliwionym, jest mniemanie, jako bogomilstwo wywodzi się od manicheizmu i posiada nieprzerwaną genealogię duchową od wieku VII do XV poprzez Katarów, Waldensów i Albigensów na Zachodzie, zanim wywołało nową sektę na Bałkanach. To pewna, że bogomilstwo⁴¹ było także

⁴¹ Nauka ich wywodziła od Boga Ojca dwóch Synów: Satanaela i Logosa. Satanael stanął na czele buntu aniołów, a strącony na ziemię, utworzył na niej nowy świat i człowieka. Nie zdołał atoli tchnąć w swój twór ducha. Dokonał tego Bóg Ojciec, skutkiem czego Adam i Ewa nabrali odblasku bóstwa. Przejęło to

wypaczeniem dualizmu teozoficznego na tle chrześcijaństwa. Wprawdzie – ale pod wpływem uczości żydowskiej z Solunia gdzie była stolica żydowskiej kabaly i astrologii, uważanej za jej naukę pomocniczą. Było tedy bogomilstwo mieszaniną chrześcijańsko-dualistyczno-judaistyczna.

Najdalej zabrnęli w etyce. Moralność ich zezwalała brać udział, nawet czynny, w życiu i praktykach Kościoła panującego, jeżeli komu dogodniej zataić przynależność do sekty! Sama ta etyka czyniła z bogomilstwa czynnik grubo antykulturalny, deprawujący. Gdy nadszedł czas próby, kiedy należało bronić Ojczyzny i religii własnej przeciw zaborowi tureckiemu, bogomilcy słowiańscy nie mieli pojęcia o Ojczyźnie i narodowości, gdyż tego nie dała im cywilizacja bizantyńska, religia ich zaś pozwalała im przyjmować jawnie islam, byle potajemnie pozostać bogomilcem. Nie znając całkiem wysokich Ideałów kultury, przywiązania do dóbr moralnych, ograniczyli się do pilnowania swych osobistych dóbr materialnych: przeszli na mahometanizm, skoro nowy rząd przyrzekał im za tę cenę zatrzymanie dóbr ziemskich⁴².

zazdrością Satanaela. Z zazdrości uwiódł Ewę (jego to synem był Kain), a nie poprzestając na tym, iż pozbawił człowieka raju, śledził dalej rozwój pokoleń zawistnym okiem. Zapanował nad Żydami, przez niego działa Mojżesz i przez niego nastąpiło, zdaniem bogomilców, ogłoszenie dekalogu. Chrystus jest według nich Logosem, który zstąpił na ziemię, przybierając pozory ciała. Satanael postarał się o umęczenie Chrystusa, lecz sam pokonany jest zmartwychwstaniem, a utraciwszy odtąd resztę pierwiastka boskiego, stał się Satanem.

Doktryna ta, czerpana głównie z apokryfów, tak sprzeczna z nauką Kościoła, musiała wieść do całkowitego odszczepieństwa dogmatycznego. To też po pewnym czasie bogomilcy nie tylko przestali czcić świętych, ale przestali uznawać sakramenty, wreszcie zaprzeczyli znaczenia ofiarze mszy św.; ani na tym nie zatrzymali się jeszcze, lecz ograniczyli w końcu modlitwy swe do Ojczy Nasz a wszelkie świątynie uznali za zbyteczne.

⁴² Koran głosi, że ziemia jest własnością Boga; On daje ją, komu chce Kalif, jako zastępca Boga, ma prawo nadawać ziemię, lecz obdarzony nią musi starać się, żeby była uprawiona; grunt przez trzy lata nieuprawiony, staje się na powrót własnością kalifa, tj. państwa. Koran przyznając nieograniczone prawo własności temu, „kto ożywi martwą ziemię”, tj. kto pierwszy uprawi grunt, lecz prawo państwowe („kanun”) uznaje tę zasadę tylko w krajach dawnych muzułmańskich w Azji; w zaborach późniejszych, a zwłaszcza na półwyspie bałkańskim, zupełne prawo własności ziemskiej nie istnieje, jak tylko mi domach, ogrodach

Zrazu byli muzułmanami tylko z pozoru, ale po dłuższym czasie poczęła na wielu działać wyższość niezaprzeczalna islamu nad bogomilstwem – i pośród bałkańskich Słowian wytworzyła się z czasem liczna drużyna fanatycznych wyznawców Proroka. Ci zaś, którzy pozostali bogomilcami, zatracali w następnych pokoleniach tradycję sekty, nie mającej czym odnawiać się, i kończyło się w takich razach na zupełnej areligijności, na życiu bez religii pozytywnej; udawanie zaś islamu z potrzeb materialnych lub politycznych Stello się powszechnym i wiodło do powszechnej ruiny charakterów. W takich warunkach nie mogła wyrobić się żadna kultura w ogóle. Bałkany stawał się krainą nie tylko bez kultury, lecz wręcz antykulturalną.

Pozostał patriarchat w Konstantynopolu, stojąc nadal na straży prawowierności „Greków”. Tak nazywano wiernych Cerkwi bizantyńskiej, jakiegokolwiek grupy etnograficznej. Wyraz „Grek” nie oznaczał pochodzenia etnograficznego, lecz tylko przynależność do organizacji kościelnej, której zwierzchnikiem patriarcha carogrodzki. W samym tym wyrażeniu się („Grek”) znajdujemy wskazówkę, wymowną, że kulturze bizantyńskiej brak było pojęcia narodowości, skoro mianem tym oznaczano nienarodowe bynajmniej względy.

Zamiana Konstantynopola na Stambuł w dniu 29 maja 1453 nie była dla patriarchatu bynajmniej katastrofą. Cerkiew bizantyńska radowała się, że ją Turek uwolnił od papieża, a pod berłem sułtańskim powodziło się jej doskonale. Kalifat i Fanar zamienili się wnet w sojuszników, uzupełniających się nawzajem w walce ze zniechęconym katolicyzmem, obmyślającym „ligi antytureckie” wbrew patriarchom carogrodzkim. Porta prześladowała u siebie katolików, ale „prawowierze” protegowała od początku. Zaraz od samego wstępu tureckiego panowania wychwalali sułtana-kalifa patriarchowie, wysławiali go uczeni pisarze cerkiewni. Słynny Jerzy trapezuncki pisze panegiryk na cześć Mahometa II, w którym zowie zdobywcę Konstantynopola „gwiazdą

i winnicach. Rola była dana w używalność, z dziedzicznym przenoszeniem jej tylko na najbliższych krewnych, a z zatrzymaniem tzw. nadwłasności państwu. Właścicielem i użytkownikiem może być tylko wyznawca Proroka.

firmamentu”; Kritowuł, mnich ze „świętej góry” Athosu, dedykuje mu swe dzieło z opisem „sławnych dzieł” sułtana, którego został w końcu sekretarzem.

Patriarchatowi ani się więc śniło dotrzymywać unii florenckiej, skoro pod berłem sułtańskim powodziło mu się tak dobrze. Sułtan przyznał „Grekom” najzupełniejszą autonomię wyznaniową, finansową, administracyjną. Było to istne państwo w państwie, a kasa patriarchatu uchodziła za lokatę tak dobrą, iż sami Turcy lokowali w niej swe kapitały. Osobna ustawa gwarantowała, że „Greka” nie wolno zmuszać na islam”.

Nastąpiła prawdziwie „synteza” turecko-bizantyńska i w cywilizacji bizantyńskiej wyłoniła się nowa gałąź: kultura turecka na tle bizantyńskim, kultura bizantyńsko – turecka, stanowiąc zarazem nową gałąź cywilizacji turańskiej, zaszczerpionej na bizantyńskim podłożu. Trudno zaiste orzec, do której cywilizacji zaliczyć turecki bizantyzm: do bizantyńskiej, czy do turańskiej; tak ściśle one w tej turecczyźnie zespoliły się z sobą, tak dokładnie do siebie przystawały.

Muzułmańska cywilizacja najmniej wchodzi w rachubę w tej syntezie. W obrębie islamu zajmuje Turcja stanowisko... dziczy; to barbarzyńscy wyznawcy Proroka, którzy dobili wspaniałą cywilizację, zwaną „arabską”.

Muzułmaństwo, ogarniając znaczną część ludów cywilizacji turańskiej, załamywało ją zarazem, a obie cywilizacje wypaczyły się przy tym: turańska wykolejała się wobec uniwersalności islamu, muzulmańska zaś doznawała jeszcze więcej ujemnych skutków* przez wypaczanie korami. W rezultacie nawrócenie ludów turańskich obróciło się na największą szkodę islamu, a kultura muzulmańska od tego czasu popadła w upadek z przyczyny (turańskich swych wyznawców; turecki militarizm stał się kulą u nogi islamu. Również upadła całkowicie cywilizacja turańska w Azji. Dawniejsi jej piastunowie cofnęli się do stanu społeczności niemal prymitywnych; z całej tej cywilizacji, został ledwie strzęp na europejskim jej skrawku, pośród ludów ugrofińskich, następnie w Rosji i w Madiarii.

Te dwie cywilizacje, arabska i turańska, nie dawały się sprzęgnąć korzystnie w jedność. Gdy zaś mieszanina turecka, turańsko-muzułmańska miała się na Bałkanach zmieszać z trzecim jeszcze czynnikiem, mianowicie z bizantyzmem, powstała mieszanina, jakiej świat nie widział od czasów kultury syryjskiej w starożytności.

Mieszanina ta miała zawładnąć umysłami ludów bałkańskich i wyjąłować je do cna. Mieszały się bowiem trzy cywilizacje, które nie nadają się zgoła do krzyżowania kulturalnego. Wynikiem musiał) być cofanie się, zanik kultury. Ze skrzyżowania bowiem bizantyzmu z turecczyzną nie powstało nic a nic, co by zasługiwało na wpisanie na poczet rozwoju kultury, jakiegokolwiek kultury w ogóle. Kultura bizantyńsko-turecka była czymś potwornym, a potworność ta wzrastała i miała nawet promieniować dalej ku północy i osiąść wpływy „kulturalne”, które dały się niemało we znaki kulturze polskiej.

Skoro wypadło nam mówić obszerniej o torach kulturalnych islamu bałkańskiego, zrobmy jeszcze mały „przypisek”, ażeby zwrócić uwagę, jakie z tego niefortunnego „krzyżowania” zostały ostatecznie owoce i... kwestie.

Szlachta bałkańska, przyjąwszy mahometanizm, została begami i agami, a nie zajmując się osobiście gospodarstwem, wypuszczała grunty w wieczystą dziedziczną dzierżawę chrześcijańskim „kmetom”, za opłatą $\frac{1}{3}$ plonów. Własność jednak wszelkiej ziemi nieuprawnej, lasów, łąk, pastwisk i kopalń pozostawała przy państwie. Rząd austriacki zatrzymał sobie to prawo w Bośni i Hercegowinie po okupacji roku 1878, a do warunkowego uwłaszczenia ludu przystąpił dopiero po 27 latach, w roku 1905, o ile „kmetowie” w pewnych dobrach zdołali dojść do porozumienia ze swym „begiem” lub „agą”.

Uwłaszczenie nie mogło w tych warunkach poczynić wielkich postępów w ciągu lat dziewięciu, jakie minęły od ogłoszenia owej „reformy” do wybuchu wojny powszechnej – i tak Austria zostawiła w spadku rządowi serbskiemu kwestię agrarną bośniacką do ostatecznego załatwienia.

Ale została do załatwienia kwestia inna, ogólniejsza, pełna zasadniczego znaczenia. Czy ostoi się tam islam, skoro ginie bizantyzm?

Muzułmanie chorwaccy zaczęli w r. 1900 wydawać w Sarajewie dwutygodnik „Behar” (kwiat). Zeszyty jego datowane według kalendarza tureckiego; redakcja stała w ogóle twardo przy islamie, przyznając się do narodowości chorwackiej. Treść czasopisma była nader urozmaiconą. Okazało się, że słowiańskim wyznawcom Proroka nie brak poetów, powieściopisarzy, nawet autorów dramatycznych; inni uprawiają nauki

przyrodnicze, a bywały też rozprawki filozoficzne. Stale zajmował się dwutygodnik ten piśmiennictwem arabskim i tureckim. pozostając w ścisłym związku z tureckim ruchem postępowym.

W ten sposób wyłaniała się i w Słowiańszczyźnie kwestia powszechno-historycznego znaczenia, a mianowicie kwestia kultury europejskiej bez chrześcijaństwa. „Behar” był jakoby małym ziomkiem największego bodaj zagadnienia naszych czasów: czy chrześcijaństwo stanowi niezbędny warunek naszej cywilizacji, czy niechrześcijanie mogą się przejąć cywilizacją zachodnio-europejską, nie porzucając swoich wierzeń? Młodoturcy zdawali się dostarczać dowodu, że można się obejść bez chrześcijaństwa, i tegoż zdania byli współpracownicy „Behara”. Ale mahometanizm chorwacki, tajał z roku na rok jak śnieg na wiosnę, a młodoturcy nie zdołali utrzymać się w swej roli, zanim jeszcze zepchnęły ich okoliczności polityczne.

W naszym przeglądzie faktów z dziedziny dążeń do syntezy Zachodu i Wschodu wypada teraz kolej na polskie usiłowania w tym kierunku. Zaczynają się od pomysłu, by po wygaśnięciu domu Jagiellońskiego powołać na tron polski i litewski cara Iwana Groźnego. Kandydatura ta (1573) była popularną, bo, tak rozumowano, byłby koniec wojen z Moskwą, a współzawodnictwo o wybrzeża bałtyckie zamieniłoby się niejako na spółkę. Tuszono, że rozszerzy się dalej na wschód dzieło unii polsko-litewskiej, po czym, z pozyskaniem Moskwy do bliższej łączności państwowej z Litwą i Polską, nastąpić miałyby wkrótce wypędzenie Turków z Europy, uwolnienie Bałkanów i wciągnięcie ich do sfery kultury zachodniej, tudzież do rozszerzonej walnie sfery politycznej polsko-ruskiej, skoro liczne a bitne wojsko moskiewskie przyłączy się do sił wojennych polskich i litewskich.

Niższość moskiewskich stosunków politycznych, społecznych i gospodarskich nie zrażała polskich statystów. Przypominano, jak to i Litwa niegdyś stała na niskim względem Polski poziomie, a jednak łączność nastąpiła i utrzymała się z obopólną korzyścią, sama zaś unia podnosiła Litwę na coraz wyższe szczeble kulturalne, niosąc tam wolność, zachodnie pojęcia cywilizacyjne i polskie pojęcia obywatelskie. Marzono tedy, że podobnie będzie z Moskwą.

W r. 1598 sam Zamoyski doradzał Zygmuntowi III (po bezpotomnej śmierci cara Fiodora), by starał się o tron moskiewski. W dwa lata potem, w r. 1600, jeździł do Moskwy Lew Sapieha z projektem ścisłego związku prawno-państwowego. Odrzucił to Godunow, ale rządy w Moskwie zmieniały się w owym czasie szybko, i w najbliższych latach zdawać się mogło (a raczej musiało), że jednak ta wymarzona unia z Moskwą dojdzie do skutku. Oto Samozwaniec na carskim tronie (1605-1608) poczyna śmiało wprowadzać pewne „wolności”, zaprowadza na dworze obyczaj dworski zachodni, a do Polski zbliża się politycznie tak dalece, iż staje się czynnikiem w grze polskich stronnictw politycznych. Jest on kandydatem opozycji polskiej do korony przeciw Zygmuntowi III, którego miało się pozbawić tronu, by złączyć pod jednym berłem cara Samozwańca trzy wielkie państwa: Polskę, Litwę, Moskwę.

W latach owych określano warunki unii z Moskwą w sposób następujący:

Wieczyste przymierze, wspólna polityka zagraniczna (liga antytyrecka), wzajemna wolność przesiedlania się, nabywania majątności, nawet piastowania urzędów publicznych; wolność handlu z jednej strony aż do Niemiec, z drugiej aż do Persji; wspólna moneta i założenie wspólnej floty, a więc wspólne owładnięcie Bałtyku i morza Czarnego.

A to wszystko na tle unii cerkiewnej. Wszak Polska i Litwa, które niegdyś odmówiły wyprawienia delegatów do Florencji, teraz same na własną rękę obwieściły zdumionemu światu katolickiemu unię brzeską (1596). Obrządek słowiańsko-grecki przywrócony katolicyzmowi, i aż gdzieś po Sybir (którym Moskwa już władała) jedna owczarnia; czyż na tle takiej jedności wyższego rzędu. a zarazem sięgającej najgłębiej w umysły (rozumowano), nie ułatwi się jeszcze bardziej sprawy jedności politycznej? Kultura i państwowość weszły tedy (mniemano) równocześnie na równoległe najzupełniej drogi unii; to też lata owe nosiły na sobie wszelkie cechy triumfu upragnionej idei.

Okazało się to wszystko wobec rzeczywistości fantazją marzycielską. A jednakże sama rzeczywistość nawet dostarczała złudzeń, skoro niebawem zajmował Żółkiewski Moskwę w imieniu królewicza Władysława jako cara moskiewskiego. A tymczasem niebawem zrzekał się Władysław IV swych praw do carskiej korony (1618), a chociaż rozszerzyły się znacznie granice poza Dniepr, zysk z tego był o wiele mniejszy, niż straty

z usadowienia się Szwedów w Inflanckich i w Prusach Królewskich.

Co zaś dalej wyniknęło z wojen szwedzkich i jak się do nich przyłączyła Moskwa – wiadomo.

Również przyjętym jest dziś powszechnie do wiadomości, co od lat kilkunastu głoszę, a co z początku narażało nawet na przykrości: przekonanie, jako unia brzeska nie tylko nie wyszła na dobre Kościołowi, lecz powstrzymała rozwój katolicyzmu na Wschodzie; Gdyby nie to chybione dzieło brzeskie, byłoby się stawiało z we wschodnich prowincjach Rzeczypospolitej nadal kościoły, a wszystko, co z pośród wschodnich żywiołów etnograficznych wzniosłoby się cywilizacyjnie ponad przeciętność nieuctwa schizmy, lgnęłoby do Kościoła. Unia brzeska ocuciła prawosławie z senności, podniosła je pod każdym względem, a rozbudziwszy świadomość orientalnego pierwiastku w cerkwi, rozdmuchała na nowo nienawiść do „łaciństwa” w pożar nieugaszony... Gdyby nie unia brzeską, gdyby nie owo niefortunne dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu w Kościele, hierarchia rzymsko-katolicka sięgałaby była już od XVIII wieku po Ural i cywilizacja zachodnia byłaby w Rosji zwyciężyła.

Wiadomo, jakim hasłem wysługiwała się unia cerkiewna w dalszym przebiegu dziejów, jak w końcu posłużyła za narzędzie przeciw nam, jak przydała się na pomost nie pomiędzy Rusią a Polską, lecz Rusią a Moskwą. Gdybyż nie unia, gdyby nie było się zatamowało rozszerzania „łaciństwa” na wschód złudzeniem, że tego już nie trzeba wobec zjednoczenia cerkiewnego, czyż miałyby Rosja tyle sposobności przeciwko nam? Czyż dzieje stosunków polsko-rosyjskich nie byłyby się potoczyły zgoła odmiennymi torami, gdyby na Rusi litewskiej i południowej prym dzierżył obrządek łaciński, a przynajmniej, gdyby tam bardziej był rozszerzony? Uważając go tam za zbędny, sami pod sobą grób wykopaliśmy.

Oto owoc syntezy Zachodu i Wschodu na ziemiach Rzeczypospolitej!

Sprawą unii brzeskiej zajął się patriarchat carogrodzki i wezwał kalifa, mahometańskiego do obrony prawosławia, a sułtan, jak patronował schizmie na półwyspie Bałkańskim, podobnie też ją się patronować jej w Polsce. Bohdan Chmielnicki z Tatarami się porozumiał najpierw i na Krym jeździł, by przez pośrednictwo hańskie

zjednać sobie łaskę sułtańską; z łaski sułtana obwołany był księciem kijowskim. Teraz dopiero uderzyła o Ruś południową z całych sił potężna fala bizantynizmu, już jako kultura turecko-bizantyńska, przemożna osmańskim militaryzmem i bizantyńsko-schizmatyczną propagandą. Z Carogrodu, od patriarszo-sułtańskiej spółki wyszły wojny kozackie, jako środek przeciw umocnieniu unii brzeskiej, niosąc w zamian za opiekę nad prawosławiem rozszerzenie panowania osmańskiego. Powtórzyło się bowiem zupełnie to samo, co działo się około roku 1450 na Bałkanach „raczej turban, niż tiarę!” ...aż półksiężyc zawisnął na wieżach Kamieńca Podolskiego.

Dziś wiemy już, że Chmielnicki nie Moskwy był narzędziem, lecz Wysokiej Porty i Fanaru; Moskwa przyłączyła się tylko do gry i wyczekała następnie okoliczności, składające się pomyślnie dla niej, lecz ani inicjatywa nie od niej wyszła, ani nie ona nadaje kierunek wydarzeniom. Moskwa potem dopiero przystąpiła na trzeciego do spółki, zawiązanej przez, patriarchę z kalifem przeciw Polsce.

Jakim granicznikiem w dziejach naszych są wojny kozackie, jak oddziaływał na Polskę i Litwę „potop”. – wiadomo powszechnie. A w „potopie” tonęła kultura polska... Odsiecz wiedeńska stanowiła jakby ostatni na długie czasy poryw ducha narodowego, po czym nastąpiła bezmyślna apatia czasów saskich, owych czasów wybitnie kontuszowych. Nic zachodnie, lecz wschodnie cechy wypływają na powierzchnię polskiego życia wraz ze wschodnim strojem: lenistwo, obojętność na jutro, swarliwość, prywata, tudzież pijaństwo – a wszystko to na tle coraz gęściejszej ciemnoty. Istny obraz orientu! Polski tego okresu nikt chyba nie pomówi o cywilizację zachodnią! Nie miała z Zachodem związku w niczym a niczym; przeciwnie, pozrywała wszelkie związki zachodnio-europejskie, tak umysłowe, jako też polityczne nawet. Nie należeliśmy wówczas ani do europejskiego ruchu umysłowego, ni do kombinacji politycznych Zachodu. Przeciętny Polak nie wiedział zgoła, co na Zachodzie się dzieje. To też doszło do tego, iż zaczęto kombinować nami bez nas, aż nas ta orientalna bierność doprowadziła do rozbiorów.

Należy tu zwrócić uwagę na znamienny a mało znany fakt, jak dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu odżyło natychmiast, skoro tylko odradzać się poczęła polska myśl polityczna. Oto Czartoryscy w samem zaraniu swych planów politycznych wytknęli sobie

cel w pozyskaniu nie tylko polskiej korony, ale zarazem także rosyjskiej (licząc na „słowiańską” niechęć do niemieckich dynastów na rosyjskim tronie). Ledwie Polak zdołał rękę wysunąć spod gruzów politycznych saskiego okresu, a już zaraz zatacza tą ręką najszersze polityczne horyzonty ku wschodowi i marzy na nowo o uniach! Fakt podobno powtarzać się mający?

Marzenia o syntezie Polski i Moskwy-Rosji wiodły i tym razem do srogiego przebudzenia się: zamiast nowej unii nastąpiły rozbiory.

O przyczynach upadku Polski mamy obfitą literaturę. Który by historyk polski nie zastanawiał się nad tym, który by nie złożył jakiegoś przyczynku do tej kwestii? Ale wszystkie te badania i dociekania znajdowały się widocznie w stadium przygotowawczych studiów, skoro była wciąż mowa o przyczynach upadku Polski; póki by się nie doszło do wykrycia przyczyny. Wyliczanie przyczyn nie jest bowiem niczym innym, jak tylko zakrywaniem nieznanego przyczyny. Nie będę się rozwodził nad tym, jak wskazywano przyczyny, nie mogące się ostać wobec badań historycznych porównawczych; jak to np. forma rządu była w Szwecji i w Holandii gorsza, niż w Polsce, a przekupstwo większe w Anglii, prywata gorsza w Niemczech itd.; poprzestanę na stwierdzeniu, że mieszano objawy upadku z przyczynami, biorąc jedne za drugie. Objawów musiało być wiele, bo upadek był, niestety, wszechstronny (od polityki do literatury); ale im więcej objawów, tym bardziej musi tkwić na ich dnie jakaś ogólna przyczyna.

Zdawałoby się, że na wytłumaczenie upadku Polski wystarcza dopatrywać się przyczyny w upadku oświaty; wszak to pociąga za sobą upadek wszystkich zajęć dla braku znawców, zastój i zacofanie od rolnictwa do rzemiosła wojennego, od bakałarstwa szkolnego do filozofii i poezji, a gdzie niedostatek znawców rzeczy, tam następuje wnet niedostatek samych rzeczy. W ten sposób upadek oświaty tłumaczy rzeczywiście w sposób jasny wszelkie a wszelkie objawy upadku Polski i mógłby być wzięty za przyczynę istotną, za „przyczynę przyczyn”. Ale i to złudzenie. Zna bowiem historia państwo, które z reguły pogrążone w ciemnocie, nie tylko nie upadło, ale rozszerzyło się i wzmogło znakomicie kosztem Polski: Rosja nigdy przecież oświatą nie celowała!

Trzeba tedy szukać jeszcze dalej a głębiej; trzeba szukać przyczyny upadku oświaty. Zbiega się objaw ten z rozpowszechnieniem wschodniego stroju (kontu- sza) z gnuśnością w życiu publicznym, z nieładem politycznym itp. Wszystkie ujemne objawy historyczne zeszyły się razem w owym okresie saskim, wszystkie występują już w drugiej połowie panowania Sobieskiego: a gdy przyjrzymy się bliżej temu życiu polskiemu, nie sposób nie dostrzec, że zachodzi w nim jakaś orientalizacja, że w porównaniu z czasami Zygmunta i Batorego ma ono w sobie niewiele pierwiastków europejskich, że w miarę zbliżania się do czasów Sobieskiego oddala się coraz bardziej od Zachodu, a zbliża się natomiast coraz więcej do Wschodu.

Gdzieś za Wazów szukać wypada linii granicznej pomiędzy wyłącznym i zupełnym panowaniem w Polsce cywilizacji łacińskiej, zachodnio-europejskiej a z. mianowaniem się Polski w coś pośredniego pomiędzy Zachodem a Wschodem. Objawy zaczynają się za Jana Kazimierza, poniekąd nawet już pod koniec rządów Władysława IV. Uwzględnijmy (czego dotychczas nie uwzględniała; historiografia nasza), że przyczyna musi być starsza od objawów, a wypadnie szukać przyczyny jeszcze pod Zygmuntem III, i wchodzimy w czasy, kiedy propagowało się właśnie zbliżenie polityczne i kulturalne polsko-moskiewskie, w czasy marzeń o unii z Moskwą, w owe czasy dążeń do syntezy Zachodu i Wschodu na ziemiach Rzeczypospolitej i na polskim podłożu kulturalnym.

Polska tylko do pewnego czasu, mniej, więcej do pierwszej ćwierci XVII wieku, była czynną uczestniczką cywilizacji łacińskiej, po czym nastąpiło orientalizowanie się, sięgające wcale głęboko. Doszło do tego, że jak poprzednio szerzyliśmy cywilizację zachodnią ku wschodowi, tak potem wręcz odwrotnie: wschodnią posuwaliśmy ku zachodowi. Nastąpiło to, jako konieczny, nieuchronny wynik polskich dążeń do syntezy Zachodu a Wschodu, która to próba przerywa cywilizacyjny tok historii polskiej. Synteza okazała się w końcu niemożliwością, natomiast zaś wzięły w Polsce samej górę wpływy wschodnie.

Za wydarzenie, stanowiące historyczny symbol tego zwrotu, uważać należy unię brzeską 1596 roku; po czym reforma Konarskiego symbolizuje nawrót do Zachodu. Na klin ów, wbity w historyczny pochód Polski, wypada tedy doba długa, lata 1596-1740.

Okres ten próby syntezy ze Wschodem dzieli się na trzy części: marzenia o unii z Moskwą zajmują czas 1596-1632, po czym następuje przesilenie kulturalne w Polsce i na Litwie, obejmujące lata 1632-1683, aż wyniknął z tego zanik państwowości i kultury, znamionujący lata 1683-1740, a potem od Konarskiego nawrót do Zachodu, niestety politycznie opóźniony: po reformach bezskutecznych lat 1740-1794 nastął długi okres narodu bez państwa 1795-1918.

Tak tedy przyczyną upadku Polski było dążenie do syntezy Wschodu i Zachodu, skutek był taki, że Polska uległa wpływom wschodnim, zorientalizowała się, czego zasadniczym objawem było, iż popadła w ciemnotę iście orientalną, z czego wypłynęły owe dalsze objawy, uważane mylnie za przyczyny upadku Polski.

Co innego unia z Litwą, co innego z Moskwą. Pomyłka polegała na tym, iż nie odróżniano jakościowych a ilościowych różnic cywilizacyjnych. Moskwy należąc do cywilizacji turańskiej, w której obrębie tworzyła kulturę słowiańsko-turańską, różniła się od nas cywilizacyjnie nie tylko ilościowo, tj. niższym szczeblem kultury, ale zarazem jakościowo, bo należała do cywilizacji zasadniczo odmiennej, a już wyrobionej. Nie wszystkie zaś cywilizacje dadzą się z dobrym skutkiem „krzyżować”...

Pomiędzy Moskwą a dążącą do unii z nią Polską zaszło głębokie nieporozumienie: chcąc unii, eh cięliśmy czegoś, czego oni nie mogli żadną miarą zrozumieć, bo leżało to poza umysłowością moskiewską. Tendencje polskie zrozumiano w sposób taki, jakoby Litwa i Polska pragnęły poddać się carowi i być wcielonymi do państwa moskiewskiego. Takie rozumienie rzeczy wpływało zaś wcale nie ze złośliwości politycznej, ani z jakiegoś wyrachowania politycznego na sposób wschodni, lecz przez prostą konsekwencję pewnego sposobu widzenia rzeczy w obrębie kultury słowiańsko-turańskiej. Kultura owa nie pojmuje różnorodności w życiu zbiorowym (w tym wypadku autonomii, federacji, unii); nie pojmuje organizacji życia zbiorowego inaczej, jak poprzez jednostajność, w czym podobna jest do kultur bizantyńskich.

Granice cywilizacji zachodniej a wschodniej zmieniały się w toku historii rozmaicie, ale wśród tej zmienności można stwierdzić fakt, jako po każdej próbie syntezy uszczuplał się obszar Zachodu na rzecz orientalizmu. Synteza rzekoma rozbiła się po

pewnym czasie, stosunkowo krótkim, a Wschód wychodził z jej więzów wzmocniony na nowe podboje. Tak by to za czasów starożytnych, podobnież w wiekach średnich i tak się też skończyła polska próba „syntezy”.

Pozostaje rozpatrzyć jedną jeszcze mieszaninę cywilizacyjną Zachodu i Wschodu, a mianowicie rosyjską, czy tam przynajmniej można mówić o syntezie?

Słowiańszczyzna wschodnia pozbyła się bardzo wczesnie rodzimych pierwiastków kulturalnych. Waregowie wywarli wpływ kulturalny nieznaczący, podobnie nieznacząco tylko oddziaływało Bizancjum.

Pierwotnie ulegała Słowiańszczyzna wschodnia tylko turańskim wpływom cywilizacyjnym, a mianowicie ostatnim ku zachodowi wybieżkom świata turańskiego u ludów fińskich i wśród wieloplemiennej „Jugry” Powołża. W tamtą bowiem tylko stronę, ku wschodowi, miała Słowiańszczyzna wschodnia dostęp, wolny, zamknięta długo ze wszystkich innych stron Wyłączność wpływów turańskich trwała mniej więcej do roku 970, kiedy Waregowie przerwali historyczną izolację tej Słowiańszczyzny, odkrywając i wskazawszy jej trzy wielkie drogi do świata: nad morze Czarne, na ląd półwyspu Bałkańskiego i na zachód, do kraju Lachów.

Wpływy bizantyńskie ledwie się na Ruś sączyły. Nawet cerkiew nie pozostawała pod bezpośrednim wpływem bizantyńskim, lecz pod bułgarskim. Żadna z cech historycznych Słowiańszczyzny wschodniej w ogóle, a Moskiewszczyzny w szczególności, nie da się wytłumaczyć wpływami bizantyńskimi, ani odszukać w bizantyzmie. W całym okresie aż do XVII wieku ani jedna z cech Rusi nie uprawnia do tego, żeby ją zaliczać do świata bizantyńskiego. Rozbieżność Bizancjum a Rusi znać w braku pojęć państwowych. O samowładztwie bizantyńskim nie tylko nie miano pojęcia, lecz wszystkie w ogóle próby wzmocnienia władzy książęcej nie udawały się; wszak sądownictwo karne stanowiło tam bezsporny atrybut władzy książęcej aż dopiero w połowie XV wieku.

Bez porównania więcej bizantyzmu jest w dziejach Niemiec, niż Rusi!

Nie z Bizancjum otrzymała Ruś porządki państwowe, lecz dopiero od administracji mongolskiej, od Mongołów „niebieskich” opartych poniekąd o cywilizację chińską. Tytuł carski pojawia się po raz pierwszy w r. 1270, ale odnosi się nie do bizantyńskiego

bynajmniej cesarza, lecz do tatarskiego hana. Państwowość mongolska obniżyła się atoli po krótkim czasie, przeszedłszy w tatarską anarchię gwałtu. Metropolita Aleksy (zm. 1378) obmyśla wprowadzić dla Moskwy prawo publiczne, przenosząc na grunt moskiewski żywce pogańskie litewskie prawo dynastyczne, lecz wpływy Litwy ustały, skoro tylko Litwa przyjęła katolicyzm, i państwowość moskiewska zaczęła nabierać coraz bardziej cech turańskich. U Tatarów była Moskwa w szkole coraz gorszej. Pod wpływem prądów, których przedstawicielem historycznym Tamerlan (zm. 1405) dokonał się następnie wśród Tatarów przewrót, który doprowadził do despotcji orientalnej, opartej na fanatyzmie religii rządowej i na terrorze.

Cztery są zasadnicze cechy cywilizacji turańskiej: lokalizm religijny (w przeciwieństwie do uniwersalności), militarizm organizacji społecznej, państwowość oparta na prawie prywatnym, brak pojęcia narodowości. Moskwa przejmowała wszystkie te cztery cechy.

Czyż w dziejach cerkwi nie ma całych okresów, w których „czyste prawowierze” (bizantyńskie uważane jest za nieczyste) uchodzi za przywilej społeczności szczęśliwie uprzywilejowanej do posiadania prawdziwej wiary, której nawet nie godzi się profanować propagandą wśród ludów obcych, niegodnych tego? Pojęcie to przetrwało aż do XIX w., mając licznych zwolenników. Dlatego to nie próbowano nawracania Litwinów. Kiedy potem w XIX w. dostojnicy prawosławni twierdzili, że wobec „wojowniczego katolicyzmu” prawosławie ich jest tak dalece pokojowe, iż nawet zasadniczo nie urządza propagandy, było w tym, dużo szczerego przekonywania, opartego na turańskim lokalizmie religijnym, na turańskim pojmowaniu religii. Ale obok tych były też pojęcia inne, na podstawie których władza świecka urządzała propagandę energiczną.

W turańskiej organizacji społecznej całe społeczeństwo jest obozem, a wojna uważaną jest za najgodniejszy sposób zarobkowania. Wojna żywi Turańczyka, a ludy turańskie są ubogie lub bogate stosownie do osiągniętego wydoskonalenia organizacji militarnej, która pozwala żyć cudzym kosztem. Dlatego też ludy te bywają z reguły ubogie i bez znaczenia, boć czasem tylko uda się któremu z nich podnieść się do takiej potęgi, iżby mógł łupić inne. Zdobywczość przy ciemnocie może być tylko sporadyczną, bo zdobywcy

złupią podbitych tak do cna, iż pokolenie następne nie ma już czego łupić i wszystko zanika znowu w byt prymitywny, a raczej w niebyt powszechnej nędzy. Tym tłumaczą się owe krótkotrwałe państwa „uniwersalne” Azji centralnej, zapadające po dwóch pokoleniach, a czasem nawet po jednym, w nicość. Pochodzi to stąd, że u Turańców panuje wyłączność organizacji społecznej na tle militarnym. Innej nie znają – i albo są zorganizowani w świetne masy zdobywców, albo znajdują się w stanie rozprężenia i niemocy, trwającej całe wieki.

Organizacja społeczno-ekonomiczna była w Moskiewszczyźnie zawsze w znacznej części militarną: drużyny wareskich, sotnie i tysiączki, powszechna służba wojskowa „dzieci bojarskich” od r. 1480, stanowią najważniejsze etapy tego rozwoju militarnego. Od r. 1480 posiada Moskwa liczną armię stałą, i staje się organizacją militarną wschodniej Słowiańszczyzny. Dalszym objawem w tej dziedzinie jest dokładne przejęcie instytucji tatarskiej „kozaków” (sam wyraz jest czysto tatarski), która przyswojono sobie do tego stopnia, iż samiż nawet Rusini i Rosjanie uważają kozactwo za własny twór narodowy.

Nigdy atoli nie popadło społeczeństwo moskiewskie w wyłączność militarnej organizacji, stając pod tym względem na rozgraniczu cywilizacji turańskiej, a nierozwiniętej dostatecznie rodzimej, z nieznacznymi wpływami bizantynizmu. W XVII w. wyrobił się kolektywizm włościański, ów sławny „mit” rosyjski, jako wytwór oryginalny, spowodowany przyczynami lokalnymi, a nie mający związku z turańskością. Natomiast odzywa się turanizm w handlu, o czym świadczy dużo śladów wyraźnego upaństwowiania handlu, tak w Moskiewszczyźnie, jak też na Rusi kozackiej, aż do drugiej połowy XVIII wieku. A czyż to nie znamienne, że hasło upaństwowienia handlu ozwało się teraz znowu (uważane przez nieświadomych rzeczy za coś nowego)? Bądź co bądź, nigdy jednak nie spoczywała organizacja społeczno-ekonomiczna wyłącznie na samym tylko militarzynie, jak to było u Turańców; obok militarzynie społecznego zachodzą w społecznej organizacji wschodniej Słowiańszczyzny inne jeszcze pierwiastki.

Istota państwowości rosyjskiej ma w sobie wiele turańskiego, a pierwotnie była całkowicie turańską. Od Chazarów przejęto niemało turańskości państwowej, podczas gdy potem Waregowie nie zakładali wcale państwa w właściwym znaczeniu tego wyrazu,

poprzestając na luźnym panowaniu. Dopiero najazd mongolski wnosi pierwiastki państwowe i zapewnia hegemonię Moskwie. Państwowość Iwana Kalety oparta była na „zakładniczestwie” książąt podległych i na obrotach handlowych prawami książęcymi, a więc wyłącznie na prawie prywatnym. Zwierzchnictwo władzy polegało długo na tym, żeby jak najwięcej osób popadło w osobistą zależność prywatną od władcy, od w. ks. moskiewskiego.

Oparcie władzy monarszej na poddaniu jak największej ilości osób w osobista od władcy kraju zawisłość ułatwione było w Suzdalszczyźnie instytucją tzw. „zakupów”, osób podejmujących pracę na cudzy rachunek za zapłatą braną z góry, a że księstwa Rurykowiczów były przez długi czas tylko przedsiębiorstwami ekonomicznymi osób stanu książęcego, mnóstwo ludzi stawało się „zakupami” książęcymi. Instytucja ta, która wywarła olbrzymi wpływ na ukształtowanie się społeczeństwa moskiewskiego, jest turańską; istnieje dotychczas na Dalekim Wschodzie.

Tytuł „gosndar” oznaczał od Prawdy Ruskiej począwszy, osobiste zwierzchnictwo pana nad służbą i czeladzią, prywatny stosunek zwierzchniczy z jednej strony, w odniesieniu do osobistej prywatnej zawisłości z drugiej strony. (Dlatego Nowogrodzianie nie chcieli przyznać tego tytułu Iwanowi Srogiemu, bo oznaczał nie państwowe tylko panowanie, lecz wprost osobiste nad poniżonym do rzędu czeladzi książęcej ludem nowogrodzkim).

Co do czwartej cechy turańskości, co do braku pojęć narodowych, wszakże Słowiańszczyzna wschodnia nie wydała aż do końca XVI w. żadnego poczucia narodowego.

Przejdźmy teraz chronologicznie dzieje „krzyżowania się” rozmaitych cywilizacji na boisku kulturalnym wschodniej Słowiańszczyzny, zwłaszcza Moskwy.

W połowie XV w. zrodziło się marzenie, żeby w. ks. moskiewski mógł zostać „carem” tj. następcą – nie bizantyńskiego „kajzara” bynajmniej! – lecz cara-hana sarajskiego. Bizantyńskim cesarzem Moskwa nigdy się nie interesowała – a jednak przez zbieg okoliczności, nastały czasy wzmożonych wpływów bizantyńskich pod koniec XV w., właśnie wtedy, gdy Iwan III Srogi ma się stać następcą tatarskiego kipczackiego cara.

Wpływy bizantyńskie, sączące się zaledwie na Rusi, miały spotężnić właśnie wtedy, gdy państwo bizantyńskie przestało istnieć. Pierwsza mocna fala bizantyzmu uderzyła o Moskwę w r. 1480, a pochodziła z tego kraju, w którym dokonała się historycznie jakowaś „synteza”, a właściwie karykaturalna mieszanina) bizantyńsko-tatarska, mianowicie z Wołoszczyzny. Na nieporozumieniu polega przypisywanie wielkiego znaczenia kulturalnego i politycznego małżeństwu Iwana Srogiego z Zofią Paleolożanką 1472 r., ale pełne doniosłości było natomiast małżeństwo Iwana Młodszego (syna Iwana Srogiego) z Heleną mołdawską w r. 1482. Za pośrednictwem kultury (*sit venia verbo*) mołdawskiej przechodzi na dwór moskiewski nie tylko naśladowanie (zresztą chwilowe tylko) bizantyńskich form dworskich skarykaturowanych, ale też samo bizantyńskie pojęcie „autokratostwa”. Na Wołoszczyźnie tytułował się już pod koniec wieku XIV Roman mołdawski „samoderżawnym gospodinem” i „gospodarem”. – Z księżną mołdawską przedostało się też i bogomilstwo na Powołże.

Wpływy wołoskie stanowią osobny rozdział w dziejach kultury moskiewskiej. Nie wszystko atoli, co wołoskie, było zarazem pośrednio bizantyńskim. Z Mołdawii pochodzi zapatrywanie, jakoby prawa pierwotnych właścicieli do pewnej posiadłości nie mogły ulec nigdy przedawnieniu, póki tylko starczy jakichkolwiek krewniaków ich w najdalszych pokoleniach. Takie właśnie pojęcie prawa własności istnieje do dnia dzisiejszego w Mołdawii. Prawo ruskie nie zna zgoła prawa „pierwokupu”; przyniosła je Helena mołdawska, a Iwan Srogi zastosował je do Rusi litewskiej jako do swej „ojcowizny”. Ruś owa stanowiła niewątpliwie od dawna ojcowiznę Gedyminowiców, ale Iwan stanął na stanowisku absolutnego nieprzedawnienia praw spadkobierczych po właścicielach pierwotnych i wystąpił po mołdawsku z prawem do odkupu, który w tym wypadku miał się odbyć mleczem. Chodziło tu tedy o pojęcie prywatnoprawne, o tytuł prywatnej własności osób stanu książęcego.

Silne wpływy bezpośrednie z Bizancjum szły dopiero od połowy XVI wieku. Ten bizantyzm pogrobowy płynię z Fanaru. Dwór patriarszy zamienił się w polityczną agencję turecką, sprzęgłszy się z kalifatem przeciw katolickiej Polsce. Moskwa staje się na długi czas narzędziem do powstrzymania lig antytureckich w pochodzie na Bałkanów.

Stawał przeto Fanar przeciw unii polsko-litewskiej, pragnął oderwania Rusi od Litwy i Polski i podsycił zaborcze zamysły Moskwy przeciw Polsce i Litwie. To pogrobowe bizantyńskie wpływy stają się z czasem tylko pewną odmianą wpływu tureckiego i w ostatecznym wyniku przyczyniają Moskwie jeszcze bardziej turańskości.

Pod koniec XVI w. była Moskwa mieszaniną kultur turańsko-słowiańskiej i turecko-bizantyńskiej. Już też w połowie XVI w., za Iwana Groźnego, był każdy wobec cara niewolnikiem, „rabem” i „chołopem”, choćby nawet był rodzonym bratem władcy czysto po turańsku. Czysto po tatarsku urządzony był dwór Wasyla Iwanowicza (1505-1533), a za Iwana Groźnego zwiększyły się jeszcze wpływy tatarskie.

Za tegoż jednak Wasyla Iwanowicza wyłania się nowe pojęcie Moskwy, a oparte tym razem na bizantyzmie. Twórcą teorii kultury moskiewskiej staje się mnich twerski, Filotenz. „Nie zginęło święte Bizancjum, lecz jest przeniesione do Moskwy” – powiada, jako „do trzeciego Rzymu, a czwartego nie będzie”. Bizancjum, uważane niedawno jeszcze za „nieczystej pod względem wiary (skalane unią florencką), urasta do znaczenia symbolu wieków, a Moskwa ma być jego spadkobiercą. Na tej podstawie pozdrawia Filoteusz Wasyla jako „głowę chrześcijaństwa i pana przyszłości świata”.

Powstaje przeświadczenie o wyższości własnej ponad resztą świata, na tle religii państwowej – i to staje się zaczątkiem nowej, a swoistej moskiewskiej kultury. Do cech jej należało, żeby obywać się bez nauki, a to nie jest znów bizantyńskim, lecz typowo turańskim. Tak mieszają się na każdym kroku w Moskwie cywilizacja turańska i bizantyńska! Igumen Josip Sanin, drugi obok Filoteusza twórca kanonu kultury moskiewskiej, utwierdził zasadę, głoszoną następnie całym pokoleniom, że „myślenie jest źródłem zła; myślenie, to powtórny upadek człowieka”. A szły z tego różne konsekwencje społeczne i państwowe – konsekwencje nie bizantyńskie, lecz turańskie.

Tymczasem po zdobyciu Kazania (1552) i Astrachania wzmożyły się nadzwyczaj wpływy tatarskie. Teraz dopiero, a nie za czasów jarzma tatarskiego, następowало tataryzowanie Moskwy na wielką skalę. Dawniej górowała Ruś nad tatarstwem kulturalnie, lecz w XVI w. kultura kazańsko-astrachańska stała bez porównania wyżej od moskiewskiej, to też wywarła stanowczy wpływ nie tylko na państwowość, lecz na samo

społeczeństwo.

Od Tatarów kazańskich przejęto hierarchiczne stopniowanie rodów, przez co zmechanizowano społeczeństwo w straszliwy sposób, tak dalece, iż nie było zgoła równych sobie. Stamtąd moda tatarska u warstw wyższych zamykania kobiet, stamtąd wzgarda dla tańca, jako dla rzeczy u włączającej powadze, gdy tymczasem lud nie znał nigdy niewieścich „teremów”, a tańczył zapamiętale.

W kazańskiej tatarszczyźnie część ludności była od dawna przypisana do gleby, bo inaczej nie byłoby tam rolnictwa. Handel łatwy a niesłychanie intratny odrywał ludzi od roli, i skutkiem nadzwyczajnej, nieznannej nigdzie indziej w świecie całości gromadzenia bogactw z handlu... krajom tym groził głód dla braku rolników. Ten objaw wystąpił zaraz w carstwie moskiewskim, skoro tylko opanowano owe kapiące od bogactw krainy dalszego Powołża. Ludność zaczęła się rozbiegać, z takim skutkiem, iż wnet nastąpiły głody i groził upadek militarystyki carskiej dla braku ludności stałej, którą by można skontrolować. To też skończyło się to na przytwierdzeniu wieśniaka do gleby zaraz z początkiem wieku i XVII (1607). Przymusowa uprawa roli stała się koniecznością, bo inaczej upadłoby całkiem rolnictwo. Powstało błędne koło: rolnictwo i tak musiało upadać, skoro nikt nie zajmował się nim z zamiłowania, z własnej ochoty.

Sporo jeszcze pomniejszych wpływów tatarskich można by zaznaczyć-- dość powiedzieć, że każdy jako tako zamożny Tatar stawał się bojarem, a kto mógł wykazać się w rodzie murzą, zostawał kniazem. Wszak car Borys Godunow był tatarskiego pochodzenia.

Łatwo więc tłumaczy się, że przyjęła się kazańska zasada, jako dostęp do życia publicznego daje tylko urząd, hańska (carska) „służba”. Zrózniczkowały się tedy warstwy społeczne wyższe według pomiaru biurokratyczno-hierarchicznego, według tatarskich „tshinów”, których geneza tkwiła w tamerlanowskiej jeszcze tradycji. Moskiewskie stopnie szły według „rodosłowa” pierwotnie, podług szlachetności urodzenia; stanęły więc przeciw sobie ostro dwa systemy hierarchiczne, zwalczając się, aż w końcu tatarszczyzna miała zwyciężyć i na tym polu. Najgorszym jednak było to, że od owych czasów zdecydował się azjatycki, ekstensywny charakter rosyjskiego trybu życia, na tle

ogromnie łatwej, tak fatalnie łatwej walki o byt w tamtych stronach świata.

Kiedy tak Moskiewszczyzna zamienia się w zawrotnym pędzie nie tylko na państwo azjatyckie (turańskie), ale zarazem na społeczeństwo azjatyckie, wtedy właśnie powstaje pomysł rozszerzenia unii polsko-litewskiej na Moskwę! Była już mowa o tym, jako o objawie doktrynerstwa politycznego, w rozdziale poprzednim. Do rejestru faktów, podanego w poprzednim ustępie niniejszego rozdziału, dodać jeszcze należy, że pomysł ten zajmował umysły polskie do roku 1634 niemal ciągle, a potem pojawił się jeszcze za Jana Kazimierza na naradzie w Opolu i jeszcze raz w pierwszym okresie reform Czarторыskich.

Nieporozumienie było co najmniej równe ogromowi marzeń, związanych z projektem. Na całym ogromnym obszarze państwa moskiewskiego nie było ni jednego człowieka, który by rozumiał, co to dobrowolne łączenie się narodu z narodem. Rozumiano, że to Polska i Litwa pragną poddać się carowi i wysnuwano z tego konsekwentne wnioski – podobnie jak z watykańskich zabiegów unickich wysnuwano niezmiennie wnioski, że to papież nawraca się na prawosławie.

Jakżeż miano rozumieć łączenie się narodu z narodem, skoro nie posiadano całkiem pojęcia narodowości. Wschodnia Słowiańszczyzna była aż po koniec XVI wieku w całości luźnym zbiorowiskiem ludów. Dopiero na przełomie wieków XVI a XVII wytworzyło się poczucie narodowe, ale nie w Moskiewszczyźnie, lecz na Rusi kijowskiej, dzięki wpływom polskim. Rusini jako naród przeciwstawiali się mocno „Moskałom” (sam wyraz ten przeszedł od Rusinów do języka polskiego). Rusini nabierali kultury chrześcijańsko-klasycznej wraz z „uczonością łacińską” (znienawidzoną na Rusi suzdalskiej), zachowując atoli równocześnie całe przywiązanie do prawosławia, wraz z nienawiścią do katolicyzmu, zupełnie na równi z tymi, którzy trzymali się zdała od łaciny.

Pojawienie się narodowości ruskiej, o czym bliżej w osobnym ustępie rozdziału X, stanowiło pierwszą, częściową, „europeizację” Słowiańszczyzny wschodniej. Jak bizantyzm przyjmował się w Moskiewszczyźnie dopiero wtedy, gdy zapoznano się z nim w przeróbce wołoskiej, podobnie europejskość mogła przyjąć się na moskiewskim

gruncie tylko w odpowiedniej przeróbce prawosławnej, a tej dostarczyć mogła tylko szkoła kijowska, w ogóle Ruś południowa. Bezpośrednie wpływy polskie były wykluczone z powodów religijnych, a zresztą przepaść kulturalna była nazbyt wielka.

Ta pierwsza niska narodowość trwała atoli krótko: około r. 1700 nie ma już jej, tylko na nowo szara masa etnograficzna, nie troszcząca się o żadne kwestie narodowe, bo niedostępna dla żadnych kwestii kulturalnych w ogóle. Kijów przechodzi pod wpływ moskiewski, a Polska podległszy wpływom politycznym i społecznym Litwy i Rusi (z demokratycznej przemieniając się na oligarchiczną), sama orientalizuje się wtenczas. Jakżeż miała taka Polska szerzyć zachodnią kulturę, skoro sama ją porzucała?

Zostało jednak z poprzednich wpływów pośrednio polskich, a bezpośrednio kijowskich coś, co mogło stać się ziarnem gorczycznym dla europeizacji suzdalskich ziem: łacina. Ocalało trochę „uczoności łacińskiej” i przeniosło się z Kijowa do Moskwy. Łacina, zniknąwszy z Kijowa, znalazła schronienie w Moskwie w „akademii słowiańsko-grecko-łacińskiej”, a raz do Moskwy wprowadzona, nie dała się łacina już wyrugować. W r. 1682 wprowadzono łacinę, jako naukę obowiązkową dla kandydatów na dostojęstwa cerkiewne i świeckie – i to było prawdziwie „wybiciem okna do Europy”. To było donioślejsze od wszelkich „reform” Piotra W. (1689-1725).

Reformom tym przypisuje się przesadne wielce znaczenie. Piotrowi chodziło tylko o technikę kultury europejskiej do celów militarnych, i o nic więcej. Wprowadził germanizację Rosji oficjalnej, bo oparł się na bizantynizmie niemieckim z jego biurokracją, absolutyzmem i „Landeskirche”. Odgałęzienie bizantynizmu niemieckiego przeniosło się do Rosji, gdzie wytworzyło nową biurokrację rosyjską i nowożytne prawosławie, jako religię, nie istniejącą zgoła w rzeczywistości, będącą częścią fikcją kancelaryjną.

Od Piotra W. mamy tedy w Rosji cztery kultury równocześnie: turańsko-słowiańską (staro-moskiewską), bizantyńsko-turecką, bizantyńsko-niemiecką i jakiś drobny zarys łacińskiej. Obok tego rodzime pierwiastki właściwej moskiewszczyzny nie tylko nie ustępowały, ale niektóre wzmagaly się; np. „mir” stał się właśnie za Piotra W. obowiązkowym, przymusowym. Wynikiem takiej mieszaniny kierunków i prądów było to, iż wyrobiło się w zmieniającej się na Rosję Moskwie państwo pozostające poza

społeczeństwem (1725-1762), jako fatalne następstwo „reform” Piotrowych.

Ani nawet reforma administracji nie zdała się na nic. Różnica administracji rosyjskiej a europejskiej (niemieckiej) polegała na tym, że w Europie usuwano wojskowych coraz bardziej z zarządu kraju i z polityki. Rosja przyjęła formy niemieckie, a swoją drogą żywioł wojskowy docierał coraz mocniej do najwyższych sfer administracji. Biurokracja rosyjska stała się za Piotra W. bez porównania bardziej turańską, niż była przed jego „reformą”. Nastąpił też w Rosji po Piotrze stosunek państwa do społeczeństwa jak najbardziej azjatycki.

Ale robiła dalej swoje... łacina. Wprowadzenie łaciny do szkół rosyjskich stanowi wydarzenie epokowe. Nauka europejska sączy się do Rosji. W r. 1755 powstaje uniwersytet moskiewski. Istotą uniwersytetów krytyka, a zatem sceptycyzm, i chociaż w walce tego europejskiego czynnika z turańszczyzną doszło do tego, że za Mikołaja I miano zakazać wykładów filozofii, jako „burzących niepotrzebnie umysły”, ale koniec końców już się to ziarno nie dało wydrzeć z ziemi.

Dzięki szkole łacińskiej powstał wreszcie język literacki rosyjski, nie mając najmniejszego związku genetycznego z tym wszystkim, co od „Nestora” spisano w całej wschodniej Słowiańszczyźnie. Z ziarna gorczycznego łaciny, przeniesionej z Kijowa do Moskwy, wyrosło wreszcie rosyjskie poczucie narodowe, w drugiej połowie XVIII wieku już zdecydowane. Jest to druga z kolei narodowość w Słowiańszczyźnie wschodniej. Jest to narodowość rosyjska, określona następnie w całej pełni w osobie Karamzina (1765-1826). Język literacki, kształcony w czasie od Łomonosowa do Karamzina, stanowi nową zupełnie formę kulturalną, bez związku z poprzednią piśmiennością wschodnio-słowiańską. Podobnie to poczucie narodowe stanowi nową całkowicie formację kulturalną.

A nowa narodowość rosyjska nie powstawała w żadnym przeciwieństwie do poprzedniej pierwszej narodowości ruskiej dla tej prostej przyczyny, że twórcy nowego języka literackiego i sprawcy nowej formacji narodowej nie wiedzieli zgoła nic o istnieniu dawniej narodowości ruskiej. Nie zostało po owej narodowości ani wspomnienia, nie dochowała się żadna tradycja. To i tamto powstało jednako samoistnie, odrębnie, bez

jakiegokolwiek z sobą związku, tak dalece, iż nawet nie było sposobności do jakiegoś przeciwieństwa. Tamto przepadło, nie doszedłszy nawet do wiadomości twórców języka literackiego rosyjskiego.

Na szerokim podłożu kultur przynależnych do cywilizacji turańskiej i bizantyńskiej, nie posiadających pojęcia narodowości, zjawia się jednak poczucie narodowe. Zaczyna się w Rosji na dobre rozterka cywilizacji, gdy obok dorobku tamtych zjawia się dorobek cywilizacji klasyczo-chrześcijańskiej, czyli łacińskiej: poczucie narodowe.

Kultura rosyjska bywała tedy w pewnych okresach mocno turańską (zwłaszcza że kulturę turecko-bizantyńską zaliczyć można równym prawem do turańskości, jak do bizantynizmu), ale zawsze bieg dziejów dołączył to i owo, co wykraczało stanowczo poza turańszczyznę. Organizacja społeczno-ekonomiczna, nieograniczona nigdy do militarnej, tudzież następnie poczucie narodowe nie pozwalały Rosji stać się zupełnie azjatycką.

Ale turańszczyzny było i pozostało aż nazbyt wiele, żeby nie pozwolić Rosji stać się europejską.

Łacina swoją drogą, a państwo zasadzało się nadal na militarnej despotcji orientalnej, a takie państwo może istnieć tylko przy podbojach; gdy zaś przestanie czynić zabory, musi runąć. Imperializm Katarzyny II ocalił tę państwowość, ożywioną na nowo zaborami. Najważniejszym był zabór polski, ale też odtąd nie dopilnowano w Rosji ani jednej sprawy żywotnej dla państwa, bo wszystko podporządkowywało się zawsze względowi, jak utrzymać panowanie nad ziemiami polskimi i zgodę ze współnikami-zaborcami. Historia Rosji staje się odtąd historią zaniedbań politycznych.

Zaniedbani te musiały mieć skutki tym fatalniejsze, że przez rozbiory Polski zawisł nad Rosją przymus ulegania wpływom europejskim zachodnim. Rozbiory wciągnęły Rosję w wojny koalicyjne i napoleońskie. Narazić wyszło z nich państwo wzmocnione jeszcze bardziej, tak iż lata 1815-1855 są okresem rosyjskiej hegemonii w Europie, ale od r. 1855 (wojna krymska) zaczyna się upadek państwa: już wtenczas pojawiło się porównanie o kolosie na glinianych nóżkach.

Osłabiła się potem Rosja nagle, gdy po pokoju san-stefańskim nie udało się porobić

nowych zaborów i od r. 1878 upadek był już widocznym dla każdego. Państwo oparte na despotacji militarnej musiało ulec ruinie, jeżeli nie uda się ożywić go nowymi zaborami. W ostateczności zdecydowano się w r. 1914 na wielką wojnę, celem rozbicia Austrii. Była to stawka szalona, i bez przesady można powiedzieć, że postawiono wszystko na jedną kartę, ale w tej grze była jedyna nadzieja utrzymania caryzmu. Gra zawiodła i caryzm runął.

Ci, którzy obalali carat, pragnęli europejskiej formy państwowej i zeuropeizowania zupełnego społeczeństwa. Ale wysunęły się przeszkody wręcz niepokonalne. Przez dwieście lat sączyły się wpływy europejskie do Rosji, czerpane bezpośrednio, nie przez Polskę i nie przez Ruś, a równocześnie głosiło się nienawiść do Europy i snuło się rozmaite teorie antyeuropejskie, jak np. owo specyficzne słowianofilstwo rosyjskie, z którego wyszła w końcu teza o „zgniłym Zachodzie” i uwielbienie dla wszystkiego, co w Rosji było nieeuropejskiego. Jakże pogodzić jedno z drugim?

Myśl rosyjska popadła w błędne koło bez wyjścia. Państwo miotane przeciwieństwem kultur rozluźniało się i popadło w końcu w błędne koło odruchów bezcelowych, a wyniszczających. Wreszcie nie tylko państwo rosyjskie, ale sama narodowość rosyjska zaczęła rozpręgać się i... zanosi się na to, że naród rosyjski przestanie istnieć.

Oto czwarta z rzędu „synteza” Zachodu i Wschodu: hellenistyczność, bizantyzm, czasy saskie w Polsce i moskwicizm. Powstało ostatecznie w Rosji coś ogromnie swoistego, czego nie ma nigdzie indziej. Nie można zaprzeczyć, że od Iwana Srogiego wyrabiała się i rozwijała wciąż odrębna kultura moskiewska. Do czego doprowadziła, świadkami jesteśmy.

Zachód i Wschód, to są cywilizacje nierównomierne, które się łączyć nie dadzą, bo wydają zawsze: potwora.

Któż zaprzeczy, że w Rosji nie brakowało typów zupełnie europejskich? I któż zaprzeczy, że również nie brakowało typów zupełnie nieeuropejskich, całkiem turańskich? A wśród tego sporo było bizantyzmu dwóch gatunków, tak różnych od siebie: tureckiego i niemieckiego.

Jakąż kulturę miała wobec tego Rosja? Od nadmiaru kultur oto nie miała żadnej. One bowiem wszystkie nie dały się zlać w jedną, a wynikiem szukania syntezy był nihilizm i wszystkie jego następstwa.

Niegdyś Katkow, Pobiedonoscew, Leontjew, Komarow, identyfikowali Rosję z despotcją caratu, a cała szkoła tzw. „słowianofilska” (sit venia verbo) twierdziła, że Europa, to „zgniły Zachód”, że będzie musiała w końcu uczyć się od Rosji trafnego ustroju państwa i społeczeństwa. Runęło wszystko, co Katkow uznawał, tylko to przeświadczenie o mistrzostwie świata zostało. Ale Katkow miał na myśli, że Europa musi zaprowadzić u siebie caryzm despotyczny i prawosławie, tj. to, co uważali za istotę rosyjskości. Carat runął – i rosyjskość popadła w ruinę. A jednak Katkow nie miał słuszności; równoczesność nie stanowi jeszcze przyczynowości. Upadek caratu powinien by właśnie stanowić szczebel do wywyższenia Rosji, gdyby nie to, że przyczyna upadku tkwi znacznie głębiej niż w formie rządu.

Rosja wywróciła się skutkiem niejednorodności cywilizacyjnej. Porzuciła kulturę moskiewską, wyrobioną w pierwszej połowie XVI wieku, a nie przyjęła konsekwentnie ani zachodnio-europejskiej, ani też nie oddała się w zupełności turańskiej lub bizantyńskiej. W rezultacie Rosja była bez kultury, a taki stan nie może trwać długo bezkarnie.

Bez kultury była Rosja dlatego, ponieważ mieściła w sobie kultur kilka, nie dających się sprowadzić do wspólnego mianownika. Istnieje widać zasadnicze prawo historyczne, do którego dochodzimy indukcją z faktów wyraźnych czerpaną, że nie wszystkie kultury dadzą się łączyć w syntezę, że nie da się ona przeprowadzić pomiędzy Zachodem a Wschodem, przez cały zaś czas, póki trwają eksperymenty i zabiegi około takiej rzekomej syntezy, cywilizacja ponosi tylko szkodę i właściwie dokonuje się tylko upadek cywilizacji.

Można by mówić o jednym jeszcze dążeniu do syntezy Zachodu i Wschodu, mianowicie o Japonii po reformach. Ale to już poza naszym tematem. Poprzestanę tylko na stwierdzeniu, że Japończycy poza stroną techniczną wynalazków przyjęli jedno tylko z Zachodu, tj. system reprezentacyjny, który atoli stosują w sposób dostrojony do

japońskiej struktury społecznej. Błędnym bowiem jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby Japończycy strukturę tę, byli zmienili gruntownie; oni przybrali ją tylko w odmienne formy. Japończyk nie jest wcale taki skłonny do wyrzeczenia się japońszczyzny, jak się to mniema mylnie. Za przykład posłużyć może zacięty ich konserwatyzm w niejednej dziedzinie, np. w zakresie prawa rodzinnego.

Kwestia reform japońskich łączy się z zagadnieniem największej doniosłości historycznej: czy i o ile możebną jest cywilizacja zachodnio-europejska bez chrześcijaństwa? Zagadnienie najrozleglejsze, jakie tylko można sobie wyobrazić, znacznie rozleglejsze od wszystkiego, cośmy tu poruszyli dotychczas. Sądziłbym, że odpowiedź na to pytanie wypaść musi negatywnie...

Ale to obszerniejsze od zagadnienia o znaczeniu i celu Polski, a do rozwiązania tego zagadnienia niepotrzebne. Wracamy przeto w szersze szranki naszego tematu.

Sprawa syntezy Zachodu i Wschodu jest z dziejów polskich zagadnieniem bądź co bądź historycznie najrozleglejszym, kwestią najszerszego horyzontu. Na tym tle łączy się sprawa polska najszerszym łukiem z historią powszechną i nabiera najbardziej powszechnego, ogólnoeuropejskiego znaczenia. Tak się przedstawia historia polska ze stanowiska ogólnego pochodzenia cywilizacyjnego, a zatem ze stanowiska i najrozleglejszego, i najwyższego zarazem.

Streśćmy wyniki rzutu oka na Polskę z tego stanowiska:

Polska własnym doświadczeniem stwierdziła niemożliwość syntezy Zachodu i Wschodu, a ogromną szkodliwość dążeń do takiej syntezy. Wszystko tedy, co w Polsce zmierza do popróbowania takiej syntezy, skazanej z góry na wynik ujemny, szkodliwym jest dla Polski, skoro zaś Polska potrzebną jest i pożyteczną dla Europy, natenczas polskie dążenia do syntezy ze Wschodem byłyby również szkodliwymi dla Europy.

Z kolei rzeczy wypada tedy przyjrzeć się stosunkowi Polski do Europy.

Tu poprzestańmy na razie na stwierdzeniu, jak to w dziejach polskich zasadniczy ich moment ujemny, od którego wywodzi się geneza przyczyny upadku państwa, schodzi się chronologicznie mniej więcej z datami upadku państwa. Nie można mówić, jakoby przyczyną upadku Polski była unia brzeska; byłoby to zbyt powierzchownym, zbyt

mechanicznym traktowaniem dziejów. Żadne wydarzenie zewnętrzne samo przez się nie stanowi istotnej przyczyny następnych stosunków; raczej bywa ono już skutkiem pewnych stosunków, których przyczyna tkwi w wydarzeniach wewnętrznych, tj. w nabraniu i rozpowszechnieniu pewnych przekonań, zapatrywań, wreszcie nawet w powszechności pewnych uczuć. Unia brzeska była skutkiem przekonań o możliwości syntezy Zachodu a Wschodu. Gdyby nie to zapatrywanie, nie unii pragnęliby książęta Kościoła, nie ją propagowałiby jezuici, ani nie zyskałaby poparcia liczny szereg wybitnych osób duchownych i świeckich; a w takim razie byłby Zygmunt III. osiadł na lodzie ze swymi politycznymi planami, jakie z tą sprawą łączył. Gdyby nie pewne pojęcia, nie byłoby pewnego czynu; toć rzecz prosta. Gdyby pod koniec XVI w. nie były zapanowały w Polsce pojęcia, prace do poszukiwania syntezy ze Wschodem, byłyby losy unii brzeskiej (choćby nawet była formalnie zawartą) takie same, jak niegdyś florenckiej, o której w Polsce i Litwie nie chciano nawet słyszeć. Wydarzenie zewnętrzne schodzi do znaczenia epizodu, jeżeli nie stanowi skutku jakichś głębszych przyczyn wewnętrznych.

Z pojęcia rodzi się czyn. Logos kroczy przed Ethosem. Gdy Logos pobłądzi, Ethos wyjątkowo tylko zdoła ustrzec się od szkodliwej drogi.

Widzimy tu na przykładzie, jak Logos przejawia się jednakowo w całej grupie zjawisk. Unii brzeskiej towarzyszą w całym owym i następnym pokoleniu próby doprowadzenia do unii politycznej z Moskwą. Wymaga to umyślnych badań, żeby móc powiedzieć, od czego się zaczęło, czy od kościelnej dziedziny, czy od politycznej. Być może, że pomiędzy jedną a drugą panowała ścisła równoległość i równorzędność od samego początku. A nie jest to wykluczonym, że dalsze badania wykażą kiedyś, jako wszelakie owe dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu stanowiły tylko konsekwencję jakiegoś pojęcia o wiele prostszego, tkwiącego w umysłach współczesnych, którego my jeszcze historycznie uchwycić i określić nie umiemy. Nie jest wykluczonym, iżby się kiedyś okazać miało, jako dążenie do syntezy owej w Polsce było objawem, poza którym tkwi właściwa przyczyna i tego prądu i upadku Polski. Wszak nauka czyni postępy, a my nie możemy nic nadto, jak tylko podawać, na co naukę stać w danej chwili jej rozwoju. Bądź co bądź, zbliżamy się do prawdy; zwrócenie uwagi na dążenia do syntezy niektórych cywilizacji,

i uznanie ich za błąd, stanowi krok ku poznaniu prawdy historycznej.

Polityka polska załamała się na owym dążeniu, gdyż, opierało się na błędnych pojęciach. Godną uwagi bliższej jest okoliczność, jako zachodzi pewna względna równoczesność pomiędzy największą dziedziną Ethosu, polityką, a najwyższą Logosu, mianowicie filozofią. Filozofia polska, o której scholastycznym okresie będzie jeszcze raz mowa niżej – rozwijała się, bo nawet wyrabiało się pewne tło filozoficzne w społeczeństwie, w wieku XV i w pierwszych dziesiątkach XVI, i wtedy także powstawały wielkie polskie pomysły polityczne, i wyłaniały się nowe zasady prawa publicznego. Potem upadek filozofii później upadek prawa, w końcu (lecz niedaleko chronologicznie) upadek polityki, i to najpierw błąd teoretyczny (tj. mylne pojęcia), następnie zaś i klęski polityczne. Czyż, nie tak przedstawia się tok spraw polskich w wiekach XV, XVI i XVII?

Spostrzeżenie to posłuży nam niżej za wątek dalszych roztrząsań o stosunku Logosu do Ethosu.

Rozdział IX. Stosunek do Europy.

Czy Polska potrzebną jest i pożyteczną dla Europy? Europie nic nie zależy na ilości narodów czy państw, a może nawet byłoby dogodniej, żeby ich było mniej. Rozwój historyczny zmierza do tworzenia jak najrozleglejszych tworów politycznych, a więc... wynikałoby z tego, że postęp polega na tym, ażeby jak najwięcej państw i narodów traciło niepodległość? Rozumowano już w ten sposób, że rozbiór Polski jest wprawdzie sprawą arcyprzykrą, ale koniecznością, gdyż nie ma innej rady, jak tylko, żeby narody i państwa, do życia mniej zdadne, służyły silniejszym za „guano” (pierwszy użył tego wyrażenia Sergiusz Sołowiew w r. 1863). Walka o byt rozstrzyga najlepiej o postępie, bo słabsi giną, a zatem żywi składają się z coraz silniejszych. Dla słabszych nie ma innego celu, jak posłużyć za „guano”. Wolno przecież każdemu ćwiczyć się, żeby być jak najsilniejszym; kto tego zaniedbał, sam sobie winien. Trudno – najwyższym interesem ludzkości jest usuwanie z drogi niedołęgów.

Teorii tej nie można odmówić logiczności; mylność jej polega na tym, że jest jednostronną. Jednostronnie pojmuje „siłę”, bo tylko materialnie, podczas gdy istnieją

nadto siły moralne, o których można twierdzić, że one właśnie są siłami właściwymi, najsilniejszemu. Gdyby się sprawdziło przypuszczenie, że siła polityczna bez moralnej kruchą jest, że sama siła fizyczna trwałych wyników nie daje, jeżeli nie opiera się o moralną, natenczas cała teoria o wartości walki o byt, jako regulatorze najwyższym w historii, byłaby pozbawioną wartości, a sama walka o byt okazałaby się tylko środkiem do celu, jako szczebel niższy, po którym wspinać się trzeba na wyższe. Regulatorem najwyższym byłaby jakaś siła moralna; dążenia do bliższego określenia tej siły stanowiłyby najwyższy cel nauk prawniczo-historycznych.

Wymagać będzie zarazem poprawki pogląd na kwestię ilości państw i narodów. Rozwój historyczny wymaga tworzenia jak najrozleglejszych tworów politycznych w tym znaczeniu, ażeby powstawały jak najrozleglejsze takie twory, oparte na wspólnej sile moralnej, a więc dobrowolnie się zrzeszające. Twory oparte na przymusie tamują tedy rozwój historyczny, działają wstecznie. Postęp Europy wymaga, ażeby jak największe jej przestrzenie zrzeszały się, ale pod warunkiem, żeby nigdzie nie działał przymus. Zrzeszanie musi być obmyślane w taki sposób, iżby nikt ze zrzeszonych nie tracił niepodległości.

Pożytecznymi są dla Europy narody i państwa w miarę tego, o ile mogą się przyczynić do wzmożenia jej sił moralnych, ażeby ani fizyczne nie szły na marne. Polska zdała już raz egzamin z tego, że umie wytwarzać duże obszary polityczne, zrzeszane dobrą wolą uczestników-spółników, a mianowicie w systemach unii. Ale skoro dziś nie ma nigdzie owej „drugiej strony”, pragnącej unię zawierać, a zatem byłoby to doktrynerstwem, żeby powoływać się wciąż na unię, jakby na jakiś syngelton polskich sił moralnych. A gdy unii nie ma, więc cóż? Czyż nie ma przez to samo w polskość niczego realnego? Dajmy więc nareszcie spokój temu ciągiemu obnoszeniu się z unią. Jakbyśmy niczego innego nie mieli do pokazania. Niepotrzebnie profanujemy świętości narodowe.

Kwestię naszej pożyteczności dla Europy, lub obojętności dla jej dobra, oprócz trzeba na szerszym podłożu i na... mniej polskim, a bardziej europejskim, tak, iżby zrozumiałą była dla nie-Polaka. Niezrozumiałą będzie ona jednak i dla Polaka, dopóki nie zbadamy sprawy ogólniej, mianowicie stosunku naszego do Europy w ogóle, nie mając na

myśli z góry kategorii pożyteczności; dopiero po zbadaniu stosunku Polski do Europy, bez względu na korzyści lub szkody tej czy owej strony, będzie można z szerszego materiału wycisnąć cząstkę stanowiącą o naszej pożyteczności czy niepożyteczności.

1. Młodszość cywilizacyjna a chyżość historyczna.

Znana jest teoria „młodszości cywilizacyjnej”, którą starano się wyjaśnić tok dziejów polskich zasadniczo, od czasów najdawniejszych do najnowszych. Młodszy cywilizacyjnie jesteśmy oczywiście, bośmy później od innych przystali do cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Nie można przeczyć, że np. Niemcy są starsi od nas cywilizacyjnie. To znaczy, że dłużej od nas się cywilizują. Czyż jednak ma z tego wynikać, że młodszość ta musi się nam zawsze dawać we znaki? że jesteśmy na całe życie dziejowe skazani na to, by stać niżej od innych? niżej bez ratunku, boć młodszy zostaniemy na zawsze? Czy stopień cywilizacji zawisł od... chronologii? Jeżeli tak jest, w takim razie lasciate ogni speranza, Polacy.

Jeżeli młodszość cywilizacyjna musi być jednoznaczna z niższością, w takim razie musimy pozostać na wieki niższymi, a niższość ta z pokolenia w pokolenie musi też stawać się coraz znaczącej; a zatem skazani byłibyśmy na to, żeby stać coraz niżej w stosunku do starszych cywilizacyjnie, reprezentować coraz gorszy, coraz pośledniejszy stosunek wartości swej do ich wartości a zatem stawiać się coraz mniej wartymi w Europie, coraz mniej pożytecznymi, coraz bardziej balastem, jakby zawałdami postępu europejskiego. Młodszość cywilizacyjna wychodziłaby na rodzaj predestynacji.

Cała rzecz w dwóch okolicznościach: Po pierwsze, czy poziom cywilizacyjny pozostaje w prostym stosunku do czasu poświęconego na cywilizowanie się; czyli, czy tym ktoś wyżej cywilizowany, im dłużej się cywilizuje – czy też sprawy te nie pozostają w żadnym stałym do siebie stosunku. Po drugie, czy w pewnym czasie osiągalną jest pewna oznaczona stała ilość cywilizacji, czy też ilość ta jest zmienną: czyli że można osiągnąć dany stopień cywilizacji w rozmaitym czasie, a więc jednakowe stopnie cywilizacji osiągalne są w niejednakowych czasach, a zatem może dać się osiągnąć w czasie krótszym lub dłuższym jedno i to samo; w takim zaś razie możebnym jest

doganianie cywilizacyjne, a nawet przeganianie, bez względu na młodość.

Cóż w tej sprawie ma do powiedzenia indukcja historyczna?

Doświadczenie dziejowe stwierdza ponad wszelką wątpliwość, tysiącami faktów, jako pochod historyczny odbywa się w rozmaitych krajach, w różnych czasach, z różną szybkością. Znamy w historii każdego społeczeństwa zjawiska powolniejsze i szybsze. Możemy przeto mówić o chyżości historycznej, podobnie jak mówi się o fizycznej.

Znamy społeczeństwa, u których zmiany były nieliczne w ciągu długich wieków i nawet pozbawione większego znaczenia; a jednak, chociaż nieznaczone i nieliczne, dokonywały się nadzwyczaj powoli. Okazy tego rodzaju stanowią np. niektórzy autochtoni syberyjscy, ludy turańskie „kozacze”, np. Kirgizi, Chamicci berberyjscy i wiele innych ludów. Gdzie nic się nie zmienia, tam nie ma historii; gdzie zmian mało, tam historii mało. Gdzie specjaliści zaledwie badacze zdołają z trudem stwierdzić jakoweś zmiany, bo są niewidoczne, tam też historii niewiele. Są ludy, których dzieje ledwie kroniką wydarzeń przygodnych być mogą; są zaś i takie, które znajdują się wciąż w tym samym stanie, w jakim zapoznali się z nimi pierwsi ich „odkrywczy” (Patagończycy itp.). U nich chyżość historyczna równa jest niemal zeru.

Chyżość ta, zwiększając się, może się zwiększać w rozmaitych dziedzinach życia bardzo nierównomiernie. Za przykład może służyć Japonia, która tak się zmieniła w czasie krótkim. Powszechne jest mniemanie, jakoby zmienił się tam cały ustrój społeczny. Mniemanie to jest mylne. Przy nadzwyczajnej wprost chyżości w wielu kierunkach, w innych chyżość była mniejszą, w niektórych nader drobną, a w jednym równa się absolutnie zeru: prawo familijne, rozstrzygające o strukturze społecznej, pozostało bez zmiany.

Pewien stopień chyżości nie stanowi stałej właściwości pewnego społeczeństwa. W jednym i tom samym środowisku chyżość historyczna bywa zmienna. Ta sama Japonia, która od połowy XIX w. pędzi naprzód w cwał, stała przez długie wieki we wszystkim nieruchomo na jednym miejscu. Nie różniła się pod tym względem niczym od Chin, ani od Korei, których antytezą miała stać się wkrótce. W Europie można obserwować na półwyspie Apenińskim szeroką wielce skalę zmian chyżości historycznej. Jakżeż powolną

była Kalabria w porównaniu do Toskanii; jakżeż inną była ta chyżość w Toskanii w wieku XVI, a inną (powolniejszą bez porównania) w XVIII. A zestawmy w Polsce Kujawy z sanocką ziemią.

Zmiany chyżości bywają rozmaite, różniąc się zasadniczo; bywają przyspieszające i opóźniające rozwój w stosunku do chyżości poprzedniej. Istnieje chyżość wsteczna, i to nieraz bardzo rącza. Jest chyżość historyczna dodatnia i ujemna.

Nic mylniejszego nad rozpowszechnione mniemanie, jakoby postęp był kategorią czysto chronologiczną. Wyda je się to ludziom o broszurkowym wykształceniu całkiem „naturalnym”, że dziś stosunki są lepsze, aniżeli niegdyś, i uważają to za coś, co się rozumie samo przez się, że w przyszłości stosunki muszą być jeszcze lepsze. Ten przesąd chronologiczny stanowią jaskrawy przykład, jak to przyjmują się ogólniki bez krytycznego zastanowienia, wbrew nawet elementarnym zasadom logiki. Dzięki przekonaniu, jakoby postęp musiał się dokonywać nieustannie w miarę, jak przybywa ludzkości rachuby czasu, powstały dziwnie błędne zapatrywania na przeszłość i przyszłość, a błędne skutkiem właśnie naiwnej prostoty rozumowania. Powiedziano sobie, że im coś bliższe naszych czasów, tym lepsze, a im odleglejsze w przeszłości, tym gorsze, jako przez krótszy czas korzystające z postępu. Na przeszłość poczęto patrzeć zasadniczo jako na przestarzałość, identyfikując mylnie jedno z drugim. Z tego powstało np. „powszechnie wiadome” bałamuctwo o ciemnocie ogólnej wieków średnich; to zbyt odległa przeszłość, iżby nie miała być ciemną w porównaniu z nami. Według tego mechanicznego wyobrażenia o pochodzie dziejowym można by rozwój społeczeństwa mierzyć ilością pokoleń, a tymczasem cóż zawodniejszego! Tylko *caeteris paribus* rozstrzyga długość czasu.

Postęp może być w każdym pokoleniu, lecz w żadnym być nie musi. Każdej chwili może nastać zastój. Każde pokolenie musi pracować i być czujnym, bo wystarczy kilkanaście lat zaniedbania kulturalnego, społecznego i państwowego, a pochód może się odbywać nagle przy pomocy chyżości wstecznej.

Nic błędniejszego, a zarazem szkodliwszego dla życia publicznego, nad to mniemanie rozpowszechnione, jakoby postęp społeczny, kulturalny i państwowy był tym

większy, im bliżej naszych czasów, a natomiast im głębiej w przeszłość, tym grubsze zacofanie. Popularne zdanie o młodym i starym wieku społeczeństw i narodów, o ich dzieciństwie, młodości, wieku dojrzałym i starości, jest nonsensem. Niektóre społeczeństwa, choć stare, nie zdążyły nigdy wyjść ze stanu prymitywności; cieszą się tedy według owej teorii młodością wiecznotrwałą. Są społeczeństwa, które gniją, chociaż nie dorosły do miernego jeszcze rozwoju; może to tedy przyspieszona dojrzałość? Niektóre społeczeństwa kwitły krótko i zapadły w nie-historyczność ponowną, z której mogą jednak wyrwać się znowu do nowego życia; gdzież je pomieścić w takiej klasyfikacji fizjologiczno-historycznej?

Żadne społeczeństwo nie rozwija się na podobieństwo ciała ludzkiego, czy zwierzęcego; nie miewa młodości, a dzięki temu nie musi też być skazanym na upadek sił, tym mniej na śmierć. Jeżeli społeczeństwa upadają i nawet giną, dzieje się to z innych zgoła przyczyn, a nie z powodu ich długowieczności. Starożytni Rzymianie mogliby istnieć dotychczas, gdyby chodziło tylko o ich wiek dziejowy, który by i tak krótszy był od chińskiego.

Mylnym a naiwnym jest przedstawianie sobie gdziekolwiek pochodzącego, jako linii z konieczności ciągłej (choć nie prostej) w pewnym kierunku. Linia ta bywa w rzeczywistości nie tylko przerywana, ale może ona nawet zmieniać kierunek. Załamania kierunku zdarzają się niemal u każdego społeczeństwa. Historia np. Rosji składa się z nieustannych zmian kierunku, nawet radykalnych. Niewiele jest społeczeństw, odznaczających się wyraźną ciągłością swych dziejów, nie tylko przyczynową, ale też celową. Z europejskich najwybitniejsze są pod tym względem dzieje Anglii i Polski, wybitnie ewolucyjne.

Dzięki piśmienności rozporządzają społeczeństwa europejskie taką nieprzerwalnością i obfitością źródeł historycznych, że każdy okres chronologiczny da się opracować szczegółowo co do wydarzeń. Pisarze historyczni zdają się trzymać zasady, że im więcej wydarzeń, tym więcej historyczności, i stali się opowiadaczami wypadków w ich związku przyczynowym. Ale wypadek wypadkowi nierówny. Mogą być wydarzenia ogromnie zajmujące współczesnych, i dlatego zajmujące sporo miejsca w źródłach, a dla

historii bez znaczenia. Zmniejszenie się bowiem chyżości historycznej niekoniecznie łączy się z jednostajnością tła dziejowego; ani też z drugiej strony przyspieszeniu chyżości nie odpowiada koniecznie większa obfitość wydarzeń zewnętrznych; pomiędzy tymi kategoriami nie ma w ogóle związku. Stan chyżości poznajemy bardziej po tzw. stosunkach wewnętrznych niż po sprawach zewnętrznych, które mogą być wielce urozmaicone, podczas gdy już zastój się czai.

Nie wynika z tego bynajmniej, żeby „sprawy wewnętrzne”, ustrój społeczny, prawa i urządzenia miały być częściej odmieniane, jeżeli mamy stwierdzić, gdzie większą chyżość historyczną. Postęp dokonuje się nie tyle przez wymyślanie rzeczy nowych, ile przez coraz lepsze zastosowanie starych. Biada społeczeństwu, które goni za „nowinkami”, nie wyzyskawszy jeszcze należycie postępowo starych swych zasobów. Wszelka przerwa w rozwoju wytwarza niebezpieczną wyrwę, w którą można się stoczyć. Tyczy się to nie tylko ogólnych zasad, ale także szczegółów. Każdy pierwiastek ustroju, każdy moment kulturalny musi być wyzyskany wszechstronnie i w zupełności; inaczej następuje w pewnym miejscu mechanizmu życia zbiorowego przerwa, wyrwa lokalna. Coś gdzieś zepsuje się, a gdy takich usterek nabiera się więcej, mechanizm, cały przestanie działać sprawnie. Dlatego to w życiu zbiorowym nie ma „drobnostek”.

Niekoniecznie pożądaną jest jak największa chyżość historyczna. Pożądaną jest taka, jaką dane społeczeństwo może znieść, a to zależy od czasu, miejsca i okoliczności. Sprawa to tak zawiła, iż wymagać będzie długich naukowych dociekań, zanim powiedzie się nauce wpaść na ślad jakiegoś prawa pod tym względem. To pewna, że żadną miarą nie można sądzić, jakoby pomyślność narodu' zawisłą była od ciągłego przyspieszania chyżości historycznej. Bywają chyżości gorączkowe, wiodące do zguby.

Jeszcze mylniejszym byłoby uważanie za postęp wszelkiej zmiany, gdy tymczasem można by równym prawem upatrywać w każdej zmianie cofnięcie się. Zmiana radykalna, podjęta choćby z największą wiarą i ofiarnością w imię postępu, może być właśnie radykalnym wstecznictwem.

O tym, co jest krokiem naprzód, a co wstecz, nie rozstrzyga żadna a żadna „zasada” społeczna ni polityczna, ale wyłącznie skutki zastosowania danej zmiany w praktyce. To

też polityka i wszelka w ogóle działalność publiczna polega nie na talencie snucia projektów, talencie nader pospolitym, lecz na niełatwej sztuce przewidywania skutków. Nie nabędzie tego przymiotu, kto nie jest dokładnie obeznany z rzeczywistością, a to wymaga znacznej biegłości i w teoriach i w praktyce.

Badając tedy chyżość historyczną w przedstawieniu dziejów pewnego społeczeństwa czy pewnego obszaru dziejowego, musi się historyk wystrzegać przedwczesnego generalizowania, ale musi badać tę chyżość w każdym pokoleniu z osobna, aby potem dopiero móc stwierdzić, czy w ogóle jest co do generalizowania.

Nie jest też danym z góry stopień chyżości, nie jest ustalony dla danego miejsca czy czasu, a zatem da się przyspieszać i opóźniać. Przykładu celowego, całkiem świadomego opóźniania dostarcza zachowanie się rządów zaborczych w porozbiorowym okresie Polski. Przyspieszaniem świadomym, celowym jest podjęcie wszelkiej pracy społecznej około warstwy, do której się samemu nie należy, pracy moralnej, oświatowej czy ekonomicznej, boć dlatego się to robi, żeby przyspieszyć postęp w społeczeństwie.

Nie o to więc chodzi, czy chyżość historyczną przyspieszać, ale o to, jak to robić, żeby zrobić dobrze i nie osiągnąć czasem wyniku wręcz przeciwnego zamierzonemu.

Dowodów chyżości przyspieszonej, i to znacznie, a ze skutkiem dobrym, mamy w historii niemało. Inaczej nie mogłoby społeczeństwo zacofane zrównać się nigdy z postępowemu niemożliwym byłoby odrodzenie społeczeństwa raz upadłego; niemożliwym byłoby tzw. doganianie. Banja, Czechy. Japonia, dostarczyły dowodów skutecznego doganiania. Największą chyżość tego rodzaju, chyżość doganiania po straszliwym zacofaniu, wykazała Anglia, podniósłszy się z mizernego stanu w połowie XVIII w. w ciągu półwiecza do potęgi, która sama jedna mogła być groźną Napoleonowi, a po pracy następnego pokolenia począwszy przodować całemu światu cywilizowanemu.

Dla nas kwestia doganiania po upadku jest bliską i ważną; dlaczego, tego nie trzeba tłumaczyć. Ale dla naszej nauki historycznej istnieje także inna kwestia doganiania, nie z powodu upadku wcale, lecz zasadniczo z powodu młodszości cywilizacyjnej.

Powołując się na powyższe wywody, można zaprzeczyć z całą stanowczością, jakoby stopień cywilizacji miał być zawisłym od chronologii. Chronologiczna młodszość

tłumaczy początkową tylko niższość cywilizacyjną, ale potem nie stanowi o niczym. Społeczeństwo starsze cywilizacyjnie może popadać w zastoje, może posiadać chyżość historyczną nieznaczną, gdy tymczasem młodsze może osiąść chyżość znaczniejszą, doganiać i nawet przeganiać.

Gdyby dało się tłumaczyć i wyjaśniać cały pochod dziejowy pewnego społeczeństwa jakąś zasadniczą okolicznością z samego początku tego pochod, natenczas byłoby to oznaką stagnacji, która zaczęła się wnet po rozpoczęciu życia dziejowego. W takim zaś razie naukowe badanie dziejów mogłoby ograniczone być tylko do tego stadium początkowego, reszta byłaby tylko opowiadaniem wydarzeń. Wiemy, że tak nie jest – a zatem nie ma predestynacji historycznej, zawisłej od czegoś, co było na samym początku rozwoju dziejowego. Dodajmy, że „początek rozwoju” cofa się coraz głębiej w przeszłość, im bardziej postępują badania naukowe; zasadniczo można mówić tylko o początku naszej dzisiejszej świadomości o przeszłości, ale nie o początku... przeszłości samej.

2. Teoria Pawła Brudzewskiego.

Skoro najwyższy regulator zawikłań dziejowych tkwi w święcie ducha, w święcie moralnym, a zatem stosunek nasz do Europy rozważać najstosowniej i oceniać według stosunku myśli polskiej do tego, co w Europie uchodziło za kwintesencję dobra powszechnego. Musimy wejść na chwilę na teren nader rozległy, niemniej rozległy od zakresu kwestii o syntezę Zachodu a Wschodu. Europa opierała bowiem swe pojęcia dobra powszechnego na postulatach ogólnych cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, która zrazu nie była bynajmniej ograniczona do obszarów europejskich.

Chodzi tu o określenie stosunku Polski do twórczości politycznej klasyczno-chrześcijańskiej, do ustroju społecznego, państwowego, i do kultury umysłowej w obrębie tejże cywilizacji.

Wyłania się cały ten świat stosunków f pojęć z olbrzymiego zbiorowiska starożytnego imperium rzymskiego. Święty Augustyn potępił był to imperium i całą

historię rzymską w latach 413-426, kiedy pisał swe dzieło *De civitate Dei*, a swoją drogą powstają w tymże jeszcze wieku nowe państwa europejskie na tradycjach, uchwyconych z resztek tegoż potępionego imperium. W trzy wieki potem, w r. 800, sam papież wznawia imperializm, koronując Karola Wielkiego na cesarza „rzymskiego”. Święty Augustyn miał zupełną słuszność, zzymając się nad zbrodniczością dziejów rzymskich, ale ta Afryka, która przejęła się jego wywodami, nie zbudowała po upadku imperium sama nic nowego, gdy tymczasem państwowość rozkwitła na nowo w zachodniej Europie, przyznającej się do spadku po zbrodniczym Rzymie.

Nie daje się bowiem w dziejach nic budować zupełnie na nowo. Afryka, przejęta już romanizmem, wyrzekając go się nagle, zagwoździła sobie dźwignie rozwoju, ho na miejsce imperializmu rzymskiego nie miała nic, prócz marzeń. Zdezorganizowana, skutkiem tego, uległa też cywilizacji muzułmańskiej niemal bez oporu.

Gdziekolwiek sięgała kultura rzymska, nigdzie nie dało się jej rugować bezkarnie. Tkwią w niej pewne zasadnicze dane organizacji państwowej, której raz zakosztowawszy, nie można już było obejść się bez niej. Teoria dwoistości najwyższej władzy, duchownej papieskiej i cesarskiego *bracchii saecularis*, nie jest też niczym innym, jak zdobytym z doświadczeń czterech blisko wieków kompromisem pomiędzy teorią Św. Augustyna a możliwością.

Dzieło *De civitate Dei* zawiera w sobie najwyższe w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego, wyrażone samym tytułem dzieła. Mamy dążyć do zaprowadzenia królestwa, Bożego tu na ziemi i takie przykazanie Obowiązuje odtąd każdą duszę chrześcijańską. Minęło półtora tysiąca lat, i my dziś powtarzamy to samo, wołając, że trzeba dążyć do królestwa Bożego na ziemi. Święty Augustyn wyrzekł coś tak wielkiego, że starczy na cały pochód historii powszechnej! Ale też można zagadnąć z drugiej strony: czemuż ta *civitas Dei* wciąż gdzieś tak daleko od nas? Czemuż półtora tysiąca lat nie starczyło, by wcielić ten ideał?

Longum esset enumerare, o ile bliżsi jesteśmy dziś tego ideału, niż za czasów jego twórcy. Każdy okres inaczej pojmuje tę *civitas*, a postęp w postępowości tego pojmowania. Zdaje się nam zaś zawsze, żeśmy jednako oddaleni od ideału, dlatego,

ponieważ i on, ten ideał kształci się w nas wraz z nami, i staje się coraz wyższym w miarę rozwoju cywilizacji (upadając w okresach jej upadku). Im więcej wymagamy od cywilizacji, a raczej; im więcej cywilizacji wymagamy od samych siebie, tym większe stawiamy wymagania ustrojowi i urządzeniom, którymi moglibyśmy przyznać zasługę, że zbliżają ludzkość do civitas Dei. Można by to wyrazić innymi słowami, że tym więcej obowiązków nakładamy na wymarzone królestwo Boże, że obciążamy je coraz uciążliwiej, a więc sami odsuwamy je od siebie dalej; bo wyżej, w górę. Gdybyśmy nie nakładali na Ideał coraz większych wymagań, zapewne wszystkie byłyby już dawno spełnione. To też spełnienie Ideału, to złudzenie, którego zjawienie się jest dowodem stagnacji moralnej. Ideał nie może się nigdy spełnić społeczeństwu, bo ono w miarę, jak się doskonali, zakreśla sobie ideały coraz wyższe, coraz trudniejsze do spełnienia. Oto dziedziina, w której zaiste „mierzą się siły na zamiary”. Oto szczyt ludzkiego Logosu, szczyt mknący wciąż w górę!

Trzeba by pisać chyba cały jakiś kurs historii powszechnej, żeby to wykazać szczegółowiej. I u wystarczy zwrócić uwagę na tę okoliczność, jako od półtora tysiąca lat dążąc do królestwa Bożego na ziemi, pytamy ciągle: do czegoż więc zmierzać mamy, by wielkie dążenie choć trochę się spełniało? Pytamy wciąż o niewiadome środki do wiadomego celu. Od świętego Augustyna celu odkrywać nie potrzebujemy, ale środki wynajdywać musimy bez końca.

Pierwszym takim środkiem miało być wznowione w r. 800 cesarstwo rzymskie. Na tle ogólnego ideału św. Augustyna jest to pierwsze w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego.

Polska weszła w koło cywilizacji łacińskiej, gdy 'przez chrzest wpisała się w poczet „rodziny chrześcijańskiej”. Narzędzia pod snuć osnowy historycznej otrzymaliśmy z zewnątrz. Stało się to w Rzymie w r. 996, skąd św. Wojciech przywiózł prowincję kościelną polską, zorganizowaną w cztery lata potem. Był to nie asceta tylko i zamodlony pątnik, ale polityk chrześcijański w wielkim stylu, pracownik energiczny około sprawy de civitate Dei. Oznaczało zaś przyznanie prawa do osobnej prowincji kościelnej, że Rzym uznając równorzędność nowego społeczeństwa chrześcijańskiego ze starszymi.

Dzieło św. Wojciecha przybiera pod niemniej twórczą dłoń Bolesława Wielkiego kształt olbrzymiej monarchii słowiańskiej, której pomysł waha się, już to kurczy, już to rozszerza się w wykonaniu, ale trwa ciągle w okresie tzw. bolesławowskim. W okresie tzw. dzielnicowym nabiera społeczeństwo sił społecznych, a w połowie wieku XIII rodzi się dzięki uczonym dostojnikom Kościoła idea narodowa polska, pielęgnowana najpierw na dworze Bolesława Pobożnego kujawskiego (zm. 1279), najstarsza na północy Ale idea narodowa, a pierwsza co do wykonania w całej cywilizacji klasyczo-chrześcijańskiej. Ludność polskiej prowincji kościelnej staje się narodem polskim, kiedy to pomysły i dążenia, skryształowane najlepiej w umyśle arcybiskupa Świnki, zamienia w czyn Władysław Niezłomny (Łokietek). Niebawem zrywa się Polska do powtórnego rozmachu na zewnątrz i już za Kazimierza W. kładzie się fundamenty pod przyszłe państwo Jagiellońskie.

Wszystko to dokonało się zgoła odmiennie, niż dokonywało się pośród społeczeństw zachodnich. Polska weszła wprawdzie w koło cywilizacji łacińskiej, lecz nie przyjęła zasadniczej podstawy ustroju tamtych społeczeństw.

Pomiędzy dziejami ustroju społecznego Zachodu a Polski zachodzi ta walna różnica, że w Polsce nie było feudalizmu. Ustrój ten wytworzył się ewolucyjnie, z jak najściślejszą konsekwencją, ze stosunków zachodniego obszaru cesarstwa rzymskiego w ostatnich wiekach jego istnienia, mianowicie ze samopomocy społecznej. Był więc feudalizm zjawiskiem normalnym na półwyspie Iberyjskim, w Galii-Francji, w Anglii, tudzież w tej części Niemiec, która rozwinęła się do pewnego poziomu społecznego pod panowaniem rzymskim, a więc w dorzeczu Renu. Dalej ku wschodowi został feudalizm zaprowadzony sztucznie, w Niemczech przymusowo, gwałtami popełnianymi w imię organizacji państwowej wbrew organizacji społecznej. Feudalizm niemiecki poza dorzeczem Renu był najpierw państwowym, a potem dopiero naciągano do niego stosunki społeczne, a ten nienaturalny tok rzeczy wytworzył niemiecką odmianę feudalizmu, różniącą się od zachodniego cechami ujemnymi (z tego „Raubritter”). Czesi, asymilując się do niemczyzny, przyjęli także feudalizm, ale nie zdołali wykształcić go w system, boć nie było do tego pola w ich społeczeństwie, to też społeczeństwo to

rozdarte zostało na dwie społeczności odrębne: feudalną i nie feudalną, a feudalizm stał się kulą u nogi rozwoju dziejowego Czech.

Feudalizm wyhodował całe życie zbiorowe na Zachodzie. Feudalizm nadal tam formy ustrojowi społecznemu i był w ogóle esencją europejskością do tego stopnia, iż przystosował się do niego Kościół, ażeby mógł wejść wewnątrz społeczeństw Polska jednak feudalizm nie przyjmuje, lecz mimo to pozostaje o własnych siłach córą Zachodu, rozwijając się na podstawie rodzimego ustroju rodowego, stanowiącego przeciwieństwo feudalizmu jak najjaskrawsze.

Wobec takiego przeciwieństwa musiały być nieporozumienia, tym bardziej że zachodziła jeszcze druga zasadnicza różnica:

Cesarstwo Karola W. zawiodło i rozprzęgło się, zanim jeszcze dobiegł końca wiek IX. Epizodycznie zabłądziła korona cesarska w r. 896 na głowę Arnulfa niemieckiego, ale to epizod bez znaczenia. Karolingowie niewiele mieli sposobności oprzeć się o Niemcy, ani też nie utrzymała się w Niemczech ich tradycja dynastyczna. Wznowienie cesarstwa przez Ottona W. w r. 962 na cztery lata przed chrztem Mieszka nie ma związku ani genetycznego, ani ideowego z problematem cesarstwa Karola W. To drugie cesarstwo, powstałe wśród walk orężnych z papiestwem, wywodzi się od bizantyńskich „kajzarów”, przejmując nawet ich nazwę. W ogóle nawrócenie Polski przypada na czasach najsilniejszej ekspansji bizantyzmu. To też sąsiedztwo nasze z Niemcami niekoniecznie było sąsiedowaniem z łacińską cywilizacją.

„Święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego” weszło jednak w kompromis z papiestwem, a że formalnie trzymało się katolicyzmu, poczęło wkrótce uchodzić nie tylko u Niemców za ciąg dalszy monarchii Karola W. Cały świat łaciński uznawał je mniej więcej aż do połowy XII w., a potem jeszcze aż do XV w. posiadało cesarstwo niemieckie zwolenników poza Niemcami, jako cesarstwo „rzymskie”, wyznaczone do przewodzenia w „rodzinie chrześcijańskiej”.

Polska tego cesarstwa nie uznawała. Nie rozumieli tedy wojownicy Bolesława Krzywoustego, o co chodzi cesarzowi, że gotów księcia polskiego nie tylko pozostawić w spokoju na tronie, ale pozostawić mu najzupełniej własną wolę, byle tylko dał jakiś

mały znak, że uznaje nad sobą „zwierzchnictwo cesarskie”. Nawzajem Niemcy nie rozumieli Polaków. Wielkie wojny o to, czemu poddawało się bez szemrania tyle rodów książęcych na Zachodzie, rodów w oczach świata świetniejszych od Piastów! W Burgundii np. musiał się taki opór wydawać uporem barbarzyńców, nieucywilizowanych jeszcze należycie. Wszak wszyscy panowie chrześcijańscy są wasalami cesarza „rzymskiego”, bo tego wymaga prawo, porządek europejski i dobro całej „familii chrześcijańskiej”.

Pojęcie cesarstwa traciło już w drugiej połowie XII wieku wiele ze swego uroku, a rzesze jego wyznawców przerzedzały się. Ponieważ jednak nie powstawało żadne nowe pojęcie o ustroju Europy, pojęcie dawne trzymało się siłą bezwładności, zastosowywane w praktyce już tylko na upozorowanie zachłanności niemieckiej względem Słowian. Najmocniej akcentowali zwierzchność cesarską tacy, którzy nie uznawali papieskiej. Cała ta teoria była już zwiędła i grubo sprofanowana – ale że nie było innej, a bez podstaw teoretycznych nie można było w wielu wypadkach dojść do ładu, więc uznawano ją w braku innej.

Scholastyka nowej teorii w tej dziedzinie nie wymyśliła, tylko próbowała dawną zreformować. Tomiści i skotyści wciągali nieraz w swe dociekania spór o wyższość władzy papieskiej czy cesarskiej. Można powiedzieć, że filozofowie ci dostarczyli tylko nowych oręży, nowych argumentów pro i contra, nie zmieniając niczego w rzeczy samej. Osadzona lepiej spekulatywnie, dzięki św. Tomaszowi z Akwinu (zm. 1274), wykwita cała sprawa jeszcze raz wspaniałym kwiatem w arcydziele Dantego, młodszego w sam raz o jedno pokolenie (ur. 1265). Słusznie powiedział Klaczko, że to był „utopiste du passé”.

Był jednak kraj, gdzie cała owa teoria nie stanowiła opóźnionej utopii, lecz była wielce aktualną, znajdującą nieustannie zastosowanie praktyczne: to Polska, mianowicie stosunki krzyżacko-polskie.

Zdajmy sobie sprawę z tego, że duch Dantego byłby w tym sporze z całą stanowczością po stronie krzyżackiej. Broniłby ważności nadań cesarskich choćby do połowy Polski i całej Litwy.

To, co wypełniało najtęższe głowy Europy, zwracało się stanowczo przeciw Polsce. I w tym tkwi najgłębsze zagadnienie dziejów polskiego średniowiecza, a przedstawia się

ono tak:

Polska garnęła się do cywilizacji zachodniej, czerpie stamtąd pojęcia o życiu i ustroju cywilizacyjnym, kształci się na nich – i sprzeciwia się im równocześnie, bo feudalizmu nie przyjmuje, a teorię imperializmu cesarza „rzymskiego” odrzuca. Wyrasta więc Polska na tej cywilizacji, lecz zachowuje się względem niej tak, że każdy mógł orzec, jako Polska znajduje się poza jej obrębem, że nie należy do „familii chrześcijańskiej” w znaczeniu polityczno-społecznym. W pojęciu rycerza burgundzkiego nie mogło być porządku społecznego bez feudalizmu i całej związanej z tym specjalnej kultury, a więc Polska była w jego oczach dziczą. Ludziom Zachodu wydawała się Polska nie tylko niezdatną do przyjęcia cywilizacji zachodniej, ale zasadniczym wrogiem tejże, skoro się odczepia od wszelkiego związku ze a „świętym rzymskim cesarstwem”, a więc z jedyną znaną formą powszechności chrześcijańskiej.

Głęboko sięgało nieporozumienie, a musiało być oczywiście wzajemnym. To też kultura polska czyniła postępy na drodze wcale niegładkich, zmagając się w największej rozterce pojęć, która musiała być tragiczną u umysłów wyższych. Niektóre dziwne załamania w dziejach kultury naszej od XI do XV wieku mają źródło w tych przeciwieństwach i nieporozumieniach.

Nie zasymilowaliśmy się jak Czechy, gdzie rozwiązano kwestię w sposób najprostszy, wchodząc w skład cesarstwa i starając się w końcu stanąć samym na jego czele. Kiedy czescy królowie bywają cesarzami, polscy najmocniej właśnie zarzekają się wszelkiego związku z systemem imperialistycznym.

W rozterce poglądów na świat uczyniła się myśl polska najbardziej krytyczną z całej Europy, aż doszła do tego, iż przystąpiła do krytyki samych założeń europejskiej teorii społeczno-państwowej i wytworzyła w końcu swoje własne, polskie pojęcie dobra powszechnego, jako drugą z kolei teorię w zakresie de civitate Dei. Obejmuje ona samorząd, wolność obywatelską, unię.

Zanim do tego doszło, przecierpiano wiele; a potem? Potem bywało jeszcze gorzej, bo musiała nastąpić walka dwóch poglądów na ustrój państw i społeczeństw; walka młodszej cywilizacyjnie i słabszej materialnie Polski z Zachodem, walka zaiste

rozpaczliwa, nie rokująca zrazu powodzenia. To też czasem wyrzekano się tej walki.

Ostatecznie Polska zwyciężyła pod Grunwaldem i Wiłkomierzem (1410, 1435). W walce dwóch idei nie miecz rozstrzygnął, miecz był tylko środkiem pomocniczym do ostatniego ciosu.

Bitwy grunwaldzkiej nie można traktować epizodycznie, wyrywając z całości „wielkiej wojny”. Pokonanie Zakonu nie było dziełem kilku miesięcy, boć owa wojna trwała lat całych 30; zaczęła się już w r: 1406, a skończyła się pokojem brzeskim dopiero 31 grudnia 1435 r. Całe pokolenie! Były jednak ciągłe przerwy, rozejmy, a nawet zawierano pokoje w ciągu tych lat 30, i przez to ogół zatracił wątek pragmatyczny wydarzeń, stanowiących razem jedno zjawisko dziejowe. Są one związane z sobą ściśle nie tylko przyczynowo, ale, co ważniejsza, w świadomości współczesnych celowo, z programem określonym z obu stron tak ściśle i jasno, jak rzadko kiedy w historii powszechnej.

Przerwy owe były zresztą względne, bo tyczyły tylko polsko-pruskiego placu boju. Wojna miała zaś zakres i politycznie, i terytorialnie znacznie szerszy. Obejmowała nie tylko Polskę, Litwę, Białoruś, Prusy i Inflanty, ale też pograniczne kraje niemieckie, Czechy i Węgry, zahaczając pośrednio o Moskwę i Tatarów wciągając całą Rzeszę Niemiecką, wywołując rozmaite nowe kombinacje polityczne aż do Francji i Włoch. Podczas przerwy najdłuższej, po pokoju nad jeziorem melneńskim, wrzała wojna w najlepsze na terenie czeskim, gdzie chodziło o to samo, chociaż innymi metodami. Podczas tzw. buntu Świdrygiełły osaczono Polskę z kilku stron, a Polska; wzajemnie pobudzała do wojny wszystkie ościennie ludy przeciwko popierającym Zakon monarchom. Kiedy walne zwycięstwo pod Wiłkomierzem, odniesione d. 1 września 1435 (stawiane przez współczesnych na równi z grunwaldzkim) zmusiło Krzyżaków do zawarcia pokoju brzeskiego, drugiego „wieczystego po kaliskim” – przerwa pomiędzy wojną „wielką”, a „trzynastoletnią” wynosiła tylko 19 lat (1454 – 1466). Ta nowa wojna toczy się już z pomocą własnych poddanych Zakonu, zbuntowanych przez Polaków.

Przewlekającym się przez 60 lat bojom dwóch pokoleń towarzyszy istna rewolucja pojęć:

Podczas gdy inne narody słowiańskie poprzestawały na asymilowaniu się z kulturą zachodnią lub bizantyńską, pomnażając chrześcijaństwo i cywilizację tylko kwantytatywnie, jedna Polska pomnażała je kwalitatywnie. W niej jednej był duch inny, niż w Paryżu lub w Kolonii; było coś swoistego. Pod Grunwaldem starły się pojęcia zachodnio-europejskie, feudalistyczno-imperialistyczne z pojęciami polskimi, które były zarazem jedynymi oryginalnymi Słowian, tak że Polska była w r. 1410 pod względem duchowym istotnie całą Słowiańszczyzną.

Madejowym łożem była dla Polski szkoła cywilizacji zachodniej, przez którą przejść musiała. Sprawa polska stawała po wielekroć w poprzek europejskim zapatrywaniom na prawo narodów. Spotkano się z czymś nowym, niepojętym wprost dla zachodniej Europy. Sprawa nasza nie dawała się wciągnąć do teorii imperialistycznej. Stosunki faktyczne były tego rodzaju, iż. teoria ta, stosowana do spraw polskich, stawała się absurdem, spaczeniem, ohydny nieraz wykoszlawieniem tkwiącej w niej pierwotnie myśli i mającej jej przyświecać zasady chrześcijańskiej. Ale o tym wiedzieli tylko tacy, którzy stosunki te badali i poznali bliżej, a takich było niewielu na Zachodzie. A chociaż ten i ów czuł, że po naszej stronie słuszność, a nie po krzyżackiej, żałował, że prawo jest przeciwko nam; ale czyż zarzucać prawo dlatego, że w wyjątkowym jakim wypadku ono niedomaga?

Dlatego to w sporze Polski z Krzyżakami sympatie Europy były stale po stronie Zakonu. Była to walka Polski nie tylko z Krzyżakiem, lecz z Europą. Nie tylko bowiem Niemcy wspierali Zakon, ale i Czesi (król Otokar II założycielem Królewca), Francuzi, Anglicy, Szkoci. Pomóc Krzyżakom, to najwyższa zasługa; zdobyć pod ich poręką ostrogi, najwyższy honor; zapisać mienie na fundację dla nich, to z dobrych uczynków najlepszy i najtrafniejszy!

Polskie dążenia i postępowanie stanowiły łamigłówkę dla ludzi Zachodu. To też pamflety na Polskę znajdowały długo chętny posłuch i wdzięcznych słuchaczy nie tylko w Niemczech, lecz wszędzie na Zachodzie z wyjątkiem jedynie środkowych Włoch.

Ale co gorsza, my sami sobie poczynaliśmy być zagadką. Przyjmując z Zachodu cywilizację, czerpaliśmy też stamtąd wiedzę i jej kwiat: teorie naukowe. Teorie te były

jednak dla nas zabójcze. Znać też w dziejach rozwoju naszego istne męki ducha polskiego, rwącego się do światła. Na tych torturach moralnych, wśród walki pomiędzy miłością światła i prawdy, a miłością narodu, mógł się złamać duch narodu i wejść pomiędzy narody europejskie jako coś połowicznego, nijakiego i okaleczonego duchowo, niedomagającego wiecznie, a pod względem kulturalnym rzeczywiście niższego.

Tylko wynalezienie nowej formy dla cywilizacji zachodniej, tylko jakaś polska a pozytywna teoria mogła wykształcić nas na naród w całym znaczeniu tego wyrazu, pogodzić z samymi sobą i uczynić zdutnymi do twórczej pracy cywilizacyjnej, do prawdziwych czynów dziejowych.

Owo zmaganie się ducha polskiego było tedy zarazem walką z Zachodem. Jak zaznaczyłam powyżej, Włochy nie należały jednak do zwartego europejskiego obozu antypolskiego.

W spisach rycerzy, spieszących nad Bałtyk przeciw Polsce i Litwie, po honor i zasługę, brak nazwisk włoskich. Niełatwo było z Włoch tam się dostać, ale nie trudniej niż ze Szkocji. Północno-włoskie księstwa i republiki nie wysyłają do Malborka ani ludzi, ani pieniędzy, ale można by to wyjaśnić tym, że nie zajmowały ich wówczas te północne sprawy. Natomiast Włochy środkowe interesują się tym żywo, boć tam Rzym, centrum świata, najwyższa duchowna instancja Zakonu i główne ognisko apostołstwa, a wszakże chodziło o walkę z poganami, o nawrócenie Litwy.

Watykan bywał częściej przeciw Zakonowi niż za nim. Gdyby nie pomoc papieży i soborów, nie bylibyśmy rozwiązali zagadnienia naszego stosunku do cywilizacji zachodniej.

Bo też tylko papieństwo mogło dopuścić do uprawnienia nowej formy społeczno-państwowej dla tej cywilizacji, czy też, w obrębie jej, form dotychczasowych obok innych. Papieństwo tylko było powołanym interpretatorem prawa obowiązującego całą katolicką Europę. Gdy teoria cesarstwa „rzymskiego” obracała się na złe, mógł zrobić w niej wyłom, zawiesić ją dla sumień chrześcijańskich tylko prawny następca tego, który koronował cesarzy. Wszak papieństwo udzieliło sankcji teorii cesarstwa w imię chrześcijańskiego porządku w Europie; ono też tylko mogło dać sankcję lub odmówić jej teorii innej.

Nie ma tu nic do rzeczy, że papieże bywali w sporach z cesarzami, że mieli do walczenia sami z teorią wyższości władzy cesarskiej nad papieską. Nam tu chodzi o stan rzeczy moralnie obowiązujący, a ten walor. posiadała teorią cesarstwa w zastosowaniu do sporu krzyżacko-polskiego najzupełniej, bo w tym wypadku ingerencja cesarska posiadała wszelkie cechy *bracchii saecularis*, służącego Kościołowi, a więc zgodną była z czystą teorią dwoistości najwyższej w chrześcijaństwie władzy.

Krzyżacy powoływali się na darowizny cesarzów i na to, że ziemia pogańska jest ziemią niczyją. Wywody o cesarskich nadaniach były pod względem prawniczym nienaganne i zupełnie logiczne dla każdego, kto przyjmował założenie, tj. zwierzchność cesarską nad państwami chrześcijańskimi, a władzę nieograniczoną nad pogańskimi krajami, jako nie posiadającymi właściwego pana. *Res nullius!*

A jednak zakon był kilka razy pod klątwą i to nie tylko o Polskę, lecz i o pogańską Litwę! Tu się okazuje w całej pełni, czym był Kościół, jako kierownik sumienia zbiorowego, jako interpretator najogólniejszych praw, interpretator zbiorowego Dobra i Zła. A zarazem odkrywa się istota różnicy pomiędzy bizantynizmami a latynizmem, którego najwyższa instancja, Stolica Apostolska, celowała brakiem ślepego przywiązania do formy, gotowa ją zawsze poświęcić dla ocalenia treści.

Siłą bezwładności rozwijała się dalej popularność Zakonu w krajach dalekich od papieżstwa, gdy w Rzymie obkładano go już klątwą. Schizma papieska ogromnie też pomagała Krzyżakom, skoro na papieża można, było mieć zawsze antypapę. Wśród takich okoliczności pozostał Zakon, „poświęcający się nawracaniu pogan”, w opinii olbrzymiej większości Europy „żrenicą w oku chrześcijaństwa”.

Gdy dwie armie zmierzały pod Grunwald, sympatie Europy były nie po naszej stronie. W armii krzyżackiej dopatrywano się obrońców Krzyża i chrześcijańskiego ładu w Europie; tym bardziej, że pamflety krzyżackie, rozrzucone po całym świecie, robiły swoje.

Zakon odgrywał największą komedię, jaką widziały kiedykolwiek dzieje. Jak bowiem miała się naprawdę rzecz z ową „żrenicą”, poznamy, przerzuciwszy się na chwilę na grunt ekonomiczny.

Była to bowiem zarazem walka ekonomiczna, prowadzona o prowincję, posiadającą nadzwyczajną doniosłość w ówczesnych szlakach handlu powszechnego. Z polskiej strony prowadzono ją w imieniu całego społeczeństwa, potrzebującego spławu i dostępu do morza; z niemieckiej atoli strony w interesie jednego tylko stanu. Szlachta i miasta pruskie były w tej walce po stronie polskiej (już w r. 1410), bo interesy ekonomiczne wiązały ich z Polską. Panowanie krzyżackie było więc tam niekorzystne dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu, skoro sami przedstawiciele tych zawodów pragnęli gorąco pozbyć się Zakonu. Nie reprezentowali tedy Krzyżacy nad Bałtykiem niczyjzego interesu ekonomicznego jak tylko swój własny.

Czymże byli oni pod względem ekonomiczno-społecznym? Cała odpowiedź w tych słowach: młodszymi synami szlachty niemieckiej. Zakon stał się instytucją zapomogową dla tego stanu, mającą chronić fortuny szlacheckie w Niemczech nie tylko od rozdrobnienia, ale wzmacniać je finansowo. „Rycerz” taki nie tylko nie potrzebował niczego od rodziny, ale sam mógł jej dawać i podnieść ją na nowo. Sami przyznawali bez ogródki, że sprawa tak się ma, i nazywali rzecz po imieniu, gdy byli sami pomiędzy sobą. Do Flandrii, Francji, do Anglii pisało się: „Ratujcie chrześcijaństwo!” ale odezwy przeznaczone dla krajów niemieckich nie odgrywały tej komedii, lecz wołały jasno i po prostu: „Ratujcie szpital szlachty niemieckiej!” (Oznaczał zaś wyraz: „szpital” wówczas schronisko dla pielgrzymów, zakład dobroczynny z bezpłatnym utrzymaniem).

Ze stanowiska ekonomicznego byli ci „rycerze” wyzyskiwaczami i pasożytami warstw produkcyjnych, nad którymi panowali wbrew ich woli, przemocą. Ten sposób załatwiania swej walki o byt mieli już we krwi, w tradycji: wszak byli potomkami „rycerzy-rabusiów”? Istota państwa krzyżackiego polegała na tym, że zajęcie rycerza-rabusia zorganizowało się na wielką skalę, korporacyjnie.

Polacy walczyli o Pomorze w imię pracy i wytwórczości, Niemcy w imię pasożytnictwa. Ale opinia europejska było po stronie krzyżackiej jako „żrenicy w oku chrześcijaństwa”.

Opinię tę trzeba było przerobić, bo dopóki wierzono Krzyżakom, nie mogło im zabraknąć środków materialnych do gnębienia Polski, tylekroć od nich słabszej; gdyby im

jednak Europa przestała dostarczać środków, stosunek sił zmieniłby się szybko.

Uderzono w samą zasadę, na której opierały się uroszczenia Zakonu, mianowicie w teorię cesarstwa i w teorię o prawnej niższości pogan.

Odsunięcie się Kościoła od teorii imperializmu chrześcijańskiego nie mogło nastąpić nagle. Nie rozbija się naprędce formy, która okazywała się stosowną dla tylu krain przez szereg pokoleń. Choćby się nawet godzono już, że forma wiedzie do nadużyć, wymagało to jeszcze pracy pokoleń, zanimby potępiono samą zasadę cesarstwa „rzymskiego”. Odsuwanie się Kościoła od zasady imperialistycznej w sporze polsko-krzyżackim zaczęło się (o ile w takich rzeczach można dawać ścisłe daty) w r. 1320, podczas pierwszego procesu kanonicznego przeciw Zakonowi, a dokonało się dopiero w r. 1424, kiedy to papież Marcin V potępił ostatecznie Falkenberga za jego pamflet przeciwko Jagielle.

Papież wezwał obie strony walczące przed forum soborowe. Jasną bowiem było rzeczą, że bitwa grunwaldzka nie kończy wojny (jakoż wybuchła na nowo już 1414 r., po czym rozejm, przedłużany do r. 1419 i znowu wojna, znów rozejm itd.), zwłaszcza, że rezultat był dla Polski nikły, bo odzyskano ledwie ziemię dobrzyńską.

Wiedzieli Polacy, że w Konstancji na soborze dużo znaczy i wiele może cesarz Zygmunt Luksemburczyk, największy wróg Polski; wiedzieli, że na soborze mnóstwo biskupów, prałatów i uczonych sympatyzuje z Zakonem; wiedząc to, pojechali. Przechodzili tam nieraz chwile nadzwyczaj przykre, sytuacje najcięższe; zostali jednakże, wytrwali całe trzy lata i dzięki temu na koniec wygrali sprawę.

Wieźli z sobą broń nowo wynalezioną, która wprawiała w zdumienie, a raczej w osłupienie, częściowo w oburzenie, ojców soborowych i zgromadzony w Konstancji kwiat inteligencji europejskiej, zwłaszcza prawników. Prawo polskie występowało po raz pierwszy wobec forum europejskiego. Nadmieńmy tu, że sprawy polskiej broniło w Konstancji ośmiu prawników włoskich. Odbywał się wielki europejski turniej prawniczy.

Delegaci polscy wieźli z sobą uczony traktat scholastyczny: *De potestate papae et imperatoris respectu infidelium*. Autorem był Paweł Włodkowic z Brudzewa, doktor

dekretów, rektor uniwersytetu krakowskiego, kanonik i kustosz katedralny krakowski, geniusz, godzien, by go stawiać, jako odkrywcę, obok Kopernika, byśmy go czcili i szcycili się nim na równi z tamtym.

Dokonał on dwóch odkryć:

- 1) że względem pogan obowiązują te same prawa, jak względem chrześcijan;
- 2) że nie wolno narzucać wiary przemocą.

Z tych dwóch tez wynikała już konsekwentnie ruina teorii cesarstwa i związanej z nią racji bytu Zakonu.

Twierdzenia Brudzewskiego, tak proste dziś dla nas, a spotykane i w poprzednich epokach, były na owe czasy rewolucyjnymi. Rozbijały one pośrednio formę ustroju europejskiego, co też miało się jawnie okazać niebawem.

Strona przeciwna akcentowała tym bardziej zasadę cesarstwa i wysnuwała z niej jak najdalsze konsekwencje. Dominikanin niemiecki, Falkenberg, głosił w r. 1416, że nie może być większej zasługi wobec chrześcijaństwa niż walczyć z Polakami; dla obrony porządku chrześcijańskiego wolno bez grzechu zabić każdego Polaka, dostojnikom zaś polskim i królowi Władysławowi Jagielle należą się szubienice. Takich rzeczy nasłuchali się polscy delegaci w Konstancji i - zostali, nie myśląc ustępować miejsca nieprzyjaciołom.

Brudzewski zadał Krzyżakom klęskę cięższą niż Witold i Zyndram z Maszkowic. Ludzie dobrej woli poczęli odtąd opuszczać sprawę Zakonu i odtąd mógł on się trzymać już tylko siłami tych, którym wzajemnie był „szpitalem”. Zaczęły wysychać źródła, z których płynęły opieka i wsparcia całej zachodniej Europy. Zachód był odtąd neutralnym w dalszych wojnach krzyżacko-polskich.

Paweł Brudzewski podciął rację istnienia Zakonu względem Litwy, podawszy w wątpliwość wojenne nawracanie; obracał też wniwecz cesarskie nadania na Litwie, przecząc, jakoby ziemia pogańska, jako niczyja, mogła stanowić przedmiot darowizny. Ale to wszystko było dopiero teorią, a przy tym pozostawały jeszcze nadużycia Zakonu względem Polski, o których również gęsto była mowa na soborze, ale słowa miały służyć tylko dla usprawiedliwienia czynów, które tym bardziej musiały teraz nastąpić.

Do pokonania Krzyżaków trzeba było czegoś więcej, niż życzliwej neutralności

dalekich widzów; trzeba było sojuszków z ościennymi. Położenie było pod tym względem fatalne; wszak w Czechach i na Węgrzech panował Zygmunt Luksemburczyk. Węgierska wyprawa na Kraków wpłynęła na przyspieszony odwrót z Prus po zwycięstwach grunwaldzkim i koronowskim.

Zabrano się do propagandy na wielką skalę, do agitacji energicznej, a według ówczesnych pojęć zachodnich wielce rewolucyjnej. Niebawem wypowiedzieli Czesi posłuszeństwo Luksemburczykowi, a w kwietniu 1420 przybyło do Krakowa pierwsze poselstwo czeskie, ofiarujące koronę Jagielle. Podobnych poselstw miało być więcej.

Ruch narodowy w Czechach wyzyskano do wspólnej wojny „z całą nacją niemiecką”, jak się wyrażano, rozumiejąc przez to wojnę z systemem cesarstwa niemieckiego. Nic to, że oni husyci! Skutkiem tego nie można było przyjąć ofiarowanej przez nich korony, ale posiłki wojenne przeciw wspólnemu wrogowi przyjmowano, i czeskie „Sierotki” zapędziły się aż na Litwę w służbie polskiej. Wiadomo, że do pomyślnego rozstrzygnięcia drugiej części „wielkiej wojny” przyczynili się husyci w znacznej części. Urządzane na husytów krucjaty nie miały znaczenia dla umysłów polskich, bo sprzeciwiały się zasadzie, ujętej przez Brudzewskiego krótko i po prostu: *Fides ex neccssitatc esse non debet*. Nic wolno tedy wymuszać niczego przemocą na husytach pod pozorem religijnych względów.

Pomagali nam Czesi wbrew królowi swemu Zygmuntowi Luksemburczykowi. Korzystaliśmy z pomocy „buntowników!” Nic koniec na tym. Z całą świadomością buntowaliśmy poddanych przeciwko ich rządowi. Można wskazać ze źródeł po imieniu wysłanników (agitatorów), buntujących Węgrów przeciw Zygmuntowi, a stany pruskie przeciw Zakonowi. Otrzymali tu i tam zapewnienia, że stany będą przeszkadzały z całych sił wypowiedzeniu wojny Polsce.

Ale posunięto się jeszcze dalej. Kiedy w r. 1433 układano się o pokój, podano z polskiej strony dwa warunki, iście rewolucyjne na owe czasy. Ani papieska, ani cesarska władza nie mają odtąd mieć znaczenia w sprawach między Polską a Zakonem; natomiast pokój ma być poręczony przez stany państw obydwóch.

Było to oddawaniem rządu pod kontrolę obywateli, żeby Krzyżacy przyznali swym

poddanym wpływ na sprawy wojny i pokoju, żeby bez ich zgody nie można już było wypowiedzieć wojny.

Warunek ten, podany ze strony polskiej całkiem poważnie, wywołał oburzenie w zachodniej Europie, gdzie z prawa feudalnego wyrobiło się konsekwentnie prawo dynastyczne i dynastyczne poczucie, obce całkiem Polakom. W nowej polskiej teorii państwowej dopatrywano się porzucenia cywilizacji, wywrócenia wszelkiego ładu. Jako żywo nie słyszano o prawach ludów, znało się tylko prawa królów! Rozprawiano o polskich wymysłach z wielkim ubolewaniem na soborze bazylejskim. Cesarz, Zakon i Świdrygiełło domagali się, żeby Jagielle wytoczyć proces kanoniczny. W Niemczech cesarz i książęta oświadczyli, że wyprą się Zakonu, jeżeli przystanie na tak horrendalny warunek, burzący wszelki ład w ustroju europejskim.

Odrzucił go też Zakon i chciał zabrać się na nowo do wojny, ale natenczas stany pogroziły, że poszukają sobie innego pana, który pokój zabezpieczy. I musiał wielki mistrz zawrzeć przynajmniej rozejm 12-letni, przyczyn wyraźnie zastrzeżono, że gdyby go nie dotrzymał, poddani mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo.

Tak się zaczął nowy okres pojmowania stosunku obywateli do władcy państwa; tak wyrabiały się nowe pojęcia prawa publicznego na tle stosunku Polski do Europy. Sprawa przechodziła szybko z uczonych traktatów do praktyki.

Ówczesna Polska sprawiała Europie raz wraz niespodzianki. Dnia 15 października 1432 przeprowadził biskup Oleśnicki, sternik nawy państwowej polskiej, równouprawnienie schizmatyków. Prosta konsekwencja tezy Brudzewskiego, podczas gdy na Zachodzie uważano prześladowanie „pogan i schizmatyków” za obowiązek rządu. Skutek równouprawnienia był cudowny; całe powiaty wyrzekały się Świdrygiełły. Dzięki temu i sojuszowi z husytami można było ukończyć „wielką wojnę”. Zwłaszcza, że Zygmunt Luksemburczyk, chociaż panował na Węgrzech, nie śmiał już urządzić stamtąd drugiej wyprawy na Kraków; bo stany węgierskie zawarły poza jego plecami przymierze ze stanami polskimi.

Wygraliśmy więc „wielką wojnę” nie samym orężem. Wygraliśmy dzięki temu, żeśmy nie wyrzekając się ani katolicyzmu, ani nawet uprawianej jak najgorliwiej

propagandy katolickiej, nie byli jednak wrogiem nikomu o to, że był innej wiary, husyckiej czy schizmatyckiej; dzięki temu, żeśmy na miejsce poddaństwa państwowego wstawili pojęcie obywatelstwa; żeśmy głosili zasadę, że nie społeczeństwo ma służyć tronowi, lecz tron społeczeństwu i pozyskaliśmy dla tej zasady ludy ościenne; dzięki temu, że burząc imperializm średniowieczny, podnieśliśmy sztandar równouprawnienia i wolnej decyzji narodów, bez względu na wyznanie. Każdy naród ma stanowić o sobie, o swej polityce, o wojnie i pokoju, nie pytając nikogo, bo nie ma nad wolą jego żadnej zwierzchności; jego, stany są same zwierzchnością i posiadają moc rozstrzygającą. Dzisiejszym językiem nazywa się to prawem samostanowienia i suwerennością reprezentacji narodowej.

Prawa te przysługują nie pewnym tylko narodom, lecz wszystkim; nie zawisły te prawa od żadnych warunków (np. od wyznania, a choćby od chrztu), ale należą się każdemu społeczeństwu zorganizowanemu państwowo (językiem średniowiecznym każdej „natio”) przez to samo, że ono istnieje, z samego przyrodzenia rzeczy. Można śmiało mówić o ustanawianiu przez Polaków prawa naturalnego.

Utworzyliśmy tedy nowe podstawy stosunku naszego do Europy, wzbogacając cywilizację łacińską nową teorią stosunków międzynarodowych i dobra powszechnego.

Należałoby ją zwać teorią Pawia Brudzewskiego, gdyż on niewątpliwym jej ojcem. I rośliśmy odtąd stale, dopóki pozostaliśmy wierni teorii Brudzewskiego.

Można by określić powyższe wywody, jako „teorię Grunwaldu”, którą podano tu w najogólniejszym szkicu, gdyż wyjaśnia, jaką olbrzymią praktyczną doniosłość posiada teoria w sprawach wielkich, a wykazuje, jakie pojęcia przyczyniły się do wygrania „wielkiej wojny”. Logos torował tu drogę Ethosowi – do czego wrócimy jeszcze w osobnym rozdziale.

3. Stosunek do zachodnich form państwowych.

Na kryterium cywilizacji nadaje się doskonale państwowość, tj. pojęcia państwowe i sposób ich praktykowania. Państwo jest sumą materialnych i moralnych stron twórczości ludzkiej, łączących się w dziedzinie państwowości, i dlatego też w żadnej innej dziedzinie nie można badać cywilizacji równie wszechstronnie.

Państwowość polska, której główne cechy, zalety i wady rozpatrywaliśmy w rozdziale o zdatności politycznej, stanowiła swoisty wytwór' ducha polskiego, a geneza jej w opozycji przeciw państwowości zachodnio – europejskiej, z zachowaniem jednakowoż ogólnej łączności cywilizacyjnej z Zachodem. Stosunek nasz do Europy można by pod tym względem określić słowy, że była to opozycja uzupełniająca; jakoż rzeczywiście pomysłowość polska uzupełniała cywilizację Zachodu, wytwarzając w jej łonie nową kulturę. Nigdy, przez cały przeciąg dziejów polskich, nie było w Polsce opozycji negującej cywilizację Zachodu.

Żadne a żadne ze społeczeństw europejskich wieków XV-XVII nie posiadało takiej siły promieniowania ideowego, jak Polska. Dopiero w połowie XVII wieku rozwinęło się na większą skalę promieniowanie Francji na całą Europę. Przedtem Włochy przenikały do wszystkich społeczeństw europejskich, lecz tylko artystycznie i naukowo, tylko w zakresie kultury umysłowej. Państwowe pojęcia humanistyczne wyrobiły się na północy Alp. Od legizmu starsze jest promieniowanie polskości na ościennych w formach politycznych samorządu, unii i sejmowania. W wieku XV nie ma w całej Europie przykładu politycznego udzielania się idei innym krajom, jak tylko w Polsce; a wszakże już pod koniec XIV promieniowania tego początek (w stosunku do Litwy), a gdyby chcieć być zupełnie ścisłym, należałoby powołać się na prośbę Prusów, tępionych przez Krzyżaków, by im nadane było prawo polskie, co działo się w roku 1249. Stanowczo Polska pierwsza roztaczała swą twórczość polityczną dokoła siebie, dostarczając pierwszego w dziejach Europy przykładu promieniowania.

Nie wszystko, co odmienne od zachodniego, było oryginalne i lepsze. W późniejszych zwłaszcza czasach nie brak było odmienności, której źródło w niższości tkwiło. Zachodzą, jednakże i podobieństwa takie, które przyczyniły się następnie do upadku ustroju państwowego. Czyż wszystko na Zachodzie dobrem było? Czy np. szlachecka polską była specjalnością?

Hegemonia szlachty występuje w Polsce mniej jaskrawo, skoro mieszczaństwo nie przedstawiało w społeczeństwie siły ni ekonomicznej, ni intelektualnej. Wybitniej o wiele zaznacza się szlacheckość na Zachodzie, skoro tam uciskała szlachta żywioł miejski

pomimo jego bogactw i inteligencji. Bo też inną zupełnie drogą niż w Polsce wybujała na Zachodzie wszechwładza szlachecka, w co tu już bliżej wchodzić nie możemy.

W państwie średniowiecznym stanowym miasta były reprezentowane, lecz Polska nigdy państwa stanowego nie tworzyła. Nasze wiece, zjazdy, sejmiki, sejmy nie reprezentowały „stanów”, tj. korporacji politycznych, ale składały się z reprezentacji pewnych obszarów geograficznych, pewnych części kraju, a w łonie jednego tylko „stanu”. Mieszczanstwo zaś polskie nigdy nie wytworzyło z siebie „stanu” w zachodnim rozumieniu tego wyrazu, bo miasta polskie nigdy nie organizowały się w żadne związki, nie zaznaczały nigdy swych interesów wspólnych; każde z nich żyło oddzielnie, izolowane od innych miast.

Ani też duchowieństwo polskie nie było nigdy „stanem” politycznym i nie wchodziło w ustrój państwowy „stanowo”; biskupów zaliczono tylko do stanu senatorskiego, na równi z wojewodami, ale nie reprezentowali oni w senacie nigdy Kościoła oficjalnie, z urzędu (choć faktycznie mogli go reprezentować nieraz), bo ustrój państwowy polski nie wymagał zgoła takiej reprezentacji. Jediną urzędową reprezentacją Kościoła polskiego pozostał zawsze synod prowincjonalny, a ten nie wybierał delegatów do sejmu; w ogóle Kościół nasz nie był nigdy zorganizowany do życia politycznego.

Mylnym jest więc wszelkie tłumaczenie dziejów Polski jakoby przedłużonego w czasie państwa stanowego.

Podobieństwo zachodzi w tym, że jak w państwach stanowych, podobnie i w Polsce ograniczoną była władza królewska, czyli, że społeczeństwo posiadało prawo udziału w rządach państwem. Na Zachodzie nastąpiło wraz z centralizacją „złamanie przywilejów stanowych”, jak eufemicznie zowie się zaprowadzenie dynastycznego wszechwładztwa, podczas gdy w Polsce ograniczano monarchię coraz bardziej. Parlamenti angielskie, stany generalne francuskie, hiszpańskie kortezy, landtagi niemieckie obradowały na zasadzie ograniczenia władzy monarszej, ale w czasach nowożytnych traciły na znaczeniu, aż zaginęła nawet tradycja ich kompetencji, podczas gdy w Polsce kompetencja sejmu wzrastała.

„Polskę wyróżnia od innych państw Europy kontynentalnej, nadaje znamiennej cechę jej państwowości nie to, iż ona także miała sejmy, które obok władcy stawały jako czynnik uprawniony do udziału w rządach, lecz fakt, iż poza Anglią, a jako jedyne państwo na kontynencie Europy, potrafiła Polska te prawa i sejmy obronić, utrzymać w całej pełni i sile przez cały czas swojego państwowego bytu”.

Jedną z przyczyn tej różnicy nieznacność legizmu. Nie, żeby go całkiem miało nie być, ale nie uzyskał nigdy znaczenia rozstrzygającego w państwie; pozostał środkiem pomocniczym przy kodyfikacjach (czym był już za Kazimierza Wielkiego) i doradcą w kwestiach wątpliwych, lecz tylko doradcą; legizm polski nie próbował nawet recepcji prawa rzymskiego, chociaż powoływanie się na starożytnych miał szlachcic polski ciągle na ustach. Charakter doradczy legizmu odzywa się jeszcze i w XVII wieku, ale ani w XV, ni w XVI stuleciu nikt z polskich prawników lub statystów nim się nie krępował. Na Zachodzie były szkoły legistów, z własną dogmatyką prawniczą, z apriorycznym uznaniem za dobre i wskazane wszystkiego, cokolwiek wskaże „ratio scripta”. Można bez przesady powiedzieć, jako prawo popadło na Zachodzie w okres naśladownictwa niemal biernego prawa rzymskiego, czy zaś naśladownictwo to posunęło kulturę tych społeczeństw czy też ją cofnęło, o tym można by dyskutować całymi tomami. Fakt zaś, żeśmy zachowali wobec prawa rzymskiego swą oryginalność, świadczy o mocnym w XV i XVI wieku podłożu społecznym pod państwową budowę. Godne to uwagi tym bardziej, że podłoże owo niemal wyłącznie od jednej pochodziło warstwy społecznej.

Zwracałem już uwagę, jak w Polsce twórczość polityczna starsza jest od artystycznej i naukowej. Tym większą celuje samodzielnością.

Nic miał skąd czerpać wzorów Jan Ostroróg (1438 do 1501), który w swym *Moumentum pro rei publicae ordinatione*, pisanym około r. 1477, uważa za podstawy państwowości pełny skarb, ale pełny z dobrego gospodarstwa, nie ze zdzierstwa, i... powszechną służbę wojskową. Tamten pierwszy warunek znajdzie się później i u Macchiavella, który liczył osiem lat wieku, gdy pisanym było *Monumentum*, ale ten drugi warunek zjawi się aż dopiero podczas wielkiej rewolucji.

Andrzej Frycz Modrzewski (1503-1572) przerasta wszystkich współczesnych

w całej Europie rzuceniem pomysłu równości wobec prawa. Jaki tu zachodzi stosunek myśli polskiej do Europy, poznać łącznie z zestawienia Frycza z francuskim Janem Bodinem (fl596), największą chlubą francuskich nauk politycznych humanistycznego okresu, a któremu dzieło Modrzewskiego było znane.

„Bodin mało korzystał z myśli, rozwiniętych w „Poprawie Rzeczypospolitej”. Frycz jako pisarz polityczny nie mógł mu być sympatyczny, gdyż z jednej strony za mało akcentował potrzebę silnej władzy królewskiej, z drugiej zaś krytykował przywileje szlachty i zbyt gorąco ujmował się za losem chłopów i w ogóle plebejuszów; ta dążność do sprawiedliwości społecznej, która w oczach współczesnych stanowi najpiękniejszy tytuł do sławy Frycza, w oczach Bodina, mało wrażliwego na krzywdy społeczne, a niechętnego pospólstwu, nabierała rysów prawie że rewolucyjnych. Nie od rzeczy podkreślić dziś to przeciwieństwo między obydwoma pisarzami, stanowiącymi aż po połowę XVIII wieku chlubę obydwóch narodów w dziedzinie ideologii politycznej: myśliciel Polski, okrzyczanej niebawem jako kraj najbardziej reakcyjny, walczy już w połowie XVI w. z całym zasobem wiedzy i zapału o równouprawnienie wszystkich mieszkańców państwa wobec prawa, gdy najwybitniejszy teoretyk polityczny Zachodu postulat ten odrzuca jako szczyt nedorzecznosci. To pogardliwe „nihil absurdus scribi potuit”, wyrzeczone przez Bodina o Fryczu, musi być w pewnej mierze poczytane za miarę dalekowzroczności myśli jednego i drugiego pisarza⁴³.

Państwowość polska stanowiła łamigłówkę dla statystów zachodnich. Pisarze polityczni zachodniej Europy próbowali określić systemat państwowy polski według znanych sobie kategorii i nigdy nie zdołali trafić z tym do ładu. Przez cały wiek XVI i XVII łamano sobie głowę we Francji i Włoszech nad tym, czy państwo polskie jest monarchia temperata, czy governo popolare, arystokracją, czy królestwem, czy też republiką. Każdy autor inaczej tę rzecz rozstrzyga; widocznie państwo polskie nie należało do żadnego z rodzajów znanych dotychczas zachodnim teoriom państwowym. Niestety, zanim się z nim zaznajomiono dokładniej, ujemne strony wychodziły coraz bardziej na plan

⁴³ Dr. Stanisław Kot: Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu. Kraków 1919, str. 65.

pierwszy.

4. Obrona kultury zachodniej.

Stosunek nasz dziejowy do Europy określono już dawno przydomkiem „przedmurza”. Staliśmy na ciężkim posterunku w obronie cywilizacji zachodniej. Jednakże nie dotrwaliśmy na posterunku skutecznie do końca...

Żadną miarą nie można snuć wniosków niekorzystnych dla naszej wartości kulturalnej z tego, żeśmy ulegli Rosji, społeczeństwu o kulturze tyle niższej. Przy normalnym współzawodnictwie pokojowym odnosi zawsze przewagę kultura wyższa, ale przy orężnym niższa może zadać gwałt wyższej. Walka nasza z Rosją była i jest zawsze i niezmiennie walką o cywilizację, walką w obronie cywilizacji łacińskiej.

Wszelkie podkopywanie siły naszej na kresach było i jest osłabianiem cywilizacji zachodnio-europejskiej. „Wszystko, co czyniła szabla polska dla całości granic Rzeczypospolitej, działa się w interesie realizacji ideałów zachodnich, i ktokolwiek podkopywał siłę naszą na kresach, ten osłabiał tam kulturę zachodnią”.

A to dotyczy nie tylko walk z Moskwą. „Broniliśmy cywilizacji nie tylko pod Orszą, Kłuszynem, Cudnowem, ale również broniliśmy jej pod Grunwaldem i pod Wiłkomierzem, pod Kirchholmem i Częstochową. Na odwrót też, nie mogło być większej zbrodni przeciwko kulturze zachodniej, niż ów akt troisty z r. 1772, 1793 i 1795, który cofnął granice tej ostatniej z nad Dniepru i Dźwiny nad Bug i Narew”.

Broniliśmy na wszystkich naszych pobojuwiskach ideału wolności politycznej, swobód obywatelskich przeciwko despotyzmem; a nadto broniliśmy przeciw islamowi wiary Chrystusowej. Tak stawaliśmy w obronie dwóch „zdobyczy wszechludzkich”.

Innocenty XI pisał w r. 1678 o Polsce, jako jest *praevalidum ac illustre christianae reipublicae propugnaculum*. „Ale nasza służba na posterunku kresowym datuje się znacznie wcześniej i dostarcza treści nie na jedną, lecz na dwie olbrzymie epopeje dziejowe”. Pierwsza zaczyna się od bitwy pod Legnicą (1241) z Mongołami, a druga od r. 1426, kiedy Władysław Jagiełło wyprawił posiłki przeciw Turkom nad Dunaj, chociaż, jego państwu niebezpieczeństwo nie groziło jeszcze wcale. Następuje bitwa warneńska

(1444), a potem niezliczone walki z Tatarami, prowadzone od r. 1506 do 1695, (ostatni najazd tatarski na Lwów) – i znów wojny tureckie od Cecory 1620 r., gdzie poległ hetman Żółkiewski, człowiek prawdziwie święty, ideał Polaka.

„Polska wyciągnęła dłoń ku Europie, wzywając pomocy. Nikt się nie ruszył. Francuzi, Niemcy, Hiszpanie mieli przed sobą robotę pilniejszą; mieli jeszcze przez lat 30 palić i mordować w imię katolicyzmu lub protestantyzmu. Zaś Europa wschodnia, mianowicie Moskwa, pod owe czasy, za Borysa Godunowa i za faktycznych rządów patriarchy Filareta niczego nie pragnęła goręcej, jak związku z bisurmanami przeciwko Polsce. Tak też miało być i nadal. Dopóki Turcja była naprawdę groźna, nigdy Polska nie korzystała z jej pomocy dla pognębienia niewinnych sąsiadów, nigdy nie zachęcała Turków do napastowania spokojnych ludów chrześcijańskich, gdy tymczasem Francja umiała najurzędowniej szcuć sułtanów i wezyrów na Austrię, carowie umieli zamawiać sobie pomoc tychże do mściwych porachunków z Polską, a Szwed Gustaw Adolf umiał wyzyskiwać nasze chwilowe wyczerpanie, aby zagarniać nasze kraje nadbałtyckie. Na tej różnicy między polityką orientalną naszą i obcą polega głównie nasze prawo do noszenia tytułu obrońców chrześcijaństwa”.

I tak było aż do odsieczy wiedeńskiej 1683 r., kiedy to „my sami jedni, obcy tendencjom zaborczym, przepojeni ideą republikańskiego braterstwa w domowym pożyciu. uwierzyliśmy w Rzeszę chrześcijańską i wiary swej dowiedliśmy czymś więcej niż gestem”. I ruszył Jan III, „nie na Podole, gdzie można było odzyskać Kamieniec, ale tam, gdzie obecności jego wymagała wspólna sprawa europejska”.

W wieku XVII upłynęło nam 85 lat na wojnach „i to właśnie z barbarzyńskimi potęgami Wschodu albo ich sprzymierzeńcami... Wojna wytwarza dla stron walczących wspólną atmosferę, asymiluje obyczaje i skłonności; nas też towarzystwo moskiewskie, kozackie, tureckie, tatarskie ściągało na poziom kulturalny tych narodów, zorientalizowało nasz strój, język, sposób myślenia i wojowania. Wojna każe milczeć Muzom, całą energię duszy przetapia w jedną żądzę, żądzę bicia i zwyciężania. Cóż dziwnego, że naród wojowników, postawiony koleją losów na straży zachodniej cywilizacji, nie dotrzymał kroku w rozwoju umysłowym, ekonomicznym, państwowo-

organizacyjnym tym swoim szczęśliwym sąsiadom, co mieli dwakroć, trzykroć, czterokroć więcej czasu na zrzucanie pancerza i na oddawanie się pracy intelektualnej, artystycznej lub przemysłowej. Z tego tytułu należy się nam przy obrachunku ogólnego wkładu naszego w kulturze zachodniej jak i przy rozważaniu poszczególnych działań tego ostatniego, słuszny wymiar zasługi z uwzględnieniem nie tylko tego, cośmy dokonali, ale i tego, co w czasie wojennym można było wykonać”.

5. Skutki rozbiorów.

Ale nawet w najgorszych dla Polski czasach stanowiła ona nieraz przedmurze dla Europy od barbarzyństwa wschodniego. Insurekcja Kościuszkowska 1794 r. uwalnia Francję od nacisku koalicji. O skutkach rozbiorów względem Europy można powiedzieć bez przesady, że brak państwa polskiego stał się klątwą dla wszystkich narodów zachodnio-europejskich, cierpiała jednak na tym i wschodnia Europa – aż ostatecznie runęła Rosja.

Katarzyna II, dokonawszy rozbiorów Polski, demonstrowała przeciw rewolucji francuskiej, lecz nie złożyła Zachodowi w ofierze ani jednego żołnierza rosyjskiego. Sprawy te pogłębiały się atoli, wikłały i wytwarzały sytuację niezależną od woli choćby największych potentatów. Rozbiory Polski poczynają działać, powstawała wzajemna zawistość interesów państw, rozbiorowych i Rosja została wciągnięta w wojny koalicyjne.

Wielka rewolucja francuska nosiła w sobie od początku znamię uniwersalności i choćby nie została zaczepiona przez ościennych, byłaby się sama zwróciła zaczepnie przeciwko nim. Nieuchronnymi były wstrząśnienia w sąsiedztwie absolutystycznym, w Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech aż do zachodnich granic Polski, ale też nie dalej. Skoro Prusy i Austria nie były zdolne pokonać Francji nawet wzmożone rozbiorami Polski, tym mniej dałyby jej rady, gdyby państwo polskie nie przestało być istnieć. Polska, państwo od wieku XV konstytucyjne, a które niedawno przedtem, w r. 1791 nadało sobie bez rewolucji i wojny domowej postępową konstytucję Trzeciego Maja, stałaby w jednym obozie z Francją przeciw czyhającym na łup polski absolutystycznym sąsiadom. Konstytucyjna forma rządu obejmowałaby całą Europę z wyjątkiem obszaru państw

zdążających do. rozbioru Polski, a ponieważ państwa niemieckie i habsburskie ugięłyby się pod naporem Francji sprzymierzonej z Polską, forma konstytucyjna byłaby zapanowała z początkiem XIX w. w całej Europie z wyjątkiem Rosji i Turcji. Byłoby się tedy obeszło następnie bez reakcji. Samo wstrząśnienie wojenne wojen wywołanych w następstwie wielkiej rewolucji ograniczyłoby się do połowy Europy, byłoby tedy przez to samo krótsze, mniej skomplikowane, a skuteczniejsze. Z powodu rozbiorów Polski rozsiadł się absolutyzm na podstawie niezmiernie rozszerzonej, łącząc się w jeden olbrzymi zwarty obszar poprzez dawne państwo polskie z rosyjskim. Rosyjskie kombinacje polityczne wciągały następnie w grę koalicyjną także półwyspy Skandynawski i Bałkański – i Francja była przeciwstawiona całej Europie.

Zabrakło w Europie czynnika, który mógłby nadać jej równowagę, a którym była Polska. W tym właśnie geneza powszechno-europejskich wojen napoleońskich, które byłyby niemożliwe (bo byłyby niepotrzebne), gdyby istniało państwo polskie. W tym dalej geneza „świętego” przymierza i całej dalszej konsekwentnej walki i ponownych wstrząśnień. Drżały posady Europy, pozbawionej tego jedyne państwa, które mogło się szczycić konstytucją bez rewolucji.

Również w dziedzinie ekonomicznej międzynarodowej powstały z rozbiorów Polski przewroty sięgające daleko. Zwrócono już w rozdziale II uwagę na to, jak niewola gospodarcza Polski zubożyła całe gospodarstwo europejskie. W handel i przemysł europejski wdarła się sztuczność, bo musiał się zastosować do nienaturalnych granic państwowych, z czego płynęły coraz dalsze, a nieuchronne konsekwencje, coraz bardziej popadające w nie naturalność i skutkiem tego pociągające za sobą coraz groźniejsze przesilenia ekonomiczne. Przewroty ekonomiczne stawały się następnie podłożem do nowych przewrotów politycznych. Pod każdym a każdym względem wytłoczono pośrodku Europy przepaścistą wyrwę, ponad którą wytwarzał się przez cały okres od r. 1795 do 1918 z prądów dziejowych przepaścisty wir, wciągający w swe odmęty nie tylko wszystkie państwa, ale całą kulturę europejską.

Rosja doszła na tle walki z rewolucją do hegemonii europejskiej, która dała się całej Europie ciężko we znaki, a nie dopomagała do postępu cywilizacji. Upadł Napoleon,

ponieważ nie wznowił państwa polskiego. Mylił się, jakoby interesy narodu francuskiego nie wymagały wskrzeszenia Polski; przeciwnie – wymagały tego interesy każdego narodu, który pragnął, żeby jego sprawy nie cierpiały od sił brutalnych i nie stały się zawisłymi od gwałtu zewnętrznego. Napoleon dał zły przykład odsunięcia się od sprawy polskiej – i odtąd nie było dla państw europejskich innej drogi, jak opierać własny byt na pierwszeństwie siły fizycznej. Odtąd trzeba było dążyć na wyścigi do tego, ażeby być wojskowo silniejszym od innych. Powszechny militarizm stał się dalszym następstwem rozbiórów Polski, ze wszystkimi swymi następstwami... kulturalnymi.

Bez porównania więcej wpływu wywarła przez wojny napoleońskie Rosja na Europę, niż Europa na Rosję. Po wojnach napoleońskich odzywa się głośno najprawdziwsza moskiewszczyzna, zdatna do nowego życia, bo zmodernizowana – Europa zaś przystosowuje się do Rosji. Przeciwno to rosyjskim wpływom musiała się cała Europa pokryć siecią spisków.

6. Udział w walkach o wolność.

Trzonem „świętego przymierza”, które było politycznym rusyfikowaniem Europy – były trzy dynastie państw rozbiorowych, dla których utrzymanie niewoli Polski było celem naczelnym. Rozumiano to doskonale we wszystkich krajach, i dlatego, choćby przez przeciwstawienie, łączono sprawę polską ze „sprawą ludów”. Miano pod tym względem słuszność, a Polacy nie tylko biernie, skutkiem okoliczności politycznych, należeli do obozu wolnościowego w Europie, ale czynnie, przyjąwszy czynny udział we wszystkich spiskach i wybuchach, mających na celu zaprowadzenie konstytucyjnych rządów w rozmaitych stronach świata.

Legioniści polscy przyczynili się w znacznej mierze do utwierdzenia wolności Włoch w dobie napoleońskiej. „Odczuła i zrozumiała to ludność włoska.. Wyrażała to ona przez długi czas, śpiewając po teatrach: La libertà d'Italia, che tanto deve à voi, bravi Polacchi... I nie sama waleczność legionistów polskich utrwaliła ich pamięć we Włoszech, lecz zjednali sobie także ludność swym uczciwym, republikańskim w stosunku do niej zachowaniem się. Wiemy z pamiętników Drzewieckiego, że Włosi wyróżniali w tym

względnie Polaków od Francuzów, których zdzierstwo oburzało i niweczyło często uczucie wdzięczności dla nich. Republikańskie postępowanie legionistów polskich zachowało o nich dobre wspomnienie! w Szwajcarii i w Niemczech”.

Następuje „epopeja napoleońska”. Dzięki polskimi walkom o wolność „obok Sobieskiego stanęło drugie nazwisko polskie, Kościuszki, jako powszechnie znane w całej Europie”, a obok Kościuszki „poeci i pisarze francuscy roznieśli po całej Europie sławę Poniatowskiego”. W bohaterach polskich tkwiły rysy nie tylko polskie, ale ogólnoeuropejskie cechy bohaterstwa. A w toku wieku XIX stały się nasze walki o niepodległość ogólnoeuropejskimi wydarzeniami w zmaganiu się idei wolności ludów z despotyzmem tronów.

W r. 1831 „na ziemiach polskich rozgrywała się walka nie tylko o przyszłość Polski, ale także i o przyszłość Europy. Odczuwał to silnie naród niemiecki”, czego dowodem sławne „Polenlieder”. Historyk niemiecki Karol Hagen pisał:

„Wolna Polska utworzyłaby potężny szaniec, broniący wolnej Europy od caratu absolutystycznego; powstrzymałaby wpływy tego ostatniego na zachód, dałaby możliwość ugruntować się wolności politycznej w krajach, które podniosły już były rokosz; stałaby się nowym bodźcem dla narodów ujarzmionych i umożliwiłaby ruch wolnościowy nawet tam, gdzie dotychczas spokój panował. W Polsce więc musiała się rozstrzygnąć sprawa wolności”.

„Wiadomość o wzięciu Warszawy wywołała w Paryżu tak silne oburzenie, że omal nie wybuchła rewolucja. Zapanowało groźne wrzenie w takich miastach, jak Strasburg, Perpignan, Tuluza, Tulon, Grenoble. I lud wiejski gniewnie szemrał, że nie dano pomocy Polakom”.

Wiadomo, że powstanie polskie 1830/31 roku było ocaleniem niepodległości Belgii. Związek powstania listopadowego z wydarzeniami w zachodniej Europie jest następujący:

W lipcu 1830 wygnano z Francji Karola X, próbującego nazbyt rządów absolutnych, a powołano na tron przedstawiciela innej gałęzi dynastii francuskiej, Ludwika Filipa, „króla mieszczańskiego”, uznającego swobody konstytucyjne. Równocześnie niemal

wypowiedziała Belgia posłuszeństwo królowi holenderskiemu, urządzając się jako osobne państwo, a państwo konstytucyjne. Wprawiono tedy w ruch „święte przymierze”, zawarte pomiędzy trzema państwami rozbiorowymi przeciwko wolności, gdziekolwiek by się pojawiła. Czyż samo to nie starczy, żeby zwracać uwagę, jak dalece sprawa polska łączyła się z losami wolności politycznej w Europie? Ci sami, którzy rozdrapali Polskę, zarzucając jej „jakobinizm” (tj. konstytucjonalizm), zmówili się następnie, od r. 1815, przeciw powiewowi wolności w całej Europie, przygniatając ludy europejskie swą przewagą, pozyskaną dzięki temu, iż wzmocnili się rozbiorami! Polski.

„Święte przymierze” postanowiło przywrócić rządy absolutystyczne we Francji, a Belgię poddać powrotnie królowi holenderskiemu. Rosja miała ruszyć na Belgię, podczas gdy wojsko austriackie wkroczyłoby z drugiej strony do Francji. Car zamierzał prowadzić tę wojnę nie rosyjskim wojskiem, lecz polskim. Na dzień 1 lutego 1831 r. wyznaczono wymarsz wojsk Królestwa Polskiego (Kongresowego) na pruską granicę, ale pozostałyby na miejscu pułki rosyjskie, jakie zawsze w Kongresówce konsystowały, i nadto na miejsce wyprawionych zagranicę wojsk polskich weszłyby do kraju „zastępczo” dalsze korpusy rosyjskie. A zatem Królestwo miało zostać zupełnie ogołoczone z armii własnej, a być opanowanym w zupełności przez wojska rosyjskie. W wojnie na Zachodzie, choćby zwycięskiej, zmałałoby wojsko polskie i wróciłoby wielce osłabione; w razie zaś przegranej armia polska byłaby rozbita, a rosyjska nietknięta miałaby Królestwo w swych rękach i nie potrzebowałaby z niego wychodzić, bo któżby wymusił jej ustąpienie? Tak tedy cele „świętego przymierza” łączyły się z nieuniknionym osłabieniem Polski i z zaprowadzeniem w Polsce rosyjskich rządów wojskowych.

Te plany wydały się, doszły do wiadomości kierownictw tajnych stowarzyszeń i spisków, które pozostawały z sobą w międzynarodowym związku; zarządzono przeto, żeby w samejże Polsce wybuchła rewolucja, ażeby wojsko polskie nie mogło być użyte przeciw Belgii i Francji. Roztrząsanie wątpliwości, czy powstanie wyjdzie Polsce na dobre, popadało w polskich tajnych związkach w błędne koło, gdyż i bez powstania byłyby wojska rosyjskie zaprowadzały w Kongresówce carskie rządy wojskowe, a polska armia, choćby nie wszczyniała wojny z caratem, ginęłaby w dalekich krajach, i to używana

przeciw wolności. Niestety, powstanie wybuchło przedwcześnie, już 29 listopada 1830, bez jakichkolwiek przygotowań wojskowych...

Faktem jest, że Polska ocaliła niepodległość Belgii w r. 1831.

Po upadku powstania uznawano w emigracji polskiej długo moralnych przodowników powszechnej walki o wolność polityczną. Pochód emigrantów przez Niemcy do Francji był jakby jakimś pochodem triumfalnym, jedynym tego rodzaju w historii, boć po klęsce. Wychodzono na spotkanie, ustawiano bramy triumfalne, przesadzano się w gościnności, towarzyszone polskiemu pochodowi od miasteczka do miasteczka, urządzano uroczystości po miastach; na wyścigi sadzono się, kto godniej przyjmie i uczi polskich emigrantów. Emigracja, osiedliwszy się głównie we Francji, poniekąd w Belgii, w Szwajcarii, we Włoszech, mogła się wszędzie poszczycić ludźmi wybitnymi talentem i cnotą obywatelską, którzy byli pożytecznymi krajowi, w którym zamieszkali; wszyscy zaś przejęci byli hasłem swoistym polskim, hasłem jedynym zaprawdę w historii świata, a cechującym doskonale charakter polski: „Za waszą i naszą wolność!” Łudzili się „węglarstwem” i nadzieją rewolucji powszechnej na rok 1833; urządzili wyprawę na oswobodzenie południowych Niemiec, na oswobodzenie Włoch, brali udział w powstaniu sycylijskim i węgierskim i „wiośnie ludów”, brali udział we wszystkim a wszystkim, co tylko miało związek z wolnością, bez względu na rezultaty; brak rezultatów nigdy ich nie zrażał. Politykami nie byli, nie wytworzyli niestety niczego ze swych ofiar i nieustannej gotowości do poświęceń. Byli typowymi doktrynerami idei i brali sprawy na gorąco wtedy jeszcze, kiedy cała Europa dawno już ostygła. Ale historyk winien stwierdzić jedną ich zasługę: dzięki obfitości wielkich charakterów wśród tych doktrynerów, dzięki naszej „wielkiej” emigracji przyłgnął w Europie do nazwy Polaka przydomek „szlachetny” lub „rycerski”. A trzeba by być doprawdy doktrynerem z odwrotnej strony, żeby nie uznać, jako w takiej opinii o polskości tkwił nie lada majątek narodowy, od którego odsetki mieli zebrać potomni.

Pośród doktrynerstwa międzynarodowego pozostali pomimo wszystko przede wszystkim Polakami i wpajali w obcych coś z polskości. Nie można odmówić wpływu emigracji polskiej i pozytywnego znaczenia w dwóch punktach: a mianowicie emigranci

nasi bywali najwcześniejszymi szermierzami idei narodowości tam, gdzie przypuszczano z reguły możliwość międzynarodowego tylko stanowiska – i należy im przyznać, że oni dawali inicjatywę co do* zasady federacyjnej. To samo, co za czasów jagiellońskich: polskość pozostała wierna sobie w największym nawet uciemieniu.

7. Stałość Logosu, zmienność Ethosu.

Ten sam głos Logosu polskiego nawoływał przeto Polaka XV i XIX wieku, te same tkwiły zasadnicze pojęcia o życiu publicznym w zwycięzcach spod Grunwaldu i w tych, których wydalano-z Wielkopolski, z kolebki Polski, jako „laestige Auslaender”. Na wieki całe starczyło mocy polskiemu Logosowi; tym bardziej moc tę musimy podziwiać, że żadna a żadna siła zewnętrzna, żadna pomyślna okoliczność w XIX w. go nie popierała; żył samą tylko własną siłą wewnętrzną i o tej wyłącznie sile dożył wznowionej niepodległości. Cóż za mocarzem był ów Paweł z Brudzewa!

Przy zasadniczej niezmienności Logosu jakżeż zmieniały się stosunki polityczne Ojczyzny. Zmieniało się Ethos, aż nazbyt często i nazbyt wiele się zmieniało.

Metoda wykonywania jest w każdej rzeczy jakby drugą rzeczą, w każdej sprawie jakby drugą sprawą. Ona może zmienić oblicze sprawy, odmienić wielce jej skuteczność, obrócić ją nawet na nic... Metoda wykonywania stanowi o praktycznej wartości idei, boć może ją... przekreślić, spaczyć, unicestwić.

Tak tedy w jednym i tym samym obrębie Logosu ma Ethos pole do zmian szerokie. Tym się tłumaczy dostatecznie ogromna zmienność historii polskiej pomimo to, żeśmy zawsze chcieli zasadniczo tego samego. Treść dziejowego naszego żywota polega niestety mniej na historii wykonywania naszych ideałów, ile raczej na zmienionym zachowaniu się nas samych wobec własnych dążeń, własnych przekonań i pojęć zasadniczych.

Zmieniały się ogromnie pojęcia drugorzędne; zatraciła się konsekwencja ich i Logos polski począł samymże Polakom, być niejasnym....

Rozdział X. Polska wobec słabszych.

Bywają ludzie, o których można powiedzieć, że są źli dla siebie, a dobrzy dla innych;

częściej zdarzają się jednak dobrzy dla siebie, a źli dla innych. Którzy więcej warci, nie ma się o czym rozwodzić; pomiędzy tamtymi a tymi jest przepaść etyki.

Przypuśćmy, jakoby dzieje Prus i Rosji składały się z samej mądrości, a polskie z samych błędów politycznych – toć jeszcze nie wyczerpałoby to dyskusji o wartość czy bezwartościowość Polski dla Europy. Chytrność i zaniedbanie polityczne stanowią przede wszystkim o zyskach i stratach własnych; wartość zaś względem innych oceniana być musi według zysków i strat tych innych, wynikających ze stosunków z tamtym. 'Pen rachunek należy zrobić osobno. Niekoniecznie szkodliwym musiało być dla innych państwo, które własnych interesów nie umiało dopilnować, które złem było dla samego siebie – jeżeli już ostateczny, generalny sąd o danym narodzie ma być oparty jednostronnie na dobie jego upadku (a taką „metodę” stosuje się z lubością do Polski).

Nie ulega wątpliwości, że zaniedbanie obowiązków względem samego siebie utrudnia spełnianie ich względem innych, a z czasem nawet uczyni je niemożliwym. Spełniać obowiązki względem innych, znaczy to: dawać a chcąc dawać, trzeba mieć z czego czerpać, a zatem mieć spełnione własne swoje należności. Pewnik ten stanowi proste zastosowanie prawidła, że nie zdoła spełnić obowiązków dalszych, kto nie spełni bliższych. Jednakże sama chęć spełniania powinności jest już czymś pozytywnym ze stanowiska etycznego, a pamiętajmy, że najwyższy regulator historyczny zachodzi się w świecie moralnym.

Chodzi przeto o to, czy pewien naród (społeczeństwo, państwo) pragnął i umiał być pożytecznym dla innych, czy próbował urządzić swoją walkę o byt w taki sposób, żeby dobrze było nie tylko jemu, ale też innym przy nim; czy zaś nie opierał korzyści swej na szkodzie drugich? Według tego bowiem będzie zachodzić pewien stosunek pomiędzy jego pomyślnością a dobrem powszechnym, który to stosunek może być prosty i odwrotny.

Poruszona powyżej kwestia skutków rozbiorów dla Europy ledwie dotkniętą została; można by o niej pisać tomy. Będziemy ją poruszali nieco jeszcze w tym rozdziale. Niemało ucierpieli na braku polskiego państwa ościenni.

Jeżeli chodzi o znaczenie pewnego państwa dla ogółu danej cywilizacji, toć chodzi głównie o stosunek do sąsiadów; wpływ bowiem, dodatni czy ujemny, od sąsiadów się

zaczyna i na nich jest najwidoczniejszy. Nasi sąsiedzi, to Słowianie przede wszystkim, którzy] otaczają nas z zachodu (Czesi), z południa (Słowacy) i od wschodu (Ruś) i Litwa. Znaczenie Polski pośród ościennych wychodzi tedy na kwestię znaczenia jej dla Słowian i Litwy.

Zbiegiem okoliczności dziejowych byliśmy na ogół silniejsi od innych Słowian sąsiadów i od Litwinów. Dla dochodzeń o wartość Polski tym większa korzyść z tego, skoro okaże się zarazem stanowisko jej wobec słabszych. Czyś może istnieć kryterium trafniejsze do oceny etycznej? Będziemy z najwyższym zajęciem zbierać dane do pytania, jaki zachodził stosunek pomiędzy pomyślnością Polski a dobrem słabszych, z którymi los łączył ją bezpośrednio czy pośrednio, w stopniu większym czy mniejszym.

Niewiele jest chyba państw, które by wytrzymały próbę takiego kryterium. Są społeczeństwa, które z góry odrzucić muszą samą nawet możliwość takiego stawiania kwestii, bo inaczej musiałyby wydać same na siebie wyrok potępienia. Ale dla Polski uznanie takiego kryterium jest prostą konsekwencją zasad Pawia z Brudzewa. Skoro pogartin korzysta z prawa publicznego na równi z chrześcijaninem, skoro nie może być w niczym wobec chrześcijanina upośledzonym, skoro nie wolno najeżdżać jego ziemi ani nawet dla rozszerzenia ewangelii, a zarem istnieje równouprawnienie słabych z silnymi. Nigdy też Polak temu nie przeczył. Pod tym względem Logos polski jest niezmienny.

Zacniemy od Czechów, którzy nie zawsze byli słabszymi od nas, ale są bądź co bądź słabszymi na ogół, w ogólnym rezultacie historycznego zestawienia; przejdziemy następnie do Rusi, potem do innych Słowian zachodnich i do pobratymców południowych, wreszcie do Litwy. Skoro mowa o słabszych, dodamy fakty, pozwalające wnosić o stosunku Polaków do najslabszych, do tych, nad którymi znęcać się wolno dziś podobnie, jak wolno było Krzyżakom znęcać się nad Prusami, Litwinami, Żmudzinami; będzie więc na końcu mały dodatek o ludach egzotycznych.

1. Polska a Czechy.

Początkowo były tylko wpływy czeskie na Polskę, a nader dodatnie; wszak to czeska Dubrawka była „matką chrzestną” Polski; wszak Czechem był św. Wojciech, twórca

kościelnej odrębnej prowincji polskiej i współpracownik Bolesława Wielkiego. Potem długo wahał się, czy Przemyslidzi mają podlegać Piastom, czy też odwrotnie. Najechał i złupił Polskę Brzetysław, ale potem Waclaw dopomógł bądź co bądź złączyć dzielnice polskie w jedność. Nasi przelewali krew po stronach Otokara II na Morawskich błoniach 1278 r. (był tam hufiec krakowski), a potem Žižka brał chrzest ogniowy pod Grunwaldem, i „Sierotki” dopomagały nam dokończyć chwalebnie „wielkiej wojny”. Po bitwie grunwaldzkiej wysłał Jan Hus list gratulacyjny do Jagiełły.

Czescy uczeni pomagali zakładać i urządzić uniwersytet krakowski, a niebawem potem polscy delegaci na soborze konstancyjskim bronili do końca Husa przed zaciękością sądu za przekonania religijne. Wszak *fides ex necessitate esse non debet!* Chociaż w Polsce husytów było niewielu, cały naród polski życzył husytom zwycięstwa, w walce z Niemcami, co dokumentowano na licznych zjazdach i przez Korybuta. Wycofali się Polacy z tej sprawy, skoro wojny husyckie zamieniły się w czeską wojnę domową, bo identyfikowali się tylko z narodowo-polityczną stroną ruchu husyckiego, ale nie z wyznaniową. Istnieli potem kalikstyni polscy, gdy nastąpiło porozumienie z Rzymem.

A jednak już w owych czasach odczuwa się, jako Czesi i Polacy są sobie pomimo całej świadomości pobratymstwa, głoszonego chętnie, jednak nie tak bliscy, jakby sami może tego pragnęli. Odczuwano już wówczas, że coś oddziela jednych od drugich.,

Zapewne, że najazd Brzetysława, pozbawiony wszelkiej myśli politycznej, będąc prostym tylko najazdem łupieskim (1038 r.), pozostawił po sobie tradycję dla Przemyslidów fatalną. Dzięki temu najazdowi stało się niemożliwością stopienie w jeden naród dorzeczy Wełtawy i Warty, a tym mniej i Wisły. Brzetysław łupieskością swą zadecydował, że będzie istniał naród czeski obok polskiego, ale też zarazem o tym, że Polacy będą narodem wielkim, a Czesi małym. Już od r. 1038 przestała istnieć dla Czechów możliwość ekspansji narodowej.

Otokar II posiadał wielką potęgę polityczną, i to w czasach, kiedy Polska była nicością polityczną. Zdawało się, że nasuwa się sposobność do naprawienia błędu Brzetysława, zwłaszcza, że Otokarowi nie brakło sympatii wśród książąt polskich. Sama klęska na Morawskich błoniach nie stanowi jeszcze wyjaśnienia, dlaczego Polska a Czechy

rozeszły się. Niebawem po klęsce owej stały się Czechy na nowo potężnym państwem, a dynastia czeska (luksemburska) miała się nawet stać najpotężniejszą w Europie. Nie miało to już zasadniczej wartości ogólnodziejowej, bo te Czechy weszły pomimo swej potęgi na nowo, a dobrowolnie w skład Rzeszy Niemieckiej i stały się państwem „na pół” niemieckim.

Czechy zidentyfikowały się z tym systemem politycznym, który Polska zwalczała. Kiedy Otton Długi brandenburski utworzył koalicję przeciw Przemysławowi wielkopolskiemu, głową jej stał się król czeski. Tenże Wacław, występując z uroszczeniami do W. Księstwa Krakowskiego na podstawie rzekomego zapisu Gryfiny (wdowy po Leszku Czarnym), opierał się na tytule nieważnym wobec prawa polskiego, bo występował w imię zasady, że państwo jest własnością dynastii. Zasada ta, była w Niemczech uznawana, ale nie w Polsce. Nadto oddał Wacław II w r. 1290 cały Śląsk pod zwierzchnictwo Rudolfa Habsburga i przyjął go dopiero od niego, jak lennik Rzeszy Niemieckiej. Potem ruszył na Kraków z pomocą wojska brandenburskiego.

Gdyby Wacław II wystąpił był w Polsce jako przeciwnik niemieckiego żywiołu, mógłby być połączyć trwale Polskę ze swą koroną; on jednak wystąpił w Polsce jako Niemiec i lennik niemiecki. Marnował siły czeskie dla sporów o tron niemiecki (po śmierci Rudolfa) i zmierzał do wciągnięcia Polski także w koło Rzeszy Niemieckiej.

Jednak sprzyjało Wacławowi szczęście i okoliczności złożyły się niebawem w ten sposób, iż jedynym sposobem ocalenia przywróconej przez Przemysława korony polskiej było ofiarowanie jej Wacławowi. Stało się tak w r. 1300, ale Czesi nie odnieśli z tego żadnej trwałej korzyści. Zmarnowali dar Historii! Bo panowanie czeskie było tego rodzaju, iż stanowiło właściwie najazd. Ani koronacja nie wprowadziła zmiany we wrogich dla ludności rządach wojskowych brandenbursko-czeskich; przeciwnie, koronacja rozzuchwiała tylko Czechów

w Polsce. Zrozumieli oni ją, jako proste poddanie się Polski Czechom i że im skutkiem tego wolno robić w Polsce, co im się podoba.

Rządy Wacławów (II i III) w Polsce stanowią dowód, jak poczynały się już rozbiegać kultury czeska a polska. Przystawały być współmiernymi. Za dużo niemczyzny

wbiło się w umysłowość czeską, i to niemczyzny ujemnej, z obrębu nie łacińskiej cywilizacji, lecz z kultury bizantyńsko-niemieckiej. Po krótkim epizodzie Otokara II nawracały Czechy z tym większą siłą do Niemiec, tj. do tego, żeby naśladować z Niemiec to, co im się stamtąd dawało we znaki, sądząc, że w ten sposób przyswoją sobie siłę od swych gnębieli. Skutkiem tego kierunku umysłowości czeskiej poczyną się ona oddalać od polskiej, a rządy Wacławów pogłębiły te różnice. Rządy czeskie zapisane są w naszych źródłach jako system gwałtów, zdzierstw, samowoli, jako urzędowe bezprawie, złożone z dokuczliwości i z łupienia ludności.

Dzieje czeskie mają w sobie pewne podobieństwo do rosyjskich, w tym mianowicie, że Czesi przejmowali się nazbyt różnymi wpływami kulturalnymi, nie dającymi się sprowadzić do wspólnego mianownika – i cierpiały i cierpią na rozbieżność kulturalną, wobec czego nie może się u nich wyrobić twórcza kultura czynu. Często trudno orzec, do jakiej Czesi należą kultury.

W okresie największej swej mocy politycznej przystosowywali się do kultury niemiecko-bizantyńskiej, nie wytworzywszy sami żadnej odrębnej gałęzi kulturalnej, ni łacińsko-czeskiej, ni bizantyńsko-czeskiej; pozostali drugorzędym poddziałem bizantyńsko-niemieckiej.

Wkrótce atoli poczęli opierać się o najczystsza cywilizację zachodnio-europejską, czerpiąc z niej pojęcia dynastyczne. Dynastą na wskroś jest Karol IV, gdy tymczasem Kazimierz W. nie ma w sobie nic z dynastyczności. U nas wytwarzało się państwo oparte na społeczeństwie, u nich społeczeństwo oparte na państwie (o feudalizmie w Czechach była już mowa). Tak tedy nawrót Czechów do Zachodu nie tylko nie zbliżył nas, lecz jeszcze bardziej oddalił, bo Czesi przyswajali sobie z Zachodu w sani raz to, czego my nie przyjmowaliśmy (feudalizm i dynastyczność).

Pojęcie narodowości jest w Czechach o cały wiek, późniejsze niż w Polsce, ale przyjęcie go stanowiło zbliżenie do polskości, opartej już od wieku z całą stanowczością na poczuciu narodowym. W pierwszej połowie XV wieku nastaje też szybko znaczne zbliżenie czesko- polskie. bo nastąpiło zbliżenie cywilizacyjne. Myślano o wspólnym działaniu w imię wspólnej idei.

Ruch narodowy przeciwko Niemcom rozpoczął się w Czechach w r. 1409, a Żiżka przebył pierwszą szkołę wojenną na wyprawie grunwaldzkiej. I w Pradze i w Krakowie odczuwano doskonale wzajemnie, że się ma wspólne cele. Zresztą związek inteligencji czeskiej a polskiej był wówczas jak najściślejszy, jeszcze od ostatnich lat życia królowej Jadwigi, której działalność odegrała wielką rolę w zbliżeniu obydwóch narodów. Poczucie solidarności słowiańskiej zrodziło się w tych właśnie czasach z wymiany myśli pomiędzy uniwersytetem krakowskim a praskim. Posiadamy sporo dowodów źródłowych, że poczucie to było w ówczesnej Polsce żywe i głębokie; akty XV wieku roją się od powoływań na pobratymstwo słowiańskie. Wojny husyckie i potem jeszcze sprawy Jerzego Podiebradzkiego oddziaływały stale na politykę polską względem Zakonu. Były to także objawy wojny „z całą nacją niemiecką”.

W Polsce i w Czechach chodziło o to samo, a jednak jakżeż wykonywano rzecz odmiennie! Ta zasadnicza różnica objawów tej samej sprawy (wojny przeciw hegemonii niemieckiej) godna jest głębszej uwagi. Czesi poprzestawali na asymilacji kulturalnej i nie snuli własnych teorii politycznych. Praktyka (jak np. zmiana ordynacji uniwersyteckiej przeciw Niemcom, wypowiedzenie posłuszeństwa Zygmuntowi) odbywała się u nich bez teorii. Obalali to, co dla nich było szkodliwym, nie zajmując wobec samejże teorii cesarstwa żadnego stanowiska, ani positive, ani negative; przedtem zresztą praktycznie zasadę cesarstwa uznali, skoro się sami o koronę cesarską starali, czyniąc to również bez jakichkolwiek motywów teoretycznych.

Skutkiem braku teorii była czeska walka z „całą nacją niemiecką” czymś przygodnym wobec piastowania godności cesarskiej przez królów czeskich. To też ich walka, chociaż na zewnątrz efektowniejsza od polskiej (husyckie wojny), była w gruncie rzeczy słabszą i płytszą. Jakoż husytyzm nie wyrwał Czech z zaczarowanego koła Rzeszy niemieckiej, ani z niemieckiego systemu imperialistycznego; a nawet przykuł Czechy jeszcze bardziej do Rzeszy w dalszych swych następstwach. Czechy pozostały częścią Rzeszy, solidaryzowały się potem na nowo z jej sprawami, walczyły w imię stronnictw rzeńskich niemieckich, aż związały los swój ze sprawą jednego obozu niemieckiego i położyły głowę za sprawę niemiecką na Białej Górze w r. 1620.

Ruch polski zaczyna się dociekaniem kosmopolityczno-abstrakcyjnymi Pawła z Brudzewa i staje się wybitnie narodowym, nie znosząc na sobie żadnej obcej powłoki. Ruch czeski zaczyna się zaś od wypędzenia Niemców z Pragi, a kończy się na zupełnym ugrzęźnięciu Czech w sferze interesów niemieckich. „Król zimowy”, mający być przedstawicielem niepodległości narodu czeskiego, był w istocie rzeczy tylko przedstawicielem jednego ze stronnictw niemieckich.

Czesi walczyli z Niemcami żywo, odruchowo, Polacy zaś systematycznie, z uświadomieniem tej walki do najgłębszej jej istoty. Czesi zwalczali Niemców tylko, jako niebezpiecznych cudzoziemców; Polacy zaś, jako przedstawicieli i wykonawców pewnego systemu międzynarodowego.

Rewolucyjność myśli polskiej zwróciła się od razu na pole świeckie, nie tykając w niczym katolicyzmu, mogąc mieć w papieżu nawet siłę sprzymierzoną. Inaczej myśl czeska. Była ona bardziej „średniowieczną”, tj. zależną od wykształcenia teologicznego, zdolna patrzeć na sprawy świeckie tylko przez pośrednictwo aparatu teologicznego. Podczas gdy Brudzewski sięgał do samych głębin zasady chrześcijańskiej i z etyki wysnuwał wnioski polityczne, husytyzm czynił to samo z dziedziny absolutnie do tego się nie nadającej, a mianowicie z dogmatyki. Gdy Polacy wygrywali swą sprawę wobec soboru i papieża, odmawiając w zasadzie uznania cesarzowi, równocześnie głosił Hus, że nie można uznać papieża zwierzchnikiem Kościoła, bo ani Piotr św. głową jego nie był, a papieżstwo i jego przywileje są dziełem cesarzy. Stawał tedy Hus na stanowisku pośrednio skrajnie imperialistycznym, a był równocześnie (boć to fakt) ojcem odrodzenia narodowego, skierowanego przeciw cesarstwu niemieckiemu.

W całym ruchu husyckim i w jego następstwach tkwił brak zdolności twórczej przez niezgodność myśli z czynami, przez brak pogłębienia teoretycznego.

Biorąc rzeczy teoretycznie, tezy Husa były o wiele mniej rewolucyjne od tego, co głosił Brudzewski. Cała nauka Husa mieściła się w teorii, doskonale w dotychczasowym ustroju europejskim, dla którego obojętnym było, kto jest praescitus, a kto praedestinatus (fundamentalne założenie Husa).

W praktyce jednak wyglądało to inaczej; Brudzewski burzył jedno, ale stawał od

razu drugie; w jego teorii tkwiła zasada braterstwa narodów, system unii; a obok tego druga zasada, że prawo publiczne ze społeczeństwa wypływa, a nie z dynastyczności.

Hus w dziedzinie życia politycznego niczego nie- burzył, ale on czynił wszelkie życie społeczne niemożliwym. Wystarcza jego teza, że osoba piastująca urząd (duchowny czy świecki) traci władzę, popadłszy w grzech śmiertelny, aż do oczyszczenia się z grzechu. Najmniejsza próba wprowadzenia tego w praktykę wiodłaby do anarchii; zachodzi też związek genetyczny pomiędzy tą tezą, a adami. To też husytyzm miał w sobie ogromną siłę żywiołową, ale nie dostawało mu pierwiastku twórczego, pozytywnego. Nie dał się z niego wyrzesać nowy ustrój. Zamienił się też na wojny domowe, które miały tylko rozstrzygnąć, kto kogo będzie prześladował, czy katolicy czescy husytów, czy też husyci swych katolickich rodaków.

Toż samo zagadnienie stanowi potem oś wojny 30 letniej i czeskiego w niej udziału, podczas gdy w Polsce już w artykułach henrycjańskich (1573) postąpiono według staropolskiej zasady: *fides ex necessitate esse non debet*. Czesi nie walczyli bowiem o wolność sumienia, lecz tylko o wolność protestantyzmu; walczyli dlatego, by móc prześladować u siebie katolików.

Fatalne mieszanie narodowości z wyznaniem stało się tak dalece cechą umysłowości czeskiej, iż trwa dotychczas. Narodowym ideałem Czecha jest, żeby móc wszcząć jakąś akcję wyznaniową antykatolicką; gdy tymczasem Polak przejęty jest przeświadczeniem, jako nie należy mieszać teologii w sprawy świeckie. Katolicyzm łączy się z narodowością polską, ale oczywiście nie teologicznie (!), lecz cywilizacyjnie.

Zachowanie się rządów habsburskich w Czechach po Białej Górze zamknęło tej dynastii dostęp do tronu polskiego. Kiedy nawet język czeski poczęto prześladować, pierwszy przeciwko temu protest w pomnikach piśmiennictwa czeskiego ozwał się pod wpływem polskim, a mianowicie jezuita Bohusława Balbina „Rozprawa na obranu jazyka”, ułożona pod wpływem polskiego jezuita Mikołaja Łęczyckiego (1673).

Nastaje dłuższa pauza w tradycji stosunków czesko-polskich, bo Czechy upadły, a Polska traciła kulturę.

Za Stanisława Augusta budzi się wśród uczonych polskich zajęcie dla rzeczy

czeskich, a pierwsze, ledwie napoi świadome odruchy czeskiego poczucia narodowego okazują dążność oparcia się o Polskę. Ale państwo polskie upadło – i wraz osłabł i opóźnił się czeski ruch odrodzeniowy. Ograniczony do zamięłowania etnograficzno-filologicznego, jeszcze ku połowie XIX wieku nie zdołał nabrać cechy prądu nacjonalno-politycznego. Wszak tom I Palackiego opracowania dziejów czeskich wyszedł tylko po niemiecku (1836), a dopiero piąty pisany był oryginalnie w czeskim języku (1867). Kwitnące w warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk słowianofilstwo oddziaływało znakomicie na garstkę czeskich uczonych. Na walnym zgromadzeniu tegoż w styczniu 1814 Staszic „udzielił zgromadzeniu tak dawno pożądaną wiadomość, iż Towarzystwo czeskie odtąd obrało używanie alfabetu łacińskiego”. Linde swym Słownikiem torował ścieżki Jungmannowi, którego czeski słownik wychodził w 1. 1835-39. W tychże latach wzywało czasopismo Čechoslav i Erazm Vocel w Časopisie Muzeum Českého, żeby przyszła nowa literatura czeska oparła się o polską. Jakoż aż do r. mniej więcej 1865 opiera się istotnie całe piśmiennictwo czeskie przeważnie na polskim. Ile miłości ojczyzny wzbudziła w Czechach poezja polska; któż dziś zliczy? Znaczna ilość pisarzy czeskich wychowała się w owym okresie wprost na polskim piśmiennictwie.

Żaden czeski „budziciel” nie budził do życia narodowego kobiet, aż dopiero przyszła budzicielka z Polski, Honorata z Wiśniowskich Zapova (1825-56), która też pierwsza rzuciła hasło lepszego wychowania kobiety czeskiej, przenosząc nad Wełtawę plon Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Z czasem powstaje pośród Czeszek specjalne niewieście polonofilstwo, dzięki któremu przeszczepiało się na grunt czeski trochę obyczaju polskiego i polskich zapatrywań na rolę kobiety w domu i w społeczeństwie.

Ośłabiło się jednak potem wielce polonofilstwo i to właśnie w czasach, kiedy Polacy, pozyskawszy pewien wpływ w Austrii, używali go na pożytek Czechów, od Agenora Gołuchowskiego poczynając. W literaturze i w publicystyce rozbudzonego już narodu zaczyna się zezowanie ku Wschodowi, w r. 1867 odprawia się osławioną „pielgrzymkę do Moskwy”, w końcu wyrabia się silne moskalofilstwo, zwłaszcza w obozie liberalnym, dla którego policmajster rosyjski z knutem w rękę staje się ideałem „ducha słowiańskiego”. Dużo tu zawiniła głupota polityki wiedeńskiej, ale cóż zawinili Czechom

Polacy, że w imię moskalofilstwa poczęto ich nienawidzić i uważać za „zdrajców Słowiańszczyzn” za to, że się nie dawali zrusyfikować? Najpoważniejsi mężowie czescy nie mieli w sobie moskalofilstwa nic ponad to, ile go trzeba było na pokaz, na demonstrację przeciwko Wiedniowi; doprawdy, że twórcy czeskiego moskalofilstwa wcale moskalofilami nie byli, ale nie zdołali utrzymać w ryzach ruchu, który zrazu miał być tylko sztucznie politycznym, a raczej politykującym, lecz którego cugle wymknęły im się z ręki.

Pewne właściwości czeskiego umysłu (zwłaszcza ogromna skłonność do dogmatyzmu w życiu zbiorowym) powodowały tu wiele, ale uwzględnić też należy, że odrodzony naród szukał oparcia się o jakiś czynnik zewnętrzny, o jakąś siłę polityczną. Gdyby istniało państwo polskie, byłby znajdował w nim ów punkt oparcia, jak zanosilo się na to za Stanisława Augusta; w braku Polski poszukał go w Rosji. Miały z tego wyniknąć następstwa, mogące decydować o całej przyszłości narodu czeskiego.

Tymczasem zaś w r. 1870 Czesi, odmówiwszy poparcia Alfredowi Potockiemu, bo się nie orientowali dostatecznie w szerokich europejskich liniach ówczesnej polityki premiera polskiego w Austrii, obalając go, ocalili Prusy. Zawikłanie pomiędzy Francją a Prusami groziło wojną, z której Austria chciała skorzystać, aby wziąć odwet na Prusach za rok 1866, co jednak nie dało się zrobić ze względu na Rosję i Madiarów, przychylnych Prusakom. Rząd, szukając oparcia, zwrócił się ku Czechom, a ci rząd ten obalili, żądając z góry przywrócenia prawnopaństwowego stanowiska Czech. Było to naiwnością polityczną, bo to nie dało się wykonać żadną miarą, póki trwała potęga pruska. Alfred Potocki wyzwał ich, żeby dopomogli do skruszenia Prus, i wzywał na próżno! Krótka tedy trwała era Potockiego i następnie Hohenwarta, federalisty, a od listopada 1871 zaczęło się w Austrii nowe prześladowanie czeszczyzny.

Druga seria polskich „ministerialnych” wpływów na sprawy czeskie zaczyna się w r. 1880 od mianowania Juliana Dunajewskiego ministrem finansów. Ten był przez jedenaście lat faktycznie głową gabinetu. Zaczął swe rządy od śmiałego podniesienia sprawy czeskiego uniwersytetu, a podał się do dymisji tegoż dnia (22 stycznia 1891), kiedy rada ministerialna zawetowała przeciwko niemu w duchu antyczeskim. A potem

w r. 1895 Kazimierz Badeni znosi stan wyjątkowy w Pradze, ogłasza amnestię dla spiskowców „Omladiny” i wydaje rozporządzenia językowe takie, jakich sobie Czesi życzyli. Ale Czesi ani nawet Badeniego nie popierali należycie, robili mu trudności (sławnych 35 nowych żądań) i doprowadzili jego gabinet niebawem do upadku. Nie zraziło to następnych polityków polskich. Głębiński postanowił sobie doprowadzić do tego, by Czesi mogli wejść do większości w parlamencie wiedeńskim i przez półtora roku zajęty był próbami politycznymi w tym kierunku. Będąc w r. 1911 ministrem kolejowym, pojechał do Pragi i tam zapewniał publicznie, jako dołoży starań, żeby Czesi mogli zająć należne sobie w państwie stanowisko.

Polacy, skoro tylko mogli rzucić na szalę swe wpływy polityczne, robili to zawsze na rzecz autonomii „krajów koronnych”, na rzecz wolności narodowej i sprawiedliwości w równouprawnieniu narodów. A jednak Czesi pozostawali wciąż w nieporozumieniach politycznych z Polakami.

Przyczyna leżała i tkwi głębiej, niż sięga warstwa polityczna: tkwi w żywiole cywilizacyjnym. Za popularnych do najwyższego stopnia wśród ogółu czeskiego moskalofilstwem pojawiły się w Czechach, w środku Europy, wpływy kulturalne rosyjskie i to nader silne! Zaczęło się to od literatury, a przeszło do pojęć społecznych i politycznych.

Najwybitniejsi z Czechów nie mieli z tym nic wspólnego. Największy czeski poeta, Vrchlicky, był polonofilem; największy ze statystów ostatniej doby, Bráf, był katolikiem z przekonania. Ale też nastały w Czechach takie czasy, iż żaden wybitny Czech nie cieszył się wśród rodaków wpływem wybitnym, tj. skutecznym. Prądy popularne szły swoją drogą, kierowane przez osobistości, których rozgłos nie pozostawał w żadnym stosunku do istotnej ich wartości. Ten był wielkim pośród Czechów, który pozwalał nieść się prądowi; im kto bardziej ulegał biernie prądowi, tym łatwiej uchodził za jego kierownika. Pod tym względem Czesi wyprzedzili znacznie Polaków (niestety, doganiamy ich pospiesznie!).

Czesi, nie wytworzywszy kultury oryginalnej za czasów swej niepodległości, posiadając tradycję historyczną dwojga cywilizacją, łacińskiej i bizantyńskiej (w kulturze bizantyńsko-niemieckiej), zapragnęli w odrodzeniu swym oprzeć się o łacińską, lecz

z wyłączeniem katolicyzmu. Zastrzeżenie to wypaczało od razu podłoże kulturalne narodu, a wywoływało nawet rozstrój kulturalny, ponieważ lud prosty był, katolickim, i trzeba było dopiero agitacyjnie podrywać w nim katolicyzm. Łacińską cywilizację znano zaś przeważnie w niemieckiej szacie i z Niemiec ją na nowo czerpano. Wszak Czesi byli gruntownie zgermanizowani; odrodzenie narodowości polegało na ich odniemczaniu. Odniemczali się narodowo, politycznie, lecz niekulturalnie. Tkwili kulturalnie w kierunku już to łacińsko-niemieckim, już to bizantyńsko-niemieckim, podczas gdy politycznie byli nieprzyjaciółmi Niemców. Tu druga przyczyna rozdźwięku.

Za mało było wpływów polskich, które jedynie mogły być podać Czechom mocną podstawę w tej rozterce kulturalnej. Gdyby było istniało państwo polskie, Czesi znaleźliby się na drodze do wytwarzania narodowej czeskiej kultury w obrębie łacińskiej cywilizacji, używając ku temu szkoły kultury polskiej. Poszukiwanie siły politycznej zwróciło ich ku Rosji, a skoro popadli w kulturalną od Rosji zawisłość, nastąpić musiało groźne przesilenie kulturalne, które też od lat mniej więcej 30-u podmywa czeskie życie zbiorowe. Życie czeskie publiczne składa się z pięciu kultur, zwalczających się wzajemnie: z bizantyńsko-niemieckiej, z zachodnioeuropejskiej w formach niemieckich, z odrobiny tejsze w formie polskiej, z turańsko-słowiańskiej tj. moskiewskiej i z poszukiwań kultury własnej, której dopatrują się w... husyckich scholastycznych wywodach, interpretowanych najdowolniej według widzimisię danego publicysty.

Nie można posiadać pięciu kultur równocześnie. Po też horoskopy czeskiej przyszłości są niezmiernie smutne. O kulturze czynu nie może być mowy w takich warunkach, a nierozważne czyny, wykonywane pod wpływem afektów, kopią przepaść pod społeczeństwem, godnym zaiste lepszej przyszłości dla swej pracowitości, talentu organizacyjnego i wielkiej kultury umysłowej. Niestety, nie na próżno mówią sami rozważniejsi Czesi o... czeskim nihilizmie. Niestety, nie jest to satyrycznym tylko frazesem. Wpływy, kulturalne rosyjskie zrobiły swoje.

Jedyna droga do odwrotu znad przepaści wiodłaby tamtędy, gdzie szukano oparcia kulturalnego w pierwocinach odrodzenia, w polskiej kulturze. Oto, czym są Polacy wobec Czechów.

Jeżeli ogół czeski nie wejdzie na tę drogę, nastąpi zamęt kulturalny, a gdy ten wyda dotkliwe skutki społeczne i polityczne, natenczas część krajów czeskich będzie zmuszoną szukać ocalenia w oparciu się o Polskę już nie tylko kulturalnym, lecz wprost politycznym, podczas, gdy druga część połączy się z Niemcami. Jak największa potęga polityczna Polski potrzebną jest Czechom do tego, ażeby nie stali się na nowo trabantem Rzeszy Niemieckiej, żeby w końcu nie znaleźli się tam, skąd wyszli.

Gdzie kilka kultur miesza się mechanicznie, tam z każdej przyjmują się jej... strony ujemne, jak to widzimy w Rosji.

Gdyby prawdą było rozpowszechnione mniemanie, jakoby literatura stanowiła najdokładniejszy wyraz ducha narodu, w takim razie należałoby się w Czechach. spodziewać zwycięstwa wpływów polskich. Dzieje piśmiennictwa czeskiego stwierdzają bowiem, że piśmiennictwa czeskie a polskie okazywały się zawsze współmiernymi, a cecha ta wyrobiła się sama z siebie, bez szczególnych starań o to, nieraz raczej wbrew zamiarom wyraźnie temu przeciwnym; podczas gdy wobec literatury rosyjskiej, pomimo usilnych starań o przypodobnienie, okazała się niewspółmierność.

Mam jednak od dawna wątpliwości, czy powszechne owo mniemanie o literaturze nie polega na złudzeniu.

2 . R u ś .

Rusią nazywa się w języku polskim wszystko to ze Słowiańszczyzny wschodniej, co nie należy do narodu rosyjskiego; tak się przyjęło od wieków i nie zachodzi żadna przyczyna, żeby to zmieniać. Ruś znalazła się w jednej z ziem pierwotnie polskich, w ziemi Lachów, dokąd po najeździe mongolskim w połowie XIII wieku zaczęła napływać imigracja ruska; w podobny sposób zruszczyła się znacznie ziemia Grodów Czerwieńskich, tj. ziemia Chełmska. Obie te krainy nazywano następnie razem Rusią Czerwoną i nazwa ta utarła się. Dzieła zruszczenia dokonała unia brzeska.

Aż do roku 1569 bardzo niewiele tedy Rusi należało do królestwa polskiego; dopiero w owym roku przyłączyły się do Polski dobrowolnie ziemie południowo-ruskie, Podole, Wołyń, Podlasie, Braclawszczyzna i Ukraina, ażeby uzyskać prawo polskie

publiczne bez względu na to, czy dojdzie do skutku ściślejsza unia Polski z Litwą; opuszczali W. Księstwo Litewskie, prosząc o obywatelstwo polskie, a Zygmunt August przychylił się do tej prośby.

Geneza panowania naszego nad Rusią tkwi tedy w tym, że jedni Rusini osiedlili się na naszej ziemi, a drudzy sami wprosilili się do państwa polskiego. Ani jednego Rusina nie przyłączono do Polski nigdy przemocą. Reszta Rusi nie należała do Polski, ale do końca do litewskiego państwa, ulegając tylko wraz z Litwą polskiemu wpływom kulturalnym.

Ruś Czerwoną uwolniliśmy od jarzma tatarskiego, a na północy Białą od niebezpieczeństwa krzyżackiego.

Wie się o udziale pułków smoleńskich w bitwie grunwaldzkiej (przekręca się to na rzekomy udział w niej „Rosji”), ale nie wie się o tym, że Ruś Biała była poważnie przez Krzyżaków zagrożona... Zamiary ich sięgały daleko na północny wschód. Już w XIII w. starali się zagarnąć od Inflant Psków i część obszaru Księstwa Nowogrodzkiego, tzw. „wotską piatinę” („Watland”). Otóż w latach 1406-1409 odbyli Krzyżacy cztery wyprawy pskowskie, a wszystkie pomyślne. Jeszcze jedna, a sam gród Psków miał paść wyczerpany. Spodziewano się w r. 1410 skończyć z tą sprawą.

Właśnie podczas trzeciej wyprawy pskowskiej nastąpiło wypowiedzenie wojny ze strony polskiej (9 września 1409). Zakon prosił o rozejm, uzyskał go do czerwca 1410, lecz nie załatwił się do tego czasu ze Pskowem, nie otrzymał już przedłużenia rozejmu i d. 9 lipca 1410 przekroczyły wojska polskie powtórnie granicę krzyżacką, a bitwa grunwaldzka (15 lipca) pierwsze korzyści niosła nie Litwie i nie Polsce, lecz tej Rusi północnej, uwalniając ją raz na zawsze od niebezpieczeństwa niemieckiego.

Żadnej świadomości narodowej nie było we Wschodniej Słowiańszczyźnie aż pod koniec XVI wieku, tylko poczucie odrębności wyznaniowej. To poczucie nie tylko było przez rządy polskie szanowane, ale popierane. Tak np. Kazimierz W. wystarał się o hierarchię schizmatyczną dla Rusi Czerwonej (poparłszy za to w klątwe), jakkolwiek postępowanie takie sprzeciwiało się pojęciom zachodnioeuropejskim. Biskup Oleśnicki narzucił w r. 1432 państwu litewskiemu równouprawnienie schizmatyków.

Wpływy kulturalne polskie zaczęły się bardzo wcześnie, a bez nich nie byłoby

powstało nigdy-poczucie narodowe. „Już w XV wieku zaczynał Rusin zaspokajać głód duchowy u źródeł polskich” ... „Niedokształcenie ruskie ustępowało powoli wykształceniu polskiemu, znieawidzonej łacinie, wzorom jezuickim. Powstawały tak po raz pierwszy na Rusi szkoły na wzór zachodnich... przeznaczone dla warstw niższych miejskie szkoły bractw rozmaitych; a i te bractwa same, co tak znaczącą odegrały rolę w walkach-wyznaniowych, naśladowała Ruś u bractw katolickich, tylko rozszerzyła ich środki i zakres działania. W końcu urosła taka szkoła bracka w kolegium, na wzorze jezuickim oparte, Mohyły kijowskiego, co w dziejach oświaty ruskiej złotymi zapisało się głoskami”.

Była na przełomie wieków XVI i XVII doba, iż zdawało się, że na południu dawnej Rusi litewskiej wytworzy się narodowość ruska. Żywioł ludowy stanowił podłoże aż nazbyt wystarczające pod każdym względem, ażeby się na nim mogła oprzeć narodowość: był nie tylko dostatecznie, ale aż nadto dostatecznie liczny do tego, i posiadał dość cech odrębnych. Poczucie narodowości zaświtało nareszcie w tych województwach „ukrainnych” – po raz pierwszy we wschodniej Słowiańszczyźnie, ponieważ tu wyrobił się dzięki wpływom polskim pewien poziom niezbędnej do tego inteligencji i działa! dalej przykład kultury polskiej, przejętej na wskroś duchem narodowym.

Książ Konstanty Ostrogski, pan 35 miast i tysiąca wsi, założył w swoim Ostrogu drukarnię i szkołę wyższą, pretendującą nie bez słuszności do godności akademii. Daleką ona była od prawowierności; przeciwnie, stała się rozsądnikiem protestanckiego kierunku w Cerkwi, sam zaś książ Ostrogski napojony był arianizmem.

Był on pod każdym względem typem budzącej się do życia nowej narodowości. Oparty na kulturze obywatelskiej polskiej, zalicza sam siebie do Europy zachodniej i tylko z nią szuka związków duchowych, kulturalnych. Zalicza siebie, jednakże zarazem do prawosławia, a „nowinkom” reformacji hołduje dlatego, że szuka dróg do odrodzenia Cerkwi, której nigdy nie porzuci, przywiązany do niej fanatycznie. Ale nie ma to nic do jego przekonań politycznych: nienawidzi Moskwy, gardzi moskwicizmem, widząc tam odmienną kulturę, którą pragnie zwalczać. Z ochotą staje na czele wojsk litewskich przeciwko Moskwie. Ale nie staje się przez to Polakiem, ani go też nikt za Polaka nie uważa. Za Konstantym Ostrogskim stała cała inteligencja ruska Ukrainy, świecka

i duchowna, wyodrębniając się spomiędzy Moskwy a Polski w narodowość ruską.

Tak więc polskie poczucie narodowe zapładniało inne ludy pojęciem narodowości. W Czechach jest ono o stulecie młodsze, niż w Polsce; na Rusi o trzy wieki blisko.

Z początkiem XVII w. stała się Ukraina wielkim boiskiem imigracji ludu polskiego. Za Zygmunta III rozpoczęła się rolnicza kolonizacja Ukrainy na wielką skalę, bo tam dopiero w XVII w. jęto zakładać folwarki. Lud polski ruszczył się, tam, dzięki unii brzeskiej (1596), bo odtąd nie stawiano na Rusi kościołów łacińskich. Unia ta cerkiewna miała być wznowieniem „floreńskiej” (1439) tej samej, którą Polska i Litwa w swoim czasie odrzuciły! Bądź co bądź Ruś zyskała na tej unii krocie ludu, zamienionego w ruski; krocie, które w następnych pokoleniach stały się milionami. Zyskała też ogromnie na sile Cerkwi, która, podniósłszy się dzięki wpływom polskim na wyższy poziom, stała się ostoją odrębności. Dzięki unii brzeskiej szlachta kontentowała się wystawieniem cerkwi, i tak kosztem szlachty polskiej znajduje się do dnia dzisiejszego na „Rusi Czerwonej” w każdej wsi cerkiew i parochia, forteczki ruskości, gdy tymczasem „łaciństwo” zepchnięto na plan drugi.

Przyczyną wojen kozackich były względy ekonomiczne, a unia brzeska tylko pozorem, narzuconym przez sprzymierzony z kalifatem Fanar. Chmielnicki był narzędziem tego przymierza. Jeżeli chodzi o narodowość ruską, w takim razie Chmielnicki, poddając Ruś Moskwie, stał się tej narodowości zabójcą, a nie bohaterem! Ale kozaczyzna, pstrokacizna wielka pod względem etnograficznym, żadnego poczucia narodowego nie posiadała. Poczucie narodowe ruskie (formacji ostrogskiej) tak się jeszcze nie spopularyzowało.

Zanim poczucie to zdołało dotrzeć do ludu (na co wszędzie trzeba wieków całych), już się wyczerpało i przestało istnieć. Narodowość ruska zatonąła w wojnach kozackich. Na nic się to nie zdało, że Polacy gotowi byli utworzyć osobne państwo ruskie, podobnie jak istniało litewskie. Warunki ugody hadziackiej 1658 r. były identyczne z warunkami unii lubelskiej, tworząc osobne państwo z województw kijowskiego, braclawskiego i czernihowskiego. Państwo to miało posiadać własne wojsko, własny skarb, własne ministerstwa i urzędy, pod zwierzchnictwem hetmana z własnego wyboru. Szlachta

wszystkich trzech państw: Polski, Litwy, Rusi wybierać miała wspólnie króla i wysyłać posłów na sejm walny. Szlachtę nowego państwa mieli stanowić Kozacy.

Dostarczono tedy narodowi ruskiemu własnej państwowości. O ile prawosławie miałoby stanowić zasadniczą cechę tej narodowości, podniesiono w takim razie sztandar ruski wysoko, skoro zastrzeżonym było, że tylko prawosławny może w tym państwie sprawować urząd publiczny. Znoszono więc równouprawnienie, a nadawano prawosławiu uprzywilejowane stanowisko.

Zważmy, jako to nowe państwo ruskie posiadało wszystkie środki rządzenia, armię, skarb, urzędy. Społeczność ruska posiadała też wówczas wszystkie warstwy, potrzebne do wytworzenia narodowości pełnej: wielkich panów, właścicieli najrozleglejszych w całej Europie latyfundiów, i średnich właścicieli wsi, i futorków (jednofolwarcznych), i ludu rolnego roboczego moc wielką; żołnierzy więcej, niż jakikolwiek inny naród, boć nawet motłoch nauczył się podczas wojen kozackich organizacji wojskowej; kupiectwa posiadała ruska społeczność niemało, bo tam każdy do handlu miał sposobność i niemal każdy Kozak handlował; wreszcie teraz z Kozaków miała powstać szlachta, średnia warstwa narodu ruskiego.

Ale ta nowa szlachta nie umiała czytać ni pisać, a przez „wolności kozackie” rozumiała... prawo nieograniczonego pędzenia wódki (sic! tak w źródłach wydanych przez uczonych rosyjskich, nie polskich). Jednostki obdarzone pewnym rozpędem kulturalnym należały do wyjątków. Ogół był ciemną masą, i ta przeraźliwa ciemnota sprawiła, że na nic wszelkie formy, obmyślane przez Polaków w imię zgody! Pozostawieni własnym rządóm, powodowani ciemnotą, rzucili się sami na siebie.

Zaczęły się teraz wojny domowe pomiędzy Kozakami o to, kto ma być hetmanem, a trwały te wojny przez lat 22, aż do r. 1680. Przez Cały ten czas poddawał się jeden hetman Polsce, drugi Moskwie, trzeci Turcji, a bywało hetmanów po dwóch i po kilku nawet naraz. Kozaczyzna utraciła wszelką wartość jakiegoś pierwiastka wytwarzającej się narodowości ruskiej i nigdy już poczucia narodowego nie nabyła.

Pośród anarchii powszechnej tylko motłoch czuł się dobrze, ale kto choć trochę tylko posiadał w sobie poczucia kulturalnego, odwracał się ze wstrętem od panujących na

Rusi południowej stosunków. Kończyła się krótka era narodowości ruskiej i epizod państwa ruskiego na tym, że kto nie musiał być Kozakiem, kto mógł obejść się bez tego rodzaju zarobkowania (rabunkiem ujętym w formy wojskowe), porzucał szeregi kozackie, a pełen wstydu z powodu bezceństw popełnianych w wojnach kozackich, którym nadawał ton najgorszy motłoch, zacierał za sobą nawet ślady, że miał z tym kiedykolwiek coś wspólnego. Ci, którzy mieli stanowić szlachtę państwa ruskiego, zaczęli tłumnie porzucać prawosławie, a przechodzili nie na unię, lecz wprost na łaciński obrządek. Teraz dopiero polszczyła się tłumnie cała inteligencja ruska i cała warstwa szlachecka Podola, Wołynia i całej Ukrainy. Polszczono się tysiącami dopiero skutkiem wojen kozackich, nie chcąc mieć nic wspólnego z ohydą mordu, rabunku i wszeteczeństwa, chroniąc swe poczucie kulturalne pod skrzydła kultury polskiej. Skutkiem wojen kozackich prawosławie zostało „wiarą chłopską” na Ukrainie. Przy ruskości został ten tylko, kto jej opuścić nie mógł, tj. lud prosty. Ruskość zesłała na stanowisko masy etnograficznej bez poczucia narodowego. Narodowość ruska rozwiązała się w okrucieństwach wojen kozackich.

Ruś jako narodowość stawała się fikcją, którą sami tylko Polacy brali poważnie. Ugoda hadziacka niechże służy za przestrożę, że państwa narodowego nie może tworzyć nikt sztucznie, zwłaszcza nikt obcy, bo wpadnie w sidła własnej fikcji. Zostaje tylko w historii dowód naszych dobrych chęci, stosowanych po doktrynersku – w próżnię.

Kozaczyzna była zresztą tak samo w państwie moskiewskim, i wojen kozackich było tam niemniej niż w polskim. Ale po tamtej stronie nie wmawiał nikt w te wojny jakichś pojęć narodowych, bo ich w Moskwie wówczas nawet jeszcze nie było.

Szczególne rzecz, że mimo to wszystko, mimo późniejszą „koliszczyznę” XVIII w., wyraz „kozak” otrzymał w poezji polskiej znaczenie zaszczytne! Wiadomo, że nikt nie opiewał tak Ukrainy jak Polacy, a mówiąc ściśle, tylko Polacy ją opiewali, jakby na dowód, że oni jedni tę ziemię kochali. Słynie w polskiej poezji „szkoła ukraińska”. Malczewski kończył życie (zm. 1826), gdy Szewczenko liczył 12 lat wieku, a był o 12 lat młodszy od Zaleskiego (ur. 1802-1814).

Była już mowa w rozdziale VIII o tym, jak powstająca następnie narodowość

rosyjska nie natrafiła nawet na żadną tradycję owej ruskiej narodowości wieku XVII.

Ale ruska miała powstać raz jeszcze. Trzecie z rzędu poczucie narodowe na ogromnych obszarach wschodniej Słowiańszczyzny zjawilo się w XIX w., a to pod wpływem Polaków w Galicji; w tym geneza tzw. „ukrainizmu”. Jest to całkiem nowa formacja, bez najmniejszego związku genetycznego z narodowością ruską formacji pierwszej, tworząca nowy całkiem język literacki. Ex post dopiero postanowiono uważać się za ciąg dalszy formacji ostrogskiej.

Dzieje tej narodowości ruskiej wtórej formacji mamy zapisane dokładnie na własnej skórze. Nie trzeba przypominać, bo to sprawy świeże. Podobieństwo do wojen kozackich aż nazbyt wielkie.

Nie ma się co rozpisywać, ażeby nie popaść w politykę! Chciałem tylko stwierdzić, że naród ruski zawdzięcza Polakom próby stworzenia go, że bez Polski nie byłoby nawet wyrażenia „narodowość ruska”. Czegóż żądać od nas więcej?

3. Inne narody słowiańskie.

Nic sądźmy, że punktów stycznych jest mało; nie ma zaś wśród nich żadnego, który by niósł jakakolwiek szkodę pobratymcom.

Mało znany jest u nas fakt, że nasza pieśń legionów stała się prototypem słowiańskich hymnów narodowych; i melodia jest ta sama. Słowacy śpiewali: „Hej Slovaci, jcště naše slovacka řeč žije”, którą to pieśń przywłaszczycy sobie Czesi, zmienili tekst na ogólniejszy: „Hej Slovane!” Pieśń pochodzi z roku 1834, pióra pastora Samo Tomasika. Dla Chorwatów stała się hymnem narodowym w parafrazie Ferdynanda Livadicia „Još Hrvatska nc propala”, a Serbowie śpiewają według odmiany czeskiej „Oj Slaveni”. Łużycka parafraza Zejlera głosi, że „Hišće Serbstwo nje zhubjene”, nadto zaś przejęli Łużycanie skoczny mazurka na nutę „Trzeciego Maja”: „Naše Serbstwo z procha stawa”. Na Rusi mają parafrazę „Szczę ne wmerla Ukraina”; w Rosji zaś powstała pieśń wolności, naśladowująca naszą „Boże, coś Polskę”.

Doprawdy świętą to jest prawdą, jako Pan „wśród nieszczęść samych pomnażał jej sławę”, bo Polska porozbiorowa, rwąc się do wolności, dodawała otuchy pobratymcom

tym, że sama „jeszcze nie zginęła”, i wywołała w Słowiańszczyźnie miłość wolności. Wpływ wielkiej poezji polskiej, wszędzie znaczny, posiadał nie tylko literackie znaczenie; poezja polska stanowiła dla Słowian szkołę patriotyzmu.

Dzieje Słowiańszczyzny połabskiej opracowali dwaj Polacy, Bogusławscy Edward i Wilhelm. Alfons Parczewski pierwszy rozciągnął zabiegi narodowe i na Dolne Łużyce, znajdujące się pod zaborem pruskim; on też wystarał się o łużycki elementarz, stosowny dla samouków (boć szkół nie mają własnych); on powołał do życia (1880) „Towarstwo pomocy za studowacych Serbow”.

W Słoweńcach dostrzegł odrębność od Chorwatów pierwszy Andrzej Kucharski, wysłannik warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W ich pieśniach ludowych żyje pamięć Jana III Sobieskiego. Z narodowym ich odrodzeniem związane jest nazwisko Emila Korytki, który skazany tam przez Austriaków na przymusowy pobyt w Lublanie jako w niemieckim mieście, przebywał tam w latach 1837-1839 pod dozorem policyjnym, a jednak potrafił działać w duchu, którego by wówczas nie był domyślił się żaden austriacki biurokrata, w duchu narodowym słoweńskim – w czasie, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o słoweńskiej narodowości. Wywarł wpływ na poetę Prešerna, największego dotychczas poetę słoweńskiego, którego zaznajomił z muzą Mickiewicza. Ogniskiem ruchu narodowego był dom adwokata Crobatha, ponieważ ożeniony był... z Polką.

Korytko rozniecił wśród młodzieży słoweńskiej żagiew patriotyzmu i rozbudził ruch literacki. Jego zbiory etnograficzne stały się zawiązkiem osobnego oddziału w lublańskim „Rudolphinum”; pozostawił nadto pięć tomów zbioru słoweńskich pieśni ludowych. Przejrzał go wiedeński dyrektor policji i przestrzegał swego lublańskiego kolegę przed Korytką, bo „coraz bardziej przekonywamy się, że polscy fanatycy starają się przyciągnąć innych Słowian do swoich przewrotowych dążeń, tym sposobem, że podszywają się pod ich narodowość”. Chciał przez to powiedzieć, że Polacy zabierają się do pracy około ich narodowości.

Za gabinetów A. Gołuchowskiego i Alf. Potockiego występowali Słoweńcy z hasłem zjednoczenia administracyjnego wszystkich ziem słoweńskich. Za rządów Dunajewskiego pozbyli się znenawidzonego germanizatorskiego namiestnika Krainy.

Jak Polak pierwszy określił narodowość słoweńską, Polak pierwszy szerzył patriotyzm słoweński w Lublanie, podobnie Polak, Aleksander Jabłonowski pierwszy uwierzył w ich przyszłość. On też zwrócił uwagę na odłam słoweński w Styrii.

Na ziemiach chorwackich przebywał już Strykowski. Wiadomo z nowszych badań, że biblia „Radziwiłłowska” cieszyła się pewną popularnością wśród Chorwatów i wpłynęła niemało na chorwacki przekład Pisma św. Największy poeta chorwacki, dubrownicki Gundulić, jest piewcą Władysława IV w swym sławnym eposie „Osman”, przełożonym na włoskie na żądanie Stanisława Augusta. Później rozwinął się w Chorwacji kult poetycki Jana III.

Pamiętne są dla Słowian południowych podróże Al. Sapiehy, Kucharskiego, Czarnockiego, przedsiębrane z ramienia warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sapieha pierwszy zbierał pieśni serbskiego eposu ludowego. Adam Czarnocki stanowi podróżą swą moment zwrotny w ludoznawstwie słowiańskim. „Listy Kucharskiego, w których opisywał wrażenia, jakie wywarł na niego pobyt między Słowakami, Słoweńcami, Serbami i Chorwatami, są bardzo ciekawym przyczynkiem do historii ich duchowego rozwoju właśnie w czasie, kiedy się życie umysłowe między nimi znowu budzić zaczyna”. Kucharski zajął się pierwszy skutecznie studium rękopisów „Osmana” i on wpłynął stanowczo na ogłoszenie drukiem tego arcydzieła chorwackiej poezji

Ludevit Gaj, przywódca „illiryzmu”, doznawał dobroczynnych wpływów całego szeregu wybitnych Polaków. Korespondują z nim H. Bońkowski, Wacław Maciejowski, Jerzy Lubomirski, Michał Czajkowski, Adam Czartoryski, Lelewel. Cały zastęp przyjaciół liczył w Polsce ten Chorwat, którego rodacy nazwali „Ojcem Ojczyzny”: arcybiskup diakowski, Józef Jerzy Štrossmayer.

Za wolność serbską walczyli oficerowie polscy po upadku powstania Kościuszkowskiego, stawiający się pod sztandar Jerzego Karadzordży. Potem wyszedł z polskiej strony pomysł sprowadzenia do Belgradu syna owego Jerzego, Aleksandra. Ministrowie jego zasięgaliby często rady w Hotelu Lambert.

Przytoczyłem tylko garść faktów, skracając się jak najbardziej, wybierając takie, które mogą obyć się bez komentarza. Są one wyrwane z całości dla przykładu, można by

ich przytoczyć oczywiście bez porównania więcej. Uzupełnić to należy rejestrem wypraw tureckich od Warny do Chocimia, a w których już przed dawnymi czasy Polak walczył „za waszą i naszą wolność”.

Dopóki polityka polska była twórczą, wpatrzeni byli pobratymcy nasi południowi w Warszawę, skąd z każdą wojną, wypowiedzianą Turcji, błyskała im nadzieja wolności. Rosja urosła na tym, iż zebrała to, cośmy porzucili! Ale nigdy żaden Polak nie łączył się z Turkiem przeciw Słowianinowi. Kiedy na początku wojny krymskiej wiązano sprawę polską z tureckim obozem, nie zaniedbano jednak starać się o ulżenie doli pobratymców.

Pamiętano o nich doskonale. Dowodem lojalnego stanowiska Polaków wspomnienia wszystkie, jakie posiadamy z owych czasów. Dowodem dobrych stosunków udział Bułgarów w pogrzebie Mickiewicza.

Tak zachowywała się wobec Słowian ta Polska, o której powiedział Krasieński, że „wstanie królową słowiańskich pól”.

Widzieliśmy Logos i Ethos polskie na wędrówce między narodami, zastanawiając się w rozdziale poprzednim nad promieniowaniem polskości, nad obroną kultury zachodniej z polskiej strony i rejestrując udział Polaków w walkach o wolność; w tym zaś rozdziale rejestrując również „krótko i węzłowato” zachowanie się nasze wobec słowiańskich pobratymców. Wystarcza nam zebrać pewną ilość faktów, bo tego wymaga metoda indukcyjna; ale też niczego więcej nam nie trzeba.

I tu wadzimy, jak Logos polski rządzi się zawsze i wszędzie tym samym: niezmiennie głosi wolność narodową i polityczną, samorząd i równouprawnienie, gotów posunąć się aż do tworzenia narodów w imię swych ideałów. Gdy Logos polski znalazł się wobec pustki, zapragnął wypełnić ją narodowością, lecz nie swoją bynajmniej, ale wysnutą z miejscowego podłoża etnograficznego. Gdyby losy świata od Polaka zależały, wypełniłby świat wolnymi i szczęśliwymi narodami. I zabrało się Ethos polskie do wykonywania tego programu – i natrafiło na przeszkody Ethosu drugiego.

Logos polski rozrzucał hojnie po świecie świętości swoje, uważając to sobie za obowiązek, a naraził przez to Ethos swoje na przykre doświadczenia. Ethos potrzebuje powodzenia do swego rozwoju, w przeciwieństwie do Logosu, który może dojrzewać

w ukryciu i sam sobie być światem całym, gdy tymczasem Ethos musi być w świecie, inaczej zamiera. Również atoli zamiera, gdy przez długi czas doznając samych niepowodzeń. Polskie Ethos bardzo się skurczyło w ciągu ostatniego stulecia (czyż nie odczuwamy tego na każdym kroku dziś, gdy nam najpotrzebniejsze jego zasoby?) – a wężość jego przyczyna niemała i w tym, że się rozprasało po wszystkich miejscach, dokądkolwiek zaszedł nasz Logos w wędrówkach swoich. Ethos musi długo pracować nad sobą na jednym i tym samym miejscu, bo siły swe czerpać musi ze źródeł miejscowych; nie wykształci się tedy Ethos inaczej, jak tylko za pomocą najdokładniejszego znawstwa otoczenia, w jakim ma działać. Wędrówka Ethosu osłabia je.

Pobłądził tedy Logos, że brał, z sobą na swe wędrówki Ethos swoje, podczas gdy tylko miejscowe Ethos może na danym miejscu zwyciężyć. Dopóki w pewnym kraju nie wyrobi się wola wykonawcza z danych miejscowych, rodzimych, dopóty na marne idą zabiegi z zewnątrz. Siła zewnętrzna, wydająca te zabiegi, sama siebie osłabia.

Logos niechaj wędrówki odbywa, bo światło nie jest od tego, by było chowane pod korcem, ale starania o czyny niechaj pozostawia tubylcom. Robiono silną propagandę w wieku XV po krajach ościennych, ale nie mieszano się czynnie bezpośrednio w ich stosunki; nie marnowano sił przez rozpraszanie ich, wyczekując stosownej pory do skupienia ich na jednym miejscu.

Logos nie powinien rozrzucić lekkomyślnie swych świętości po obcych krajach, lecz czekać ma, aż same zażądadają uczestnictwa w polskich ideałach, aż powstanie tam Ethos równomierne polskiemu. Inaczej zderzą się dwa Ethosy, chociażby po tamtej stronie Logosu nawet całkiem nie było.

Może bowiem Ethos rozrastać się bujnie bez Logosu; owszem, chadzające samopas bywa silniejsze, zuchwalsze, bardziej skore do czynu. Prawda, że ono samopas dziczeje, ale stan taki przyczyniać może siły fizycznej! Nie będzie ta siła twórczą, lecz zważmy, że szkodzić może każdy...

Niechajże polski Logos nie marnuje już na przyszłość sił polskiego Ethosu, niechaj Ethos nasze będzie całe dla nas. Sama zaś wędrówka Logosu pożyteczną być może tylko po krajach tej samej cywilizacji. Ideał jednej cywilizacji, przeszczepiany sztucznie

w drugą, nie stanie się tam nigdy ideałem, lecz pozostanie ciałem obcym, które organizm ów musi z siebie wyrzucić.

Nie ma pracy cywilizacyjnej poza granicami własnej cywilizacji. I nie ma innego sposobu szerzenia pewnej cywilizacji, jak tylko dając przykład i czekając, czy nie będzie naśladowanym. O żadnym zaszczepianiu i przeszczepianiu cywilizacji nie może być mowy; wobec Historii jest to absurd.

Co poznawszy, zwróćmy uwagę jeszcze na stosunek Polski do Litwy.

4. P o l s k a w o b e c L i t w y .

Litwa była aż do r. 1791 państwem niepodległym. Nie polskie, lecz litewskie wojsko stało tam załogami, a dochody publiczne nie do polskiego szły skarbu, lecz do litewskiego. Litwin płacił podatki na utrzymanie państwa własnego, i przelewał krew w obronie niepodległości W. Księstwa Litewskiego. Nie panowali Polacy nad Litwą! Litwa rządziła się sama, mając aż do r. 1791 własną armię, własny skarb i osobne swoje własne ministerstwa. Rząd Królestwa Polskiego nie był bynajmniej rządem dla Litwy! Kanclerz, podskarbi czy hetman koronny – na Litwie nie mieli nic do rozkazywania, bo tam byli osobni: litewski hetman, litewski podskarbi, nawet kanclerz litewski. Litwa była więc rządzona tak, jak rządzili nią... Litwini. Jeżeli kiedy sprawowano tam rządy źle, jest to ustępem ujemnym z historii nie polskiej, lecz litewskiej; tak jest, z własnej historii litewskiej!

Od podsędka powiatowego aż do kanclerza wielkiego cała hierarchia urzędowa była w ręku litewskim, nie odbierając z Polski żadnych poleceń, przed nikim w Polsce nieodpowiedzialna, podwładna własnym litewskim ministrom w zakresie służby „królewskiej”, w zakresie zaś „ziemskiej” własnym korporacjom i instytucjom autonomicznym.

Wspólnymi były Polsce i Litwie dwa czynniki życia publicznego: król i sejm walny.

Wspólność ta powstała stąd, że dynastia litewska panowała nad Polską. O ile chodzi o ten czynnik, Litwa tedy była górą, a Polska opanowaną; dawała też dynastia Jagiellońska nieraz odczuć Polsce swą litewską przewagę. Po wielekroć trzeba było

zastosować się do Litwy, zwłaszcza za Kazimierza Jagiellończyka i Aleksandra. Umowy o wspólny wybór monarchy dochowywano ściśle ze strony polskiej, gdy tymczasem Litwa kilka razy (za Jagiellonów i potem) narzucała Polsce monarchę, stawiając polskich wyborców wobec faktu dokonanego, jakby utrzymała się na Litwie tradycja, że król ten musi być przede wszystkim wielkim księciem litewskim.

Bo też ten wspólny monarcha był z reguły zależnym bardziej od swoich litewskich poddanych, niż od polskich; przynajmniej z reguły tak bywało, że ulegał bardziej wpływom litewskim. Polska, demokratyczna w wieku XVI i próbująca Litwę zdemokratyzować, stała się przez litewskie i ruskie wpływy sama oligarchiczną w ciągu następnego stulecia. A czyż główni oligarchowie naszych wspólnych dziejów byli Korony obywatelami? Litewscy panowie bywali najpotężniejszymi po królu, króla krępującymi i dyktującymi mu nieraz warunki. Nie zdoła nikt wymienić ni jednego rodu z Korony, który by miał na Litwie partyzantów i wywarł wpływ na sprawy litewskie; ale nie sposób sobie wyobrazić najkrótszego podręcznika historii polskiej bez ustępów o możnowładztwie litewskim.

Sejm walny był wspólny, polsko-litewski. Ale i sejm bardziej doznawał wpływów litewskich, niż sam na Litwę wpływał. Nie dążył nigdy a nigdy do przeprowadzenia jednostajności w obydwóch państwach ponad to, czego Litwa sama zażądała. Statut litewski i specjalne niektóre litewskie urzędy pozostały nietknięte.

Szlachta W. Księstwa powstała najpierw z rodów, które były litewskimi etnograficznie. To potomkowie dalszych krewniaków Gedyminowiców i kilku dynastii lokalnych, przez Gedyminowiców zmediatyzowanych, tudzież rodów wymienionych w akcie unii horodelskiej. Ta najstarsza warstwa szlachty W. Księstwa rozszerzała się niewiele przez adopcje herbowe i nobilitacje królewskie, ale szeregi jej zdwoiły się przynajmniej przez przebieranie bojarów prawosławnych (od r. 1434). Nie polska, lecz ruska etnograficznie szlachta dominowała po pewnym czasie w obszernych dzierzawach W. Ks. Litewskiego.

Przypuszczenia o znacznym napływie szlachty polskiej na Litwę redukują się w badaniach historycznych do takiego minimum, iż szczupłość tego napływu na

etnograficzny teren litewski aż zadziwia! Kolonizacja polska była, ale we Witebszczyźnie, w Smoleńszczyźnie nawet – na pustkowiach powojennych. Na Litwę etnograficzną szlachcic polski mało się garnął, bo nie znał się na gospodarstwie, jakie tam należało prowadzić, tj. leśnym, i nie mógł wżyć się w stosunki, oparte na surowym przestrzeganiu hierarchii społecznej. Szlachetka mazowiecki przymierał głodem, ale głowę hardo nosił, podczas gdy na Litwie zamożny ziemianin pozwalał się jeszcze w XVIII w. poniewierać możnowładcy. Literatura polska XVI w., nawołując Litwinów do unii ściślejszej, za główny argument używa widoków, że przez to podniesie się niezależność społeczna i godność osobista szlachty litewskiej wobec wielmożów W. Księstwa. To też aż do unii lubelskiej szlachcic polski traciłby na przesiedleniu się na Litwę, i aż do końca XVI w. nie ma mowy o żadnym prądzie emigracyjnym w tamte strony.

Trzy były źródła imigracji żywiołu etnograficznego polskiego:

a) Wojskowi, bardzo pożądati, nie wpraszaający się, lecz zapraszani i umyślnie sprowadzani; ci, o ile na stare lata nie woleli wracać do Polski, otrzymywali niewielkie nadania od wielkich książąt, a później od owych „królików”, utrzymujących sobie swe własne, prywatne wojska (w Koronie rzeczy aż do końca nieznane!) Ta imigracja zaczęła się już za Jagiełły i była stosunkowo liczną przez cały wiek XV, zmalała zaś w XVI, a później nie było jej całkiem (skierowała się bowiem na Ukrainę). Zrazu była koniecznością państwową dla Litwy, potem już niepotrzebną, więc ustała.

Niewielki jednak tylko procent tego żywiołu osiedlał się na Litwie. Odbywwszy swoje i uciuławszy trochę grosza, wracali polscy wojskowi do Korony. Władcy litewscy (nie tylko Witold), chcąc mieć więcej żołnierza na każde zawołanie, musieli sprowadzać Tatarów i zakładali też całe osady tatarskie, a nadawano im szlachectwo, nie żądając nawet przyjęcia chrześcijaństwa. Nie byłoby się tego robiło, gdyby była dostateczna ilość ochotników polskich; litewscy władcy byliby woleli zakładać osady wojskowe chrześcijańskie, polskie.

b) Dzierżawcy, przyjmowani chętnie do królewszczyzn i przez litewskich magnatów, jako bieglejsi w gospodarstwie od miejscowych rolników. Było to wydatne źródło imigracji polskiej, lecz dopiero w czasach późniejszych, gdy rozwinęło się już na

Litwie gospodarstwo rolne i to folwarczne, które rozpowszechnia się tam dopiero w XVII wieku. Dzierżaw tych bywały formy najrozmaitsze; z niektórych form powstały z czasem rozrodzone mazurskie zaścianki szlacheckie.

c) Przez ożenki i spadki. Od XVII w. coraz mniej średnio-zamożnych nawet rodów szlacheckich czysto polskich, lub czysto litewskich. Niemal wszyscy miewali w „paranteli” wzajemnie „Koroniarzy” i „Litwinów”. Tu jednak imigracja równoważy się na obie strony, bo z takim samym stopniem prawdopodobieństwa mógł się stać Litwin dziedzicem w Koronie, jak Koroniarz na Litwie.

Nieustanne powinowacenie się zamieniło całą szlachtę litewską i polską w jeden „naród szlachecki”. Ile w którym rodzie krwi polskiej, a ile litewskiej, tego już dzisiaj nie dojdziemy. Gdyby założyć do tego osobną instytucję naukową, miałyby z tym na sto lat pracy (niepotrzebnej) i ostatecznie przynajmniej w połowie wypadków oświadczyłyby, że kwestia nie da się rozstrzygnąć...

Z trzech więc rodzajów imigracji polskiej na Litwę pierwszy nie miał znaczenia etnicznego, trzeci zaś był wzajemną sprawą familijną, natury ściśle prywatnej. Można tedy mówić o polonizacji Litwy przez imigrację Polaków tylko o tyle, o ile mógł w tym oddziaływać napływ dzierżawców z Korony. Był on koniecznością ekonomiczną.

Bez polskich rolników nie sposób było zaprowadzić w litewskich ogromnych latyfundiach gospodarstwa folwarcznego. Nie narzucali się Litwie, lecz sprowadzano ich, starano się o nich, jak przedtem o polskich wojskowych. Żołnierze wracali, skąd przyszli, ale rolnicy zostawali. Potomkowie dzierżawców zostawali często właścicielami dóbr (objaw najzwyczajniejszy w świecie), ale oczywiście nie wszyscy, lecz tylko najszcześniejsze wyjątki. Większa część pozostawała szlachtą czynszową (w Koronie warstwa społeczna nieznaną!) na wieki, gospodarując w kilka i kilkanaście rodzin na obszarze, mającym pierwotnie służyć jednej rodzinie. Na ogół rzecz biorąc, nie bardzo się ta imigracja dzierżawców bogaciła na Litwie – i składała się po większej części nie ze spekulantów, ale z twardych pracowników.

Ani żołnierz polski, ani dzierżawca, przybywający na Litwę, nie wypierał Litwina – lecz zajmował posterunek niezajęty, a raczej wytwarzał swą pracą nowe na Litwie

posterunki: najpierw postępowego żołnierza, potem postępowego gospodarza, twórców twierdz i folwarków.

Imigracji gromadnej, zorganizowanej, skierowanej na pewien punkt litewskiej ziemi, nie ma przez cały czas od końca XIV aż do końca XVIII wieku ani jednego przykładu. Rząd polski tego nie mógł robić, bo nie posiadał żadnej a żadnej władzy na Litwie; litewski robić tego nie potrzebował, bo do obrobienia litewskich królewskich wystarczało rąk roboczych litewskich i białoruskich (tu jedna z przyczyn ekspansji żywiołu białoruskiego na niekorzyść litewskiego).

Kiedy w czasach późniejszych, od XVI poczynając wieku, chłop polski ruszył się do świata, nie emigrował na Litwę, lecz na Ruś południową. Rząd litewski sprowadzał kilka razy gromadną imigrację mazurską, ale zawsze tylko na same kresy W. Księstwa od moskiewskiej ściany, ani razu na litewskie terytorium etnograficzne.

Do spraw wewnętrznych litewskich polityka polska nie mieszała się. Było to nawet niewykonalnym przy autonomicznym ustroju obydwóch państw, skoro każde województwo było samorządnym ciałem. Ingerencja rządu, czy to w Koronie, czy na Litwie, była na sprawy „ziemskie” niedopuszczalna.

Szkolnictwem nie zajmowało się ówczesne państwo; to było pozostawione Kościołowi i prywatnej inicjatywie. Dopiero za Stanisława Augusta zajął się rząd wychowaniem publicznym. A były dwie Komisje Edukacyjne: koronna i litewska, a wszak litewska nie była w niczym zależna od polskiej.

W sprawach zewnętrznych rządziła nie Polska Litwą, lecz przeciwnie: Litwa zawładnęła w zupełności polityką zewnętrzną polską, nadawała jej ton i kierunek. Dla Litwy odwracała się uwaga Polski coraz bardziej od Zachodu, aż pochłonięta wyłącznie sprawami wschodnimi, przestała całkiem należeć do europejskiego ugrupowania państw, straciła związek polityczny z Europą, straciła głos w polityce międzynarodowej.

A te sprawy wschodnie nie były sprawami Korony, lecz Wielkiego Księstwa; stały się polskimi tylko dlatego, że Polska interesy Litwy przyjęła za swoje, że dochowała skrupulatnie warunków unii. Broniło się od Moskwy granic nie polskich wcale, lecz litewskich! W ciągu wieków XV, XVI, XVII ocalono kilkakrotnie niepodległość W. Księstwa

Litewskiego; a gdy rozszerzano na wschód granice Rzeczypospolitej nad górnym Dnieprem, przybywało kraju nie Królestwu polskiemu, lecz W. Księstwu Litewskiemu i tylko do litewskiego skarbu wpływały nowe z tego dochody. Raz tylko północny nabytek nie stał się wyłączną własnością Litwy: to Inflanty, które należały wspólnie do Litwy i Korony.

Tak tedy Litwa zmieniała nasz stosunek do świata, przeobraziła w znacznej- mierze nasz ustrój społeczny, wpłynęła na zasadnicze pojęcia życia publicznego. „Litwa”, znaczy to w tym miejscu: szlachta litewska, boć tylko ta warstwa była politycznie czynną.

A jednak ta szlachta spolonizowała się!

Przypatrzmy się raz wreszcie krytycznie tej „polonizacji”!

Dużo obyczaju polskiego przeszło na Litwę, ale jeszcze za Stanisława Augusta były wielkie różnice obyczaju pomiędzy dworkiem szlacheckim znad Wisły a Niemna; niemało zaś też obyczaju litewskiego przeszło do Polski, a to skutkiem naśladowania największych panów, a więc panów litewskich i przez ciągle powinowacenie się. Z pojęć zaś polskich przyjmowała szlachta litewska nader mało; polonizacja pojęć ogółu szlachty litewskiej miała się dokonać dopiero w 19-ym wieku.

Kiedy i w jakich okolicznościach język polski stał się powszechnie znanym szlachcic litewskiej – nie wiadomo. Nikt tej sprawy, nie badał. Tak się to jakoś zrobiło „samo przez się”, że nikt nie wie, ani, kiedy, ani jak.

Wiadomo natomiast, że całe grono książąt litewskich, którzy zjechali r. 1386 do Krakowa na ślub Jagiełły z Jadwigą, nie potrzebowało tłumacza dla porozumienia się z Polakami, bo mówiło po białorusku! Ten język uważany był długo za litewski i wprost nazywany litewskim, bo nawet nie wiedziano w Polsce, że istnieje na Litwie Inny jeszcze, właściwy litewski. Białoruski tylko język rozbrzmiewał na dworze Jagiełły, królowej Sołki i Kazimierza Jagiellończyka. Byli więc dynaści litewscy od początku grubo zniszczeni, skoro nie przywieźli z sobą do Polski litewskiego języka, ale ruski. Pierwszym „spolonizowanym” Jagiellonem był Jan Olbracht, drugim Zygmunt Stary.

Polonizacja wypierała z wyższych warstw ludu litewskiego nie litewszczyznę, lecz ruszszczyznę. Język litewski widocznie nie bardzo był w użyciu u tych warstw i u całej

szlachty, skoro mimo ciągłych wzajemnych stosunków od XIV wieku (na Mazowszu od XIII) nie ma w języku polskim śladów litewszczyzny. Są ślady tatarskie, madiarskie – litewskich brak. A wracało przecież z Litwy nieraz po kilka i kilkanaście tysięcy jeńców, którzy przebyli tam całe lata; wojska litewskie składały się długo pół na pół z polskich ochotników; tysiące mieliśmy małżeństw mieszanych, a w języku polskim tego wszystkiego ani śladu. Widocznie nasi, stykając się z Litwinami, nie mieli sposobności jednak stykać się z językiem litewskim, a zatem język ten w chwili zawarcia unii z Polską był już wyparty w swym własnym kraju na stanowisko kopciuszka, był tylko mową prostego ludu.

Język litewski zamierał tedy w wieku XIV; ale od XVI był wskrzeszany i wskrzeszony ostatecznie w XIX.

Gdyby nie chrzest, nie byłby się i nadal nikt zatroszczył o język litewski; ale księża polscy, mając utwierdzić lud w wierze, chcąc do niego znaleźć dostęp, uczyli się jego języka, a potem szło już wszystko szlakiem normalnym, jak u wszystkich nawracanych narodów. Trzeba było dla neofitów ułożyć pacierz w ich języku, spisać go, a dalej szły obowiązki katechizacji i kaznodziejstwa, przestrzegane ściśle po soborze trydenckim. Wszak rozwój języków nowożytnych jest wszędzie zasługą Kościoła. Nie ma pisma bez księży.

Gdy nie było jeszcze w Krakowie wydziału teologicznego, założyła królowa Jadwiga w Pradze kolegium litewskie, żeby kształcić księży do pracy misjonarskiej na Litwie. A gdy uzupełniano w r. 1400 uniwersytet krakowski, miano przy tym na myśli potrzeby Litwy, jak to czytamy w akcie erekcyjnym. Kiedy r. 1416 zjechała na Litwę komisja soboru konstantyńskiego, stwierdziła, że piecza duchowna nad ludem zorganizowana jest dostatecznie. Kościołów przybywało tyle, iż od ich mnogości poczęły się przydomki „świętej Litwy”, a zwłaszcza utarło się „święta Żmudź”.

Było więc duchowieństwa dużo, a to znaczy, że dużo było osób pielęgnujących język litewski. Z jakiegoż zaś narodu pochodzili ci księża, jeżeli nie z polskiego? Dopiero z czasem, jak to wynika z samej natury rzeczy, mogło wytworzyć się duchowieństwo rodzime, tubylcze.

Ruch piśmienniczy i drukarski nastał na Litwie dzięki wzajemnemu zwalczaniu się propagand wyznaniowych. Książę pruski łowił Litwę w sieci protestantyzmu, biskupi litewscy bronili się, a ster obrony-ujęli (jak wszędzie) jezuici, na Litwie jezuici polscy: jakie położyli zasługi około języka litewskiego, wiadomo każdemu inteligentnemu Litwinowi.

Rozwój języka litewskiego odbywał się szybciej, niż polskiego niegdyś. Do pierwszej książki, napisanej po łacinie przez rodowitego Polaka (Kadłubek około 1208) upłynęło lat od chrztu około 250, najstarsze zaś rymy polskie pochodzą dopiero z XV wieku, a książki treści świeckiej zjawiają się po polsku aż w XVI wieku, mniej więcej w 550 lat po przyjęciu chrztu. Na pierwsze roztrząsania spraw językowych czekaliśmy lat 552 (Zaborowski. 1518).

Pod polską opieką doczekał się język litewski pierwszych utworów już w 140 mniej więcej lat po chrzcie Jagiełły (Rapagellan, zmarł 1545), a gdybyśmy odwlekli tę datę aż do pojawienia się pierwszego druku litewskiego, aż do katechizmu Mażwydisa 1547 r., wypadnie lat 161. W 52 lat potem znajdujemy w przedmowie litewskiego przekładu Postylli Wnyka (1599) narzekania, że Litwini lekceważą swój język i nie dbają o niego. Jakkolwiek do pierwszego słownika (Szyrwid. 1629) upłynęło Litwie lat od chrztu zaledwie 243, a do pierwszej gramatyki (Klein, 1653) zaledwie 267, jednakże są względy, które pomimo to każą podtrzymywać zarzut, że język litewski był przez Litwinów lekceważony.

Poza polemiką wyznaniową i wydawnictwami ściśle kościelnymi nie pisali nic. Nie ma nikogo takiego, dla którego celem byłoby piśmiennictwo samo; nie ma ani jednego autora świeckiego. To też nie było zgoła starań o wyrobienie wspólnego języka literackiego.

A posiada Litwa na małym stosunkowo obszarze wielkie bogactwa językowe, znaczne różnice narzeczowe. Tzw. Katechizm Ledesmy wydał w r. 1595 kanonik Dauksza po żmudzku. W dziesięć lat potem wydając go ktoś inny w narzeczu górno-litewskim, żeby

ustały narzekania, że „nic mamy katechizmu litewskiego”⁴⁴.

I tak pozostało do końca niepodległości Wielkiego Księstwa. Nie powstał wspólny język literacki. Nie znalazł się Litwin, który by wystąpił z oświadczeniem, że ludy tych narzeczy są jednym narodem.

Piśmiennictwo duchowne działo jednak aż nadto, żeby na jego podstawie wyrobić język życia publicznego. Były już dawno słowniki, byli już poeci (Donalitus 1714 do 1780), a ruszczyzna jak była, tak pozostała językiem urzędowym. Było tak, jak chcieli Litwini, rządzący się sami we własnym państwie. Kiedy układali sobie Statut Litewski, zrobili to po białorusku! Nigdy Polacy nie myśleli narzucać Litwie polskiego języka na urzędowy. Często spisywano akt po polsku, ale wszystkie formuły urzędowe, zwłaszcza na początku i końcu aktu, pisano po białoruska, jakkolwiek często abecadłem łacińskim. (Sam miałem w ręku setki całe takich aktów.)

Kwestii wprowadzenia języka litewskiego, jako urzędowego nigdy nie roztrząsano, nie podejmowano jej zgoła, chociaż mógł to zrobić każdy sejmik Wielkiego Księstwa.

A jednak nie uważano w Polsce szlachty litewskiej za Polaków. W każdej unii, w testamencie Zygmunta Augusta, w aktach elekcyjnych, w konstytucjach sejmów walnych, wszędzie jest zawsze wyraźnie mowa o dwóch narodach. Nie istniało zgoła wyrażenie: gente Lithuanus, natione Polonus! Polonizowała się na wskroś szlachta ruska po wojnach kozackich; etnograficzna litewska pozostała Litwinami, i nie zapomniała wcale ojczystego języka. Spotykała się z nim co niedziela w kościele, a co dzień przy sprawowaniu swego patrimonium w dziedzicznej wiosce. Nie wyrzekła się ta szlachta nigdy litewszczyzny, używała tylko zawsze obok tego drugiego jeszcze języka: wpierw białoruskiego, potem polskiego. A już zgoła fałszywym jest pogląd, jakoby język polski rugował był litewszczyznę; on rugował ruszczyznę.

Gdyby Litwini nie byli się przejęli kulturą polską, byłiby ugrzęźli w ruskiej i... nie byłoby dzisiaj narodu litewskiego. Ani jeden chłop litewski nie spolonizował się, bo lud polski na Litwę nie parł, gdy tymczasem Litwini ustępowali zawsze ekspansji białoruskiej,

⁴⁴ Maurycy Stankiewicz: Bibliografia litewska, Kraków 1889.

i ustępują dotychczas. Bez unii z Polską byłby napór ruski silniejszy i wszechstronny, ogarniający lud i szlachtę, życie świeckie i kościelne. Bez unii z Polską byłaby Litwa stała się „prawosławną”, a czy w takim razie istniałaby literatura kościelna w języku litewskim, czy byłyby owe słowniki, gramatyki, zbiory kazań litewskie?

W okresie porozbiorowym wspólna niedola zbliżyła obydwa narody jeszcze bardziej. Na Litwie garnięto się jeszcze usilniej do kultury już rozwiniętej, na tle której praca kulturalna była łatwiejsza, a owoce wydatniejsze. To też w XIX w. zaczęła się naprawdę polonizacja szlachty litewskiej i postępowała szybko. Ale czy może zarzucić kto Polakom XIX wieku, że narzucali się przemocą? Jednego tylko znam polonizatora szlachty litewskiej, który używał gwałtu. Imię jego: Murawiew. Ten zrobił z Litwy męczennicę polskości i podniósł przez to w oczach szlachty litewskiej polskość do znaczenia świętości.

W ciągu XIX wieku dopiero przyjmuje Litwa w zupełności polski obyczaj i - teraz dopiero - polskie pojęcia. Spolonizowała Litwę przemoc nie polska, lecz rosyjska.

I doprawdy, ta szlachta litewska, polonizując się, miała jednak dobry instynkt litewski! Polszczyzna miała bowiem w tych czasach dla przyszłości Litwy ponowną a zwiększoną jeszcze wartość: jedyne sposoby przechowania litewskości do następnych, lepszych czasów. Nastąpiło zniesienie unii cerkiewnej, próby wprowadzenia języka rosyjskiego i do łacińskich kościołów, apostazje kapłanów, proklamowanie Wilna miastem „odwiecznie rosyjskim”, w końcu zakaz drukowania książek litewskich abecadłem łacińskim. Zakaz nie zdał się na nic, nawet lud palił książki z grażdanką, dzięki temu, że Litwa była należycie nasycona - polskością.

O ile zdarzało się nam posiąść na Litwie siłę jakąkolwiek w ciągu XIX wieku, wychodziła ona zawsze na dobro litewszczyzny i nigdy nie była jej wrogą. Uniwersytet wileński był ośrodkiem, z którego szerzyło się zamięłowanie litewszczyzny tak dalece, iż początki dzisiejszego ruchu narodowego litewskiego tkwią w tym uniwersytecie. Litewskie „dainy” wchodziły też w tym czasie do literatury polskiej (Osiński, Brodziński), po czym pojawia się cały szereg utworów w duchu patriotycznym litewskim, od „Anafielasa” i „Witoloraudy” Kraszewskiego do „Margiera” Kondratowicza. Litwę opiewać, budzić ku niej miłość, zaznaczać, że ona istnieje - j c, stało się ambicją i rozkoszą

poetów polskich. Miłośnictwo Litwy stało się warunkiem patriotyzmu polskiego!

I nawzajem mężowie najbardziej zasłużeni około ponownego i dalszego rozwoju litewkości, najwięksi pisarze litewscy, historyk Dowkont (1793-1864), poeci biskupi Wołonczewski (1801-1875) i Baranowski (1835 do 1902) byli wielkimi zarazem patriotami polskimi. Były to trzy wielkie postacie o kulturze na wskroś polskiej. Słynęli na całą Polskę, chociaż po większej części nie wiedziano nawet, że są pisarzami litewskimi; czy byli właściwie Polakami piszącymi po litewsku, czy Litwinami czającymi po polsku – o to dziś jeszcze spierać się można.

Takimi byliśmy wobec Litwinów; takie są fakty.

Jeszcze kilka uwag o unii lubelskiej:

Unia lubelska 1569 roku stanowiła wynik kompromisu pomiędzy obozem możnowładczym a demokratyczno-szlacheckim na Litwie. Ten pragnął unii jak najściślejszej, tamci umieliby ją zerwać, żeby nie wprowadzać na Litwę więcej prawa publicznego polskiego. Litwa garnęła się do związku z Polską w ogóle z dwóch przyczyn: z potrzeby polskich posiłków na obronę od Moskwy i w imię przyswajanego od Polaków ideału wolności obywatelskiej. Wzmacniała się unia skutkiem propagandy polskich pojęć życia publicznego; te zaś mogły się tam przyjmować, bo Litwa przystąpiła do tej samej cywilizacji co Polska, do łacińskiej.

Ethos litewskie było tu czynne; oni sami przystępowali do czynów, ażeby unia lubelska mogła dojść do skutku. „Przeprowadzona została z inicjatywy i wskutek parcia szlachty litewskiej, która w r. 1562 w obozie pod Witebskiem skupiła się pod sztandarem zbliżenia prawno-państwowego z Polską”. Przeciwną była tylko garstka możnowładców, którzy skorzystali chętnie z prawa polskiego dla siebie, lecz przeciwni byli rozszerzeniu go na cały stan szlachecki, bo ujęłoby to im znaczenia w państwie.

Opozycja możnowładcza skończyła się tym, iż ziemie południowej Rusi, dotychczas litewskiej. Podlasie. Wołyń. Podole i Ukraina (Braclawszczyzna i Kijowszczyzna) same poprosiły, żeby były wcielone bezpośrednio do Korony, a przykład ten gotowi byli naśladować obywatele północnych prowincji Wielkiego Księstwa. Tak dalece Litwini pożydali ściślejszej unii, iż gotowi byli położyć koniec istnieniu własnego

państwa, gdyby unii nie osiągnęli, byle osiąść prawo polskie. Natenczas można władcy z pospiechem wrócili do Lublina i nawiązali układy, których wynikiem był kompromis unii lubelskiej.

Cały dawniejszy obszar W. Księstwa, nie wyjmując wcielonych do Polski prowincji południowo-ruskich, zachował nadal statut litewski, tj. własne prawo prywatne. Struktura społeczna, była zbyt odmienna, by można było wprowadzać polskie prawo prywatne, zwłaszcza familijne i spadkowe; sami tak uznali, a ze strony polskiej niczego nikomu nie narzucano. Ta różnorodność jednak prawa prywatnego a publicznego wydała potem ujemne następstwa, wywołując objawy pewnej niejednorodności cywilizacyjnej. Dalszy rozwój stosunków, gdyby odbywał się normalną drogą ewolucyjną, torowałyby stopniowo drogę recepcji także prywatnego prawa polskiego.

Kompromis lubelski 1569 r. był zapewne tym, co narazić dało się, osiągnąć najlepszego. W zasadniczych punktach był widocznie w danej chwili formą unii dobrą i stosowną, skoro współcześni ją wychwalali. Widocznie na ogół czyniła zadość współczesnym potrzebom politycznym.

Była to ósma unia polsko-litewska z rzędu (1386, 1392, 1401, 1413, 1447, 1499, 1501, 1569). Warunki unii zmieniały się, bo ją ciągle wydoskonalano, a zawsze stosowano formę jej do realnych warunków życia zbiorowego w Polsce i na Litwie. Nigdy też nie narzucano się Litwie z unią, dopuszczając zerwanie jej za Warneńczyka i za Jana Olbrachta, a nie myśląc o żadnej z tego powodu nieprzyjaźni. Zdawano sobie należycie sprawę z tego, że unia musi być dwoistą, a gdy jej nie ma, są jeszcze rozmaite formy dobrych sąsiedzkich stosunków i bez niej. Nigdy też Polska nie prosiła się Litwy o unię.

Ósma z rzędu forma unii, lubelska, była zarazem ostatnią. Już aktu lubelskiego nigdy nie poprawiano, nie uzupełniano; zostało wszystko aż do r. 1791 w takim stanie, jak uchwalono w r. 1569. Obowiązywał akt unii lubelskiej przez lat 222 bez zmian, podczas gdy przedtem najdłużej bez zmian pozostawiona forma unii (1501 do 69) obowiązywała przez lat 68, uzupełniana atoli szeregiem przepisów nowych, szczegółowych. Oczywiście akt lubelski stawał się w niektórych swych punktach po pewnym czasie przestarzałym. Ci, którzy go tworzyli, nie przypuszczali, żeby po unii lubelskiej nie miały już nastąpić

żadne dalsze akty unii, jako udoskonalania poprzednich.

Tymczasem jednak nastąpił w rozwoju prawa polskiego zastój, i unia również przestała się rozwijać.

Stagnacja rozwoju prawnego nie następuje od razu, ale około połowy wieku XVII znać ją już zewsząd. Podczas lat „potopu” nie było na to ni myśli, ni sposobności, i tak weszła unia lubelska niezmieniona w żadnym szczególe aż w okres upadku kultury polskiej, kiedy to niczego w ogóle się nie ulepszało. Kompromisem lubelskim zakonserwowane stanowisko możnowładztwa, wspierającego się na odrębności rządu litewskiego, przeszło w zmienionych okolicznościach następnych pokoleń na nowo w faktyczny ustrój arystokratyczny, który znajdując wiele sposobności do rozwoju, począł nawet przybierać formy jakiegoś oryginalnego wznowienia feudalizmu na Wschodzie, w stosunkach szlachcica do „pana”. Wielkie Księstwo Litewskie składało się faktycznie z dzielnic jakoby feudalnych Sapiechów, Paców, Radziwiłłów i kilku jeszcze rodów; doszło do tego, że możnowładcy ci posiadali własne wojska.

Skutkiem stagnacji w rozwoju pojęć o życiu zbiorowym, odżyło – i to hipertroficznie – to, co już w r. 1569 uważano za przestarzałe, i tylko kompromisowo, na jakiś czas, tolerować dopuszczono. Zubożenie kraju po „potopie” wysunęło bogaczy na pierwszy plan społecznie i politycznie. Im uboższy kraj na ogół, tym harderziej wodzą rej najbogatsi. Na tle fatalnych stosunków ekonomicznych drugiej połowy XVII wieku wyrobiły się rządy możnowładcze, a ciemnota pierwszej połowy XVIII w. je utrwaliła. Od Litwy zaraziła się i Korona i oto Polska, najdemokratyczniejszy kraj Europy XVI w., staje się klasycznym krajem arystokracji.

Skoro do połowy XVII w. nie poczyniono poprawek w unii lubelskiej, potem wobec ogólnego cofania się kultury nie odczuwano już potrzeby rewizji aktu unii. Im bardziej cofaliśmy się, tym mniej stawał się niewłaściwym stary układ lubelski. Ale też, gdy nastąpiło odrodzenie umysłowe i polityczne, gdy prawo polskie zaczęło się na nowo rozwijać, sami obywatele W. Księstwa dostrzegli, jak przestarzałą jest forma stosunku ich do Korony. Natenczas jednym zamachem robi się przeskok za całe 222 lat i w r. 1791 znosi się na żądanie Litwinów odrębność państwową Wielkiego Księstwa; następuje proste

wcielenie do Korony. Wiekopomny sejm czteroletni, sejm Wielki, zniósł unię, złączył Polskę i Litwę w jedno państwo, całkiem jednolite. Litwini sami orzekli wówczas, że tego wymagają interesy Litwy. Taki jest fakt historyczny. Czyż może być większy triumf idei politycznych polskich?

Demokratyzacja XIX w. powoływała lud do życia publicznego: podnosząc lud coraz wyżej, przyspieszała nacjonalizowanie się. Stary ideał polski – poczucie narodowe, patriotyzm – stał się powszechno-europejskim przez ironię losu wtedy, gdy państwa polskiego nie stało.

Pod rosyjskim obuchem, w państwie utrzymującym przymus stanowy do ostatka, nastąpiła demokratyzacja Litwy bardzo późno, a początki tego przypadły na czasy, kiedy przejęta kulturą polską szlachta miała ruchy zupełnie skrępowane. Wiadomo, jak za największe przestępstwo polityczne uważanym było w Rosji zbliżanie się dworu do chaty. Ruch ludowy litewski i wszystko, co z nim związane, rozegrał się tedy wcale nie na tle ogólnonarodowym litewskim, lecz wyłącznie pomiędzy ludem osamotnionym a czynownictwem rosyjskim z tym jeszcze dodatkiem, że droga do wyższej oświaty wiodła przez rosyjską szkołę. Co to za zakłady były „cywilizacyjne”, wszyscy mamy żywo w pamięci! Wystarczy zwrócić uwagę na tę okoliczność; rozwodzić się nie trzeba!

Tak się wychowało pierwsze pokolenie patriotów litewskich pochodzenia Indowego. Pozbawione pojęć kulturalnych, znalazło się wobec szlachty, przesiąkniętej pojęciami polskimi, nie litewskimi i nie rosyjskimi antykulturalnymi, które uważane jednak być mogły przez młodzież za kulturalne, a odmienność ich tłumaczoną bywała większą ich... postępowością. Nieporozumienie na Litwie było nieuchronne i w tym źródło polonofobii. Ludzie ci byli przynajmniej za młodu wszyscy moralnie zrusyfikowani, a po większej części pozostali takimi i na dojrzały wiek i już się nie zmieniają.

Do jakiej cywilizacji należą ci Litwini, zasadzający patriotyzm litewski na nienawiści Polski? Coś turańszczyzny dała im szkoła, z owej kultury turańsko-słowiańskiej, moskiewskiej. U tych, którzy z domu wynieśli choć trochę tradycji katolickiej, odbywa się słaba walka turańszczyzny z łaciństwem; gdy atoli „postęp” ludzi tych oddala stanowczo od katolicyzmu, który jest dla nich tylko przeżytkiem chłopskim,

w takim razie i walki nie ma wcale. Umysły zrusyfikowane do cna, pędzą po równi pochyłej za przykładem Rosji, gotowe do wielu czynów, chociaż pozbawione kultury czynu; to też czyny ich fatalnie odbijają się na samejże Litwie. Zmoskwiczenie umysłów znać między innymi i na tym, że wzgardziwszy wszelkim historyzmem, potępiwszy własne litewskie dzieje, zabierają się do stwarzania świata „abovo”, bez tradycji. Wykluczają z litewskiej sprawy przeszłość litewską, próbując utworzenia narodowych cech według pewnego plami, bo wierzą za przykładem rosyjskim – w możliwość sztucznego tworzenia społeczeństw.

Porozumienie z tym żywiołem, etnograficznie tylko litewskim, lecz kulturalnie moskiewskim, jest niemożliwe. Gdyby oni opanowali Litwę, byłoby tedy porozumienie z Litwą niemożliwe. Wykluczające się wzajemnie cywilizacje zdobyć się mogą tylko na wzajemną obojętność w najlepszym razie.

Być może, że znajdują się na Litwie wyznawcy cywilizacji zachodnio-europejskiej, ale my sami nie utworzymy ich zastępu! Litwa musi sama ich wydobyć z siebie, oni sami własnymi siłami muszą stać się panami sytuacji w swej ojczyźnie. W tym jedyne ocalenie Litwy. Bez względu bowiem na to, czy Litwini trzymający się cywilizacji łacińskiej byłiby przyjaciółmi czy nieprzyjaciółmi Polski (i to i tamto jednako możliwe), od istnienia takiej grupy litewskiej i od jej rozrostu następnie, zależy, sam byt narodowości litewskiej. Przy moskiewskiej kulturze nie utrzyma się żadna narodowość, a tym mniej tak słaba, jak litewska. Jeżeli Litwa pozostanie pod przewagą polityczną zrusyfikowanych umysłów, narodowość litewska rozplynie się w orientalizmie, a „kwestia litewska” będzie tylko epizodem z dziejów... małej „syntezy” kultur na reszcie litewskiego obszaru etnograficznego. W takim jednak razie okazałoby się w rezultacie, że zachodziła przykra pomyłka co do Litwinów, że mianowicie naród szczątkowy wzięto za odradzający się.

Dziś Litwy do cywilizacji zachodnio-europejskiej zaliczać nie można; ta bowiem nie obchodzi się nigdzie bez historyzmu⁴⁵.

Wyraz „Litwa” ma rozmaite znaczenie, geograficzne, historyczne, etnograficzne,

⁴⁵ O „Judeolithuanii”, zob. w rozdziale XII. w ustępie 4.

polityczne. W powyższym wywodzie używałem go w znaczeniu etnograficzno-narodowym według dzisiejszego stanu etnograficznego rozszedlenia.

Dodatek „według dzisiejszego stanu” rozumie się wprawdzie rozsądkowe sam przez się, ale w kwestii litewskiej trzeba go wskazać wyraźnie, bo często się zdarza, że w tej kwestii, nawet kiedy się o niej dyskutuje z wprost z dzisiejszego stanowiska, argumentuje się dziwnie. bo etnografią dawnych wieków. Jest to metodycznie niedopuszczalne! Granice etnograficzne są zmienne, bardzo zmienne, co można wykazać na historii wielu innych narodów, nie tylko polskiego i litewskiego.

Jakie dzisiejsze granice etnograficzne, o tym poucza statystyka. Historyk wie tylko, jakimi one były w dawnym wieku – a tylko naiwni mniemają, że istnieją jakieś stałe dane etnograficzne, niezmiennie od czasu „króla Ćwieczka” i że te właśnie obowiązują. Etnografia nie jest nieruchomością.

5. Podróżnicy polscy wobec ludów pierwotnych.

Małe, króciuchne „postscriptum”. Jest jedna dziedzina stosunków „międzynarodowych”, w której najłatwiej poznać, co kto wart; dziedzina szczerości, bo się w niej nie trzeba „żenować”, gdyż zasadniczo tam wszystko wolno: ta sama, do której zaliczano niegdyś Litwinów, aż Paweł z Brudzewa musiał wykazywać, że i oni także ludźmi: dziedzina pogańskich ludów „pierwotnych” (prymitywnych), zwanych do niedawna wprost „dzikimi”. Wobec nich nie obowiązuje Europejczyka ni prawo, ni honor: to są rzeczy, których właścicielem ten, kto sobie je pierwszy przywłaszczy. Najzupełniejsze *ius primi occupantis* względem przedmiotu, który jest *res nullius*. Położenie podobne do zasadniczego przedmiotu sporu polsko-krzyżackiego – i znów przez Polaków tak samo rozumiane. Można tu obserwować, jak cywilizacja (a więc i jej część: kultura narodowa) jest metodą ustroju życia zbiorowego; że w danej cywilizacji wszelkie dziedziny życia (uczucie, myśli i czynów) tworzą zestroje konsekwentne. Polacy zachowują się i dzisiaj wobec pogan inaczej, niż reszta Europejczyków, a zachowują się najzupełniej według zasady Brudzewskiego, o którego istnieniu sami nic nie wiedzą. Dzieje się to przez prostą konsekwencję.

Sławny Beniowski zaczyna szereg naszych podróżników pod koniec XVIII w. Jego „próba założenia pod swym panowaniem państwa, budowanego na sympatiach pozyskanych u ludności Madagaskaru, weszła w poezję i romans wszystkich literatur europejskich”. Rogoziński, odkrywca wnętrza Kamerunu, również o sympatie krajowców ubiega się; podobnie Jakubski w centralnej Afryce. Benedykt Dybowski na Kamczatce „roztacza chlubną działalność: humanitarną, ratując nieszczęsnych autochtonów przed wymieraniem”. Sieroszewski był nie tylko pierwszorzędnym znawcą Jakutów, ale też ich przyjacielem. Bronisław Piłsudski nie tylko „dogadał się” z Ainosami, z ludem najniżej z całego świata rozwiniętym, ale dobadał się ich serc, i zdumionemu światu ukazał poezję prymitywnego ludu; sam zaś był ich duchem opiekuńczym, prorokiem i ojcem.

Nie brak w Polsce osób, mających sporo wolnego czasu. Może te rządkie trafią do kogo, kto zechce odczytać w całości polską wspaniałą literaturę podróżniczą (Polakom tak mało znaną!) i robić z niej wypisy do sprawy tu poruszanej; po kilku latach miłego zajęcia, nie wymagającego żadnego natężenia, zbierze na gruby tom materiału, świadczącego o wzniosłym sposobie myślenia Polaków wobec maluczkich. Ja poprzestać muszę na przytoczeniu faktów najwybitniejszych, tylko exempli gratia.

Typem polskiego podróżnika jest na pierwszym miejscu Jan Stanisław Kubary, który przebywał 27 lat na wyspach Oceanii. „Jego ideologia powszechnego dobra i równości, zwalczająca wszędzie praktykowany system gwałtownego zaszczepiania tzw. kultury europejskiej wśród krajowców; jego apostołstwo, skierowane ku wychowaniu wyspiarzy na pracowitych i pożytecznych pracowników i członków wielkiej rodziny ludów, apostołstwo tym skuteczniejsze, że nie reprezentowało żadnych ukrytych interesów państwowych, to wszystko otwierało mu serca wyspiarzy... Chociaż więc uznawano w Niemczech zasługi (naukowe) Kubarego w pełni, nie brakło uczonych, którzy ironizowali na temat jego pierwotnego sposobu życia, czy też humanitarności wśród ludów Oceanii”.

Można by też przytaczać niemało przykładów, jak Polacy, znalazłszy się w krajach „egzotycznych”, starali się tam koniecznie być pożytecznymi. Jan Dybowski był organizatorem gospodarstwa rolniczego w Algierii, Marian Raciborski ocalił od ruiny

plantatorstwo trzciny cukrowej na Jawie, Danysz opanował plagę królików w Australii. Dodajmy mimochodem, że P. E. Strzelecki, uczony europejskiej sławy, któremu stawiano „pomniki geograficzne” (używszy nazwiska jego na nazwy geograficzne), którego w Anglii zasypywano odznaczeniami (nawet doktoratem honorowym w Oxfordzie), zasłynął nie tylko ze swoich odkryć i prac naukowych, nie tylko z tego, że pierwszy stwierdził wartość australijskiej krainy stepowej dla rolnictwa i hodowli bydła, że pierwszy znalazł tam złoto, ale „gdy wrócił do Anglii, wśród licznych dzieł humanitarnych wsławił się najbardziej tłumieniem klęsk głodowych nieszczęsnej Irlandii, zwłaszcza w latach 1846-49, przy zastosowaniu całej swej bogatej wiedzy agronomicznej i szerokich życiowych doświadczeń”.

Oto typowe fakty, wynikające konsekwentnie z polskich pojęć o stosunku do słabszych. Ma się względem nich obowiązki.

Świadomość tego jest w Polsce tak powszechną, iż obowiązkowości w tej dziedzinie propagować nie trzeba, lecz zapobiegać, by się nie wyrodziła w doktrynerstwo. Wszakże dochodzi do tego, iż niektórzy mniemają, jakoby obowiązkiem naszym było dbać o wzmocnienie słabszych nawet w takim razie, gdy nabyte przez nich siły miałyby się przeciwko Polsce zwrócić! Są Polacy, gotowi każdej chwili krzywdzić Polskę, z obawy, żeby nie skrzywdzić kogo innego...

Nie jesteśmy dla słabszych niebezpieczni. To dobrze. Ale strzec się trzeba, żeby się to nie stało naszą słabością.

CZEŚĆ IV. WYNIKI DOCIEKAŃ I WNIOSKOWAŃ.

Rozdział XI. Najwyższy regulator historii.

1. Jedność cywilizacyjna.

Pod rozmaitymi kątami widzenia przepasywaliśmy cechy polskości i wartość jej, ażeby móc określić znaczenie Polski i na tej podstawie snuć wnioski o jej celu. Przenosi nas to myślą z przeszłości w przyszłość, gdyż o ile znaczenie ujęte jest w; sumie z rachunków przeszłości, o tyle cel stanowi kategorię przyszłości, tam dopiero ziszczalny. Wszak nie zechce nikt twierdzić, żeśmy już osiągnęli cel ostateczny przez powrót do niepodległości, i odtąd nie mamy nic do roboty, jak tylko utrzymać ją; w takim bowiem razie byłibyśmy społeczeństwem podrzędnym, cywilizacyjnie biernym, ograniczającym się do walki o byt. Ponieważ starania o utrzymanie życia można ograniczać do minimum, do samej konieczności, niepodległość tedy niepodległości nierówna; gdyby chodziło tylko o to, żeby posiadać trochę własnego wojska i własne urzędy w obrębie jakich takich granic, moglibyśmy ręce założyć, niewiele mając kłopotów i roboty; ale po pewnym czasie okazałoby się, że taka niepodległość krucha, a znaczenie nasze w Europie równałoby się zeru. Przy ograniczonej dbałości o niepodległość niedaleko dałoby się spoglądać w przyszłość; lepiej wciągnąć w tę dbałość wszelkie względy, nie unikając żadnego trudu, a za nieograniczoność wysiłków móc patrzeć w przyszłość bez ograniczenia. Utwierdzenie niepodległości zależy od wszechstronnego jej obwarowania, daleko poza i ponad minimum konieczności danej chwili.

Bierzemy więc na się brzemień historyzmu i pragniemy przyszłości, która by była godną świetlanych momentów przeszłości narodowej. Chcemy również wysoko wspiąć się w przyszłość, jak głęboko tkwimy w przeszłości. Wymaga to pracy pokoleń, która potrzebuje ciągłości, ażeby była skuteczną. Jeden tylko jest sposób, by utrzymać poprzez pokolenia ciągłość uczuć, myśli, czynów: nieustanna świadomość i miłość celu.

Taki tylko naród może udoskonalać coraz bardziej warunki, swej niepodległości, który ma przed sobą cel wytknięty. Spoza walki o byt pochodzą owe najwyższe siły, które

w rezultacie samą walkę o byt czynią łatwą.

Ażeby ogół to zrozumiał, trzeba osiągnąć wysoką przeciętną kultury umysłowej, ażeby twórczość miała pod sobą piedestał mocny rzeczywistości do oparcia się; mogąc dzięki temu szybować bezpiecznie w dziedzinę dalekich zamiarów, by z bezpiecznej teraźniejszości w przyszłość się wzmocnić mocą konsekwentnej rachuby, bez doktrynerstwa i utopii. Pielęgnując tedy podkład ludowy w ten sposób, iżby uzupełniał się z historyzmem, opracowując i wyzyskując dary przyrody, wprowadzając je w polski handel i przemysł, podnosząc z całych sił oświatę, i to z tym zastrzeżeniem, by się nam nigdy stan jej nie wydawał dostatecznym, ani nawet w takim pokoleniu, które by zrównało się pod tym względem z najszcześniejszymi narody, ćwicząc twórczość polską na artystycznej i naukowej zdatności, by wysubtelnionym umysłem tym wyższą wytworzyć kulturę czynu i użyć jej do twórczości politycznej, spieszmy ku pełni kultury narodowej, byśmy własnymi zdobyczami kulturalnymi zaspokoić mogli jak najliczniejsze oby wymagania kulturalne. Wydoskonalmy polskość, a państwo polskie będzie silnym proporcjonalnie do tego wydoskonalenia.

Byłoby to proporcją pomiędzy Logosem a Ethosem, opartą na stosunku prostym: im wyżej wzniesie się Logos, tym więcej zdziała Ethos. Tak atoli nie jest, bo Ethos nie we wszystkim zawisł jest od Logosu, lecz może nawet rozwijać się wbrew niemu. Była już kilka razy w ciągu tego dziełka sposobność zaznaczenia, jako pomiędzy Logosem a Ethosem panować może dysharmonia, rozłam nawet zupełny. Zharmonizowanie obydwóch kategorii bytu stanowi dążność bytu i warunek rozwoju bytu, warunek nieodzowny; skoro jednak musi się do tego dążyć, więc nie istnieje to samo z siebie; istnieje brak harmonii zbyt często.

O ile panować będzie w Polsce harmonia pomiędzy Logosem a Ethosem, o tyle samo wydoskonalenie polskości zwiększałoby siłę państwową. Zagadnienie nabiera tedy formy nowej: jak dojść do tej harmonii, którędy do niej droga? Tamtędy zarazem droga do siły.

Wchodzimy na ślady najwyższego regulatora bytu, od życia indywidualnego

poczynając, aż do najzawilszych pochodów dziejowych. Dotychczas poznawaliśmy czynniki, z których każdy z osobna stanowi! przyczynek do poruszanej tu kwestii, lecz żaden o niej nie rozstrzyga; teraz pragnęlibyśmy posunąć się o krok dalej, ku jakiejś syntezie rozważanych dotychczas składników.

Zreasumujmy je przede wszystkim:

Przy badaniu jakiegokolwiek przedmiotu zdawać sobie należy sprawę z tego, czy bada go się abstrakcyjnie, w oderwaniu od związku z innymi przedmiotami, czy też wciąga się i ten związek w zakres badań. Łączność zaś z innymi przedmiotami zależy od równorzędności lub nierównorzędności z niemi, zwłaszcza zaś od tego, czy nie zachodzi stosunek części do całości. Nam tu chodzi o znaczenie i cel Polski w obrębie cywilizacji łacińskiej, w stosunku do Europy; zachodzi tedy właśnie taki stosunek, bo zastanawiamy się nad Polską jako częścią Europy.

Stosunek części do całości może być sztuczny, przygodny lub organiczny. Może coś stać się przygodnie częścią większej całości, jak np. ziemie polskie stanów iły części państw rozbiorowych; w takim razie zerwanie łączności nie tylko nie zmienia niczego w istocie przedmiotu, lecz uwydatnia tym lepiej jego właściwości. Polska np. nie tylko nic nie straciła ze swych właściwości na zerwaniu łączności z zaborcami, lecz stała się sobą przez to zerwanie dopiero. Jeżeli jednak zachodzi stosunek organiczny, wynikający z sumy rozwoju ewolucyjnego, natenczas zerwanie go uderza w samą istotę przedmiotu. Czyż można sobie wyobrazić rozwój polskości poza cywilizacją zachodnio-europejską? Spróbowaliśmy tego raz w okresie saskim, a skutki starczą chyba na nauczkę raz na zawsze. Zerwaliśmy bowiem wówczas związek, który był organicznym, nieodłącznym od samego istnienia Polski; poderwaliśmy same korzenie bytu Ojczyzny, ignorując łączność jej ze światem zachodnio-europejskim.

Taki związek staje się jedną z cech istotnych przedmiotu. tj. cechą, bez której przedmiot przestałby być sam sobą. Stanowi dalszą, trzecią kategorię jego bytu, obok kultury umysłowej i twórczości, jeżeli chodzi o przedmiot z dziedziny świata duchowego, w jakim w tym dziełku wyłącznie obracamy się. Począwszy bowiem od bytu jednostki, aż do losów historycznych narodu, zawsze będziemy mieli jednako do czynienia z lenn

trzema kategoriami wszelkich możliwych kombinacji życiowych. Dlatego też należało po roztrząśnięciu sześciu warunków kultury umysłowej, po zbadaniu objawów trojkiej twórczości, zastanowić się jeszcze nad rodzajem i stopniem powszechności sprawy polskiej, tj. nad Polską, rozważaną jako część większej owej całości, do której przynależy. Teraz dopiero, dokonawszy tego, dochodzimy do załatwienia się z naszą analizą i możemy przejść do syntetycznej części rozważań niniejszych.

Zważmy, jak to znaczenie każdego człowieka zależy od stopnia jego kultury umysłowej, od rodzaju jego twórczości i od stanowiska jego w społeczeństwie. Bywają Indzie pozbawieni całkowicie twórczości, a jednak pełni znaczenia, gdyż odznaczający się wysoką kulturą umysłową i zajmujący wysokie stanowisko, posiadający wybitne stosunki. Znamy ludzi o wcale wątpliwej kulturze umysłowej, ale pełnych twórczości i zajmujących skutkiem tego niemałe stanowisko wobec ogółu społeczeństwa. Zdarza się jednak, że wybitna zdolność twórcza nie zajmie wybitnego stanowiska, tj. nie wywrze odpowiedniego wpływu na społeczeństwo, chociaż towarzyszy jej wybredna i obfita kultura umysłowa; znaczy to, że jednostka taka nie znalazła się w odpowiednio ścisłej łączności ze zwojem społeczeństwem, czy to ignorując je, czy też w danym razie wyprzedzając, i skutkiem tego nie mogąc liczyć na zrozumienie; czy też, że jednostka owa rozwijała się sama poza kołem rozwoju własnego społeczeństwa, znalazłszy się w następstwie tego na linii odśrodkowej wobec niego.

Z przykładów powyższych wynika, że decydujące znaczenie posiada przede wszystkim kategoria trzecia; przede wszystkim ma się pozostawać w ścisłym stosunku do ogółu, jeżeli się ma coś znaczyć w nim i dla niego. A czyż nie bywają wypadki, że ktoś znaczy wiele, chociaż o twórczość nikt go nie posądza, a z kulturą umysłową słabo u niego, lecz że umiał urządzić sobie dogodnie swój stosunek do społeczeństwa? Intruz taki pospolitym staje się w naszych czasach zjawiskiem z powodu ogromnego osłabienia opinii publicznej (czego przyczyną zajmiemy się niżej) – i cała pociecha w tym, że znaczenie jego krótkotrwałe, że nie pozostawia on żadnych trwałych śladów swego istnienia.

I w życiu zbiorowym mają znaczenie powyższe prawidła. Na nic wszystkie warunki

znaczenia w polityce, jeżeli szwankuje stosunek do ogółu, choćby dlatego jedynie szwankował, że urządzony niepraktycznie. A tyczy to nie tylko jednostek wobec grupy społecznej czy całego społeczeństwa, lecz również na widowni powszechno-dziejowej narodu wobec ogółu narodów danego ugrupowania cywilizacyjnego.

Znaczenie tedy Polski wobec Europy zależy również nie tylko od naszej kultury umysłowej i twórczości naszej, lecz niemniej, a częstokroć może bardziej od szczęśliwie lub nieszczęśliwie ułożonego stosunku Polski do Europy, zwłaszcza do zachodniej Europy, której część stanowimy cywilizacyjnie.

Traktując sprawę, ze stanowiska przeszłości, znaczenie nasze dla innych społeczeństw cywilizacji zachodnio-europejskiej i dla ogólnego ich zespołu jest niejasne, zmacone pewnymi wątpliwościami, gdyż nie zawsze my należeliśmy do tego zespołu; niestety, w przynależności naszej historycznej do cywilizacji tej jest przerwa. Kiedy odradzaliśmy się w czasach od Konarskiego do Kościuszki, działały w Europie skutki poprzedniego odgrodzenia się od niej: Europa niewiele o nas wiedziała, niewiele się o nas troszczyła. Byliśmy na zewnątrz Europy niejako, poza nią – tragicznym splotem okoliczności wtedy właśnie, kiedy najmocniej zależało nam na tym, by związek nasz stał się z Zachodem jak najściślejszym. Apelowaliśmy do Europy, której byliśmy obcymi, a obcymi staliwny się z winy własnej, boć nie Europa z nami zerwała związek, lecz my z nią zerwaliśmy wszelką łączność naukową, ekonomiczną, literacką- i polityczną. Czy dużo Europejczyka było w sejmikowym szlachcicu okresu saskiego?

Siła bezwładności miewa! czasem znaczenie czegoś okrutnego. Bywa tak, że już posiadamy świadomość niebezpieczeństwa, i już zarządzamy środki obrony, ale one nie mogą działać, aż dopiero gdy przestanie działać siła bezwładności, jako niezwalczalny ciąg dalszy tego właśnie, co zwalczyć pragniemy. Oto woźnica spostrzegł już przeszkodę i już wymija, ale o jakąś część sekundy za późno – i wóz rozbija się skutkiem działania siły bezwładności. Wszelka poprawa poczyna wydawać owoce dopiero po przetrwaniu czasu siły bezwładności poprzedniego zła, jako też wzajem skutki psucia następują aż dopiero po zwłóce wynikłej z działania siły bezwładności poprzedniego dobra. Tak my długo w okresie saskim korzystaliśmy z zapasów poprzednich pokoleń i nie rozbił się wóz

naszej państwowości, chociaż tyle niebezpieczeństw mu groziło, ale też ulegliśmy sile bezwładności i spełnił się na nas wyrok za czasy saskie wtedy, gdyś- my się wyrzekli ich błędów. Wymazano nasze państwo z mapy europejskiej wtedy, gdy na nowo europejskim stawało się – i to jak europejskim! Ale też działała potem znów siła bezwładności od Trzeciego Maja i stawaliśmy się na nowo Europejczykami wbrew nawet wykluczeniu nas z politycznego koła, europejskiego. Kwestia polska od czasu wojny sukcesyjnej polskiej (1733 do 1735) ważyła coraz mniej w Europie, chociaż istniało jeszcze państwo polskie, a zaciążyła za to potężnie na wszystkich kombinacjach polityki europejskiej po rozbiorach. Za naszych czasów ileż namozolono się w całej Europie, by wymazać sprawę polską z europejskiej widowni, a jednak nie dało się to zrobić, bo siła bezwładności okresu, w którym sami z Europy się wykluczaliśmy, przestała już dawno działać, a działały coraz silniej czynniki, decydujące o naszej łączności z Europą, czynniki w nas samych biorące początek.

Bądź co bądź, cokolwiek raz się stało, staje się czynnikiem wszelkich następnych wydarzeń. Gdyby nie zerwanie z Europą w czasach „popuszczania pasa”, nie byłoby rozbiorów...

Ponad kulturę umysłową i twórczość stawiać tedy należy nam ukształtowanie naszego stosunku do Europy, gdyż od tego zawisło przede wszystkim nasze znaczenie na europejskiej arenie. Np. Czechom udało się urządzić pomyślnie tę stronę sprawy czeskiej, i byliśmy wszyscy świadkami, jak wychodziło im to na dobre bardziej, niż gdyby okazali byli wysoki stopień twórczości. Wygrali nawet na takich kartach, na które nie stawiali, ponieważ okazali się silnymi w urzędzeniu stosunku swej części do całości, gdy tymczasem my bardzo a bardzo zaniedbaliśmy się pod tym względem. Wszak były momenty, iż wolno było mieć wątpliwości, czy Polska trzyma z zachodnią Europą, czy nie zachce powtórzyć eksperymentu odłączenia się od niej.

Utraciliśmy łączność z Zachodem skutkiem niefortunnych dążeń do syntezy Zachodu ze Wschodem; utraciliśmy niepodległość z tej przyczyny. Wniosek na dziś i jutro jasny;

Zarzeknijmy się wszelkiej syntezy ze Wschodem, jeżeli chcemy posiadać jakieś

znaczenie w Europie i dla Europy.

Wznowione eksperymenty „syntetyczne” wiodłyby znów do akulturalności, bo to było zawsze a zawsze stałem następstwem wszystkich prób syntezy owej niemożliwej, zasadniczo niemożliwej. Obniżyłyby się poziom naszej kultury, a zatem upadłaby kultura umysłowa i wyjąłoby się twórczość. W następstwie błędu w zakresie trzeciej kategorii naszego bytu (co do stosunku części do całości), zachwiałyby się i tamte dwie kategorie. Albo i musimy stać się pewnymi, niewątpliwymi członkami cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej i żadnej a żadnej innej, albo nie ma dla nas miejsca w żywym ciele tej organizacji społeczeństw, a do jakiejż innej mamy się przyłączać?

Stosunki nasze do Wschodu nie mogą się żadną miarą układać kosztem choćby najmniejszego ustępstwa z istoty naszej kultury. Pod żadnym warunkiem nie możemy zbliżyć się cywilizacyjnie do Wschodu. Musimy pozostać od niego odgradzeni naszą kulturą, chociaż będziemy nieustannie mieli z nim do czynienia ekonomicznie i politycznie.

Im mocniej będziemy od Wschodu odgradzeni cywilizacyjnie, tym większe prawdopodobieństwo, że Wschód stopniowo będzie zarzucał swą cywilizację, a przyjmował natomiast łacińską za pośrednictwem kultury polskiej. Czyli: nie ma lepszego sposobu na polską ekspansję kulturalną, jak stać twardo i bez najmniejszych ustępstw przy cywilizacji łacińskiej. Inaczej moglibyśmy doprowadzić w Eurazji do powstania jakiejś cudacznej kultury turańsko-polskiej, w której polskość uległaby... wyparowaniu.

Lepiej sprawę tę ująć ostro, póki czas. Może spotka mię zarzut, że popadł w przesadę... Ale widzę dokoła siebie zapędy doktrynerskie w tę przepaść. Działa czar słowa. Dokonać „syntezy Zachodu i Wschodu!” Powstaje w umysłach pokusa nie lada. Powstają wyobrażenia mocy jakiejś niebywałej, jakiegoś uniwersalizmu historycznego. Tylko znawcy wiedzą, że to bańki mydlane; niechże zawczasu ostrzegają w głos: ani źdźbła ze spójni cywilizacyjnej z Zachodem nie wolno uronić, bo inaczej można stracić wszystko ponownie.

Frazesy posiadają wielką moc wszędzie, a cóż dziwnego, że piękne w yrażenia posiadają jeszcze większe wpływy w narodzie, który poezji i literaturze zawdzięcza tyle

dobrego? Ogólniki przyjmują się częstokroć bez zastanowienia, wbrew nawet elementarnym zasadom logiki. Tysiące Polaków, posiadających wykształcenie książkowe, gotowi przysięgać, jako dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu stanowi „wzniosłą misję dziejową Polski”. A tymczasem misja nasza wręcz przeciwna: świecić dobrym a wyrazistym przykładem sąsiedniemu Wschodowi, ażeby zapragnął przyswoić sobie cywilizację zachodnią. Nie mącenie kultur, lecz prosta ekspansja kulturalna misją naszą.

Taka ekspansja dokonuje się wyłącznie tylko działaniem przykładu. Panowanie polityczne, aneksja, rozszerzanie granic, federacja, unia itp. wszelkim słowem utwierdzanie wpływów politycznych w jakikolwiek sposób, od najgrubszych form aż do najidealniejszych włącznie, nie ma tu nic do rzeczy. Państwowość a granice kulturalne – to zgoła nie to samo, i jedno do drugiego nie ma nic. Kultura przenika granice państwowe z największą łatwością, skoro tylko znajdzie inne do tego warunki. Jeżeli nie istnieją warunki ekspansji kulturalnej li tylko drogą dawania przykładu, nie zdadzą się na nic żadne inne zabiegi. Polityka pod pozorem misji cywilizacyjnej – to absurd. Nie mieszajmy jednego z drugim, niech każde idzie swoim torem.

Najtrwalsze są te rzeczy, które robią się niejako same przez się. Co ma stanowić trwale dobro życia, nie da się osiągnąć sztucznie; a co gorsza, twór sztuczny, choćby tworzony z zapalenia, rozsypie się stosunkowo bardzo szybko w gruzy, zalegające potem gromadnie drogę rozwoju i opóźniające pochód sprawy.

Kultura nasza będzie działała ekspansyjnie, jeżeli pośród ościennych znajdą się stosowne do tego warunki, których my i tak przecież nie wytworzymy u nich w sposób sztuczny, ani nawet w takim razie, choćbyśmy nad nimi panowali bezpośrednio; ta część sprawy nie będzie nigdy zależną od nas, lecz będzie stanowiła wobec nas nieprzepartą vim majorem, na którą nie ma innej rady, jak... Uczyć się z nią.

Ale jest druga strona przedmiotu: Choćby stosunki pośród ościennych układały się jak najpomyślniej dla polskiej ekspansji kulturalnej, na nic te warunki, jeżeli siła promieniowania naszej kultury nie będzie dostatecznie wielką. A to jest siła czysto wewnętrzna tylko, której nie wytworzą żadne zabiegi polityczne. Choćby polityka spała, ekspansja musi nastąpić, jeżeli się znajdzie odpowiednia siła promieniowania. W ten

sposób spolszczyła się Litwa wtedy, kiedy polska polityka była zupełnie bezsilna, po rozbiorach; zwracałem już na to uwagę powyżej. Chociażby bowiem stosunki układały się jak najniepomyślniej, ekspansja kulturalna powstrzymać się nie da, jeżeli zachodzi odpowiednia siła promieniowania w stosunku do odpowiedniego zapotrzebowania wpływów kulturalnych i podatność ich przyjmowania.

Warunki promieniowania nie są wiadome ni w materialnym świecie, ni w duchowym; jedno atoli nie ulega wątpliwości, że im więcej kultury, tym silniejsze jej promieniowanie. Można porównać to z eksportem. Zdarza się, się eksportuje towar, którego samemu nie ma się nazbyt, ale i wtedy reguła jest, że eksportuje się czegoś tym więcej, im więcej się tego posiada, choćby jeszcze w ilości niedostatecznej. Eksport materialny może być sztuczny, wywołany jakimiś szczególnymi stosunkami i względami; wywozi się zagranicę pewien towar, choć go się nie posiada zbyt wiele, w zamian za drugi, potrzebniejszy, a którego posiada się mniej jeszcze. W eksporcie duchowym to niemożliwe. Promieniuje na zewnątrz to, co dość jest silne, aby promieniować.

Ale wystarczy zdać sobie sprawę z najelementarniejszego pewnika, że nie można eksportować tego, czego się samemu nie posiada; nie może promieniować, co nie mieści się w danej kulturze. Promieniowanie zawsze jest nierozzerwalnie od stanu kultury, mającej promieniować. Jedyne a niezawodne sposoby na ekspansję kulturalną jest: posiadać samemu kultury jak najwięcej.

Na nic wszelkie starania o to, by kultura polska udzielała się ościennym. Szkoda czasu, na zabiegi o to. Nie trzeba żadnych specjalnych zabiegów! Komu ta sprawa leży na sercu, niechby wbił sobie w pamięć jedyny sposób na ekspansję polskości: starać się o to, by polskość była mocną wśród Polaków. Im silniejszą, głębszą i wszechstronniejszą będzie kultura pośród Kujaw, na Mazowszu czy Śląsku, w Krakowskiem, czy w Wileńszczyźnie (która jest ziemią etnograficznie polską), tym silniej będzie się udzielała poza kresy. Bezpośrednie zabiegi o ekspansję kultury są prostą stratą czasu i energii. Pracujmy z całych sił pomiędzy rodakami i tylko pomiędzy nimi, a gdy praca ta będzie skuteczną, przy pewnym stopniu wzmocnienia kultury narodowej znajdzie się sam od siebie pewien stopień promieniowania.

Obszar kultury polskiej byłby bez porównania większy, gdyby nie to, że w samej Polsce kultura ta okazuje dużo jeszcze miejsc słabych.

Oto drugie znowu ujęcie stosunku do większej od Polski całości, z którą pozostajemy w stosunkach. Otaczający nas świat dzieli się na dwie grupy cywilizacyjne: swoją i obcą, tj. łacińską i wszelką inną cywilizację. Obstawiając bez zastrzeżeń przy łacińskiej, musimy ją w samych sobie pogłębić i wzmocnić tak, iżby mogła promieniować z ognisk polskich na niepolskie, tak łacińskie, równomierne z nami, lecz słabsze, jako też na nierównomierne, na niełacińskie. rugując stamtąd cywilizacje inne. Z tego bowiem zdawać sobie trzeba sprawę, że musi następować proste rugowanie, a nie mieszanie cywilizacji, nie nadających się do syntezy. Im bardziej zaś promieniowanie kultury polskiej mieści w sobie wyrok zagłady na cywilizację turańską i żydowską, tym bardziej unikać trzeba wszelkiego pozoru, jakobyśmy czynili o to starania – i tak niepotrzebne. Kultury się nie narzuca.

Wydoskonalenie polskości pociągnie za sobą automatycznie następstwa kulturalne na zewnątrz i polityczne. Wydoskonalenie to zaś polega na dalszym kształceniu kultury polskiej na tle wyłączności najzupełniejszej cywilizacji zachodnio-europejskiej, nie dopuszczającej innych wpływów cywilizacyjnych. Poucza nas bowiem historia, jako nie można próbować syntez z żadną z otaczających nas cywilizacji obcych, z niczym orientalnym.

Wynik tych spostrzeżeń stanowczy: wydoskonalenie polskości może nastąpić tylko na tle cywilizacji łacińskiej. Tylko pod warunkiem wyłącznego przejęcia się tą cywilizacją da się obwarować należycie niepodległość Polski. Zharmonizowanie polskiego Logosu i Ethosu dokonany być może wyłącznie tylko w obrębie tejże cywilizacji.

Zharmonizowanie to stanowi szczyt pracy duchowej społeczeństwa. Rzecz prosta, że dokonywać się ono może w ogóle nie tylko u Polaków, lecz u kogokolwiek tylko na tle jednej i tej samej cywilizacji. Cóżby to było, gdyby Logos pewnego społeczeństwa należał do jednej cywilizacji, a Ethos do drugiej? Tak -właśnie zdarzyło się w Rosji XIX stulecia, czerpiącej Logos obficie z zachodniej Europy, podczas gdy Ethos trwało w turańszczyźnie; to też przekazała ta mieszanina wiekowi XX. rozpasanie Ethosu i zanik Logosu.

Jednolitość cywilizacyjna jedyną drogą do rozwoju kultury i państwa kulturalnego. Nie można być cywilizowanym na dwa sposoby.

Co nie jest cywilizacyjnie jednolitym, to jest bez znaczenia dla postępu historycznego, i mieści w sobie, zarodek śmierci.

Wszystkie sześć kategorii kultury umysłowej i wszystkie trzy dziedziny twórczości kwitnąć mogą tylko na tle jednolitości cywilizacyjnej. W niej tajemnica silnych narodów. Tędy droga do siły prawdziwej, tj. wytrzymującej napór czasu. Siła narodowa musi być silniejszą od czasu, by starczyć potomnym. Będzie tym znaczniejszą, im na szerszej i głębszej oprze się podstawie. Jednolitość cywilizacji stanowi o pogłębieniu Logosu, o celowości zgodnego z nim Ethosu; a im wyżej wzniesie się Logos, tym dłuższą przyszłość obejmie Ethos, bo tym więcej mając do wykonania- spraw w sobie jednolitych, jednakowym tokiem myśli posiłkować się musi, oparte o długotrwałość uznawania pewnych jednolitych pojęć. Siła narodowa na tym dłuższe starczy czasy, im więcej zgodności w rozmaitych objawach życia zbiorowego, im więcej współmierności pomiędzy prawem prywatnym a publicznym, i harmonii społeczeństwa z państwem.

Życie zbiorowe społeczeństwa cywilizowanego musi być obliczone na daleką metę, oparte o program działań na całe pokolenia. W cywilizacji łacińskiej, gdzie jednostkami względem jej całości są narody, zasadniczym warunkiem wszelkiego postępu jest spopularyzowanie ideału narodowego. Tam tylko sięga nasza cywilizacja, gdzie ludy przemieniają się w narody. Wymaga to mozołu całych wieków za pomocą kultury umysłowej, która sama potrzebuje dłuższego) okresu, by dojrzeć i rozpowszechnić się. O ile postęp moralny, etyczny może w wyjątkowych razach być nagłym (tzw. cudowne nawrócenia, momentalna poprawa), o tyle postęp umysłowy wyjątków takich zgołą nie zna i musi odbywać się stopniowo, z czasem się licząc.

Długa praca nad kulturą umysłową ludu, by go zamieniać w naród, musi obejmować wszystkie sześć kategorii tej dziedziny. Czyż mogłaby być skuteczną, gdyby np. szerzyć oświatę według pojęć zachodnio-europejskich, a dobrobytu dorabiać się według zasad i pojęć cywilizacji żydowskiej, ludowość zaś organizować według wymogów turańskich? Taka metoda prowadziłaby do straszliwego rozstroju społeczeństwa, a w

następstwie do upadku państwa. Tylko jednolitość cywilizacyjna zapewnia skuteczność zabiegów około kultury umysłowej. Jakżeż można by też wytwarzać w ludzie ideał narodowy na podstawie pojęć żydowskich lub turańskich, skoro w cywilizacjach tych nie ma całkiem pojęcia narodowości? Wszystko tedy, cokolwiek podejmuje się na obszarach cywilizacji łacińskiej w niezgodzie z jej pojęciami, jest w najlepszym razie straconym zachodem, o ile nie jest działaniem wręcz szkodliwym.

Im zupełniejszą jest cywilizacja w danym swym stanie, tym dłuższego wymaga czasu na wykonanie wszystkiego tego, co uważa za wskazane, bo tym więcej dziedzin życia pragnie doskonalić, wprowadzając przy tym w społeczeństwo coraz więcej różniczkowania. Im głębszą zaś jest cywilizacja, tym, bardziej zmierza do zmian dla udoskonalania życia zbiorowego, tym mniej skłonna jest uważać coś za wykończone, za niepotrzebujące już ulepszeń.

Wykończonym może być tylko coś, co rozwinąwszy się do pewnego stopnia, dalszego rozwoju już nie potrzebuje. Tak np. wykończone mogą być dzieła sztuki, lecz nigdy sztuka sama. Cokolwiek stanowi część życia zbiorowego, w cywilizacji łacińskiej nie może być uważanym nigdy za, wykończone. Jest to cechą tej cywilizacji, że jej życie zbiorowe, w przeciwieństwie do prywatnego, nie widzi przed sobą końca rozwoju. Może być doprowadzony do doskonałości „życie człowieka pocziwego”, iż nie można by go sobie wyobrazić lepszym w danym pokoleniu; gdyby atoli społeczeństwo jakie uznało się za doskonałe, zastój byłby nieuchronnym skutkiem tego. Tu napotykamy na zasadniczą różnicę etyki życia prywatnego a publicznego: O ile obowiązkiem człowieka prywatnego, w życiu indywidualnym, jest pamiętać o przyrodzonym końcu swoim, o „rzeczach ostatecznych”, o tyle obywatel przeciwnie, ma się zachowywać wobec społeczeństwa i państwa, jakoby wobec związków wiecznotrwałych. Człowiek jest śmiertelny, ale obywatel nie. A skoro obywatel winien postępować, jakby miał żyć wiecznie, skoro działalność jego ma być oparta na obcowaniu pokoleń, im na dłuższy obliczona czas, tym bardziej wystąpi w niej na jaw rozdzwięk pojęć, gdy nie przestrzega się jednolitości cywilizacyjnej. Linie rozbieżne rozbiegają się tym bardziej, im dłuższe. Im śmielsze przedsięwzięcia kulturalne, tym bardziej pomyślność ich zawisła od zharmonizowania

pojęć, a zatem tym bardziej stają się niewykonalnymi poza jednolitością cywilizacyjną.

Życie zbiorowe wymaga organizacji. Zdolność organizacyjna jest zdolnością zdolności, stanowi amulet powodzenia. Czyż można organizować się równocześnie według rozmaitych zasad, rozmaitych metod? Gdzie tedy zachodzi niejednolitość cywilizacyjna, tam zmysł organizacyjny wykształcić się nie da, a skutkiem tego nie ma tam zgoła pola do rozwoju życia zbiorowego. Chwila zastanowienia nad tym starczy, by ujrzeć całą niemożliwość nadania społeczeństwu jakiejś zwartości, a państwu siły, jeżeli się grzeszy przeciw jednolitości cywilizacyjnej. Jeżeli jednostka nie może być cywilizowaną na dwa sposoby, toć tym bardziej państwo. Każda bowiem cywilizacja ma swoją odrębną metodę organizacyjną. Inaczej organizuje się Turańczyk, inaczej Żyd, a inaczej zgoła Francuz lub jakikolwiek inny naród cywilizacji łacińskiej; odmiennie Niemiec, dotknięty cywilizacją bizantyńską, odmiennie zaś rodak jego z południa.

Zdolność organizacyjna jest jakoby polityką każdej sprawy, w całości też do Ethosu należy, stanowiąc najwyrazistszy jego wykładnik. Po stopniu zmysłu organizacyjnego poznajemy stopień zdadności politycznej, stopień Ethosu. Organizacja stanowi o wykonalności i skuteczności czynu.

Nastąpiłby przeto rozłam cywilizacyjny i cofanie się społeczeństwa do rzędu prymitywnej społeczności; gdyby organizacja dokonywała się na podstawie innej cywilizacji, niż samo życie. Podziwu godne jest wspaniałe Ethos wielkopolskie, ale też tam najmniej z całej Polski... kompromisów cywilizacyjnych.

Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna nie celowała nigdy siłą, i w zetknięciu z innymi rzadko wytrzymała napór. Słabość stosunkowa Ethosu zdaje się być cechą tej cywilizacji. Z przodownictwa Logosu płyną jej zalety wybitne, a że obok zalet muszą być wady, i to tym bardziej, im wybitniejsze zalety, z zapewnionego Logosowi pierwszeństwa wyniknęło wadliwe zaniedbanie Ethosu, częściowe lekceważenie go, aż doszło do tego, iż Ethos naszej cywilizacji stanowczo jest za słabe, za mało rozwinięte, ażeby utrzymać w normalnym rozwoju wszystkie cenne zdobycze rozrośniętego Logosu. Narody cywilizacji łacińskiej będą musiały stanowczo dbać bardziej, niż dotychczas, o kształcenie woli, jeżeli cywilizacja nasza ma być ochroniona od zagrażającego jej osłabienia.

Upadek cywilizacji może bowiem pochodzić nie tylko z upadku jej treści, z upadku Logosu, lecz również z upadku Ethosu, choćby Logos ciągle stał jak najwyżej. Można mieć wiele w duszy; i ze skarbami tymi zginąć, gdy brak sił do istnienia. Może Logos philosophari ale bezskutecznie, jeżeli Ethosowi nie uda się vivere. Na upadek skazana jest cywilizacja, w której szwankuje organizacja lub dobrobyt, chociażby duchowo cywilizacja ta wznosiła się coraz wyżej. Nie uwzględniają tego historycy, że dłuższy rozwój samego tylko Logosu bez równoczesnego rozwoju Ethosu kryje w sobie zawsze niebezpieczeństwo dla samego bytu. Ethos nie śmie być zacofanym wobec Logosu, bo inaczej i Logos przepadnie. Logos ma tylko o krok kroczyć przed Ethosm, ale Ethos ma ciągle za Logosem kroczyć, nie ustając nigdy w swym rozwoju.

Zawsze Ethos cywilizacji azjatyckich przeważało nad zachodnio-europejskim, ale bo też w Azji Ethos posiadało i posiada stanowczą hegemonię nad Logosem; nic więc dziwnego, że w Azji więcej mieści się siły, niż w Europie. Ale nawet druga cywilizacja europejska, bizantyńska, okazywała się silniejszą od łacińskiej; w wiekach średnich poczynała ją wypierać nawet z krajów zachodnich, a potem kultura bizantyńsko-niemiecka i bizantyńsko-turecka omal nie zniszczyły łacińskich kultur w Europie. Za naszych dni cofa się cywilizacja nasza na każdym a każdym kroku przed żydowską i... nie jest bynajmniej ubezpieczona od upadku. Ethos nasze jakżeż mizerne wobec ich Ethosu!

Skutkiem nadwreżenia stosunku pomiędzy dwiema kategoriami człowieczeństwa słabnie nasza cywilizacja (któż tego nie widzi?) i dochodzi już nawet do początków rozłamu cywilizacyjnego, od którego wywodzi się potem w następstwach dalszych rozkład. Czuwajmy nad początkami rozłamu i usuwajmy zawczasu jego korzenie, żeby potomni nie musieli stać bezradnie wobec rozkładu, na który radzić byłoby za późno.

Doprawdy, nie musi Europa czekać najścia bolszewizmu, żeby doczekać się ruiny swej cywilizacji. To bowiem, co zgnębiło Rosję, rozłam cywilizacyjny, rozterka kultur – nie jest rosyjską wyłącznością. W stopniu początkowym można to obserwować w całej Europie jako nieporozumienia cywilizacyjne.

Czy ta nasza Europa ma prawo zaliczać się do chrześcijaństwa? Dużo w niej ducha

Chrystusowego? Równocześnie należy się obecnie do dwóch cywilizacyjnych obozów: do chrześcijańskiego i antychrześcijańskiego. Cudaczne połączenie etyki chrześcijańskiej w życiu małym, potocznym, z wyzbyciem się wszelkiej etyki w życiu wielkim, publicznym – to jest absurd, który sprowadzi! wojnę najstraszliwszą ze wszystkich, jakie wiadome są pamięci dziejów, a jeżeli potrwa jeszcze dłużej, sprowadzi ostateczną katastrofę na upierających się przy absurdzie.

Jak Rosja musi się przedtem zdecydować między turańskością a europejskością, zanim zdoła się odradzać i jeżeli ma w ogóle być czymś zdatnym do życia, podobnież Europa nie zakończy swych przesileń, lecz popadać będzie w coraz cięższe, dopóki też nie zdecyduje się i albo nie porzuci całkiem chrześcijaństwa i przyjmie jakąś nową cywilizację antychrześcijańską, albo też zaprowadzi chrześcijaństwo bezwzględnie, bez wyjątków, także w życiu publicznym. Tertium non datur. Jeżeli pierwsza z tych alternatyw jest tylko teoretyczną, w takim razie czekać nas może tylko przejście do stanu rozkładu.

Z losu Rosji niech czerpią naukę wszyscy.

Ethos czerpie znaczną część swej siły z etyki, która jest w każdej cywilizacji inną, odmienną. Uczciwym można być bezwarunkowo we wszystkich cywilizacjach, ale z niejednakową uczciwością. Kilka zaledwie prymitywnych uczciwości prawideł (nie kradnij, nie oszukuj itp.) stanowi wspólną dla wszystkich podstawę; ale w wyższym prześle etyki zachodzą różnice walne. Dlatego to w życiu prywatnym można stawiać najzupełniej na równi ludzi (uczciwych) z rozmaitych cywilizacji, ale w publicznym wychodzi na jaw cała nierówność. Np. nakaz islamu szerzenia wiary mieczem, a tolerowanie tego rodzaju nawracania w chrześcijaństwie zachodnim (Krzyżacy) do pewnego stopnia rozwoju; zasadnicza dopuszczalność tolerancji religijnej w cywilizacji łacińskiej, a również zasadnicza jej niedopuszczalność w bizantyńskiej, nie mówiąc już o muzułmańskiej. Nakaz w całym chrześcijaństwie, żeby za bliźnich uważać wszystkich ludzi, i ograniczenie tegoż pojęcia do współwyznawców w cywilizacji żydowskiej, a nawet u niektórych kierunków judaistycznych zakaz zachowywania etyki wobec „gojów”. W cywilizacji łacińskiej, nie tylko w katolicyzmie, nakaz wyznawania usque ad effusionem sanguinis, a w bogomilstwie bizantyńskim upoważnienie nie tylko do zatajania przekonañ

wyznaniowych, ale nawet do udawania, że się przynależy do wyznania, mającego za sobą władze rządowe.

Ile rodzajów etyki, tyleż Ethosu, które tylko w zgodzie z etyką zdoła wydać rezultaty znaczniejsze i trwalsze w życiu zbiorowym, bo tylko w zgodzie z pojęciami etycznymi zdoła zorganizować masy do czynu. Bez tego warunku nie ma budowy żadnej a żadnej cywilizacji; poza etyką może być tylko stan akulturalny, jak np. bolszewizm, dzicz. I ta dzicz musi przyjąć w końcu jakąś etykę, jeżeli ma się ustalić choćby w społeczność zdziczałą.

Od etyki zależy zapał, gorliwość, poświęcenie, wiara w dobroć, a choćby tylko we właściwość, w trafność czynu; a bez tych walorów nie da się zorganizować żadna społeczność; ani nawet hordy nie uda się utrzymać w gromadzie przez czas dłuższy bez tych przymiotów, choćby w najgrubszej postaci.

Nic może więc wykształcić się Ethos należycie tam, gdzie zachodzą dwie etyki i wzajemnie sobie zawadzają; dlatego to silne Ethos możebne jest tylko przy ścisłym, bez względnym przeprowadzeniu jednolitości cywilizacyjnej.

W wysubtelnionych stanach cywilizacyjnych motorem czynów bywa opinia publiczna. Widzimy wszyscy, jak ona słaba np. w Polsce, a jak osłabia się nawet tam, gdzie była najsilniejszą, w Anglii. Przyczyna nie w czym innym, jak w nieporozumieniach cywilizacyjnych, w nieścistościach etycznych, nieuniknionych, gdy się czerpie etykę to z tego, to z owego źródła... Jeszcze jedno pokolenie takiego liberalizmu etycznego, a zacznie się rozłamać cywilizacyjny na dobre.

Początki rozstroju cywilizacyjnego obserwować można w naszych czasach dokładniej na wahaniach, przez jakie przechodzi pojęcie własności.

Cywilizacja nasza oparta jest na własności osobistej, zwłaszcza na pełnej własności ziemskiej. Gdyby który z narodów europejskich wyzbył się ziemi, przestałby należeć do cywilizacji zachodnio-europejskiej. Tymczasowość osiedlenia, koczownictwo (choćby z całym komfortem) wyklucza samą nawet możliwość cywilizowania się po zachodnio-europejsku, a zdaje się, że cywilizacja bez własności, a nawet tylko z własnością niepełną, niemożliwa jest w ogóle na tle chrześcijańskim. Nasza cywilizacja i pod tym względem jest

chrześcijańsko-klasyczną, że jak rzymska obstaje przy własności, a klasyczną własnością jest dla niej własność ziemską, w ogóle pełna własność nieruchomości.

Zdatność do snucia wątku w obrębie tej cywilizacji musi przeto być proporcjonalna w stosunku prostym do uznawania takiej własności, do przywiązywania do niej wagi, a więc proporcjonalna do przywiązania do ziemi. Im bardziej nabiera własność ziemską *pretium affectionis*, tym głębsze korzenie cywilizacji łacińskiej; zlekceważenie tej własności podkopuje cywilizację.

Nas próbowano wyzuwać z ziemi nie. raz jeden. Wychodziły na polską własność ziemską zamachy ze strony kultury turańsko-słowiańskiej i bizantyńsko-niemieckiej, z Rosji i z Prus. Kontrybucja, konfiskaty, majoraty czynownicze, umyślne poplątanie własności służebnościami, a niedopuszczanie do komasacji – oto sztuczki rządu rosyjskiego. Systematyczniej brali się do rzeczy bizantyńcy berlińscy. Fryderyk II demokratą się zrobił, bo pozwalał nawet mieszczanom kupować ziemię, ale tylko od Polaków; kazał też wykupywać dobra dla skarbu państwowego od szlachty, ale tylko od polskiej. Por. 1830 Flotwell wyznaczył milion talarów na wykup dóbr polskich, ażeby odprzedawać je następnie Niemcom, lecz z zastrzeżeniem, że nie wolno odprzedawać ich dalej Polakowi. Odtąd robił rząd wszystko, co tylko było fizycznie w jego mocy, żeby uszczuplić polską własność. W r. 1886 należało do Polaków w Poznańskim 47,5 wielkiej własności ziemskiej, a w Prusach Królewskich tylko 26%. Do roku 1895 straciliśmy dalszych 60.000 ha, ale potem zmieniły się okoliczności. W latach 1896-1912 wynosiła nadwyżka po stronie polskiej 100.000 ha, tak iż był nawet zysk 40.000 ha, jakkolwiek ponieśliśmy mimo to znaczne straty narodowe, bo przybyło jednak kilkadziesiąt tysięcy ludności niemieckiej, dzięki osławionej komisji kolonizacyjnej. Ucisk pruski zaostrzał się coraz bardziej, aż w r. 1904 wyszły ustawy o wywłaszczeniu na cele owej komisji i zakaz nowych osiedli dla Polaków. A jednak miało się okazać, że w obrębie cywilizacji zachodniej idea, byle nie brak było poświęcenia, zwycięży zawsze nad brutalną przemocą, czczoną tak wysoko we wszystkich kulturach bizantyńskich – i ostatecznie żywioł polski wychodził z tej walki o ziemię wzmocniony i moralnie, i ekonomicznie.

Ta walka o ziemię, to nasza legitymacja cywilizacyjna. „Jest wiele w tysiącletnich

dziejach naszych równie chlubnych czynów, ale nie ma chlubniejszego. Przeprowadziliśmy tu bowiem dowód wysokiej wartości naszej jako narodu, jako typu społecznego i kulturalnego, wobec całego świata w warunkach tak trudnych, w jakich jeszcze żaden naród w historii świata go nie przeprowadził. Ma to znaczenie bezpośrednie dla nas jako tytuł do samodzielnego bytu, równego traktowania z innymi narodami, a także ma pierwszorzędne znaczenie ogólne dla socjologii i historii, a w następstwie i dla praktycznej polityki: uczy bowiem, co znaczy wola narodu kulturalnego i jak daleko sięga wola i przemoc państwa nowoczesnego”.

W ciężkiej walce o ziemię brał udział cały naród polski, a nie tylko zagrożona bezpośrednio warstwa ziemiańska; rozumieliśmy bowiem, że chodzi tu o interesy nie osobiste czyjeś, ani o wygodę pewnej grupy społecznej, lecz o dobro całego narodu. Interes jednej warstwy stał się zarazem interesem ogółu, interesem pierwszorzędny warstw wszystkich, i to we wszystkich prowincjach polskich, Nie było takiego Polaka, który by nie był interesowanym walce o ziemię w Wielkopolsce i Krajach Zabranych.

Mieściło się w tym przeświadczenie o niemożliwości, żeby istnieć mógł naród bezziemny, nie oparty o własność ziemską. Zamach na tę własność rozumiano jako zamach na narodowość. I słusznie. W cywilizacji łaćwińskiej wykluczone jest pojęcie narodu bezziemnego. Inne cywilizacje poprzestają na własności względnej warunkowej; nasza wyzbyła się ograniczeń własności (feudalnych). Dwie cywilizacje obchodzą się bez stałej własności ziemskiej: mongolska i żydowska. Ta upraszczała się z biegiem wieków coraz bardziej, aż doszło do tego, iż jej własność nieruchoma w ogóle niepotrzebna. Żydzi nabywają ją wyłącznie dla eksploatacji, ale nie przywiązują do ziemi *pretium affectionis*; bo też społeczeństwo żydowskie nie zmieniłoby się w niczym, gdyby żaden Żyd nie posiadał nieruchomości, podobnie jak nie zmieniło się przez ich nabywanie. Cechy cywilizacji żydowskiej stoją poza obrębem bezwzględnej własności ziemskiej. Znaną jej jest tylko własność względna, a raczej tylko używalność.

Otóż pod coraz silniejszym naporem cywilizacji żydowskiej na chrześcijańsko-klasyczną zmienia się też w Europie pojęcie własności ziemskiej stopniowo z bezwzględnej na względną. Doznaje coraz wyraźniejszych wahań od rzymskości ku

semickości, czego dowodem rozmaite metody „reform agrarnych”. Z własnością nieruchomością po miastach postępuje się w taki sposób, jak gdyby się umyślnie dążyło do tego, ażeby obmierzyć posiadanie domu każdemu porządnemu człowiekowi, a zrobić z tego monopol spekulantów, którym wszystko obojętne, byle spekulacja szła⁴⁶. Doprawdy, nieopatrzność taka równa się już pędzeniu na oślep w objęcia cywilizacji żydowskiej... A że na równi pochyłej nie sposób utrzymać się stale na pewnym punkcie, lecz następuje ześlizgiwanie się coraz niżej, względność w pojmowaniu własności przechodzi i na nieruchomości. Sam rząd podkopuje pojęcie własności, gdy np. ogłasza, że nie przyjmuje się odpowiedzialności za całość posyłek kolejowych lub pocztowych. Jest to doprawdy straszliwe igranie z ogniem, takie podmywanie z góry zasad etycznych.

Zachowały nas losy od „narodowego” wyznania, abecadła, kalendarza; danym nam było oprzeć narodowość swą nie na szychu, lecz na litym kruszcu rzetelnej, pełnej cywilizacji zachodniej, nie róbnymy się sami wykolejeńcami!

Dzisiaj, gdy wszystko zawisło od tego, czy potrafimy się należycie zorganizować, czyż mamy wyrabiać w sobie zdolność zdolności może na rozdwojeniu cywilizacyjnym? A nie brak, niestety, poczynań nieroztropnych, gotowych pociągnąć za sobą dezorganizację życia publicznego. A że organizacji brak nam na każdym kroku, we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia, od nauki do przemysłu, od rolnictwa do sztuki, nie możemy tedy sami siebie zebrać do jakiejś działalności planowej, celowej, a skutecznej, bo jakżeż może być kultura czynu bez organizacji? Pleciemy smalone duby o jakimś „nadmiernym indywidualizmie”, gdy tymczasem rzecz w tym, że rzadko który Polak wie, czego właściwie chce i w jakim celu? Miesza nam się indywidualizm z dezorganizacją umysłów, która świadczy właśnie o... braku wybitnych indywidualizmów. Bo też powstawać one mogą tylko tam, gdzie się przestrzega ostro jednolitości cywilizacyjnej.

⁴⁶ Przypominam, że niedawno działo się coś podobnego w Warszawie; dla umknięcia szykan policyjnych wiele osób wołało dać pieniądze na hipotekę spekulantom z pod ciemnej gwiazdy, niż samemu dom nabyć i narażać się władzy

Zdezorganizowanie życia zbiorowego jest nieuchronnym, gdziekolwiek ono nie należy w całości do jednej wyłącznie cywilizacji.

Może być w jednym państwie doskonałe kilka narodów (wymaga to tylko większej inteligencji od rządzących), ale nie może być na stałe dwóch cywilizacji bez największego niebezpieczeństwa dla państwa. Nawy państwowej nie można kierować równocześnie w dwu kierunkach: wywróci się od takiego eksperymentu. Ani nawet zamieszkiwać kraju nie mogą zwartymi masami wyznawcy różnych cywilizacji bez największej szkody tegoż kraju. Jeżeli bowiem dążenia rozbieżne różnych cywilizacji będą równouprawnione, nastąpi dezorganizacja i upadek: jeżeli nie będą równouprawnione, słabsza kopać będzie dołki pod silniejszą, a wiadomo, że szkodzić może każdy.

Miejmy też na uwadze prawo historyczne, że cywilizacje stykające się ze sobą muszą z sobą walczyć. Walka trwa dopóty, póki jedna nie zapanuje nad drugą z całą bezwzględnością. Równouprawnienie dążeń cywilizacyjnych stanowić może tylko stan przejściowy, jako złudzenie doktrynerskie. Gdy słabsza wzmoże swe siły, sama przystąpi do walki zaczepnej z tamtą, która była silniejsza. Na nic wszelkie starania, by walkę wstrzymać; ona trwać musi; to jest vis maior.

Postęp nie polega wcale na tym, by nie było walki pomiędzy cywilizacjami, bo stan taki wróżyłby martwość kulturalną – lecz na tym, żeby ta walka nieuchronna prowadzoną była w sposób coraz bardziej cywilizowany, ażeby zamieniała się na uczciwe współzawodnictwo. Ale nie sądźmy, że złagodzenie form walki mogłoby w tym wypadku złagodzić jej treść...

Jak dotychczas, tylko cywilizacja łacińska okazała skłonność uwzględniania odrębności cywilizacyjnych, dopuszczając nawet odmienne cywilizacje na swe obszary. To też dwa razy już cofała się przed niższymi: raz przed bizantynizmem, i za naszych czasów przed judaizmem: związki bowiem z niższością wychodzą zawsze na korzyść niższości. Skłonność do takich związków stanowi słabą stronę naszej cywilizacji.

Kwestia państwa o dwu cywilizacjach wiedzie do zagadnienia tzw. ludności mieszanej jako swego ułamka.

Poruszona kwestia rzadko bowiem występuje w całej jaskrawości przeciwieństw;

często natomiast występuje w zmniejszeniu jako niewielkie stosunkowo przeciwieństwo dwojga kultur jednej i tej samej cywilizacji, zwłaszcza odmienności dążeń dwóch lub więcej narodowości, zamieszkujących ten sam kraj.

Chcąc wejść krytycznie w ten poddział kwestii, trzeba wpieryw roztrząsnąć zagadnienie obszaru i zaludnienia.

2. P r o b l e m l u d n o ś c i a o b s z a r u .

Na drodze do syntezy rozważanych dotychczas czynników doszliśmy do tego, że regulator najwyższy historii, jakimkolwiek byłby, musi działać na tle jednolitości cywilizacyjnej, która stanowi jego podłoże i pierwszy zarazem warunek. Bez tej jednolitości nie ma twórczości, ni nawet kultury umysłowej.

Znaczenie narodu, dodatnie lub ujemne, zależy od tego, czy jest cywilizacyjnie jednolitym, czy różnorodnym, od stopnia tej jednolitości lub różnorodności, a przynajmniej niejednolitości. Stopień znaczenia pozostaje zaś w związku z pewnymi warunkami, dotyczącymi zaludnienia i obszaru.

Mylnym jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby stopień znaczenia pewnego narodu zależał od jego liczebności.

Kult liczby, doszedłszy już do ostatecznych konsekwencji, zrównał się za naszych czasów z absurdem i wywołuje rewolucję pojęć niepotrzebną, gdyż nasuwa pojęcia fałszywe. Obliczenia statystyczne demograficzne stały się całkiem niepotrzebnie przedmiotem nadziei i trwogi w zapasach międzynarodowych. Niepotrzebnie żałowano „biednej” Francji, że się „wyludnia”, a Niemcy niepotrzebnie obawiali się polskich „królików”, bo gdybyśmy nie posiadali innych przymiotów, z tym niedaleko zaszlibyśmy w historię. Ogromnie też przesadną przywiązywaliśmy wagę do tego, czy nas jest 23, czy 25 milionów. Przysięgano jak na artykuł wiary, że Rosja ma pomimo wszystko zapewnione wybitne miejsce w historii, bo liczy się Rosjan na 60, a może nawet 80 milionów. Ale co to wszystko znaczy wobec liczebności Chińczyków; gdy tam spojrzeć, cała Europa staje się w jednej chwili „biedną”, skazaną na podbój i uciemienie przez rasę żółtą...

Takie są mniemania powszechne, oparte na przesadnej wierze w potęgę cyfr. Podzielono narody na silne i słabe, czyli wielkie i małe, według ich liczebności. Procent przyrostu ludności bada się ze skrupulatnością lekarza, mającego ułożyć diagnozę. Uczniowie czescy obmyślają nawet teorię „problemu małego narodu”, my zaś wahamy się, czy Polskę ustawić na szarym końcu „wielkich” narodów, czy też zająć pierwsze miejsce wśród „małych”.

Doktrynerstwo liczby pozbawia coraz bardziej jasnego sądu. Doświadczenie historii woła jednak wielkim głosem, że Portugalczycy, Holendrzy wytwarzali wielką potęgę, chociaż nigdy nie byli licznymi. Wenecja była mocarstwem, równorzędnym cesarstwu niemieckiemu, Hiszpanii, Polsce Zygmunta III. i Władysława IV, (a wszakżeż to prawdziwy złoty okres historii polskiej). Garstka Anglików panuje nad mrowiem milionów w Indiach, na mniejszą skalę mieliśmy dwa przykłady w Europie: w Austrii panowała mniejszość niemiecka, na Węgrzech madiarska. Najjaskrawszego przykładu dostarcza atoli fakt, że wszystkie narody starego i nowego świata zmuszone są liczyć się z nielicznym żywiołem żydowskim.

Cała historia powszechna nie zna ani jednego trwałego zjawiska politycznego lub społecznego, które by się tłumaczyło przewagą prostą liczby nad liczbą, a jednak za naszych czasów wierzy się, że przyszłość narodów zależy od stopnia rozradzania się!

Fałszywe wnioski, wysnute z liczb, stosuje się już w dziedzinach najmniej do tego nadających się. Nic tylko przypisuje się większą zdolność do zwyciężania armii liczniejszej, ale wytwarza się podziw dla kultury niemieckiej, bo... ksiątek niemieckich wychodzi do roku znacznie więcej niż francuskich.

Ilość może być decydującą tylko przy równej jakości, a zresztą jest wobec jakości okolicznością podrzędną. Gdzie jakość licha, tam ilość (czy to przestrzeni, czy ludności, czy wojska, czy wreszcie ksiątek) staje się okolicznością utrudniającą tylko rozwój. Wielkomilionowość może być kulą u nóg w pochodzie dziejowym. Statystyka liczy bowiem eufemicznie na „głowy”, ale biorąc rzeczy ściśle, są to właściwie nie „głowy”, lecz... żołądki.

Wszelka jednostka nie przyczyniająca się niczym do dobra pospolitego, jest

zawadą i szkodnikiem w organizmie społecznym, zmusza bowiem społeczeństwo, żeby się z nią liczyć jako z konsumentem, podczas gdy jednostka taka nie liczy się wcale ze społeczeństwem, a częstokroć działa na jego szkodę. To nieprawda, jakoby sam fakt czyjegoś istnienia pomnażał zasoby ogółu! – a czyż na dnie wiary w skuteczność liczebnej przewagi nie kryje się taka nierozsądna teza?

Obok przeludnienia fizycznego, liczbowego istnieje przeludnienie moralne, tj. zbyt wielka mnogość obojętnych na dobro ogółu; ilość większa, niż organizm społeczny strawić zdoła. Fizyczne przeludnienie bywa nieraz pobudką do szukania dróg nowych i staje się fundamentem ekspansji narodowej, ale tylko natenczas, jeżeli społeczeństwo jest zdrowe. Przeludnienie moralne sprowadza zawsze upadek sprawy publicznej i to tym dotkliwszy, głębszy, cięższy, im liczniejszym jest ten naród.

Narodom nielicznym łatwiej podnieść się z upadku, niż licznym. Czesi zadziwili świat, ale u Czechów nie ma przeludnienia moralnego; ilość osób nie zajętych niczym przy warsztacie służby narodowej jest tam procentowo jak najmniejsza. Społeczeństwo, nie wlokące za sobą ogona nieużytków, kroczy rażno. Są zaś z drugiej strony społeczeństwa, zmuszone nieraz stosować swe ruchy do tego ogona. Tak było np. w jednej części Polski w r. 1846 – w innej zaś części kraju w zmarnowanych sromotnie latach 1905-1908; żywiły nie uznające, po części nie znające ideałów narodowych, zdecydowały o położeniu narodu.

Naród nie może wyrzucić z siebie balastu jak statek, musi przeto albo przerobić go na siłę społeczną dodatnią, albo dać mu się pociągnąć na dno. Wielka ludność, a na niskim poziomie obywatelskim, toć ze wszystkich blichtrów najniebezpieczniejszy. Życie narodu musi się bowiem stosować do swej liczby, będąc od niej niewolniczo zależnym – ale niekoniecznie czerpie z niej soki ożywcze; niestety, częstokroć soki zgniłe.

Gdyby to mogło być zależnym od ludzkiej woli, lepiej byłoby pomniejszyć ilość milionów zaludnienia, o ile to miałyby wpłynąć na procentowe zmniejszenie się przeludnienia moralnego...

Nie liczba stanowi więc o powodzeniu narodów, lecz stosunek jakości do ilości bez względu na ilość.

Wypływa z tego utrudnienie dla narodów płodnych, a mianowicie, że robią postępy wtedy tylko, gdy praca społeczna, czyniąca z mieszkańców obywateli, odbywa się w tempie szybszym i wydatniejszym od przyrostu ludności. Trzeba pracą wyprzedzać własne rozmnażanie się, inaczej im więcej rodaków, tym gorzej narodowi, bo tym niżej spadnie wypadkowa sił społecznych.

Gdyby narodowi francuskiemu nie przybywało nic a nic energii, wiedzy, oszczędności, zmysłu publicznego i patriotyzmu, przymioty te winne by utrzymać się jednak przynajmniej niezmnieszone, na tym samym stopniu siły społecznej i politycznej – dopóki nie przybywa ludności. Gdyby zaś okazało się, że Francuzom ubywa ludności, a przybywa zalet obywatelskich, w takim razie należałoby wnioskować, że Francję czeka nowy okres świetności⁴⁷.

Od sprawy o liczebność ludności oddzielić atoli należy kwestię gęstości zaludnienia. Może nieliczny naród posiadać gęstość znaczną (Holendrzy, Duńczycy), a nadzwyczaj liczny odznaczać się rzadkością zaludnienia (Rosjanie). Jedno nie ma nic do drugiego.

O ile liczebność sama nie stanowi o niczym, o tyle sama gęstość działa automatycznie, sama przez się, a działa z reguły korzystnie. Wszystko, co ludzkie, ma także strony ujemne, więc ma je także nadmierna gęstość zaludnienia, ale stanowią one drobnostkę w porównaniu z olbrzymimi korzyściami. Jedno tylko zastrzeżenie uczynić

⁴⁷ Aż do tego miejsca jest ustęp o „Zaludnieniu” przedrukiem z artykułu p. t. „Liczebność a siła narodu”, umieszczonego w warszawskim „Słowie” w numerze 178 z d. 21 kwietnia 1910. – Dodano tam jeszcze:

„Inaczej ma się rzecz z Niemcami, których ludność wzrosła tak bardzo w ostatnim pokoleniu. Mogą one być dziś (1910) również silne, jak za dni Sedanu, tylko pod tym warunkiem, jeżeli pomnożyły swą siłę społeczną jeszcze bardziej od przymnożenia ludności. Gdyby się okazało, że Niemcy dzisiejsze pozostały na poziomie z r. 1870, byłoby to już zastojem i cofnięciem się, a gdyby się okazać miało, że suma sprawności obywatelskiej jest tam dziś mniejszą, niż była wówczas, byłoby to bardzo złowróżbnym dla przyszłości Niemiec. Nie znając stosunków Rzeszy Niemieckiej należycie, nie mogę wypowiedzieć zdania w tej mierze; w Austrii jednak siła społeczna Niemców upada, i to szybko.”

należy: gęstość ludności nie może być przymusową, to znaczy, że z obszaru o wielkiej gęstości zaludnienia musi być zawsze wolny i łatwy odpływ dla liczby nadmiernej, dla przeludnienia. Gdzie tego warunku brak, gęstość wzrasta nie przez działanie warunków normalnych, lecz anormalnych – to też i skutki mogą być anormalne. Przykładu dostarcza choćby smutna historia wzrostu ludności w Warszawie, nadmiernego i nagłego, spowodowanego przez rząd rosyjski umyślnym, przymusowym niemal skierowaniem na Warszawę „litwaków”.

Zgęszczenie się ludności jest nieodzownym warunkiem, żeby społeczeństwo wyszło ze stanu prymitywnego. Pomiedzy stopniem gęstości zaludnienia a stopniem kultury danego społeczeństwa istnieje ścisły związek. W obrębie danej cywilizacji stoi kultura najwyżej tam, gdzie najgęstsza ludność (biorąc przeciętnie oczywiście), najniżej zaś przy ludności najrzadszej.

Sama zamożność społeczeństwa wymaga koniecznie odpowiedniego zagęszczenia ludności o mieszanym typie zarobkowania, z pewnym przynajmniej zróżnicowaniem ekonomicznym. Gęstość działa automatycznie. Nie wyjdzie społeczeństwo ze stanu prymitywnego, póki się zaludnienie nie zgęści odpowiednio; na odwrót zaś, społeczeństwa, które osiągnęły nawet wysoki już stopień kultury, cofają się raptownie, gdy spadnie na nie klęska wyludnienia. Pewnemu stopniowi kultury odpowiada bowiem pewien stopień gęstości zaludnienia, a zmiana w tej dziedzinie pociąga za sobą zmianę i w tamtej.

Polska przechodziła niestety kilkakrotnie przez klęski wyludnienia. Najazd Brzetysława czeskiego wyludnił Wielkopolskę 1036 r., a Śląsk ucierpiał tak dalece od napadów niemieckich i czeskich, iż stawszy się najuboższą, bo najbardziej wyludnioną dzielnicą polską, musiał uciec się do obcego osadnictwa, zagrożony całkowitą ruiną. Niebawem znaczna część Polski musiała Śląsk naśladować, gdy najazdy tatarskie sprowadziły ogólne wyludnienie. Skutkiem tego rozwój miast polskich przerwał się nagle, i staliśmy się na nowo społeczeństwem wiejskim. Ludność polska rzuciła się cała do ziemi, leżącej odłogiem, i nie zdołała nawet uprawić jej całej: nawet w osadnictwie wiejskim trzeba było sięgnąć po niemieckiego osadnika. Ileż pokoleń minęło, zanim zdołano

naprawić te szkody.

Wznieśliśmy się do znacznego stopnia zamożności i na wysoki szczebel kultury, podoławszy wysiłkom nie lada, gdy znów w XVII w. „potop” sprowadził straszliwy upadek gęstości zaludnienia, nieuchronny po kilkudziesięcioletnich wojnach. Epilog stanowiło przesilenie pieniężne lat 1663-1669, kiedy to w ciągu sześciu lat spadł kurs pieniądza o 100% i Polska nagle przestała być krajem zamożnym. Nie brakło następstw społecznych, politycznych i kulturalnych. Zubożenie kraju podniosło na wewnątrz znaczenie możnowładztwa, z ustroju demokratycznego przeszliśmy do oligarchicznego, na zewnątrz nastąpił szybki upadek stanowiska mocarstwowego Polski, a zarazem upadek szybki piśmiennictwa i nauki.

Dorobiliśmy się na nowo najpierw dobrobytu, a następnie odrodzenia oświaty, lecz potęgi politycznej odzyskać nie zdążyliśmy; doścignęły nas rozbiory. Cudów prawdziwie dokazywała Polska w okresie porozbiorowym. podnosząc, i to bardzo, swój poziom kulturalny, mimo warunków jak najnieprzyjaźniejszych. Rozważmy tylko sprawę gęstości zaludnienia.

W Polsce XIX w. wzrost ludności natrafiał na niezmierne przeszkody. Wojny napoleońskie na naszych przeważnie toczonych ziemiach, a następnie powstania, emigracje i zesłania zmniejszały wciąż, liczbę mieszkańców, a nadto ludność w wieku wojskowym zmuszona była brać udział w wojnach trzech państw, na wszelkich pobojuwiskach Europy i Azji. Żaden naród nie wojował w XIX w. tyle, co polski (niestety, wyjątkowo tylko pod polskim sztandarem). Traciliśmy nieproporcjonalnie wiele ludności w porównaniu z innymi narodami; wpływ krwi był kilkakrotnie większy, niż przeciętny ubytek europejski skutkiem wojen. Musiał tedy przyrost ludności być w Polsce znacznie mniejszy, niż powinien by być w stosunku do zaludnienia i siły rozrodczej społeczeństwa.

Możemy mieć pełną otuchę, jako w niepodległej Polsce gęstość ludności wzmoże się znacznie.

Korzyści, wynikających z tego, tłumaczyć nie trzeba – rzecz to powszechnie już uznana i wiadoma każdemu: naukowe zaś wytłumaczenie objawu jest już kwestią ułatwioną w piśmiennictwie polskim. Dokonał tego świetnie Erazm Majewski

w pomnikowym swym dziele Nauka o cywilizacji”. Godne jest szczególnej uwagi wspa-
niale porównanie, ułożone nadzwyczaj plastycznie, jakiego użył do pomocy przy
wyjaśnianiu wpływu gęstości zaludnienia⁴⁸.

Gęstość ludności jest w Polsce piastowskiej znaczna, a w niektórych krainach
równa najgęstszemu ogniskom zaludnienia całej Europy; posiadamy tedy pierwszorzędne
demograficzne warunki kulturalne. Jednak na wschód od linii piastowskiej stosunki
zmieniają się radykalnie, przez co obniża się przeciętna zaledwie do wysokości
przeciętnej zachodnio – europejskiej. Znaczenie nasze w Europie zależy musi tedy od
tego, o ile prowincje zachodnie zdołają utrzymać przewagę kulturalną i polityczną nad
wschodnimi; gdyby było przeciwnie, znaczenie nasze malałoby coraz szybciej.

Stosunek obywatelskości do liczby zaludnienia jest – powiedzmy sobie prawdę
w oczy – nader smutny. Zachodzi u nas straszliwe przeludnienie moralne; lwią część
ludności jest obojętną na sprawę publiczną. Stosunek ten jest tak dalece okropnym, tak
niesłychanie ujemnym, iż polskość byłaby niemal bez znaczenia dla Europy, gdyby ten
stan rzeczy miał tkwić w samejże naturze polskości.

Na szczęście tak nie jest. Nieliczność osób przejętych duchem obywatelskim nie na
złej woli większości polega, lecz pochodzi z ciemnoty, tej zaś my nie zawiniliśmy.

Rząd rosyjski nie pozwalał inteligencji polskiej zbliżyć się do polskiego ludu, sam
zaszczepiając waśń społeczną. Sprawę ludową uważano w Petersburgu za największe
„politicum”, za monopol rządowy, a czynownikom kazano lud demoralizować. Jak
zazdrośnie strzeżono tego monopolu, żeby nikt nie ważył się rozpraszać ciemności
i ciemnoty, świadczy jedyna zapewne na świecie historia, której bohaterem... zwykła
kasza drukarska. Chcąc mieć drukarnię, trzeba było sprowadzić, czy raczej przemycać
częściowo a długo przyrządy drukarskie aż ze Szwajcarii, z Genewy. Ileż trudów,
zabiegów, niebezpieczeństw, ofiarnego narażania się, zanim spiskowcy (sic!), pragnący
szerzyć oświatę ludową, zdołali przewieźć wynalazek Gutenberga po r. 1830 do zapadłej
wioski poleskiej, do otoczonego bagnami Lissowa. Był to tzw. spisek Konarskiego, którego

⁴⁸ Tom 1. Warszawa JOOK, Mr. 272.

„zbrodnia” polegała na tym, co wszędzie w zachodniej Europie było popierane przez rządy i na rządowych opierało się funduszach: praca oświatowa i ekonomiczna nad ludem wiejskim. Konarskiego rozstrzelano, towarzyszków jego popędzono na Sybir i w żołdacy. Działo się w r. 1839.

Od owego czasu zmieniły się stosunki na lepsze tylko w zaborze austriackim i to dopiero po r. 1867.

Polityka społeczna rządów rosyjskich podkopywała w samym zawiązku ducha obywatelskiego; jakżeż miał się szerzyć na coraz nowe sfery społeczne? Polityka ta – nie tylko w Rosji zresztą – miała na celu „podniecać lud i podtrzymywać antagonizmy społeczne, aby utwierdzić władzę w podbitym kraju”. W dziedzinie stosunków robotniczych była; też szczególnie zacofaną. Przepisy o ochronie robotników poczęto wydawać w Rosji dopiero w r. 1882, a w 8 lat potem, w r. 1890, zniesiono je znowu, bo wydawały się niebezpiecznym liberalizmem. Długość dnia roboczego oznaczono w: r. 1897, ale jak? „Ograniczono pracę dzienną do 11^{1/2}, a nocną do 10 godzin, w przedsiębiorstwach z ruchem nieustającymi na 11-15 godzin, przy czym 24-godzinny wypoczynek niedzielny obowiązuje tylko trzy razy na miesiąc”. Za zerwanie umowy odpowiadał robotnik karnie (do 1 miesiąca aresztu), przedsiębiorca tylko cywilnie. Naruszenie praw robotnika karane było grzywną (do 300 rubli), a dopiero, gdyby nadużycia doprowadziły do rozruchów robotniczych, także aresztem – postanowienie może jedyne na całym świecie. Robotnicy byli nadto pozbawieni prawa koalicji. Strajki podlegały karze więzienia, bezkarne natomiast były lokauty”.

Można być zasadniczym nieprzyjacielem socjalizmu, lecz trzeba przyznać, że takie postępowanie rządu zmuszało do walki klas, a robotnikowi odbierało ochotę do zajmowania się czymkolwiek poza interesami chleba powszedniego. Skąd mieli w zaborze rosyjskim wyrastać nowi obywatele społeczeństwu?!

A jednak wyrastali. Kiedy po rewolucji błysnęło choć trochę światła wolności, ze zdziwieniem ujrzeliśmy przy sposobności urządzanych w Kongresówce wystaw okręgowych, że nie brak już włościan uświadomionych co do swego stanowiska

obywatelskiego, i to nie tylko co do praw swych, ale również co do obowiązków. Wi-dzieliśmy całe wsie uświadomione narodowo, powiaty z większością żądającą szkoły narodowej. Jak się to zrobiło? Podziemnym, tajnym szerzeniem zakazanej „oświaty ludowej”. A więc, gdyby nie trudności stawiane przez rząd, gdyby można było pracować otwarcie i jawnie, o ileż wyniki byłyby większe.

Podobnie w Wielkopolsce prywatna zapobiegliwość szerzyła polską książkę, a tamtejsze organizacje rolnicze stały się wzorem dla galicyjskich „Kółek rolniczych”, stowarzyszeń, łączących po wsiach cele oświatowe z ekonomicznymi. Powstał z tego w Galicji potężny „Związek handlowy Kółek rolniczych” i wspaniała organizacja drobnego kredytu dla włościan, pod przewodem zasłużonych Adama Prażmowskiego i Franciszka Stefczyka, niestety, nie dopilnowano sprawy komasacji, która nie doczekała się takiego patrona, jak ci dwaj. W Wielkopolsce pokrył się cały kraj stowarzyszeniami handlowemu pod nazwą „Rolnik”.

Dowody powyższe wykazują, jako niski stan umysłowy i obywatelski ludu nie są właściwe polskości, lecz właśnie jej przeciwne. Im więcej swobody pozyskiwaliśmy, tym bardziej podnosił się stan ludu, a skutkiem tego powiększał się procent czynnych obywateli w społeczeństwie. U nas już w XVI wieku wychodzili obywatele z ludu. „Skróń wieśniaka spod Żnina okala wieńcem laurowym ręka papieża” (Klemens Janicki), a pod Batorym zdobywał włościanin szlachectwo na polu bitwy.

Przy studium dziejów włościaństwa polskiego zwraca uwagę fakt, że lud nasz, prowadząc walkę o byt w rozmaity, a nieraz wielce pomysłowy sposób, ze znacznym stopniem przedsiębiorczości, a zawsze skory do emigracji czasowej, nigdy jednak nie garnął się do szeregów zaciężnych rot cudzoziemskich. Szwajcar, Szwed, a nawet pobratymczy Czech, nie mając się z czego utrzymać, szedł na żołnierza, wojując to w tym, to w owym kraju, traktując żołnierkę zupełnie jako rzemiosło. Polski chłop, który okazał się nadzwyczaj dobrym żołnierzem już za Łokietka, a za Batorego wyrósł na pierwszorzędny materiał wojskowy, nigdy jednak nie garnął się do obcych szeregów.

Mamy tu do czynienia z jednym z objawów zasadniczego rysu kultury polskiej, z tym rysem, którym wyprzedziliśmy istotnie inne narody. Idea narodowa jest swoistym

polskim pomysłem; myśmy w całej Europie najwcześniej byli narodem w nowożytnym znaczeniu tego wyrazu. Idea ta widocznie z głębi ducha polskiego poczęta i jakby mu wrodzona, skoro objawy jej znać nawet wśród masy, gdzie nie umiano zgoła nazwać prądu, kierującego jej uczuciami i czynami.

Obywatelskość tkwi w naturze polskiej mocniej niż w jakiegokolwiek innej w Europie. Daleko nam dziś do normalnego naszego stanu pod tym względem, ale skoro tylko osiągniemy go choćby pół na pół, stosunek obywatelskości do liczby zaludnienia będzie u nas niewątpliwie takim, iż znaczenie nasze dla Europy będzie się podnosiło z każdym lat dziesiątkiem.

Przejdźmy do innego problemu, mianowicie do problemu obszaru.

Zajmujemy obszar duży, choćby uwzględnić tylko ziemie etnograficzne, tj. Polskę piastowską, województwo ruskie, zachodni Wołyń, Podlasie i Wileńską ziemię.

Krajom rozległym trudniej jest prowadzić walkę o byt. a mniejszym łatwiej. Dopiero po długim czasie nabywają rozległe terytoria, poczuwające się do wspólności społecznej czy narodowej, cywilizacji wyższej, podczas, gdy na obszarach niedużych proces cywilizacyjny odbywa się szybciej. Najstarsze znane cywilizacje (sumirska, pierwotna chińska, egipska, kreteńska, myceńska. pierwotna rzymska itd.) rozkwitały na obszarach stosunkowo bardzo szczupłych.

Krajom rozległym łatwiej natomiast utrzymać swą kulturę, niż małym. Utrzymała się cywilizacja w Chinach, podczas gdy runęło w Azji tyle innych, bo chińskiej powiodło się rozszerzyć na niezmiernie przestrzenie. Żadna chyba w całym świecie kultura nie miała w sobie tylu zarodków upadku jak moskiewska, jednakowoż trzymała się przez tyle pokoleń, dzięki rozległości swego terytorium. Szybko natomiast dokonał się był upadek kultury odrębnej portugalskiej, czeskiej w XVII wieku, irlandzkiej itp. Ale za to łatwiej o odrodzenie kulturalne na małych przestrzeniach, podczas gdy na obszarach wielkich jest to połączone z niesłychanymi trudnościami, tak dalece, iż graniczy to niemal z niemożliwością. Jakżeż ciężko było odrodzić się kulturze polskiej po upadku okresu saskiego; jak mimo genialnych momentów w czasach od Konarskiego do Trzeciego Maja spóźniło się jednak to odrodzenie. A jak łatwo stosunkowo odrodziły się Czechy, skoro

tylko rok 1848 dopuścił ludność do głosu w sprawach publicznych!

Znaczenie nasze polega przeto na tym, że utrzymamy na pewno naszą kulturę, gdziekolwiek raz się przyjęła, nie mówiąc już o ziemiach piastowskich.

Ale nie ma niczego bez kłopotu. Czy w prywatnym życiu, czy w publicznym, szczęście polega nie na tym, by nie mieć kłopotów (bo to niemożliwe), lecz na tym, by przechodzić do kłopotów coraz wyższego rzędu. Kłopoty ekspansji kulturalnej są zaiste kłopotami rzędu bardzo wysokiego, jak najzaszczytniejszego; ale są to kłopoty ciężkie – zagadnienia tzw. ludności mieszanej. Naród żywotny nie boi się jednak kłopotów. Tylko Ethos musi tu być podwójnie ostrożne, i nie wyrywać się na harce przed Logosem.

Tolerancji narodowej nie trzeba by nas dopiero uczyć, zwłaszcza gdy chodzi o stosunek do ludności niepolskiej na wschodzie. Myśmy ocalili'- przed ostateczną zagładą narodowość litewską, my wytwarzaliśmy dwa razy narodowość ruską. Być może, że gdzieś indziej, zwłaszcza w krajach dotkniętych odłamami cywilizacji bizantyńskiej, trzeba będzie proroka, który by wykazał, że należy dążyć do załatwienia „kwestii narodowościowej” tak samo, jak się załatwiło kwestię wyznaniową: ogłosić tolerancję i równouprawnienie. Jak tolerancja religijna nie pociągnęła za sobą bynajmniej zaniku religijności, a zwłaszcza katolicyzm nie stracił nic na równouprawnieniu innych wyznań, podobnie tolerancja narodowa i równouprawnienie faktyczne nie osłabiłyby w nikim poczucia narodowego i patriotyzmu.

Nie sądźmy, jakoby niegdyś wszyscy rozumni i szlachetni popierali byli tolerancję religijną, a sprzeciwiali się jej tylko nierozumni i nieszlachetni. Opinia była podzielona. Mnóstwo umysłów o wysokiej kulturze i jak najszlachetniejszych dążnościach społecznych sprzeciwiało się długo tolerancji, przytaczając swoje racje, które ostatecznie wyróciło- dopiero doświadczenie historyczne. Bądźmy więc przygotowani na to, że gdy nieco na zachód od nas, w dotkniętych bizantyzmem Niemczech, a kulturą bizantyńsko-niemiecką zarażonych Czechach zjawią się prorocy tolerancji narodowej, będą zrazu kamienowani. U nas sprawa cała przesądzona jest od wieków. Tolerancja narodowa – zasadą naszą.

A jednak... Jakżeż tedy? Nie tylko obcy, ale i Polacy sami utykają w tej sprawie na

jakichś wątpliwościach, bo zachodzą fakty i objawy nie bardzo zrozumiałe...

Sprawa w tym, że we wschodniej Słowiańszczyźnie, z którą mamy wiele do czynienia, mało mamy do czynienia z ideami narodowymi, bo po rozległych obszarach tej Słowiańszczyzny grasują wciąż w najlepsze pierwiastki cywilizacji turańskiej, obchodzącej się najzupełniej bez pojęcia narodowości. My prowadzimy z ludnością tych obszarów całymi stuleciami rozmowę, w której nie sposób „dogadać się”, bo odwołujemy się, a co więcej, postępowanie nasze stosujemy do pojęć tamtym zgoła niezrozumiałych.

Zachodzi odmienność cywilizacji. *Vis maior*, walka nieuchronna. Chodzi tylko o to, by prowadzoną była z naszej strony środkami kulturalnymi – i za nic więcej nie jesteśmy odpowiedzialni. Na ziemiach tych, tkniętych bądź co bądź także cywilizacją zachodnio-europejską, będzie trwała ta walka dopóty, póki jedna z tych cywilizacji nie zniknie całkowicie. Na to nie ma rady: takie jest prawo dziejowe. Dodajmy, że w razie zaprowadzenia wyłączności cywilizacji łacińskiej przyjęłaby się tam tym samym idea narodowa. Gdyby przeto budowniczości narodowości ruskiej („ukraińskiej”) czy białoruskiej bardziej świadomi byli studiów historycznych i w robocie swej bieglejsi, propagowaliby z całych sił cywilizację łacińską. Ale oni czynią przeciwnie, skazując tym samym zabiegi swe na bezskuteczność. Jak dotychczas, sami Polacy przedstawiają tam cywilizację chrześcijańsko-klasyczną. Czemu budowniczości owi nie chcą korzystać z doświadczenia okresu pierwszej narodowości ruskiej pojąć trudno.

Wobec ludności niepolskiej w granicach państw a polskiego obowiązuje nas dawanie jej dobrego przykładu cywilizacji łacińskiej. O narzucaniu cywilizacji nie może być mowy; gdyby zaś to było możliwe, zasługiwałyoby na potępienie. Nie gwałtem, lecz wyłącznie przykładem tylko możemy tam działać cywilizacyjnie; przykład zaś polegać musi przede wszystkim na tym, byśmy sami służyli wyłącznie jednej tylko cywilizacji, przejęci naw skroś jej wyłącznością, nie próbując być cywilizowanymi na dwa sposoby. I to wystarczy. Gdzie walka cywilizacji toczy się wyłącznie samymi tylko środkami kultury umysłowej, tam niezawodnie zwycięstwo cywilizacji wyższej.

Jest jeszcze jeden obowiązek: gdyby pośród ludności niepolskiej próbowano tworzyć narodowości – choćby nawet poza cywilizacją łacińską – naszym obowiązkiem

nie sprzeciwić się temu. A to dla Polaka rozumie się samo przez się. Nie mamy jednak obowiązku pomagać. Zresztą narodów nie tworzy się sztucznie, z pomocą obcych.

Rozpowszechnione swego czasu, a pojawiające się i obecnie przypuszczenie, jakoby można było pomagać innym do tworzenia narodowości – stanowi przykład doktrynerstwa posuniętego niemal do szaleństwa. Można stanąć w gotowych obcych szeregach, ale nie można ich utworzyć, jeżeli nie utworzą ich oni sami; inaczej będzie cała robota epizodem bez jakichkolwiek następstw trwałych, a zatem stratą czasu. A zresztą tyle roboty jest dla narodu polskiego, że jakżeż można dyspensować się od udziału w niej, ażeby służyć innym?

Jeżeli my obowiązani jesteśmy pomagać pracom narodowym niepolskim w obrębie państwa polskiego, w takim razie Anglicy mają obowiązek większy wytwarzania narodowości irlandzkiej; Francuzi belgijscy powinni w takim/ razie jąć się rączy pracy około wzmocnienia narodowości flamandzkiej, zamiast dorzucać swych sił do skarbcza przebogatej narodowości francuskiej; a Czesi winni na wyścigi służyć popieraniu polskości Księstwa Cieszyńskiego w swoim zaborze. Ale uśmiechnąłby się każdy z nich nad propozycją nierozumną – i my także niczego nie pragniemy dla Polaków pod władzą czeską, jak tylko tolerancji narodowej, tj., żeby naszej pracy narodowej się nie sprzeciwno.

Żadną miarą nie mogą ciążyć na nas obowiązki większe, niż na innych narodach łacińskiej cywilizacji, zwłaszcza, że nie pragniemy praw większych.

Kwestia ludności mieszanej nie stanowi specjalności polskiej, można więc tym bardziej traktować ją z ogólniejszego punktu widzenia:

Ludność mieszana zdarza się po prostu dlatego, ponieważ państwowość nie może polegać na samej przynależności narodowej, lub społecznej, bez względu na miejsce osiedlenia. W cywilizacji łacińskiej obszar stanowi kryterium państwa; nie ma państwa bez granic państwowych, a zatem bez ściśle oznaczonego terytorium. Państwo polega na obszarze państwowym. Urządzenie odmienne byłoby ruiną naszej cywilizacji, gdyż dałoby w krótkim czasie hegemonię takiemu żywiołowi, który by najmniej się krępował

stałem osiedleniem, będąc, wszędzie jednak u siebie. Właściwość, prowadząca do hegemonii, rozpowszechnia się, jako pożądany klucz do szczęścia. Dalszy rozwój odbywałby się tedy pod hasłem emancypacji od ziemi, pod przewodem i hegemonią żywiołów nie tkwiących cywilizacyjnie w żadnym gruncie. Tworzono by na ruinach cywilizacji zachodnio-europejskiej jakąś cywilizację bezziemną...

W naszej cywilizacji łączność administracyjna osób bez względu na terytorium dopuszczalna jest tylko w sprawach niepaństwowych. Taka łączność administracyjna znaną jest najnowszemu prawu publicznemu, jako tzw. autonomia narodowa. Uskutecznią może być tylko w ten sposób, iżby pewne działy administracji publicznej, np. szkolnictwo, odjąć kompetencji państwa, a przenieść je na owe związki autonomiczne, nie liczące się ze względami terytorialnymi w obrębie państwa, ale

uznające jednak granice państwa jako całości. Autonomia narodowa może się rozwijać tylko> przez uszczuplanie kompetencji państwa. Dzięki temu właśnie terytoria z ludnością mieszaną mogłyby oddać wielkie usługi w udoskonalaniu ustroju państwowego, rozwijając autonomię narodową; postęp bowiem w dziedzinie tej polegać będzie na tym, ażeby kompetencję władz państwowych ograniczyć do zapewnienia bezpieczeństwa zdrowia, życia i mienia obywateli – reszta zaś winna być pozostawiona inicjatywie obywateli. Tak jest, trzeba odpaństwić się wielce, by wybrnąć z trudności państwowych, grożących coraz bardziej ruiną kultury.

Ma więc autonomia narodowa wielką przed sobą przyszłość, ale nigdy nie zastąpi państwa, i nigdy państwowość na takiej autonomii pozaterytorialnej nie może się opierać. Uznanie państwowości takiej wiodłoby w bardzo krótkim czasie do zaniku państwowości w ogóle, a społeczeństwa europejskie zamieniłyby się na hordy.

Ponieważ terytorium nasze etnograficzne jest rozległe, rozleglejsze niż przedtem, boć i na Niemcach odzyskaliśmy niemało i ziemia wileńska jest już niewątpliwie etnograficznie polską – nietrudno (stosunkowo) utrzymać nam wszędzie naszą kulturę i tworzyć silne państwo narodowe. Towarzyszące rozległości trudności odrodzenia zostaną wynagrodzone przyspieszoną chyżością, gdy ziemie polskie będą mogły nareszcie myśleć wyłącznie o tym odrodzeniu, nieodrywane wojną nieustanną od pracy

kulturalnej. Gdziekolwiek stanęła nasza kultura, już jej tam nic wyrugować nie zdoła. Rugowanie kultury polskiej z takich obszarów równa się szerzeniu akulturalności, jak to stwierdza praktyka, choćby za naszych czasów na Litwie etnograficznej (w Kowieńszczyźnie). To też znaczne są rękojmie, że kraj taki, wydany na łup eksperymentów, po jakimś czasie tym skwapliwiej przejmować się będzie polską kulturą.

Nie ze parnych rozległych obszarów płynie ta moc, ale rozległość odgrywa w tym bądź co bądź rolę pomocniczą. Jeżeli zaś działają obok tego czynniki duchowe, siła promieniowania, zdolność asymilacyjna itp., moc kultury polskiej tym większa, niepokonalna. W tym pierwszorzędny moment naszego znaczenia.

Ekspansja ku wschodowi, skoro nie podbojami się odbywała, nie „imperializmu” dowodem, lecz siły cywilizacyjnej. Im zaś większe obszary kultura polska zajmowała, tym więcej sił jej przybywało. Być mogły ujemne skutki ekspansji ku krajom większym od Polski piastowskiej, ale pokryte zostały zyskiem z nadzwyczajnego powiększenia zdadności do¹ utrzymania kultury narodowej. Nie sądźmy, że dalsza ekspansja kultury nas osłabiłaby. Umiejmy tylko zatrzymać się na stanowisku czysto kulturalnej ekspansji, umiejmy ograniczyć się do tego, a skutki mogą być cudowne. Nie narzucali się przodkowie nasi, nie będziemy ani my tego robili!

Jeżeli zdołamy z przyspieszoną chyżością odrobić to, co bez naszej winy zaniedbane zostało w dziedzinie kultury umysłowej szerokich warstw, zwłaszcza u ludu wiejskiego; jeżeli utrzymamy nadal wbrew zakusom prądów wywrotowych równowagę podkładu ludowego z historyzmem; jeżeli rozwiną się u nas do wysokiego stopnia nauki-stosowane, stanowiące o rozumnym użyciu darów przyrody i jeżeli zapewnimy sobie dobrobyt za pomocą przemysłu i handlu; jeżeli wreszcie stanie wysoko oświata powszechna (nie tylko „ludowa”) – w takim razie ekspansja nasza kulturalna będzie niepowstrzymalną. Któż bowiem podejmie współzawodnictwo z nami?

Jeżeli spełnione będą postulaty wszystkich sześciu kategorii kultury umysłowej, natenczas znaczenie nasze musi wzrastać i będziemy wobec Europy czynnikiem o wielkich liniach rozwoju. Lecz jeżeli nie spełnią się owe warunki, możemy służyć Europie za przykład... megalomanii. Ażeby tego uniknąć, należy podkreślać przy każdej

sposobności owe cztery „jeżeli”. Niechaj każdy rozumny patriota popularyzuje ten pewnik, przy-

jąwszy to sobie za obowiązek obywatelski, żeby się przyczynić do wdrożenia go w umysł rodaków. Każdy a każdy bez wyjątku niechaj przyczynia się w swym kółku do rozpowszechnienia tych poglądów i wypływających z nich konsekwencji, a gdy ogół przejmie się nimi, Polska będzie potężniejszą ponad najśmielsze marzenia jagiellońskich czasów.

W części pierwszej, poświęconej szczegółowym dociekaniom składników kultury umysłowej w Polsce, wykazano, jako wszystkie posiadają dobre warunki rozwoju; nie ma żadnych przeszkód z zewnątrz, odkąd odzyskaliśmy niepodległość; cała odpowiedzialność spada na nas, żeby dobre warunki nie zostały zmarnowane. Skoro zaś radziliśmy sobie w niewoli, tym bardziej powinniśmy dać sobie radę przy niepodległości.

Ethos polskie ma przed sobą ogromne, niezmierzone pole popisu. Może za rozległe naraz? może w bezmiarach rozwartych dla narodowej woli tym łatwiej zbłądzić? Zależec więc będą ścieżki jego od stopnia oparcia się o Logos, który ma być jego przewodnikiem – i od rodzaju tego Logosu.

Czyny zależne są od toku myśli. Myśli polskiej strzeżmy!

3. N u s a r c h i a .

Od myśli zależne są czyny człowieka normalnego; do prawdziwości tezy potrzebny jest ten dodatek. A wiadomo z doświadczenia, że najpochoźniejszym do czynów bywa człowiek, znajdujący się w stanie bezmyślności; w stanie nietrzeźwym, w gniewie, w roznamiętnieniu wszelakim, wykluczającym, a przynajmniej utrudniającym i osłabiającym myślenie samo, a cóż dopiero działanie myśli, którego warunkiem: zastanowienie. „Popęlnia się” najwięcej czynów w stanach anormalnych, kiedy wola puszczoną jest samopas. Jest to wola spaczona, niezorganizowana, ale bądź co bądź wola. Co więcej widzimy, że wola taka bywa najsilniejsza, żywiołowa, nieustraszona, bezwzględna. Jednego tylko nie posiada przymiotu taka wola: nie bywa rozumną. Ethos bez Logosu staje się czynnikiem ujemnym.

Olbrzymia większość ludzkości działa pod wpływem woli niekierowanej rozumem. Tak żyją całe rasy, całe niemal części świata. Im niższy stopień kultury umysłowej, tym wyłączeniejsze rządy niezorganizowanej woli. Pierwiastek woli przeważa też stanowczo w cywilizacji turańskiej w porównaniu z europejskimi (łacińską i bizantyńską). Im dalej na wschód, tym łatwiej o wolę żywiołową, nie krępującą się refleksją. Gdyby o wyniku zderzenia świata zachodniego a wschodniego rozstrzygać miało samo napięcie woli, sarna pochopność do czynów – nie zostałyby ni strzępów z naszej cywilizacji.

Podobnież dzieci kierują się zrazu tylko wolą, bo ta władza rozbudza się u nich wcześniej od rozumu.

Wola samopas działająca służy zachceniem, a te wiodą do czynów podejmowanych nawet na wielką skalę, lecz nietrwałych. Zachcenia właściwe są nie tylko życiu indywidualnemu, ale również zbiorowemu. Im niższa gdzie kultura umysłowa, tym większa rola zachęceń w stosunkach życia publicznego. Są to dążenia wynikłe z chwilowego podniecenia umysłu, działające następnie siłą bezwładności, a czasem pociągające za sobą następstwa takie, iż nie można się już wycofać na czas. Wola użyta nienależycie wiedzie do niewoli konsekwencji. Dzieje Wschodu dostarczają silnych przykładów tego, ale nie brak ich ani w historii europejskiej. Od nieobliczalności tych wybuchów potężnej zazwyczaj woli jedynym ocaleniem – ich nietrwałość.

Jedynie Logos może nie tylko dochować nieprzerwalnej ciągłości, ale zyskuje na tym: im dłużej jest czynne, tym bardziej wzmacnia się. Ciągłość jest doskonaleniem Logosu. Inaczej przy Ethosie: przy dłuższej ciągłości osłabia się. Ethos nie zdoła być równo czynnym przez długi czas, jeżeli nie oprze się o Logos. Logos działaniem krzepi się, Ethos wyczerpuje. Ale pamiętajmy z drugiej strony, że Logos wyczerpuje się, jeżeli nie może uzupełniać się Ethosem.

Wola pozbawiona myśli przewodniej nie na pojęciach się opiera, lecz na tym rodzaju uczuć, który w nauce psychologii afektami zowiemy. Pośrednie miejsce zajmuje wola kierowana uczuciami właściwymi; uczucie bowiem, jeżeli trwalsze, samo na pojęciach się opiera. Lubimy lub nie lubimy tego, co uważamy za dobre i złe; czasem

jednak lubimy coś pomimo to, że uważamy je za złe, już to pokonywając pociąg uczuciowy w imię pojęcia o dobru i złu, już to ulegając pokusie. Rozmaity więc zachodzić może stosunek pomiędzy pojęciem a uczuciem, ale samo istnienie stosunku pociąga za sobą wzajemną zależność. Nie ma uczuć trwalszych bez odpowiednich pojęć, lecz przy słabych nader i mętnych pojęciach mogą powstawać uczucia mocne i wyraziste. Bezwzględność, nieustępliwość uczuć, zwłaszcza ujemnych (zawiść, nienawiść itp.) towarzyszyć zwykła niejasności pojęć.

Nad czynami istnieją więc dwa rządy, posiadające pewne punkty styczne, lecz, same w sobie rozdzielone: rząd pojęć i rząd uczuć. Skrajnymi ich objawami rząd afektów z jednej, a rząd suchego rozsądku z drugiej strony.

Nie należy mieszać rozsądku z rozumem, bo w tym wypadku wiele niebezpieczeństw kryje w sobie taka pars pro toto. Nie ma rozumu bez rozsądku, ale rozsądek może być nierozumny. Rozsądek zbiera materiał do rozważania dla rozumu, czepia się rzeczy zewnętrznych, zwłaszcza dających się ująć łatwo, bez mozolnych dociekań, w umiar liczby, miary i wagi, rozum roztrząsa krytycznie, co rozsądek dostrzegł i zgromadził. Bez rozsądku nie można żyć, a z samym rozsądkiem można żyć w nader ograniczonym zakresie, dopiero gdy rozum zużyje dane, dostarczone do rozważania przez rozsądek, życie nabiera pełni, podnosi się na wyższy poziom.

Rozum niekoniecznie musi potakiwać na ślepo rozsądkowi, a im bardziej skomplikowane zjawisko życiowe, tym bardziej może się od rozsądku oddalać. Np. problem liczby. Rozsądek powiada, że liczba większa przedmiotów danego rodzaju zawiera więcej również tej siły, tego zasadniczego przymiotu, który właściwym jest owemu przedmiotowi. Jakżeż atoli zawodnym jest ten wniosek w stosunkach społecznych i państwowych. Nie ulega wątpliwości, że jednostka ulegnie w walce fizycznej z tłumem, ale widzimy, jak Anglików garstka panuje nad Indianami. Widzimy, jak stu ludzi odpowiednio zorganizowanych opanować może łatwo całe ludne miasto – i w jednej chwili wartość liczby staje się problematyczną. Rozsądek powiada, że im więcej zasobnych współników, tym lepiej dla spółki; rozum przeczy temu i pyta o wartość osobistą współnika: jeżeli to osoba nieobowiązkowa i z niskim stopniem przygotowania

zawodowego, spółka zyska na tym, jeżeli się takiej osoby pozbędzie, pomimo jej zasobności liczebnej (finansowej np., lub wojskowej w sojuszu wojennym). W rzeczywistości bowiem, skoro chodzi o skomplikowane dziedziny życia, nie ilość rozstrzyga, lecz jakość – tej zaś nie oceni rozsądek sam; do tego potrzeba już wszystkich władz umysłowych, całego rozumu – i wyobraźni nieraz.

Rozsądkowi ludzkiemu przeciwnym jest przypuszczenie o kulistości ziemi, o nieruchomości słońca a ruchomości ziemi, o podobieństwie ziemi do gwiazd itp. Dopóki sądzono o tych sprawach tylko podług rozsądku, miano o nich pojęcia fałszywe, bo rozsądek lubi polegać na zmysłach. Im bardziej ograniczone pole doświadczeń zmysłowych, tym uporniejszy rozsądek. Jakiś władca z Indii Tylnych skazał był na śmierć dworzanina Europejczyka, który mu opowiadał, że w jego kraju można armatę przewieźć po rzece; skazanym został za drwiny z rozsądku egzotycznego monarchy. Zupełnie autentyczną może być anegdota o babci młodego marynarza, która wysłuchiwała cierpliwie wszystkich bufonad swego wnuka o podróży około świata, nie wyjmując opowiadania o tym, jako w Afryce koło stojącej na wybrzeżu góry magnesowej wszystkie gwoździe z okrętu wyleciały, przyciągnięte przez ową górę; ale nie wytrzymała, gdy jej wnuk opowiadał o latających rybach, bo to uznała za przeciwne rozsądkowi.

Rozsądek ograniczony jest do doświadczenia. Rozum z doświadczeń korzysta i zgarnia wszystkie w ogóle dane rozsądku, ale dodaje do tego działanie innej jeszcze władzy umysłowej, mianowicie wyobraźni.

Rozum jest to rozsądek plus wyobraźnia. Rozum jest syntezą rozsądku i wyobraźni. Wyobrazić trzeba sobie kulistość ziemi lub jej ruch, wyobrazić sferę ciał niebieskich. bo inaczej tych rzeczy nie zrozumiemy. Władcy spod równika brakło wyobraźni do zrozumienia zmarzniętej rzeki. Piszącemu te uwagi zdarzyło się na Litwie, że nie dawano wiary wzmiance o górach z wiecznym śniegiem. Byłem świadkiem, jak mieszkaniec głębokiego gniazda górskiego z Alp, wyjechawszy pomiędzy bardziej rozszerzone doliny Karyntii środkowej, podziwiał równość tego kraju; a kiedy mu mówiono o równinach północno-europejskich, uśmiechał się znacząco, że zna się na żartach. Najzupełniej wierzę temu, jako razu pewnego Kaszubka jakaś dowiedziawszy się

ze zdumieniem od Warszawianina, że pod Warszawą nie ma morza, wahała się, czy temu uwierzyć, czy nie; wreszcie zdecydowała argumentem rozsądku: „A z czegoż oni tam żyją?” zdecydowała, że to niemożliwe.

Skoro tylko danym będzie dotknąć zmysłami czegoś, co się dotychczas uważało za niemożliwe, zaraz zmienia się sąd o tym, co możliwe a niemożliwy, bo w zakresie rozsądku sąd ten zawisł od doświadczenia zmysłowego; w miarę, jak ono się rozszerzy, zmieniają się granice niejako rozsądku. Doświadczenie może być zastąpione przez wyobraźnię, i wtenczas proces odbywa się szybciej i następuje generalizowanie, co stanowi pierwszy objaw rozumu. W dalszym rozwoju następuje abstrahowanie. szukanie związków przyczynowych, wreszcie myślenie celowe. Na każdym z tych szczebli rozwoju

umysłowego inne są granice rozsądkowe, bo; inne jego kryteria. Dochodzi się do szczebla, na którym osądzanie rozsądkowe opierać się będzie w danym razie na abstraktach z geometrii i z fizyki matematycznej.

Rząd suchego rozsądku nad czynami ludzkimi jest również ujemny, jak rząd afektów, bo horyzont tego i tamtego ciasny. Obfitość rodzajowa czynów, ludzkich nie może być należycie kierowaną przez przeciwieństwo obfitości: tylko rozum posiada, odpowiednią do tego obfitość w sobie. Jest to obfitość pojęć.

Niewiele stosunkowo pojęć pochodzi z samego tylko doświadczenia, znacznie więcej z rozumowania, i to nie tylko z rozumowania nad zdobytym doświadczeniem, ule niemniej ze spekulatywnego. Rozum wytwarza naukę. Od porównawczego zestawiania poczynionych (choćby mimo woli) doświadczeń zaczyna się ćwiczenie myśli, wiodące do nauk. Z porównywania rodzi się krytyka, z krytyki sceptycyzm, ze sceptycyzmu odwaga próbowania czegoś nowego, stąd droga otwarta do odkryć i wynalazków stosowanych. Z gorczycznego ziarnka porównawczego zestawiania materiału rozsądkowego dochodzi się aż do najwyższego wydoskonalenia rozumu, do nauki.

Dopiero od powstania nauki poczyna się obfitość pojęć. Im wyższy stan nauki, tym bardziej starczy pojęć dla obfitości czynów ludzkich, to też następuje zróżniczkowanie jakościowe tych czynów, choćby sama ilość ich nie zwiększała się. Z postępem nauki może nawet maleć stosunkowo sama ilość czynów, bo zmniejsza się pochop do czynów

nieprzygotowanych, nieobmyślanych (jakoż pośród inteligencji do rzadkości należy popełnienie czegoś w uniesieniu chwilowego afektu): ale przybywa coraz nowych rodzajów czynów. Są czyny, niemożliwe w społeczeństwie pozbawionym nauki, bo niedostępne dla niego z powodu braku odpowiednich pojęć. Im bardziej nauka wchodzi w życie społeczeństwa, tym mniejszy nad czynami rząd uczuć, tym silniejszy rząd pojęć. Czyny człowieka normalnego stają się zawisłymi od myśli.

Życie zbiorowe nie różni się pod tym względem od indywidualnego, podlegając rozumowi i jego omyłkom. Rozum, jako władca czynów, to Logos, przewodnik Ethosu. Stan taki i dziedzinę tego władztwa nazwijmy nusarchią (νοῦς) Ograniczmy jednak znaczenie wyrazu do władztwa nauki w życiu zbiorowym, publicznym, w życiu społeczeństwa i państwa.

Pojęcia naukowe wpływają pa ustrój życia zbiorowego. Co za olbrzymi wpływ wywarli, na urzędników państwowych legiści, merkantyliści, fizjokraci. Kto, z nas nie słyszał, jako rewolucję francuską przygotowali encyklopedyści? Najpierw Filotej twerski obmyślił kanon kultury moskiewskiej, a potem dopiero nastąpił Iwan Groźny. Najpierw Hegel ubóstwił państwo, a po; nim dopiero rozpowszechniła się w Niemczech „idea Hohenzollernów”. Karamzin był poprzednikiem Mikołaja I, a Hartmann (filozof „des Unbewussten”) kazał Polaków „ausrotten” przed Bismarckiem, który był tylko wykonawcą jego pomysłu. Myśl powzięta w pracowni uczonego zamienia się nieraz na prąd życia publicznego. Oto nusarchia.

Plato nie zdawał sobie sprawy, że filozofowie i tak rządzą państwem, chociaż nie sprawują urzędów naczelnych, tylko że rządzący bywają, z reguły spóźnieni wobec nauki, i stają się wykonawcami zazwyczaj tego, co nauka już kwestionuje. Nauka, to Logos; rząd państwa, to Ethos – a Logos kroczy przed Ethosem. Gdy rządzący zbyt mało posiadają wykształcenia naukowego, rządy muszą być zbyt zacofanymi; gdy składają się z ludzi, poprzestających na wykształceniu broszurkowym, rządy muszą być dyletanckie, pełne eksperymentowania po omacku. Gdzie Logos kuleje, Ethos idzie na marne.

Najwięcej przykładów nusarchii czerpać można z dziejów wpływu Kościoła na społeczeństwa i państwa. Od ugłaskiwania barbarzyńców, których typem Klodwik

„arcychrześcijański”, od wznowienia cesarstwa „rzymskiego” aż do ulepszeń w zakresie gospodarstwa rolniczego i budowy domów – wszędzie znać rękę kapłanów, uczonych kościelnych, przodujących społeczeństwu na każdym a każdym polu. Słusznie mówi się o Kościele, że wychował narody europejskie. Tylko kapłani zajmowali się nauką, a ponieważ minęły długie wieki, zanim świeccy poszli za ich przykładem, nie mogła się żadna donioślejsza sprawa obejść bez osoby duchownej. Oni tylko umieli spisywać dokumenty, oni tylko posiadali swoje prawo spisane (kanoniczne), oni tylko mieli znajomość obcych narodów i stosunków na szerokim świecie; im zawdzięczano ulepszone narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, tylko wśród nich znajdowali się budowniczowie, inżynierowie itd. Benedyktyni zajmowali się sporządzaniem ksiąg, rolnictwem, uprawą winnej latorośli, ciesiołką i stolarką; cystersi głównie budownictwem i rolnictwem, uszlachetniali odmiany zbóż i pierwsi wprowadzili pług żelazny; norbertanie byli najzręczniejszymi; rzemieślnikami; do stawiania mostów byli na Zachodzie benedyktynscy „pontifexi”, do pielęgnowania chorych duchacy itd. Każda gałąź życia miała swych zakonników. Wszystkie zaś zakony i całe duchowieństwo świeckie zajmowali się nauką książkową – i dlatego właśnie stali na czele pochodu całego życia zbiorowego. Produkując nusarchię, przodowali społeczeństwu.

Moc twórcza starsza jest wprawdzie od kultury książkowej, ale ta kultura tak dalece ułatwiła i uprościła działanie mocy twórczej, iż moc oparta na niej pozostawia za sobą w tyle wszelką inną; żadna inna nie wytrzyma z nią współzawodnictwa. Nie można się powoływać na Karola W., jako wielkiego męża, chociaż analfabetę, bo za nim stał papież Leon III; podobnie, jak św. Wojciech, św. Bruno i Gerbert-Sylwester II za Bolesławem Wielkim i tak bywało we wszystkich państwach i krajach. Potem inteligencja świecka wytwarzała nusarchię, zrazu obok Kościoła, potem czasem przeciw niemu, ale nie zmieniło to w niczym stanowiska kultury książkowej, tj. nauki, wobec rozwoju historycznego. Odkąd zjawiła się nauka, ustala się przez nią rząd pojęć.

Trzy są warunki rozwoju nauki: badanie, popularyzowanie i krytyka. Egipcscy kapłani uczynili z nauki tajemnicę zawodową, nie popularyzowali jej nigdy, dzięki czemu sami sprawowali rządy nie tylko pośrednio, ale też nauka egipska nie zdołała rozwinąć

się. Kościół katolicki od początku zachęcał i świeckich do nauki książkowej, przyjmował do swych szkół młodzież świecką, popularyzował naukę – i dzięki temu od początku dziejów nigdy nigdzie nauki nie rozwinęły się tak wysoko, jak na obszarze cywilizacyjnym użyżnionym przez katolicyzm średniowiecza.

Nusarchia działa zawsze, bez względu na to, czy uczeni mają słusność, czy też mylą się. Nigdy zresztą współcześni nie mogą mieć pewności co do wartości swego dorobku; dopiero próba dziejowa rozstrzyga o tym. Współcześni ani nawet sławą nie, umięją obdzielać trafnie. Boccaccio słynął za 15 ksiąg „De genealogia deorum” i za 12 pieśni „Teseidy”; Petrarca za łacińskie epos „Africa” o Scypjonie Starszym. Przykładów podobnych można by wybrać całe tomy. Z polskiego piśmiennictwa przypomnijmy dla przykładu, że Szymonowicza dziełem „głównym” był przekład Metafizyki Filona z greczyzny na łacinę (1604). Tak krytyka współczesnych bywa „tymczasową”. Drobnostką to, gdy chodzi o hierarchię sławy i o tytuły do niej; zachodzi jednak sprawa poważniejsza, bo również co do samych wyników badań naukowych sąd współczesny bywa tymczasowym. Nauka ludzką jest sprawą, a zatem omylną. Głosiła nieraz błędy; jakie głosi obecnie, o tym będą wiedzieli potomni, którzy znów z kolei będą mieli swoją naukową „tymczasowość”.

Skoro nauka błądzi często, więc stanowiąc kuźnię pojęć... błędnymi nas darzy pojęciami? Częściowo niewątpliwie tak; a z błędnych pojęć rodzić się muszą błędne czyny. Ale to tylko część prawdy. Cała prawda polega w tym wypadku na tym, że każde pojęcie naukowe jest postęmem: względem poprzedniego, że tedy nauka: mieści w sobie coraz mniej błędów, coraz bliższa Prawdy, a przez to i pojęcia, ze stanu nauki wywodzone, stają się coraz prawdziwszymi. Jak nauka musiała przejść przez szereg omyłek, by dotrzeć do tego, co dziś uważaj za prawdziwe, bo dzisiejszy jej stan jest wynikiem poprzedniego, podobnie pojęcia zasadnicze, z nauki wywodzone, musiały przechodzić przez dane fazy rozwoju – a czyny stosowane być musiały zawsze do pojęć, o Prawdzie; ustroje społeczne i państwowe przechodzą również przez szkołę doświadczenia historycznego. Mylnym zaś byłoby mniemanie, że to, co dziś lepszym jest, byłoby lepszym także w przeszłości. Pewne urządzenia życia zbiorowego łączą się z pewnym stanem kultury umysłowej i ze

stosunkami walki o byt; to też niejedno, co lepsze dla nas, byłoby gorszym dla naszych przodków, a tym gorszeni dla członków innej cywilizacji. Zachodzi bowiem pewna współrzędność między różnymi kategoriami życia. Życie jest tym lepiej urządzone, im więcej tej współrzędności. Czyny skoordynowane z pojęciami nie wywołują opozycji, bez względu na to, czy pojęcia trafne czy nie; dla współczesnych trafne, dla potomnych mogą być błędnymi, a jednak potomni mogą mieć życie cięższe.

Naukowa kuźnia pojęć jest pomimo wszystko najlepszą przodownicą życia. Nic tylko historia magistra vitae, ale wszystkie nauki bez wyjątku. Fizyka rozwojem swym zmieniła w zupełności kształt życia; astronomia zmieniła radykalnie wewnętrzną życia podstawę, gdy Kopernik zepchnął Ziemię z tronu w środek świata. O wpływie teorii Kopernikowskiej na umysłowość pisano wiele; stwierdzonym jest ponad wszelką wątpliwość, że teorią tą zmieniła gruntownie fundamentalne pojęcia ludzkie. Ale uczonego nie wie, czy dojdzie do odkrycia jakiegokolwiek; nie przewiduje, co sam będzie sądził o danym przedmiocie po pewnym czasie; odkrycia niespodziani bywają niespodzianką największą dla uczonych. Pracuje, aby pracować badawczo; nauka jest mu celem jako taka.

Ta bezinteresowność nauki tworzy jej absolut. To jest Logosu świętość. Ten przymiot stanowi o moralnej racji bytu nusarchii, bo to promień jasnego światła na znękaną ludzkość. Błogo społecznościom, dotkniętym tym promieniem. Z tego wypłynęła cała wyższość cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej nad innymi, nie posiadającymi tego wiecznie ożywczego źródła bezinteresowności. Choćby nusarchia kryła w sobie wad niemało, ta jedna zaleta okupi wszystkie.

Największą wadą, i grzechem pierworodnym nusarchii jest to, że nie można dać jej władnąć bez wielkich zastrzeżeń, gdyż wiedzie do... absurdu.

Doświadczenie dziejów uczy, jako żadne z założeń życia zbiorowego, przyjęte w danym, czasie i w danym miejscu za słuszne, nie było w normalnym toku życia nigdy wyzyskane z całą konsekwencją; to bywało zawsze przywilejem prądów i czasów rewolucyjnych, i zawsze w rewolucji doprowadzano dane założenie do absurdu. Stąd konieczność reakcji po każdej rewolucji, jako dobroczynnego ocalenia przed panowaniem

absurdu, pod którego jarzmem żadna praca nie mogłaby się rozwijać ani fizyczna, ani umysłowa. Absurd wywraca bowiem na nice wszelkie stosunki życiowe – i po pewnym czasie doprowadza wszelki używający gwałtów; przewrót do tego, iż ludzie, chcący pracować, wolą powracać do tego samego kształtu życia, jaki w zasadzie potępiają i który zmienić pragnęli gorąco, byle tylko wygołę móc żyć w sposób godny człowieczeństwa, bez gwałtów a przy regularnej pracy. Nie rozum rewolucji rodzi niezbedność reakcji. Gdybyż choć raz zdarzyli się tacy przywódcy rewolucji, którzy by... mieli rozum polityczny! Dotychczas nie zdarzyło się to w historii ni razu. Indukcja poucza, że rewolucja powstaje z nie rozumu rządzących, a sama rozwija się po równi pochyłej nieuctwa. Gdzie łączą się tedy podwójne braki rozumu, rezultat na końcu także mądrym być nie może – i tak powstaje reakcja, która na dobitkę musi się uważać za „dobroczynną”.

Rewolucja wybucha wtedy, gdy państwem zbyt długo rządzą miernoty umysłowe.

Niemniej przeto rewolucja bywa często nieuniknioną, jako jedyny sposób wyjścia z błędnego koła, w jakie społeczeństwo popadło z powodu nieuctwa rządzących – i sama pcha w nowe znów błędne koło. Skutki głupoty bywają ogromnie długotrwałe. Dopiero po dłuższym czasie, gdy w sprowadzonej reakcji pocznie opozycja grozić nową rewolucją, z obawy przed jej grozą reakcja ustępuje nieco i może się dokonać postęp w dziesiątej przynajmniej części tego, co można by mieć (gdyby nie fatalny mus błędnego koła) oddawana w ilości bez porównania większej.

Fakt, że nie ma rewolucji bez popełniania ideologicznych absurdów, zastanawia. Rewolucjoniści nie robią przecież nic innego, jak to, że przyjmują za punkt wyjścia swej akcji jakieś założenie, znane i uznawane już przedtem, i wyciągają z niego wszelkie konsekwencje aż do najdalszej skrajności. Rewolucja pracuje tedy zbyt dokładnie? Tak jest; jest w tym paradoksie dużo prawdy. Rzecz tłumaczy się tym, że nawet dobro, obmyślane przez człowieka, może być tylko ograniczenie dobrem, i gdy w rozwoju swym dotrze do tej granicy apriorycznego swego ograniczenia (które tkwi w nim samym), musi być wyręczono przez nowe pojęcie dobra, bo inaczej nastanie zastój i upadek. Przyczyną tego ograniczoność rozumu ludzkiego.

Historia dostarcza tu materiału dowodowego filozofii. w sprawie o granice

poznania. Człowiek nie zdoła ani nawet dla ziemskich stosunków wymyśleć nic doskonałego, co by nie wymagało poprawek, zmian; nie zdoła on tego ani nawet w zakresie najbliższych swych potrzeb. Człowiek może wyrobić w sobie bardzo nieznacznie tylko zdolność przewidywania, skutkiem czego nader tylko rzadko może posiadać zupełną pewność co do poczynañ swych, czy są celowo skuteczne.

Jakby dla zaznaczenia, że wszystko, co od człowieka samego pochodzi, jest względnym, stwierdza historia na każdym kroku, że wszelki ludzki pomysł, każda nasza zasada, każde najszlachetniejsze dążenie mieści w sobie zawsze i bez wyjątku jakąś odrobinę zła, coś ujemnego – i dlatego to żaden kierunek myśli ni czynów nie może być wyzyskiwany konsekwentnie aż do ostatka, bo się natrafi na ową część ujemną. Jest rzeczą rządzących, żeby w czas spostrzegli, kiedy trzeba zmienić kierunek.

Historia może atoli wskazać także pewną czysto historyczną przyczynę, dlaczego niebezpiecznie jest wprowadzać w czyn skrajne konsekwencje danego programu. Potrzeby ludzkie powiększają się szybciej, niż im można uczynić zadość i zaspokoić je. Nie może nawet być inaczej, boć dopóki nie odczuwa się jakiej potrzeby, nie można jej zaspokajać, nie wiedząc, o co chodzi. Najpierw musi się wiedzieć, że czegoś potrzeba, a potem dopiero można się starać, żeby to nabyć. Wykonanie musi tedy być nieco opóźnione. Jeżeli się jednak opóźnia nazbyt, powstają nieporozumienia, w końcu rewolucje.

Regułą bywa, że zanim wykonanie zdoła dotrzeć do pomyślnego końca, już zmieniły się potrzeby, bo wyłaniają się już nowe. Wykonywanie bywa częstokroć opóźnionym zacofaniem, jakby pod wpływem samej siły bezwładności. Najczęściej kłóć się w wykonywaniu dwa systemy, stary i nowy.

Nie można stosować do urządzeń życia zbiorowego metody matematycznej, dla której konsekwencja stanowi jedyne kryterium. W sprawach życia u szczytu konsekwencji stanęli Torquemada czy Robespierre lub Lenin. Jeżeli pewne pojęcia są absolutnie pewne, a wyłonione z nich poglądy bezwzględnie prawdziwe, natenczas i zastosowanie ich do życia prowadzi na pewno do najlepszego życia urządzenia. Czyż nie jest obowiązkiem rozpowszechnić te urządzenia, skoro to od nas zależne? A czyż może być

krótsza do tego droga, jak wymordować wyznawców innych poglądów, pozbyć się takich, którzy zawadzają szczęściu ludzkości? Najprostszy to sposób uszczęśliwienia ludzkości, więc też stosowany periodycznie... Niestety o ileż łatwiej nakreślić program reformy całej ludzkości, niż zarządzać dobrze jedną niedużą gminą. A cały błąd krwiożerczych reformatorów (o ile działają w dobrej wierze) w ich żelaznej konsekwencji.

Tej konsekwencji nusarchia nie znosi. Nauka zawsze twierdzi coś odmiennego od ostatecznych wyników wcześniejszych nieco pojęć naukowych. Towarzyszy też reformatorom-tyranom zawsze pewne zacofanie nusarchiczne; zwykli występować w imię pojęć naukowych dnia wczorajszego, stosując je na dzień jutrzejszy. W tym cała tajemnica systemów rewolucyjnych, które żywną się zawsze przeżytkami nauki.

Nie zachodzi potrzeba zatajania wad nusarchii; zachodzi natomiast potrzeba wielka i pilna uświadamiania inteligentnego ogółu, jako nie ma zalet bez wad. Metoda oceniania czy to dzieła umysłowości ludzkiej, czy to indywidualium samego, czy też narodu lub społeczeństwa. wymaga zrozumienia pewnego stosunku pomiędzy zaletami a wadami. Co (lub kto) jest bez wady, i na tym tylko ma zasadzać swą wartość – jest w sam raz zerem; dopiero posiadanie zalet stanowi o wartości powyżej zera. U ludzi jest to teoretycznym tylko aksjomatem, bo nie ma człowieka bez wady; ale bywają bez wady utwory umysłu ludzkiego (zwłaszcza artystyczne), a jednak niewiele warte. Nisko jeszcze stoi krytyka, nieumiejąca tego prawidła stosować. Ludzi ocenia się też mylnie, jeżeli na pierwszym miejscu stawia się takiego; który ma najmniej wad; w ten sposób zapewnia się poparcie wszelakiej miernocie, a gnębi się talenty, (gdyby spróbowano ustawiać ludzi i dzieła ich nie według owej skali wad, lecz według skali zalet, jakżeż zmieniłoby się wiele na lepsze.

Leczmy wady nasze, lecz nie rozpaczajmy nad niemi, skoro tylko nie sposób odmówić nam zalet narodowych. Pocieszajmy się też tym, że wzmaganie się zalet przytępia wady, gdy tymczasem zanik wady jeszcze niekoniecznie jest zarazem narodzinami zalety. To też nawet w tępieniu wad skuteczniej jest działać pozytywnie, niż negatywnie: lepiej działać ku wzmożeniu zalet bezpośrednio.

Wartość ideowa utworu, człowieka, czy grupy, lub całego wreszcie społeczeństwa

zależy od stopnia kultury umysłowej przede wszystkim; następnie, na stopniu wyższym, od stopnia i jakości twórczości. Wszelki Ideał wymaga nieodzownie pewnego poziomu kultury umysłowej, tj. tych kategorii, które przeszliśmy w części I, inaczej nie będzie zrozumiałym, a przynajmniej będzie opacznie rozumiany i mylnie wykonywany, a więc nie zda się na nic. Ani też patriotą nie można być skutecznie bez odpowiedniej kultury umysłowej. Ponieważ zaś kultura ta zawisła jest w stopniu nader znacznym od nauk, więc w zasadzie powiedzieć można, że nie ma ideałów bez nauki (względnie bez jej popularyzacji). W tym druga dziedzina takiego władztwa nusarchii, które jest bezwzględny dobrodziejstwem dla ludzkości (w obrębie cywilizacji szanujących naukę jako taką).

Dlatego to najniebezpieczniejszym objawem społecznym bywa rozbieżność pomiędzy warstwą kierującą rozwojem umysłowym, a warstwą kierującą rozwojem politycznym, co wychodzi na rozbieżność twórczości umysłowej a politycznej w narodzie, i stanowi wykołajenie nusarchii. Zagroza natenczas niebezpieczeństwo najstraszniejsze: rozbieżność kulturalna, która następuje nieuchronnie, gdy trwa zbyt długo rozbieżność uczonych z rządzącymi. Rozbieżność kulturalna, a za tym idący upadek kultury, zagrażają zawsze, gdy Ethos rozbiega się z Logosem. A w czasach takich najłatwiej dochodzą do władzy osoby, które celują wprawdzie już to rozsądkiem, już to wyobraźnią, lecz którym brak syntez tych dwojga składników rozumu.

Była już o tym mowa, jako zorganizowana nauka jest zorganizowanym Logosem; zmysł organizacyjny na, daje Logosowi moc jego skuteczności. Harmonia pomiędzy światem naukowym a światem politycznym stanowi jakby wykładnik pożądanej harmonii Logosu z Ethosem, który też winien być zorganizowany. Ale zmysł organizacyjny można by nazwać zdolnością zdolności. O tym nieco więcej na końcu książki. Tymczasem zastanówmy się nad pewnym przykładem z historii narodowej.

Spółczeństwem twórczym była Polska aż do połowy XVII wieku. Na ogólnym tle chrześcijaństwa wytworzyliśmy swą własną polską kulturę, której niestety nie rozwijaliśmy potem dalej i do dziś dnia (stokrotne niestety!) nie umiemy zdobyć się na zbiorowe dalsze snucie przerwanego wątku. Mieliśmy własne dążenia, bośmy się zdobyli

na własne pojęcia o ustroju społecznymi i państwowym, tudzież o ogólnym porządku europejskim. Mieliśmy myślicieli, w których umysłach samodzielnych powstały idee, zamienianie w czyn przez statystów i wodzów. Żyliśmy celowo w cywilizacji łacińskiej. Nie tworzyliśmy w jej obrębie asymilowanych naśladowców, lecz twórcami byliśmy; twórczy zaś naród może stanąć nawet w przeciwieństwie do swych byłych mistrzów, podczas gdy naśladowcy stają się tylko epigonami i giną niebawem po swych mistrzach, lub przechodzą ciężkie przynajmniej przesilenia, znalazłszy się na bezdrożach, gdy zbraknie im wzorów.

Owoc bytu – to kultura czynu. A ta wymaga zgodności myśli ze słowem, słowa z czynami, czynów z wewnętrznym przeświadczeniem. Słowo, czyn i przeświadczenie winny być z sobą powiązane harmonijnie i konsekwentnie, a źródłem tego umiaru, tej sprawności. umożliwiającej skuteczny czyn – konsekwencja pojęć, uzupełniających się wzajemnie. Naśladowcy niełatwo zdobywają się na kulturę czynu, bo pojęcia ich, nie zdobyte pracą własną, przyswojone, gotowe, rzadko kiedy bywają należycie zrozumiane; naśladowcy przesadnie trzymają się form, ulegają łatwo złudzeniom co do form, a nie dojrzą treści.

Kultura czynu, wymagając uprzedniej jasności i ścisłości pojęć, wymaga tedy świadomej teorii przed czynem. Bez teorii nie można się rozwijać umysłowo samodzielnie (myślenie oderwane, generalizowanie), nie można działać twórczo w najmniejszym bodaj zakresie systematycznie, a tym bardziej nie można być twórczymi w dziedzinie cywilizacji i stać się ogniwem w łańcuchu kultury powszechnej. Bez teorii nie ma świadomych dążeń, a więc nie może być kultury czynu, która, na kategorii celowości opiera się.

Z badań nad „teorią Grunwaldu” odniosłem wrażenie, że przedmiot ten pozostaje w ścisłym związku z dziejami filozofii w Polsce. Tak jest, pozostaje w związku ze sporami o to, czy universalia ante rem, czy in re, czy też post rem – tj. w związku z kierunkami ówczesnej filozofii scholastycznej. Nominalizm zachowywał się bierniej wobec dogmatycznej części teologii, a to stanowi rzeczywiście cechę umysłowości polskiej (dlatego nie zanosło się u nas na herezje ni razu przez cały okres scholastyki). W uniwersytecie krakowskim mieliśmy świetnych nominalistów. Największy geniusz

twórczy średniowiecza, św. Tomasz z Akwinu, był umiarkowanym realistą (in re), a w bibliotekach polskich pełno komentarzy do jego „Summy”.

Te sprawy wymagają bliższego zbadania. Mówi się, jakobyśmy byli epigonami scholastyki. Jakież to epigoństwo, co wydaje nowe teorie, wiodące na wieki cale do nowego, a lepszego ułożenia stosunków społeczeństw? Nigdy z epigoństwa nie wykuje się kultura narodowa; a wszak to stało się na tle naszej scholastyki!

Kultura ta oparta była na tak głębokich podstawach, iż nie poruszył jej ani legizm.

Przy jęliśmy humanizm i przejęliśmy się nim do głębi, a jednak nie doszło u nas do recepcji prawa rzymskiego i związanego z tym... nowego rozwoju teorii imperialistycznej, przeinaczonej w zmienionych czasach i warunkach na zasady despotyzmu i wszechwładzy państwa.

Rzut, dokonany przez krakowskich scholastyków z początkiem XV wieku, był tak potężny, iż starczył na półtrzecia stulecia. Epigonowie nie miewają takiej dużej ręki. W scholastyce naszej kryje się jakaś tajemnica, którą zbadać muszą specjaliści, historycy scholastyki; niewątpliwie badania takie rzuciłyby cały snop nowego światła na zasadnicze zagadnienia dziejów polskich.

Bądź co bądź to jasne, żeśmy wygrali pod koniec wieków średnich, nie tylko utrzymując byt, ale rozszerzając niezmiernie państwowość polską, iż staliśmy się mocarstwem, ale nie tylko mocarstwem, lecz samodzielny czynnikiem kulturalnym dzięki temu, że czyny nasze nie były ślepe, lecz oparte na wielkiej a pozytywnej teorii. Poruszyliśmy pół Europy do nowego życia, bo mieliśmy w sobie kulturę czynu, mając najpierw dokładnie uświadomione in potentia, co się miało wprowadzić in actum, w myśl wielkiej tezy św. Tomasza z Akwinu:

Movere enim nihil aliud est, quam educere aliquid de potentia in actum.

Pokolenie Pawła z Brudzewa i jego uczniów miało czym movere, bo miało teorię, posiadało własny pogląd na świat, pogląd wywołujący postęp, twórczy pogląd.

W przeciwieństwie do tej świetnej karty polskiej nusarchii wskazać można inny przykład jako dowód a contrario, jak potrzebną ona, gdyż z braku jej ciężkie straty. Przypomnijmy sobie z rozdziału III („Handel a przemysł”), jak rozwijał się dobrobyt

w Polsce, dopóki mieliśmy swe własne pojęcia w tych materiach, a jak podupadliśmy, gdy przestaliśmy posiadać stosowne dla naszych stosunków i okoliczności programy ekonomiczne. Nusarchia polska zawiodła w tej dziedzinie od połowy XVI wieku, a niebawem zaczął dobrobyt kurczyć się. Kiedy zaś za Stanisława Augusta powstała spod popiołów na nowo polska twórczość ekonomiczna teoretyczna, naukowa, zakwitły w dziwnie pospiesznym tempie fabryki, rękodzieła, handel wewnętrzny i wywozowy. (o czym pouczyć może się każdy w pomnikowym dziele Korzona: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”). Upadku naszego ekonomicznego, a przez to i politycznego, przyczyną w znacznej części brak własnej nauki ekonomicznej w stosunkach tak odmiennych od zachodnio-europejskich (tam bogacono się na handlu oceanicznym, a my przez to ubożeliśmy).

Czyż obecnie nie czeka nas nędza okrutna, a skutkiem tego i samej niepodległości wątpliwe położenie, jeżeli nie wynajdziemy na odmienne zgoła od innych położenie odmiennej, swoistej drogi ocalenia? A Logos musi i w tym iść przed Ethosem, nauka przed praktyką życia. 1 czyż my nie będziemy cierpieli na rozdźwięk myśli- a czynu, dopóki nie wytworzymy własnej nauki o państwie w całości nie zaś tylko własnej ekonomii politycznej? Odrębność objawów, narzucających się uwadze w Polsce, sprawia, iż nawet chyba cudzoziemiec mu- siałby w Polsce dojść do odrębnych wniosków.

Przerwanie wątku polskiej ekonomicznej nusarchii nasuwa na myśl wypowiedziane już raz spostrzeżenie o zasadniczym znaczeniu tradycji w nauce. Jak we wszystkim, podobnież w zakresie nauk, stanowi tradycja kość pacierzową wszelkiej kultury, kultury naukowej. Przerwanie tradycji naukowej jest tym dotkliwsze, ponieważ postęp umysłowy może się w ogóle dokonywać tylko stopniowo. Nusarchia doskonali się krok po kroku, podczas gdy moralny postęp może się w zasadzie odbyć nagle. Można być cudownie nawróconym, ale nie można być cudownie oświeconym...

Brak wyrobionego świata naukowego od początku XVII do trzeciej ćwierci XVIII w. stanowi wybitny objaw owej orientalizacji, o której była mowa w rozdziale VIII, nabytej skutkiem nieszczęsnego dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu. Urwał się podkład nusarchii: filozofia, uprawiana jeszcze z początkiem XVII wieku, jakkolwiek skromnie

wielce (Petrycy). A potem chociaż zanosiło się na rozkwit tej nauki nauk, zmroziła go aura stosunków porozbiorowych. Filozofia poszukała sobie schronienia w poezji wieszczów.

Czyż nusarchia polska XIX wieku nie działała za pomocą poezji? Mogło to mieć w dobie niewoli nawet pewne dobre strony – wszak poezja nasza posiadała niezmiernie dużo znaczenia „praktycznego” dla narodu, ale czyżby mogło to starczyć dla państwa niepodległego? I czy dużo posiadlibyśmy znaczenia dla Europy, gdyby polskość przemawiała do europejskiego forum przez poezję tylko? Znaczenie nasze byłoby w takim razie doprawdy... egzotyczne.

Czy to możebne, żebyśmy dogonili, cośmy zaniedbali w naszej nusarchii? Ależ bez porównania jeszcze więcej zaniedbania było w dziedzinie sztuki, a jednak weszliśmy w europejski zestrój artystyczny. Weźmy dla przykładu kwestię pejzażu polskiego:

Pojęcia o pięknie przyrody nie są w Polsce w ogóle stare. Łukasz Górnicki pierwszy podobno dopiero spostrzegł, że mogą być piękne widoki, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie spostrzegł on tego samodzielnie, lecz dowiedział się o tym od Włochów. W literaturze polskiej XVI i XVII wieku nie znać wcale, żeby pojęcie piękna przyrody popularyzowało się; dopiero za Stanisława Augusta otrzymaliśmy w tym względzie nowy impuls z Zachodu. Umiał cenić piękno przyrody Jan Kochanowski, i dostarczało mu ono natchnienia w poezjach, lecz bądź co bądź niewiele. Potem Wacław Potocki miał wcale czuły co do tego zmysł, nie umiał, jednakże wyrazić należycie swych wrażeń. W XVII w. w ogóle zwracano na przyrodę coraz mniej uwagi, zajmując się za to coraz bardziej szczegółowo samym człowiekiem. Tak np. u Samuela Twardowskiego jakżeż mało opisów przyrody, a jak szczegółowe, rozwlekłe opisy rozmaitych pochodów i uroczystości! Można by się wyrazić, że układano sobie widoki z ludzi, żywe obrazy niejako i tym się najbardziej delektowano. Pejzaż jako taki nieznany jest zupełnie w Polsce aż pod sam koniec XVIII w. Dopiero romantyzm przyniósł nagłą zmianę w tym kierunku, tak nagłą, iż ogół długo nawet nie mógł zrozumieć poetów. Umysł bądź co bądź wielce wykształcony estetycznie, jak Dmochowski; zżymał się na to, że Mickiewicz daje w formie sonetów opisy przyrody; zdawało mu się, że to profanacja tego wiersza przeznaczonego dla uczuć, zdaniem jego, bez porównania wyższych, dla sentymentów ludzkich.

Tak nisko wazono stosunkowo do niedawna, piękno pejzażu. A jednak powstało malarstwo, a gdy powstało, pejzaż zajął w nim tak wybitne stanowisko, i zyskał sobie opinię odrębności artystycznej w sztuce powszechnej. Polski pejzaż nie zmarnował polskiej odrębności objawów krajobrazowych, lecz uwzględnivszy je godnie, stał się oryginalnym.

Jeżeli powiodło się geniuszowi polskiemu dotrzeć do europejskiego szczebla w dziedzinie poprzednio mu nieznaney, o ileż łatwiejszym powinno to być w dziedzinie naukowej! Godzi się mieć najlepszą otuchę, że zdobędziemy się na rodzimą nusarchię.

Gdyby się zająć szczegółowo dziejami polskiej nusarchii, tj. wpływów twórczości umysłowej na polskie życie publiczne, widzielibyśmy, że dzieje nasze nie różniły się od dziejów innych narodów zasadniczo, a tylko ilościowo szwankowała u nas częstokroć nusarchia, boć szwankowała nauka sama. Im większa obfitość nauki, tym większy jej wpływ. W Niemczech, dominujących ilością produkcji naukowej, wpływ nauki na życie publiczne był w ostatnim pokoleniu nadzwyczaj silny. Niestety, gdybyż zachodził raczej stosunek prosty pomiędzy wpływem nauki, a jej jakością, zamiast ilości! Tego atoli dotychczas nie widać; nauka prawdziwa i błędna jednako działa! Nieraz błędne pojęcia naukowe posiadają właśnie szczególny jakiś urok na masy. Np. polska nusarchia najsilniejsza była, gdy zesłała na manowce przez Andrzeja Maksymiliana Fredrę-a za naszych czasów błędy Marxa stanowią fundament Ethosu mas robotniczych. Niełatwo atoli współczesnym odróżnić prawie od błędu!

Opinia publiczna znajduje się zazwyczaj pod szczególnym wpływem pewnej nauki, w danym czasie sprawującej jakby hegemonię. I w polskiej historii dopatrzyć się można rozmaitych odcieni nusarchii z tego powodu, a bliższe zastanawianie się nad tym wiedzie do arcyciekawych spostrzeżeń. Wyraziściej, niż na polskiej historii, można studiować te objawy na Zachodzie, gdzie ilość nauki była znaczniejsza. Bliżej zapuszczać się w to nie możemy w tym dziełku; zwrócimy tylko jeszcze uwagę na znamieny zwrot polskiej nusarchii w XIX wieku.

W chwili, gdy po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego i po katastrofie roku 1831 przerwał się wątek nauki polskiej, gdy obumarła twórczość naukowa, nie zmarła jednak

nusarchia, lecz przeniosła się na poezję. W okresie wieszczów silniejszą była niż kiedykolwiek. Poezja władała umysłami, od niej wschodziły hasła społeczne i polityczne. Nie popełni się żadnej przesady, jeżeli się powie, że Polak od drugiej ćwierci XIX wieku kształcił się społecznie i politycznie na poezji, który to stan rzeczy przetrwali aż do początków XX wieku.

Stan to nienaturalny, wywołany szczególnymi stosunkami, o czerń nie potrzebuję się rozpisywać. bo to są rzeczy każdemu wiadome. Poezja polska odniosła olbrzymią zasługę, a o tej obywatelskiej stronice poezji i sztuki polskiej w ogóle była już mowa w części II. Bądź co bądź jednak, lepiej powracać do stanu naturalnego; lepiej być podobnym do innych narodów pod tym względem. żeby nusarchia była przy nauce, a nie przy poezji. Moc nadzwyczajna wieszczów naszych sprawiła, iż rządy umysłów pozostały przy poezji i wtedy nawet, gdy nauka odrodziła się a przeżytek tego stanu trwa dotychczas. Dziś jeszcze w planach wychowania polskiego poezja, literatura w ogóle, zajmuje miejsce naczelne, uprzywilejowane; dziś jeszcze uchodzi wykształcenie literackie za najlepszą formę tzw. wykształcenia ogólnego. Jest to wielce mylne mniemanie. Literatura uzupełniać może wykształcenie, ale go nie może stanowić, a już najmniej się nadaje do tego, by stanowić jego podstawę. Zawdzięczając poezji wiele, nadzwyczaj wiele, trudno nam wyzwolić się od tego nadmiaru jej wpływów, który okazuje się coraz bardziej zbytecznym, a może nawet poczyna już być szkodliwym. Zyskalibyśmy wiele, gdybyśmy uznali za „przedmiot ogólno-kształcący” zamiast historii literatury np. geografii. Nabralibyśmy więcej tężyzny i większej celowości w czynach naszych, gdybyśmy impulsy do nich znajdowali w nauce, a nie w poezji. Czas spory przenieść nusarchię w zupełności na naukę, pomimo całej jej omylności. Poezja pojęć nie mnoży. a nam w państwie niepodległym trzeba będzie. licznych pojęć, bez których można się było obchodzić, gdyś my się musieli przystosowywać do braku państwowości. Poezja pojęcia łączy, spaja, mniej dbając o ich ściśle określanie, bo jej rzeczą poprzestawać na wrażeniach. Tego właśnie nauczyła nas ona, a to jest źle.

Jak wszystko, co ludzkie, ma największa nawet poezja swe słabe strony, zwłaszcza gdy się jej używa do tego, od czego ona nie jest... do tworzenia pojęć społecznych

i politycznych. Czyż nie znać na Polaku, że lubi poprzestać na wrażeniach, nie dbając o istotę rzeczy? Czyż wada ta nie zakradła się nawet do polityki? Doprawdy, można by dużo mówić o polityce literackiej w Polsce, tj. o pozostającej pod wpływem wrażeń literackich... Najpoważniejsze sprawy, jak np. kwestię unii. widziało się i widzi się jeszcze obecnie traktowane po literacku, według pewnych wrażeń. Wrazeniowe nie można organizować życia publicznego; nie można puszczać państwa na politykę wrażeń, bo najpoważniejsze hasła mogłyby rozplątać się we frazesy literackie.

Czas spory zmniejszyć literackość umysłów polskich, bo im głębiej posuwamy się w niepodległy byt, tom bardziej literackość nam szkodzi, a gdyby przedłużało się jej panowanie nad umysłami, stałaby się kulą u nogi państwa polskiego. Minął okres wieszczów już stosunkowo dawno. Przedłużone rządy poezji nabrały cech epigoństwa. które nie potrafi być twórczym; obecnie nie mieściłoby się w nich w ogóle nic prócz epigoństwa.

Niechaj poezja zostanie na zawsze okiem polskości, lecz być nie może jej ramieniem. Zadanie to narzuciły jej okoliczności; spełniła je dobrze, ale też był to wysiłek, jakiego drugiego nie zna historia świata... Nie przedłużajmy tego stanu, skoro to już dawno niepotrzebne! Wracajmy do stanu normalnego, stańmy się i pod tym względem narodem normalnym.

Poezji naszej przyznajmy wdzięcznie dwie niepomierne zasługi: jedną uznawaną dość powszechnie, że nas przeprowadziła przez okres niewoli, zachowując nam poczucie narodowe i godność narodową, że zachowała polskość nienaruszoną; – i drugą, na której uznanie teraz kolej: że nas nauczyła łączyć etykę z życiem zbiorowym, że do pojęć społecznych i politycznych dołączyła nierozzerwalnie pojęcia etyczne, że napoiła nas przeświadczeniem o tym, jako postępowość a etyczność łączą się spójnią nierozzerwalną, że nie ma postępu bez postępu etycznego. Tę cechę umysłowości polskiej należy przekazywać z pokolenia w pokolenie bez jakichkolwiek kompromisowych uszczupień. To niech nam zostanie na wieki.

Za przechowanie patriotyzmu, za nauczanie go pokoleń męczeńskich w okresie porobiorowym, winny wszystkie pokolenia szczęsne w niepodległości padać na kolana

przed prochami wieszczów narodowych; wielbić ich na klęczkach należy za wpojenie w polskość zasady etyczności życia zbiorowego.

Zachowując zdobycz etyczną wielkiej poezji, przekazmy ją nusarchii naukowej. Na miejsce wykształcenia literackiego popularyzujmy wykształcenie naukowe, a w twórczości naukowej upatrujmy najlepszą rękojmię rozwoju społecznego i państwowego.

Znaczenie nasze w Europie i dla Europy nie było dostateczne w porównaniu do naszych obszarów i do gęstości zaludnienia, albowiem nie dopisywaliśmy naukowo; nusarchia nasza szwankowała. Teraz doganiać! tu trzeba chyżości historycznej przyspieszonej! Uniwersytety polskie mają zadanie podobne jak na przełomie XIV i XV wieku: stać się kuźnią pojęć na nowy okres dziejów.

W y n i k d o c i e k a ń .

Przebiegliśmy gąszcz różnolitego materiału, zbliżając się stopniowo do uogólniań coraz szerszych. Przechodziliśmy jakby z piętra na piętro, robiąc często re- kapitulacje częściowe i ustawiając wskazówki dalszego chodu. To uwalnia nas obecnie od potrzeby rekapitulowania wszystkiego od początku, a zezwala przystąpić do określenia ostatecznego rezultatu książki, jako bezpośredniego wyniku ostatniego rozdziału.

Kwestia o znaczenie i cel narodu, któregokolwiek narodu, byłaby jałową, gdybyśmy nie starali się poznać, czy losami społeczeństw nie rządzi jakieś prawo i jakie? Nie tak łatwo dotrzeć do takiego celu! Próbowano tego już nieraz, ale w miarę rozwoju nauki próby okazywały się nieudanymi. Czyż jednak nie jest tak we wszystkich naukach, że odwołuje się poprzednie uogólnienia, gdy na ich podstawie dojdzie się do lepszych? Czyż Historia ma jakiś obowiązek być wyjątkiem od tej drogi, jak dotychczas jedynej i powszechnej? W tym przekonaniu odważam się na nową próbę, dla której największym byłoby zaszczytem, gdyby się przydała komu innemu do dalszej nowej próby.

Z wyłuszczonej tu dociekań i spostrzeżeń wynika, że losy społeczeństw cywilizowanych regulowane bywały przez prawo, które na razie daje się określić w sposób następujący:

Jednolitość cywilizacyjna zaludnienia gęstego wytwarza przez nusarchię

równocześnie wielostronną twórczość na podstawie wszystkich działów kultury umysłowej.

Oto najwyższy regulator historii! Tak się robi historia.

W miarę zbliżania się do tego prawidła rozkwitają społeczeństwa; – upadają w miarę oddalania się od niego.

Co mieści się w jednolitości cywilizacyjnej, ilostronna może być twórczość, ile jest kategorii kultury umysłowej, o tym była mowa w osobnych częściach i rozdziałach książki. Twórczość nie musi być wszechstronną, ale żadna z kategorii kultury umysłowej nie może być opuszczona bez wielkiego niebezpieczeństwa. Etyka stanowi zasadniczy punkt jednolitości cywilizacyjnej, podobnie organizacja, główny jej przejaw. Natomiast z omawianych powyżej okoliczności życia zbiorowego obojętnym dla stopnia udoskonalenia społeczeństwa jest obszar jego kraju.

Znaczenie społeczeństw wynika ze stosowania się lub niestosowania do tego najwyższego regulatora. A zatem znaczenie Polski polega na tym, że:

Polska zachowaniem się swoim w sprawie jednolitości lub niejednolitości cywilizacyjnej zdecyduje o tym, czy cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna będzie się rozszerzała dalej na wschód i czy w Europie środkowej można się będzie spodziewać wyłącznego tej cywilizacji zapanowania. Jeżeli Polska podlegnie rozłamowi cywilizacyjnemu, nastąpi znaczne osłabnięcie cywilizacji zachodnio-europejskiej w ogóle, a zatem zwiększy się niebezpieczeństwo stopniowego pokonywania jej przez cywilizację inną.

Znaczenie Polski polega na tym, że nie ma takiego działu życia, do którego nie okazałaby zdolności, i to po większej części wybitnych. Ale jest to znaczenie prawdopodobieństwa i możliwości, które wymaga dopiero pewnych warunków, ażeby się zamieniło na znaczenie rzeczywistości.

Faktyczne znaczenie Polski zależeć będzie od tego, czy zdoła wyzyskać należycie swe dary, przyrody i czy w Polsce wytworzy się polski handel i przemysł. Bez spełnienia tego warunku będziemy dla Europy tylko krajem, ale nie społeczeństwem, kolonią dla państw silnych ekonomicznie. A za tym pójdzie iluzoryczność naszej niepodległości.

Znaczenie twórczości polskiej zależeć będzie od tego, czy zdołamy ją oprzeć na podłożu wszystkich kategorii kultury umysłowej; od należytego zaś zorganizowania świata naukowego zawisłą będzie wartość naszej nusarchii.

Rola nasza w Europie zależeć będzie od tego, czy zdołamy utrzymać równowagę historyzmu a ludowości.

Całe zaś nasze znaczenie zawisło od tego, czy prowincje zachodnie, posiadające ludność gęstsza i zdolność organizacyjną, wezmą górę nad wschodnimi.

Od tych warunków zawisła możliwość utrzymania na przyszłość własnej, swoistej polskiej kultury, a znaczenie nasze na jej posiadaniu właśnie polega.

A cel Polski? – Sprawy obie: znaczenia a celu, łączą i wikłają się z sobą, wzajemnie się uzupełniają. Chcąc określać cel, trzeba zwrócić się ku przyszłości. Metoda naukowa wielce jest wstrzemięźliwą w dopuszczaniu horoskopów w świecie duchowym, niematerialnym, ale próbujmy wyzyskać, co przy naukowym traktowaniu przedmiotu jest dostępnym i dopuszczalnym.

Rozdział XII (dodatkowy). Horoskopy nowego okresu.

1. Po pokoju wersalskim.

Po wojnie, która objęła wszystkie pięć części świata, ze wszystkich powołując żołnierzy, nie na mapę patrzeć trzeba, by się orientować, lecz na globus; horoskopy nowego okresu dziejów tyczą się też czegoś większego nad narody i państwa, całych systematów cywilizacyjnych, całych grup społeczeństw i państw.

Toczyła się wojna przeciwko niemieckiemu, a właściwie pruskiemu ustrojowi społecznemu i państwowemu, narzucającemu stopniowo hegemonię swą całemu światu, jak ją narzucił Niemcom i Austrii. Była to wojna z niemieckim systemem życia publicznego, z wszelkim prusactwem, z pruskim porządkiem w polityce międzynarodowej; wojna przeciwko dalszemu asymilowaniu się do Prus, które zaczęło się od konieczności naśladowania ich co do powszechnej służby wojskowej, a groziło coraz dalszym przejmowaniem pruskiej metody. Była to wojna z pewną metodą życia publicznego, której twórcami i głównymi reprezentantami były Prusy. Traktując rzecz z ogólniejszego stanowiska, prowadzono wojnę powszechną przeciwko kulturze bizantyńsko-niemieckiej, a z konieczności przeciw tym, którzy się z nią politycznie zsolidaryzowali.

Była to tedy druga w historii „wojna z całą nacją niemiecką”, jak nazwali przodkowie nasi w wieku XV wojnę, prowadzoną wówczas również przeciw kulturze bizantyńsko-niemieckiej; wtóra wojna z całym niemieckim systemem w Europie. Jak zobaczymy, tamta pierwsza, prowadzona pod przewodem Polski, prowadzona była gruntowniej.

Sprawa polska stanowiła od początku wykładnik wszelkich stosunków, wojną tą wywoływanych; zresztą sama wojna wybuchła jako dalszy skutek rozbiorów Polski, około też jej wskrzeszenia obracała się nieustannie oś wojenna. Gdyby kiedyś zrobiono spostrzeżenie, że to była wojna o Polskę, byłoby, w tym uogólnieniu dużo prawdy.

Polska znalazła się w samym środku walczących obozów nie tylko geograficznie, ale też moralnie. Nic było epizodu wojennego, który by nie oddziaływał na sprawę polską;

nie było wzajemnie w Polsce takiego epizodu z polskich ruchów politycznych, który by nie wpływał na szanse stron walczących, zanim jeszcze ententa Polskę uznała za stronę walczącą. Sprawa polska stanowiła jakby sprężynę mechanizmu wojny powszechnej; sprężynę niewidoczną dla laika, ale politycy wszystkich narodów zdawali sobie z niej doskonale sprawę.

Gdyby kiedyś napisał kto historię tej wojny ze stanowiska polskiego, rzecz taka byłaby zapewne niedostatecznie wszechstronną, ale stanowczo nie byłaby jednostronną; owszem, byłaby wielostronniejszą, niż gdyby ten sam temat traktować ze stanowiska któregośkolwiek innego narodu, choćby największego i najpotężniejszego, choćby nawet ze stanowiska angielskiego.

Horyzont polityczny polski był w ciągu wieku XIX najszerszym, bo Polska wciągnięta w sprawy trzech państw tak różnych swymi stosunkami międzynarodowemu zahaczała mimo woli o wszystko a wszystko na widnokręgu politycznym. Polak znał sprawy państw niemieckich, liczył się z welfizmem i z pangermanizmem, badał od dawna antagonizmy francusko-niemiecki i angielsko-niemiecki, a zarazem współzawodnictwo angielsko-rosyjskie w Azji, i niemieckie dorobkiewiczostwo ostatniego pokolenia. Z polską sprawą posiadała ścisły związek od początku sprawa kolei bagdadzkiej, tak samo jak każde powstanie gruzińskie, czy zatarg konstytucyjny w Finlandii. Byliśmy w interesach z tuzinem narodów „austriacko-węgierskich”, obchodziła nas niemal bezpośrednio sprawa o Adriatyk, bo tyczyło się nas wszystko a wszystko, co tylko mogło być zawikłać w wojnę którejkolwiek z państw rozbiorowych. Jak daleko sięgał horyzont polityczny wszystkich ich trzech, tak daleko i nasz, ale nadto objąć musieliśmy wzrokiem patriotyzmu polskiego interesy tych państw, które mogły się znaleźć w jakiegokolwiek kolizji z któremukolwiek z tych trzech. Słowem: interes sprawy polskiej mieścił się wszędzie niemal, a skutkiem tego nasz horyzont polityczny był niezmiernie szeroki. Kto pilnował szans sprawy polskiej, studiował czujnie politykę na wszystkie cztery strony świata.

Horyzont polski szerszym był od angielskiego, który nie obejmował spraw wewnętrznych rosyjskich ni niemieckich, austriackimi zaczął się zaś zajmować ledwie od

lat kilkunastu; nie obejmował zaś przed wojną Rumunii, ni Serbii, ani Danii, ni Szwecji.

Oceniać stosunki międzynarodowe i cały wielki tłok wydarzeń dziejowych ostatnich lat ze stanowiska polskiego, nie jest tedy bynajmniej objawem ciasnoty myśli. Patrząc na rodzący się w naszych oczach nowy okres dziejów, orientując się w wirze współczesnych wypadków przez polskie kryteria, można przejrzeć cały ten splot Historii, co nie jest możebnym ze stanowiska jakiegokolwiek innego narodu. Cała ta wojna powszechna wybuchła jako skutek dalszy rozbiorów Polski, jako powtórne po wojnach napoleońskich ogólne wstrząśnięcie Europy; można powiedzieć, że wojna toczyła się z powodu Polski i o Polskę, bo dla tej przyczyny, że Polski na politycznej mapie nie było, a po to, ażeby ją przywrócić, gdyż gdyby jej nie przywrócono, lub przywrócono niedostatecznie, nienależycie, połowicznie groziłaby Europie nieuchronnie jeszcze raz wojna powszechna. Ze sprawami każdego innego narodu posiadała i posiada pewna tylko część tego splotu historii związek, pewna więc tylko część daje się określić z jego stanowiska, gdy tymczasem Polak orientował się w zawikłaniach wojny tej lepiej (oczywiście *caeteris paribus*), bo sam mocniej w nich duchowo uczestniczył, głębiej w nich tkwił, choćby dlatego, ponieważ wszechstronniej od nich wszystkim zawisłym był od wojny powszechnej całą swą dołą i niedołą. Z narodowego tedy polskiego punktu widzenia najprzejrzyściej ogarniało się całokształt tej wielkiej sprawy, jednej z największych w dziejach powszechnych.

Patrząc na coś wielkiego i skomplikowanego z dołu, dojrzy się niejedyn tajnik, bo się podpatruje niejako maszynierię przedmiotu, mechanikę tych rzeczy; widzi się mnóstwo szczegółów, niedostrzegalnych dla obserwatorów w innych okolicznościach. Ale też widzi się szczegółów za dużo! i przez to niełatwo wyrobić sobie sąd ogólny, uchwycić wielkie linie zarysu. Polak atoli, gdy biegły jest w swej polskości i mocny w tym, co stanowi Polaka, rozmyślając około tej wojny powszechnej, nie był bynajmniej ograniczony do podpatrywania rzeczy z dołu; ani też nie musiał ni na chwilę opuszczać swego stanowiska narodowego, by objąć całokształt wypadków, ogólną ich treść i generalną syntezę, bo sama sprawa polska zapewniała mu owo górne stanowisko, z którego należało ogarniać całość i orientować się w niej krytycznie.

Sprawa polska nie jest bowiem wyłącznie narodową. Nie tylko mieści w sobie niemało pierwiastków powszechności, ale stanowiąc przyczynę istotną wojny, stając się coraz wyraźniej jej wykładnikiem, nabierała coraz większego znaczenia dla przyszłości; tkwią w niej tedy pierwiastki nowego w Europie porządku, a porządku wyższego, udoskonalonego. Nie wiadomo, czy Polacy tego nie zmarnują, ale faktem jest, że sprawa polska mogłaby być zadatkami postępu Europy i postępowego dalszego rozwoju dziejów powszechnych, a w danym razie rękojmią takiego postępu. Nie tylko przeto dostarczała polskość dostatecznie górnego punktu widzenia, lecz ten właśnie punkt widzenia górował stanowczo ponad innymi, jako zaczerpnięty ze sprawy najwyższej według kryterium najwyższego, bo kryterium moralności.

Aktualnymi stały się słowa Skargi: „Nie dlatego tylko miłujemy Polskę, Ojczyznę naszą, że nas żywi, ale iż jest postanowienia Bożego”. Nie przestała Polska być taką, jak ją określił Skarga.

Zdawało się, że pokonanie systematu pruskiego stanowić będzie walne zwycięstwo uczciwości i wolności, że odetchnie sobie Europa od zmory wojennej, od pokoju zbrojnego i od krętactw dyplomacji. Legły dynastie, które były złymi duchami Europy, i nikt nie myślał tworzyć nowych na ich miejsce; powiał duch republikański, rozbrzmiało hasło, jako narody mają stanowić same o sobie. O cóż tedy miałyby się na przyszłość prowadzić wojny? Przez krótki czas błoga nadzieja rozpieierała piersi, ażeby ustąpić wnet przygnębieniu.

Zdawało się, że skoro nastąpił koniec prusactwa. zniknie militarizm, a skutkiem tego rozpadnie się hegemonia judaizmu, w następstwie zaś upadku żydostwa, upadnie też marksowski socjalizm (cztery ogniwa tego samego łańcucha), zdawało się, że Europa zacznie pracować w spokoju, mając już do sytości skutków urządzeń, przy których homo homini lupus. Radowano się, że danym nam będzie zająć się czymś innym, jak ciągiem wzajemnym pożeraniem się, że nareszcie na miejsce teorii, umiejących tylko przeciwstawiać człowieka człowiekowi, przyjdzie kolej na łączenie ludzi ku rozumnej pomocy wzajemnej.

Ale prusactwa nie pokonano... Poprzestano na pokonaniu Niemiec! Pokój wersalski

układano, jakby kto powywracał na wspak wszystko: z Niemcami można było dojść do zgody byle wyrwać im żądło prusactwa; cały świat spodziewał się, że państwo pruskie zostanie całkowicie zniesione, przy czym ani jednemu Niemcowi nie spadłby włos z głowy i nic by Niemcom nie zginęło, tylko ułożyłyby się rzeczy odmiennie, nie po prusku. Ententa zachowała jednak państwo pruskie a wszystkich Niemców traktowała jednako, a raczej może gorzej od Prusaków, udzielając Prusom ulg rozmaitych – i do dnia dzisiejszego stawiając się ostro, ilekroć chodzi w Niemczech o interes niepruski, ale czyniąc ustępstwa bez końca, gdy zachodzi interes specyficznie pruski. Zanosilo się na rewizję politycznej mapy Niemiec, na nowe twory państwowe, na rozszerzenie niektórych kosztem Prus; zapobieżono temu, utrzymano nadal Prusy na czele Niemiec.

Na wschodzie zanosilo się na powstanie potężnego państwa polskiego. Jak się wysilano, żeby Polskę osłabiać, nie potrzebuję tego wyliczać; wystarczy zaznaczyć, że gdyby ententa była po upadku Niemiec i Rosji pozostawiła Polskę „własnemu przemysłowi”, bylibyśmy mieli od początku granice takie, jakich wymaga geografia polityczna, bylibyśmy od dawna panowali bezsprzecznie na całym Śląsku i nad Gdańskiem, zadalibyśmy prusactwu ostatni cios, i bylibyśmy na drodze do federacji państw słowiańskich, bałtyckich, Węgier, Czech i Bałkanów. To wszystko bowiem stanowiłoby było prostą konsekwencję klęski niemieckiej, a potęgi polskiej. Ale ententa zachowała się tak, jak gdyby zawarła nagle ścisły sojusz z Niemcami przeciwko Francji, a jeszcze bardziej przeciw Polsce. Od pewnego momentu osią polityki uprawianej przez zwycięskie mocarstwa stała się dążność do podkopywania Polski. Narobiono nam nieprzyjaciół, a równocześnie kazano być „żandarmem Europy” przeciw bolszewizmowi; ośmielano każdego, kto chciał Polsce szkodzić, a gdy kto chciał pomóc, zakazywano wyraźnie i srodze. Robiono nam mnóstwo trudności na zewnątrz i wewnątrz, aż w końcu doczekano się bolszewików pod Warszawą, skąd wraz z Niemcami, z całym prusactwem, mieli ruszyć dalej. Nareszcie spostrzeżono się i dopuszczono, że Francji wolno było ratować swoje interesy nad Wisłą, a gdy naród polski pokazał znowu, że umie sobie dawać radę, w tej chwili posypały się znów zastrzeżenia, że Polska nie śmie być silną.

Kto więc właściwie wygrał wojnę? Francja często, a Polska bardzo często

wyglądały na zwyciężonych, którym się z łaski na coś pozwala; zwłaszcza Polska zepchnięta została na stanowisko czegoś, co się toleruje, skoro się nie można tego pozbyć... Każdy Polak doznawał po stokroć wrażenia, że chętnie pozbyłoby się Polski, gdyby to było możebne. Z początku widzieliśmy, że Prusacy miłszymi są od nas; w końcu mieliśmy sposobność obserwować, że bolszewicy doznają większych od nas względów w Londynie.

Obok tego dziwna jakaś niewyraźna gmatwanina intryg zionęła od stołu narad pokojowych. Jak gdyby kto rozpętał wszystko Zło, ile go tylko może się zmieścić po wszystkich kątach Europy, spragnionej tak Dobra, gotowej przyjąć je z uwielbieniem. Radzono, jakby to urządzić, żeby nie dopuścić do trwałego pokoju. A więc postarano się, żeby ani jedna z kwestii politycznych w Europie całej nie była załatwiona zasadniczo. Używano ciekawej metody. Raz głoszono prawo samostanowienia narodów, a więc zasadę etnograficzną – i wtedy dało się Czechom niemieckie prowincje, poddano im całe terytorium osobnego zupełnie narodu słowackiego, a nawet Ruś węgierską i polskie krainy kłaska; to się nazywa zasadą etnograficzną. Ale w imię tejże etnografii odrywało się od Polski całe kraje czysto polskie, jak np. Śląsk lub Wileńszczyznę. Czasem przebąknięto coś o zasadzie historycznej: ale nigdy przecież Słowacczyzna do państwa czeskiego nie należała, gdy tymczasem Galicja Wschodnia należała do Polski! Krętanina zasad dwóch służyła do zamaskowania braku jakiegokolwiek zasady; faktem tylko było, że wobec Polski powoływano się na obie, na historyczną I etnograficzną, na każdą z nich wtedy mianowicie, kiedy można ją było zwrócić przeciw Polsce.

Interesy polskie stanowiły najwyrazistszy przykład tej metody, ale nie jedyny. Podobnie postarano się, żeby zostawić materiał do przyszłych wojen pomiędzy Jugosławią a Włochami, Jugosławią a Rumunią lub Bułgarią, ale także pomiędzy Bułgarią a Grecją itd. Nie zostawiono kąta w Europie bez posiewu wilczych kłów. Rozjątrzone nie mało ran do Stanu doprawdy gorszego, niż przed wojną, niż przed zwycięstwem zasady „samostanowienia”. Było kilka takich wypadków, że rozdrapywano rany, gdy zanosilo się na zagojenie! Byle fermenty zostały!

Zdawało się, że Anglia, „stary sobek”, tak politykując. Ale Anglia nie mogła mieć

żadnego interesu w dopomaganiu do sojuszu rosyjsko-niemieckiego, który byłby zwrócony przeciwko niej. Jakież interesy Anglia miała i ma nad Niemnem, ale są to drobiazgi wobec szkód, na jakie narażała i naraża się popieraniem wszystkich tych dążeń antyfrancuskich i antypolskich. Są tu w grze sprawy o pięć części świata, nie o kolano rzeki Niemna! Jeżeli znaczna część Europy nie będzie mogła zaznać spokoju z powodu tego, że Prusy stać na opozycję przeciw traktatowi wersalskiemu, mogłoby się to skończyć wreszcie na tym, że dla zapewnienia sobie nareszcie spokoju szereg państw wejdzie w porozumienie kompromisowe z Niemcami, i zacznie się odrodzenie pruskiego militarizmu i... czyż znowu wszystko da capo? Ale nie powtarza się nic w takiej samej formie; a następnym razem może powtórzenie wypaść w sam raz na czas, kiedy Anglia będzie bardzo zajęta gdzie indziej, a stosunki europejskie mogą zaważyć na szali rozstrzygająco.

Błąd polityczny mieści się na końcu krótkiego ramienia dźwigni, ale skutki są na końcu ramienia długiego i zataczają szerokie łuki!

Ani tedy Anglia nie odniosła z pokoju wersalskiego korzyści bezwzględnych a trwałych, a przynajmniej nic odniosła takich, jakie mieć by mogła. Któż więc zwycięzcą naprawdę?

Wojnę wygrało „mocarstwo anonimowe”, państwo bezziemne, judaizm. Byłby ją wygrał również w takim razie, gdyby stroną strategicznie zwycięską byli Niemcy. To obojętne dla Żydów, kto wygrał na polu bitwy: ktokolwiek tam wygrałby, oni byli zawsze przygotowani zagarnąć owoce zwycięstwa.

Przez całą wojnę stali po stronie niemieckiej. Doznaliśmy w Polsce tego żydowskiego germanizmu do sytości. Cała prasa żydowska głosiła, że Żydzi stanowią nierozdzielną część „niemieckiej kultury”, najlepszą rękojmię germanizacji, przedłużenie ramienia niemiecczyzny daleko na wschód, ubezpieczenie najdokładniejsze niemieckiego panowania nad Polską i wierności tejże Polski względem Niemiec; zwracali uwagę, jak to żargon niemiecki jest niemieckim dialektem właściwie i wprasali się na niemieckiego żandarma nad Polakami. Żądali za to, żeby im dopomóc do utworzenia „Judeo-Polonii”, który to termin techniczny spotykało się u nich dzień w dzień.

Wiadomo było z góry, że Żydzi staną po stronie Prus. Militaryzmowi zawdzięczali swą dojrzewającą hegemonię nad państwami Europy. Militaryzm bowiem wytworzył atmosferę „wysokich finansów”, których najlepszą wylęgarnią były olbrzymie pożyczki państwowe na zbrojenia, deficyty, przesilenia („krachy”); a przy finansowaniu każdej pożyczki państwowej otrzymywało się tyle koncesji; robiło się tyle interesów ubocznych! A olbrzymie armie, intendentury ich, umundurowanie, dostawa broni, same wreszcie popisy wojskowe i na dodatek lekkomyślny tryb życia oficerów – dostarczały bogactw nie komu innemu jak Żydom, niemal wyłącznie Żydom. Dzięki militaryzmowi mieli stosunki wszędzie, wszędzie współników, wszędzie mieli „swoich”, od komisji badają cel rekruta aż do ministerstwa wojny, a te stosunki służyły do wyrabiania innych w prawo i w lewo; faktem było, że w ministerstwach Rosji, Niemiec, Austro-Węgier żywioł żydowski był uprzywilejowany pod każdym a każdym względem.

Militaryzm jest największym i najwyższym „interese”, jaki tylko może być na świecie; gdyby on zniknął, ubyłoby Żydom nie tylko większej części interesów najzyskowniejszych, ale usunęłaby się im spod nóg podstawa do hegemonii ekonomicznej nad całą Europą, a skutkiem tego także runąłby pomost do politycznego owładnięcia Europy.

Militaryzm stanowił drogę do panowania judaizmu, był zaś ruiną cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Nie było lepszej sposobności do zwalczania chrześcijaństwa. Z militaryzmem rodziło się tyle potworności, doprowadzających do absurdu zasady chrześcijańskie, iż utrzymanie go stanowiło dla judaizmu kwestię najdonioślejszą. Militaryzm wytwarzał w całej Europie ową mętną wodę, w której łowi się najlepiej ryby. Urządzanie stosunków ludzkich zmierzało coraz wyraźniej do dwóch końców: żeby zapanowała powszechna nieprzyjaźń wszystkich przeciw wszystkim – i żeby z tego judaizm ciągnął jak największe zyski wśród upadającego chrześcijaństwa.

Obrona Prus łączyła się przeto zasadniczo z widokami germanizatorskiej Judeo-Polonii. Ale strona niemiecka przegrała. Czyż przegrają, skutkiem tego Żydzi? Bynajmniej! Oni mają wszędzie „naszych”, dadzą sobie radę. Przegrali wojnę, a wygrali traktat wersalski.

Francja nic uzyskała w warunkach pokojowych potwierdzenia ani połowy nawet swych postulatów, ale Żydzi wystąpili z postulatami i uzyskali wszystkie a wszystkie. Nie było żądania, którego by nie byli przeforsowali na konferencji pokojowej.

A pierwszym żądaniem była znów Judeo-Polonia. Ponieważ program ten wykonalny byłby tylko w Polsce słabej państwowo i społecznie, więc wysilali się i wysilają dotychczas na zaostrzenie stosunków społecznych w Polsce i nie dadzą odetchnąć od propagand przewrotowych. od strajków, agitacji „antymilitarnych”, rozdymania sprawy agrarnej itp., żeby tylko nie nabrała sił „biała gęś”; na zewnątrz zaś dopilnowali, żeby „sprzymierzeni” obchodzili się z Polską gorzej, niż z pokonanym wrogiem. Użyli natomiast całej swej mocy, zorganizowanej od N. Yorku do Petersburga, żeby ocalić Prusy, a ocaliwszy je, wyświadczyli im i wyświadczyają tysiące przysług; tym sposobem powstały też wszystkie owe ciosy, spadające na Polskę niespodzianie, a wymierzone w obronie Prus. Gdybyż judaizm mógł odebrać Polsce niepodległość i z pomocą wrogiemu polskości rządu obcego urządzić Judeo-Polonię! Skoro to już niemożliwe, więc za wszelką cenę osłabiać Polskę, a wzmacniać Prusy!

Jeżeli się powiedzie zachować Prusom zdatność do wznowienia militaryzmu, i jeżeli się równocześnie zesłabi Polskę jak najbardziej, może jeszcze kiedyś być Judeo-Polonia pod egidą pruską, a w takim razie judaizm wzniesie jeszcze wyżej swą hegemonię.

Na dnie tych wszystkich stosunków i objawów tkwi to, co tkwi zawsze na dnie spraw wielkich: kwestia cywilizacji; w tym wypadku zachodzi walka żydostwa z chrześcijaństwem, prowadzona na całej kuli ziemskiej. Polska ma nie tylko zaszczyt należeć w tej walce do chrześcijańskiego obozu, ale zbiegiem okoliczności (a także w zasłudze swego historyzmu) zajmuje w nim jedną z najważniejszych placówek; zrzućcie Polskę z jej placówki pociągnęłoby za sobą przełamanie całej linii bojowej. Bardziej, o wiele bardziej może, niż za czasów Chocimia i Cecory jesteśmy dziś antimurale christianitatis.

Na Prusy spadła hańba, iż znalazły się w obozie antychrześcijańskim; nie na próżno stanowią wykładnik jednej z kultur bizantyńskich, podobnie jak niegdyś Fanar należał także do obozu antychrześcijańskiego przeciw Polsce.

2. Państwo.

Wystąpiłem w poprzednim ustępie z twierdzeniem, jako pierwszą wojnę „z całą nacją niemiecką”, prowadzoną w wieku XV pod egidą Polski, prowadzono o wiele gruntowniej niż niniejszą. Obecnie brakło bowiem zasadniczego rodzaju broni: mianowicie propagandy. Odczuwano, że stępienie prusactwa przysporzy narodom wolności, a wytepienie stałoby się początkiem pokoju powszechnego na całe wieki, i może jakiegoś nowego układu sił w Europie, -ale jakiego? nikt nie wiedział. Odczuwano, ale niczego nie obmyślano. Nie miano nic pewnego do powiedzenia o przyszłym ustroju Europy, ni państwowym, ni społecznym; nikt nie występował z żadnymi nowymi tezami jak niegdyś Brudzewski.

Jeżeli tak było podczas wojny, cóż mówić o pokoju wersalskim? Dokonał on tego, że owo odczuwanie okazało się złudzeniem! Nic się nie zmieniło zasadniczo w metodzie sprawowania rządów, nic w systemie stosunków międzynarodowych. Nastąpiła zmiana osób niejako, nie rzeczy. Na miejsce hegemonia pruskiego nastął angielski, ale także hegemon; a nowy hegemon miał za plecy ma tego samego suflera jak dawny: judaizm, taki sam błędnik krętaństw dyplomatycznych, taka sama niepewność; najzupełniej takie samo wyrugowanie etyki z życia publicznego, a zwłaszcza ze stosunków międzynarodowych. Ostatecznie widzimy, że nie było propagandy, bo... nie było czego propagować. To też, gdy się zjawiała propaganda bolszewicka, miała powodzenie bez konkurencji.

Polska stanowiła wyjątek o tyle, iż miała do propagowania coś wielkiego: niepodległość. Przyznać też trzeba, że od samego początku pojmowano sprawę odzyskania państwa narodowego ze stanowiska powszechnego jako pozyskanie posterunku dla powszechności narodów pożytecznego. Można zaś śmiało udzielić Polsce dyspensy, że nie wchodzono w szczegóły, jak Polska będzie powszechności postępu pożyteczną, co mianowicie zamyśla nowego wniesć do Europy; gdzie się walczy o samo istnienie państwa, a do tego o utworzenie go, nie czas na programy. Owszem, świadczy to dobrze o Polakach, że sobie powiedzieli: niechajże ta Polska będzie jakąkolwiek, byle była!

Ale Francja, Anglia, Wiochy nie miały zgoła nic do powiedzenia o przyszłym

państwie i przyszłym społeczeństwie jakie miałyby nastąpić po pokonaniu systematu pruskiego. Walczono z Austrią i z Węgrami o niepodległość narodów, kilku, a więc o stawki historycznie wielkie, ale lokalne; z Prusami także o niepodległość Polski, ale ta sprawa była trochę niejasna, bo o to samo nie walczono z Rosją, uważając to samo tam za sprawę „wewnętrzną rosyjską”. Hasła zaś ogólnoeuropejskiego zgoła nie było; przynajmniej nie było ono określone.

Ta niewyraźność sprawiła, że potem tak łatwo było popsuć wszystko w pokoju wersalskim... Nastąpiła zmiana państw, lecz nie zmiana państwowości, a w sprawach społecznych nie rzucono też znikąd hasła zbawczego przeciwko głoszonej ze strony judaizmu atomizacji społeczeństwa.

Wojna powszechna wybuchła wcześniej, nim zdołano przygotować grunt do nowego okresu dziejów, zapowiadanego instynktowo. Logos został wyprzedzony przez Ethos. Teraz trzeba albo szybko dogonić go, albo być przygotowanym na rozłam cywilizacyjny, który mógłby się nawet stać początkiem upadku cywilizacji naszej. Zwyciężyły państwa zachodnioeuropejskie, ale cywilizacja zachodnioeuropejska wcale nie wyszła zwycięsko, Tak się zbiegły okoliczności.

Przypatrzmy się bliżej niebezpieczeństwom, grożącym naszej cywilizacji w zakresie państwa i społeczeństwa.

Pojęcie państwa ulega zmianom w kolei wieków; obecne pojęcie trwa już dziwnie długo, bo od czasu pierwszych legistów na północy Alp, a więc niemało jest przestarzałym. W niektórych stronach Europy trzymano się

225 humanistycznego przeżytku z jakimś zacietrzewieniem, wyężdżając siły, żeby pojęcie o istocie państwa nie ulegało zmianom, żeby przedłużyć panowanie żywiołów, których rządy doprowadziły do powszechnej katastrofy.

Państwo nowoczesne lubi nazywać się „prawnym”; doprawdy dlatego chyba, że nie ma takiej ohydy, której by nie podjęło się ubrać w formy prawne! Państwo to powstało w okresie humanizmu, wykształcone następnie w szkole tzw. „oświeconego absolutyzmu”, zrobiło już dawno wszystko, co mogło być zrobić dobrego, i działa od dawna tylko wstecznie, zawadzając rozwojowi cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej.

Państwu temu przydano parlamentaryzm, ale tylko na powłokę zewnętrzną, która w istocie państwa niczego jednak nie zmieniła. Doczepiono ustrój parlamentarny do państwa starego, uprawiającego nadal stare metody polityczne i administracyjne, do państwa, do którego nie nadaje się system parlamentarny. W tym przyczyna, dlaczego parlamentaryzm z prócz jednej Anglii nie wydał nigdzie należytych owoców (w Anglii wyrósł bowiem ewolucyjnie z dążeń społecznych, jak niegdyś w Polsce). Jest tedy system reprezentacyjny nową etykietą nalepioną na stare szaty. A system ten jest sprawą tak zasadniczą, że wymaga, ażeby do niego dostosowane było wszystko tak w państwie, jako też w społeczeństwie; natenczas dopiero można oczekiwać od niego owoców należytych.

Nie minęło zresztą pół wieku, odkąd większość państw europejskich przyjęła ustrój parlamentarny, odkąd go już nie znoszono; zbyt krótko tedy istnieje, ażeby można było rozliczać się dokładnie w jego wydatności. Często słyszy się, jakoby system ten już się przeżył. Nie! lecz w państwowości samej trzeba wiele zmienić, żeby system reprezentacyjny mógł działać w sposób właściwy, żeby nie był czymś luźnym a sztucznym, bez związku z innymi urządzeniami państwowymi, a nawet w sprzeczności ze wszystkim innym dokoła siebie.

Forma państwowa musi być w ogóle giętką, dającą się przystosować do każdorazowych zmian w społeczeństwie. Dla społeczeństw europejskich XIX w. dotychczas jeszcze formy takiej nie obmyślono. Wielka rewolucja francuska i wojny napoleońskie, rozszerzone na całą Europę skutkiem rozbiorów Polski, obdarzyły kontynent europejski szeregiem pojęć, których nie ujęto nigdzie w system państwowy, ani nawet we Francji; każde z nich luzem działało i działa, na wyrywki, dorywczo, bez ładu i składu, pogrążone w mieszaninie psrej z pojęciami wręcz przeciwnymi! Od półtora niemal wieku burzy się Europa, nie mogąc wytrzymać w przestarzałej państwowości, a nie umiając zdobyć się na nową. Tak jest! od końca XVIII wieku do dziś dnia trwa wielka zaległość nusarchii europejskiej! Jedyna ustawa państwowa, utworzona na kontynencie europejskim bez rozlewu krwi, ewolucyjnie, konstytucja Trzeciego Maja, która zapowiadała się tym pięknie, że miała podlegać rewizji co 25 lat, odmładzając się w każdym pokoleniu – nie dożyła ani pięciolecia...

Europa stawiała się coraz lichszym epigonem humanizmu w zakresie pojęć państwowych, przezuwając teorie przestarzałe; a gdy nie zdobyła się na nową państwo-wość, więc ponad przeżytkiem humanizmu przewrotowe dążności pozyskały sobie wolne pole, jako jedyne objawy postępowości. Na koniec ogół uwierzył, że hasła konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu są wyczerpane, że pielęgnowanie ich nie doprowadzi do niczego.

A tymczasem prócz Anglii w całej Europie nigdzie jeszcze nie było dotychczas ani na chwilę prawdziwej konstytucyjnej formy rządu! Walczono o prerogatywy Korony i o prawa ludu, o systemy głosowania, o dwu- i jednoizbowość parlamentu, zżymano się na kamaryllę i na demagogię, gdy tymczasem kwestia konstytucjonalizmu spoczywała i spoczywa w czymś innym, a mianowicie w odpowiedzialności urzędnika wobec obywatela za szkody wyrządzone mu złą wolą czy też niedbalstwem lub nieumiejętnością w urzędowaniu. Takiej odpowiedzialności nigdzie nie ma, ledwie zabrano się do teoretycznego ujmowania kwestii, a dopóki tego nie ma, wszelkie spory o konstytucyjność są zabawką. Można pospisywać konstytucje nie wiedzieć jakie, i pozwolić obywatelom urządzić choćby nawet rewolucje o to lub owo z haseł ustroju konstytucyjnego, rozszerzać prawo głosowania, choćby do 14 roku życia wstecz – i dworować sobie ze skłonnego do rewolucji tłumu, dającego się i po rewolucji rządzić według widzimisię zwierzchności za pomocą nieodpowiedzialnych urzędników, Gdyby dać spokój tamtym wszystkim hasłom i hasełkom, a tę jedną przeprowadzić odpowiedzialność, odraza zmieniłoby się wszystko w państwie, i wtedy dopiero mogłaby rozwijać się naprawdę demokracja ewolucyjnie, bo wtedy dopiero widzimisię zwierzchności zostałyby usunięte. Dotychczas zachodzi zaś straszliwe po prostu przeciwieństwo pomiędzy formami konstytucyjnymi, a faktyczną metodą sprawowania rządów; administracja daje się parlamentom „wygadać”, a robi swoje według recept starego absolutyzmu. Jeszcze chyba nikt nigdzie w żadnym urzędzie całego kontynentu europejskiego nie miał sposobności obserwować ducha konstytucyjnego! Nie ma urzędu, który by nie mógł popełnić nadużycia bezkarnie, jeżeli zgadza się ono z życzeniami urzędu wyższego. I to ma być ustrój konstytucyjny!!

Nie wytworzyło się nowej formy państwowej, odpowiedniej rozwojowi cywilizacji łańskie, a tymczasem- szerzy się państwowość jak najprzeciwiejsza tej cywilizacji, państwowość bezziemna, przenikająca jak eter wszystkie nasze państwa terytorialne i przewodząca nad niemi, zagarniająca je wszystkie pod swą hegemonię...

Przyjęte powszechnie zasadnicze pojęcia o państwie trzeba poddać rewizji, bo okazało się, że można przy nich robić doskonale coś wręcz przeciwnego, niż one głoszą.

Przed wszystkim zarzec się trzeba uwielbiania państwa. a nowy okres dziejowy będzie silną przeciw temu reakcją. Będzie się też wymagało mniej od państwa, a więcej od społeczeństwa. Odniosą z tego prądu korzyści narody rozporządzające większą siłą społeczną, słabsze zaś społecznie poniosą tym znaczniejsze straty. Świat będzie zawsze dla silnych. Po panowaniu siły politycznej przyjsć może panowanie bardziej bezpośrednie społecznej, ale także... siły. Państwo musi stawać się coraz bardziej zależnym od społeczeństwa, to też skutkiem tego społeczeństwa słabe nie będą mogły odgrywać roli politycznej.

Wśród przesilenia pomiędzy dawnym a nowym okresem dziejów można i wiele zyskać i wiele stracić, stosownie do tego, czy kto będzie dostatecznie silnym społecznie w chwili politycznie stanowczej, czy też będzie w takiej chwili społecznie słabym. Zbliżamy się w szybkim pochodzie do czasu, w którym siła społeczna stanie się jedynym źródłem politycznej. Biada tedy społeczeństwom, które nie wytworzą na czas należytego stanu swej siły społecznej!

Przyszłość państwa polskiego zależy również od wartości polskiej siły społecznej. Niechajże każdy roztrząśnie w swym sumieniu tę sprawę, czy w ciągu dwóch lat od odzyskania niepodległości nasza siła społeczna wzmagala się czy też malała, i dlaczego?

O ileż ważniejsza to kwestia od pytania, czy monarchię stanowić, czy republikę. Autor niniejszego dziełka jest sam wprawdzie republikaninem z przekonania, ale twierdzi z całą stanowczością, że nie to jest kwest ją pierwszorzędną w państwowości. Mylne to mniemanie, jakoby państwa dzieliły się na monarchie i republiki, na cesarstwa, królestwa, wielkie księstwa i rzeczpospolite. Państwa dzielą się na biurokratyczne i obywatelskie, na centralistyczne i autonomistyczne. a wobec tych kwestii sprawa o koronowanego czy

niekoronowanego naczelnika państwa, o dożywotność jego czy periodyczną wybieralność jest sprawą stosunkowo drobną.

Obywatelskość państwa polega na tym, że obywatele nie tylko posiadają jak najszerszy samorząd, co musi być połączone z decentralizacją, ale nadto jak największa część funkcji administracji publicznej zdana jest na instytucje obywatelskie, nie urzędnicze; państwo obywatelskie nie znosi w ogóle biurokracji i nie da się żadną miarą z nią pogodzić.

Tylko obywatelskie państwa zdołają wytworzyć stosowną dla nowych czasów ilość siły społecznej; biurokracyzm bowiem nie tylko nie może jej wytwarzać, lecz musi ją psuć i osłabiać. Tylko bez biurokracji przyspieszyć można chyżość historyczną, gdyż biurokracja opóźnia i tamuje wszelki rozwój społeczny, pchając społeczeństwo tym samem do rewolucyjności; to też im znaczniejsze gdzie stanowisko biurokracji, tym podatniejszy tam grunt dla prądów przewrotowych. Można by o rewolucji powiedzieć, że jest emanacją biurokracji; jakoż lubi się urządzić tak samo biurokratycznie, jak ten ustrój, który zwykła zwalczać, jak o tym poucza historia.

Mylnym jest mniemanie, jakoby biurokracja odznaczają się lenistwem, brakiem poczucia obowiązku itp. Nic fałszywszego! Nie zna biurokracji, kto tak o niej sądzi. Ludzie nieobowiązkowi zdarzają się wszędzie, i na urzędach, ale to nie ma nic do biurokracji. Biurokracja jako taka pełną jest właśnie gorliwości, i tak pilną, iż marzy tylko ciągle o powiększaniu swej roboty; ona rozwija się w toku pracy, a pragnie pracować zawsze i wszędzie. Urzędnik leniwy jest leniem, ale nie biurokratą; jedno, nie ma nic do drugiego. Gdyby zło biurokracji polegałoby na lenistwie urzędników, jakżeż łatwo byłoby biurokrację zreformować! Ale to zło jest, niestety, całkiem niezależne od pracowitości lub próżniactwa osób; ono jest w ogóle całkiem niezależne od osób. Gdyby biurokracja składała się z samych najlepszych patriotów, z samych wzorów pilności i wszelakiej obowiązkowości, byłoby w ogólnym rezultacie to samo, co bywa bez tych przymiotów. Oto tragedia biurokracji, że w niej dobre przymioty są bezskuteczne, bezowocne. Każda biurokracja, choćby „najlepsza” (jak np. pruska) musi być szkodliwą i na to nie ma rady. Każda biurokracja stanowi chorobę nieuleczalną, albowiem reforma biurokracji jest

niemożliwością. Odkąd istnieje na świecie biurokracja, istnieje też kwestia jej reformowania, istnieje ciągle, bez ustanku; ale ani razu jeszcze w całej historii powszechnej nie powiodła się. Żaden historyk nie potrafi wskazać przykładu dokonanej gdziekolwiek reformy biurokracji⁴⁹; gdziekolwiek i kiedykolwiek próbowano reformę taką przeprowadzić, zawsze na czymś utknęła i ani razu się nie udała.

Najlepsi urzędnicy nie zdołają utworzyć dobrej biurokracji. bo ona jest złą zasadniczo i nieuleczalnie. Biurokracja marnuje niepotrzebnie tysiące porządnych ludzi oto cały jej dorobek, a milionom zawadza. Nic o rodzaj ludzi bowiem chodzi tu, lecz o sam system.

Biurokrację zaszczepiły u nas dopiero rządy zaborcze. Biurokracja była nieznaną polskiej umysłowości, niezrozumiałą, wręcz niepojętą. Polska sztuka rządzenia polegała na rozbudzaniu ducha obywatelskiego, a pruska, austriacka i rosyjska na tłumieniu go; Polską rządili obywatele, państwami zaborczymi biurokraci. Umysłowość polska jest zaś tego rodzaju, że żadną miarą nie może wysnuć dla siebie nic dobrego, choćby z najlepszego systemu biurokratycznego.

Wszystkie najlepsze chęci biurokracji manie są w Polsce, z góry skazane na zmarnowanie. Być może, że pozostaje to w związku z tym, że w Polsce nie było feudalizmu, ho czyż biurokracja nie jest feudalizmem urzędniczym?

Im bardziej trzeba nam wzrostu siły społecznej, tym bardziej trzeba zaniku biurokracji. Stać nas na instytucje obywatelskie! Posiadamy nawet wybitne zdolności w tym kierunku. Podczas wojny, kiedy cały świat wysiłał się na „wydoskonalenie” biurokracji, w Polsce, gdzie były jakieś swobody obywatelskie, a więc w Małopolsce powstawały instytucje godne podziwu, a mieszczące w sobie niepowszednie zarodki dobrego, celowego ustroju administracyjnego. Zwrócę uwagę na dwie takie instytucje: na krakowski „Komitet książęco-biskupi”, który był wzorowym ministerstwem pracy, zdrowia i opieki społecznej, tudzież na „Straż obywatelską”, która z milicji rozwijała się

⁴⁹ W Prusach po wojnach napoleońskich nie reformowano, lecz zaprowadzano nową całkiem biurokrację, ową „najlepszą”, która doprowadziła jednak także do katastrofy swoje państwo.

w wyborną policję, we władzę jakąś administracyjną pierwszej instancji, niezrównaną w swej prostocie, szybkości i taniości urzędowania, w wyśmienicie funkcjonującą kontrolę nad zachowywaniem przepisów, gdy ją pospiesznie usunięto z widowni. Jestem przekonany, jako w owej „Straży obywatelskiej” mieścił się zawiązek całego obywatelskiego systemu administracyjnego, i byłby się wyłonił, gdyby pozwolono snuć dalej wątek tego urzędnictwa. A warszawska „samopomoc społeczna” w r. 1920 czyż nie wykazała wybitnych zdolności do administracji obywatelskiej? Krakowski „Komitet walki z lichwą” z lat 1917/18 stanowił tego przykład wprost niezrównany. Szkoda, że wszystkie te instytucje zostały, zagwożdżone przez biurokrację, która gorliwie sama wszystko chce zrobić, ale choćby składała się wyłącznie z osób w szczególny sposób uprzywilejowanych talentami, i tak niczego dobrze zrobić nie potrafi, bo takie jest prawo historyczne biurokracji.

My, Polacy musimy dążyć do silnego państwa, i do społeczeństwa silniejszego od państwa, a zatem musimy obmyślić sobie państwo bez biurokracji. Jeżeli nigdzie na kontynencie nie znajdziemy do tego wzorów, niech nas to nie zbija z tropu; wszakże w dawniejszych wiekach okazywaliśmy twórczość polityczną, twórczość niemałą w zakresie państwowości, czemuż obecnie nie mielibyśmy

popróbować swych sił ku obmyśleniu swoistej formy państwa? Dawaliśmy dobry przykład w wieku XV, XVI, poniekąd jeszcze w XVII i dnia Trzeciego Maja, może nam się i dziś uda wytworzyć coś godnego naśladowania. a doświadczenie zachowa nas od błędów dawniejszych czasów. Praca polska twórcza w dziedzinie państwowości byłaby, pracą europejską zarazem, pracą czynnego i samodzielnego członka cywilizacji zachodniej.

Jeżeli teraz, po powtórnym (po wojnach napoleońskich) wstrząśnieniu całej Europy, znowu nie uda się osiągnąć nowej formy państwowej, w takim razie musi się cofnąć ogólna kultura życia zbiorowego w obszarze całej naszej cywilizacji z wyjątkiem jednym plemienia anglosaskiego. Na kontynencie europejskim zwyciężyć może natenczas forma należąca do innej cywilizacji, choćby orientalna. Państwo „nowoczesne” (ów „Rechtsstaat” nauki niemieckiej) rozłązi się bowiem i absolutnie nie da się utrzymać; cóż ma być na jego miejscu? Socjalizm, który w praktyce staje się burzycielem cywilizacji?

Nowa forma państwowa powstać może tylko przez wyrzeczenie się biurokracji, przez dostosowanie administracji do parlamentaryzmu, do swobód obywatelskich, przez, decentralizację, autonomię prowincjonalną i (w razie potrzeby) narodową. Oto kwestie, o które warto się spierać, bo od nich zależy nasza przyszłość cała! Oto kryteria, według których mamy dzielić się na stronnictwa, a nie według haseł poprzedniego okresu!

Trwa siła bezwładności jeszcze, i to nie tylko w Polsce, bo wszędzie istnieją jeszcze stronnictwa ugrupowane według kryteriów sprzed wojny powszechnej. Ale w państwie niepodległym stronnictwa według okoliczności niewoli i z czasów niewoli to oczywiście stronnictwa przeżytkowe, to epigoństwo. A z epigoństwa jałowość, brak twórczości. Stronnictwa nasze wymagają..., żeby były tworzone całkiem na nowo, z haseł nowych.

Była już mowa o tym (w ustępie 2 poprzedniego rozdziału), jako trzeba będzie „odpaństwić się” w pewnej mierze i ograniczyć państwo do dbałości o bezpieczeństwo życia i mienia obywateli. Jest to kompetencja wcale nie ciasna! Obejmuje przede wszystkim całą politykę zagraniczną, ze względu na bezpieczeństwo granic, i w związku z tym sprawy wojska i floty wojennej – nadto zaś szereg spraw wewnętrznych, dozór nad środkami komunikacyjnymu policję bezpieczeństwa, sprawę monetarną, sądownictwo karne a cywilne w apelacji, i skarbowość z tym wszystkim związaną. To stanowi przyrodzoną kompetencję państwa, tkwiącą w samej jego istocie, i tego nie można mu odbierać żadną miarą.

Reszta należeć winna w zasadzie do samorządu, z którego kompetencji mogą być przekazane pewne sprawy za zgodą interesowanych czynników; można by to nazwać przekazanym zakresem działalności; państwowej, przekazanym państwu przez przedstawicielstwa samorządu. Np. wyobraźmy sobie, że istnieje samorząd prowincjonalny, i że budowa kolei leży w zupełności w jego kompetencji. Każda prowincja stawia sobie koleje żelazne, jakie zechce, a państwo dozoruje tylko, żeby budowa ich i administracja zapewniały należycie bezpieczeństwo życia i mienia. W zasadzie ma więc każda prowincja prawo stawiać linię kolejową do takiego tylko punktu, do którego zechce; ale prosty rozsądek daje rękojmię, że żadna nie przerwie budowy o milę od granicy sąsiednich prowincji, lecz że każda będzie chciała mieć połączenie ze wszystkimi innymi.

W zasadzie każda ma prawo stanowić u siebie taryfy, ale sama natura rzeczy zmusi je, żeby się w tej sprawie porozumiały, i zaprowadzą wspólną taryfę dla całego państwa. Gdyby porozumiewanie się co do trasy kolejowej obchodzącej kilka prowincji, lub co do taryf, doprowadziło do tego, że dogodniej zdać to na władze państwowe, skoro sprawa tyczy całego państwa lub przynajmniej znacznej jego części, natenczas państwo przejmuje – i jest obowiązane przejąć – ten poruczony sobie zakres działania.

Wypadki tego rodzaju zachodziłyby w każdej dziedzinie, stale czy też na czas pewien ograniczając samorząd na rzecz władzy centralnej – na życzenie obywateli. Odjąć zaś trzeba rządowi centralnemu prawo przekazywania swoich czynności czynnikom autonomicznym, jak się to praktykuje na podstawie ustaw austriackich, a co w rezultacie przyprawia jedne i drugie władze o zdrowie; obie chromają.

W praktyce zależałyby przeto granice samorządu a kompetencji władz centralnych po większej części od woli obywateli. Powstałyby stronnictwa centralistyczne i decentralistyczne; byłoby się przynajmniej p co spierać, a nie o czcze frazesy liberalizmu, konserwatyzmu itp. Spierano by się o coś konkretnego, a nie o literaturę polityczną! Spór o centralizację i decentralizację musi atoli polegać na tendencji nie do uszczuplenia kompetencji rządu centralnego, wyposażonego z góry we wszystkie kompetencje, lecz wręcz przeciwnie: opozycja winna dążyć do rozszerzenia kompetencji centralnej, wymierzonej z góry w stosunku do dzisiejszego stanu rzeczy szczupło. Według dzisiejszych okoliczności tej materii, autonomiści, znajdujący się w opozycji, wojują literaturą, frazesami, wytwarzając mimo woli doktryneryzm; gdyby zaś odwrócić stosunek opozycji, natenczas autonomiści wysilaliby się na wzmaganie siły społecznej w kraju, mając do tego otwarte pole, centraliści zaś ograniczaliby się do korektury błędów tamtego stronnictwa.

Zgoła fałszywy jest pogląd, jakoby autonomia powstawała drogą „ustępstw” władzy centralnej, które trzeba na niej z reguły wymusić. Przeciwnie! władza centralna niechaj składa się z ustępstw poczynionych na jej rzecz przez samorządne społeczności. Stosunek kompetencji samorządu do centralnego rządu będzie w takim razie zawsze wskaźnikiem politycznej zdatności i siły społecznej całego narodu. Każdy obywatel

będzie przechodził szkołę praktyczną działalności (a nie tylko swady!) publicznej w samorządzie, poczynając od czynności drobnych (choćby od sztuki utrzymania ulicy w czystości i porządku), a przechodząc stopniowo do coraz wyższych; obywatel będzie zmuszony poznawać maszynię życia zbiorowego – co przy centralizmie należy do takich rzadkości!

Państwo musi mieć jeszcze trzecią dziedzinę swej kompetencji, mianowicie rozstrzyganie wszystkiego tego ze spraw tyczących się dwóch lub więcej prowincji, czego one same we wzajemnym porozumieniu rozstrzygnąć nie zdołają; słowem, państwo wkracza tam, gdzie samorząd nie dopisze. Prawo kontroli samorządu rozumie się też samo przez się, ale sposób wykonywania jej nie może być czynnikiem samorządu jednostronnie przez rząd narzucony.

Te trzy dziedziny działalności państwa zakreślają władzom jego rozległy zakres działania, z wielką odpowiedzialnością; wszystko zaś, co leży poza tymi działaniami, polega na... wścibstwie państwa i stanowi bardzo niebezpieczną pomyłkę polityczną. Państwo dzisiejsze nie spełnia należycie tego, co do niego należy, bo za dużo roli tego, co do niego nie należy. Decentralizacja autonomiczna podeprze i państwo, i społeczeństwo, z tego wykrzesze siły, tamtemu nie da ich marnować.

Gdyby kto dążył do ogołocenia państwa z władzy, popełniłby błąd niemniejszy od tych, którzy doprowadzili do wścibstwa państwa we wszystkie dziedziny życia (nie wyłączając kuchni!!!). Co do państwa należy, z tego nie można oddawać niczego autonomii, ani też pod żadnym pozorem osłabiać władzy państwowej, która w' zakresie sobie właściwym winna być jak najsilniejszą. Żadna sprawa polityczna nie może być oddaną autonomii, bo polityka musi być uprawianą jednolicie w imieniu całego państwa, bo inaczej państwa) utraciłoby szacunek i znaczenie. Dlatego też autonomia narodowa nie może obejmować żadnej a żadnej materii politycznej, ani niczego ze spraw władzy centralnej zastrzeżonych; autonomia żadna w ogóle. a więc ani narodowca, polityczną być nie może. Autonomia polityczna wymaga terytorialności i granic, może się więc tyczyć tylko prowincji, kraju. Jeżeli kraj jakiś posiada dane do autonomii politycznej łącznie z narodową, w takim razie tworzy odrębne wyłącznie narodowe terytorium. a zatem

należy mu się niepodległość; autonomia narodowa jest sprawą krain o ludności mieszanej, gdzie nie ma żadnego terytorium wyłącznie narodowego, ponieważ zaś polityka musi ogarniać wszystkich, musi więc pozostać przy władzy centralnej państwowej, a nie przy każdej z narodowości osobno.

Pewne państwo może się dobrowolnie zrzec pewnej części swej samodzielności politycznej na rzecz związku z drugim państwem, lub drugimi państwami, które ze swej strony zrzekają się tej samej części swojej samodzielności w takiż sam sposób. Powstaje związek państw luźniejszy lub ściślejszy; gdy ogarnia wszystkie zasadnicze funkcje państwowe (wojsko, skarb, politykę zewnętrzną), zowiemy go federacją.

W historii polskiej zwano unią federację ograniczoną do wspólności monarchy, wspólnej monety i wspólnej polityki zewnętrznej, z odrębnym jednakże skarbem i osobnym wojskiem. Składała się przeto unia według dzisiejszego słownictwa z konwencji wojskowej, konwencji monetarnej, z sojuszu zaczepno-odpornego w stosunku do wszystkich na zewnątrz i z unii tzw. personalnej. Według dzisiejszych pojęć ani wojskowa, ani monetarna konwencja, ni też sojusz zaczepno-odporny, nie stanowią jeszcze federacji, skoro nie ma wspólnego skarbu, ni wspólnej armii należy tedy unię polsko-litewską uważać nie za realną, lecz za personalną, połączoną z sojuszem i konwencjami. Nie sięgała więc unia tak głęboko wewnątrz obydwóch państw, jak się powszechnie przypuszcza; była związkiem znacznie luźniejszym od tego, co dziś zowiemy federacją, choćby w najskromniejszych rozmiarach. Doniosłość unii i jej głębia nie z państwowych pochodziły czynników, lecz z cywilizacyjnych. Pod państwowym względem był to związek nie sięgający wcale głęboko.

Gdybyśmy obecnie chcieli z którymś z ościennych zawrzeć „unię”, byłoby to za mało i za dużo. Za mało, jeżeli ościenny ów pragnie się łączyć z nami politycznie na stałe, a za dużo, gdy zamiarów takich nie żywi. Do zawarcia zaś terminowej konwencji nie trzeba uderzać w żadne wielkie dzwony, ani poruszać ludzkich dusz do głębi. Nieraz nie uda się coś dlatego, że uważa się za trudne i skomplikowane to, co jest prostym. Dzisiaj do ściślejszych związków z ościennym wiedzie droga prosta od konwencji jednej do drugiej, od niedługiej do coraz dłuższej; to jedyna nowoczesna droga, a wszelkie inne są

przestarzałe. Federacja jest zbiorem i sumą konwencji zawartych na czas nieograniczony.

Nic ulega wątpliwości, że przyszłość Europy w federacjach. mających w końcu połączyć się w jedną wielką federację: w Stany Zjednoczone europejskie, które w łączności (w konwencji jednej i drugiej) ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki mogłyby zapewnić na dziesiątek wieków dalszy rozwój cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej i zapewnić jej bezpieczeństwo wobec napom innych cywilizacją.

Nie ma w sobie nic federacyjnego „Liga Narodów”, wieńcząca fiasco pokoju wersalskiego, ponieważ nie wymaga od swych członków żadnych zrzeczeń częściowych suwerenności, ale narzuca natomiast faktycznie słabszym hegemonię silniejszych; faktycznie tedy dąży do odbierania im suwerenności. Federacja przestrzega natomiast równouprawnienia, to też prawdziwa federacja wychodzi z inicjatywy słabszego, bo jemu głównie jest potrzebna. Federacja jest bronią słabszych, ale silnego chroni od zmywy słabszych przeciwko niemu.

„Liga Narodów” powstała w sposób sztuczny, papierzany; dla Historii zdaje się być dość obojętną. Może mieć wielką wartość, jako ostrzeżenie, żeby nie urządzać za jej wzorem federacji papierzanych, tj. obmyślanych sobie samemu bez udziału drugich, jako pomysł, a nie jako program. W polityce pomysł, nie mogący zamienić się na program, znamionuje doktrynerów, w co Polska niestety obfituje. Pomysły należą do literatury politycznej, do rządu – programy. Program zajmuje się obmyślaniami nie celów, lecz środków do celu dojrzałego już do osiągnięcia. Federacja da się osiągnąć wtedy, gdy jej słabszy pożąda mocniej od silniejszego. Narzucanie się z federacją jest najskuteczniejszym sposobem na coraz większe utrudnianie jej. Gdyby dopuścić do pomieszania pomysłów a programów, gdyby pomysł uważać za program, natenczas doszlibyśmy rychło do absurdów, w sprawie np. federacji, nie mając jej w danym razie z kim zawierać, można by dla miłości tej formy politycznej zakładać umyślnie państwa, z którymi następnie wchodziłoby się w federację. Byłoby to czymś takim. jak gdyby np. państwo jakieś chciało uprawiać politykę zewnętrzną, nie mając... granic. Eksperyment taki byłby eksperymentem kwestii: ile też złego potrafi się wytrzymać?

„Liga Narodów” jest tylko pomysłem, nie mającym w sobie nic programowego.

Cechą programu musi bowiem być to, ażeby podawał kolejno środki wykonania czegoś, a nie tworzenie aparatu apriorycznego dla całej sprawy odraził. „Liga Narodów” zachowuje się tak, jak gdyby naprawdę istniała jaka liga narodów i w tej pomyłce jej śmierć, Tymczasem uczciwie należy sam pomysł, jako taki, i powiedzieć sobie, że warto by dążyć do wykonywania go tak, jak się zawsze w polityce wszystko wykonywa, tj., stopniowo, częściowo, po kolei. Trzeba, żeby jakie państwo zrobiło szczęśliwy początek z jakim swoim sąsiadem, i żeby do utworzonego ogniska przyłączali się następnie, stopniowo, kolejno, inni.

Które z państw powołane będzie stać się jądrem przyszłych Stanów Zjednoczonych europejskich, śmiesznym byłoby udawać, że się to przewiduje. Rzecz zależy zaś od trzech czynników: po pierwsze od stosownego położenia geograficznego, po wtóre od stopnia zaufania, wzbudzanego w słabszych i po trzecie od tego, czy będzie się posiadało we własnym państwie instytucje, które by sobie inne państwa pragnęły przyswoić; czy się będzie wzbudzało ochotę do naśladowania.

Właściwie, biorąc rzeczy ściśle, tylko ten ostatni warunek jest decydującym, bo gdzie on się znajdzie, tani drugi z warunków wytworzy się po pewnym czasie, a pierwszy stanowi tylko ułatwienie, lecz nie jest niezbędnym. Np. gdyby Portugalia celowała ładem, a wymyśliła formę państwowości stosowną dla nas i potomnych, i gdyby wytworzyła wielką siłę społeczną, gdyby instytucje jej wzbudzały podziw i zazdrość ościennych, a postępowanie ze słabszymi zaufanie ich w uczciwość polityki portugalskiej, natenczas łatwiej byłoby Portugalii złożyć federację sięgającą daleko, niż Polsce, posiadającej położenie centralne, gdyby np. pełna była nieładu, gdyby nie miała u siebie niczego takiego, co ościenni pragnęliby mieć także u siebie... To trudno! nasuwa się mimo woli porównanie ze świata handlowego: chcąc handlować, trzeba najpierw mieć towar.

Ponieważ żadne państwo (ani nawet Niemcy!) nie jest a priori wykluczone od tego, iżby się stać jądrem federacji, nie jest też wykluczoną Polska. Posiada do tego siłę historyzmu swego i niektóre potrzebne rodzaje twórczości, tudzież wspaniałe warunki geograficzne; ale narazić nie posiada... towaru. W chwili, gdy się to pisze, nie posiada ani nawet granic. Z czasem może się wszystko znaleźć, a miejmy otuchę, że się znajdzie;

oczywiście stopniowo, kolejno. Zależć będzie i to, jak cała nasza przyszłość w ogóle, od stosunku naszego do najwyższego regulatora historii. Ten naród będzie pierwszym, który najdokładniej wypełni warunki „regulatora”. W nim tedy zawarte są zarazem warunki patriotyzmu owocnego, skutecznego.

Opuściliśmy jednak, omawiając kwestię państwa przyszłości, zagadnienie militarizmu; zostawiłem je umyślnie do tego miejsca, bo zagadnienie to pozostaje, w związku z kwestią federacyjną.

Któżby pragnął utrzymać militarizm?

Chociaż Rosja jest najstarszym z militarystycznych państw w Europie (od r. 1480), jednakże grzęzła w nim dlatego, ponieważ grzęzła w turańskości, a grzęzła w niej tak dalece, iż wytworzyła nawet swoistą kulturę turańsko-słowiańską. Jeżeli zwycięży w Rosji cywilizacja zachodnio-europejska, jeżeli nastąpi pomiędzy taką Rosją a Polską porozumienie co do granic; w takim razie Rosja może się obejść bez militarizmu: w razie jednak czy to zwycięstwa cywilizacji turańskiej na nowo, czy choćby przedłużenia zgubnej mieszaniny cywilizacyjnej, Rosja pozostanie organizacją militarną, a skutkiem tego sąsiedzi jej będą zmuszeni utrzymać również militarizm u siebie.

Nigdy atoli nie wyrzekną się militarizmu Prusy: zawsze będą do przywrócenia go dążyły.

Prusy – to państwo nieoparte o żadne podstawy etnograficzne, ani ewolucyjnie historyczne, zawdzięczające istnienie i rozwój tylko pewnej metodzie politycznej, głównie militarzom i... życzliwości dworu petersburskiego. A czyż można sobie wyobrazić Prusy bez militarizmu? Mogą atoli istnieć bez niego Niemcy. Wszakże Niemcy a Prusy, to nie to samo! Niemcy bez pruskiej cechy i przewagi mogłyby być pogodzone z całą Europą, jako czynnik równorzędny, – dopóki zaś są sprusaczone, musi cała Europa zwracać się przeciwko nim. Bardzo to zajmujące zagadnienie na najbliższy przyszłość: jak długo jeszcze zechcą Niemcy ryzykować pomstę Europy za podtrzymywanie prusactwa? A co tylko pozostanie wśród Niemców pruskiego duchem, musi trzymać się militarizmu jako swej *conditio sine qua non*. Z drugiej strony wszystko, co antypruskie w Niemczech, oświadczałoby się za rozbrojeniem, gdyby mogło być pewnym poparciem z zewnątrz.

Wystąpiłby przeciwko Prusom czynnik najpotężniejszy, bo stosunki ekonomiczne, nie pozwalające inaczej podnieść się z ruiny, jak przez zniesienie militaryzmu.

Walczyć z pruskim porządkiem rzeczy w Europie, stało się probierzem honoru i postępu; takim że probierzem musi się to stać w Niemczech. Ponieważ atoli zawisło to od samych tylko Niemców, i nikt na to wpływu mieć nie może moralnego, nie możemy tedy przewidywać, czy w najbliższej przyszłości oni się odprusaczą, czy też sprusaczą do reszty. Skoro zaś zwycięzcy dopuścili dalszego istnienia państwa pruskiego, muszą przynajmniej dwa państwa pozostać nadal militarnymi: Francja i Polska.

Militaryzm mógłby natenczas tylko być zgładzonym całkiem z powierzchni Europy, gdyby w Rosji zwyciężyła cywilizacja zachodnia i nastąpiła zgoda jej z Polską – i gdyby zgładzonym zostało państwo pruskie.

Jeżeli żaden z tych dwóch warunków nie dojdzie, trzeba będzie toczyć nadal wojny i utrzymywać zbrojny pokój. Jeżeli spełni się sam tylko rosyjski warunek, zyska na tym Polska bezpośrednio, a więc Francja pośrednio, bo w danym razie rozporządzałaby Polska znacznie większymi siłami przeciw Niemcom, ale Europa będzie zawsze i tak zagrożoną niebezpieczeństwem, że pożar wojenny udzieli się jej z powodu Prus. W razie zniknięcia samego tylko pruskiego niebezpieczeństwa, a pozostania rosyjskiego, niebezpieczeństwo takiego pożaru nie groziłoby, gdyby się zdecydowano utrzymywać nad Dnieprem dla obrony Polski armię europejską, wspólną. Zwolniłoby to Polskę i świat cały od militaryzmu, bo wystarczyłoby, by każde z państw europejskich utrzymywało nad Dnieprem $\frac{1}{5}$ dotychczasowej swej armii.

W każdym razie nadzieja zniesienia militaryzmu związana jest ściśle z dopomożeniem Polsce, by nie tylko utrzymała swą niepodległość, lecz by stanowiła znaczną siłę polityczną. Wszelkie osłabianie Polski odkłada wdał możliwość usunięcia militaryzmu. Tu się okazuje, do czego wiedzie doktrynerstwo, skoro widzimy, jak najmocniej starają się osłabić Polskę ci sami, którzy najhucniej występować zwykli przeciwko militaryzmowi: socjaliści „wszystkich krajów”.

Ponieważ trudno przypuścić, żeby Europa zajmowała się zapewnieniem Polsce siły politycznej, będziemy musieli wraz z Francją pozostać państwem militarnym aż do czasu

załatwienia kwestii z Rosją i z Prusami. Wraz z Francją będziemy musieli pielęgnować starannie sztukę wojenną, bo nas do tego zmuszą Prusacy. Gdyby zaś zniknęły Prusy, a pozostał sam tylko bolszewizm, natenczas- prawdopodobnie my sami na całą Europę uprawialibyśmy tę sztukę, stawalibyśmy się panami położenia, dzięki przewadze wojskowej – i zaczynałoby się znów błędne koło, boć sąsiedzi państwa uzbrojonego muszą starać się, żeby byli uzbrojeni... jeszcze lepiej.

Jedynie tylko wydatna pomoc Polsce, by mogła teraz stać się potęgą polityczną, może ocalić Europę od militarizmu. Polska, osiągnąwszy swoje cele, a bezpieczna od Prus i Rosji, sama chętnie wyrzekłaby się militarizmu, który nie ma żadnych podstaw ani w historyzmie polskim, ani w ludowości, którego jednak nie można usuwać, gdy go wymaga interes Ojczyzny.

Taką jest powszechność sprawy polskiej, iż od toku jej spraw zależec będą długo jeszcze interesy moralne i materialne Europy.

Skoro nie ma być Europie danym wydrzeć się ze szponów urzędzeń militarynych, a przynajmniej nie tak rychło, zastanówmy się, czy nie można by uczynić jednak wojska instytucją pożyteczną także podczas pokojowego jego bezrobocia. Nasuwa się na myśl przykład, dany przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1482 po zrujnowaniu Ukrainy przez hana Mengli-Gireja. Przeprowadzono wtedy „odbudowę kraju” w sposób następujący: Ogłoszono pospolite ruszenie, chociaż nie zamierzano prowadzić żadnej wojny; zebrawszy w ten sposób 20,000 robotnika, ujętego w kluby wojskowe, poprowadzono tę rzeszę robotniczą do Kijowszczyzny. Tak Litwa odnowiła Ukrainę. Gdyby w naszych czasach użyto żołnierza w podobny sposób, odnowiłyby się szybko wszystkie zniszczone kraje polskie. Doświadczenie wojny! powszechnej nauczyło, że rekrut po sześciu tygodniach może być wyćwiczony „na front”. Służba wojskowa wynosi jednak dwa lata; gdyby tedy przez jeden rok uczyć żołnierzy rzemiosł, a przez drugi kazać im pracować na rzecz państwa, jakżeż prędko stosunkowo mielibyśmy mieszkania, pola obsiane, drogi naprawione, fabryki w ruchu, rzeki uregulowane itp.! Jakżeż wzmogłaby się nasza siła społeczna, wzmagana nadto stale z roku na rok nauką rękodzieł, udzielaną setkom tysięcy! Jakżeż przywiązałby się do kraju żołnierz, który włożył w jego budowę swą pracę;

sam wzajemnie zawdzięczając tej pracy, że ma „chleb w ręku” na resztę życia! Wtenczas mogliby dopiero wszyscy powiedzieć, że pracowali dla Polski, a jest to prawidłem psychologicznym, że człowiek przywiązuje się do przedmiotu swego znoju.

Skoro roztrząsamy sprawę państwowości według najnowszych bied i kłopotów, zastanówmy się także nad hasłem „samostarczalności państwa”, rzuconym w Niemczech podczas wojny. Hasło brzmi nader ponętnie, ale to tylko frazes. Od biedy można samemu sobie starczyć, gdy się niewiele potrzebuje, ale na czasy normalne chodzi raczej o to, by potrzeb nie uszczuplać, lecz zadowalać wszystkie, jakie tylko tworzy cywilizacja. Gdyby samostarczalność stosować do nauki, do literatury, do jakiegoż doszlibyśmy absurdu?! W sprawach ekonomicznych jest to niewykonalne, jeżeli się nie zechce ograniczać ogromnie skali życia; my już zbyt kosmopolityczni w naszym życiu powszednim. Gdy chodzi! o zaspokojenie naszych codziennych potrzeb, musi się już patrzeć na globus, bo mapa nie wystarcza! W takich czasach kazać nam obejść się tym, co sami produkujemy, można tylko wyjątkowo, na czas niedługi, inaczej cofałoby się poziom cywilizacyjny, przecinając tysiące stosunków i tysiące warsztatów pracy.

Pomyłono samostarczalność z niepodległością ekonomiczną, o której stanowi aktywność bilansu, a nie obywanie się swymi własnymi produktami i wyrobami. Albańczycy byliby w takim razie ekonomicznym ideałem Europy!

Samostarczalność już nie dla nas! My zmierzać musimy do współdzielczości w spółce narodów tj. do świadomego i celowego uzupełniania się wzajemnego ekonomicznego. Gdy tę, organizację ekonomiczno-międzynarodową ustalimy choćby jako tako, federacja będzie bliską, jako prosta konsekwencja. Skoro współdzielczość międzypaństwowa zapewni każdemu państwu wszystko, czego jego ludności potrzeba – tendencje zaborcze utracą wszelką wartość materialną (ideowej nie mają od dawna).

Jakżeż żal zbiera, gdy się pomyśli, jak mało w Polsce wykształcenia ekonomicznego, które niebawem będzie najpotrzebniejsze ze wszystkich! Nie zbudujemy my Polski potężnej naszym wykształceniem literackim...

Takie nasuwają się główne wątpliwości co do państwa dzisiejszego i zmian

państwowości, wyłaniających się na horyzoncie. Trzeba się zdecydować, bo inaczej pozostanie na placu tylko judaistyczny marksizm, poprzestający na negacji, a nie głoszący nic pozytywnego – i państwo bezziemne judaizmu, dobijające się dla swego przedstawiciela krzesła w Lidze Narodów; a zatem pozostanie na placu tylko państwowość przestarzała, skazana na rozkład, jeżeli się jej na czas nie zreformuje, i zaprzeczenie państwowości według naszych pojęć cywilizacyjnych; a więc rozkład z dwóch stron.

Państwo zachodnio-europejskie musi być zreformowane według zasad cywilizacji łacińskiej, więc po chrześcijańsku, albo runie pośród nas porządek państwowy.

Nie można cywilizacji stosować do państwa i regulować jej według rzekomych wymogów państwowych, urojonych spoza cywilizacji własnej! lecz państwo musi się stosować do zasad i, pojęć danej cywilizacji, jednej i tej samej. Państwo, choćby najrozleglejsze i najpotężniejsze, jest wobec cywilizacji taką samą łupinką, jak najwspanialszy statek wobec oceanu.

Skóro państwo ma się stosować do cywilizacji, a nie odwrotnie, a zatem państwo cywilizowane nie może być cywilizowanym na dwa sposoby; musi być przejęte jedną jedyną tylko cywilizacją i jej służyć. Wpuścić do maszyny dwóch mechaników, z których każdy będzie inaczej korbować, śrubować, suwać, kręcić – znaczy to: zepsuć maszynę.

3 . S p o ł e c z e ń s t w o .

Od czterdziestu lat słyszy się wciąż zapowiedź odmiany świata pod hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” . Socjalizm był pacyfistyczny, i chełpił się, że wojna będzie niemożliwa wobec jego agitacji. Wybuchła wojna powszechna, i proletariusze wszystkich krajów nie tylko zaczęli strzelać wzajemnie do siebie, ale stali się najgorliwszymi rzecznikami wojny, szli tuż obok dworskiej wojennej kamaryli. Co więcej: socjaliści, którzy przez całe dziesiątki lat wyrzekali się patriotyzmu, jako pojęcia ich zdaniem szkodliwego dla postępu i zaklinali się, że nie znają żadnych względów ni uczuć, jak tylko „międzynarodowe”, przedzierzgnęli się bez trudności w patriotów, poszli wszędzie za hasłami „lokalnymi”. Nadszedł bolszewizm, rewolucja grubego kalibru, którą

socjaliści powitali z zapałem, by jednak po bardzo krótkim czasie stać się sceptykami. Bolszewizm wzbudził nawet w Rosji opozycję tych, których uszczęśliwienie zapowiadał, i trzyma się tylko terrorem rozciągniętym zarówno nad proletariatem, jak nad „burżuizmem”. Gdy zawierucha ta szła na Polskę, wielu obiecywało sobie z tego wiele; ale prócz tych, którzy mieli być zaliczonymi do szlachty bolszewickiej, zwanej komunistami (a z nich arystokracja: komisarze), wszyscy inni ucieszyli się, gdy bolszewików wygnano. W Rosji terror coraz większy, jak gdyby nikt nie chciał tej rewolucji. A za to w Polsce nowe odgrążania się „gniewem ludu”, nowa strajkomania, ochota do czegoś nieokreślonego, byle się do tego dało przylepić etykietę rewolucyjną. Istne błędne koło. Głosi się rewolucję, a gdy przyjdzie, woła się, że to nie ta; przygotowuje się własną, ale czym ona ma się różnić od tamtej, nikt nie wie. Uprawia się „międzynarodówkę”, a pomaga się własną krwią patriotom. prosto z pola walki wyzywa się towarzyszków boju, że są wyzyskiwaczami ludu i że dobrze byłoby zgładzić ich z powierzchni ziemi; ale bierze się udział we wszystkim wraz z tymi „wyzyskiwaczami”.

Takie widowisko dają światu od dość dawna organizacje rewolucyjne od Niemna po Ebro. Rzecz widoczna aż nazbyt, że tu zachodzi jakieś kręcenie się w kółko, jakaś bezkierunkowość, objawiająca się z reguły takim właśnie kołowaniem. Istnieje niezadowolenie, są więc niedomagania, ale jaka na nie rada, nikomu nie wiadomo. Na tle niezadowolenia dokonuje się jednak agitacja rewolucyjna, która również nie wie, co to za rewolucja ma być. i co ma być po niej, zbywając te zagadnienia frazesami.

Wniosek z tego, że mamy do czynienia z jednej strony z brakiem zdolności politycznej, a z drugiej z agitacją rewolucyjną dla rewolucji, która nie ma być środkiem do czegoś, lecz sama sobie celem. Pyle rewolucja! Nic chodzi zatem istotnym kierownikom tego ruchu o budowanie czegoś, lecz tylko o niszczenie.

O ile przewrotowcy ukazują tłumom jakieś cele, bywają one zawsze z poza cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej czerpane: wszelkie zaś działanie praktyczne zwrócone jest stale i nieodmiennie przeciw chrześcijaństwu. I tak np. wszystkie obozy rewolucyjne, od socjalistów do bolszewików, głoszą zniesienie własności nieruchomości, i to nawet jest głównym punktem ich propagandy, gdy tymczasem cała cywilizacja nasza

opiera się na pojęciu własności prywatnej nieruchomości. Wszystkie obozy rewolucyjne głoszą, że religii nie myślą prześladować, gdyż to rzecz prywatna, ale wszystkie walczą z Kościołem, a o ile mogą go dosięść, prześladują; bolszewicy nawet specjalnie lubowali się w mordowaniu kapłanów; ale również wszystkie te obozy odznaczają się poszanowaniem i przychylną tolerancją względem religii starozakonnej, a bolszewicy protegują ją nawet.

Ślady źródła agitacji rewolucyjnej są aż nazbyt wyraźne wobec tych faktów; ale samo usposobienie rewolucyjne, samo niezadowolenie tym się wytłumaczyć nie da. A zdaje mi się, że należy je tłumaczyć całkiem inaczej, niż to dotychczas próbowano.

Przed wszystkim nie trzeba sądzić, jakoby było w tym coś szczególnego, że w naszych czasach jest dużo niezadowolenia; tak bywało po wszystkie czasy, i będzie zapewne, dopóki ludzie zdolni są wyobrażać sobie coś więcej i coś lepszego, niż mają, póki pragnąć będą poprawy bytu. Byłoby źle, gdyby ten prąd zaginął. Ani też nie stanowi to specjalności naszej doby, że dążność do poprawy bytu przybiera cechy nienawiści i zawiści; historia zna tego przykładów niemało. Bywały już także ruchy, łączące z kwestią materialną chleba powszedniego rozległe rojenia reform wielostronnych, nieobmyślnych należycie, nie kwalifikujących się do poważnego roztrząsania; bywały utopie tłumów i utopie uczonych. Utopijność naszego okresu stanowi socjalizm, ponieważ każdy okres musi mieć swoją utopijność, można by na stwierdzeniu tego stanu rzeczy poprzestać. Ale sprawa ma inną jeszcze stronę, znamioną rzeczywiście dla naszych czasów.

Tamtym ruchom rewolucyjnym i tamtym utopiom tłumów poprzednich wieków było co przeciwstawić i zawsze powstawał świeży ruch pozytywny, żądaniu reform utopijnych dorównywały reformy pozytywne, i po pewnym czasie okazywała się nowa rzeczywistość lepszą od utopji, którą też porzucało się... aż do następnej. Za naszych czasów nie ma jednak czego przeciwstawić socjalizmowi. Reformy społeczne? Ależ one wszystkie polegają na tym, że państwo zrobi to, czego socjalizm chce, i wykonuje częściowo utopię, zmierzając coraz widoczniej do spełnienia tego, z czym niby walczy. Podczas wojny państwo zmieniło się do reszty na socjalistyczne; wiedziało, co kto kupuje, co jada (faktem jest, że przez jakiś czas istniała kontrola, co się gotuje w kuchni), aż

doszliśmy do tego, że trzeba mieć pozwolenie („kartkę”) na kupno ubrania, a nawet węgla, władza ma prawo skazać obywatela na zmarznięcie. Od tych reform życie już brzydnie, a na inne jakoś się nie zanosi. Niby jesteśmy przeciwnikami socjalizmu, ale brniemy w niego coraz głębiej. Istnieje ślepy program zwalczania socjalizmu, przez spełnienie jego postulatów, byle tylko uniknąć rewolucji i wywłaszczenia. Ale to na nic; stanąwszy na równi pochyłej, dochodzi się już i do wywłaszczenia. Rolnik częściowo nie jest już właścicielem gruntu, lecz państwo; tytularni właściciele domów miejskich są już dawno bezpłatnymi administratorami dla państwa.

Otóż takiego widowiska historia jeszcze nie miała, żeby rząd zwalczał pewien prąd za pomocą zamienienia go na rządowy. Pomysł cały jest niemiecki: tam wymyślono Kathcdersozialismus i Staatssozialismus, a na pierwszego takiego socjalistę wybrał się był sam Bismarck. Widocznie ani profesorowie niemieccy, ani statyści nie posiadali własnego, oryginalnego programu społecznego; nie ma go też dotychczas.

Jest jeszcze jedna strona tego przedmiotu. Niezadowolenie wcale nie jest czynnikiem zasadniczo ujemnym; mieliśmy sposobność stwierdzić (na początku rozdziału V), że stanowiąc podłoże sceptycyzmu, a w dalszym następstwie krytyki, może wieść do poszukiwania dróg nowych, a zatem do rozwoju. Tym razem niezadowolenie nie wydało z siebie najmniejszego ziarna twórczości, nie wiodło do rozwoju naszej cywilizacji w danym zakresie, lecz tylko do podkopywania jej, i to systematycznego, przedsiębranego sprytnie, planowo.

Cóż jednak robiono w obronie tej cywilizacji? co miano do przeciwstawienia socjalizmowi? Walczono z nim, udowadniając poważnie, że nie ma racji, że jest teoretycznie błędny, praktycznie nie wiodący do celu; polemizowano i polemizuje się – bez potrzeby i oczywiście bez skutku. Nie o, to wcale chodzi, czy socjalizm jest teoretycznie i praktycznie trafny, ale o fakt, że pomimo swej błędności jest jednak wielce popularny, a siłę swą opiera na masach niezdolnych odróżnić trafności od błędów – nie na rozumowaniach więc, lecz na uczuciach. Gdybyż to chodziło o logikę, sprawa byłaby stosunkowo łatwa, ale tu chodzi o psychologię.

Dziś socjalizm trzyma się wprawdzie już tylko siłą bezwładności i za kilkanaście

lat wyparuje w przestrzeni dziejowej, ale masy muszą dostać coś na jego miejsce; sytuacja może więc pogorszyć się jeszcze bardziej, bo na miejsce socjalizmu może się 'zjawić coś jeszcze bardziej, destruktywnego. Wszakżeż mieliśmy już u siebie domorosłych bolszewików. Trzeba tedy przewidywać, że dostarczanie tłumowi doktryn, zwróconych przeciwko naszej- cywilizacji, może trwać długo, bardzo długo.

Jak długo to potrwa, można określić z całą ścisłością: tak długo, aż się znajdzie doktryna, tłumowi psychologicznie odpowiadająca, a zgodna z cywilizacją zachodnią, zgodna z chrześcijaństwem. Socjalizm spopularyzował się dlatego, ponieważ posiadał monopol nad duszą tłumów, bo mu z ramienia naszej cywilizacji niczego nie przeciwstawiano. Raz tylko Leon XIII. wydał swą niezrównaną „Rerum novarum”, ale nie kontynuowano tego dzieła, nie snuto dalej wątku tej osnowy; dano encyklice przebrzmieć, zrobiono z niej akt archiwalny po arcykrótkim czasie. A potem już milczenie, przerywane tylko dla prowadzenia czezej polemiki ze socjalizmem.

Tam, gdzie zachodzi potrzeba popularnego hasła, musi wygrać ten, kto je rzuci, obojętnym zaś jest, kto ma słuszność. Ludzie trzymają się socjalizmu nie dlatego,

że sobie wyrozumowali jego teorię, ale dlatego, że w niego wierzą. Oto istota sprawy.

Tłum zawsze opiera swe pojmowanie ustroju społecznego na wierze w jakąś doktrynę. Był czas, kiedy wierzono, jako wola Boska decyduje o ziemskim stanie człowieka; szedł chłopek na pańszczyznę, „bo taka wola Boska”. To minęło. Ludowi wiejskiemu wszczepiono potem ideę dynastyczną (popularyzował ją usilnie Kościół), i szedł chłopek w ogień, w wodę „za cesarza”. To się skończyło. Trzeba było nowej wiary polityczno-społecznej dla „młodszej braci”, ale im jej nie dostarczono. Z próżni skorzystał socjalizm i wypełnił ją. Długo nie mógł sobie dać rady na wsi, aż jednak w końcu przeprowadził „czarne strajki”.

Zastanawiając się nad potrzebą jakiejś wiary o życiu zbiorowym, wiary obok religii, wiary w sprawach świeckich, dojdzie się do przekonania, że to jest zupełnie to samo, czym pośród inteligencji jest potrzeba ideałów, które również obok religii istnieją, stanowiąc jakoby naszą świecką wiarę. W zasadzie jest i to i tamto – tym samym. Jest to kult ideałów

na rozmaitych stopniach intelektu.

Zdaje się to być prawem historycznym, że zawsze istnieje w naszej cywilizacji obok religii Ideał do religii nie należący. Stosunek jego do religii rozmaity w rozmaitych czasach i miejscach; temat to arcyciekawy dla historyka, niestety ani nawet nie tknięty. Miejmy otuchę, że kiedyś znajdzie chętnych badaczy. Dziś ciemną zagadkę stanowi fakt, że judaizm i islam obchodzą się bez tej dwoistości, gdy tymczasem chrześcijaństwo, religia najwyższa zdaje się jej wprost wymagać, potrzebować do swego apostołstwa, bo chrystianizm nie przyjmuje się, a przynajmniej nie utrwała, gdzie nie ma kultu ideałów. Żyd lub muzułmanin mają wszystko w, Koranie, w talmudzie: wiarę, przepisy religijne, prawo publiczne i prywatne, cywilne i karne, miary i wagi nawet, gdy tymczasem Ewangelia podaje tylko zasady ogólne

wszystkiego, pozostawiając stosowanie ich twórczości człowieka i jego odpowiedzialności. Ewangelia zachęca do twórczości, inne systemy religijne udzielają gotowych szczegółowych drogowskazów życia. W islamie i judaizmie zachodzi dyrektywa z góry, w chrześcijaństwie zaś wolny wybór z dołu; u nas jest twórczość pobudzona Religijnie, u tamtych zastąpiona przez przepisy religijne. Dla nas religijność jest tłem życia, a wypełnić to tło musimy sobie sami; tamci zaś mają wszystko dane gotowe. Za to u nas działa wolna wola, a tam przymus przepisu. W tym źródło większej mocy twórczej społeczeństw, które przyjęły chrześcijaństwo, i przyczyna silniej zaostrzonego intelektu. Sprawia to uboczna religia kultu ideałów, wysnutych z prawd religijnych. W nich zmieści się właściwe wykonywanie religii, tj. stosowanie jej do życia. Twórczość pobudź ona rozszerzą coraz bardziej widnokreśli religijne, w miarę jak z postępem czasu wyłaniają się coraz nowe dziedziny życia, nieznane poprzednim pokoleniom; gdy tymczasem twórczość zastąpiona staje się jakby zbędnym jakimś organem przeżytkowym i zanika, nieużywana: że zaś życie się rozwija, wyłaniają się z czasem dziedziny nieobjęte szczegółowymi przepisami religijnymi, dziedziny poza religijne, a im więcej ich przybywa, tym niniejsze w stosunku do życia pole religii, aż dochodzi się do tego, iż religia, obejmująca zrazu wszystko bezpośrednio, obejmuje po wiekach ledwie cząstkę życia i to cząstkę dla życia współczesnego najobojętniejszą. W taki to sposób religia staje się czymś

wobec życia przestarzałym, i albo ona upada, albo społeczeństwo jej wyznawców kurczy się cywilizacyjnie coraz bardziej, tracąc coraz więcej jej działów.

Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna jest największą twórczynią Ideałów, a samo chrześcijaństwo najsilniejszą kuźnią tego, co pozwoliłem sobie nazwać religią uboczną.

Ideały inteligencji, ideały uczonych i poetów, są subtelnie wyrozumowane, i pochodzą od Logosu; ideały tłumu powstają z parcia Ethosu. Mędrzec uznaje za Dobro to, co pojął wielostronnie; prostaczek zaś to, co jednostronnie odczuwa, Czasem jedno z drugim bywa identyczne, a czasem rozchodzą się ideały warstw społecznych i nastaje rozterka rozdwojonych ubocznych religii.

W okresie porozbiorowym cofnęła się oświata szerokich warstw (z przyczyn, o których była już mowa), zwiększyła się różnica poziomu oświatowego pomiędzy inteligencją a ludem tak dalece, iż lud nie zdołał wznieść się do pojęcia Ojczyzny; dopiero ledwie za naszych czasów mniejszość ludu poczyną to pojęcie rozumieć. Lud, nie mogąc nadażyć ideałom narodowym, musiał mieć swoje odrębne, ludowe. Nie wytworzył ich jednak sam, bo nie wytwarzał ich nigdy ani przedtem. Wiejski lud pozostał bez idealnego poglądu na świat, a miejski przyjął ten system, jaki mu poddano, mianowicie socjalizm, który zaadoptował sobie do swych wyobrażeń w sposób teoretycznie często wprost zabawny, tak że socjalizmem sprzeczny, a jednak nie wytworzył polskiej odmiany socjalizmu, lecz w praktyce oddał się biernie do dyspozycji kierowników.

W socjalizmie znaleziono ową wiarę społeczno-polityczną, tłumowi potrzebną. Socjalizm popularyzował się łatwo, bo jest dogmatyczny. W ten sposób czynił zadość potrzebie ideału wśród tłumów. Tak jest! nie waham się twierdzić, że nie z materialnych szerzył się względów, lecz głównie z pobudek idealnych, tak jak się szerzy np. sekta jakaś. Propagatorom socjalizmu nie brak poświęcenia, zapału, ofiarnością odznaczają się niemal wszyscy; ci, którzy socjalizm wyzyskują do swoich celów, masie „towarzyszy” zakrytych, byliby bezsilni, gdyby mieli z socjalizmu tyle tylko pożytku, ile by go mogli zebrać od ludzi zapatrzonych w zysk samolubny. Takich pośród nas jest jeszcze bądź co bądź mniejszość. Na tyle siły chrześcijaństwo posiada jeszcze nad społeczeństwem. W cywilizacji naszej same samolubne motywy nie wydają owoców; a gdzie one tkwią na dnie sprawy, gdy się

wykryją, sprawa traci zwolenników.

Nie dziwny się popularności wśród tłumu hasła, których kwintesencją: uwielbienie tłumu. Osią socjalizmu w praktyce, socjalizmu ulicznego, a nie z katedry jest samouwielbienie tłumu. Nawiasem mówiąc, zachodzi tu ciekawy objaw husarii zarazem, boć uwielbianie ludu za to jedynie, że jest ludem, jest powszechnie przyjęte wśród całej inteligencji. Fatalna pomyłka, której skutki trzeba ponieść. Błąd tej samej natury, jak w połowie XVIII wieku samouwielbienie szlachty – i w znacznej części skutek tamtego; przeżytek metodyczny zastosowany do warstwy mniej oświeconej, gdy bardziej oświecona już go się wyparła. Samouwielbienie ludowe na wsi spodobano się poetom, ale mniej do poezji nadające się samouwielbienie miejskiego zaułka jest zasadniczo zupełnie a zupełnie tym samym.

Wszelkie samouwielbienie wiedzie w praktyce do zaniku ideałów. Wypróbowano to już w historii po wielokroć...

Stało się tedy, że lukę w psychologicznych potrzebach tłumu wypełniono hasłem zaczerpniętym z poza naszej cywilizacji i w praktyce zwróconym przeciwko niej, bo tłum nie otrzymał ideałów we właściwym czasie z zakresu swej własnej cywilizacji.

Rozterka ideałów pomiędzy ludem a inteligencją zaczęła się już w połowie XVIII wieku, a w Polsce później, niż w innych krajach. W tę kwestię historyczną nie będziemy tu wchodzić bliżej; ogólnikowo zaznaczę tylko, że rozterka nastąpiła wtenczas właśnie, kiedy inteligencja zaczęła tracić ideały. Oczywiście groziłoby coraz większe niebezpieczeństwo naszej cywilizacji, gdyby rozterka ta przeszła w stan stały. Najpewniejszym sposobem zapobieżenia temu jest: posiadać samemu silne, a wyraźne ideały. Idealistyczny) prąd u góry nie może nie oddziaływać na lud, byle postępowała kultura umysłowa tegoż ludu. Im mniejsza bowiem różnica kultury umysłowej pomiędzy warstwami bardziej oświeconymi a mniej oświeconymi, tym większa jednolitość ideałów, tym trudniej o ich rozterkę.

Oto, jak sądzę, tajemnica usposobienia rewolucyjnego mas, i powodzenia przewrotowców, dla których rewolucja jest nie środkiem, lecz celem. Kołowanie i bezkierunkowość, o których była mowa wyżej, tłumaczą się dostatecznie tą

okolicznością, że agitacja owa rewolucyjna pośród naszej cywilizacji odbywa się w kierunku cywilizacji innej, a przy ścieraniu się pierwiastków dwóch cywilizacji w tymże intelekcie nie może się wyrobić kultura czynu (chyba burzeniem).

Ani bowiem tłum – cywilizacji swej nieświadomy nie może być cywilizowanym na dwa sposoby.

Z poza naszej cywilizacji pochodzi tedy agitacja przeciw własności osobistej nieruchomości. Zasadniczo zaś sprzeciwia się chrześcijaństwu w ogóle społeczno-polityczny dogmat o walce klas, jakoby głównym regulatorem historii. Wiemy z poprzednich wywodów, że sprawa nie jest bynajmniej tak... uproszczoną.

Oczywiście interesy warstw rozmaitych nie bywają jednakowe, a czasem, w pewnych szczegółach mogą być chwilowo nawet sprzeczne. Bywało tak jak świat światem, i wiedziano o tym doskonale. Średnie wieki radziły na to autonomią warstw, ponad którą unosiła się najwyższa władza państwowa, uposażona w kompetencję rozstrzygania wszystkiego z interesów dotyczących dwóch warstw, których one nie zdołały załatwić we wzajemnym porozumieniu. Nie sądźmy, że ten ustrój społeczno-państwowy wyczerpał się i dlatego zagiął; ta linia rozwoju została przerwana gwałtownie przez legizm, a zgnieciona całkowicie przez absolutyzm, przeciwny wszelkiej autonomii. Faktem jest, że stronnictwa polityczne kształtują się w ostatnim pokoleniu na całym kontynencie w ten sposób, iż stają się coraz bardziej organizacjami warstw, a nawet zawodów. W parlamentach mówi się nie tylko coraz wyraźniej, lecz coraz jaskrawiej o interesach warstw, powstała nawet teoria o słuszności systemów wyborczych, o ile zdołają dać należyty wyraz „reprezentacji interesów”, tj. warstw. Czyż nasz sejm nie jest zajęty w lwiej części swych debat i tysiącnych „ustaw” sprawami jednej tylko warstwy, to tej, to owej? Społeczeństwo samo zmierza do przywrócenia organizacji warstwowej, chociaż dzieje się to jeszcze nieświadomie; lecz nieświadomość znamionuje pewną konieczność, gdy dzieje się coś samo przez się, bez uprzedniej intencji. Gdyby wiedziano, do czego się zmierza, krzyczano by na „średniowieczne zacofanie”. Dziś sprawa jest już widocznie tak posunięta, iż o powstrzymaniu tego prądu nie ma mowy.

Autonomia warstw, ujmując w łożysko uregulowane pieniące się odmęty, mogłaby

stanowić doskonałe zakończenie „walki klas” – i dopomogłaby do wyrwania z naszej cywilizacji wszelkiego „obcego ciała”. Równouprawnienie warstw w autonomii odjęłoby też możliwość samouwielbienia się którejkolwiek z nich, psychoza musiałaby ogarnąć wszystkie, a w takim razie rzecz doszłaby od razu do absurdu.

Sądzę, że autonomia warstw mogłaby być przystosowaną do nowoczesnych stosunków życia. Nie wdając się w szczegóły, zwracam tutaj tylko uwagę, że istnieje taka sprawa i mogłaby być podniesioną na hasło życia publicznego.

Społeczeństwo, będąc społecznością zróżniczkowaną, nie może posiadać zdolności do rozwoju bez różnaitości warstw, zwanych dziś trywialnie; „klasami”. Konieczność ich walki, i potrzeba doprowadzania jej do ostateczności w imię postępu jest absurdem.

Weźmy dla przykładu zróżniczkowanie najogólniejsze; miasto i wieś. Utarło się, jako interesy ich są sprzeczne tak dalece, iż wykluczają się wzajemnie. A jednak nic mylniejszego.

O niemożliwości dobrobytu włościańskiego bez dobrobytu miast poucza doświadczenie dziejów polskich. Kiedy ustały najazdy tatarskie, a nie było innych wojen, kredy nastał w Polsce okres pokoju tak długiego i pewnego, jakiego Polska nie używała ani za Kazimierza W., kiedy można było kolonizować z całym bezpieczeństwem nic tylko Podole, ale całą Ukrainę, i kiedy otwierała się niejako dobrowolnie droga ku morzu Czarnemu za czasów saskich nastał raj ekonomiczny dla właścicieli ziemskich. Polska nie miała handlować czym jak tylko zbożem, a ceny zboża szły tak w górę w Europie, której spichrzem Polska się stała, iż szlachcic na jednej wioszczynie był bogatym człowiekiem, mogąc żyć bez najmniejszej troski hucznie i buńczucznie. „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa!” I kręciła się Polska w jednym zaklętym kółku gospodarstwa wiejskiego. Przemysłu ani śladu, rękodzieł nawet nie było, chyba partactwo, tylko na wsi można było żyć do syta.

Nastał tedy w Polsce okres opacznego ruchu ludności. Zamiast, żeby nadmiar ludności wiejskiej przenosił się do miast, uciekali na wieś synowie drobnego mieszczaństwa: na pisarczyków po dworach, na gorzelników; czasem udawało im się dostać jakąś dzierżawkę w dobrach kościelnych. Uciekali z głodujących miast

rzemieślnicy najlepsi, a każdy szlachcic miał w swych dobrach swojego krawca, szewca, zduna, kowala, bednarza itd. których robił jakby nowym rodzajem zagrodników po folwarkach. Słowem, wyludniały się za Sasów miasta, a zaludniała się wieś gęsto. A co nowych wsi powstawało! a folwarków nowych z osadami zagrodniczymi całe tysiące!

Synowie kmiecy, nie mogąc znajdować zarobków po miastach wynędzniałych, gnietli się na działkach kmiecej ojcowizny do tego stopnia, iż tu i ówdzie powstawały w Polsce na nowo wspólnoty rodowe kmiece. Część młodzieży szła dalej w świat na zagrodników nowych folwarków. Na ciasnej działce nie zdołał kmieć przetrzymać żadnej klęski, czy to pożaru, powodzi, czy pomoru bydła lub roku nieurodzaju; każda klęska elementarna rujnowała go od razu, bo był za słaby ekonomicznie i coraz słabszy, skoro ta sama działka gruntu musiała żywić coraz więcej osób. Taki drobny rolnik miał za to nadmiar rąk roboczych u siebie i skutkiem tego właśnie nadmiar wolnego czasu. Te okoliczności doprowadziły w całym kraju do zmiany prastarego stosunku właściciela do pierwotnego dzierżawcy, tj. szlachcica do chłopu. Zmiana odbyła się ku zadowoleniu stron obydwóch w ten sposób, że szlachcic zobowiązywał się dopomagać chłopu po każdej klęsce elementarnej, a nawet przeżywać go z całą rodziną na przednówku lub w latach nieurodzaju. a kmieć w zamian dawał dziedzicowi więcej robocizny, dzięki czemu szlachcic mógł zakładać nowe folwarki. W taki sposób doszło do zwiększenia pańszczyzny, a było to jedynym sposobem wybrnięcia z położenia, jakie nastąpiło przez to, że całe pokolenia nowe trzeba było żywić wyłącznie z roli przy gospodarstwie wiejskim.

Ludności na wsi było tyle, że połowa byłaby wystarczająca na obrobienie swojego i pańskiego gospodarstwa. Rezultat straszliwy takiego przeludnienia bez odpowiedniego przybytku zajęć: lud mu się nauczył się lenistwa i... pijaństwa. Czasu wolnego mając nazbyt, spędzał go w karczmie.

Gdyby miasta polskie były się rozwijały dalej po I wieku XVI, byłby się także rozwijał dalej lud wiejski; nie byłoby pańszczyzny, ni przypisania do gleby; stosunek pomiędzy kmieciem a szlachcicem nie tylko byłby pozostał stosunkiem dzierżawczym, ale nawet warunki dzierżawne musiałyby być coraz przystępniejsze, łagodniejsze. Olbrzymie przestrzenie Rzeczypospolitej były stosunkowo słabo zaludnione i przez kilka pokoleń

byłaby silna konkurencja o ręce robocze pomiędzy miastem a wsią, na czym najlepiej lud wychodziłby. Przez fatalny upadek miast zabrakło chłopom pola do pracy; jedynym sposobem utrzymania stała się cudza rola, musieli więc pozwalać dyktować sobie warunki i nastąpił w dalszym tego następstwie zastój chłopskiej kultury – i wkrótce ogólnej kultury całego narodu.

Podobnież i za naszych czasów rozwiązania kwestii ludowej włościańskiej szukać trzeba raczej w mieście, niż na wsi; jeżeli się rozwinie handel i przemysł, należy się także spodziewać w polskiej wsi odrodzenia, i to wspaniałego odrodzenia kultury.

Historia wykazuje, że wszelkie korzystne zmiany ekonomiczne pociągały za sobą w szybkim stosunkowo tempie przyspieszenie rozwoju kultury wiejskiej. Niewątpliwie też najlepszym dziś sposobem pracy dla ludu jest praca na polu handlu i przemysłu, a zwłaszcza przez to, że działalność taka grupuje coraz więcej osób najrozmaitszego pochodzenia stanowego we wspólnym ubieganiu się za wspólną korzyścią. Ciągła wymiana dóbr i ustawiczna a korzystna fluktuacja pieniądza mniej więcej równomiernie pomiędzy warstwami społecznymi wpłynęłaby najlepiej na rozwój wszystkich warstw, ludu wiejskiego nie wyłączając.

Historia poucza tedy, że bez dobrobytu miast może się obejść co najwyżej właściciel większych dóbr, ale drobny rolnik zawisł wprost od wzrostu miast do tego stopnia, iż ubóstwo miejskiego stanu grozi mu w końcu ruiną materialną i moralną. A więc „chłopski” interes wymaga, żeby pilnować dobrze interesów miast, bo poprawa bytu włościan łączy się ściśle z poprawą bytu mieszczan. Jest to utopia, żeby podnosić dobrobyt wsi, nie dbając równocześnie o dobrobyt miast. Od wszelkich „reform agrarnych” lepszym środkiem na podniesienie ekonomiczne i włościan i całego kraju byłoby, gdyby z włościan mogli i mieli gdzie robić się nowi mieszcianie. Choćby nie wiedzieć jaką uchwalić reformę agrarną, nie tylko nic zda się to na nic, ale może nawet wydać skutki wręcz przeciwne zamierzonym, jeżeli się równocześnie nie pracuje około zubożenia i spolszczenia miast.

Tego dążenia nie widać zgoła; natomiast rozpowszechnia się coraz bardziej mniemanie o rozbieżności interesów miasta i wsi. „Walka klas”! Łatwy ten sposób tłumaczenia objawów życia gospodarczego i struktury społecznej może wystarczać, gdy

chodzi o drobne interesy przygodne, ale nie zda się na nic, gdy chodzi o powiększenie produkcji i pomnożenie sposobności do ułatwionego' zbytu, czy to ziemiopłodów, czy też przedmiotów miejskiej wytwórczości. Mówi się o regulowaniu całej produkcji przez państwo, nie bacząc, że to do- prawdy jest wykonalne tylko w myśli, a gdyby było wykonywanym, byłoby regulowaniem produkcji przez... biurokracją.

Drugi z najbardziej rozpowszechnionych ogólników o przeciwieństwie „klas” wskazuje rzekome przeciwieństwo rolnictwa a przemysłu. Z początku sądzono, że' te dwie gałęzie wytwórczości muszą sobie wzajemnie przeszkadzać, aż oto z dojściem rolnictwa do pewnego wyższego stopnia rozwoju zjawilo się coś, jakby z bajki, mianowicie... przemysł rolniczy. Odtąd w wielkich postępowych gospodarstwach trudno nieraz orzec, gdzie się kończy rolnictwo, gdzie zaczyna przemysł – tak dokładnie uzupełniają się wzajemnie.

Nie koniec na tym. Statystyka ekonomiczna wykryła, jako rozwój zarobkowy rolnictwa zawdzięcza bardzo wiele rozwojowi przemysłu po miastach, boć dzięki płynącemu z przemysłu dobrobytowi miejskiemu zwiększa się konsumpcja płodów wiejskich, wzmagą się popyt na płody droższe, dające rolnikowi więcej zarobku; rolnik może więcej i łatwiej oszczędzać, zabrać się do inwestycji. Nawzajem zamożniejszy rolnik daje więcej zarobić sklepom w mieście, pozwala sobie na coraz więcej takich wydatków, bez których obchodził się, póki był mniej zamożnym – i w taki sposób pieniądz cyrkuluje nieustanie pomiędzy miastem a wsią: gdzie tu miejsce na przeciwieństwo interesów, na walkę klas?

A jednak ileż razy przeciwieństwo to występuje wyraźnie, choćby w parlamentach przy debatach o cło, o taryfy, a zawsze i nieodmiennie, gdy chodzi o cenę zboża, boć wieśniak chce jak najdrożej sprzedać, a mieszczuch kupić jak najtaniej; i to samo w odwrotnym porządku zachodzi przy cenach na miejskie wyroby rękodzielnicze i fabryczne. Otóż objawia się przeciwieństwo, gdy chodzi o drobne interesy chwili, ale też na tym koniec. Biorąc pod uwagę rozwój spraw na dłuższą metę, ekonomia polityczna stwierdza uzupełnianie się wzajemne przemysłu i rolnictwa.

Nie głębiej ujmowanym bywa przeciwieństwo „kapitału a pracy”.

W wieku XV było już jasnym, że dalszy rozwój przemysłu i handlu nie obejdzie się bez kapitalizmu, tj. bez tego, żeby pieniądź był nie tylko końcem przedsiębiorstwa jako zysk za pracę i zabiegi, ale żeby bywał na odwrót także początkiem przedsiębiorstw, jako, narzędzie do uzyskiwania dalszych zysków coraz większych. Przychodziła kolej na dalszy rozwój ekonomiczny, na takie 'przedsiębiorstwa, których nie można zakładać bez kapitału znacznieszego, bez większego tzw. funduszu obrotowego, a nawet zapasowego. Kapitał stawał się środkiem do pracy, stawał się produkcyjnym. Nic było sposobu zagrozić drogi tej produktywności, jakkolwiek nie brakło do tego ochoty. Opozycja była potężna w całej Europie; w Polsce nawoływali przeciw kapitalizmowi profesorowie krakowscy Mateusz z Krakowa i Benedykt Messo. Na próżno, bo bez kapitału leżałoby odłogiem zbyt wiele dziedzin ludzkiej pracy i wytwórczości. Na próżno występował też św. Jan Kapistran (zm. 1456) gwałtownie przeciw nowym formom handlu, opartego na kapitale, kredycie i procencie. Przez, tysiąc lat (od św. Chryzostoma około r. 400 po Chr.) uważano kupca za coś niższego i gorszego od rolnika, ale handel wzrastał nieustannie i świat bez kupców obejść się nie mógł. W XV wieku zwróciły się na nowo gromy przeciw kupcom i kapitalistom, a nikt nie pomyślał, jakby kapitalizm zaprząć do służby około dobra wszystkich stanów; prawo kanoniczne potępiało go tylko i nie chciało z nim mieć nic do czynienia. Znalazł natomiast kapitalizm obrońcę w legizmie, gdyż prawo starorzymskie strzegło gorliwie praw kapitału. Nastąpiły uczone spory humanistów – legistów z uczonymi „starej daty”; w 'całej Europie wydawano mnóstwo rozpraw o kupnie i sprzedaży o procentach itp., a w Polsce odzywały się głosy przeciwko kapitałowi jeszcze pod koniec XVI w. Kościół zakazywał handlu pieniędzmi, uważanymi za towar; zabronił pobierania procentów, a więc trzeba było uciec się do pomocy Żydów. Z przemiany handlu na kapitalistyczny oni pierwsi zebrali zyski, chociaż sami jeszcze nie trudnili się systematycznie handlem. Z powodu lichwy zaczęto ich od r. 1432 wypędzać z Niemiec, skąd, schronili się tłumnie do Polski za Kazimierza Jagiellończyka (a nie za Kazimierza W.).

Żydzi już za czasów rzymskich odgrywali pierwszorzędną rolę przy wszelkich interesach – i przy ponowieniu odrodzeniu kapitalizmu zaczęli towarzyszyć na nowo handlowi i przemysłowi. Upadek miast w Polsce skazywał ich na interesy drobne, ale

poradziła im i oddała znakomite usługi jednostronność ekonomiczna polskiego społeczeństwa. Gdy cała niemal ludność polska żyła z rolnictwa, uwiesił się Żyd przy rolniku, przy szlachcicu i chłopie, jako ich bankier, doradca, pośrednik handlowy, dostawca i powiernik. Po upływie ledwie trzech pokoleń, pod koniec XVI w. stanowiła już Polska przedmiot' szyderstw na Zachodzie z powodu nadmiaru Żydów w kraju; zaczęto też nazywać Polskę „piekłem dla chłopca, rajem dla Żyda”.

Nie wytworzył się rodzimy polski kapitalizm, a więc Żydzi stali się naszymi kapitalistami. O skutkach takiego stanu rzeczy rozwodzić się chyba już nie trzeba?

Zresztą... „strach o tym worku pisać”. Tak ciężko zemściło się na narodzie niedostateczne zróżniczkowanie społeczne i brak jednej warstwy, dla społeczeństwa nowożytnego niezbędnej: kapitalistów własnych. Im bardziej miasta stawały się żydowskimi, tym mniej było w nich sposobności do zarobkowania dla synów włościańskich; tym bardziej kraj skazany był na owo specjalne przeludnienie wiejskie i fatalne jego skutki dla całego narodu, a najfatalniejsze dla chłopca.

W XIX w. podjęto na nowo sprawę kapitalizmu. Znalezli się znowu marzyciele, przypuszczający, że można by obejść się całkiem bez niego, a nie wiedzący nawet, że mieli poprzedników w wiekach średnich. Ale w historii nic nie powtarza się jednakowo. Zachodzą kapitalne różnice dawnej a nowej walki z kapitałem, tak co do rodzaju osób, stojących ni czele walki, jako też co do metody.

Pojęcie kapitalisty rozszerzono na każdego, kto posiada środki do ewentualnego gromadzenia kapitału (bez względu na jego... małość) i wszystkim takim „uprzywilejowanym” wypowiedziano wojnę na zabój w imię walki klas”, mającej rzekomo stanowić kwintesencję i najwyższe prawo historii. Mechaniczne tłumaczenie stosunków społecznych walką klas, jest to tłumaczenie ex post, wymyślone w czasie, gdy walka zaogniała się. zwracając uwagę umysłów nawet mniej badawczych, którym wydawała się istotną cechą okresu, przez pomyłkę ich powierzchowności dlatego, ponieważ była cechą najbardziej zewnętrzną, najwidoczniejszą. Bywają bowiem okresy w historii społeczeństw, w których walka klas istnieje, ale więcej jest takich, w których jej nie ma. Próby tłumaczenia całej historii powszechnej jakąś cechą współczesną, według jakiegoś

kryterium, jakie współcześnie wydobywa się na pierwszy plan, próby wyjaśniania przeszłości czymś z teraźniejszości, stanowią bardzo pospolitą pomyłkę dyletantyzmu. Nikt nie zechce chyba twierdzić, że Engels nie był dyletantem, a Marx okazał się dyletanckim doktrynerem w stosowaniu zasady: pars pro toto – i na tej metodzie oparł wątek swej teorii.

Polemika z socjalizmem jest mi daleką, a jestem głęboko przekonany, że w ogóle szkoda na nią już czasu. Zwracam tylko uwagę, że są społeczności', w których nie ma klas, bo społeczności słabo zróżniczkowane; np. znaczna część ludów azjatyckich, a w Europie Irlandczycy i Serbowie. Jeżeli walka klas stanowi treść historii społecznej, w takim razie ludy te mieć jej nie mogą. Serbowie zmierzają dopiero do zróżniczkowania większego swego społeczeństwa, do tego, żeby mieli „klasy”, a nie ulega wątpliwości, że historia każdego społeczeństwa toczy się tym szlakiem, że klasy powstają dopiero na pewnym stopniu rozwoju. Wytwarzają się więc po to, żeby z sobą walczyć, a celem socjalizmu jest zniesienie klas, a zatem powrót do tego, co było na początku. Mamy więc tu do czynienia z ideałem wstecznym.

Na drugą jeszcze okoliczność zwrócę uwagę z powodu polskiego socjalizmu, a raczej socjalizmu w Polsce. Rażącem to jest, że właściwie nie ma socjalizmu polskiego, tylko czysto niemiecki, uprawiany w polskim języku. Odkąd na niwy polskie przeszczepiono żydowsko-niemiecki marksizm, nie powstała w Polsce ni jedna myśl oryginalna socjalizmu. Szczególna jałowość tknęła umysły polskie, wyznające socjalizm. Żeby choć jakaś próba samodzielnego myślenia, żeby choć ślad jaki twórczego współpracownictwa w dziedzinie socjalizmu! Polak zawsze, wybijający na wszystkim czego tylko się tknął, swe piętno, w socjalizmie jakby zaniemiał, odrętwiał, stał się biernym, utracił zdolność myślenia. Powtarza się tylko biernie, co w Niemczech wymyślono, stosuje się to żywcem do zgoła odmiennych stosunków, nie zdoławszy wymyśleć żadnej odmiany, żadnej poprawki ni żadnego uzupełnienia, a czego odmiennosc stosunków wymagałaby przecież koniecznie. Widocznie socjalistyczna doktryna- działa zagważdżająco na twórczość polską, i nie pobudza polskiej zdatności umysłowej. Jakoż socjalizm w Polsce nie wyszedł poza horyzonty broszurkowe. Nie

wydaliśmy ani jednego socjalisty, który byłby przyczynił się w czymkolwiek do rozwoju teorii socjalizmu, lub obmyślił coś nowego w jego praktyce. Całkowita jałowość. Gdyby o udziale Polski w kulturze powszechnej wnosić z polskiego udziału w rozwoju socjalizmu, okazalibyśmy się zupełnie biernym żywiołem, którego istnienie dla ogółu obojętne, bo nie wpływa niczym jakościowo na stan rzeczy. Skoro zaś twórczość polska okazuje się dowodnie na wszystkich polach, oprócz samego tylko socjalizmu, widocznie zachodzi jakaś niewspółmierność pomiędzy tym prądem a polskością; niewspółmierność, która nie da się usunąć, i skutkiem tego socjalizm nie należy do zakresu twórczości polskiej.

Marksizm operuje pojęciem proletariusza jako klasy, która z uciskanej ma się zamienić na uprzywilejowaną, ażeby w końcu wchłonąć w siebie wszystkie inne klasy. Ideałem ma być, ażeby ludzkość składała się ze samych proletariuszów, żeby nikt nie posiadał nie tylko kapitału, ale. żadnej' własności mogącej' stanowić czy to owoc, czy- to narzędzie kapitalizowanych oszczędności; zasadniczo przeto ma być zniesioną wszelką własność nieruchomości (i o to głównie chodzi w marksizmie).

Zarazem mamy tu do czynienia z samouwielbieniem proletariatu, a w najlepszym razie z samouwielbieniem pracy fizycznej, a więc tej, która ułatwia tylko walkę o byt i do niczego więcej nie jest zdatną, o ile nią nie kieruje Logos.

Tendencja, marksizmu wywraca cały systemat cywilizacji europejskiej, a zatem socjalizm musiałby na jej miejscu osadzić jakąś inną cywilizację. Jakoż z założenia o upaństwowieniu warsztatów pracy i narzędzi pracy idą dalekie konsekwencje, które też praktyka socjalistyczna wysnuła, i rzeczywiście zabrano się do walki z całą naszą cywilizacją – nie próbując nawet określić przyszłej nowej, która by miała po naszej nastąpić, Teoria socjalizmu postąpiła tak, jak gdyby chodziło jej tylko o burzenie, a część pozytywna była dla niej obojętną. Tę stronę przedmiotu wzięła na siebie także praktyka socjalizmu, puszczona samopas – z jakim rezultatem, widoczne już dla każdego.

Wypierają się socjaliści bolszewizmu, że to nie jest ich dziecię. Mają słuszość o tyle, że dziecię jest nieprawego łoża, ale jest ono... jedyne.

Bolszewizm powstał z równoczesności trzech składników: przede wszystkim tkwi

w nim kosmopolityczny ruch turański. Cywilizacja turańska odradza się, rozkwita na nowo; wywołany tym prąd sięgnąłby w każdym razie i w jakichkolwiek okolicznościach tak daleko, jak daleko sięgają plemiona turańskie, a zatem ogarnąłby i Rosję centralną, która nie zdołała dotychczas jeszcze strawić w zupełności turańskiego swego podłoża. Prąd odrodzeniowy turański, wikłając się z rozmaitymi czynnikami współczesnych zawiązań politycznych, wydał „panazjatyzm”, na którego czele książę Uchtomski pragnął widzieć Rosję. Prąd ten, jeden z najpotężniejszych, jakie zna historia, równy mocą i obszarem prądowi Mongołów „niebieskich” XIII wieku, rozszczępił się na dwa: jeden ludowy, obejmujący kilka rozgałęzień i odmian, a sięgający aż do chińskich bokserów; drugi zaś idący z góry, państwowy, na którego czele kroczy Japonia. Żadna też siła nie stłumi bolszewizmu, jak tylko Japonia; europejskie zabiegi mogą tylko ograniczyć jego najazdy ku Zachodowi.

Ruch „cywilizacyjny” turański napotkał w Rosji na nihilizm, ów rosyjski płód socjalizmu. Obydwa prądy złączyły się doskonale w syntezę, bo obydwie dążą jednako do zniszczenia cywilizacji europejskiej, z tą różnicą, że turańszczyzna czysta poprzestałaby na niszczeniu jej w Azji i Eurazji (w ziemiach pośrednich pomiędzy Europą a Azją), ale nihilizm rad by ją zniszczyć wszędzie, rad by Europę zamienić w ruiny – co korzystnym byłoby dla turańszczyzny według zasady, że wspólność wroga stanowi o wspólnej przyjaźni.

Turańskość jako silniejsza pochłonęła w sobie nihilizm (w którym zresztą nie brakło nigdy pierwiastków turańskich), wzmógłszy się nim wielce; ale też prąd ten cały ograniczyłby się po odebraniu nihilizmowi samodzielności do Eurazji, nie myśląc o Europie, która go nic nie obchodzi, gdyby nie przystąpienie do spółki trzeciego jeszcze pierwiastka, i to takiego, który okazał się najsilniejszym.

I turańskość i nihilizm zwalczały z całych sił cesarstwo rosyjskie, a byłyby je zwalczały nawet w takim razie, gdyby Rosja była państwem; konstytucyjnym. W imię wspólności wroga przyłączył się do nich trzeci współnik, nienawidzący caratu jeszcze bardziej, niż nihiliści. Spójnikiem tym – judaizm, zaciekle przeciwnik Rosji, jako państwa, nie uznającego równouprawnienia Żydów. Ponieważ zaś judaizm triumfował już w całej

Europie i gotował się do walnej rozprawy z chrześcijaństwem, ażeby zapanować (bez przenośni, w dosłownym znaczeniu wyrazu) nad światem, wyzyskał więc do swych celów stosunki rosyjskie i przeciwko Rosji i całej cywilizacji europejskiej zarazem. W marksizmie tkwiły zawsze żydowskie pierwiastki, boć Marx był Żydem i marksizm należy teoretycznie do cywilizacji żydowskiej; zawsze też był gorliwie przez Żydów popierany i służył (i służy) im za pomost do ich celów. Skorzystali z tego w Rosji. Używając za pozór stanowiska socjalistycznego, wysnuwając z niego ostateczną konsekwencję, głosili „dyktaturę proletariatu”, którą urządzono potem najzupełniej według wymogów turańszczyzny, według odwiecznych wzorów azjatyckich, poza wszelkim socjalizmem. Ruch turański był w Eurazji, podobnie jak w wiekach średnich, odgłosem tylko właściwego ruchu azjatyckiego, i stał na poziomie o wiele niższym pod każdym względem, jako najniższa forma turańszczyzny; . to też z mieszaniny tej wyszedł-bolszewizm, jako najbardziej barbarzyńskie skrzydło cywilizacji turańskiej, podobnie jak niegdyś kultura tatarsko-kipczacka tworzyła barbarię cywilizacji mongolskiej. Judaizm dodał ruchowa fanatyczności i opatrzył go etykietkami z marksizmu, z których sam sobie dworuje, które oddają mu atoli nieocenione usługi w krajach europejskich, od Polski poczynając.

Różnica pomiędzy socjalizmem a bolszewizmem polega między innymi i na tym, że socjalizm poprzestaje na uwielbieniu proletariatu i nadaje mu przywileje w tej myśli, że przez odpowiedni ustrój doprowadzi wszystkich do uznania wyższości państwa socjalistycznego, podczas gdy bolszewizm od razu, a priori wprowadza przymus, żeby być proletariuszem. I pod tym względem także różnica polega na tym, że socjalizm kołuje i waha się. a bolszewizm przeprowadza z całą bezwzględnością niektóre z socjalistycznych postulatów, te mianowicie, które potrzebne są do radykalnego zwycięstwa judaizmu. U socjalistów Żydzi trzymali się z reguły za kulisami, u bolszewików' stanowią ich arystokrację. Państwo socjalistyczne byłoby ochlokratyczne, bolszewickie jest oligarchicznym; socjalistyczne byłoby areligijnym, może antyreligijnym w ogóle: bolszewickie jest stanowczo judaistyczne. Bolszewizm jest dla socjalizmu nieocenionym drogowskazem praktyki, a mianowicie okazuje, do czego judaizm zamierza doprowadzić socjalistów.

Przymus proletariacki zrodził się oczywiście z uwielbienia proletariackiego; gdyby nie to, nie byłoby tamtego. Gatunkow'0 jest to samo, tylko podniesione do potęgi.

Cóż sądzić o kwestii proletariackiej ze stanowiska cywilizacyjnego? Rzecz cała posiada doniosłość pierwszorzędną dla każdego narodu, ale szczególnie dla polskiego, wciśniętego pomiędzy marksizm a bolszewizm.

Cywilizacja, oparta na własności, musi zmierzać do tego, by każdy posiadał własność; skoro zaś opieramy się przede wszystkim na własności nieruchomości, rozwój- więc nasz cywilizacyjny wymaga koniecznie, by własność tę rozpowszechnić jak najbardziej. Ideałem cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej musi być, by każdy posiadał nieruchomości, a zatem, by całkiem nie było proletariatu.

Jest to ideał ekonomiczny, prawdopodobnie nigdy w zupełności nieosiągalny. Można się atoli do niego zbliżyć, a starania o to jak najusilniejsze są obowiązkiem cywilizacyjnym. To, co się dotychczas w tym zakresie robi poza Polską, jest śmiesznie mało, w Polsce zaś nie robi się nic.

Polska ma szczególną fatalność do¹ proletariatu. Od połowy XVI wieku posiada go nadmiar, produkuje go na eksport. Obecnie nigdzie na północy Alp nie ma tak olbrzymiego proletariatu, jak u nas; cierpieliśmy i cierpimy na przeludnienie proletariackie. Powód w naszej jednostronności ekonomicznej. Na re-reprodukcję proletariatu jedyna bowiem rada w nowych źródłach zarobkowania, a to możliwe tylko przy wielostronności ekonomicznej, jeżeli już nie ma wszechstronności. Nie pomogą żadne eksperymenty przymuszania lub wymuszania, dokonywane koło jednostronnej wytwórczości; trzeba koniecznie otworzyć nowe jej źródła. Anglia cierpiała niegdyś także na nadmiar proletariatu; wyleczyło ją z tego morze. Nasz horyzont ekonomiczny jest ciasny, do rzadkości należy w Polsce umysł, widzący (w politycznych stosunkach) inne źródło wytwórczości jak tylko rolę. Ależ gdyby to było nawet możliwym, ażeby dla wszystkich Polaków starczyło w Polsce roli i gdyby nas wszystkich zmusić, byśmy wszyscy byli rolnikami' i tak nie uchronilibyśmy się od przeludnienia proletariuszowskiego, boć zamieniliby się wnet w proletariuszów ci, którzy rolnictwa nie lubią, lub nie umiejąc, gospodarowaliby źle, a takich gotowa być większość, bośmy już odbiegli za daleko od

„Piasta”. Żydów nie ubezpieczyło od proletariatu opanowanie całkowite handlu, jakżeżby mogło to nastąpić pośród nas za pomocą wyłączności rolnictwa?

Zmniejszyć ilość proletariatu do minimum możemy doskonale, wytwarzając sobie nowe źródła zarobkowe w handlu i przemyśle. Kilka milionów rodzin polskich ma tam przed sobą obfitość Chleba.

Samo zmniejszenie jednak ilości proletariatu nie stanowiłoby jeszcze załatwienia „kwestii socjalnej”. Anglia, a w wyższym jeszcze stopniu Ameryka północna nie produkują proletariatu niemal całkiem, sprowadzając go sobie z obcych krajów, a jednak i w anglosaskich społeczeństwach pojawia się kwestia społeczna. Załatwienie kwestii proletariatu jest dopiero początkiem załatwiania kwestii społecznej, której istotą są wzajemne stosunki poszczególnych składników społecznych. Pytanie: jak je urządzić jest pytaniem generalnym.

Za naszych czasów rozpowszechniła się pewna forma zabiegów ekonomicznych, wynaleziona w poprzednim pokoleniu, lecz dopiero niedawno spopularyzowana: kooperatywy. Znamy je wszyscy ze stosunków wojennych, jako stowarzyszenia konsumpcyjne i zawdzięczamy im wiele; zawdzięczalibyśmy zaś jeszcze więcej, gdyby biurokracja nie kładła na nich swej ciężkiej ręki, czasem nieżyczliwej, często życzliwej, ale zawsze niezdarnej. Kooperatywy mogą być również produkcyjne; mogą obejmować producentów i konsumentów we wspólnej organizacji; mogą być jednostronne, specjalne i wielostronne, bardziej ogólne. Od „konsumu” zastępującego sklepikarstwo aż do wielkich zrzeszeń producentów jest kooperatyw form i stopni wiele. Wyzyskano tych możliwości dotychczas bardzo mało, zwłaszcza że wojna, przerwawszy produkcję, wprowadziła zastój także w rozwój kooperatyw, dając możność bytu tylko kooperatywom najprymitywniejszego typu, konsumpcyjnym do artykułów spożywczych codziennej potrzeby.

Nie ma takiej dziedziny życia, do której nie dałoby się zastosować spółdzielczości. Żadne bodaj ze wszystkich znanych historii urządzeń nie posiadało warunków takiej uniwersalności w sobie jak spółdzielczość. Nie przesadzają ci, którzy twierdzą, że to forma ustroju społecznego w przyszłości.

Może nie zawsze wspólne są interesy miasta a wsi, rolnictwa a przemysłu, kapitału a pracy, ale one są stanowczo współdzielcze; to też zastosowanie do nich współdzielczości może je wyprowadzić z błędniaka i uzdrowić.

Współdzielczość nie może być wymuszona, ani nawet protekcyjnie narzucona; musi się opierać o społeczeństwo bezpośrednio, o inicjatywę prywatną. Jest szkołą znakomitą życia obywatelskiego przez to właśnie, że obchodzi się bez opieki państwowej; jest szkołą „odpaństwowienia” owego, o jakim była wyżej mowa. Mnoży siły społeczne, zachęca do coraz śmielszych przedsięwzięć, stanowi niezrównane podłoże dla kultury czynu.

Współdzielczość da się rozszerzać od prymitywnego „konsumu” aż do państwowości. Bardzo jest przy tym prawdopodobne, że prymitywna jej forma stanowi tylko szkółkę dla początkujących, ale okaże się potem zbędną, gdy pojawią się formy wyższe, a szkołą będzie tradycja i rutyna. Nic należy sobie wyobrażać spółdzielczości, jako tarana na kupców; ona może mieścić w sobie i usuwanie kupieckiego pośrednictwa, gdzie ono dla społeczeństwa niepożądane, ale kto by sądził, że to stanowi jej cechę istotną, myliłby się. Nic trzeba osądzać spółdzielczości z tak ciasnego stanowiska. Owszem, zmieści się w niej wybornie i rozwój stanu kupieckiego, jeżeli społeczeństwo będzie tego pragnęło.

Dotychczas pojmowano spółdzielczość tylko jako pewną organizację stosunków życia prywatnego, a wrócono jej wpływ wielki, a dobroczynny na ustrój społeczny jako następstwo pewnego uregulowania stosunków ekonomicznych. Spółdzielczość może jednak mieć zastosowanie i do życia publicznego.

Spółdzielczość niechaj się zaczyna od wspólnego kupna i używania np. maszyny rolniczej przez właścicieli pewnej wsi, od założenia centryfugi mleczarskiej, od gminnego autobusu. Nietrudno wyobrazić sobie spółdzielczość kilku osad sąsiednich, gminy zbiorowej, czy parafii. Może tedy na wyższym szczeblu istnieć spółdzielczość powiatowa, a więc i wyżej: wojewódzka, prowincjonalna. Również może obok takiej spółdzielczości regionalnej istnieć zawodowa, stanowa, warstwowa; obok spółdzielczości prowincji, spółdzielczość warstw.

Ale zasada spółdzielcza byłaby wyzyskana nader słabo, gdyby nie miało być instytucji mieszanych, poświęconych spółdzielczości miasta, a wsi, kapitału a pracy, 'spółdzielczości do pewnych szczegółowych celów osób przeróżnego powołania. Np. pewien obszar rolniczy może zawrzeć stałą umowę z pewną grupą kupiecką o wzajemną wymianę handlową produktów; całe powiaty mogą mieć takie umowy o zaaprowizowanie dużego miasta wzajemian za pewne świadczenia wzajemne (wcielenie do sieci elektrycznej, tramwajowej itp.); ludzie przeróżnych zawodów mogą zawrzeć układ ze stowarzyszeniem artystów celem nabywania i popularyzowania dzieł sztuki; fabrykant może mieć spółkę ze swymi majstrami, majstrowie z robotnikami itp.; słowem, spółdzielczości może być form tyle, ile życie zdoła wymyśleć form kontraktów.

Trzy rodzaje spółdzielczości: regionalna, zawodowa i mieszana, wytworzą nieprzeliczoną ilość kombinacji, na które nie może być żadnego szablonu, ani też ograniczenia. Wielkie kooperatywy prowincjonalne i warstwowe nie mogłyby nie poruszać spraw związanych z polityką: da, komunikacje i taryfy itp., a zatem spółdzielczość, stosowana na wielką skalę, nie może nie stać się czynnikiem politycznym. Opierając się zaś sama na czynnikach obywatelskich, a nie na biurokratycznych, dążyłaby spółdzielczość do samorządu, a w kwestii centralizacji i decentralizacji stanowiłaby rodzaj automatycznego regulatora: do władz centralnych nie mogłoby należeć nic, czego by im nie przekazały wielkie kooperatywy warstwowe i prowincjonalne, wobec których centralizm byłby bezsilnym.

Spółdzielcze zrzeszanie się całego społeczeństwa pociągnęłoby za sobą niewidzialną bujność i wydatność pracy ludzkiej. Zapadłe kąty miałyby udogodnienia właściwe dzisiaj tylko stolicom; prostaczek żyłby lepiej, niż teraz człowiek średnio-zamożny.

Cała kultura umysłowa podniosłaby się w niedającym się wprost przewidzieć wzroście nadzwyczajnym. Boć spółdzielczość nie da nigdy dostatków ani głupcom, ani leniwcom. Jest to żywioł, wymagający inteligencji tych, którzy chcą w nim żyć. Ludzie spółdzielczy nie zaniedbaliby szkolnictwa, oświaty, bo bez tego system cały musiałby runąć. Co jednak ważniejsza, ludzie spółdzielczy zwracaliby z konieczności szczególną

uwagę na kwalifikacje moralne; we własnym interesie dbaliby o to, by postęp był przede wszystkim postępek moralnym. Tym większe wzmożenie siły społecznej, która (jak o tym była już mowa) będzie w cywilizacji naszej ostatecznie jedynym źródłem siły politycznej. Kto będzie najsilniejszym spółdzielczo, ten też będzie najsilniejszym politycznie.

Ponieważ system ten ćwiczy przedsiębiorczość, rozszerza horyzonty, musi tedy rozwijać zdolności; społeczeństwo obdarzone siłą twórczą posiadłoby wszelaką zdatność twórczą. Któż przewidzieć zdoła, na czym zatrzymałaby się spółdzielczość?

Podstawą jej musiało by stać się krajoznawstwo, spopularyzowane jak najbardziej. Najbardziej kształcąca ze wszystkich nauk, geografia, stawszy się podstawą „ogólnego wykształcenia*” spółdzielczego pokolenia, odkryłaby przed nim niezmiernie horyzonty, łącząc wykształcenie humanistyczne i przyrodnicze w syntezę, jaką ona jedna tylko dać może.

W taki sposób dochodzimy do znacznego prawdopodobieństwa że spółdzielczość stanowiłaby nie tylko silniejszą a spoistszą więź społeczną, niż dotychczasowe, ale zarazem zapewniałaby lepiej rozwój intelektu i etyki zbiorowej. Wpłynęłaby tedy dobroczynnie i na państwowość, która musi zmierzać do coraz większego liczenia się z oświatą i moralnością, jeżeli ma się w ogóle rozwijać dalej. Decentralistyczno-autonomiczne tendencje spółdzielczości świadczą tym mocniej o tym, jako leży ona na linii rozwojowej przyszłości niedalekiej, oby jak najbliższej!

Czy nie można posunąć się o szczebel jeszcze wyżej i mówić o spółdzielczości państw?

Ten najwyższy szczebel spółdzielczości wiadomy jest i znany od dawna, chociaż nieświadomie: wykładnikiem jego traktaty handlowe. W każdym z nich jest coś ze spółdzielczości; ale tylko coś; drugie tyle jest z przeciwnego kierunku, ażeby właśnie przeszkodzić spółdzielczości. Traktaty handlowe są bowiem z reguły pół na pół wynikiem stosunków przyjaznych, a drugie pół na pół nieprzyjaznych; stanowią kompromis pomiędzy wojną ekonomiczną a pokojem. Czy to konieczność, czy tylko forma przejściowa, któż może o tym dziś sądzić?

To pewna, że ustrój spółdzielczy mieści w sobie popęd federacyjny.

4 . C y w i l i z a c j a .

Ze wszystkich dotychczasowych wywodów wynika, że działalność społeczna i państwowa natenczas tylko może być trwale pożyteczną, kiedy się mieści wyraźnie w ramach jakiejś cywilizacji, stosując się ściśle do zasady jednolitości cywilizacyjnej. Statysta, choćby najzdolniejszy, najpracowitszy, obdarzony talentem organizacyjnym pierwszorzędym, marnuje swe życie, zapęnia je czczym puszczaniem baniek mydlanych, jeżeli nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, że żadna kwestia społeczna, ni państwowa, nie da się rozwikłać, jeżeli się jej nie traktuje, jako cząstki kategorii rozleglejszej, mianowicie jeżeli się nie uwzględnia kwestii cywilizacyjnej. Mężowie, uważający się za uzdolnionych do kierowania państwem i społeczeństwem, winni przede wszystkim wiedzieć, że żadna kwestia nie może być załatwioną w sposób mający dogadzać dwom lub więcej cywilizacjom, bo z takiego partactwa politycznego wynikną fatalne następstwa w przyszłości. Każde zagadnienie istnieje, jako zagadnienie: nic danej cywilizacji; jeżeli powtarza się w rozmaitych cywilizacjach, w każdej z nich musi być rozwiązane w sposób odmienny, zgodnie z zasadniczymi i znamienne- mi cechami tejże cywilizacji. Można powiedzieć ze stanowiska praktycznego, że dana kwestia stanowi' w każdej cywilizacji kwestię osobną; osobno bowiem musi być załatwiana.

Ponieważ ani państwo, ani społeczeństwo nie może być cywilizowanym na dwa sposoby, nie może więc żadna sprawa publiczna być dobrze załatwioną ku zadowoleniu kilku cywilizacji. Kto do tego zmierza, kto kuje kompromisy cywilizacyjne, taki pracuje na rzecz cywilizacji niższej; wszelki bowiem, kompromis, pomiędzy lepszym a gorszeni wychodzi zawsze na korzyść gorszego.

Władza państwowa lub instytucja społeczna może być neutralną pod względem religijnym lub narodowym, lecz, żadną miarą pod względem cywilizacyjnym. Spraw wiele da się traktować nie tylko ze stanowiska tolerancji religijnej lub narodowej, ale wręcz areligijnie lub anarodowo, tj. nie uwzględniając zgoła kwestii religii lub narodowości; ale czy da się coś traktować ze stanowiska acywilizacyjnego? Gdy najgorsza dzicz organizuje

się w najprymitywniejszy sposób, już zadzierzga węzły jakiejś cywilizacji, daleka jeszcze od religii! Pominąć kwestii cywilizacji nie sposób.

Nic zdajemy sobie należycie sprawy z różnaitości cywilizacji. Oto zasadniczy błąd naszego intelektu, zawiniony przez wiek XIX. Wiek ten, dumny ze swych prac technicznych, zaniedbawszy sromotnie stronę duchową człowieka, głosi siebie najwyższym wykładnikiem cywilizacji, mniemając, że mogą istnieć tylko rozmaite stopnie cywilizacji, ale nie różne jej rodzaje. Za cywilizację uważać kazał to, w czym on celował: wygodę dobrobytu, technikę życia – i do tej techniki stosował państwo i społeczeństwo, nie uznając żadnych celów z poza walki o byt. Takie pojęcie cywilizacji musiało prowadzić ostatecznie do hegemonii najniższej, najbardziej uproszczonej, zredukowanej do materialnej strony życia.

Obecnie, kiedy całe znaczenie wielkiej wojny powszechnej polega na tym, ażeby zlikwidować błędy wieku XIX (bo inaczej szkoda krwi marnie przelanej), musi- niy usuwać przede wszystkiim mylne pojęcie, jakoby wszystko, co w Europie jest cywilizacją, stanowiło jedną i tę samą cywilizację.

Wiedziano zawsze, że cywilizacji jest więcej; mówiło się o cywilizacji np. japońskiej, chińskiej, europejskiej – nie rozróżniając należycie powinowactw cywilizacyjnych, nie umiając dzielić tych zjawisk należycie w grupy, nie zdając sobie sprawy ze stosunku części do całości, grupując je mechanicznie według geografii. Nie spostrzegano, że cywilizacja nie jest ograniczona terenem, że na jednym i tym samym miejscu mogą być dwie i więcej. Nie zastanawiano się nad filiacjami cywilizacyjnymi, a skutkiem tego nie umiano określić właściwie, na czym polega ta lub owa cywilizacja. Gdy zaś miano na myśli Europę, uważano to za coś rozumiejącego się samo przez się, jako w Europie istnieje jedna tylko cywilizacja, traktowana geograficznie: europejska.

Tak nie jest. Nie ma zgoła żadnej cywilizacji europejskiej, lecz bywają w Europie cywilizacje rozmaite. Skutkiem tego Europejczyk każdy musi... wybierać. Musi wybierać tym bardziej statysta. Ma obecnie do wyboru dwie cywilizacje chrześcijańskie: łacińską i bizantyńską, tudzież dwie niechrześcijańskie: turańską i żydowską. Skoro tylko zdamy sobie sprawę z istnienia koło nas rozmaitych cywilizacji tak różnych, wystarczy chwila

zastanowienia, by zrozumieć, że nie można ich mieszać.

Żaden krok naszego życia nie może być cywilizowanym na dwa sposoby! A cóż dopiero pochód dziejowy!

Od św. Augustyna cel pochodu dziejowego mamy określony w haśle de Civitate Dei; ale cel taki idealny, ku któremu zbliżyć się tylko można, lecz nigdy go osiągnąć. wymaga nieustannej pracy pokoleń w warunkach zmieniających się, a skutkiem tego wymagających rozmaitych metod organizacji tej pracy. Piętami wznoszą się owe organizacje jedna nad drugą chronologicznie, a każda ma swoje własne pojęcie Dobra, powszechnego w chrześcijaństwie. Od piętra do piętra jest tak daleko – odległości liczą się tu na pokolenia, iż osiągnięcie środka ku Civitas Dei staje się samo celem niebliskim. Jakkolwiek tedy, biorąc rzeczy ściśle, w chrześcijańskim pochodzie dziejowym chodzi nie o wytyczenie celu, lecz o niewiadome środki do wiadomego celu (jak to określono w rozdziale IX), jednakże dla ułatwienia sobie rozumowania nazywamy celem spełnienie każdorazowego pojęcia organizacji powszechnego Dobra społeczeństw chrześcijańskich.

Można by dzieje chrześcijaństwa europejskiego podzielić według uznawania tych celów, t. j. według następstwa pojęć Dobra powszechnego i związanej z nim organizacji”.

Okres pierwszy, to mgławica bez organizacji, w której geniusz św. Augustyna wskazuje ideały tak abstrakcyjne i naturze człowieka niedostępne, iż skutkiem wyrzeczenia się całej kultury państwowej rzymskiej chrześcijaństwo, niezorganizowane należycie państwowo, nie wytrzymało nawały islamu.

Okres drugi, to idea cesarstwa Karola W. od 800 i sparaliżowanie jej przez napór bizantynizmu (cesarstwo rzymsko-niemieckich, Krzyżacy); przeciw czemu wychodzi z Polski opozycja zorganizowana, zdefiniowana przez Pawła z Brudzewa z początkiem XV wieku.

Okres trzeci od r. 1416, od wiekopomnego ogłoszenia tez krakowskiego rektora, do rewolucji francuskiej i rozbiorów Polski. Wyłoniona z idei Brudzewskiego „idea Jagiellońska” nie rozszerzyła się ku zachodowi, ścieśniona przez legizm, który wypaczywszy się w absolutyzm i józefinizm przyczynił się do ponownego panowania bizantynizmu', doprowadził do rewolucji i zwrócił się przeciwko istnieniu Polski.

Okres czwarty, pośredni, przejściowy, obejmuje czasy porozbiorowe, czasy ciągłych wstrząszeń w Europie, wywołanych skutkiem braku państwa polskiego. Triumf bizantynizmu, triumf państw dynastycznych, doprowadzony aż do absurdu sojuszu carskiej Rosji z republiką francuską, po czym musiało zanieść się na przesilenie. Wojna powszechna stanowi walne starcie się cywilizacji bizantyńskiej z łaćnińską; o zwycięstwie łaćnińskiej stanowi wznowienie państwa polskiego, lecz o problematyczności tego zwycięstwa – dążność, żeby państwo to było słabem politycznie.

W okresie przejściowym do dwóch ścierających się z sobą cywilizacji dołącza się trzecia, w walkach politycznych bezpośrednio dotychczas w Europie nie występująca: żydowska. Wyzyskawszy okoliczności, od hasła o równouprawnienie wyznań aż do odrodzenia turań- szczyzny w Rosji, staje się języczkiem u wagi w wielkich sporach europejskich. Zmienia stanowisko polityczne, lecz zawsze staje przeciwko Polsce.

Skutkiem rozstroju cywilizacyjnego okres przejściowy nie wydał żadnego nowego pojęcia Dobra powszechnego w chrześcijaństwie. Trwać będzie aż do rozstrzygnięcia walki cywilizacji, aż do nawrotu do jednolitości cywilizacyjnej, lub do zdecydowania upadku i rozkładu cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej.

Okres piąty może tedy być albo okresem rozkładu naszej cywilizacji pod wpływem hegemonii judaizmu, albo odrodzeniem ponownym bizantynizmu, jeżeli judaizm rzuci swe walory na jego szale – albo też w fazie pokonania judaizmu (bez którego pomocy bizantynizm nie zdoła się odrodzić) nowy rozkwit cywilizacji łaćnińskiej, nowa metoda organizacji społeczno-politycznej chrześcijaństwa, nowe pojęcie powszechnego Dobra chrześcijańskiej rodziny ludów.

Pojęcie nowe ogólnej organizacji społeczno-państwowej musi powstać. Nie możemy wracać do cesarstwa Karola W., ani też propagować feudalizmu, ni legizmu; również nie możemy głosić hasła unii z ościennymi, żeby dążyć np. do wspólnego zwierzchnika państwa (króla czy prezydenta, to już drugorzędna sprawa) na Polskę, Czechy, Węgry, Rumunię itd., i do wspólnego tych wszystkich państw sejmu walnego, lecz z osobnymi rządami, wojskami, skarbami. Możemy myśleć tylko o organizacji nowej, zastosowanej do dzisiejszych stosunków, o spółdzielczości państw mających stanowić

Stany Zjednoczone Europy.

Na tym tle ma sobie Polska oznaczyć cel swój. Czyż tylko Polska? Na tym tle mają działać i rozwijać się wszystkie narody naszej cywilizacji, a pośród nich i Polska. Nie można atoli przewidzieć, czy wszystkie narody zechcą przyswoić sobie cele wynikające z obrony cywilizacji łacińskiej przeciwko innym, na nią nacierającym.

Niektóre narody osiągnęłyby bowiem znaczniejsze korzyści bezpośrednie, gdyby stanęły przy systemacie bizantyńskim, np. Niemcy i Czechy. Niemcy w razie utrzymania Prus, skupiając się na nowo około kultury niemiecko-bizantyńskiej, mogą planować odwet na Francji i Polsce i odzyskanie swej militarnej hegemoni nad Europą, w czym liczyć mogą nie tylko na pewno na gorące poparcie Żydów całego świata, ale też na przyszłą powszechną koalicję przeciw Anglii (o którą sami będą się starali w interesie Niemiec), i nadto na niejake prawdopodobieństwo, że gdy Niemcy nieco się wzmogą, a Polska będzie przez koalicję pozostawioną własnemu przemysłowi i losowi, natenczas będzie zmuszoną wejść w jakieś z Niemcami kompromisowe porozumienie. Nadzieje prusactwa wcale nie są tedy pozbawione podstawy. Kultura niemiecko-bizantyńska, idea Hohenzollernów może jeszcze doskonale odżyć.

Czesi całą historię narodową odbyli w Rzeszy Niemieckiej, a poróżniwszy się z Polską w sposób urągający wszelkiej nie tylko uczciwości ale choćby tylko przyzwoitości, wykopawszy pomiędzy sobą a Polską istną przepaść, sprzęgli się na pokolenia całe z obozem antypolskim w Europie, wobec czego dobre stosunki z Niemcami posiadają dla nich wartość nadzwyczajną; to też według wszelkiego prawdopodobieństwa historia ich potoczy się na nowo w tym kierunku, że będą zmierzali do zajęcia jak najwybitniejszego stanowiska w Rzeszy jako część niemieckiego systematu politycznego, w zgodzie z prusactwem przeciwko Polsce. Przec ich będą do tego obozu Żydzi, posiadający tam wpływy stanowcze (choć ukryte zręcznie) za pośrednictwem organizacji kosmopolitycznej tzw. Wolnej Myśli, która trzęsie Czechami. Temu faktowi, że Czesi należą do obozu antychrześcijańskiego, zawdzięczają swe sukcesy wobec tej samej koalicji, która zachowała się wobec Polski, jakby miała z Niemcami przymierze przeciwko nam. Czesi są ulubieńcami kosmopolitycznej organizacji antychrześcijańskiej,

popieranymi z całych sił przez międzynarodowe żydostwo. Straciliby wiele korzyści bezpośrednich, gdyby chcieli stawać w obronie cywilizacji łacińskiej przeciw niemieckiemu bizantyzmowi lub przeciw judaizmowi; zachodzi tedy większe prawdopodobieństwo, że raczej zawrą sojusz przeciw cywilizacji łacińskich zwrócony. Inna rzecz, że w razie zwycięstwa obozu chrześcijańskiego, państwo ich skazanym będzie w takim razie na ruinę, na rozpadnięcie się: a gdy będą szukali bezskutecznie ochrony w Polsce, nastać mogą a raczej muszą dla nich czasy jak najsmutniejsze. Nie będą mogli wołać na nas, byśmy wystąpili w ich obronie, żeby nie wzmacniać germanizmu, boć oni wyjdą właśnie z pruskiego obozu, a osłabienie ich będzie w takim razie ciosem prusactwa.

Zgoła inaczej grupowałyby się te stosunki, gdyby Czesi zdołali byli utrzymać przyjaźń z Polską. Natenczas nie mieliby w swym państwie polskich krain, a więc straciliby korzyść pewną bezpośrednią, ale za to mieliby przed sobą przyszłość wielką, bo zapewnioną ekspansję swą naturalną, tj. ku Wiedniowi i dalej na południe. Za łup cieszyński wyrzekli się przyszłości politycznej, skazali się na rolę niemieckiego trabanta i złączyli znowu swe losy z losami Niemiec.

Tak więc Niemcy i Czesi mogą upatrywać interes swój nie w obronie cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, lecz w jej osłabianiu. Trudno tu przechodzić prawdopodobieństwa wszystkich narodów, chodziło tylko, o przykład.

Ale Polska nie może żadną miarą nie należeć do obozu chrześcijańskiego łacińskiego, bo wszystkie jej interesy łączą się z nim dziś tak samo jak niegdyś, i tylko w położeniu jakimś przymusowym mogłaby wejść w porozumienie z obozem przeciwnym; porozumienie nawet byłoby dla niej szkodliwym, gdyby wymagało zerwania z Zachodem. Jak w wiekach średnich, podobnież obecnie przyszłość Polski w pokonaniu „całej nacji niemieckiej”, tj. bizantyzmu niemieckiego; tylko pod tym warunkiem może Polska rozwijać się, inaczej popaść musiałaby w zastój.

Państwa występują i działają – świadomie czy nieświadomie – jako narzędzia cywilizacji. Powtarzam, że państwo jest wobec cywilizacji nie większą łupinką orzecha jak statek wobec oceanu.

Przejdźmy na rozleglejsze flukta i przyjrzyjmy się horoskopom cywilizacji, bo

dopiero w ich łonie toczy się historia państwowa narodów.

Rozterka cywilizacyjna nęka dziś całą Europę. Chrześcijańsko-klasyczna cywilizacja miesza się wszędzie już to z bizantyńską, już to z żydowską, często z jedną i drugą; żadna ze wszystkich trzech nie występuje nigdzie z bezwzględną jednolitością.

Zdawało się, że zwycięstwo zachodniej koalicji zadecyduje zarazem o końcu cywilizacji bizantyńskiej, ale tak nie jest. Resztki kultury turecko-bizantyńskiej nie stanowiłyby poważnego czynnika, ale serbski bizantyzm, przedtem] bezwładny i zamierający, podnosi się z upadku. Podczas, gdy od kilkunastu lat przed wojną wzrastał się w Serbii prąd zachodni i oddziaływały tam coraz mocniej wpływy kulturalne chorwackie, teraz wraz z hegemonią polityczną, podnosi głowę serbskie podłoże kulturalne: bizantyzm. Należało to zawsze do cech tej cywilizacji, że falowanie jej trzymało się niewolniczo falowania politycznego. Obecnie występuje ona zaczepnie przeciw łacińskiej (chorwackiej); w Jugosławii zaczęło się rozgrywać na nowo współzawodnictwo stare Rzymu a Bizancjum. Na nic wszelkie ideały jedności narodowej” na nic jedność państwowa; wobec cywilizacji tamte kategorie są bezsilne; zachodzi siła wyższa, która zmusi do walki osłupiałych ze zdziwienia Chorwatów i Serbów, jak mogła powstać walka, której nikt nie pragnął. Ale walka cywilizacji jest nieunikniona.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa podniesie się też w Grecji stan cywilizacji bizantyńskiej; nie jest wykluczone powstanie nowego świetnego jej ogniska. Bułgaria, która wyczuła się już zupełnie z bizantyzmu, lecz nie zdołała jeszcze przyswoić sobie cywilizacji zachodnio-europejskiej, może obecnie łatwo ulec odrodzeniu bizantyńskiemu. W Rumunii bizantyzm panował niepodzielnie, bo tylko zewnętrzne pozory były zachodnio-europejskie. Ma więc bizantyzm szanse na całym Bałkanach odrodzić się świetnie, i nadto szanse pewnej ekspansji, czego przed wojną nie było.

Zachodzą przeto wątpliwości, czy bizantyzm na wojnie stracił, czy zyskał. O ile można by stawiać horoskop, moment decydujący znajduje się poza Bałkanach. W samej Rumunii, zbliżonej obecnie tak wielce do Europy zachodniej, stanie zachodnia cywilizacja do intensywniejszego współzawodnictwa, a w razie nawiązania stosunków kulturalnych z Polską, może nabrać znacznych sił do skutecznego podjęcia walki cywilizacyjnej. Obóz

zachodnio-europejski w Jugosławii wejdzie w stosunki z takim że obozem w Rumunii, a jeżeli prąd ten zachodni zorganizuje się dobrze, działalność jego może się udzielić Bułgarii. Nie ulega wątpliwości, że w Rumunii za zachodnimi prądami oświadczy się wszystko, co wyższe intelektem, co posiada władzę i odznacza się talentem; cała literatura i nauka rumuńska stanie w tym obozie, zacznie wtedy działać husaria. Jeżeli nie zajdą jakie wydarzenia polityczne na korzyść bizantynizmu, możliwym jest, że jednak w Rumunii zwycięży po dłuższej walce cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna. Gdyby to nastąpiło, nie mogłoby to nie oddziaływać na Bałkan.

Możliwe jest odrodzenie bizantynizmu w Rosji, która znajduje się w tym nieszczęsnym położeniu, że w razie pokonania u siebie odradzającej się cywilizacji turańskiej, w razie nawrotu do europejskości, będzie znowu pomiędzy łaciństwem a bizantyzmem. Zdecydują wpływy wołoskie, które już raz, pod koniec wieku XV, zaważyły potężnie na dziejach Rosji.⁵⁰ Gdyby w Rumunii zwyciężył zachodni kierunek, bizantyzm rosyjski musiałby pozostać wątłą roślinką, ale otwałyby się dla niego nowe wieki rozkwitu, gdyby otworzyć się mogły równocześnie w Rumunii i w Rosji.

Moment decydujący tych spraw znajduje się jednak jeszcze dalej od Bałkan, mianowicie w Niemczech. Ponieważ w pokoju wersalskim poprzestano na pokonaniu Niemiec, ale państwo pruskie nie tylko pozostawiono nietknięte, lecz zostały mu warunki ponownego rozwoju, i nie brak danych, że utrzyma się nadal pruska hegemonia militarna pośród Rzeszy Niemieckiej – nie tylko się tedy nic nie zmienia w cywilizacyjnej dwoistości Niemiec, ale zachodzi znaczne prawdopodobieństwo, że cywilizacja bizantyńska będzie tam górą nad łacińską jeszcze bardziej, niż poprzednio. W takim razie bizantyzm kultury bizantyńsko-niemieckiej może promieniować poprzez Czechy i Węgry ku Rumunii, skąd wszedłby w łączność z bizantyzmem bałkańskim.

Tak dzięki błędowi pokoju wersalskiego marzenie niemieckie o drodze otwartej poprzez Bałkany może się jeszcze ziścić, i to drogą pokojową. Wszystko zależy będzie od tego, jaki nastanie w najbliższej przyszłości w Niemczech stosunek cywilizacji łacińskiej

⁵⁰ Sprawa ta będzie przedstawiona szczegółowo w tomie II „Dziejów Rosji”.

do bizantyńskiej; w Londynie i w Paryżu robiło i robi się wiele, żeby stosunek ten wypadł jak najbardziej na niekorzyść cywilizacji zachodnioeuropejskiej.

Z obu tych cywilizacji w Europie żadna nie jest dostatecznie jednolitą, ażeby mogła w stanic' obecnym utrwalić się. Od Niemiec po Grecję wszędzie znajdziemy pierwiastki łańskie, a także żydowskie (gdzież tych nie ma?). Walka cywilizacji odbywać się musi albo do całko- w i tego oczyszczenia się z naleciałości obcych i do stanowczego zwycięstwa pewnej cywilizacji jednolitej, albo też do wyrobienia się jakiejś nowej kultury/, t. nowej odmiany jednej z walczących cywilizacji. Takimi kulturami są właśnie bizantyńsko-turecka i bizantyńsko-niemiecka. Jaka mieszanina powstałaby od Berlina do Aten w razie, gdyby łańska cywilizacja musiała ustąpić miejsca bizantyńskiej, przewidzieć tym trudniej, że w mieszaninę weszłaby cywilizacja żydowska, która bizantyńskiej dopomagać będzie do zwycięstwa nad łańską; im zaś skuteczniej dopomoże, tym silniej swoje na niej także położy piętno.

Polska, Skandynawia i kraje zachodnie są wprawdzie obecnie całkiem wolne od jakiegokolwiek nalotu cywilizacji bizantyńskiej, ale łańska nie jest w nich pomimo to należycie jednolitą, gdyż wszędzie stwierdzić można domieszki żydowskiej, podmywającej coraz widoczniej życie publiczne. Agitacja przeciw pojęciu Ojczyzny, przeciwko patriotyzmowi, istnieje nie tylko we Francji, ale nawet w Anglii; ataki na bezwzględność własności nieruchomości są wszędzie tak pospolite, iż nie zwracają już uwagi; propaganda antychrześcijańska odbywa się wszędzie jawnie, częstokroć nawet z poparciem władz, znajdujących się nie zawsze w ręku chrześcijańskim.

O ile możebną jest mieszanina jakaś bizantyńsko-judaistyczna, o tyle nie sposób sobie wyobrazić mieszaninę kulturalną żydowsko-łańską. W cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej zachodzi kategoriyczne aut-aut: albo domieszki żydowskie zostaną z naszego stanu cywilizacyjnego wyrugowane, albo cywilizacja nasza upadnie sromotnie. Tu kompromis niemożliwy; to też na obszarach łańskich walka ta przybrała już z całą stanowczością cechy wybitne walki z chrześcijaństwem.

Pierwiastków antychrześcijańskich nie brak ani w religijnej Anglii, cóż dopiero we Włoszech, we Francji lub w Polsce! Z kim te żywioły łączą się wszędzie^ przez, kogo

bywają popierane, kto stoi z reguły na czele akcji antychrześcijańskiej? Wszystko, co zwrócone przeciwko chrześcijaństwu, pozostaje w zażyłej przyjaźni z żydostwem. Gdzie toczy się walka przeciw wszelkiej religii pozytywnej, zawsze jeden robi się wyjątek; nigdzie nie występuje się przeciw religii żydowskiej. Potężne są wpływy żydowskie dlatego, bo udzielają się przez pośrednictwo wszelkich a wszelkich organizacji, wrogich chrześcijaństwu.

Błędnym byłoby atoli mniemanie, jakoby chociaż judaizm utrzymał się był przy jednolitości cywilizacyjnej. I w jego łonie grasuje w najlepsze rozterka cywilizacyjna. Zawdzięcza ją judaizm szczególnym splotem okoliczności dziejowych w największej mierze temu właśnie krajowi, który ma mu posłużyć za pomost do chwały, do potęgi, do hegemoni nie tylko ekonomicznej, lecz niemniej także politycznej: Polsce. Judaizm nowoczesny wyrósł na Polsce i psuje się na Polsce.

Dzięki nadzwyczajnej liczebności zdołali Żydzi w Polsce zachować ortodoksję talmudyczną i organizację społeczno-wyznaniową. Żyd w Anglii urodzony przejmował się tak dalece angielszczyzną, iż ledwie mu z żydostwa zostawała... bezwyznaniowość; ale w Polsce do wyjątków należy Żyd biegły w języku polskim, a talmud miał i ma pośród nas najcenniejsze swe ogniska. Jeżeli tedy Żyd angielski niezupełnie pozostaje w zgodzie ze ścisłym judaizmem, zachodzi wykołowanie jednostki, nie mającej sposobności oddziaływać kulturalnie na ogół żydowski, gdy tymczasem w Polsce rozstrzygały się losy cywilizacji żydowskiej. A właśnie w Polsce nie sposób było uniknąć wypaczania judaizmu.

Dochodząc od długiego czasu do coraz liczniejszych majątności nieruchomości, nabywali je pośród nas na prawie własności bezwzględnej, przy którym też potem z reguły obstawali nawet wobec swych współwyznawców, bo pokusa była zbyt silna. Żyd angielski! nie miał sposobności spotkać się z judaistycznym pojęciem własności, bo talmudu nie znał zgoła; ale w Polsce, wśród zwartej osadnictwa żydowskiego, wśród ortodoksji talmudycznej, robił się wyłom w żydowskim pojęciu własności względnej, ograniczonej pewnymi warunkami, zastrzeżeniami i nawet czasem (rok „jubileuszowy”). Polskie pojęcie własności (czysto zachodnio-europejskie) przyjmowało się pośród Żydów, przechodząc nawet stopniowo na własność nie od „gojów nabytą, tak dalece, iż

żydowska inteligencja przyjęła prawo „gojów” co do własności za swoje. Stanowi to poważny wyłom w cywilizacji żydowskiej, ale sprawa pociągnęła za sobą dalsze jeszcze konsekwencje.

Pojęcie własności bezwzględnej musi wieść w konsekwencji do pojęcia własnego kraju. U Żydów angielskich byłby to wniosek czysto teoretyczny, mogący doprowadzić co najwyżej do syjonizmu palestyńskiego. W Polsce prowadził prosto do Judeopolonii z widokami stopniowego ograniczania polskości, a wzmagania żywiołu żydowskiego Państwo, bezziemne przyjmowało ideę pewnego obszaru ograniczonego, a w ślad za tym wkraczać poczęło w cywilizację, zasadniczo beznarodową. jakieś mętne pojęcie narodowości. Nie jest ono zgodne z zachodnioeuropejskim pojęciem, gdyż jest nieodłącznym od religii żydowskiej, ale bądź co bądź wdarł się w cywilizację żydowską jakiś pierwiastek nieżydowski.

Pojęcia te stanowią na tle ich cywilizacji objawy niekonsekwencji; są to stanowczo „ciała obce” w ich organizmie cywilizacyjnym. Czy nastąpi przyswojenie ich organizmowi, czy też organizm je z siebie wydali, lub też nastąpi rozłam cywilizacji żydowskiej, któż zdoła przewidzieć!

Polska, która wybrana została na nową ojczyznę narodu wybranego, może się jednak stać dla nich ziemią fatalną, której właściwości mogą oddziaływać w najwyższym stopniu destruktywnie na organizację społecznowyznaniową żydostwa i wywołać jego rozdzielenie.

Ponieważ niemożliwym jest aliaz żydowsko-łaciński, spodziewać należałoby się w danym razie powstania kultury bizantyńsko-żydowskiej, która zalałaby polskie niwy, o ile byśmy się zawczasu nie spostrzegli, co nam grozi. Kultura taka jakim też byłaby sukursem dla bizantynizmu, odradzającego się od Niemiec do Grecji! Nie byłaby twórczą, bo nie syntezą byłaby, lecz tylko mechaniczną mieszaniną a zatem... tym gorzej dla krajów przez nią zajętych.

Do wytworzenia się tej mieszaniny kulturalnej doszłoby jednak w takim tylko razie, gdyby talmudyzm zanikał, a samowiedza żydowska na ziemiach polskich wzrastała pomimo to. Nie jest to niemożliwe. Wszakżeż litwacy z talmudem niewiele mają

wspólnego, a jednak oni właśnie celują samowiedzą i oni najbardziej z całego żydostwa przejęli się tak pojęciem bezwzględnej własności, jako też pożądaniem własnego kraju. Dzięki nim, gdy zawiodła koncepcja Jndeopolonii, zjawiała się Judeolithuania, państwo pod firmą litewską, w którym Żydzi zawiadują sami armią. sprawami zagranicznymi, skarbem i sprawiedliwością i posiadają zdecydowany wpływ we wszelkich urzędach. Ty m się też tłumaczy jasno, czemu ową „Litwą” opiekują się Żydzi wszystkich pięciu części świata, i czemu owa rzekoma „Litwa” nie może pogodzić się z Polską.

Może więc być żydostwo nietalmudyczne. Tworzy ono pewną odmianę żydostwa, mieści w sobie zawiązki jakiejś osobnej kultury na tle cywilizacji żydowskiej. Ktokolwiek miał sposobność przyjrzeć się litwakom, przyzna, że horoskopy kultury bizantyńsko-żydowskiej oparte są na konkretnych danych (zwłaszcza wobec Judeolithuani). Dziś już w litwaku jest bizantynizmu przynajmniej tyleż, co w Rosjaninie. Nie przejmuje się zaś Litwin, w przeciwieństwie do Rosjanina, wpływami turańskimi, a tylko posługuje się turańszczyzną, robiąc to zupełnie na-zimno. Rosjanin staje się bolszewikiem, gdy tymczasem Żyd posługuje się tylko bolszewizmem, udzielając go stanowczo tylko „gojom”; lecz nie dopuszczając go wcale w swoje specjalne żydowskie stosunki (to też państwo żydowsko-litewskie będzie i składem głównym bolszewizmu zarazem, a skutkiem zbolszewizowania społeczności litewskiej nastąpić musiałby rozkład i zanik narodowości litewskiej).

Rozterka cywilizacyjna wkracza tedy wprawdzie i do żydowskiej cywilizacji, lecz z tego może właśnie wyniknąć panowanie Izraela, gdy tymczasem my rozterki cywilizacyjnej na dłuższy czas nie wytrzymamy, a wraz z cywilizacją chrześcijańsko-klasyczną zginęłaby zarazem narodowość polska, podobnież jak każda narodowość łaćńska. My nie możemy przygarnąć się do bizantynizmu, bośmy na to zbyt nacjonalistyczni; w bizantynizmie byłby nasz grób. Musielibyśmy najpierw przestać być samymi sobą, zanimby potomni mogli stać się bizantyńcami.

Prawidłó, jako nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, tyczy jednakże również Żydów. Cywilizacja żydowska jest tak ekskluzywną, iż bizantynizm żydowski nie mógłby się bratać z żydostwem ortodoksyjnym, ściśle talmudycznym, na stale. Żydostwo

właściwe odrzekłoby się po pewnym czasie tamtego, odbierając mu siłę, płynącą ze zwartości osadnictwa, tj. dobrodziejstwa pewnej gęstości zaludnienia. Czysta cywilizacja żydowska powróciłaby do stanu apolitycznego, a kultura bizatyjsko-żydowska, pozostawiona samej sobie, znaczyłaby niewiele.

Zanimby jednak zesza z piedestału, miałyby aż nazbyt dosyć sposobności przyczynić się do zwycięstwa bizantynizmu, kierowanego przez kulturę bizantyjsko-niemiecką i również aż nazbyt dosyć czasu do wprowadzenia kultury polskiej w stan rozkładu. Natenczas zaś losy cywilizacji łacińskiej, ograniczonej do obszarów na zachód od Niemiec i do Włoch tylko, rozstrzygnęłyby się równocześnie niemal z upadkiem kultury polskiej. Nie ma Europy łacińskiej bez Polski!

Do cech bizantynizmu należała zawsze bierność wobec akcji antychrześcijańskich. Biernie znosiła Cerkiew prawosławna wschodnio-słowiańska napór mongolsko^ tatarski, a bałkańska islamu, sama ani nawet nie marząc o propagandzie. I teraz jest tak samo, to też gdy mowa o walce o chrześcijaństwo, w obozie walczących widzimy tylko katolicyzm, z minimalnym udziałem protestantów. Bez popełnienia znaczniejszej omyłki, można przez obóz chrześcijański rozumieć sam katolicyzm.

Walka obozów chrześcijańskiego i antychrześcijańskiego zaostrza się do tego stopnia, iż nikt nie będzie mógł pozostać w niej neutralnym, albowiem tarcie przeciwieństw cywilizacyjnych przenika już wszystkie dziedziny życia. Musi nadejść dzień, w którym nie będzie już ślepych nieświadomych narzędzi jednej ze stron walczących, lecz wszyscy zdawać będą sobie sprawę ze stanu rzeczy, i każdy będzie ponosił pełną odpowiedzialność za każdy swój krok, nie tylko w życiu publicznym, ale niemniej w prywatnym, potocznym, bo każdy krok będzie służył na wzmocnienie tego lub tamtego obozu.

Walczy się o chrześcijaństwa. My, Polacy, walczymy o katolicyzm, o ten jedyny w chrześcijaństwie pozytywny Kościół, Kościół par excellence.

Czyż katolicyzm urządzi nam na nowo społeczeństwo i państwo? Czyż że Kościół ma na tyle inicjatywy?

Religia stanowi w naszej cywilizacji tło postępków i drogowskaz; jak już

powiedziano, nie ma zastępować twórczości ludzkiej, lecz ją pobudzać do tym większej działalności. Kościół udzielać ma tedy tylko ogólnych wskazań, i dopiero w jakimś wyjątkowym położeniu rzeszy chrześcijańskich społeczeństw musiał by sam jąć .się urządzania życia zbiorowego. Miejmy też otuchę, że nie dojdzie do tego, ażeby Kościół miał się stawać na nowo Matką Narodów! W razie potrzeby nie zabrakłoby mu pewnie do tego ni inicjatywy, ni siły moralnej! Wszyscy byliśmy świadkami, jak przez te lata wojenne najwyżej wzbiła się z całego świata jedna postać świetlana, postać bohatera i mędrca; uosobienie Ideału i cywilizacji; najwyższy przedstawiciel człowieczeństwa pośród zezwierzecenia dziczy: kardynał Mercier. Kiedy on przemawiał po katolicku do prusactwa, ważąc życie za trzodę swoją, czyż nie był to głos prawy wszystkich ludzi, ceniących na świecie coś więcej ponad siłę materialną? On był największym z Europy całej, on całą ją objął w głosie swoim.

My, Polacy, mamy w tradycji swego Logosu, żeby przeciw Kościół do tego, iżby zajął się wprowadzeniem Ewangelii w życie publiczne. Filozofowie nasi i wieszczowie narodowi wołali o „Kościół św. Jana”. I my wołamy: wszyscy, duchowni i świeccy, zmierzamy do tego; któż byłby przeciw temu?! Ale czyż to polska wyjątkowość? Czyż kardynał Mercier nie jest najlepszym wyznawcą tego, co my zowiemy „Kościółem św. Jana”?

Nie wymyśliliśmy nowego ideału, nie wskazaliśmy nowego celu, boć to jest nowym słowem odziana myśl św. Augustyna de civitate Dei, od którego czasów, jak już stwierdziliśmy, nie trzeba celu wskazywać, lecz środki do celu wiodące. Używając hasła „Kościół św. Jana”, nie możemy poprzestawać na ogólnikowym określeniu, że ma on wprowadzić etykę chrześcijańską do polityki, bo wywołujemy przez to tylko pytanie: a jakich-że użyć środków, by chrześcijańska etyka wprowadzona była do polityki? Historia zna „święte przymierze”, którego akt zaczyna się od wezwania Trójcy Przenajświętszej, którego uczestnicy powoływali się ciągle nie na co innego, jak właśnie na to, że należy politykę oprzeć na religii i że oni to robią, a byli to najgorsi zbirowie, jakich zna historia nowożytna (1815, car Aleksander I, Metternich. Fryderyk Wilhelm III). Znamienny przykład, jak rzeczywistość wymaga czegoś więcej ponad ogólnik.

Poprzestawanie na głoszeniu hasła Ewangelii w polityce jest w naszych czasach

zbytecznym odkrywaniem prochu; żaden bowiem chrześcijanin nie wątpi już o prawdzie tego hasła. Nie trzeba już po tej wojnie nikogo chyba, przekonywać o potrzebie uczciwości w życiu publicznym! Nie tracąc więc czasu na wskazywanie wiadomego' wszystkim celu, niechajże każdy wyznawca „Kościoła, św. Jana” poświęca w miarę możliwości czas i trud pytaniu:

Jak się zorganizować, ażeby wprowadzić etykę chrześcijańską do życia publicznego?

Jakiego rodzaju instytucje mają ułatwić to zadanie?' Jaką ma być administracja, sądownictwo, nauczanie, obrona państwa, na czym oprzeć walkę o byt i stosunki warstw itp.?

Czas już spory, żebyśmy, odzyskawszy niepodległość, i mając popisać się nie czymś abstrakcyjnym, lecz konkretnym państwem, według którego udolności lub nieudolności osądzać nas będą, zaprzestali rzucać ogólnikami, a przystąpili do konkretnej pracy około nauk państwowych. Jam, w chrześcijańskim rozwoju nauk państwowych mieści się cały Kościół św. Jana!

W y n i k w n i o s k o w a ń .

Poprzedni rozdział mogliśmy zamknąć „wynikiem dociekań”, lecz gdy zapuściliśmy się w horoskopy, nie możemy odwoływać się już we wszystkim do dociekań, bo jakież być mogą w krainie przyszłości? Opuściliśmy też bitą drogę indukcji, pomagaliśmy sobie w wycieczce w przyszłość metodą dedukcyjną, snuliśmy pomysły na domysłach, bo faktów przyszłych nie znamy; słowem, nie mamy już takiej pewności siebie, jak w jedenastu poprzednich rozdziałach. Trzeba uczciwie postawić kwestię, otwarcie: w horoskopach naszych opieraliśmy się tylko na wnioskowaniu, a przynajmniej przeważnie na wnioskowaniu. Nie ma w tymi żadnego zgorszenia, boć nauka nieraz dokonywała odkryć przez wnioskowania, ale pewność zyskiwało się zawsze dopiero później, gdy zaszły fakty, zezwalające sprawdzić prawdziwość wnioskowań.

O ile znaczenie Polski dało się określić przez dociekania, o tyle cel można oznaczyć tylko z wnioskowań, jako rzecz tyczącą przyszłości. Ale cel musi być oparty na znaczeniu,

a więc pozostawać w związku z tym, że to od nas zależy, czy cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna szerzyć się będzie na Wschód, a czy w środkowej Europie będzie miała zapewnione wyłączne panowanie: że w razie rozłamu cywilizacyjnego w Polsce zwiększy się niebezpieczeństwo pokonania cywilizacji łacińskiej przez inną. U nas upadek cywilizacji łacińskiej byłby jednak równoznacznym z upadkiem narodowości.

Sami na największe wystawieni niebezpieczeństwo w razie upadku cywilizacji łacińskiej, a nawet tylko osłabienia jej, winniśmy we własnym interesie czuwać nad nią najbardziej i dawać inicjatywę do obmyślenia środków zaradczych, by rozwój jej nie poniósł szwanku.

Cały wiek XIX, od wojen napoleońskich, chorował na sprawę polską; obecnie ma się przywrócić Europie zdrowie przez przywrócenie niepodległości Polsce, likwidując anormalności wieku XIX. Jeżeli ta likwidacja ma być dokładną, musi Polska wziąć w niej czynny udział.

Nie wystarczy oczywiście usuwać, co się przestarzało, ale trzeba budować nowe; to też Polsce przypadło wziąć udział wybitny w obmyślanii nowego ustroju, nowej organizacji państwa i społeczeństwa.

Pracę taką podejmowaliśmy i wykonywali już raz, w czasach od końca XIV w. do połowy XVII; dla podjęcia przerwanej realizacji naszych ideałów trzeba dzisiaj nowych środków, nowych idei politycznych. Staliśmy się mocarstwem w Europie dzięki propagowaniu nowych w swoim czasie haseł; uczmy się na przykładzie własnej historii narodowej, że obecnie również potęga cała nasza w tym, by umieć ją wykrzesać z nowych idei na tle europejskim. Jakość naszego współpracownictwa nad budowaniem nowej Europy rozstrzygnie o nasze m w niej stanowisku.

Jakość polskiego Logosu zdecyduje o polskiej potędze. Jedynym przeto niezawodnym środkiem do wielkości Polski może być kontynuowanie swoistej kultury polskiej.

Czyżby celem Polski mogło być co innego, jak dążenie do zbliżenia się w nowym okresie dziejów ku Civitas Dei, do urzeczywistniania chrześcijaństwa, doskonaląc ustrój państwowy, by przystosować go do coraz wyższych potrzeb społeczeństwa? Ale to jest

oczywistym celem wszystkich narodów naszej cywilizacji, a osiągać się musi wspólnymi siłami; bo też i jakżeż można by osiągnąć to siłami jednego?

Nam chodzi o cel specyficznie polski, a nie o cel ogólnoeuropejski, w którym Polska ma uczestniczyć. Gdybyśmy sobie obrali cel niezgodny, istotą cywilizacji zachodnioeuropejskiej, doznalibyśmy rychło wykoślenia i jego skutków; uważajmy też za rzecz, która się rozumie sama przez się, że pochod nasz będzie się odbywał w kierunku ogólnoeuropejskim. Cele ogólnoeuropejskie są jednak tak rozległe, iż trzeba dążyć do nich ze wszech stron i wielu drogami. Jednego narodu nie stać na wyczerpanie tej wszechstronności; każdy może jednak mieć w niej udział swój własny, oparty na swoistej twórczości. Tak my uczestniczyliśmy już w wytyczaniu linii Dobra powszechnego chrześcijaństwa – i wytyczaliśmy ją odmiennie od społeczeństw Zachodu, a zupełnie dobrze. Przy bezwarunkowej tedy zgodności celów z zachodnią Europą, możemy mieć ku temu środki od niej inne; a nawet wartość nasza polegać będzie właśnie na tym, żebyśmy mieli środki odmierne, swoje własne. W nich nasz dorobek cywilizacyjny, rodzimy, swoisty.

Przez odzyskanie niepodległości nie zmieni się to, że w stosunkach międzynarodowych natrafiać będziemy na kwestię siły a prawa. Nie ma innego sposobu, jak mieć po swej stronie oboje. Siła płynie ze stosowania się do określonego już „najwyższego regulatora”. Rodzime złoża siły naszej są na polskim zachodzie: baczmy też, by nie dać się zmylić linii najsłabszego oporu!

Bądźmy silni od zachodu, a Wschód będzie nam przydany i sam do nas będzie się garnać. Wschód dla nas nie zginie, jeżeli nas będzie stać na to, czego on potrzebuje, tj., żeby umieć nim rządzić, do czego znów trzeba przede wszystkim rozporządzać odpowiednimi siłami kulturalnymi, zwłaszcza czynnikami kultury umysłowej. Tej zaś warunki skądże czerpać, jeżeli nie z Zachodu? Tam korzenie naszej mocy, a rozgałęzienie nastąpi samo przez się, jeżeli korzenie będą należycie osadzone, zagłębione.

Niech mi będzie wolno użyć tu raz jeszcze porównania z dźwignią dwuramienną o ramionach nierównych. Zdaniem moim polskie sprawy zachodnie stanowią ramię krótsze dźwigni, a wschodnie są na dłuższym. Mały nawet ruch ramienia krótszego

wywołuje znaczniejsze obroty na końcu dłuższego. W tym wypadku mamy do czynienia z dźwignią o ramionach bardzo a bardzo nierównych! Wszelki, choćby najmniejszy wkład na Zachodzie zwróci się Polsce z lichwą na Wschodzie, lecz odwrotnie niekoniecznie.

Cel musi być zgodny z geografią polityczną, a z niej wynika dla nas wiele korzyści, wbrew nawet wadom naszym; ale warunek.: silnik ustawić tam, gdzie naturalne złoża wszystkich tych sił, które składają się na silną kulturę umysłową.

Celem polityki polskiej winno być wytworzenie na Zachodzie warunków potrzebnych do wzrostu sił narodowych.

Celem Polski winno być dążenie do tego, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska. Od tego zawisła nawet przyszłość nasze na Wschodzie. Złudzeniem jest szerzenie cywilizacji zachodniej na Wschodzie, jeżeli ona nie będzie panowała wyłącznie na Zachodzie.

Wołajmy więc na całą Europę: nie można być cywilizowanym na dwa sposoby!

Jeżeli powiedzie się nam przekonać o tym opinię publiczną zachodniej Europy, pozyskamy zasługę europejskiej miary, niemniejszą od dawnych, od bitwy legnickiej do odsieczy wiedeńskiej: ocalimy jeszcze raz cywilizację zachodnioeuropejską.

W tym kierunku wielkość polskiego Logosu i potęga Ethosu naszego, żeby zachodniej Europie otwierać oczy na grożące niebezpieczeństwo; przestrzec te czynniki, które przez niezajomość spraw stają się nieświadomymi narzędziami walki podjętej przeciw zachodniej cywilizacji i chrześcijaństwu; dopomóc do utworzenia pozytywnego programu chrześcijańskiego państwa i społeczeństwa na nowy okres dziejów. W miarę spełniania tego celu będziemy się stawali ośrodkiem nowego porządku w Europie. Jeżeli się nam powiedzie zapewnić wyłączność cywilizacji łacińskiej w Europie środkowej, idee polskie zdobędą sobie nie tylko ku Wschodowi pole ekspansji kulturalnej, lecz oprą się na opoście Zachodu; a wtenczas Ethos polskie dokona nowej ewolucji ku Civitas Dei pośród społeczeństw chrześcijańskich.

Patriotyzm polski złączony jest z rozpatrywaniem zdarzeń historycznych i stosunków ludzkich w ogóle subspecie aeternitatis, związany z odnoszeniem spraw życia zbiorowego i biegu historii do porządku nadprzyrodzonego, spojony z ogarniającym

„ludzkości cale ogromy” odczuciem religijnym zawikłań historycznych, a to przez polskie określenie postępowego rozwoju, ażeby w życiu publicznym obowiązywała ta sama moralność, co w prywatnym, ażeby i polityka chrześcijańską była, czołem i koroną tego idealnego porządku była zawsze sprawa polska. Pracując około polskości działamy zarazem najlepiej dla powszechności ludów, dla dobra religii, dla podniesienia całego poziomu myśli i ducha. Bez niepodległości Polski nie było i być nie mogło urzeczywistnienia chrześcijaństwa; bez utrwalenia jej niepodległości i obwarowania w sposób należyty urzeczywistnienie to pozostanie problematycznym.

My sami musimy obwarować swą niepodległość, starając się o siłę dla swych praw. Źródła siły w „najwyższym regulatorze”, według którego robi się historia, bo w nim określone siły dziejowe. Stosunek człowieka do nich może być bierny i czynny. Przy bierności robi się historia ponad człowiekiem, przy czynności można dojść do władztwa nad siłami tymi tak dalece, iż robi się historię. Formuła „regulatora” na obydwie wypadki jedna i ta sama; chodzi tylko o stanowisko człowieka wobec niej.

Baczmy też, czy wśród katuszy porozbiorowych nie zatraciliśmy świadomości, jak się robi historię. Wielu Polakom zdaje się, że do tego starczy zapał, jedna i druga chwila triumfu i poświęcenia, skoncentrowane na pewien moment dziejowy. Zdaje się nam, że historia miewa takie chwile słabości, w których można ją robić, i byle wyzyskać „sposobność”, już wszystko! Ale rzeczywistość jest inna. Historię robi się zawsze, a całymi pokoleniami, z dnia na dzień, bez jednego dnia przerwy; a kiedy się jest przygotowanym do czynu, wtedy samemu wywołuje się „sposobność”, o co nigdy nietrudno, bo chcący, a mogący zawsze ją znajdzie.

Określając jako cel Polski dążenie do tego, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska, nie mam na myśli jakiegoś apriorycznego przeznaczenia. Przypominam, co w rozdziale wstępnym mówiłem o tym, jak naród sam sobie cel oznacza (a może zgoła celu nie mieć). Redukuje się przeto rzecz do tego, że na podstawie najlepszego swego przekonania naukowego, wyniesionego ze studiów historycznych, sądzę, że obranie tego celu jest jedynym sposobem, żeby historia nie robiła się około Polski bez względu na jej interesy, żeby Polska nie stała się pozycją bierną w grze sił

dziejowych, lecz żeby Polak sam robił historię, żeby z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne.

Nie taję się z tym, jako marzeniem moim jest, ażeby ta książka była przydatną interesom polskim; byłoby to dla mnie szczytem szczęścia, gdybym to mógł wiedzieć i widzieć. Ale nie pisałem książki tendencyjnej; powiem szczerze, że wyniki jej nie przewidywałem, a tylko doszedłem do nich pracą i podałem je takimi, do jakich doszedłem.

Wierzę mocno w absolut Prawdy. Oparłem też nadzieję pożytku na dochodzeniu prawdy, a zbierałem prawdę indukcyjnie w każdym dziale z osobna, w rozmaitych czasach i stadiach swych badań, pracując może nie bez mozołu, li tylko przez bezinteresowną naukową ciekawość. Zanim zebrało się rezultatów na tyle, iż można było pomyśleć o książce, działałem długo przedtem sam tylko interes naukowy, bez względu na to, że nie można było mieć rękojmi, czy się w ogóle dojdzie do jakich rezultatów konkretnych. Nic jest więc dziełko niniejsze tendencyjnym, bo treść jego nie była daną przez autora apriorycznie, lecz wyrabiała się stopniowo (a długimi latami), aposteriorycznie w miarę postępu badań.

Dociekania i wnioski były może zbyt długie, może nieraz nużące szczegółami, a starania autora o przejrzystość za mało skuteczne, ale trzeba było raz nareszcie przerąbać się metodycznie przez różnolity materiał. ażeby sprawę ująć naukowo.

Koniec.

OPIS ZAWARTOŚCI

Treść tomu pierwszego:

Rozdział wstępny

Przygnębienie po wojnie zwycięskiej – Czy nowe w dziejach pojęcie dobra powszechnego? – Niepodległość jako środek do celu – Trzy sprawy wymagające wyjaśnienia.

Czy kwestią znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjna? – Narodowość – Cywilizacje, ich cechy zasadnicze a znamienne – Cywilizacje bez narodowości – Zrzeszenia polityczne z wyłącznym celem walki o byt – Naród jako społeczność ludów zrzeszonych do celów spoza walki o byt.

Celowość – 'Prawa świata duchowego a materialnego – Niedomagania przyczynowości – O tworzeniu wydarzeń – Zdatność czynu a myślenia – Kultura czynu – Naród sam sobie cel oznacza.

Historiozofia a metoda historyczna – Niezbędne rozprzestrzenienie nauki, polskiej nie da się osiągnąć metodą niemiecką – Stopnie powszechności dziejów – Trzy szczeble metody i nauki historycznej – Istota historii powszechnej.

Nauka o cywilizacjach – Logos i Ethos – Motywy planu książki.

CZĘŚĆ I. KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział 1. Historyzm a podkład ludowy

1. H i s t o r y z m .

Obcowanie pokoleń – Rodzaje tradycji i stopnie historyzmu – Tarcie – Romantyzm polityczny – Etyczność polskości – Polska metoda polityczna – Vis maior obecnej polskiej sytuacji międzynarodowej – Tradycja granic 1772 roku.

2. P o d k ł a d l u d o w y .

Przesąd o rzekomej pra-warstwie społeczeństwa – Geneza szlachty i ludu wiejskiego w Polsce – Przebieg pojęć inteligencji o ludzie wiejskim – Kultura chłopska –

Przeżytki i odkrycia – Sztuka i poezja na podkładzie ludowym – Zakres istotny twórczości ludowej – Brak kultury mieszczańskiej.

3. H i s t o r y z m a l u d o w o ś ć .

Ludowość, historyzm a konserwatyzm – Konserwatyzm chłopski cechą najbardziej znamiennej ludu wiejskiego, lecz nie istotną – Przystosowywanie się do zmian ekonomicznych – Zdolności rozwojowe – Oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry – Przesada ludowości w Polsce – Jej szczerść i pochodzenie rodzime – Wstecznicze wpływy rządów zaborczych – O rzekomej „oświacie ludowej”.

Ludowcowość – Ewentualności uprzywilejowania jednej warstwy – Groza rozbieżności kulturalnej – Lud sam niszczący ludowość -a- Historyzm u ludu – Dobroczyńność pomyłki przesadnej ludowości.

Warunek postępu kultury – Logos i Ethos w stosunku historyzmu do ludowości – Walka o byt.

Rozdział II. Dary przyrody

Uszlachetnianie czynności wpływających z walki o byt – Rejestr naszych darów przyrody i początki pracy umysłowej około nich -- Rolnictwo – Juliusz Au, Emil Godlewski i Adam Prażmowski – Zabiegi prywatne – Hodowla zwierząt domowych – Wodnictwo rolne i bartnictwo – Zootechnika nowsza, paleontologia zwierząt domowych i badania biologiczne – Górnictwo – Węgiel, sól, sole potasowe, nafta – Geologia naftowa – Geologia w ogóle.

Niewola gospodarcza Polski zubożyła całe gospodarstwo europejskie – Przemienianie darów przyrody na walory kulturalne dawną właściwością polską – Zacofanie w stopniu wykonania.

Rozdział III. Handel i przemysł

Kultura w przekroju w sprawach ekonomicznych – Miejsce w handlu powszechnym – Błędy wspólne z Europą, a różnice na korzyść – W Polsce najstarsza wolność handlu, jedność monety, oddzielenie skarbu nadwornego od państwowego –

Wyższość ekonomistów polskich w sprawie pieczy o taniość – Merkantyizm a upadek miast – Dążenie do jednakowych miar i wag – Los miast a ludu wiejskiego; jednostronność gospodarcza – Ponowne zagospodarowanie się około r. 1700 – Brak fiskalizmu i nadzwyczajna postępowość – Nieprzyjęty fizjokratyzm a polski system ekonomii politycznej.

Rozerwanie Wisły – Podcinanie przemysłu i handlu przez państwa zaborcze – W czym Skarbek wyprzedził Liszta – Inicjatywa Banku Polskiego – Komunikacje wodne – Miernictwo i planimetry polskie – Drogi mosty.

Po r. 1830 nawet teoria chroni się zagranicę – Z czego zbudowano cytadelę warszawską – Rządy zaborcze wołały polską sztukę, niż handel i przemysł.

Kolejnictwo – Ernest Malinowski, bohater kolejnictwa – Ubijanie przemysłu za pomocą taryf.

Podatki i polityka kredytowa – Jak w zaborze rosyjskim doprowadzono do niedostatku środków żywności i jak w Galicji ubito przemysł – „Dobre stosunki” austriacko-polskie – Zabór pruski.

Inżynieria polska, wojskowa, i cywilna, mechanika i przemysł mechaniczny, hydraulika; R. Irzkowski i Stan. Janicki.

Sprawa morska -Logos a Ethos.

Rozdział IV. Oświata

Księgozbiory i drukarnie – Uniwersytety – Szkoły średnie – Pedagogiczne wytyczne polskie – Ochronka i szkoła ludowa w Polsce niepodległej.

Pod rządami zaborczymi – Rabunek zbiorów, a nowe zbiory i biblioteki – Czartoryski i Czacki – Praca oświatowa Kongresówki – Po roku 1831 -Teoria pedagogiczna – Po wojnie krymskiej – Po 1863 roku – Szkolnictwo w szponach czynownictwa – „Zbrodnia tajnego nauczania”.

Po wojnie francusko-pruskiej – Ulga w zaborze austriackim – Nowe ulepszenia polskiego pomysłu aż do neofilaretyzmu.

Po rewolucji rosyjskiej 1905 r. – Ruch oświatowy i Poradnik dla samouków –

Dziennikarstwo.

Rola oświaty w życiu narodu, a odrabianie zaległości doby rozbiorowej – Oświata a dobrobyt; Logos i Ethos – Kultura umysłowa a twórczość.

CZĘŚĆ II. TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V. Zdatność artystyczna

1. Sztuka plastyczna.

Sceptycyzm jako pobudka twórczości – Ethos a Logos w twórczości – Odwrotne w Polsce następstwo sztuk – Rejestr polskiej oryginalności w architekturze (krakowski gotyk, cortile Wawelu, Słoński, attyki, podcienie, budownictwo drewniane, barok wileński, Talowski).

Rzeźba, spóźnienie, a potem szybki rozkwit – Wit Stwosz nie epigonem, lecz, typem ewolucyjnym – Dalsze dzieje rzeźby w Polsce.

Malarstwo dawne – Norblin, Orłowski, Michałowski – Zainteresowanie ogółu od Grottgera, Matejki, Kossaka – Pokonanie przeciwności, niesprzyjających warunków przyrodzonych.

2. Muzyka.

Przodujące stanowisko w wieku 15, a wybitne w 16 i 17; kompozytorzy od r. 1426 swojscy – Chopin – Polskość formy nie stanowi zawady powszechności – Rejestr twórczości od Ogińskiego i Moniuszki do Szymanowskiego – Koncerty od Jarzębskiego w 1627 roku – Muzyka sztuką mieszczańską.

3. Poezja i uwagi ogólne.

Fakty a wyobrażenia zmysłowe i odmienny porządek sztuk na różnych stopniach cywilizacji – Poezja jako pra-sztuka i jako korona sztuk pięknych – Poezja jako propagator – Polityka w poezji polskiej włoskiej – Filozofowanie w poezji polskiej; mesjanizm; wieszcz – Jeden z fundamentów polskiej kultury – Czy to brak samodzielności sztuki, lub brak zrozumienia dla sztuki? – Nieporozumienie o tendencję a technikę – Jak wysoka nawet sztuka może być poza społeczeństwem? – Równoczesność wielostronności w sztuce polskiej – Obywatelskość naszej sztuki a pierwszeństwo idei

narodowej.

Rejestr polskiej oryginalności poetyckiej (Kochanowski, Kochowski, komedia rybałtowska, literatura sowizdrzalska, Książnin, Trembecki; Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Garczyński, Norwid, Fredro, Wyspiański, Czajkowski, Orzeszkowa, Głowacki, Reymont, Weyssenhof, Dygasiński, Sieroszewski, Kasprowicz) – Równowaga historyzmu a ludowości w sztuce polskiej.

Rozdział VI. Zdarność naukowa

Stała ilość sztuk pięknych, a coraz większa, nauk – Podział rozdziału.

1. Nauki ścisłe.

Odkrycia naukowe – O ile wielki człowiek świadczyć może o wysokim poziomie kulturalnym -

Matematyka i astronomia od Kadłubka; Witelo; Marcin Bylica; Marcin Król; Jan z Głogowa; Wojciech z Brudzewa i i. przed Kopernikiem – Po Koperniku – Kalendarigrafja, obserwacje, rozwój geometrii; działalność Pułłowskiego, odkrycia Smoguleckiego, Susługi, Kochańskiego i i. – Polska kultura matematyczna i astronomiczna, ostatnia dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w okresie saskim, i pierwsza się odradza – Nowi uczeni, obserwatoria w Krakowie i w Wilnie; Jan Śniadecki, Hoene-Wroński – Druga połowa 19 w. – Samouctwo w matematyce – Geodezja 19 wieku, Rudzki.

Fizyka. Doświadczenia Pułłowskiego i Kochańskiego w 17 wieku – Odrodzenie w drugiej ćwierci 19 wieku – Czasy Wróblewskiego i Witkowskiego; najnowsi.

2. Nauki przyrodnicze.

Chemia. Alchemia, jatrochemia, chemia nowoczesna – Stanowisko Jana Śniadeckiego i jego szkoła – Upadek i odrodzenie; pracownia Radziszewskiego – Wróblewski i Olszewski – Nencki, Marchlewski, St. Kostanecki, Maria Curie – Chemia fizyczna od J. Śniadeckiego do Smoluchowskiego – Cyfry.

Biologia. Od połowy 15 wieku do Kluka i Jundziła – Odkrycie Sumińskiego – Prace w najtrudniejszych dla Polski czasach – Leon Cienkowski, jeden z najznakomitszych synów Polski – Wpływy Szkoły Głównej – Botanicy Jańczewski, Rostafiński, Rothert,

Raciborski i Szafer – Zoologiczne problemy: Remak. Hoyer, Siedlecki, Godlewski jun. i i. – Systematycy.

Medycyna. Od 16 w. do J. Strusia w wieku 16, po czym upadek – Odrodzenie od schyłku 18 w. Frank, Bojanus, Jan Śniadecki w Wilnie; następnie Dietl w Krakowie; Szokalski, Hoyer, Mayzel, Chałubiński w Warszawie – Kierunek filozoficzny – Polscy lekarze zagranicą.

3. G e o g r a f i a .

Podróżnicy od Jana de Piano Carpino, naukowa geografia od Długosza; odkrycia Miechowity – Kartografia – Polskie imiona w topografii światowej – Działalność polskiej diaspory porzobiorowej; Polacy podróżnikami uczonymi po całej kuli ziemskiej – Antarktyk Aretowski – Syntetycy: Kołłątaj, Pol, wyprzedzający naukę zachodnią – Najnowsze problemy naukowe; Sawicki, Rudzki, Smoluchowski – Klimatologia od drugiej połowy 18 wieku – Aeronautyka; Artur Berson – Etnografia – Podręczniki – Statystyka.

4. N a u k i h u m a n i s t y c z n e .

Obfitość łaciny a niedostatek filologii – A. P. Nidecki – Garstka nowszych i współczesnych.

Językoznawstwo. Epizod sprzed roku 1830; sanskryt – Orientalistyka – Sławistyka – Polonistyka; badania leksykalne – Gramatyki – Prace około zasadniczych momentów nauki; Baudouin, Rozwadowski i i. – Historia języka; Brueckner i Łoś, Ułaszyn – Dialektologia- Czasopisma.

Historia. Trzy pierwiastki historiograficzne – Rozmaite pojmowanie prawdy historycznej – Przerwanie tradycji i minimum wydatności; Naruszewicz, Lelewel i Szajnocha, jako typy – Szujski i Bobrzyński; historia stosowana – Historia niestosowana; W. Zakrzewski, T. Wojciechowski, Potkański; Pickosiński, Krzyżanowski, Semkowicz.

Prawo zaniedbane przez historyków – Balzer i Abraham – Odmienność rozwoju prawa a filologii – Nieporozumienie, jakoby w Polsce nie było nauk prawnych.

Rekapitulacja.

5. F i l o z o f i a .

Nauka polska od filozofii się zaczyna; wiek 13, wiek 15 – po czym posucha aż do

braci Śniadeckich – Wroński. Goluchowski, Cieszkowski, Trentowski; Świętochowski; Pawlicki; M. Morawski – Brak tła filozoficznego w narodzie – Erazm Majewski.

6. N a u k a , o ś w i a t a , d o b r o b y t .

Nauka przed oświatą – Rozwój ich nie musi być równoczesny, ani równomierny – Dlaczego Polska- nie miała szczęścia do nauk – Jakość a ilość nauki; kwestia dobrobytu – Okresy ekonomiczne a naukowe w Polsce – Adam Kochański, a czasy Sobieskiego – Zdolności wymagają pomocy z zewnątrz – O zdolnościach w ogóle, pod kategoriami Logosu i Ethosu.

Rozdział VII. Zdatność polityczna

Istota i obszar polityki – Choroba rozbieżności politycznej – Korona Ethosu – Siła społeczna i państwowa – Przesady o wszechmocy oręża lub polityki – Skuteczność polityki tylko w granicach ewolucyjnej struktury społecznej i państwowej – Nauka, jako Logos wszelkiej polityki.

Polityka społeczno-państwowa w Polsce – Ewolucja tzw. przywilejów szlacheckich i sejmowania – Mieszczanstwo – Monopol polityczny zgubny bez względu na to, która warstwa go sprawuje – Nobilitacje polskie – Doktrynerstwo polskie – Jako zbiorowość publiczna nie jest powiększoną zbiorowością prywatną.

Samorząd jako kryterium wolności i łączności spraw państwowych ze społecznymi – Brak biurokracji, feudalizmu, legizmu – Próba uniwersalności – Pierwszeństwo idei narodowej w Polsce – System unii; realizacja stopniowa, ograniczenia możliwości, doktrynerstwo.

Zdatność a twórczość w polityce, inicjatywa a wykonanie, zdatność indywidualna a zbiorowa – Powodzenie jako kryterium – Upadek instytucji życia publicznego, a twórczość w doktrynerstwie – Odnawianie siły przez powoływanie nowych silników – Jak wspinać się na szczyty Ethosu i jaka polityka będzie w Polsce twórczą.

Treść tomu drugiego:

CZĘŚĆ III POWSZECHNOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.

Rozdział VIII. Dążenia do syntezy Zachodu a Wschodu

1

Czy możebna cywilizacja ogólna? – Hellenowie a Persowie – Aleksander Wielki – Hellenistyczność i jej bezpłodność cywilizacyjna – Hellas a Rzym – Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna – Walka Zachodu ze Wschodem w imperium rzymskim – Bizancjum i bizantyzm.

Rzym, Bagdad, Pekin, a pomiędzy nimi Bizancjum i Karakorum – Islam a bizantyzm – Kultura kordowska.

Chrześcijaństwo azjatyckie – Cywilizacja turańska – Mongołowie.

Bizantyzm w Europie zachodniej – Cesarstwo i bizantyzm niemiecki – Uniwersalność bizantyńska, a brak pojęcia narodowości na Bałkanach, słabe zaś i spóźnione poczucie narodowe w Niemczech.

Unia florencka – Bogomilstwo – Uczoność żydowska z Solunia – Bałkany antykulturalne – Fanar a kalifat – Kultura bizantyńsko-turecka – Turcja dziczą w obrębie islamu – Stosunek cywilizacji arabskiej do turańskiej.

Szlachta bałkańska a kmetowie – Muzułmanie chorwaccy – Kultura europejska bez chrześcijaństwa?

Dążenia do unii polsko-litewsko-moskiewskiej – Unia brzeska – Kalif w obronie prawosławia – Orientalizacja Polski -- Marzenia polsko-moskiewskie Czartoryskich – O przyczyny a przyczynę upadku Polski – Chronologia polskich dążeń do syntezy – Po każdej próbie syntezy uszczupla się obszar cywilizacyjny Zachodu na rzecz Wschodu.

Słowiańszczyzna wschodnia, a pierwotna wyłączność wpływów turańskich – Więcej bizantyzmu jest w dziejach Niemiec, niż pierwotnej Rusi – U Tatarów w szkole coraz gorszej – Lokalizm religijny Cerkwi – Organizacja społeczno-ekonomiczna w Moskiewszczyźnie – Państwowość, zakladnichestwo, gosudar – Wpływy bizantyńskie przez pośrednictwo Wołoszy – Bezpośrednie wpływy bizantyńskie od połowy XVI wieku – Bizantyzm pogrobowy z Fanaru – Rab i chołop – Filoteusz twerski i losip Sanin –

Wpływy tatarskie XVI wieku – Społeczeństwo azjatyckie w Moskiewszczyźnie – Nieporozumienie co do unii – Pierwsza narodowość ruska – Ziarno gorczyczne łaciny – Od Piotra W. cztery kultury – Narodowość rosyjska – Rozterka cywilizacji – Historia zaniedbań politycznych – Obalenie caratu, a błędne koło.

Łączenie Zachodu ze Wschodem wydaje zawsze potwora – Jak Rosja wywróciła się skutkiem niejedności cywilizacyjnej.

Japonia po reformach.

Najrozleglejsze zagadnienie dziejów polskich – Względna równoczesność stanu polityki a manku, pojęć politycznych a filozoficznych – Logos przejawia się równocześnie w całej grupie zjawisk.

Rozdział IX. Stosunek do Europy

„Guano polityczne” a najwyższy regulator historii – Zrzeszenie przymusowe a dobrowolne.

1. Młodszość cywilizacyjna a chyżość historyczna.

Czy stopień cywilizacji zawisł od chronologii – Predcstynacja historyczna? – Rozmaite stopnie i zmiany chyżości historycznej – Postęp nie jest kategorią chronologiczną – Pochód dziejowy nie bywa linią ciągłą – Chyżość a ilość wydarzeń Sztuka przewidywania skutków – Przyśpieszanie i opóźnianie chyżości historycznej – O możliwości doganiania i przegania.

2. Teoria Pawła Brudzewskiego.

De civitate Dei – Szczyt ludzkiego Logosu – Pierwsze w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego: cesarstwo rzymskie – Dzieło św. Wojciecha – Idea narodowa – Brak feudalizmu Drugie cesarstwo ekspansją bizantynizmu – Nieporozumienie historyczne – Dante.

Rozterka poglądów w Polsce – Miecz pod Grunwaldem środkiem pomocniczym – Boje lat 60 a rewolucja pojęć – Sympatie Europy po stronie Krzyżaków z wyjątkiem Włoch – Res nullius – Walka ekonomiczna z Zakonem.

Odsuwanie Kościoła od zasady imperialistycznej – Sobór w Konstancji i odkrycia

Brudzewskiego – Propaganda polska – Rewolucyjne warunki polskie – Teoria Grunwaldu.

3. Stosunek do zachodnich form państwowych.

Państwowość jako kryterium cywilizacji – Opozycja uzupełniająca – Promieniowanie najstarsze – Polska nie była państwem stanowym – Nieznacność legizmu – Ostroróg i Modrzewski – Daremne próby określenia państwa polskiego – według kategorii Zachodu.

4. Obrona kultury zachodniej.

Wszelkie podkopywanie siły naszej osłabianiem cywilizacji – Od bitwy lipnickiej 1241 do ostatniego najazdu tatarskiego na Lwów – Polska nie podmawiała Turków przeciw chrześcijanom – 85 lat wojennych w XVII wieku.

5. Skutki rozbiorów

Wojny koalicyjne i napoleońskie – Skutki ekonomiczne – Hegemonia rosyjska – Powszechny militarizm.

6. Udział w walkach o wolność.

Legiony we Włoszech – Rok 1831, Polenlieder – Tło międzynarodowe roku 1831 – Udział w ruchach wolnościowych całej Europy – Uznanie szlachetności, szermierstwo idei narodowej, inicjatywa do federacji.

7. Stałość Logosu, zmienność Ethosu.

Rozdział X. Polska wobec słabszych

Zyski i straty innych, wynikające ze stosunków z Polską – Stosunek pomyślności własnej do dobra powszechnego – Stosunek między pomyślnością Polski a dobrem słabszych.

1. Polska a Czechy ...

Wzajemne świadczenia w dawnych wiekach – Najazd Brzetysława; Otokar II; Wacławowie – Czeska rozbieżność kulturalna – Ruch narodowy XV-go wieku – Praktyka polityczna bez teorii – Imperialistyczne stanowisko Husa – Brudzewski a Hus – Balbin pod wpływem Łęczyckiego – Opóźnienie odrodzenia narodowego skutkiem upadku Polski – Wpływy polskie do r. 1865 – Honorata z Wiśniowskich Zapova – Jak twórcy

moskalofilstwa .sami moskalofilami nie byli – Jak Czesi ocalili potęgę pruską w r. 1870 – Alfred Potocki, Dunajewski, Kaz. Badeni, Głębiński – Kulturalna sytuacja Czechów; życie zbiorowe z pięciu kultur.

2 . R u ś .

W jaki sposób dostawała się pod panowanie polskie – Krzyżacy na Rusi Białej – Opieka nad prawosławiem – Pierwsza narodowość ruska, książę Ostrogski – Kolonizacja rolnicza Ukrainy i unia brzeska – Wojdy kozackie i koniec pierwszej narodowości ruskiej – Próba państwa ruskiego – Czemu się polszczono – Szkoła ukraińska – Wtóra narodowość ruska.

3 . I n n e n a r o d y s ł o w i a ń s k i e .

Pieśń legionów pośród Słowian – Łużycanie – Słoweńcy – Chorwaci – Serbowie – Bułgarzy, wyprawy tureckie.

Logos i Ethos na wędrówce: o zaszczipianiu i przeszczepianiu cywilizacji.

4 . P o l s k a w o b e c L i t w y .

Niepodległość i własna odpowiedzialność Litwy – Przewaga pierwiastku politycznego litewskiego nad polskim – Szlachta – Trzy źródła imigracji polskiej – Sprawy wewnętrzne a zewnętrzne – Jak litewska szlachta polonizowała się; o języku litewskim – Chronologia piśmienności polskiej a litewskiej – Czemu litewski język nie stał się urzędowym – Białoruszczyzna – Kolonizacja w XIX w. jedyną ostoją litewszczyzny.

Uwagi o unii lubelskiej.

Dzisiejszy rozłani cywilizacyjny – Czy etnografia jest nieruchomością?

5 . P o d r ó ż n i c y p o l s c y w o b e c l u d ó w p i e r w o t n y c h .

Dziedzina szczerości – Od Beniowskiego do Kubarego – Obowiązki względem słabszych a własna słabość.

CZĘŚĆ IV. WYNIKI DOCIEKAŃ I WNIOSKOWAŃ.

Rozdział XI. Najwyższy regulator historii

1 . J e d n o l i t o ść c y w i l i z a c y j n a .

Wydoskonalenie polskości, jako obwarowanie niepodległości – Droga ku harmonii

Logosu z Ethosem; posuwanie się ku syntezie rozważanych dotychczas czynników.

Stosunek części do całości trzecią kategorią bytu – Znaczenie nasze w Europie a niejasności naszego do niej stosunku – Ekspansja kultury polskiej – Jednolitość cywilizacyjna jako warunek rozwoju; organizacja i dezorganizacja – Wspaniałe Ethos Wielkopolski.

Słabość Ethosu naszej cywilizacji w porównaniu z bizantyńską i żydowską – Nadwerężenie stosunku pomiędzy Logosem a Ethosem w Europie – Początki rozłamu cywilizacyjnego – Etyka, jako źródło siły Ethosu, a różnorodność etyki – Wahania pojęcia własności – Rzekomy nadmierny indywidualizm' a dezorganizacja – Nieuchronność walk cywilizacji.

2. P r o b l e m l u d n o ś c i a o b s z a r u .

Przesadny kult liczby – Stosunek obywatelskości do liczby – Zaludnienie fizyczne a moralne – Gęstość zaludnienia – Kilkakrotne wyludnienie Polski – Warunek przewagi prowincji zachodnich – Przeludnienie moralne i jego przyczyny – Lud polski nie najmował się do wojsk zaciężnych – O co łatwiej, o co zaś trudniej krajowi rozległemu – Kwestia ludności mieszanej; tolerancja narodowa – Ludność niepolska w państwie polskim – Terytorialność państwa a autonomia narodowa – Społeczeństwo o wielkich liniach rozwoju – Cztery „jeżeli”..

3. N u s a r c h i a .

Czyny woli zorganizowanej a niezorganizowanej – Logos działaniem krzepi się, Ethos wyczerpuje – Rząd pojęć i rząd uczuć – Rozum jako synteza rozsądku i wyobraźni – Obfitość pojęć przez naukę – Władztwo nauki w życiu zbiorowym – Tajemnica wpływów Kościoła – Trzy warunki rozwoju nauki – Błędy nauki – Bezinteresowność nauki, jej absolut i Logosu świętość – Konsekwencja, absurd i rewolucja – Metoda oceniania według wad, a według zalet – Wykolejenie nusarchii.

Teoria filozoficzna scholastyków krakowskich podczas wojny z „całą nacją niemiecką” – Brak programu ekonomicznego w XVII w. – Czy odrobimy zaległości naukowe? otucha na przykładzie z dziedziny sztuki (pejzaż polski) – Ilość w nusarchii.

Nusarchia poetyczna w Polsce – Dwa dobrodziejstwa wielkiej poezji – Zadanie

uniwersytetów polskich.

Wynik dociekań.

Jak się robi historia? Formuła najwyższego regulatora historii – Znaczenie Polski.

Rozdział XII, dodatkowy. Horoskopy nowego okresu

1. P o p o k o j u w e r s a l s k i m .

Nic na mapę patrzeć trzeba, lecz na globus – Wtóra wojna z „całą nacją niemiecką” – O patrzeniu z polskiego stanowiska – Cztery ogniwa tego samego łańcucha: prusactwo, militarizm, judaizm, marksizm – Nie pokonawszy prusactwa poprzestano na pokonaniu Niemiec – Kto właściwie wygrał wojnę? – Gmatwanina zasad pokoju wersalskiego – Judaizm podczas wojny i po wojnie – Judeo-Polonia a sympatie pruskie – Walka z chrześcijaństwem i dzisiejsze autimurale christianitatis.

2 . P a ń s t w o

Brak haseł ogólnych podczas wojny powszechnej – Przeszarżałość państwa tzw. „prawnego”, i niezgodność z parlamentaryzmem – Konstytucja złudzeniem bez odpowiedzialności urzędników – O siłę społeczną. Jak się państwa dzielą – Biurokracja – Zaczyny nowej państwowości w Polsce podczas wojny – Kryteria stronnictw na przyszłość – Zakres kompetencji o bezpieczeństwo życia i mienia – Granice samorządu – Trzy dziedziny państwa; żadna sprawa polityczna nie może być oddana autonomii – Federacja, unia, konwencje – Stany Zjednoczone europejskie a Liga Narodów – Który naród będzie pierwszym? – Militarizm. od Rosji i Prus – Jedyne źródło zniesienia militarizmu; armia europejska wspólna nad Dnieprem – Wojsko, jako możliwe źródło siły społecznej – Samostarczalność – Współdzielczość w spółce narodów – Państwo nie może być cywilizowane na dwa sposoby.

3 . S p o ł e c z e ń s t w o .

Kołowanie rewolucyjności obecnej doby – Walka z chrześcijaństwem – Przyczyny i okoliczności usposobienia rewolucyjnego: utopie uczonych i utopie tłumu – Metoda zwalczania pewnego prądu przez zamienienie go na rządowy – Co miano do przeciwstawienia socjalizmowi? – Wiara o życiu zbiorowym- Religia uboczna ideałów –

Dyrektywa a wolny wybór; twórczość pobudzona, a zastąpiona – Rozterka ubocznych religii, a dogmatyzm socjalizmu – Luka w psychologicznych potrzebach tłumu – Samouwielbienie tłumu – Ani tłum nie może być cywilizowany na dwa sposoby.

Autonomia warstw – Stosunek miasta a wsi; przykład z historii polskiej – Normalny, a opatrzny ruch ludności – Rozwiązanie kwestii włościańskiej w mieście – Rolnictwo a przemysł – Kapitał a praca; walka Kościoła z kapitalizmem XV wieku Żydzi – Ideał wsteczny socjalizmu – Jałowość socjalizmu w Polsce – Samouwielbienie proletariatu.

Składniki bolszewizmu; turańskość, nihilizm, judaizm – Socjalizm a bolszewizm – Cywilizacja nasza musi zmierzać do usunięcia proletariatu – Potrzeba nowych źródeł zarobkowych.

Współdzielczość. Jej uniwersalność – Zastosowanie do życia publicznego – Regionalna, zawodowa, mieszana – Współdzielczość nie da dostatków, ni głupcom, ni leniwoom – Geografia, jako podstawa ogólnego wykształcenia – Współdzielczość a traktaty handlowe.

4 . C y w i l i z a c j a .

Żadna sprawa publiczna nie może być załatwioną ku zadowoleniu kilku cywilizacji – Neutralność cywilizacyjna niemożliwością – Likwidacja wieku XIX – Nie ma cywilizacji „europejskiej”.

Pięć okresów pochodzenia dziejowego chrześcijaństwa – Horoskop okresu piątego – Niemcom i Czechom dogodniej stanąć przy cywilizacji bizantyńskiej – Polska musi należeć do obozu chrześcijańskiego.

Horoskopy europejskiej rozterki cywilizacyjnej.

Możliwość odrodzenia cywilizacji bizantyńskiej – Od Niemiec do Grecji – Domieszki żydowskie w krajach łacińskich – Rozterka judaizmu – Nowe pojęcia własności i własnego kraju – Możliwość kultury bizantyńsko-żydowskiej – Judeolithuania.

Bierność bizantynizmu w walce o chrześcijaństwo, aktywność katolicyzmu – Koniec nieświadomości w walce o chrześcijaństwo – Kardynał Mercier – „Kościół św. Jana” – O rozwój nauk państwowych.

Wynik wnioskowań.

Dociekanie a wnioskowanie – O współpracownictwie nad budową nowej Europy –
Cel specyficznie polski, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja
łacińska – Jak się robi historię – Słowo od autora.